

LICIA TROISI

WOJNY ŚWIATA WYFURZONEGO

Tom I • SEKTA ZABÓJCÓW

VIDEOGRAF II

LICIA TROISI

Wojny Swiata Wynurzonego

Tom I

SEKTA ZABÓJCÓW

Z języka włoskiego przełożyła Zuzanna

Umer

VIDEOGRAF II

Katowice

Tytuł oryginału

Guerre del mondo emerso

I. La setta degli assassini

Redakcja

Elżbieta Spadzińska-Zak

Projekt okładki **Marek Piwko**

Ilustracja na okładce **Paolo Barbieri**

Skład i łamanie **Damian Walasek**

Korekta **Irena Żaba**

Wydanie I, maj 2008

Videograf II Sp. z o.o., 41-500 Chorzów, al. Harcerska 3 C tel. (0-32) 348-31-33, 348-31-35, fax (0-32) 348-31-25 office@videograf.pl

www.videograf.pl

© Copyright 2006 by Arnoldo Mondadori Editore S.p.A, Milano

© Copyright for the Polish edition by Videograf II Sp. z o.o. Chorzów 2008

ISBN 978-83-7183-582-7

Druk i oprawa:

OPOLgraf s.a.

Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

www.opolgraf.com.pl

Lucii

Breathe in deep, and cleanse away our sins

And we'll pray that there's no God

To punish us and make a fuss.

Muse, Fury

Prolog

Cała wieża zawaliła się w mgnieniu oka. Rozprysnęła się w miriady odłamków czarnego kryształu, które pokryły całą równinę. Na kilka chwil wszystkich oślepiło.

Następnie pył opadł, a spojrzenie świadków zaczęło błąkać się po niewyobrażalnej scenerii. Twierdzy już nie było. Stała tam przez prawie pięćdziesiąt lat, rzucając cień na egzystencję zgromadzonych teraz wśród jej ruin Przegranych i opromieniając nadzieje Zwycięskich. Teraz nie zatrzymywała już wzroku, który sięgał swobodnie aż po horyzont.

Wielu wydało okrzyk radości. Odrażające gnomy, niegodni ludzie i niewolnicy Wolnych Krain jednym głosem wykrzykiwali swoją euforię.

Yeshol – czarodziej i zabójca – zapłakał.

Potem nastąpiła regularna rzeź.

Ludzie i gnomy, jeźdźcy i rebelianci rzucili się z impetem na ocalałych i mordowali ich bez litości.

Yeshol wziął miecz od jakiegoś poległego żołnierza i stanął do walki, bez żadnej nadziei. Nie chciał przeżyć w świecie bez Tyrana i bez Thenaara.

Na niebie rozbłysnął czerwienią ostatni skrawek słońca. Zachód zastał Yeshola stojącego samotnie pośród stosów trupów, kurczowo ściskającego w ręku swą broń.

Los miał wobec niego inne plany. Jeszcze żył.

I wreszcie zapadła noc. Jego noc.

Uciekł stamtąd, przez wiele dni się ukrywał, nigdy jednak nie oddalając się zbyt daleko od Twierdzy. Widział, jak zwycięzcy biorą jeńców, widział, jak zuchwale obejmują tę ziemię w posiadanie.

Jeszcze tak niedawno, zaledwie kilka dni wcześniej, Aster obiecywał mu, że Dni Thenaara są bliskie, że świat zostanie skąpany we krwi i że nastąpi nowy początek.

–A potem nadejdzie epoka Zwycięskich – zakończył Aster swoim delikatnym głosem.

–Tak, Mistrzu.

Teraz natomiast jedyny człowiek, w którego kiedykolwiek wierzył Yeshol, nie żył. Jego Wódz, jego Mistrz, Wybrany.

Patrząc na zwycięzców odjeżdżających wozami wypełnionymi zdobyczami z Twierdzy: magicznymi napojami i truciznami z laboratorium oraz cennymi manuskryptami, które Aster kochał bardziej niż własne życie, Yeshol poprzysiągł zemstę.

Cieszcie się tym, póki możecie, bo mój Bóg jest bezlitosny.

Wyszedł ze swojej ostatniej kryjówki. Musiał uciekać, ratować się, bo tylko w ten sposób mógł ocalić kult Thenaara, odbudować potęgę Zwycięskich i zacząć wszystko od początku. Musiał odszukać ocalałych braci.

Ale przedtem jeszcze ostatnia sprawa.

Boso ruszył przez równinę. Odłamki czarnego kryształu wbijały mu się w podeszwy stóp, raniąc je do krwi.

Dotarł do serca Twierdzy. Chociaż zachowały się tylko nieliczne fragmenty murów, wiedział, że tam jest, znał na pamięć plan budynku.

Połamany tron leżał na ziemi. Niemal całe siedzisko było w kawałkach, ale oparcie wciąż majestatycznie wznosiło się nad ziemią. Nie było śladu po Asterze.

Pogładził oparcie tronu. Jego dłonie przebiegły po ornamentach i natrafiły na skrawek zaplamionej krwią tkaniny. Palce zacisnęły się wokół niej. Mimo panującej ciemności, Yeshol ją rozpoznał. To była Jego szata. Ta, którą Aster miał na sobie w dzień upadku.

Relikwia, której szukał.

Zawartość

CZĘŚĆ PIERWSZA... 8

1. Złodziejka... 10

2. Życie codzienne... 15

3. Pierwszy dzień lata... 19

4. Szczególne zadanie... 26

5. Zasadzki... 35

6. Ostatni kawałek układanki... 47

7. Proces... 54

8. Rzeź w lesie... 65

9. Pieczęć... 74

10. Strzepy wojny... 85

11. Świątynia Czarnego Boga... 98

12. Droga prowadząca w ciemność... 110

CZĘŚĆ DRUGA... 124

13. Mistrz... 126

14. W czeluściach Domu... 138

15. Pod okiem Thenaara... 147

16. Tak, Mistrzu!... 158

17. Prorok dziecko... 170

18. Praca godna Zwycięskiego... 180

19. Podróż szkoleniowa... 188

20. Stary kapłan... 201

[21. Misja samobójcza... 211](#)

[22. Zabójstwo w lesie... 222](#)

[23. Krew ofiarna... 233](#)

[24. Dzień Postulanta... 246](#)

[25. Wybór... 260](#)

[26. Niemożliwe zadanie... 276](#)

[27. Pakt... 290](#)

[28. Pierwszy raz... 306](#)

[29. Strzępki prawdy... 316](#)

[30. Twarz w kuli... 329](#)

[CZĘŚĆ TRZECIA... 343](#)

[31. Koniec... 345](#)

[32. Początek historii... 359](#)

[33. Ucieczka przez pustynię... 367](#)

[34. Rada Wód... 382](#)

CZĘŚĆ PIERWSZA

To była Wielka Zimowa Bitwa, podczas której obalono królestwo Tyrana. Ogromna armia, jaką wystawiono na tę okazję, byłaby jednak całkowicie bezużyteczna, gdyby Nihal nie zniweczyła wcześniej czarów Tyrana. Siły Tyrana zostały bowiem stworzone przy użyciu Zakazanej Magii i przeważały liczebnie. To właśnie dlatego Nihal uciekła się do zapomnianych czarów elfickich. W Ośmiu Krainach Świata Wynurzonego zamieszkuje jeszcze osiem pierwotnych duchów czczonych niegdyś przez Elfy, a każdy z nich jest strażnikiem kamienia obdarzonego szczególnymi siłami mistycznymi. Połączenie tych Ośmiu Kamieni zebranych w słynny Medalion, który od dnia zwycięstwa Nihal ma zawsze przy sobie, pozwala znieść wszelkie czary, oddając je w dłonie osoby przyzywającej duchy.

Nadzwyczajna więc była to moc, ale w dniach naszych już utracona. Nihal bowiem, Ostatni Pól-Elf Świata Wynurzonego, wyczerpała całkowicie moc Medalionu, który nie jest już teraz niczym więcej, jak tylko ozdobą.

W ten sposób ze Świata Wynurzonego zniknął ostatni odblask magii elfickiej.

Leona, członek Rady

Upadek Tyrana

Księga XI

1. Złodziejka

Mel ziewnął, patrząc na rozgwieżdżone niebo. Zwarta, gęsta chmurka oddechu zakrzepła w powietrzu. Było naprawdę bardzo zimno, a przecież to dopiero październik. Mężczyzna owinął się ciasniej płaszczem. Oczywiście, ta przeklęta nocna warta musiała trafić się właśnie jemu. I to na dodatek w okresie, kiedy panu wiedzie się niezbyt dobrze. Prawdziwa udręka. Kiedyś tam, w ogrodzie, stało ich na straży wielu. Sporo ich było również w środku, w sumie przynajmniej z dziesięciu strażników. Teraz jednak byli tylko we trzech. On w ogrodzie, Dan i Sarissa przed komnatą. Na domiar złego z każdym miesiącem pozbawiano ich ekwipunku.

–Dzięki temu nie jestem zmuszony do obcinania wam poborów – mówił Amanta, członek Rady.

Po niedługim czasie Mel był już wyposażony jedynie w krótki miecz, wytarty skórzany pancerz oraz ten lekki płaszcz, który miał na sobie, a który ani trochę nie

grzał.

Mel westchnął. Dawniej, kiedy był najemnikiem, było lepiej.

Wojna postępowała pełną parą, król Krainy Słońca, Dohor, już wyciągnął swoje chciwe ręce do Krain Dni i Nocy, zaś wojna tocząca się w Krainie Ognia przeciwko gnomowi Ido wydawała się zwykłą potyczką. Garstka oberwańców przeciwko najpotężniejszej armii Świata Wynurzonego, jakie mogli mieć nadzieje? Tak, to prawda, Ido przed swoją zdradą był Najwyższym Generałem, a jeszcze wcześniej bohaterem Wielkiej Wojny z Tyranem, ale tamte czasy już minęły. Teraz był już tylko starcem: to Dohor, będący królem, pełnił funkcję Najwyższego Generała.

A jednak było ciężko, bardzo ciężko. I długo to wszystko trwało. Te przekłete gnomy pojawiały się ze wszystkich stron. Postępowały naprzód dzięki zasadzkom i pułapkom, a wojna polegała już tylko na czołganiu, ukrywaniu i oglądaniu się za siebie na każdym kroku. Ten koszmar trwał dwanaście lat. I dla Mela skończył się źle. Zasadzka, jak zwykle. I przeszywający ból w nodze.

Nigdy już nie wrócił do pierwotnej formy, więc musiał się wycofać. To był trudny okres. W końcu umiał przecież tylko walczyć, czym innym miałby się zająć?

Znalazł pracę u Amanty jako wartownik. Na początku wydawało mu się to przyzwoitym i honorowym rozwiązaniem.

Nie przewidział, że nadejdą dni niczym nieróżniące się jeden od drugiego oraz nuda wynikająca z zajęcia powtarzanego każdej nocy. Przez osiem lat służby u Amanty nigdy nic się nie wydarzyło. A jednak Amanta miał bzika na punkcie bezpieczeństwa. Jego dom, pełen przedmiotów o niezwykłej wartości, a jednocześnie całkowicie bezużytecznych, był strzeżony niczym muzeum, a nawet bardziej.

Mel przeszedł na tyły domu. Nieznośnie długo trwało przemierzenie całego obwodu tego bezsensownego pałacu, który Amanta kazał sobie wybudować. Teraz przez tę ruderę, która tylko przypominała mu o dobrych czasach, kiedy jeszcze był dobrze sytuowanym szlachcicem, siedział po uszy w długach, powoli popadając w nędzę.

Mężczyzna zatrzymał się na kolejne głośnie ziewnięcie. I wtedy to się stało. Błyskawicznie i w ciszy. Cios dokładnie wymierzony w głowę. Potem ciemność.

Cień został panem ogrodu. Rozejrzał się wokół, a następnie prześlizgnął się do nisko umieszczonego okna. Trawa pod jego miękkimi krokami nawet nie drgnęła.

Otworzył okno i w mgnieniu oka wsunął się do środka.

Tego wieczoru Lu była zmęczona. Pani narzekała przez cały dzień, a teraz jeszcze

to absurdalne polecenie, przez które musiała siedzieć tak długo w nocy. Polerowanie starych sreber... Co niby potem z nimi zrobi?

–Na wypadek, gdyby ktoś przyszedł nas odwiedzić, głupia brzydulo!

A niby kto? Pan już popadł w niełaskę, więc i damy nie ociągały się z opuszczeniem jego domu. Wszyscy bardzo dobrze pamiętali, co prawie dwadzieścia lat wcześniej stało się ze szlachtą z Krainy Słońca, kiedy próbowała buntować się przeciwko Dohorowi, knując przeciw niemu spisek. Mimo iż Dohor, poślubiwszy królową Sulanę, był prawowitym królem, nie był szczególnie kochany. Skupiał w

swoich rękach zbyt wielką władzę, a jego ambicje wydawały się nieograniczone. Dlatego próbowano zrzucić go z tronu, jednak bez powodzenia. Amancie udało się wyjść z tego bez szwanku, ale niewiele brakowało. Ugiął się przed wolą swojego króla i zniżył się do lizania mu stóp.

Lu potrząsnęła głową. Niepotrzebne i jałowe rozmyślania. Lepiej to zostawić.

Szelest.

Lekki.

Bardzo delikatny.

Dziewczyna odwróciła się. Dom był duży, zbyt duży i pełen złowrogich hałasów.

–Kto tam? – spytała z lękiem. Cień stał nieruchomo w ciemności.

–Pokażcie się! – zawołała Lu.

Żadnej odpowiedzi. Cień oddychał cicho, spokojnie.

Lu pobiegła piętro wyżej, do Sarissy. Często to robiła, kiedy wieczorem musiała zostać sama przy pracy. Po pierwsze bała się ciemności, a po drugie Sarissa jej się podobał. Był niewiele starszy od niej i miał piękny, dodający otuchy uśmiech.

Cień podążył za nią w ciszy.

Sarissa stał na wpół uśpiony, leniwie opierając się o włócznie. Strzegł komnaty pani.

–Sarissa...

Chłopak otrząsnął się. – Lu... Nie odpowiedziała.

–Och, do diabła, Lu... znowu?

–Tym razem jestem pewna – rzuciła. – Tam ktoś był... Sarissa parsknęła zniecierpliwiony.

–To zajmie tylko chwilkę – nalegała Lu. – Proszę cię... Sarissa poruszył się niechętnie.

–Pospieszmy się.

Cień poczekał, aż plecy chłopca znikną za rogiem schodów, po czym przystąpił do działania. Drzwi nie były nawet zamknięte na klucz. Przemknął się do pokoju. Na środku komnaty stało słabo oświetlone przez księżyc w pełni łoże, z którego dobiegało głośnie chrapanie, od czasu do czasu przerywane czymś w rodzaju ponurych rżężeń i jęków. Może Amanta śnił o swych wierzyicielach, a może o właśnie takim jak on

cieniu, który przybył zabrać mu jedyne, co mu pozostało: cenne cymelia. Cień się nie zdziwił. Wszystko szło zgodnie z planem. Pani spała w oddzielnym pokoju. Drzwi, które go interesowały, znajdowały się przed jego oczami.

Przeszedł do drugiej komnaty, takiej samej, jak poprzednia. Z łoża tym razem nie dobiegało nawet westchnienie. Prawdziwa dama z tej żony Amanty.

Cień w ciszy skierował się do wiadomego miejsca. Pewnym ruchem otworzył szufladę. Małe zawiniątka z brokatu i aksamitu. Nie musiał ich nawet otwierać: doskonale wiedział, co zawierają. Wziął je i włożył do przewieszzonego przez ramię chlebaka. Ostatnie spojrzenie na kobietę leżącą w łożu. Owinął się płaszczem, otworzył okno i zniknął.

Makrat, stolica Krainy Słońca, był miastem-polipem, ale jeszcze bardziej przypominał go nocą, kiedy jego profil kreśliły jedynie światła karczm i budynków. W centrum znajdowały się wielkie pańskie pałace, kanciaste i imponujące, natomiast na peryferiach mieściły się małe gospody, nędzne domki i baraki.

Postać poruszała się, wtapiając w mury budynków. Z kapturem opuszczonym na twarz, w ciszy i anonimowo przemierzali opustoszałe ulice miasta. Nawet teraz, po zakończonej pracy, jej kroki nie rozbrzmiewały po bruku.

Doszła do brzegu miasta, aż do położonego na uboczu zajazdu będącego w tych dniach jej domem. Prześpi tam jeszcze tę jedną noc, a potem koniec. Musi zmienić miejsce, przemieścić się, zgubić ślady. I tak już zawsze, wiecznie ścigana.

Cicho weszła do swojego pokoju, gdzie czekało na nią tylko spartańskie łóżko i ława skrzyniowa z ciemnego drewna. Przez okno wpadał metaliczny pobłysk księżyca.

Rzuciła torbę na łóżko, po czym zdjęła płaszcz. Kaskada lśniących kasztanowych

włosów spiętych w koński ogon opadła do połowy pleców. W nikłym świetle świecy postawionej na skrzyni pojawiła się napięta i zmęczona twarz, twarz dziecka.

Dziewczynka.

Nie więcej niż siedemnaście lat, poważny wyraz twarzy, ciemne włosy i blada, oliwkowa cera.

Miała na imię Dubhe.

Dziewczyna zaczęła zdejmować z siebie broń. Sztylety, noże do rzucania, dmuchawka, kołczan i strzały. Teoretycznie to wszystko nie było złodziejowi

potrzebne, ale ona nigdy nie rozstawała się ze swym orężem.

Zdjęła gorsecik, zostając w samej koszuli i swoich zwykłych spodniach. Rzuciła się na łóżko i popatrzyła na plamy wilgoci na suficie, posępnie rysujące się w świetle księżyca.

Zmęczona. Sama nie potrafiła powiedzieć, czym. Nocną pracą, tą wieczną wędrówką, samotnością. Sen uniósł ze sobą jej myśli.

Wiadomość rozniosła się szybko i już nazajutrz cały Makrat wiedział. Amanta, były Pierwszy Dworzanin, dawny doradca Sulany, został okradziony we własnym domu.

Nic nowego pod słońcem, bogatym często się to zdarzało, a ostatnio szczególnie w okolicach miasta.

Śledztwo jak zwykle nie przyniosło żadnych rezultatów i, jak wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat, cień pozostał tylko cieniem.

2. Życie codzienne

Nazajutrz Dubhe opuściła gospodę wcześniej rano. Zapłaciła monetami, które zostały jej z poprzedniej pracy. Była kompletnie splukana, więc ta wycieczka do domu Amanty była dla niej błogosławieństwem. Zazwyczaj rzadko miała do czynienia bezpośrednio z grubymi rybami; zadowalała się robotą na nieco niższym poziomie, która gwarantowała jej, że nie ściągnie na siebie niczyjej uwagi. Teraz jednak naprawdę miała nóż na gardle, i Zanurzyła się w zaułkach Makratu. To miasto było wiecznie w ruchu i nigdy nie zasypiało. Zresztą było to najbardziej chaotyczne miejsce w całym Świecie Wynurzonym – pełne ludzi, gęsto obstawione szlacheckimi pałacami, walczącymi o ulice i place z chatkami biedaków. Na przedmieściach stały baraki zwyciężonych na wojnie, uciekinierów z Ośmiu Krain Świata Wynurzonego, którzy stracili wszystko w latach, kiedy Dohor dochodził do władzy. Były tam istoty wszystkich ras, a także wielu Famminów. To oni byli prawdziwymi ofiarami: pozbawieni ziemi, ścigani ze wszystkich stron, odizolowani od swoich towarzyszy, niewinni i nieświadomi jak dzieci. Kiedyś było inaczej: podczas panowania terroru Tyrana to oni byli bojownikami. Ich istnienie miało tylko jeden cel: mieli być maszynami wojennymi. Tyran stworzył ich za pomocą swoich czarów, a ich pochodzenie można było jednoznacznie odczytać z ich wyglądu: niezgrabne, pokryte rudawym meszkiem sylwetki o nieproporcjonalnie długich ramionach i ostrych kłach wystających z ust. W tamtych czasach wzbudzali szalony lęk i to z nimi Nihal, bohaterka owego mrocznego okresu prowadziła decydujące walki, a przynajmniej tak śpiewali minstrele na rogach ulic. Teraz jednak Famminowie wzbudzali tylko litość.

Kiedy Dubhe była jeszcze uczennicą, często udawała się razem z Mistrzem na przedmieścia. On je kochał.

–To jedyne miejsce naprawdę pełne życia, jakie zostało na tej gnijącej ziemi – zwykł mawiać, więc chodzili tam na długie spacery.

Dubhe nadal czasami tam zaglądała, nawet po śmierci Mistrza. Kiedy za nim tęskniła i czuła, że nie da rady dalej iść naprzód, zagłębiała się w te dzielnice nędzy i występku, szukając jego głosu kryjącego się jeszcze pośród zaułków. Wtedy się uspokajała.

Miasto zaczynało się ożywiać we wczesnych godzinach rannych. Otwierała się jakaś budka, kobiety czerpały wodę ze źródła, dzieci bawiły się na ulicy, a pośrodku placu wznosił się wielki posąg Nihal.

Dubhe znalazła miejsce, którego szukała. Był to na wpół schowany sklepik, mieszczący się na skraju dzielnic baraków. Sprzedawano w nim zioła, przynajmniej tak napisane było na szyldzie, ale ona chodziła tam z innych powodów.

Tori, sklepikarz, był gnomem pochodzącym z Krainy Ognia. Znaczna większość jego pobratymców zamieszkiwała właśnie tamte ziemie lub Krainę Skał. Miał ciemną karnację i długie, czarne jak noc włosy posplatane w mnóstwo warkoczyków. Przemieszczał się po swoim sklepiku, drobiąc na krótkich nóżkach, z nieschodzącym z ust uśmiechem.

Wystarczyło jednak jedno proste słowo – słowo znane wielu osobom z odpowiednich kręgów, aby Tori zmienił wyraz twarzy. W takich razach prowadził stałych bywalców na zaplecze. Tam znajdowała się jego świątynia.

Gnom mógł się poszczycić jedną z najbogatszych kolekcji trucizn, jakie można sobie wyobrazić. Był w tej dziedzinie wielkim ekspertem, gotowym dostarczyć każdemu idealne rozwiązanie. Czy chodziło o śmierć powolną i bolesną, czy też o nagły zgon, Tori zawsze dysponował odpowiednim flakonikiem. To jednak nie wszystko: nie zdarzało się, by zdobyty w Makracie łup nie przechodził przez jego rękę.

–Witaj! Znów potrzebujesz mojej pomocy? – przywitał ją gnom, kiedy weszła do sklepu.

–Jak zawsze... – uśmiechnęła się do niego spod kaptura.

–Gratuluje ostatniej roboty... bo to twoja sprawka, prawda?

Tori był jednym z niewielu, którzy wiedzieli coś o niej i o jej przeszłości.

–Tak, to ja – ucięła krótko Dubhe. Jak najmniej reklamy – takie było od zawsze jej motto.

Tori zaprowadził ją na zaplecze, a ona poczuła się tam jak u siebie.

Mistrz wprowadził ją w tajniki wiedzy o ziołach, kiedy jej umiejętności celowania z łuku wciąż pozostawiały wiele do życzenia. W owym czasie szkoliła się jeszcze, aby zostać zabójcą, a była to praktyka dość znana wśród morderców niższego poziomu: jeżeli nie potrafiło się precyzyjnie uderzyć w najważniejsze punkty, trzeba się było uciekać do nasączania strzał lub sztyletów trucizną, tak aby nawet lekka rana okazywała się śmiertelną.

„Trucizna jest dla początkujących” – przypominał jej zawsze Mistrz, ale dla niej zielarstwo stało się pasją.

Całe godziny spędzała pochylona nad książkami. Chodziła po lasach i łąkach, wyszukiwała odpowiednie zioła i szybko zaczęła wymyślać oryginalne mieszanki o różnych stopniach skuteczności: od łagodnych środków nasennych po najbardziej

śmiercionośne trucizny. To właśnie pociągało ją najbardziej. Studiować, szukać, zrozumieć. I w końcu Dubhe nauczyła się.

Potem wszystko się zmieniło, zabójstwo stało się pięknym wspomnieniem minionej epoki, a Dubhe poświęciła się przede wszystkim studiom nad środkami nasennymi, które zdecydowanie bardziej mogły jej się przydać w działalności, jaką podjęła, aby przeżyć.

Teraz nie traciła czasu. Rozwinęła na ladzie owoc swojej wyprawy i czekała na werdykt Toriego, który pochylony nad perłami i szafirami, analizował je okiem eksperta.

–Świetna faktura, piękne cięcie... Tylko trochę zbyt łatwe do rozpoznania... Tu trzeba będzie popracować.

Dubhe milczała. To wszystko już wiedziała. Wyuczone arkana zawodu zabójcy tkwiły w niej głęboko i dziewczyna prowadziła swoją pracę złodziejki jak najlepszy z morderców: zawsze przed akcją starannie zbierała wszelkie możliwe informacje.

–To będzie trzysta karoli.

Dubhe zmarszczyła brwi pod kapturem.

–Wydaje mi się, że to mało.

Tori uśmiechnął się dobrodusznie.

–Wiem, ile wysiłku cię to kosztowało, ale musisz zrozumieć i mnie... To będzie trzeba rozmontować, przetopić... Trzysta pięćdziesiąt.

Starczy na następne trzy, cztery miesiące wędrówek. Dubhe westchnęła cicho.

–No dobrze.

Tori uśmiechnął się do niej.

–Takiej jak ty pracy nigdy nie brakuje.

Dziewczyna wzięła to, co jej zaoferował, i odeszła bez pożegnania. Znow pogrążyła się w zaułkach Makratu.

Okolo południa opuściła miasto. Poszła prosto do swojego domu. Była to tylko grotka. Swoją prawdziwą dom – ten na brzegu oceanu w Krainie Morza, który dzieliła z Mistrzem – porzuciła po jego śmierci, w dniach bólu, i już nigdy tam nie wróciła.

Wszystkim, co udało jej się znaleźć na jego miejsce, była ta dziura. Znajdowała się w Puszczy Północnej, niezbyt daleko od cywilizacji, ale i nie nadmiernie blisko osad ludzkich. Wystarczyło pół dnia piechotą, aby tam dojść.

Kiedy o zachodzie słońca weszła do groty, stęchły zapach pleśni schwycił ją za gardło. Dawno tu nie była, a miejsce nie było zbyt przewiewne.

Za łóżko służyło legowisko zrobione naprędce ze słomy, a palenisko było zaledwie wnęką w skalistej ścianie groty. Pośrodku tego jedyne pomieszczenia stał prosty stół, zaś przy jednej ze ścian kredens, prawie całkiem wypełniony książkami i buteleczkami trucizn.

Dubhe przygotowała sobie skromną kolację z kilku produktów, jakie znalazła w mieście. Na zewnątrz zapadła noc, a wyraźnie widoczne gwiazdy drżały lekko.

Kiedy tylko skończyła jeść – wyszła na zewnątrz. Zawsze lubiła niebo, jego bezkres dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Nie dobiegały jej żadne hałasy, nie było wiatru. Dubhe słyszała jedynie szmer strumienia. Poszła do źródła i spokojnie się rozebrała.

Już w chwili zamoczenia stopy w wodzie przeszył ją mróz, ale nie poddała się i szybko weszła aż po szyję. Poczucie lodowatego zimna nie trwało długo i nagle zmieniło się w niepojęte wrażenie ciepła. Zanurzyła się cała w wodzie, a długie kasztanowe włosy zaczęły tańczyć wokół głowy i przed twarzą.

Dopiero wtedy, kiedy była całkowicie pogrążona w wodzie, udało jej się przez chwilę poczuć ogarniający ją spokój.

3. Pierwszy dzień lata

* * *

Przeszłość I

Jest słoneczny dzień. Dubhe wstaje z łóżka podekscytowana. Już w momencie, kiedy otworzyła oczy, dotarło do niej, że nadeszło lato. Może to światło, a może zapach powietrza przenikającego przez podniszczone okiennice.

Ma osiem lat. Żywa dziewczynka o długich kasztanowatych włosach, nieróżniąc się zbyt od innych. Nie ma braci ani sióstr, rodzice są wieśniakami.

Żyją w Krainie Słońca, niedaleko od granicy z Wielką Krainą. Po zakończeniu wojny ziemie tego obszaru zostały rozdzielone pomiędzy wszystkie Krainy i tylko środkowy rejon pozostał samodzielnym terytorium. Rodzice Dubhe przeprowadzili się do niewielkiej, niedawno założonej wioski – Selvy. Szukali pokoju i wydaje się, że tam go znaleźli. Z wojny Dohora, mającej na celu zagarnięcie wszystkich ziem, do tej wioski w centrum małego lasu, położonej z dala od wszystkiego, dociera jedynie echo. A od kilku lat już nawet i to nie. Dohor podbił znaczną część Świata Wynurzonego i zapanowało coś w rodzaju kruchej pokoju.

Dubhe wpada do kuchni na bosaka, ma jeszcze nieuczesane włosy.

–Jest słońce, jest słońce!

Jej matka, Melna, siedzi przy stole i nie przerywa czyszczenia warzyw.

–Na to wygląda...

To pulchna kobieta o rumianej twarzy. Jest młoda, ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale – jak przystało na osobę pracującą na roli – jej dłonie są zniszczone i pełne odcisków.

Dubhe krzyżuje ramiona, opiera się nimi na stole i macha zwisającymi nogami.

–Powiedziałaś, że jeśli będzie ładnie, będę mogła pójść pobawić się w lesie...

–Tak, ale najpierw mi pomożesz. Potem możesz robić, co chcesz. Entuzjazm Dubhe od razu opada. Wczoraj rozmawiała ze swoimi przyjaciółmi.

Obiecali sobie, że jeżeli będzie słońce, spotkają się. No i jest słońce.

–Ale to pomaganie zajmie cały ranek! Kobieta odwraca się niecierpliwie.

–No to znaczy, że przez cały ranek będziesz ze mną. Dziewczynka prychnęła głośno.

Dubhe wyciąga ze studni wiadro pełne wody i myje się pod lodowatym strumieniem. Bardzo to lubi, takie mycie w zimnej wodzie.

A poza tym za każdym razem, kiedy wyciąga wiadro, czuje się silna. Jest dumna z własnej siły: ze wszystkich dziewczynek tylko ona jest w stanie dorównać Gornarowi, najstarszemu z ich grupki. To dwunastoletni gigant, bezdyskusyjny przywódca ich bandy, a swój prymat wywalczył sobie pięściami. Jednak nie udaje mu się podporządkować sobie Dubhe, więc traktuje ją nieufnie, dbając, aby jej za bardzo nie rozdrażnić. Kilka razy pokonała go w siłowaniu na rękę i wie, że bardzo go to zapiekło. Zgodnie z niepisaną umową, Gornar jest pierwszy wśród dzieciaków, ale Dubhe jest zaraz potem. I tym się szczyli.

***Moglibyśmy pójść polować na jaszczurki i urządzić terrarium albo po prostu stoczyć walkę. Ale będzie wspaniale!* – mówi do siebie, już przeczuwając radości lata. Tymczasem polewa sobie głowę lodowatą wodą, czując przeszywający ją dreszcz przyjemności. Jest szczupłą, niemal zbyt szczupłą. Jednak niektórzy z jej towarzystwa już patrzą na nią, rumieniąc się, z czego jest zadowolona. W jej sercu znalazł się już pewien nieśmiały chłopiec, Mathon. On co prawda nie raczy na nią spojrzeć, ale ona często o nim myśli. Teraz, po południu, on też na pewno będzie: kto wie może teraz, podczas wspólnie spędzonego czasu, znajdzie odwagę, aby powiedzieć mu, że jej się podoba.**

Oczekiwanie na popołudnie rozjaśnia cały poranek. Dubhe pomaga matce, ale z trudem udaje jej się spokojnie czyścić warzywa. Siedzi na krześle i nerwowo macha nogami, co jakiś czas rzucając spojrzenie na zewnątrz.

Czasami wydaje jej się, że widzi, jak przebiega któryś z chłopców, ale dobrze wie, że dopóki nie skończy, za nic na świecie nie będzie jej wolno wyjść.

Lekki ból w palcu i stłumione „Auuć!” zwracają na nią uwagę matki.

–Do diabła, będziesz uważać? Wiecznie z głową w chmurach!

I zaczyna się zwykła śpiewka. Że zamiast biegać z tą bandą dzikusów, którą obrała sobie za przyjaciół, powinna raczej myśleć o lekcjach u starca.

Dubhe słucha w milczeniu. Kiedy mama startuje z tym kazaniem, nie ma sensu ani odpowiadać, ani przytakiwać. A poza tym Dubhe wie, że to wszystko udawanie. Ojciec jej opowiedział.

–Kiedy twoja mama była mała, była tysiąc razy gorsza niż ty. A wiesz, co się potem dzieje? Pojawia się mężczyzna, kobiety się zakochują i przestają biegać po polach w poszukiwaniu myszy.

Lubi Gorniego, swojego ojca. Bardzo. Bardziej niż matkę. Jej ojciec jest szczupły jak ona i dowcipny.

No i tata nie złości się, kiedy ona przynosi do domu jakieś dziwne bestie zabite podczas zabaw, ani nie krzyczy na widok węży, które ona tak lubi. Co więcej, kilka razy nawet sam przyniósł jej jakąś zdobycz. Dubhe ma cały zbiór słoików wypełnionych zwierzątkami. Są tam pająki, węże, jaszczurki, karaluchy – łupy z jej wycieczek na polowanie z przyjaciółmi. Pewien przejeżdżający przez wioskę czarodziej dał jej dziwną ciecz, którą należy rozcieńczyć wodą. Zanurzone w tym płynie nieżywe zwierzęta nie rozkładają się. Tę swoją cenną kolekcję pokazuje wszystkim z wielką dumą. Za to jej matka nie cierpi jej i za każdym razem, kiedy Dubhe wraca do domu z nowym okazem, chce go wyrzucić. Zawsze kończy się na krzykach i płaczach, a ojciec się śmieje.

Jej ojciec kocha zwierzęta i jest ciekawy.

I tak oto, kiedy zmęczony i spocony wchodzi do kuchni przed obiadem, jawi jej się jako wybawienie.

–Tata!

Rzuca mu się na szyję i o mały włos się nie przewracają.

–Ile razy ci mówiłam, żebyś uważała? – wrzeszczy matka, ale ojciec nie widzi żadnego problemu.

Jest bardzo jasnym blondynem o niezwykle ciemnych oczach tak samo czarnych, jak oczy Dubhe. Ma piękne wąsy, drapiące ją przy każdym pocałunku, ale jest to tylko miłe szczypanie.

–No i jak? Cały ranek obierania cukinii? Dubhe przytakuje ze zgnębioną miną.

–No tak, to chyba dzisiaj po południu możemy cię zwolnić...

–Taaak! – krzyczy Dubhe.

Obiad trwa krótko, Dubhe rzuca się na potrawy szybko i łapczywie.

Hałaśliwie pochłania zupę, potem atakuje jajka i kończy je po trzech kęsach.

Pożerając jabłko w mniej niż pięć gryzów, ryzykuje zwichnięcie szczęki, i już ucieka.

–Idę się bawić, zobaczymy się wieczorem! – krzyczy, wypadając przez drzwi.

Wreszcie jest na dworze. Biegnie.

Wie, gdzie znaleźć swoich przyjaciół, nie może być mowy o pomyłce. W porze obiadowej zawsze są nad rzeką, gdzie wyznaczyli swoją bazę. Wołają ją już z daleka.

–Dubhe!

To Pat, druga dziewczynka z grupy – jej najlepsza przyjaciółka Dubhe opowiada jej wszystkie swoje sekrety; nawiasem mówiąc jest to jedyna osoba, która wie o Mathonie. Pat ma rude włosy, jest piegowata i tak samo pełna energii jak ona.

Jak zwykle są w piątkę. Każde z nich mruczy jakieś „cześć”. Gornar leży z boku, wyciągnięty, z długim źdźbłem trawy w ustach są też bliźniacy – Sams i Renni – jeden trzyma głowę na brzuchu drugiego. Wreszcie oparty o pień Mathon wita ją skinieniem.

–Cześć, Mathon – mówi Dubhe z nieśmiałym uśmiechem. Pat chichocze

ironicznie pod nosem, ale Dubhe szybko przywołuje ją do porządku spojrzeniem.

–Dlaczego nie przyszedłeś rano? Długo na ciebie czekaliśmy – mówi dziewczynka.

–Właśnie... straciliśmy przez ciebie kupę czasu – mówi twardo Gornar.

–Musiałam pomóc mamie... A wy co robiliście? Odpowiada jej Mathon:

–Bawiliśmy się w wojowników.

Dubhe widzi leżące z boku drewniane miecze.

–A co robimy dzisiaj po południu?

–Ryby – wyrokuje Gornar. – Wędki zostawiliśmy tam, gdzie zawsze.

Zwykle miejsce to jaskinia po drugiej stronie rzeki – tam zazwyczaj ukrywają swoje łupy. Najczęściej jest to podkradzione z pól albo z domowych spiżarni jedzenie, ale również znalezione dziwne przedmioty, a nawet długi zardzewiały miecz, pewnie pamiątka po Wielkiej Wojnie.

–No, to na co czekamy?

Do zawodów w łowieniu ryb dzielą się na dwie drużyny. Pat i Dubhe ustawiają się

razem, trzeci jest Mathon. Dubhe wydaje się to snem. Marzeniem, które się spełnia.

Przez całe popołudnie nie robią nic innego, tylko zajmują się wędkami, haczykami i robakami. Pat udaje się wbić sobie haczyk w palec, a Dubhe symuluje, że strasznie brzydzi się robakami tylko po to, żeby Mathon jej pomógł.

–Przecież wcale nie są takie brzydkie – mówi chłopiec, biorąc jednego z nich w palce i pokazując Dubhe. Stworzonko wije się usiłując się uwolnić, ale Dubhe nie zwraca na to uwagi. Patrzy w zielone oczy Mathona, które nagle wydają jej się najpiękniejsze spośród wszystkiego, co kiedykolwiek widziała.

Dubhe ma doświadczenie w łowieniu, często chodziła na ryby ze swoim ojcem, ale udaje początkującą.

–Ta ryba za bardzo ciągnie... – narzeka, a Mathon musi biec jej z pomocą, zaciskając dłonie na wędcie obok rąk Dubhe. Dziewczynce wydaje się, że śni: jeżeli pierwszego dnia sprawy tak dobrze się układają, to może pod koniec lata uda jej się do

Mathona przytulić, a kto wie, może i nawet zostać jego dziewczyną.

Na krótko przed zachodem słońca cała trójka oblicza połów. Pat ma dwie nędzne ukleje, Dubhe trzy ukleje i pstrąga, a Mathon małego rekinka psiego.

Nie ma porównania z drugą grupą. Gornar ściska w dłoniach dwa piękne pstrągi, a Renn i Sams obaj mają po rekinku i jakąś dziesiątkę uklejek.

–Zresztą, kiedy z nami jest wódz... – zaczyna Sams.

Gornar mówi Dubhe, że dziś jej kolej na odniesienie wędek na miejsce.

–Przegrałaś, a w dodatku dziś przyszłaś późno. Płacisz.

Niezadowolona Dubhe udaje się do grotty, objuczona wszystkimi wędkami i słoiczkiem robaków. Odstawia je ze złością i kieruje się do wyjścia. Nagle coś przyciąga jej uwagę. Szarawe migotanie na skałach wyschniętej części koryta rzeki. Zbliża się, żeby zobaczyć, co to. Potem się uśmiecha.

To wężyk. Wężyk, którego nie ma w swojej kolekcji. Nie żyje, ale jest doskonale zachowany. Ciało o pięknym, szarym i połyskującym kolorze ma czarniawe prążki, z których jeden otacza szyję. Dubhe bez lęku wyciąga dłoń i delikatnie go podnosi.

Jest mały. Dziewczynka wie, że te węże mogą osiągać długość półtora łokcia. Ten może mieć co najwyżej trzy szerokości dłoni, ale tak czy inaczej jest wspaniałą zdobyczą.

–Popatrzcie, co znalazłam, spójrzcie! – woła, wracając do pozostałych.

Przyjaciele tłoczą się wokół niej i ciekawie przyglądają wężowi.

Pat czuje pewne obrzydzenie, nie podobają jej się takie bestie, ale oczy chłopców błyszczą.

–To zaskroniec, mój ojciec mi o nich opowiadał. Ile go szukałam...

–Daj mi go.

Słowa Gornera są jak zimny prysznic. Dubhe patrzy na niego pytająco, nie rozumiejąc.

–Powiedziałem ci, daj mi go.

–A niby dlaczego?

–Bo wygrałem zawody w łowieniu i należy mi się nagroda. Wtrąca się Pat.

–Nie przypominam sobie, żebyśmy mówili o nagrodach... Ścigaliśmy się tylko ot, tak, dla zabawy.

–To ty tak mówisz – ryczy chłopak. – Daj mi go!

–Nawet o tym nie myśl, ja go znalazłam i zatrzymam dla siebie!

Dubhe odsuwa od Gornara rękę, w której trzyma węża, ale chłopak już nad nią stoi. Chwyta ją za ramię i ściska nadgarstek.

–To boli! – krzyczy Dubhe, szamocząc się. – Wąż jest mój! Ty nawet nie lubisz takich rzeczy, a ja mam całą kolekcję!

–Nie obchodzi mnie to, ja jestem wodzem!

–Nie!

–Jak mi nie dasz tego węża, to tak cię spiorę, że jutro nie będziesz mogła wyjść z domu.

–Tylko spróbuj, dobrze wiesz, że nie dasz mi rady.

To ostatnia kropla przepełniająca miarę. Gornar rzuca się na Dubhe i zaczyna się walka. Chłopak próbuje wymierzać jej ciosy, ale Dubhe czepia się jego nóg, gryzie go i drapie z wściekłością.

Wąż upada na trawę. Dubhe i Gornar toczą się po ziemi, on mocno szarpie ją za włosy, doprowadzając ją do łez. Dubhe jednak nie ustępuje. Nie przestaje go gryźć, teraz już płaczą obydwoje ze złości i z bólu. Dzieci wokół nich krzyczą.

Spadają na brzeg potoku, szamoczą się na wysuszonej części koryta, pomiędzy raniącymi ich kamieniami. Gornar wciska głowę Dubhe pod wodę. Dziewczynkę ogarnia nagły strach. Nad wodą i pod wodą, i znowu, jeszcze raz, brakuje jej powietrza, a dłoń Gornara mocno ściska jej włosy, jej piękne włosy, jej chlubę.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem udaje jej się obrócić i teraz Gornar jest pod nią. Dubhe działa instynktownie. Podnosi nieco głowę chłopca, uderza nią o ziemię. Ten jeden cios wystarcza. Palce Gornara od razu wysuwają się z jej włosów. Jego ciało na chwilę sztywnieje, po czym staje się jakby miękkie.

Dubhe niespodziewanie czuje się oswobodzona i nie rozumie. Nieruchomieje, siedząc okrakiem na chłopcu.

–O, bogowie... – szepcze Pat.

Krew. Strużka krwi barwi wodę potoku. Dubhe jest sparaliżowana.

–Gornar... – próbuje wołać. – Gornar... – krzyczy głośniej, ale nie otrzymuje żadnej odpowiedzi.

To Renni wyciąga ją stamtąd i rzuca na trawę. Sams bierze Gornara i wynosi go z wody na brzeg. Potrząsa nim, woła coraz natarczywiej. Żadnej odpowiedzi. Płacz, płacz Pat.

Dubhe patrzy na Gornara i ten widok wyryje jej się w pamięci na zawsze. Szeroko rozwarte oczy. Małe, nieruchome źrenice. Oczy bez spojrzenia, które jednak i tak na nią patrzą. Oskarżają ją.

–Zabiłaś go! – krzyczy Renni. – Zabiłaś!

4. Szczególne zadanie

Dubhe została u siebie parę dni. Nie było to zbyt rozważne, zwłaszcza że wiedziała z całą pewnością, iż w Makracie widziano kilku Zabójców z Gildii. Sekta mogła wciąż jeszcze jej szukać. Ale ona chciała trochę odpocząć.

Już od dwóch lat nie zatrzymywała się nawet na chwilę. Była w Krainie Morza, następnie Wody, a także w Krainie Wiatru. Kiedy wreszcie postanowiła wrócić do Krainy Słońca, uczyniła to ze ściśniętym gardłem.

Była to nie tylko jej ziemia ojczysta, ale również i miejsce, gdzie wszystko się skończyło, albo zaczęło, w zależności od punktu widzenia.

Była już zmęczona uciekaniem i im dłużej tak żyła, tym silniejsze miała wrażenie, że w Świecie Wynurzonym nie ma dostatecznie odległego miejsca, gdzie mogłaby się schronić. Nie tylko Gildia była wszechobecna; czyhało na nią coś jeszcze. Właśnie podczas tych dwóch dni zniecka owładnęły ją wspomnienia. Na pewno z winy tej całej beczynności, której jednak potrzebowała. Dopóki bowiem miała do wykonania jakieś prace, jej umysł był nimi zaabsorbowany – brak zajęcia natomiast działał na nią wyczerpująco. Kiedy nie miała nic do zrobienia, jej samotność stawała się prawie namacalna. Powracała bolesna przeszłość.

Znała tylko jedno lekarstwo. Utrzymywać ciało w ruchu.

Poranek był świeży i jasny. Dubhe włożyła swoje najłżejsze ubrania: koszulę bez rękawów i parę spodni. Była bosa – uwielbiała czuć pod stopami trawę. I bez płaszcza.

Zaczęła trening: ten sam, do którego została przyuczona w wieku ośmiu lat,

kiedy chciała być silna i śmiercionośna, tak jak Mistrz – trening zabójców.

Była już spocona, kiedy go usłyszała. Od razu też wiedziała kto to. Tylko jedna z osób, które znała, była na tyle głupia, żeby zawsze powtarzać tę samą nedorzeczną zagrywkę.

Odwróciła się i błyskawicznie rzuciła sztyletem. Broń wbiła się w drzewo za chłopakiem.

Mógł mieć jakieś osiemnaście lat, był chudy jak patyk i cały w pryszczach. Teraz zbladł.

Dubhe uśmiechnęła się.

–Uważaj, Jenna, za którymś razem zabiję cię naprawdę.

–Czy ty zgłupiałaś? O mało mnie nie trafiłaś! Dubhe nonszalancko wyciągnęła sztylet z drzewa.

–No to przestań robić takie podchody.

Jenna był kimś w rodzaju przyjaciela – starym znajomym, którego odnalazła, kiedy powróciła do Krainy Słońca. Był drobnym złodziejaszkiem, zupełnie innego kalibru niż ona.

Pracował w Makracie, wrywał torby przechodniom i tak prowadził życie sieroty wojennego. Poznali się pięć lat wcześniej, kiedy próbował ukraść Mistrzowi kilka monet. Mistrz zagroził mu, że go zabije, a wówczas on zaczął jęczeć, błagając o litość. Widząc jego bystrą twarz, Mistrz wpadł na inny pomysł.

–Jesteś mi winien życie – powiedział i przyjął go jako swojego rodzaju asystenta.

Od tamtej pory Jenna nie próżnował i zawsze udawało mu się załatwić dla Mistrza świetne interesy, znaleźć dla niego klientów, a czasami nawet odbierał od nich zapłatę. Nigdy jednak nie porzucił zawodu kieszonkowca.

Jenna miał bystry umysł, a dłoń jeszcze szybszą niż myśl. Potrafił poruszać się po Makracie i znał tam wszystkich. Ponadto umiał być na swój sposób wierny.

A potem to się stało. Mistrz umarł, wszystko się skończyło, a Dubhe znowu została sama i zrozpaczona. To wtedy rozpoczęła swoją ucieczkę; jej jedynym środkiem utrzymania były pieniądze pochodzące z kradzieży, do których wykorzystywała swoje nabyte podczas treningów umiejętności. Uciekła w takim pośpiechu, że prawie nie miała czasu się z nim pożegnać. Stracili się z oczu, a

odnaleźli dopiero, kiedy Dubhe ponownie stanęła na ziemi Krainy Słońca. Od tej pory często się spotykali.

Teraz ruszyli w kierunku jaskini. Jenna skrzywił się, kiedy tylko weszli.

–Nie wiem, jak u diabła możesz żyć w tej norze śmierdzącej pleśnią. I jeszcze nazywasz ją domem? Przecież tu nie ma nawet łóżka! Gdybyś przyszła do mnie...

Jenna często to powtarzał. Chciał, żeby była blisko niego. Dubhe nie bardzo to rozumiała.

–Dość gadania – ucięła krótko i usiadła. – Powiedz mi, czego chcesz. Jenna rozsiadł

się na jedynym pozostałym krześle i położył nogi na stole.

–No cóż, po pierwsze, moich pieniędzy.

Jenna pomagał jej trochę w prowadzeniu rozpoznania przed ostatnią robotą i zwykle żądał za to niewielkiej opłaty. Dubhe szybko podała mu odpowiednią kwotę.

–Mam nadzieję, że nie przebyłeś całej tej drogi tylko dla pieniędzy?

Jenna pokręcił przecząco głową i oparł się łokciami o stół.

–Ktoś chodzi i rozpytuje o najlepszego złodzieja w okolicy potrzebnego do delikatnej roboty. To ma być w jakimś domu, więc – jak dobrze wiesz – nie dla mnie, dlatego powiedziałem sobie, czemu by nie pomóc Dubhe? Trochę podowiadawałem się o obiekcie i odkryłem kilka interesujących rzeczy.

Dubhe zmarszczyła brwi.

–Nie podoba mi się to.

Jenna spojrział na nią z niedowierzaniem. – Przecież pracowałaś już na zlecenia, nie?

Dubhe w dalszym ciągu siedziała nachmurzona.

–A ty lepiej niż ktokolwiek inny powinieneś wiedzieć, że nie mogę robić sobie reklamy.

Jenna zamilkł na krótką, wystudiowaną chwilę.

–To zaufany człowiek Dohora.

–Wszyscy są zaufanymi ludźmi Dohora. Przypominam ci, że należy do niego znaczna część Świata Wynurzonego.

Była to prawda. Dohor, zaczawszy karierę jako zwykły Jeździec Smoka, dzięki ślubowi z Sulaną został królem, a potem powoli zajął się podbijaniem całego Świata Wynurzonego. Sześć z ośmiu Krain było już mniej lub bardziej bezpośrednio pod jego

kontrolą, zaś z ostatnimi całkiem niepodległymi ziemiami – Krainą Morza oraz

Marchią Bagien i Marchią Lasów, niegdyś stanowiącymi razem Krainę Wody, prowadził już prawie otwartą wojnę.

Jenna pozwolił sobie na zadowolony uśmiezek.

–To nie jest byle sługus, nie pracuje dla nikogo ze zwykłych ludzi: często widywano go z samym królem.

Dubhe nagle okazała zainteresowanie.

–To jego wierny namiestnik, należący do wąskiego grona.

–Spotkałeś się z nim?

–Tak. Po zdobyciu informacji udało mi się z nim skontaktować. I tu niespodzianka. Po pierwszym kontakcie facet umówił się ze mną w jednej z tych luksusowych gospód w Makracie, pewnie ją znasz. „Fioletowe Sukno”.

Nie można było jej nie znać. Było to miejsce uczęszczane przez generałów i inne grube ryby królestwa.

–Zaprowadził mnie do sali, która była jakieś cztery razy większa niż cały mój dom, i zgadnij, kto tam był?

Jenna zrobił kolejną pauzę.

–Forra.

Dubhe wytrzeszczyła oczy. Forra był szwagrem Dohora, ale przede wszystkim jego prawą ręką. Poznali się w czasach, kiedy Dohor jeszcze tylko marzył o władzy absolutnej, i od tamtej pory byli nierozłączni. Ich więź wzmocniło małżeństwo Dohora z siostrą Forry, a na polu bitwy nigdy nie widziano jednego bez drugiego. Dohor niewątpliwie miał wybitny umysł i cechy uzdolnionego polityka: był nie tylko utalentowanym wojownikiem, ale i dobrym strategiem oraz pozbawionym skrupułów dyplomatą. Forra był czystej krwi wojownikiem. Pojawiał się razem ze swoim olbrzymim, dwuręcznym mieczyskiem wszędzie tam, gdzie tylko trzeba było zabijać.

–Jak możesz sobie wyobrazić, nie czułem się szczególnie komfortowo... –

ciągnął Jenna. – Podał mi jednak warunki. Forra a więc naturalnie i Dohor, chociaż jego imię nie zostało wypowiedziane, potrzebuje kogoś do delikatnej roboty:

usunięcia jakichś zapieczętowanych dokumentów starannie przechowywanych w pewnym pałacyku. Oczywiście nie chciał powiedzieć nic więcej.

–Jasne.

–Może ci zapłacić nawet pięć tysięcy karoli. Szczegóły jednak pragnie omówić z tobą osobiście.

Była to olbrzymia kwota. Dubhe nigdy nie widziała tyle pieniędzy, a jeżeli już o tym mowa, pewnie nawet jej Mistrz nie operował takimi sumami.

Dziewczyna milczała, wpatrując się w stół. Była to robota wysokiej klasy, jaka jej się jeszcze nie nadarzyła. Byłby to prawdziwy skok jakościowy.

–Na pewno nie powiedział ci nic więcej?

–Nie. Ale dał mi dowód swojej hojności.

Jenna wyciągnął z rękawa koszuli sakiewkę i wysypał na stół jej zawartość. W ciemności groty rozbłysły monety z najczystszej złota. To było przynajmniej dwieście karoli.

Dubhe siedziała nieporuszona. Patrzyła na monety i milczała.

–Poprosił mnie o zorganizowanie spotkania. Powiedział, że tak czy inaczej to jest już dla ciebie.

W grocie zapadło milczenie.

Spotkać się z Forrą. Dubhe go pamiętała, widziała go, kiedy byli razem z Mistrzem w Krainie Wiatru. Wspominała go jako olbrzymiego człowieka z dzikim grymasem mordercy wymalowanym na twarzy. U jego boku stał blady, nieco starszy od niej chłopiec. Ich spojrzenia spotkały się tylko na sekundę. Łączył ich ten sam strach, strach przed tamtym człowiekiem.

–No i co, nic nie powiesz? – nie wytrzymał Jenna.

–Myślę.

–Ale o czym? Dubhe, to życiowa okazja! Jednak Dubhe nie była osobą, która by lekko traktowała cokolwiek, a zwłaszcza robotę, co do której nie miała żadnych informacji. A jeżeli to pułapka? Jeżeli za tym wszystkim stała Gildia.

–Przecież rozmowa z nimi nic cię nie kosztuje, nie? Przecież jeżeli nie zechcesz, możesz odmówić, prawda?

–Jesteś pewien, że Gildia nie ma z tym nic wspólnego? Jenna zrobił niecierpliwy gest.

–To Dohor, do diabła, powiedziałem ci, że to Dohor! Nie ma ani śladu Gildii.

–Czy podałeś mu moje imię?

–Czy uważasz mnie za idiotę?

Dubhe milczała przez chwilę, po czym westchnęła.

–Za dwa dni przy Ciemnym Źródle, o północy. Tak mu powiedz.

Ciemne Źródło było miejscem raczej odosobnionym, znajdującym się w środku Puszczy Północnej. Jego nazwa pochodzi od małego źródelka krystalicznie czystej wody, maleńkiego jeziora otoczonego skałami czarnego bazaltu. W ten sposób zawsze, nawet kiedy świeciło słońce, woda wydawała się czarna jak smoła. Miejsce to wzbudzało strach, ale Dubhe często tam chodziła, kiedy chciała się skoncentrować. Tam odnajdowała spokój wewnętrzny i siłę.

Tamtej nocy poszła tam nieco wcześniej. Niebo pokryte było chmurami, a wiatr wiał silniej niż zazwyczaj. Siedziała po ciemku, wsłuchując się w lament drzew i odgłosy wody.

Lubiła ciemność. Jenna zwrócił jej uwagę, że wydawała się urodzona w Krainie Nocy, gdzie zaklęcie rzucone przez pewnego maga podczas Wojny Dwustuletniej, ponad sto lat wcześniej, wywołało wieczną noc. Rzeczywiście, kiedy pracowała z Mistrzem na tamtych ziemiach, czuła się nadspodziewanie dobrze. Ale Kraina Nocy miała w jej oczach również aspekt złowrogi: to tam miała swoją siedzibę Gildia. Gildia, sekta Zabójców, od której Mistrz próbował przez całe życie uciec. Gildia, która tropiła także i ją.

Zanim wreszcie usłyszała kroki, zdążyła już lekko się zniecierpliwic – było sporo po wyznaczonej godzinie. Szło ich dwóch: jeden mężczyzna o chodzie ciężkim i pewnym siebie i drugi, który stąpał niepewnie. Słyszała to w szeleście suchych liści na ziemi.

Spróbowała zgadnąć.

Generał Forra i jakiś slugus, który jest tu tylko jako środek ostrożności.

Opuściła kaptur płaszczka jeszcze niżej na twarz, ściągnęła barki, aby wydawać się bardziej okazała, i postarała się, aby jej głos był bardziej zachrypnięty.

Spośród drzew wynurzyły się dwie postacie. Zza ramion jednej z nich wystawał niepozostawiający wątpliwości kształt dwuręcznego miecza, zaś druga osoba trzymała dłoń na rękojeści broni o znacznie mniejszych rozmiarach. Dubhe zrozumiała, że zgadła.

Była rozemocjonowana. Podniosła się nawet nieco zbyt szybko.

Spokojnie, to robota jak każda inna.

–Spóźniliście się – powiedziała surowo, aby podkreślić swoją pozycję.

–Niełatwo znaleźć to miejsce – odpowiedział drugi z przybyłych.

Zaczęło padać i obydwaj mieli kaptury na głowach, ale i tak mimo panującej

ciemności wytrenowane oko Dubhe dostrzegło dosyć wyraźnie twarze dwóch mężczyzn.

Forra był taki, jakim go pamiętała: mocne rysy, duży nos, silna szczęka i wieczny grymas zwycięzcy wyryty na twarzy. Był tylko starszy, ale ani trochę nieokielznany. Poczwała w ciele ułamek dawnego lęku, jaki odczuwała przed nim jako dziecko.

Drugi przybysz w porównaniu z Forrą był absolutnie nikim. Ten niezbyt wysoki mężczyzna miał na sobie pancerz, a białe kostki dłoni opierał na rękojeści miecza.

–Gdyby łatwo było tu przyjść, nie prosiłabym o spotkanie właśnie w tym miejscu.

–To żaden problem – powiedział Forra spokojnym głosem. Dubhe przytaknęła.

–Może powinnaś zdjąć kaptur – powiedział żołnierz. Dubhe milczała przez chwilę. Dreszcz przebiegł jej po plecach, ale starała się opanować.

–Wolałabym nie pokazywać swojej twarzy, to część mojej pracy.

Mężczyzna wydawał się oburzony, ale Forra położył mu dłoń na ramieniu.

–Chyba wszyscy jesteśmy nieco zdenerwowani, co? A przecież nie ma ku temu żadnego powodu.

–Mój informator wspomniał o robocie – ciągnęła niewzruszona Dubhe. –

Jednak przed udzieleniem jakiegokolwiek odpowiedzi pragnęłabym poznać szczegóły.

Głos zabrał znowu niższy z mężczyzn:

–Jest to sprawa bardzo delikatna i dlatego pomyśleliśmy o tobie. Chodzi o okradzenie Thevorna.

Dubhe przełknęła ślinę. Z całą pewnością nie był to byle kto, Thevorn bardzo długo był najwierniejszym towarzyszem Dohora i tak jak on pochodził z Krainy Słońca. Przeciętny jako czarodziej, obdarzony jednak nadzwyczajnym umysłem, natychmiast poznał się na możliwościach tego wychudzonego chłopca o oczach przepelnionych ambicją. Od razu przyłączył się do Dohora i pomógł mu dojść do władzy. Rozłam nastąpił około dziesięciu lat temu w okresie pokoju, który nastąpił po pokonaniu Ida. To wtedy Thevorn zaczął tkąć swoją sieć sojuszków ze szlacheckimi rodami Krainy Słońca w nadziei na zdobycie części władzy. Unia z Dohorem była dla niego bardzo wygodna.

Czarodziej ów w zasadzie wycofał się z życia publicznego pięć lat temu, kiedy tylko wykryto spisek na Dohora, w który zamieszany był również Amanta.

Krażyły także słuchy, że Thevorn maczał palce w utworzeniu dziwnego sojuszu pomiędzy głównym nieprzyjacielem Dohora z tamtych czasów – gnomem Gaharem z Krainy Skał, a Idem. Jednak już od dawna nic o starym czarodzieju nie słyszano. – W dworze, który sobie wybudował i z którego nigdy nie wychodzi, przechowywane są pewne dokumenty o znacznej wadze Chciałbym, aby znalazły się one w moich rękach – wyjaśnił

Forra.

–To żaden problem – powiedziała Dubhe.

–Dokumenty znajdują się w pokoiku przylegającym do komnaty w której sypia Thevorn. Jest to sekretny pokój i nikt dokładnie nie wie, jak się do niego dostać.

–To też nie jest problem.

Forra uśmiechnął się z grymasem okrucieństwa.

–No tak... wiemy, co jest twoją specjalnością. Nie chcemy trupów, wszystko musi być przeprowadzone dyskretnie, bez żadnych śladów. Thevorn musi dowiedzieć

się o kradzieży jak najpóźniej.

Dubhe kiwnęła głową. Nie miała najmniejszego zamiaru zabijać. Przypominało jej to

czasy, o których chciała zapomnieć. Jeżeli zaś chodzi o dyskrecję, był to jej znak rozpoznawczy.

–Dostaniesz kolejne dwieście karoli, jeżeli się zgodzisz, a resztę po skończonej robocie i to tylko wtedy, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

Dubhe milczała przez chwilę. Wyraźnie czuła powagę tej chwili. I z uczuciem dziwnej nadziei pomyślała, że może dzięki tym pieniądzom uda jej się znaleźć sposób na przerwanie tej wykańczającej ją włości. Nadzieja ta jednak nie trwała dłużej niż moment. Dubhe nosiła w duszy sprawy, o których nie mogła zapomnieć, winy oraz ból, których nawet najobfitszy łup nie był w stanie zatrzeć. Tak czy inaczej, gra była warta świeczki.

–Dobrze – powiedziała.

–Jest to zatem „tak” – rzucił pogardliwie Forra. – Oczywiście. Kiedy dostanę pieniądze?

–Jutro, tutaj, o tej samej godzinie.

Dubhe już miała zniknąć w gęstwinie, kiedy zatrzymał ją donośny głos Forry.

–Uważaj, aby nie zawieść zaufania, jakie pokładamy w twoich zdolnościach.

Dubhe stanęła, nawet się nie obracając.

–Jeżeli naprawdę znacie moją sławę, nie muszę wam odpowiadać. Z ciemności dobiegł ją ledwo słyszalny śmiech.

5. Zasadzki

Dubhe zabrała się do pracy od razu, już następnego dnia. Sprawa zapowiadała się złożona i trudna, wymagała zatem skrupulatnych przygotowań.

To była jej ulubiona część całego przedsięwzięcia. Sam akt kradzieży pozostawał zwyczajnym obowiązkiem, interesującym ją tylko z uwagi na lekkie poczucie ekscytacji, jakie w niej wzbudzał, i pieniądze, które w ten sposób zdobywała. Rozpoznanie było natomiast czymś zupełnie innym.

Poza tym była to rzadka okazja do nawiązania kontaktu z ludźmi. Mistrz nauczył ją, jak zabijać człowieka oraz gdzie i w jaki sposób wymierzać ciosy. Przez długi czas było to wszystko, co wiedziała na temat ludzi – o całej tej masie osób poza ich małą rodziną, tworzoną przez nią i przez Mistrza. O tym, jak żyją normalni ludzie, nie wiedziała prawie nic. Przeprowadzanie rozpoznania stało się sposobem na marzenie o życiu, na przyjrzenie się mu i otarcie się o nie przynajmniej przez chwilę.

Początkowo błąkała się wokół domu Thevorna nocą. Na zewnątrz było zazwyczaj dwóch wartowników: jeden ustawiony przy wejściu, a drugi spacerujący wzdłuż pałacowych murów. Dubhe wielokrotnie okrążyła posiadłość, a kiedy już poczuła się pewnie, weszła do obszernego ogrodu. Nauczyła się rozpoznawać każdą roślinę, każdy kamień w murze, sprawdziła, jakim krokiem poruszali się wartownicy, poznała ich zwyczaje. Nawet jej oddech zsynchronizował się z oddechem dwóch mężczyzn.

Z zewnątrz udało jej się zrozumieć wiele rzeczy dotyczących wnętrza. Na

podstawie obserwacji dziewczyna wykonała szkic domniemanego rozmieszczenia pokoiów.

Następnie stwierdziła, że czas wejść w kontakt z kimś miejscowym, kimś, kto byłby skłonny poopowiadać jej bez skrpułów o domu i jego zwyczajach. Wypatrzyła pewną dziewczynkę, córkę służącej pracującej tam od lat. Miała szczerą, uczciwą buzię i naiwność właściwą osobkom w jej wieku, wydała się więc idealną osobą.

Zaczepiła ją na jednym z wielkich targów w Makracie, kiedy stała niezdecydowana, które jabłka kupić. Nietrudno było nawiązać rozmowę – były prawie rówieśnicami.

Dziewczynka, Man, nie dała się długo prosić. Wpadły jeszcze na siebie na targu kilka razy, dziwiąc się niepomierne tym nieoczekiwanym zrządeniom losu, i tak nawiązały bliższą znajomość.

Jak Dubhe doskonale przewidziała, Man była otwarta i naiwna, gotowa obdarzać wszystkich zaufaniem.

Dubhe podała się za służącą i wymieniła nazwisko bardzo sławnej rodziny, której dom miała okazję zwiedzić podczas pewnego włamania na początku swojej kariery. Bardzo szybko wspólne narzekanie na kaprysy państwa niepostrzeżenie przerodziło się w dyskusję o zwyczajach rodzin, u których służyły.

–Pan czuje się w domu bardzo bezpiecznie, to dlatego nigdy nie wychodzi. Ale zawsze zachowuje środki ostrożności: na przykład ma trzy sypialnie i co noc wybiera, w której będzie spał.

Dubhe tak podejrzewała. Co noc zmieniał się światło, które gasło w domu jako ostatnie. To lekko komplikowało całą sprawę. Będzie zatem musiała przeszukać trzy różne pokoje. Nic wielkiego.

–Tak, to prawda, ma lekką obsesję na punkcie bezpieczeństwa... Właściwie to nie wiem, dlaczego, rozumiesz... Może to starość; moja matka mówi, że w pewnym wieku człowiek... – Man zrobiła wymowny gest, pukając się palcem w skroń. – No i dlatego przed jego pokojem zawsze stoi wartownik.

Dubhe uśmiechnęła się, a jej myśli pędziły jak szalone.

W tym okresie spała bardzo niewiele. Zawsze tak było przed wykonaniem zadania. Noce spędzała na obserwacjach, a dni na urabianiu sobie Man. Wracała do domu o świcie i przez parę godzin odpoczywała. Często nawet wołała wcale nie kłaść się spać, ale raczej trwać na rozmyślaniach. Wtedy udawała się do Ciemnego Źródła i

nasłuchiwała. Koncentrowała się na dźwiękach tego ponurego miejsca, dopóki jej umysł całkiem się nie oczyścił i nie słysząc było niczego poza przyrodą, jakąś rośliną pośród innych roślin, czy ziemią stapiającą się z ziemią.

Tego ćwiczenia nauczył ją Mistrz, dawno, jeszcze na początku jej szkolenia. Miało ono pomóc wyciszyć się przed robotą.

To zdarzyło się jednego z takich wieczorów. Dubhe postanowiła, że tej nocy nie pójdzie do pałacu. Po ogrodzie mogłaby już poruszać się z zamkniętymi oczami, a zwyczaje pana również były jej raczej znane.

Po kolacji, kiedy zapadł całkowity mrok, poszła do Ciemnego Źródła. Widać było tylko niewyraźne gwiazdy, słabo połyskujące nad jej głową.

Usiadła przed źródłem i napiła się trochę wody, aby całkiem się rozbudzić i

zachować jasność umysłu. Na ziemi było miękko, pełno suchych liści. Zbliżał się listopad.

Dubhe spróbowała zamknąć oczy, starając się zrelaksować, ale była nadzwyczaj spięta. Wydawało jej się, że jest w jakiś sposób zagrożona, mimo że jedynymi dźwiękami, które słyszała, był jęk drzew targanych wiatrem i powolne kapanie wody.

Wmawiała sobie, że to nic takiego, ale jej szósty zmysł nigdy dotąd jej nie oszukał.

Skoncentrowała się na odgłosach. Miała naturalny dar rozpoznawania rytmicznych dźwięków. Umiejętność tę udoskonaliła przez lata szkolenia. Skrzypienie drewna pod uderzeniami wiatru. Szmer liści jeszcze trzymających się gałęzi. Woda. Woda regularnymi kroplami spadająca do źródelka. Pełny i doskonały dźwięk kropli wpadającej do małego lustra wody, jego słabe echo na czarnych ścianach rozpadliny.

Potem jakiś nagły, zupełnie niepasujący odgłos i jednocześnie lekki ból, jakby ukłucie, na przedramieniu.

Ciało zareagowało zamiast niej. Dłoń błyskawicznie podążyła do noży, które zawsze miała przy sobie. Nie musiała nawet myśleć. Ostrze zabłysło przez moment i zaraz po tym usłyszała stłumiony jęk i cichy, głuchy odgłos upadku.

Serce podskoczyło jej do gardła. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, a myśl pobiegła do tamtej nocy sprzed wielu lat, do tych samych noży, które rzuciła i które dosięgnęły celu, a potem jeszcze dalej w przeszłość, aż po widok wytrzeszczonych na nią białych oczu, oczu, których nigdy nie udało jej się zapomnieć, oczy Gornara, które co noc przychodziły, by ją oskarżać.

Dźwięk własnego zdyszanego oddechu sprawił, że się ocknęła. Polanę wypełniała cisza.

Najpierw obejrzała sobie ramię. Z górnej części przedramienia wypływała strużka krwi. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego. W ciele tkwiła cieniutka igła. Trucizna. Oczywiście.

Ruszyła w kierunku, z którego dobiegł jęk. Drżała, pewnie z powodu zdenerwowania tymi dwoma gorączkowymi sekundami, a przynajmniej tak sobie mówiła.

Zbliżyła się, zachowując ostrożność. Na ziemi leżała jakaś postać, nieruchoma i blada w świetle księżyca, z nożem tkwiącym w piersi.

Może nie umarł.

Podeszła jeszcze bliżej i przyjrzała się dokładnie. To było prawie dziecko! Chłopak.

Już nie oddychał.

Dubhe zacisnęła pięści, zamknęła oczy i odpędziła obrazy, jakie budziło w niej to ciało.

Do diabła.

Odwróciła wzrok od jego twarzy, próbując przeanalizować jego strój. U boku miał sztylet. Czarny, pochwa i rękojeść w formie węża. W dłoni trzymał dmuchawkę. Niewątpliwie próbowano go jakoś zamaskować, ale każdy element wskazywał na Gildię. Broń, której używali tylko Zabójcy z Gildii, młody wiek chłopca, a nawet sposób, w jaki ją zaatakował.

To odkrycie zagłuszyło wszystko inne, nawet drżenie, w jakie wprawiło ją to nieprzewidziane zabójstwo.

Oderwała od niego spojrzenie i co tchu popędziła do groty. Wiedziała, że jeżeli naprawdę została otruta, nie powinna biec jak szalona, ale wszystkie antidota, jakie знаła, były właśnie tam.

Kiedy tylko weszła do domu, rzuciła się do półek. Umiała swobodnie poruszać się wśród tych wszystkich buteleczek, rozróżniała je po prostu po kolorze. Znała trucizny używane przez Gildię. Teraz porozstawiała flakoniki na stole i dopiero wtedy się zatrzymała.

Przeanalizowała stan swojego ciała tak, jak zrobiłby czarodziej lub kapłan. Czuła się dobrze. Nadspodziewanie dobrze. Była zadyszana, ale spowodował to tylko bieg; serce biło jej szybko, ale mocno i regularnie. Widziała dobrze, nie bolała jej

głowa ani nie miała zawrotów. Nie znała żadnej trucizny, która po kilku minutach od wstrzyknięcia nie dałaby żadnych efektów. Popatrzyła na igłę, którą jeszcze ścisnęła kurczowo w dłoni. Była ledwo ledwo czerwona na czubku. Jej szkarłatna krew. Nic poza tym.

Na wszelki wypadek i tak zażyła różne antidota, po małej dozie każdego. Tak uczył ją Mistrz, ale nigdy dotąd nie miała okazji wprowadzić tej rady w życie. Modliła się, żeby dobrze przypomnieć sobie dawki i żeby odtrutki zadziałały.

Przez jakiś czas uważnie obserwowała swoje samopoczucie, z niepokojem kontrolując bicie serca i oddech, ale nic się nie stało.

Tajemnica. Prawdziwa tajemnica.

Poszła pochować ciało chłopca. Chętnie darowałaby sobie ten przykry obowiązek, ale musiała to zrobić.

Znowu mu się przyjrzała. Zamknięte oczy, twarz skupiona, prawie pogodna, kręcone włosy pokrywające czoło. O ile lat mógł być od niej starszy? Niewiele. Mistrz opowiadał jej o tym: w Gildii zaczyna się wcześnie. Już od dziecka szkolenie, a w wieku dziesięciu lat pierwsze zabójstwo.

To prawie tak jak ja – pomyślała.

To musiało być jedno z jego pierwszych poważniejszych zadań i tak źle się skończyło... Umarł z zamkniętymi oczami i tylko dlatego Dubhe mogła tak długo mu się przyglądać. Nie potrafiła patrzeć w zgaszone oczy nieboszczyków. Pozbawione życia źrenice przejmowały ją trwogą i za każdym razem, za każdym przeklętym razem widziała w takim spojrzeniu rozpacz pustych oczu Gornara, pierwszej ofiary w jej życiu.

Zabiłam, znowu zabiłam.

Wszystkie hałasy, wiatr, zimno, a nawet strach z powodu owej tajemniczej igły przestały istnieć wobec tej paralizującej świadomości.

Znowu zabiłam. To moje przeznaczenie.

Starła się o tym nie myśleć, wytłumaczyła sobie, że to było w obronie własnej. Stłumiła swoje myśli dopiero przy rytmicznych ruchach łopaty kopiącej dziurę. Zmęczenie stopniowo ogarniało jej ramiona, dopóki nie zorientowała się, że już nic nie czuje i jest prawie tak nieżywa, jak ten chłopak.

Potem pobiegła do źródła, tak jak tamtej pierwszej nocy, kiedy zabiła,

towarzysząc Mistrzowi. Zrzuciła ubranie, z impetem rzuciła się w wodę, zanurzyła się głęboko w obejmującą ciemność wody, z rozpuszczonymi włosami unoszącymi się wokół twarzy.

Długo pozostawała pod wodą, nie oddychając, w nadziei, że woda przeniknie do jej wnętrza, umyje ją, oczyści.

Przysięgała, że już nigdy więcej nie zabije, ślubowała to na śmierć swojego Mistrza. A teraz złamała tę przysięgę.

Owo zdarzenie było niezwykle poważne i Dubhe musiała to wszystko dobrze zrozumieć.

Czy tamten chłopak naprawdę należał do Gildii? I dlaczego wysłali go, aby ją zabił?

Poszła do Makratu, do Jenny. Kiedy wyjaśniła mu, o co chodzi, zrobił zdumioną i przerażoną minę.

–Chcesz, żebym przeprowadził wywiad na temat Gildii?

–Nie chodzi mi o pełen wywiad... Posłuchaj tylko, czy tam krążą jakieś plotki... Przecież ja nawet nie wiem, gdzie znajduje się Gildia Zabójców, a już na pewno

nie chcę mieć do czynienia nawet z jednym z jej członków! Sława Gildii była straszliwa. Oficjalnie była to tylko dziwaczna sekta jakich wiele namnożyło się w tych czasach wojny i rozpacz, i jedynie dzięki tym pozorom oraz ochronie niektórych możliwych mogła wciąż istnieć. Tak naprawdę gromadziła najniebezpieczniejszych morderców Świata Wynurzonego. Mówiono też, że wewnątrz sekty odbywają się dziwne rytuały krwi. Niewielu jednak naprawdę coś na ten temat wiedziało. Gildia potrafiła strzec swoich tajemnic. Mistrz Dubhe był w przeszłości jej członkiem, ale nigdy wiele jej na ten temat nie mówił. Dopiero kiedy wszystko było już skończone, zdobył się na odwagę, aby opowiedzieć jej, w jaki sposób i dlaczego opuścił sektę, i od tamtej chwili dziewczyna nienawidziła tej nazwy. Ostatnie dwa lata spędziła na ciągłej ucieczce, byle z dala od sekty. Dlatego teraz musiała wiedzieć, co się dzieje.

–Proszę cię tylko o wysondowanie sprawy w kręgu twoich kontaktów. Nic więcej. Nawet się o tym nie dowiedzą. Nie mogą wiedzieć.

Twarz Jenny dalej wyrażała strach.

–Proszę cię tylko o pomoc – poddała się w końcu Dubhe. – W tej chwili nie mogę się tym sama zająć, a pilnie muszę się czegoś dowiedzieć.

Jenna nieco złagodniał.

–Zapłacę ci za tę przysługę... Jenna machnął ręką.

–No, dobrze już, dobrze... A co z tamtą robotą?

–Wiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć.

–Ale czy zapłata jest tak dobra, jak mówili? Dubhe wymieniła kwotę.

–Wiesz, z tak królewskim wynagrodzeniem mogłabyś pomyśleć o wycofaniu się, nie?

Dziewczyna zdumiała się, że ta sama myśl, która na chwilę nawiedziła ją wtedy, przy Ciemnym Źródle, przyszła do głowy również Jennie.

Kiedy wracała z domu przyjaciela, spróbowała wyobrazić sobie własne życie bez zabijania i kradzieży, jakby to wszystko, co zdarzyło jej się do tej pory, nigdy nie

istniało. Normalne życie takie jak to, które podglądała podczas długich spacerów po miastach. Znaleźć sobie mężczyznę, którego by kochała, budzić się zawsze w tym samym łóżku, nie zadowalać się już samym tylko faktem przeżycia, egzystencją bez żadnego celu i byciem wiecznie ściganą.

Ogarnęło ją dziwne poczucie nierealności. A jednak ten obraz miał pewne atrakcyjne aspekty. W końcu, gdzieś tam w środku Dubhe była zmęczona.

Wieczór kradzieży nadszedł zbyt szybko. Dubhe była gotowa, ale nadal gnębił ją niepokój. Tajemnica chłopca z Gildii nie została jeszcze wyjaśniona. Jenna nie dawał znaku życia, z czego wnioskowała, że nie udało mu się niczego dowiedzieć.

Kiedy noc była już późna, wyszła z domu i skierowała się do okazałego pałacu Thevorna. W bladym świetle księżyca wydawał jej się ponury i niezmierny.

Pokonanie okalającego posiadłość zewnętrznego muru nie było dla niej problemem. Przez jakiś czas siedziała przycupnięta w trawie ogrodu, dopóki nie usłyszała, jak wartownicy mijają ją po raz pierwszy. Było ich dwóch i przemierzali trasę w przeciwnych kierunkach. Dubhe zmierzyła ich kroki i dostosowała się do ich tempa.

Znowu odgłos kroków. Dubhe przywarła do muru, wstrzymując oddech. Żołnierz minął ją, niczego nie zauważając.

Dziewczyna ostrożnie ruszyła wzdłuż muru, dopóki nie dotarła do interesującego ją miejsca, szczególnie łatwego do przeskoczenia, na wprost zasłoniętego przez wysoki cyprys. Dziesięć metrów wyżej był komin, doskonały punkt dostępu do

budynku.

Poczekwała na kolejne przejście straży i zaczęła wspinać się na cyprys. Strażnik przeszedł raz jeszcze, tym razem głośno ziewając. Kiedy tylko nieco się oddalił, Dubhe skoczyła: dach był odległy o niecałe dwa metry.

Wszystko szło gładko.

Rozpłaszczyła się na dachówkach i czołgając się, dotarła aż do komina. Ukryła się za nim. Teraz była już poza zasięgiem strażników.

Przyszła kolej na linę. Zaczepiła harpun w miejscu, które wydawało jej się wystarczająco stabilne, po czym spuściła linę w dół komina. Zagłębiła się w ślad za nią w czarny otwór.

Komin był tak ciasny, że dziewczyna ramionami ocierała o cegły.

Schodziła dalej, powoli i ostrożnie, zapierając się stopami w tej niewielkiej

przestrzeni, jaką miała do dyspozycji. Wreszcie dostrzegła blade światło; dotarła do podstawy komina. Wyjrzała na zewnątrz. Tak jak przewidywała, znajdowała się w pustej sali, jednym z wielu salonów, jakim dysponował ten pałacyk.

Dubhe nie musiała nawet zaglądać do mapy, знаła na pamięć rozmieszczenie wszystkich pokoi.

Wyszła z kominka i skierowała się ku widniejącym w głębi drzwiom. Przeszła przez ciąg pomieszczeń – wszystkie były obszerne i podobnie umeblowane – aż wreszcie dotarła do początku długiego korytarza na najwyższym piętrze. Teraz następowała najtrudniejsza część zadania.

Thevorn każdej nocy spał w innej sypialni, ale zawsze wszystkie trzy były strzeżone, tak powiedziała jej Man, służąca. Trzeba było je sprawdzić jedna po drugiej, a dostać się tam można było jedynie z zewnątrz, przechodząc przez okno przylegającego pokoju.

Dubhe zobaczyła pierwszego wartownika stojącego sennie przed najbliższymi drzwiami. Szybko i cicho wkradła się do sąsiedniego pokoju. Miał on balkon, więc jej zadanie okazało się łatwiejsze niż przypuszczała.

Wewnątrz nie było Thevorna. Pokój był pusty. To nic, nawet lepiej.

Zaczęła przeszukiwać pomieszczenie. Nie wiedziała dokładnie, czego szukać, ale miała doświadczenie z domami, które „czyściła” już od dwóch lat. Wiedziała tyle o tajnych pokojach i mechanizmach ich otwierania, że w zasadzie szła na pewniaka.

Jej poszukiwania nie przyniosły rezultatów. Żadna ze ścian raczej nie kryła tajemnych pokoi.

Pudło. To nic, noc jest długa.

Dziewczyna zawróciła i podjęła poszukiwania. Było późno w pobliżu nie było służby, a nawet strażnicy ograniczali się do obowiązkowej rundki po głównych korytarzach.

Dubhe nie miała problemów z ich uniknięciem, przechodzili z pokoju do pokoju.

Przy drugiej próbie miała mniej szczęścia. Pokój sąsiadujący z sypialnią był niewiele większy od schowka i miał tylko małe wysokie okienko. Na zewnątrz żadnego balkonu. Na szczęście Dubhe dostrzegła wąski gzyms. Otworzyła okno i czekała, aż strażnik w ogrodzie minie to miejsce. Następnie przebiegła po gzymsie kilka kroków dzielących ją od następnego okna. Jego otwarcie nie nastręczyło jej trudności i już po chwili była w środku.

Łóżko było zasłonięte ciężkimi, aksamitnymi storami. Dubhe podeszła i sprawdziła, czy ktoś tam leży. I rzeczywiście, ujrzała tam Thevorna, wstrząsanego niespokojnym snem. A miał powody do niepokoju. Tej nocy chodziło tylko o jego dokumenty, a tak naprawdę w niebezpieczeństwie było jego życie. Tego wieczoru przysłano ją, ale następnego prawdopodobnie przyjdzie kolej na zabójcę.

Zabójca – oto, kim naprawdę jestem.

Potrząsnęła głową, jak robiła zawsze, kiedy starała się odpędzić jakąś natrętą myśl.

Rozpoczęła takie samo poszukiwanie, jakie już przeprowadziła w poprzednim pokoju. Tym razem starała się być ostrożniejsza, bo sen mężczyzny wydawał się lekki i niespokojny. Rozejrzała się wokół z uwagą, delikatnie dotknęła murów. Niewiele czasu zajęło jej rozpoznanie pustej ściany.

Oto i ona.

Zaczęła gładzić mur w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku. Wreszcie znalazła. Arras z wytartym brzegiem.

Podniosła go lekko. Uśmiechnęła się. Zobaczyła zamknięte drzwiczki.

Pochyliła się na wysokość zamka i przyjrzała mu się uważnie. Następnie wyjęła to, czego teraz potrzebowała. Był to wytrych pasujący do wielu typów zamków, cenny prezent od Jenny. Włamywanie się było jedyną czynnością, jakiej Mistrz jej nie nauczył. Zresztą mordercy rzadko potrzebna jest ta umiejętność. Jenna wypełnił tę lukę.

Pokoik był prawdziwym schowkiem. Dubhe musiała się skulić żeby tam wejść, bo sufit był bardzo niski. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wydawało się puste. Dziewczyna na wszelki wypadek przymknęła za sobą drzwi i zaczęła obmacywać ściany. Było ciemno, mogła się zdać tylko na zmysł dotyku. Dzięki doskonale wyćwiczonemu słuchowi zza drzwi słyszała ciężki oddech Thevorna.

Jej palce natrafiły na jakąś nierówność. Wyglądało to na jakiś symbol, którego samym dotykiem nie potrafiła wyraźnie rozpoznać. Kiedy nacisnęła to miejsce mocniej, położona obok cegła wysunęła się o kilka cali. Dubhe wyjęła ją delikatnie i wsunęła dłoń w dziurę, która się przed nią otworzyła. Usłyszała szelest pergaminu.

Zrobione - powiedziała do siebie. Czuła się dziwnie zakłopotana, nie mogła doczekać się końca.

Delikatnie wyciągnęła kartki i przygotowała sakwę, która miała je pomieścić. I wtedy

to się stało.

Było tak, jakby wewnątrz niej coś się przełamało. Nagle poczuła silny ból w piersi, a oddech zamarł jej w gardle.

Umieram – pomyślała i bardziej niż strach sparaliżowało ją zdumienie. Poczuła ból w przedramieniu, potem już nic, tylko czerń.

Kiedy doszła do siebie, leżała ścierpnięta na ziemi, w absolutnej ciemności izdebki. Za drzwiami wciąż rozbrzmiewało ciężkie posapywanie Thevorna. Spróbowała się podnieść, ale kręciło jej się w głowie i z trudem oddychała.

Oparła się o ścianę, rozpaczliwie starając się złapać oddech. Serce biło jej nieregularnie, a powietrze, które wdychała, wydawało jej się niewystarczające do wypełnienia płuc. Czuła się źle.

Nie potrafiła jednak rozpoznać, co jej dolega. Sama, w domu nieprzyjaciela. Podczas wypełniania zadania. Ogarnęła ją panika.

Głupia, pomyśl lepiej, jak stąd wyjść!

Podniosła się. Nogi jej się trzęsły. Wyszła z pokoiku, rozejrzała się dookoła zamglonym wzrokiem. Musiała wypełnić swoje zadanie do końca.

Dotarła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Gzyms wydał jej się nagle zbyt wąski, żeby można było po nim przebiec. Usłyszała szurgot za drzwiami.

Nie teraz...

Wyszła, postawiła stopy na gzymsie. Zakręciło jej się w głowie i złapała się ściany.

Nie teraz!

Oparła dłonie o mur i zaczęła prześlizgiwać się wzdłuż niego najostrożniej jak potrafiła. Wyjść najszybciej, jak tylko można starając się ograniczyć szkody.

–Kto tam?

Zaniepokojony głos z dołu. Wartownik.

Dubhe spojrzała przed siebie; pokój nie był daleko. Ostatnim wysiłkiem zaczęła biec w kierunku okna.

–Stój!

Nie było czasu. Dubhe nie zatrzymała się, przebiegła na drugą stronę i stłukła szybę

dłonią.

Zaczynała czuć się lepiej, ale już było za późno.

Wskoczyła do pokoju, słysząc dobiegające z zewnątrz głosy.

–Tam ktoś jest!

–Co się, u diabła, dzieje?!

–Ktoś tam jest! Widziałem cień wślizgujący się do północnego salonu!

Zawiadomcie tych w środku!

Dubhe zakłęta i rozejrzała się. Był tu inny kominek. Mogła spróbować tej samej drogi, którą weszła. Kiedy drzwi pokoju zaczęły się uchylać, rzuciła się ku czarnemu otworowi.

–Kto tam?

Dubhe uchwyciła się palcami cegieł, zaparła stopami i zaczęła się wspinać.

–Jest tam kto?

–Wydaje mi się, że nikogo nie ma, ale lepiej sprawdzić. Dziewczyna starała się przemieszczać, jak mogła najszybciej, ale wylot nagle zwężał się ku górze, czyniąc jej zadanie jeszcze trudniejszym. Ściany zaciskały się wokół niej i znowu miała kłopoty z oddychaniem. Na zewnątrz kominka słychać było głosy, dźwięki dobywanych mieczy i nerwowe kroki po drewnianej posadzce.

Trzymaj się jeszcze, wytrzymaj!

Resztką sił wysunęła się na zewnątrz, ocierając się o cegły i drapiąc sobie ramiona. Spojrzała w dół. Na odległość skoku był balkon, a niżej ogród, niestrzeżony. Dubhe zeskoczyła niżej i wylądowała bez trudu. Przywarła do podłoża, a następnie

ześlizgnęła się na balkon.

–Tam! Coś na balkonie!

Nie było czasu do stracenia; w mgnieniu oka przeskoczyła przez balustradę i rzuciła się w pustkę. Tym razem lądowanie było mniej udane i Dubhe mocno uderzyła się w kolano.

Zerwała się i ukryła za żywopłotem. Ogród jeszcze był pusty, ale już nie na długo. Pobiegnęła do muru i pospiesznie go sforsowała. W ciemnościach nocy miała nieco

trudności z odnalezieniem drogi. Kulejąc, skierowała się do jakiegoś zaułka, a kiedy przemierzyła większą jego część, usiadła na ziemi.

Oddychała spokojnie. Czekala. Chłód nocy sprawił, że znów poczuła się sobą. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą biały, nieruchomy księżyc.

Tym razem naprawdę niewiele brakowało.

Nigdy nie spotkało jej nic podobnego. Ani podczas pracy, ani w żadnym innym momencie jej życia. Zawsze cieszyła się żelaznym zdrowiem. Co, u licha, jej się stało?

Teraz wszystko wydawało się w porządku; serce spokojnie biło

Piersi, oddech był powolny i regularny, umysł jasny. Jeszcze przez chwilę posiedziała w zaułku, po czym podniosła kaptur płaszcza i wmieszała się w cienie Makratu.

6. Ostatni kawałek układanki

Yeshol był w bibliotece sam. Jak zawsze. To było jego schronienie, miejsce, o którym wszyscy inni Zabójcy dzielący z nim przestrzeń Domu słyszeli, ale niewielu z nich kiedykolwiek tam weszło. Bo była to jego biblioteka, zgromadzona przez niego tom po tomie, i tylko on był godny studiowania tych ksiąg. Zresztą, Aster też zawsze był sam. Yeshol nigdy się nie łudził, że może uważać się za jego przyjaciela czy nawet powiernika. Od Astera zawsze oczekiwał tylko rozkazów.

Teraz, kiedy sam został przywódcą, teraz, kiedy jako Najwyższy Strażnik stał się jedynym przewodnikiem tych, którzy podzielali wielki sen Astera, pragnął, aby jego ludzie patrzyli na niego w ten sam sposób.

Na stole leżała księga oraz pergamin. Całe życie Yeshola toczyło się wokół książek. W dzieciństwie, kiedy szkolił się w dawnych sposobach zabójstw, połykał je pospiesznie. Później Aster, widząc jego pasję, dał mu trochę swoich ksiąg, chociaż w tamtych latach Yeshol był bardziej wykonawcą niż doradcą.

Były to dawne czasy, które Yeshol już od czterdziestu lat, każdego wieczoru, starał się ożywić swoim piórem.

Ale nie tylko to zajmowało Yesholowi wieczory. Jego projekt był o wiele bardziej ambitny. Jedną po drugiej odszukiwał książki z niezmierzonej biblioteki Astera. Wiedział, że klucz do wszystkiego, podstawa jego planu znajduje się tam, w owych tomach.

W dniu, w którym Twierdza upadła, sądził, że wszystko już stracone.

W ich poszukiwaniu zaczął przemierzać cały Świat Wynurzony wzdłuż i wszerz. Nie było to łatwe. Czasami znajdował tylko luźne kartki, często na wpół zniszczone i nadpalone. Rzadko trafiały się całe, dobrze zachowane tomy; bywały ukryte wśród innych ksiąg w anonimowych prowincjonalnych bibliotekach, a nieraz walały się pomiędzy rozmaitymi rupieciami na stoiskach jakichś handlarzy starzyzną. Niekiedy były to nawet pisma, które wyszły bezpośrednio spod ręki Astera.

Trwało to całe lata, ale teraz część dawnej biblioteki Twierdzy została odtworzona. Oczywiście, była to nieznaczna część księgozbioru, ale i tak znaczyło to wiele w tych czasach niewierzących, którzy nazywali Astera Tyranem i bali się go bardziej niż śmierci.

Każdej nocy Yeshol kartkował księgi jedna po drugiej, szukając odpowiedzi na dręczące go wątpliwości, potwierdzenia słuszności swego mglistego jeszcze, choć wybitnego pomysłu, który pielęgnował między snem, a jawą niczym najcenniejsze ze swych marzeń. Najpierw, kiedy był jeszcze tylko jednym z wielu zabójców: tym, który przyniósł ze sobą Relikwię i który zgromadził rozproszonych braci, ale jeszcze niegodnym większej władzy, były to godziny wydarte czynnościom związanym z zabójstwami. Potem, w latach przywództwa, stało się to jego głównym zajęciem.

I wtedy to odnalazł.

Była to wielka chwila, zarówno dla niego, jak i dla Gildii, więc pobiegł do świątyni, aby wzruszonym głosem modlić się do Thenaara.

–Dziękuję, że wysłuchałeś moich modlitw! Wiem, że uczyniłeś to wszystko nie dla mnie, który jestem tylko Twoim sługą, ale dla Twojej chwały, i ja za ten dar, który mi przekazałeś, przyniosę ci świat. Nadejdzie Twój czas.

Jednak obraz całości nie był jeszcze jasny. Brakowało niektórych fragmentów, nowych ksiąg, a zwłaszcza jednej, będącej podstawą wszystkiego. Materiału, którego należało poszukiwać wszędzie i koniecznie odzyskać: po dobroci lub siłą. Do tej pory jeszcze go nie odnalazł.

Tego wieczoru w drżącym świetle świecy robił notatki z jakiegoś tomu Magii Zakazanej – tak dawnego, że bliskiego epoce Elfów.

Pergamin, nad którym się pochylał, wypełniał się eleganckimi znakami jego drobnej i starannej kaligrafii. W ciągu lat zestarzał się, ale nie tak znowu bardzo. Jakieś pasmo siwizny wśród kędzierzawych włosów, w niebieskich oczach początki krótkowzroczności. Jego ciało jednak pozostało to samo: zrywna maszyna do

zabijania, którą konstruował w ciągu wielu lat szkolenia. Zwycięzca zawsze jest przede wszystkim zabójcą.

Pogrążony w pracy, ponownie zanurzył gęsie pióro w kałamarzu.

–Wejdz – powiedział, nie podnosząc głowy znad pracy.

Jego ordynans stał za drzwiami i musiał być zdumiony, bo Yeshol usłyszał, jak się waha. Mógł sobie wyobrazić, jak stoi z podniesioną, gotową do uderzenia w drewniane drzwi pięścią.

Słyszał go już od jakiegoś czasu. Jego ucho było jak zawsze bardzo wyczułone. Słyszał jego kroki, szelest szat i domyślił się, że idzie do niego.

Chłopak pojawił się w drzwiach.

–Wasza Ekscelencjo, jakiś człowiek czeka na was w świątyni.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Yeshol odłożył książkę i gęsie pióro na biurko. Na dzisiejszy wieczór koniec studiów, ale naprawdę było warto.

Po wyjściu ze swojego pokoju zanurzył się w pogmatwaną sieć bibliotecznych korytarzy. Orientował się w niej z łatwością, w końcu sam to miejsce zaprojektował i widział, jak powstaje. Następnie przeszedł do kolejnego labiryntu, labiryntu korytarzy Domu – ich nowego domu na czas oczekiwania, aż znów będą mogli osiąść w podziemiach Wielkiej Krainy, kiedy wreszcie nadejdzie pora.

Przemierzał długie, wąskie przejścia i niekończące się korytarze, przecinające się pod dziwnymi kątami. Wreszcie dotarł do ciasnych schodów. Wszedł po nich zdecydowanym krokiem i wkroczył do szerokiej, czarnej pieczary, ledwo rozjaśnionej przez płomień palący się w trójnogu z brązu stojącym obok olbrzymiego, otulonego ciemnością posągu. Nikłe światło obejmowało tylko najbliższe parę metrów i nie dochodziło ani do ścian tej sali ani też do jej niezwykle wysokiego sklepienia.

Nieopodal posągu stał owinięty płaszczem człowiek.

Jego twarz pogrążona była w cieniu, ale widać było, że jest to bardzo wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna. Robił imponujące wrażenie, a jednocześnie rzucała się w oczy zwinność jego ruchów.

–Zawsze mnie dziwi ten brak szacunku, jaki mi okazujesz, oraz lekceważenie, z

jakim to robisz: nikt na świecie nie miałby odwagi kazać mi tyle na siebie czekać.

Jego głos był donośny, głęboki i pewny siebie oraz w jakiś sposób fascynujący. Yeshol uśmiechnął się.

–Dobrze wiecie, Wasza Wysokość, że służę potęgom o wiele wyższym niż wy.

–Toteż cię nie ganię – brzmiała sucha odpowiedź.

Yeshol wystąpił naprzód i lekko się skłonił. Mężczyzna natomiast uniósł obie pięści i skrzyżował je na piersi. Yeshol zdumiał się i odpowiedział tym samym powitaniem.

–Czy mam to uważać za znak? Zaczynacie czuć się częścią naszego Domu?

–Po prostu szanuję wasze zwyczaje i waszego boga.

–Ale w niego nie wierzycie...

–Osoba taka jak ja nie jest stworzona do wiary w boga, ale do bycia nim.

–Teraz to wy zdumiewacie mnie swą impertynencją... Dla mnie jest to w zasadzie bluźnierstwo.

–Thenaar mi przebaczy. Zresztą wydaje mi się, że oddaję mu niemałe usługi.

Yesholowi podobał się ten człowiek. Przenikliwy i obłudny dokładnie tak, jak

on sam, a także potężny i ambitny. Wprawdzie nigdy nie mógłby stać się wielką postacią w historii Gildii, taką jak Aster, ale z pewnością był wspaniałym sprzymierzeńcem. Yeshol nigdy całkowicie nie porzucił myśli, aby uczynić z niego Zwycięskiego – przynajmniej w pewnym stopniu, nie zdradzając przed nim wszystkich tajemnic. W każdym razie doceniał jego przychylność. Był to przecież Dohor, najpotężniejszy człowiek Świata Wynurzonego i jego przyszły jedyny monarcha.

Przeszli z cienia do światła. Dohor miał krótkie, jasne, prawie białe włosy, a jego niebieskie oczy były uważne i czujne.

–A zatem? – zapytał.

–Chłopak poszedł wczoraj – odpowiedział Yeshol.

–I co?

–Nie żyje, ale wiemy, że wypełnił swą misję. Oczy Dohora zabłyśły.

–Doskonale. Absolutnie doskonale.

–Mam nadzieję, że rozumiecie, iż nie była to dla nas mała strata. Nie lubimy marnować życia ludzkiego na misje w końcu przecież drugorzędne.

–Obiecałem ci zapłatę i dostaniesz ją. Yeshol uśmiechnął się z zadowoleniem.

–Czy jesteście jednak pewni, że owa Dubhe podoła?

–Uważacie, że ponosiłbym tyle trudów, aby mieć ją tu, w Domu, gdyby nie była w stanie? Nigdy nie widziałem nikogo tak obiecującego. Jest o wiele lepsza od wielu naszych w pełni uformowanych zabójców oraz cieszy się pewną sławą jako złodziejka.

Przeszła szkolenie Zwycięskich.

–Wystarczy, żeby przyniosła mi te przeklęte dokumenty. Zresztą mówią one też o was, więc i w waszym interesie jest, żeby wszystko się udało.

–Zaszedłem tam, gdzie jestem, ponieważ potrafię dobierać sobie podwładnych. Yeshol odczekał kilka chwil.

–A jeżeli chodzi o zapłatę? Dohor spojrzał na niego spod oka.

–Można powiedzieć o mnie wiele, ale na pewno nie to, że nie spłacam swoich długów.

Yeshol znieruchomiał na chwilę w postawie obronnej. W Świecie Wynurzonym wszyscy wiedzieli, w jaki sposób Dohor spłaca własne długi, a los Ida był tego oczywistym dowodem. Po chwili jednak zobaczył, jak Dohor uśmiecha się z rozbawieniem.

Odsunął fałdę płaszcza i wyciągnął spod niego ciężką sakwę. W środku znajdowała się wielka czarna księga z krwistoczerwonym pentaklem wyrysowanym na skórzanej okładce, z miedzianymi ćwiekami, na wpół zjedzona przez czas.

Yeshol otworzył ją delikatnie. Pergaminowe stronicy zatrzeszczały złowieszczo. Każda z nich wypełniona była symbolami i formułami naniesionymi prawie dziecięcym pismem, tu i ówdzie zatartymi przez duże plamy wody i śnież. To ona. Rozpoznałby ją wśród tysięcy. Musnął jej strony drżącą dłonią, z miłością popatrzył na kaligrafię. Przypomniał sobie pochylonego nad tą książką, zatopionego w pisaniu Astera z jego dziecięcym czołem zmarszczonym z wysiłku i koncentracji. Zobaczył, jak Aster odwraca się do niego i uśmiecha łagodnie mimo zmęczenia.

„To ty?”

„Nie powinniście tak dużo pracować, mój Panie!”

Spojrzenie Astera było smutne i łagodne.

„Robię to przecież dla Thenaara, czyż nie? Opracowałem na nowo dawne Zakazane Formuły. Pomogą nam przywołać jego czas”.

„Mój Panie...”

–A więc?

Głos Dohora przywrócił go do rzeczywistości.

–To ona – powiedział ledwo słyszalnym szeptem.

–Doskonale. Powiedziałbym, że i tym razem doprowadziliśmy sprawę do końca.

Mężczyzna znów owinął się płaszczem. – Teraz wiesz, czego od ciebie oczekuję, prawda?

–Jak najszybciej pokażę wam rezultaty moich badań, ale najpierw muszę dogłębnie przeanalizować ten ostatni fragment, którego brakowało w moim projekcie.

Dohor zbliżył się do Yeshola i nachylił się do wysokości jego twarzy. Jego twarde i przenikliwe oczy przeszły Yeshola na wskroś.

–Bardzo ci pomogłem, chyba wiesz o tym? – wyszeptał. – Ja i ty jesteśmy nierozzerwalnie związani, a teraz odbudowuję ci na nowo tę kryjówkę, na której tak ci zależy.

–Wydaje mi się, że zawsze odpłacałem wam całkowitą lojalnością – powiedział Yeshol, starając się utrzymać zdecydowany ton. W końcu rozmawiał z niewierzącym.

–I nie zapominaj, kiedy nadejdzie czas, obiecałeś mi miejsce obok siebie.

–Tak się stanie.

Yeshol pośpiesznie zszedł po schodach. Historia zmieniała się tu, teraz.

Przemierzył korytarze aż do kolejnych schodów, a następnie zszedł w dół, do biblioteki, do zajmowanego wcześniej stołu i do biurka, gdzie nacisnął ukryty pod drewnem przycisk, którego dokładne umiejscowienie znał tylko on.

Usłyszał cichy odgłos dochodzący zza znajdującej się za nim ściany i ujrzał drzwi

wyłaniające się zza wypełnionych książkami regałów. Znowu przebiegł na złamanie karku schody prowadzące do ciemnego pokoju, do jego schowka, tam, gdzie krył się i pulsował jego sen. Zatrzymał się w progu z książką ściśniętą w ramionach jak skarb.

Było to niewielkie pomieszczenie o cylindrycznym kształcie. Jego ściany były grubo ciosane, pokryte zielonkawą i białą pleśnią, na której wyraźnie odznaczały się setki nakreślonych krwią symboli. W środku nie było nic poza surowym stołem w jednym rogu oraz małym i niewygodnym taboretym.

Zadyszany Yeshol stał w progu i uśmiechał się.

Przed nim znajdowała się mleczna kula o bladym, martwym, niebieskawym kolorze, rzucająca na ściany posępne światło. Była zawieszona w powietrzu nad postumentem. Nad postumentem szklana gablota, a w niej kula. Wewnątrz niej wirowało coś, co wydawało się niewyraźną sylwetką o zmiennym i nieokreślonym kształcie obracało się to powoli, jakby próbując zakrzepnąć, znaleźć jakąś formę.

Yeshol popatrzył na kulę z zachwytem.

–Oto ona – powiedział, pokazując kuli księgę. – Właśnie tego od lat szukałem, i oto jest! Przyniósł mi ją Dohor. On, niewierzący pomaga nam przywrócić Thenaara. Oto, w jakich czasach przyszło mi żyć! Ale z pomocą tej księgi wszystko się zmieni, rozumiesz? Zapomnij o mojej dawnej porażce, która doprowadziła Cię do tego okropnego stanu, zapomnij o tym, bo będę mógł naprawić swój błąd.

Upadł na kolana i z pełnym uwielbienia wzrokiem utkwionym w kuli podniósł księgę ku niebu.

–Niech będzie chwała Thenaarowi za ten wielki dzień! Niech będzie chwała Thenaarowi!

Jego modlitwa przeniknęła znajdującą się nad nim skałę, przemierzyła puste korytarze Domu i dotarła aż do stóp wielkiego posągu w świątyni.

7. Proces

* * * Przeszłość II

Dubhe siedzi sama na strychu. Nogi oplecione ramionami, broda oparta na kolanach, oczy szeroko otwarte i spuchnięte od płaczu. Nie wie, ile już czasu spędziła ukryta tam, na górze.

Widzi tylko, że jest późna noc, a na niebie świeci wspaniała księżyc.

Gornar nie żyje. To Renni poszedł zawołać dorosłych. Nad rzekę przybiegło ich wielu, przynajmniej dziesięć osób, a wśród nich rodzice Gornara. Jego matka zaczęła wrzeszczeć i płakać, i wcale nie przestawała. Dubhe nie była w stanie zrobić nic innego, tylko też krzyczeć.

–Nie chciałam! Nie chciałam! – Nikt jej jednak nie słuchał. Kiedy przybył kapłan, zanesiono Gornara do jego domu. To on powiedział, że chłopiec nie żyje.

Nie żyje.

Nie żyje.

Dubhe nie pamięta dokładnie, co się stało potem. Jej matka płakała, a ojciec tulił ją do siebie. Ona sama też z początku rozpacziała, ale z czasem ucichła i na wszystko opadła cisza. Widziała krzyczących ludzi, rwących sobie włosy z głowy, ale wszystko odbywało się w ciszy i wydawało jej się nieskończenie odległe.

To nie są ludzie z Selvy. To nie jest moje życie, to nie jestem ja.

Potem również i myśli jedna po drugiej oddaliły się i pozostał tylko ponury obraz oczu Gornara, dwóch białych, znieruchomiałych plam tkwiących w jej umyśle.

Po powrocie do domu jej rodzice zaczęli dyskutować tym cichym powściągliwym tonem, który przyjmują, kiedy mówią o ważnych sprawach.

Dubhe poszła wtedy na strych, nie wiedząc, dlaczego to robi, i zamknęła się tam. Łzy same spływały jej po policzkach, ale nie była smutna. Po prostu nie czuła nawet, że istnieje. W porze kolacji przyszła do niej matka. – Zejdź do nas, powinnaś coś zjeść. Ten zboląły, zafrasowany i łagodny ton wydawał jej się prawie nieznamy.

Nie odpowiedziała. Nie mogła. Nie miała już głosu.

–To może później? Zostawić dla ciebie coś dobrego?

Wchodziła jeszcze później, za każdym razem przemawiając tym słodkim głosem.

Podeszła do niej, przytuliła ją, płakała na jej ramieniu. Nic nie wzruszyło Dubhe i nawet jej łzy się zatrzymały.

Prawdopodobnie minął cały dzień, bo pamiętała, że słońce całowało ją przez okno, a niebo było błękitne jak nigdy.

Dzisiaj rzeka będzie wspaniała. Przy takim słońcu świetnie łowi się ryby. Mathon i inni będą już przy rzece, będą się bawić. Dołączę do nich, będziemy się razem bawić, pogadam z Pat, powiem jej, że bardzo kocham Mathona. A Gornar jeszcze raz zabierze mi węża, a ja będę protestować, ale nie będę się z nim bić, bo on jest wodzem.

–Dlaczego się nie odzywasz? Dlaczego nic nie mówisz?

Jej matka krzyczy, jest też ojciec.

Matka nią potrząsa, Dubhe czuje ból, ale się nie skarży.

To ciało nie jest moje. Ja jestem nad rzeką, blisko Gornara, a on mi mówi, że go zabiłam.

Ojciec chwyta matkę, siłą odciąga ją od dziewczynki.

–To normalne, że tak jest... Stało się coś strasznego, to normalne.

Nie trzeba długo czekać, aby dom wypełnił się innymi głosami obcymi głosami, które przebijają się przez posadzkę i docierają aż do niej. Burczy jej w brzuchu, przeraźliwie bolą ją nogi, ale nie może się ruszyć.

–Sprawa jest bardzo poważna, chyba tego nie rozumiecie.

To głos starca z wioski, Trarka. Jej matka tylko płacze.

–To chyba wy nie rozumiecie. – To silny i zbolaty głos jej ojca. – Jak możecie choćby nawet pomyśleć, że coś takiego mogło zdarzyć się umyślnie?

–Wcale tak nie twierdzimy, Gorni. To Thom, ojciec Renniego.

–Musisz jednak zdawać sobie sprawę z bólu rodziców Gornara,

–To był nieszczęśliwy wypadek.

–Nie zamierzamy podawać tego w wątpliwość.

–Wobec tego nie rozumiem, o czym jeszcze mamy rozmawiać!

–Sprawa i tak jest poważna. Dubhe zabiła chłopca.

–To był wypadek, do diabła, wypadek!

–Uspokój się, jesteśmy tu po to, żeby porozmawiać.

–Wy nie chcecie rozmawiać, wy chcecie skazać moją córkę, małą dziewczynkę!

Jej ojciec krzyczy. Odkąd Dubhe sięga pamięcią, nie zdarzyło się nic podobnego.

–Renni mówi, że ona zrobiła to umyślnie... że podniosła jego głowę i uderzyła nią o kamień.

–Wy chyba zwariowaliście... po prostu powariowaliście...

–Chyba nie zaprzeczysz, że taka gwałtowność nie jest u dziecka normalna...

–Dzieci się bawią! Dzieci walczą! Kiedyś podczas walki wybiłem ci dwa zęby, pamiętasz? Gdybym źle cię uderzył, mogłeś nawet umrzeć.

–Nie uderza się głową dziecka o skałę, nie chcąc go zabić.

Minęło kilka dni, a dom pogrążony jest w ciszy, jakby był owinięty watą. Dubhe zaczęła już jeść, ale niewiele mówi. Zresztą nikt w domu nie ma wielkiej ochoty na rozmowy. Dubhe prawie cały czas spędza na strychu. To jedyne miejsce, gdzie czuje się dobrze. Kiedy jest na dole, nie może uniknąć nabrzmiałego płaczem spojrzenia matki ani zasępionej i zdenerwowanej twarzy ojca. Piętro niżej wydarzenia nabierają kształtów i stają się rzeczywiste. Na strychu czas nie istnieje i Dubhe może chodzić tam i z powrotem, jak jej się podoba, i całkowicie wymazać tamten dzień nad brzegiem rzeki. I tak robi. Przez krótkie i cenne chwile udaje jej się myśleć o czymś innym, i w głębi serca dalej potrafi kochać Mathona.

Niedługo wszystko się skończy, będę mogła wrócić na zewnątrz. Czeka mnie niezapomniane lato.

Pewnego wieczoru do jej pokoju wchodzi ojciec.

–Śpisz?

Od tamtego popołudnia Dubhe nie może już spać spokojnie. W nocy, kiedy jest w łóżku, boi się, a jeżeli uda jej się zasnąć, z reguły ma przerażające koszmary.

–Nie, nie śpię.

Ojciec siada na brzegu łóżka. Patrzy na nią.

–Jak... jak się czujesz?

Dubhe wzrusza ramionami. Nie wie.

–Ludzie z wioski chcieliby z tobą porozmawiać.

Dubhe sztywnieje. Zebrania ze starcem są sprawą dorosłych. Dzieci nigdy nie mogą w nich uczestniczyć.

–Dlaczego?

–Bo... no wiesz... Z powodu tego, co się stało. Dubhe czuje, jak łyzy podchodzą jej do gardła.

–Ja... nie wiem, co miałabym powiedzieć... Ojciec gładzi ją po policzku.

–Wiem, że to trudne i przykre, ale przysięgam ci, że to ostatnia nieprzyjemna rzecz, jaka spotyka cię w tym okresie.

Łzy spływają same.

–Nie chcę...

–Ja też nie chcę, ale wioska zdecydowała, rozumiesz? Nie mogę sprzeciwić się wiosce... Chcą tylko, żebyś opowiedziała im historię. Opowiesz, co się stało, a potem o tym zapomnimy, zgoda?

Dubhe podnosi się na łóżku, przytula do ojca i płacze, płacze – jak tamtego dnia nad brzegiem rzeki, jak od tamtej pory nie płakała.

–Ja nie chciałam, nie chciałam! Bo on zaczął wpychać mi głowę pod wodę, a ja

się przestraszyłam! Nie wiem, jak to się stało, ale on w pewnym momencie już się nie

ruszał! I była krew, on miał otwarte oczy i patrzył na mnie ze złą twarzą, i krew, krew w wodzie, na trawie...

Ojciec też ją obejmuje.

–Powiesz tylko tyle – mówi złamanym głosem – a oni zrozumieją, bo to była

tylko straszna pomyłka, okropna historia, w której nie ma żadnej twojej winy.

Odrywa się i znowu gładzi ją po twarzy.

–Zgoda?

Dubhe kiwa głową.

–Pójdziemy do nich za dwa dni. Ale do tamtego czasu chciałbym, żebyś o tym nie myślała. Obiecuj mi, że się postarasz.

–Tak.

–A teraz śpij.

Ojciec ostatni raz ją ściska i przepelniona nowym spokojem dziewczynka kładzie głowę na poduszce. Po raz pierwszy od wielu nocy nie ma koszmarów.

Pokój jest szary i zadymiony. Z zapachem dymu miesza się woń ludzi, wielu osób stłoczonych w sali o drewnianych ścianach.

Zbiegli się wszyscy. W Selvie już od wielu lat nie ma morderstw, nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętają, kiedy ostatnio zwołano tego typu zebranie.

W pierwszym rzędzie siedzą rodzice Gornara. Zamknięci w swym bólu, unikają spojrzenia Dubhe. Za bardzo przypominają jej własnych rodziców, siedzących po przeciwnej stronie, też w pierwszym rzędzie.

Za nimi tłumy ludzi, którzy nie mają z tym nic wspólnego, ale i tak chcą być obecni, chcą widzieć, uczestniczyć. W wiosce zamieszkaney przez trzysta dusz zabójstwo jest sprawą wszystkich.

Nie ma dzieci. Dubhe jest jedyną osobą poniżej piętnastego roku życia.

Męczący szmer wypełnia przestrzeń sali, oczy wszystkich są zwrócone na nią, a palce wskazują na nią ukradkiem. Dubhe ma tylko nadzieję, że to się szybko skończy.

***Czeka mnie wspaniale lato*, powtarza sobie niczym jakieś zaklęcie. Kiedy już minie ten straszny wieczór, będzie słońce i zabawy, wystarczy myśleć tylko o nich.**

Wchodzą starcy. Jest ich pięciu, a wśród nich Trarek – ten, który rządzi wioską - który razem z równymi sobie podejmie decyzję. Jest stary, a wszystkie dzieci czują wobec niego onieśmienie i strach. Ma surowy wyraz twarzy. Dubhe nie pamięta, żeby kiedykolwiek widziała, jak się śmieje.

Starcy siadają i w jednej chwili nad całym zgromadzeniem zapada cisza.

Dubhe wykręca spocone dłonie.

Trarek odczytuje jakąś rytualną formułę, dziewczynka nie rozumie, o co chodzi. To pierwszy proces, w którym bierze udział.

Drzwi otwierają się i wchodzą jej przyjaciele. Dubhe jest zdziwiona, ale nie ma odwagi, aby na nich spojrzeć. Opuszcza głowę, a w uszach rozbrzmiewają jej tylko słowa Renniego: „Zabiłaś go! Zabiłaś!”.

Trarek wzywa ich jednego po drugim. Najpierw Pat, potem Mathon, potem Sams. Pyta ich, co wydarzyło się nad rzeką.

Wszyscy mają spięte głosy, uciekający wzrok i wypieki na twarzy. Mruczają pod nosem, a ich wspomnienia wydają się poplątane.

–To on zabrał jej węża – mówi pewnie Pat.

–Zatem uważasz, że Gornar popełnił błąd? Że to dlatego stało się to, co się stało?

–Nie... ja...

–Mów dalej.

Dubhe nie słucha. Dubhe nie chce pamiętać. – Kłóciliśmy się wielokrotnie, wiele razy... Czasami nawet ja i Dubhe się biłyśmy, ale nic się nie stało... a przynajmniej nic poważnego, jakieś siniaki czy zadrapania... To był nieszczęśliwy wypadek!

Teraz Pat patrzy na nią i Dubhe wydaje się, że widzi w jej spojrzeniu zatroskanie i zrozumienie. I jest jej wdzięczna, nieskończenie wdzięczna.

Mathon jest o wiele bardziej neutralny. Opowiada wszystko pośpiesznie i bez emocji. Nigdy nie podnosi wzroku, nie przerywa, dokładnie odpowiada na pytania.

Sams jest zmieszany, czasami sobie przeczy. Dubhe sądzi, że on myśli to samo, co ona: że zadaje sobie pytanie, co u diabła robi w tej sali, rozmawiając o sprawach, których nie rozumie i które dotyczą tylko dorosłych.

Potem przychodzi Renni. Jest pewny siebie, zdecydowany i wydaje się zły.

–To ona zaczęła. Wpadła w straszny szal, kopała, gryzła, nie przestawała.

Musiałem ich rozdzielić, boby nie przerwała.

–Przecież to nieprawda... – mamrocze Dubhe.

–Nie twoja kolej. Milcz – ucina chłodno Trarek. Niewzruszony Renni ciągnie dalej.

–Wzięła jego głowę i uderzyła nią o kamienie, ze złością. Chciała zrobić mu

krzywdę. I nie płakała nawet przez chwilę, a my byliśmy bardzo przestraszeni.

Jej ojciec porusza się niespokojnie na krześle, chciałby zabrać głos. Kiedy Renni opisuje tę scenę, matka Gornara zaczyna płakać.

–Zabiła mi go, zabiła mi go...

Dubhe odczuwa zmęczenie, chciałaby już stąd pójść. Zastanawia się, dlaczego Renni jest na nią zły, dlaczego mówi z taką złością.

–Dostaniesz to, na co zasługujesz, możesz być pewna – mruczy do niej przez

zęby, odchodząc.

Dubhe zaczyna płakać. Obiecała ojcu, że będzie grzeczną dziewczynką, że wytrzyma, ale nie daje rady. Tamto popołudnie powraca w myślach i Dubhe ogarnia strach.

–Czy nie możemy kontynuować innym razem? Nie widzicie, że jest jej źle? – próbuje bronić jej ojciec.

–Nigdy nie będzie jej tak źle, jak mojemu synowi – mówi z nienawiścią matka Gornara. Trarek przywołuje wszystkich do porządku. Jest zdenerwowany.

–Dzisiaj wyjaśnimy całą tę sprawę, dla dobra wszystkich i dla dobra twojej córki, Gorni. To już i tak za długo trwa. Potem Trarek patrzy na nią. Robi to po raz pierwszy od początku procesu. Ale jego oczy są surowe i tak naprawdę jej nie widzą. Jego wzrok przechodzi przez nią i dociera do tłumu stłoczonego za jej plecami.

–Teraz twoja kolej, opowiadaj!

Dubhe stara się otrzeć łzy, ale jej się to nie udaje. Łkając, opowiada całą historię. Przytacza szczegóły popołudniowych zabaw, jak wszystko dobrze szło, jak świetnie się bawili. A poza tym Gornar zawsze był dla niej niemiły.

–Bo ja jestem silna, a on o tym wiedział. Z naszej grupy tylko mnie się trochę

bał.

Następnie opowiada o wężu, o tym pięknym wężu połyskującym wśród traw. Był wspaniałym okazem do jej kolekcji i ona go chciała. A potem kłótnia.

–Ja nie wiem, jak to się mogło stać... Nie wiem, nie pierwszy raz się z kimś biłam.

–Zdarzało ci się to już wiele razy? – pyta Trarek.

–No tak... – odpowiada z wahaniem Dubhe. – Ale ja nie chciałam... Nie wiem, co robiłam... On pociągnął mnie za włosy, wepchnął mi głowę pod...

Łzy są silniejsze i Dubhe nie może już mówić. Ojciec trzyma ją za ramiona.

–Już dosyć. Czy to wam nie wystarczy? – pyta następnie Trarka wyzywającym tonem.

–Tak, to wszystko.

Starcy podnoszą się, wychodzą, a w tym czasie dwójka młodych ludzi oddziela Dubhe od jej ojca.

–Co to, u diabła, znaczy? – pyta ze złością Garni.

–Że twoja córka musi być w bezpiecznym miejscu.

–Do licha, przecież to dziecko! Czy to możliwe, że nikt nie zauważył czegoś tak oczywistego?

Dubhe próbuje uczepić się ojca, ale jej dłonie są słabe, a tamci dwaj młodzieńcy są od niej o wiele silniejsi.

Kiedy ją wyprowadzają, widzi jeszcze swojego ojca przytrzymywanego przez innych mężczyzn, a matkę we łzach leżącą na ziemi.

Umieścili ją w zamkniętym na klucz pokoju znajdującym się obok sali, w której odbył się ten swojego rodzaju proces. W jednym rogu stoi zapalona świeca, a migoczące światło rzuca na ściany zniekształcone cienie. Dubhe czuje się samotna i chciałaby mieć przy sobie ojca. Słońce, lato, przyjaciele – wszystko wydaje jej się stracone i odległe. Jakimś sposobem wie, że nie będzie już więcej zabaw, że może nawet nie będzie już Selvy. Przeczuwa to mgliście, ale czuje, że tak jest. To, co zrobiła nad rzeką, zmieniło wszystko.

Przychodzą po nią w środku nocy. W wielkiej sali są wszyscy, jakby nie minęła nawet chwila od momentu, kiedy ją wyprowadzono. Brakuje tylko jej ojca, a matka płacze rozpaczliwie.

Starcy stoją już rzędem, niewzruszeni niczym posągi.

Przemawia Trarek.

–Niełatwo było nam podjąć decyzję w sprawie tego okropnego wydarzenia.

Nasza wspólnota nie pamięta zabójstw. A tu zarówno ofiara, jak i morderca są dziećmi. Rozważyliśmy dogłębnie wszystko, co zostało powiedziane przez osoby

obecne w chwili tragedii, i staraliśmy się podjąć decyzję, kierując się sprawiedliwością

i umiarkowaniem. Zabójstwo karane jest śmiercią, a Dubhe z całą pewnością splamiła

się tą winą, co do tego wszyscy są zgodni. Jest to jednakże tylko dziecko i o ile z jednej

strony nie można jej uznać za całkowicie świadomą tego, co zrobiła, z drugiej wszakże,

nikt nie może zabić, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Wyrządzona została szkoda,

naruszono spokój Selvy, a życie Gornara musi zostać w jakiś sposób odkupione.

Dlatego postanowiliśmy, że Dubhe zostanie wygnana z Selvy. Jutro oddział zajmie się

wyprowadzeniem jej daleko od naszej wioski. Natomiast jej ojciec, odpowiedzialny za zachowanie córki, zostanie zatrzymany w celi tak długo, jak uznamy to za stosowne.

Chaos. Matka Dubhe zaczyna krzyczeć, a matka Gornara nie może się powstrzymać.

–Powinnaś zginąć, powinnaś zginąć i ty, tak jak mój syn!

W ogólnym zamieszaniu Dubhe stoi na swoim miejscu jak skamieniała. Potem jej matka rzuca się na nią, ściska ją i dziewczynka nagle pojmuję. Płacze, krzyczy.

Ten sam chłopak, co wcześniej, szybko ją chwyta, starając się wyrwać z objęć matki.

–Zostawcie mi ją przynajmniej na tę noc, tylko tę noc! Jej ojciec się z nią nie pożegnał, ja się z nią nie pożegnałam!

Ale żołnierz już ją złapał.

Dubhe kopie, wrzeszczy, wymierza ciosy. Jak tamtego popołudnia, z tą samą furia; żołnierz klnie.

–Uspokój się, do licha!

Dubhe gryzie go z całej siły, czuje w ustach smak krwi, chłopak zmuszony jest ją puścić. Ale błyskawicznie łapie ją za włosy i szarpie mocno. Wykręca jej ręce na plecy i dalej ciągnie ją za włosy. I tak wyprowadza ją, ciągnąc za sobą, a stopy dziewczynki *uderzają* o drewnianą posadzkę.

Dubhe próbowała się buntować, tak się wrywała, że w końcu zamknęli ją w celi. Tam krzyczy wniebogłosy, aż zaczęło palić ją gardło. Woła tylko jedno: prosi o zobaczenie się z ojcem. Uważa, że tylko on może ją uratować.

Ale nikt nie przychodzi; Dubhe jest sama, sama ze sobą i ze swoją karą.

Budzą ją o świcie. Niebo na zewnątrz jest rozdzierająco różowe. Dubhe jest jeszcze otępiała. Wciąż ten sam chłopak wykorzystuje to, żeby zawiązać jej oczy.

Idzie zrezygnowana, chłopak trzyma ją za rękę. Dziewczynka czuje pod palcami opatrunek na dłoni, którą zraniła mu poprzedniej nocy.

Chłopak bierze ją na ręce i ładuje na coś, co musi być wozem. Dubhe próbuje objąć go za ramiona, ale on niezgrabnie się wywija.

Musi ich być dwóch, Dubhe słyszy inny głos, należący do dorosłego mężczyzny, może jednego ze starców. Rozpoznaje go. To tkacz. Sprzedaje tkaniny w miastach aż po Makrat i prawie nigdy nie ma go w wiosce. Ani razu z nim naprawdę nie

rozmawiała, ale to od niego matka bierze materiały na ubrania dla niej.

–Jedźmy, bo nigdy nie dotrzemy.

Wóz rusza z szarpnięciem, a chłopak związuje jej ręce sznurem.

Dubhe płacze w milczeniu. Chciałaby pożegnać się z ojcem przytulić się do niego i przeprosić za to, że jest morderczynią, jak powiedział Trarek. I chciałaby uściskać też matkę, uściskać ją mocno i przeprosić za wszystkie węże i bestie, które zawsze znosiła do domu. Ale przede wszystkim chciałaby się dowiedzieć, dlaczego: *dla czego to wszystko się stało?*

Mijają godziny. Wóz cały czas jedzie, dniem i nocą, a Dubhe wciąż ma zawiązane oczy. Przestała płakać. Czuje się otępiała, znowu wydaje jej się, że nie istnieje.

Prawdziwa ona jest bardzo daleko stąd, gdzieś w Selvie, obok ojca i matki.

Dopiero trzeciego dnia podróży chłopak nagle się podrywa.

–Co ty robisz? Nie tak ci kazali! – mówi tkacz.

–Cicho bądź... to przecież dziecko.

Chłopak zbliża się do niej, Dubhe czuje na twarzy jego oddech.

–Jesteśmy bardzo daleko od Selvy, rozumiesz? Nawet jeżeli uciekniesz, nie możesz tam wrócić. Teraz rozwiążę ci ręce, ale ty musisz mi obiecać, że będziesz grzeczną dziewczynką.

Dubhe kiwa głową. Czy ma jakiś wybór?

Chłopiec rozwiązuje węzły, a dziewczynka dotyka nadgarstków. Czuje piekący ból. Nie zdawała sobie sprawy, że sznur poobcierał jej ręce.

–Nie ruszaj się, bo będzie gorzej.

Chłopiec polewa jej otarcia wodą. Wkłada jej w dłoń chleb.

–Ty chyba chcesz mieć kłopoty – nie daję za wygraną tkacz. Cicho siedź i nie patrz! To, co robię, to moja sprawa!

Potem Dubhe czuje na swojej dłoni chłód ostrza.

–Co to jest? Nie chcę!

–Weź to i nie marudź – mówi sucho chłopak. – Las, świat... To straszne miejsca. Musisz nauczyć się bronić. I użyj go, jeżeli ktoś będzie chciał cię skrzywdzić, rozumiesz?

Dubhe znowu płacze. Wszystko jest takie absurdalne, poplątane.

–Nie możesz płakać. Musisz być silna. I nie próbuj do nas wracać. Ludzie są źli, to dobrze, że odeszłaś.

Potem głaszczę ją po głowie. Pieszczota szorstka i niezgrabna.

–Zawieź mnie do domu... – błaga go Dubhe.

–Nie mogę.

–Zawieź mnie do taty...

–Jesteś silną dziewczynką, wiem o tym. Dasz sobie radę. Znowu zapada cisza, ale Dubhe ściska teraz w dłoni rękojeść sztyletu.

Kiedy docierają na miejsce, słońce stoi już wysoko. Chłopak wreszcie zdejmuje jej opaskę, a oślepią Dubhe mruży oczy. Jest ciepło, cieplej niż w Selvie, a w powietrzu unosi się osobliwy zapach.

Chłopiec patrzy na nią nieco zmieszany.

–No to teraz idź sobie.

Dubhe stoi w miejscu z przewieszoną przez ramię torbą i sztyletem w dłoni.

–Musisz odejść. Chcieli cię zabić. A jednak ocalili ci życie! Uciekaj! Dziewczynka zerka za siebie, gdzie rozciąga się las, którego nie zna.

–Prosto przed tobą jest wioska, idź tam – mówi chłopak, a wóz już rusza. Dubhe odwraca się nagle do niego, próbuje za nim biec, ale wóz przyspiesza i

choć mała biegnie, nigdy nie uda jej się go dogonić.

Wóz otacza kurz, a Dubhe zostaje sama w tej obcej puszczy. Stoi nieruchoma. Nigdy już nie zobaczy Selvy ani swojego życia, teraz pojmuje to jasno.

8. Rzeź w lesie

Dubhe była zdenerwowana. Znajdowała się na zapleczu sklepu Toriego. Pobiegnęła do gnoma, jak tylko mogła najwcześniej.

Po skończeniu zadania ukryła się u siebie w domu i udało jej się zasnąć. Kiedy się obudziła, czuła się dobrze, ale to jej nie uspokoiło. Wobec tego ruszyła poszukać kogoś, kto mógłby wyjaśnić jej zagadkę tego, co stało się poprzedniego wieczoru, jak również ataku zawodowego zabójcy. Nie знаła żadnego kapłana, a jedyna czarodziejka, o której wiedziała, mieszkała zbyt daleko.

Gnom był teraz w laboratorium i badał igłę, której chłopak z Gildii użył przeciw Dubhe. Przyniosła ją ze sobą: był to jedyny dowód, jakim dysponowała.

Tori podszedł do niej swoimi drobnymi krokami, wycierając dłonie w dość brudną szmatkę.

–No i co?

–Nic – powiedział i usiadł. – Na igle nie ma śladu żadnej trucizny. Tylko krew, przypuszczam, że twoja.

–Mogła się jakoś rozłożyć, nie?

Tori potrząsnął głową.

–Jeżeli jest tak, jak mówisz, i chłopak należał do Gildii, to nie ma żadnych wątpliwości. Znam wszystkie trucizny Gildii i każda z nich zostawia przynajmniej jeden ślad...

–A może to jakiś nowy rodzaj? Tori wzruszył ramionami.

–Jeżeli chcemy przerzucać się hipotezami, możemy się tak bawić w nieskończoność. Opisz mi objawy.

Dubhe dużo o tym myślała, ciągle przywoływała tamtą noc, kradzież oraz napad – oba zdarzenia na zawsze wryły się w jej umyśle, chociaż z różnych powodów. Przez ostatnie dwa lata próbowała umknąć czujnemu oku Gildii, a teraz wydawało się, że nieprzyjaciel i tak ją odnalazł. Do tego wszystkiego dochodzi świadomość, że zawiodła. Pozostawiła zadanie wykonane w połowie i Forra z pewnością będzie miał na ten temat wiele do powiedzenia. Jej marzenia o pięciu tysiącach karoli i być może innym życiu rozwiały się. A poza tym nie mogła zrozumieć, co się stało, i to ją

przerażało.

Skrupulatnie opisała mu symptomy. Tori zamyślił się na kilka chwil.

–To wszystko przypomina jakiś rodzaj otrucia, ale fakt, teraz czujesz się dobrze...

Dubhe nie była przekonana.

–Jeżeli Gildia nasłała na mnie tego chłopaka, musi być ku temu jakiś powód.

–Z tego, co mówisz, tylko jego sztylet łączył go z Gildią, a przecież mógł go ukraść.

–Jestem pewna, że był jednym z nich. Ta zwinność, otrzymał szczególne przeszkolenie... to samo, co ja – zakończyła Dubhe z pewnym wahaniem.

Tori potrząsnął głową.

–Nie, nie masz prawdziwych dowodów. A poza tym pomyśl, Gildia wysłała przeciw tobie nowicjusza, skazując go na pewną śmierć, i powiedzmy, że robi to, aby

wstrzyknąć ci truciznę. Jednak ta trucizna nie zabija cię od razu. I do tego momentu wszystko mogłoby być jeszcze prawdopodobne, chociaż nie rozumiem, dlaczego mieliby zabijać cię powoli. Ale przypuśćmy nawet, że ma to coś wspólnego z ich dziwnymi rytuałami. Absurdalne jest to, że poczułaś się źle po trzech dniach od ataku,

i to tylko przez kilka minut. Potem wszystko mija i czujesz się lepiej niż kiedykolwiek.

Nie wydaje ci się to co najmniej śmiesznym sposobem na pozbycie się nieprzyjaciela?

A poza tym, czyż Gildia nie szuka cię z innych powodów?

Dubhe wbiła wzrok w ziemię. Tori miał rację, ale w tej historii było coś, czego do końca nie rozumiała.

–No to jak wytłumaczysz ten mój atak?

–Zmęczenie. Czy się mylę, czy to zadanie dostałaś zaraz poprzednim?

Zmęczenie, brak snu, te rzeczy. Albo jakiś wasz kobiecy problem. Wydaje mi się to o wiele bardziej racjonalnym wytłumaczeniem niż spisek. *Nie, to nie tak, coś się nie zgadza.*

–A zabójca?

–To pewnie przygłupi chłopaczek nasłany przez jakiegoś żółtodzioba. A może złodziejasek, który postanowił wykluczyć cię z gry. Który zapomniał nałożyć na igłę truciznę.

Tori przez chwilę przyglądał się Dubhe.

–Słuchaj, jeżeli naprawdę chcesz się uspokoić, pokaż mi tę ranę.

Dubhe podciągnęła rękaw. Właśnie zdała sobie sprawę, że nie patrzyła na nią od tamtego wieczoru.

W słabym świetle świecy skóra wydała jej się jeszcze jaśniejsza. Tori z pewną szorstkością uniósł jej ramię i zaczął przyglądać mu się z uwagą.

W miejscu, gdzie igła wbiła się w ciało, została kropka zaschniętej krwi. Wokół tego jakby ciemniejszy cień, nieco kolisty, trochę odsunięty od właściwej rany. Było to coś w rodzaju siniaka z jaśniejszymi i ciemniejszymi miejscami. Dubhe wydawało się nawet, że dostrzega tam jakiś rysunek.

Po chwili Tori puścił jej ramię.

–Wszystko absolutnie w normie.

–Nie wydaje ci się, że ten czarny znak jest trochę niezwykajny? – Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żebym go miała zaraz po tym, kiedy mnie ukłuto. –

To tylko siniak, nic więcej. Dubhe skrzywiła się. Nienawidziła niepewności. Tak czy inaczej, Tori powiedział jej wszystko, co wiedział. – Bardzo ci dziękuję za pomoc.

–Nie ma za co – uśmiechnął się gnom, po czym klepnął się ręką w czoło i znów zniknął w laboratorium. Wrócił stamtąd z małą ampułką wypełnioną zieloną zawartością.

–Co prawda nie jestem kapłanem, ale o ziołach wiem więcej niż oni. Jeżeli to tylko

zmęczenie, to to będzie doskonałym wzmocnieniem. Spróbuj, a zobaczysz, że poczujesz się lepiej.

Dubhe wzięła ampułkę, podziękowała i wyszła.

Teraz powinna być spokojniejsza. Tak jednak nie było. Kiedy jak zwykle starała się wmieszać w tłum na rynku w Makracie, coś wewnątrz niej się burzyło. I przerażało ją.

Czy naprawdę była tylko zmęczona?

Do ostatecznego zakończenia tej całej historii został jeszcze jeden nieprzyjemny obowiązek.

Dubhe była w złym humorze już kiedy udała się do Ciemnego Źródła. W dodatku tego wieczoru padało.

Jakby tego było mało, Forra i jego sługus długo kazali na siebie czekać, podobnie jak przy okazji ich pierwszego spotkania.

Dubhe zobaczyła, jak wyłaniają się spod kurtyny deszczu, obydwaj ukryci pod obszernymi płaszczami.

Na twarzy Forry wryty był ten lekceważący uśmiech, który Dubhe dobrze знаła. Arogancki grymas zwycięzców, który miał na twarzy zawsze, kiedy siedząc na wielkim koniu deptał dymiące ruiny miast.

Teraz ten uśmiech był przeznaczony dla niej. To ona była pokonana. Odpowiedziała złością.

–Pieniądze?

–Najpierw dokumenty.

Dubhe zawahała się. Miała uzasadnione obawy, że po oddaniu dokumentów nie dostanie ani grosza albo i jeszcze gorzej. Na wszelki wypadek położyła dłoń na sztylcie, wyciągnęła dokumenty i podała je słudze. Był to ten sam lękliwy żołnierz, co poprzednio. Podał jej torebkę wypełnioną tylko do połowy. Wystarczyło jedno spojrzenie na miękki woreczek w dłoniach mężczyzny, żeby zrozumiała.

–A pozostałe? – mruknęła.

Forra zaśmiał się zadowolony.

–Pieniądzy jest tylko tyle i koniec. Nie dotrzymałaś umowy. – Wypełniłam moje zadanie, macie dokumenty, których chcieliście.

–Tak teraz Thevorn szuka cię po całym mieście. Czy nie mówiliśmy o

absolutnej dyskrecji?

–Jeżeli mnie szukają, to moja sprawa. To ja jestem ścigana.

Jak zawsze.

Forra potrząsnął głową. Na jego twarzy dalej panował niewzruszony uśmiech.

–Thevorn nie jest głupi, dobrze wie, kto miał interes w tej kradzieży, na pewno nie pierwszy lepszy złodziej, czy nie?

Dubhe milczała. To prawda. Stała z woreczkiem w dłoniach. Przez kilka sekund deszcz spływał po jej policzkach. Wreszcie schowała mieszek pod płaszcz.

–Dobra, grzeczna dziewczynka. A więc to prawda, że jesteś inteligentna.

–Jeżeli to wszystko, chyba mogę się oddalić.

–Srodze nas zawiodłaś – powiedział Forra. Palce Dubhe zacisnęły się na rękojeści sztyletu.

–Chyba ukaraliście mnie za to wystarczająco. Forra pozwolił sobie na ironiczny uśmiezek.

–Może... A może nie.

Dubhe wróciła do swojego zwykłego życia. Z obiecanych pięciu tysięcy karoli dostała tylko czterysta. Była to śmieszna kwota, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, co ryzykowała. Poza tym ta częściowa porażka bardzo ją bolała. Dlatego postanowiła znowu rzucić się w wir zajęć. Wiele myśli musiała wymazać z pamięci, a praca była na to najlepszym sposobem.

Wybrała osobę. Tym razem żadnych zleceń, żadnych klejnotów ani nic takiego. Tylko pieniądze, dzięki którym będzie mogła odejść z Krainy Słońca. To miejsce zaczynało być dla niej niebezpieczne.

Musiała zacząć wszystko od początku: zacząć się, przeanalizować ofiarę, dowiedzieć się wszystkiego o jej zwyczajach. Jednak i tak wciąż tłukły jej się po głowie obsesyjne myśli o chorobie, Gildii i młodocianym zabójcy. Nie potrafiła ich odgonić.

Z Jenną spotkała się tylko raz, pewnego wietrznego wieczoru, ale nie miał dla niej

żadnych informacji.

Dalej jednak czuła się dobrze, powiedziała więc sobie, że prawdopodobnie tamto zasłabnięcie naprawdę było tylko nieprzyjemnym epizodem. A może to wzmacniająca mikstura Toriego miała zbawienny wpływ?

Zaplanowanie wszystkiego zajęło jej tydzień. Wybrała dzień, chociaż ciemności były jej o wiele bliższe. Chodziło o wycieczkę pewnego miejscowego paniczyka, który zabierał ze sobą część swoich znacznych bogactw na osobiste wydatki. Jak powiedział jej jeden ze sług, główne źródło informacji dla takiej złodziejki jak ona, karawana miała wyruszyć w kierunku Shilvan.

Dubhe była pewna, że mężczyzna, o którego chodziło, kupiec, zabierze ze sobą obstawę. Spodziewała się trzech osób: stangreta i dwóch ludzi na zewnątrz, prawdopodobnie na koniach. Wyszukała punkt, gdzie miała się zacząć, i opracowała strategię. Miał to być prawdziwy napad, robota może trochę zbyt rzucająca się w oczy, jak na jej gust, ale mała dawka środka nasennego miała wszystko ułatwić. Przygotowała sobie odpowiednią miksturę.

Rankiem tego dnia, gdy miała to zrobić, obudziła się wcześniej. Czuła się rześka i wypoczęta, a zwłaszcza w pełni zdrowa. Zajęła pozycję i czekała.

Serce bilo jej spokojnie i regularnie. Była maksymalnie skoncentrowana i jakby zespolona z otaczającym ją środowiskiem. Las, dźwięki, zapachy. Był piękny, słoneczny dzień, panował przenikliwy chłód, a niebo miało najczystszy odcień błękitu. Gałęzie ledwo się poruszały, a deszcz żółtych liści łagodnie opadał na drogę.

Potem ciężki turkot kół miażdżących liście.

Ponury odgłos kopyt na gołej ziemi prawie rozbrzmiewał w drzewie, o które się opierała. Dwa konie. Nie, jeszcze dwa. Dokładnie tak, jak przewidziała. Żadnego głosu i napięcie w powietrzu. Strach.

Słyszała, jak hałas narasta, a potem zaczęła rozróżniać brzęk mieczy trzymany przy boku.

Wydawało jej się, że jej postrzeganie rozszerza się w nieskończoność, aby pochwycić każdy, nawet najmniejszy dźwięk: napinanie się ścięgien i mięśni, tarcie kości, powietrze wypychane z płuc. Teraz go zobaczyła: powoli jadący powóz, cztery konie, trójka mężczyzn.

Pragnienie.

Mięso.

Krew.

Jej odruchy były jeszcze szybsze, niż się spodziewała. Z przestraczem popatrzyła na siebie jakby z zewnątrz, jak ciągnie za linę i w ciągu sekundy rzuca trzy noże.

Spośród suchych liści podniosła się gruba lina, a konie potknęły się o nią i upadły gwałtownie na ziemię. Kareta zatrzymała się w jednej chwili. W tym samym momencie noże precyzyjnie uderzyły w stangreta i konie, zabijając ich. Trzy strumyki czerwonej krwi wytrysnęły z ran, mocząc leżące na ziemi liście.

Ten kolor, a może to zapach krwi.

Krew.

Dubhe zeskoczyła na ziemię i wyciągnęła swoje sztylety. Nie, to nie to miała zrobić, nie to. A jednak nie potrafiła się zatrzymać, wydawało się, że jej ciało już do niej nie należy.

Dwaj mężczyźni, którzy jechali konno, podnieśli się z ziemi i rzucili na nią.

Pierwszy próbował uderzyć ją mieczem, ale Dubhe uniknęła cięcia, pochylając się tak nisko, jak tylko mogła. Złapała go za kostkę i powaliła na ziemię, po czym rzuciła się do jego gardła. Pograżyła sztylet aż po rękoność. Widok jego krwi na dłoniach dał jej szaloną rozkosz, upojenie, które jednocześnie radowało ją i przerażało. Wówczas wyciągnęła sztylet i uderzyła jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze.

Mężczyzna wrzeszczał pod jej ciosami, wykręcał się, ale Dubhe nie przestawała. Krzyczała, wyła. Potem silny, piekący ból w plecach.

Dubhe błyskawicznie odwróciła się ze sztyletem w dłoni, ale drugi mężczyzna uskoczył na czas.

Dziewczyna wyczuwała jego strach, jego spojrzenie było przerażone. Pierwszy z mężczyzn, ten leżący pod nią, przestał się ruszać. Drugi żołnierz znowu spróbował zaatakować, ale ona była szybka w rzucaniu sztyletem. Trafiła go w rękę, zmuszając do wypuszczenia miecza.

Wtedy mężczyzna stracił zimną krew. Próbował uciekać, ale Dubhe wbiła mu między łopatki kolejny sztylet. Upadł, ale nie dawał za wygraną, starał się odczołgać jak najdalej.

Dubhe rzuciła się na niego i zaczęła masakrować go sztyletem. W jej postrzeganiu wszystko się mieszało: krew, krzyki. Było to szaleństwo, które ją upajało i którego czuła się widzem. Widziała jak porusza się jej własne ciało, czuła pod palcami krew, jej wzrok wbijał się w oczy ofiary, ale nie mogła się zatrzymać. Z przerażeniem

obserwowała tę scenę, podczas gdy wewnątrz niej coś dziko się radowało. Uderzała długo, dopóki nie złamało się ostrze. W dłoni pozostała jej tylko rękojeść.

Wówczas wstała. Wzrok miała zamglony, nogi się pod nią ugiwały, ale czuła, że jest ktoś jeszcze, czuła jego zapach jak zwierzę.

Zaczęła biec do utraty tchu, podążając jakby po niewidzialnym szlaku; nigdy nie sądziła, że potrafi osiągnąć taką prędkość. Potem zobaczyła przed sobą chude plecy kupca.

Uciekał z odkrytymi kościstymi nogami, przytrzymując swoje szaty, i potykał się, coraz bardziej podrapany, ale nie przerywał swojego rozpaczliwego biegu.

Dogonienie go nie zajęło Dubhe wiele czasu. Chwyliła go za ramiona, odwróciła i miała moment na przyjrzenie się przerażeniu wymalowanemu na jego twarzy. Tkwiąc w niej Bestia napawała się nim dłuższą chwilę, po czym rzuciła się zębami na jego szyję i przegryzła ją.

Krzyk mężczyzny był straszliwy. Upadł na ziemię, bliżej już śmierci niż życia. Pozbawiona broni Dubhe zacisnęła mu dłonie na szyi. Jej wzrok utkwiał w oczach ofiary, napawała się każdą chwilą jej agonii. Dopiero kiedy mężczyzna wydał ostatni tchnienie, wszystko nagle się skończyło.

Dubhe poczuła, że opuszczają ją siły. Rozluźniła uścisk dłoni, upadła na kolana. Przeszył ją ból w plecach. Zapach i smak krwi w ustach przyprawiły ją o mdłości. Rozszalały umysł starał się zrozumieć, zrekonstruować wydarzenia, ale kiedy popatrzyła na otaczającą ją scenerię, nie potrafiła sformułować żadnej myśli. Rzeź. Wyglądało to jak pole bitwy. Ciała leżące na ziemi w nienaturalnych pozycjach, oczy wypełnione przerażeniem. Dubhe podniosła dłonie do twarzy, ale zobaczyła, że są czerwone, całkowicie pokryte krwią.

Wówczas to ona zaczęła krzyczeć. Wrzeszczała jak nigdy w życiu zdruzgotana, zszokowana.

Czuła się źle, bardzo źle. Dotknęła swoich pleców i sparaliżował ją palący ból. Zmusiła się do ponownego dotknięcia. Szeroka rana przecinała jej plecy z jednej strony na drugą. Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, kiedy została tak zraniona. Nie mogła myśleć o niczym, co nie było tymi ciałami, a zwłaszcza tymi oczami, jej obsesją, od której nie była w stanie uwolnić się od lat.

Pomocy... muszę szukać pomocy...

Z trudem podźwignęła się na nogi i podniosła z ziemi płaszcz, który jej upadł. Okryła się byle jak i chwiejnie próbowała ruszyć z miejsca. Nie mogła, brakowało jej sił.

Co mi się stało?

Otoczenie wydało jej się snem, a raczej koszmarem. Kontury zaczęły się rozmazywać, światło powoli stawało się coraz ciemniejsze. Wszystko się mieszało i zdawało jej się, że z drzew wyłaniają się dziwne, groteskowe i demoniczne postacie.

Gornar z rozbitą głową, biały jak prześcieradło, a potem jej pierwsza ofiara i chłopak sprzed kilku dni, wszyscy podchodzili ku niej z pochylonymi głowami i

próbowali ją pochwycić. Mistrz, wyglądający jak w dniu swojej śmierci, on też w szeregu, z białymi niewidzącymi oczami, które ją oskarżały, a potem ostatnie trzy ofiary, okrutnie okaleczone.

Dubhe próbowała odsunąć je rękami, ale jej ramiona uderzyły w drewno. Chatka. Osunęła się przy ścianie.

Umieram. A moje ofiary przyszły, aby zabrać mnie do piekła.

9. Pieczęć

Dubhe obudziło grzejące ją w twarz słońce. Leżała na brzuchu w łóżku, którego nie знаła. Nie pamiętała, dlaczego tutaj jest, co się stało. Spróbowała się podnieść, ale powstrzymał ją silny ból w plecach.

W tym momencie wszystko jej się przypomniało. Otoczył ją zapach krwi, poplątane i okropne wspomnienia polany pełnej zmasakrowanych ciał.

–Dubhe! Wszystko w porządku, Dubhe? Jenna. Podbiegł. Dubhe drżała. Chłopak położył jej dłoń na czole.

–Gorączka trochę opadła... Dubhe położyła się z powrotem.

–Już zaczynałem się martwić, od rana się nie ruszasz; nie odzyskałaś przytomności nawet wtedy, kiedy zszywałem ci ranę.

–Szyłeś mnie?

–Masz olbrzymie rozcięcie na plecach, dziękuj niebu, że nie było głębokie. Jenna był wzburzony, mówił, nie przerywając ani na chwilę. Dubhe nadal drżała.

–Zimno ci? Przyniosę koc. – Podniósł się, aby po niego pójść. Dubhe odpowiedziała słabym „nie”.

–Zostaw mnie samą – dodała tonem, który Jenna znał aż nazbyt dobrze.

–Jak chcesz... chciałem ci tylko pomóc... – powiedział, wycofując się.

Zamknij mi okno.

Potrzebowała ciemności. Tak było już od dziecka, od tamtego dnia, kiedy zabiła Gornara. Inne dzieci, kiedy się bały, szukały światła. Ona zaś – najgęstszych ciemności.

Kiedy Jenna wreszcie zamknął okiennice i opuścił pokój, Dubhe spróbowała podnieść ramię i pomacać sobie plecy. Nie udało jej się. Była bardzo słaba. Nigdy dotąd nie była ciężko ranna przynajmniej nigdy tak jak teraz. Usiłowała skoncentrować się na swojej ranie, chciała jak zwykle przeanalizować stan swojego ciała, aby się dowiedzieć, jak z nią źle. Starła się też rozeznaczyć w sytuacji i zrozumieć, jak dotarła z polany aż do Jenny. Wszystko na nic. Jej umysł kurczowo trzymał się tych kilku minut, w ciągu których coś, co jednocześnie było nią samą i

było jej obce, wzięło w posiadanie jej ręce i spowodowało, że dokonała rzezi.

Pierwsza łza spłynęła jej po policzku bez żadnego dźwięku. Przez te wszystkie lata już zapomniała, jak to się robi. Potem zaczęła szlochać w łóżku jak dziecko, aż w końcu płacz stał się bardziej gwałtowny i pozbawiony wszelkiej nadziei.

Jenna słuchał pod drzwiami.

Dopiero wieczorem Jenna ośmielił się wejść. Uchylił powoli drzwi i Dubhe zobaczyła jego sylwetkę rysującą się w świetle paleniska.

–Mogę?

–Wejdź.

Co prawda już wcześniej zmusiła się do powstrzymania łez, ale dobrze wiedziała, iż Jenna bez trudu zrozumie, że płakała.

Chłopak podszedł do niej i postawił na ziemi tacę z posiłkiem. Pokój wypełnił zapach ciepłego, domowego jedzenia.

Jenna zapalił świeczkę.

–Zaraz sobie pójdę, ale muszę sprawdzić, co z twoją raną.

–Dobrze – zgodziła się potulnie Dubhe.

Jenna przez kilka chwil patrzył na jej twarz, ale nic nie powiedział.

Jego wprawne dłonie podniosły przykrycie oraz szaty i dotknęły jej pleców.

Zamknęła oczy. Zaczęły ją dręczyć odległe i bolesne wspomnienia.

Dłonie Mistrza... Jego uczucie...

Jednocześnie pojawiły się obrazy z czasów jej szkolenia i myśli o zabijaniu,

któremu na zawsze powiedziała „nie”, a które jednak wciąż ją prześladowało. *Nie ma wyboru i nie ma ucieczki...*

Nagły ból wstrzymał tok jej myśli. To gaza przywarła do rany. Jenna przerwał oględziny.

–Przepraszam, niestety, nie ma innego wyjścia.

–Co mi jest? – spytała Dubhe.

–Już ci mówiłem. Masz duże rozcięcie biegnące od prawej łopatki po kraniec lewej. Gdyby było choć trochę głębsze, już byś nie żyła. Na szczęście jednak jest powierzchowne, ale kiedy tu przyszłaś, byłaś cała we krwi.

Poczuła ucisk w żołądku, a przed jej oczy znów wdarł się gwałtownie obraz rzezi na polanie.

–Straciłaś mnóstwo krwi i to martwi mnie bardziej niż sama rana.

–Posiadasz też umiejętności kapłańskie? – Dubhe chciała być sarkastyczna, ale kiepsko jej to wyszło.

–Mało znam sztukę kapłanów. Trzeba będzie któregoś z nich wezwać...

–Nie! Jenna zastygł.

–Pomyśl rozsądnie: to prawda, zszyłem cię, ale ja jestem rzeźnikiem, a rana może się zainfekować...

–Nie chcę, żeby ktokolwiek inny wiedział o tej sprawie. Pójdziesz do Toriego.

–Do kogo?

Dubhe wyjaśniła mu wszystko i powiedziała ze szczegółami, o co ma zapytać i o co poprosić. – Opisz mi dokładnie sytuację, ale w żadnym wypadku nie podawaj mojego imienia.

–Ale dlaczego miałbym...

–Bo ja ci tak mówię.

Jenna nie miał wyjścia, musiał się zgodzić. Wyszedł.

Dubhe wychyliła się, żeby zobaczyć, co leży na tacy. Miska pełna zupy jęczmiennej, kawałek chleba i pół pożółkłego jabłka. Prawdopodobnie było to wszystko, co Jenna miał w domu. Wiedziała że musi jeść, jeżeli chce szybko wrócić do zdrowia.

Popatrzyła na tacę. W jej oczach brązowawa ciecz zamieniła się w miskę wypełnioną krwią. Odwróciła wzrok z obrzydzeniem.

–Wczoraj wieczorem ci odpuściłem, ale teraz musisz coś zjeść.

Niewątpliwie Jenna miał rację, ale Dubhe wydawało się, że wszystko ma

duszący zapach krwi. Teraz jednak czuła się lepiej. Fizycznie, a przede wszystkim

duchowo.

Nocą jeden koszmar przechodził w drugi, dziewczyną wstrząsała gorączka. Były to piekielne godziny, ale potem poczuła się lepiej.

Z wielkim wysiłkiem udało jej się obrócić i oprzeć plecami o łóżko. Wzięła z rąk swojego gospodarza miskę z mlekiem. Kiedy tylko zapach dotarł do jej nozdrzy, poczuła, że żołądek jej się gwałtownie kurczy. W ustach miała jeszcze smak przypominający jej chwilę, kiedy ugryzła kupca.

Zamknęła oczy, zmusiła się, żeby nie wdychać tłustego zapachu mleka i wypła wszystko jednym haustem.

–No, grzeczna, taką cię lubię. Nie bardzo tylko rozumiem, dlaczego ciągle masz problemy z żołądkiem... – powiedział Jenna.

–Byłeś u Toriego?

Jenna przytaknął i podniósł się. Poszedł do drugiego pokoju i wrócił stamtąd z wielką butlą wypełnioną zielonkawą, oleistą cieczą.

–Dał mi to i kazał smarować tym ranę trzy razy dziennie.

Oliwa z oliwek i sok z ośmiąłu. Znała tę miksturę – gdyby poprzedniego wieczoru była nieco bardziej przytomna, sama mogłaby wytłumaczyć Jennie, jak ją przygotować.

–Powiedział ci, ile czasu potrzeba?

–Trzy, cztery dni, zanim będziesz mogła wstać, a potem tydzień, aż rana się zagoi. Myślę, że za dziesięć dni będę mógł wyjąć ci szwy.

Dubhe powstrzymała gest irytacji. To za długo. Pierwszą, najpilniejszą sprawą było zrozumienie, co jej się stało w lesie. Co wydarzyło się w ciągu tych kilku strasznych minut? Kim był duch, który ją posiadł? I dlaczego?

Dubhe zaczęła wstawać już trzeciego dnia. Jenna na wszystkie sposoby próbował ją od tego odwieść, ale dziewczyna była nieugięta. Było jasne jak słońce, że te ściany są dla niej za ciasne i że nie może się doczekać, kiedy będzie mogła sobie pójść.

–Nie wydaje mi się, żebym cię źle traktował... A może się mylę? – próbował

Jenna, ale Dubhe nie odpowiadała. Nie to było powodem. Nie mogła się do nikogo przywiązać z powodu swojej natury mordercy oraz dlatego, że wiecznie uciekała. To, co wydarzyło się na polanie, jeszcze bardziej powiększyło przepaść pomiędzy nią a

kimkolwiek na świecie.

Pewnego dnia Jenna wrócił w dziwnym nastroju. Kiedy tylko wszedł do domu, wbrew swoim zwyczajom nie poszedł do niej, ale zajmował się swoimi sprawami w drugim pokoju. Pora kolacji upłynęła w całkowitym milczeniu.

Dubhe nie przejęła się tym. Już postanowiła, że następnego dnia odejdzie, a takie zachowanie tylko ułatwiało jej sprawę.

Poszli do łóżek otuleni ciężącą ciszą. Dubhe leżała w ciemnościach już kilka minut, kiedy nagle zobaczyła sylwetkę Jenny rysującą się w otwartych drzwiach.

–Słyszałem dzisiaj pewną historię. Wszyscy w mieście o tym mówili.

Dubhe nie poruszyła się.

–W lesie znaleziono czterech mężczyzn. Dubhe nie mogła wydobyć słowa.

Zacisnęła dłonie na kocu. Poczucie trwogi schwyciło ją za gardło.

–Jeden z nich miał tylko nóż utkwiony w gardle, ale pozostała trójka... Dubhe nadal milczała.

–Byli tutaj, niedaleko mojego domu. W odległości, którą może przebyć ranny.

–Cicho bądź, zamilcz!

Dubhe krzyknęła i podniosła się na łóżku.

–To ty? Co się stało tamtego dnia? Kto cię zranił, skąd pochodziła ta krew?

Nie dbając o ból w plecach, Dubhe wyskoczyła z łóżka, złapała Jennę za szyję unieruchomiła go, przyciskając do ściany.

–Powiedziałaś mi, żebyś był cicho – wycedziła.

Skamieniały ze strachu Jenna, mimo ostrza przyłożonego do gardła, ciągnął dalej ledwo słyszalnym głosem:

–Chcę tylko zrozumieć, co ci się stało... zaatakowali cię?

Zobaczyła, że chłopak się rumieni i gwałtownie go puściła. Jenna powoli osunął się po ścianie na podłogę.

Dubhe przesunęła dłonią po oczach. Koszmar się nie skończył. Nigdy się nie

skończy. Jej ucieczka na nic się nie zdała, nie można uciec przed przeznaczeniem.

–Dlaczego mi nie ufasz? Czego się boisz?

–Moje życie jest tak dalekie od twojego, tak odległe, że nawet nie masz szans zrozumieć. Nie możesz nawet w przybliżeniu wyobrazić sobie tego, co w sobie noszę... Ja... – Dubhe potrząsnęła głową. – Nie zadawaj mi pytań!

–Dlaczego? Przyszłaś pod moje drzwi zakrwawiona, a ja o nic cię nie pytałem, pomogłem ci, przyjąłem cię i uratowałem, do licha uratowałem ci życie! Ale to, co się stało tam... tamto...

Dubhe wzięła swój starannie złożony płaszcz, leżący w kącie.

–Co robisz?

Zarzuciła go na siebie, po czym podniosła ubrania i zakrwawioną broń opartą o ścianę.

–Powiedz mi, co robisz? · Odwróciła się do niego.

–Powiedz tylko słowo, komukolwiek, o tym, że byłam tutaj a bądź pewny, że umrzesz, zanim zdążysz pożałować tego, co zrobiłeś.

Jenna nie poruszył się.

–Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje? Ja chcę ci tylko pomóc, nie rozumiesz tego?!

Jego głos miał w sobie jakąś nową szczerłość i ból. Dubhe nie znała go od tej strony.

Poczuła się prawie wzruszona i dlatego czym prędzej ruszyła do drzwi.

–Nikt nie może mi pomóc. Zapomnij o tym, co się stało w ciągu tych kilku dni, i nie szukaj mnie.

Znowu była sama, w wilgotnej ciemności własnego domu. Kiedy tam dotarła, całkiem wyczerpana po ucieczce od Jenny, poczuła się nagle u siebie. Samotność była jej wyrokiem i jej wybawieniem.

I tak leżała w otępieniu w swojej grocie, w ciemnościach, ścigana przez wspomnienia rzezi w lesie, ale jednocześnie czuła się bezpiecznie.

Myślała o Jennie. Chociaż wiele ją to kosztowało, musiała przyznać, że się do niego przywiązała. Był to duży problem, bo ona też w głębi serca czuła, że chce móc na niego liczyć, tak jak kiedyś było z jej ojcem, a potem przez długi czas z Mistrzem...

Mistrzu, gdybyś jeszcze żył, nie byłabym tak zagubiona i taka samotna!

Nie miała już nikogo. Była tylko ona i Bestia, której istnienie wewnątrz siebie właśnie odkryła.

Kilka następných dni poświęciła na odpoczynek i leczenie rany. Przygotowała

miksturę i nie bez trudu próbowała rozsmarować ją sobie na plecach. Zazwyczaj używała nasączonego nią bandaża, który ściśle owijała sobie wokół piersi i na plecach. To właśnie wtedy, kiedy dokonywała tej operacji, zobaczyła to po raz pierwszy.

Była naga w półcieniu rozświetlanym przez świecę. Rozłożyła przed sobą bandaż i właśnie miała sięgnąć po flakon, gdy jej spojrzenie padło na jakąś ciemną plamę na ramieniu. Przyjrzała się dokładniej – Tam, gdzie wbiła się igła zabójcy z Gildii, teraz widniał jakiś bardzo wyraźny symbol. Były to dwa nałożone na siebie pentakle czarny i czerwony, a wewnątrz nich okrąg utworzony z dwóch splecionych węży, też czerwonego i czarnego. W samym środku tam, gdzie tkwiła igła – była kropka żywej czerwieni, jakby w dalszym ciągu tryskała stąd świeża krew. Dubhe przesunęła po plamie palcem, ale ani krwawa kropka, ani symbol nie znikły.

Szwy ją bolały, ale wkrótce zorientowała się, że jest na tyle silna, by wyruszyć w krótką podróż. Skoro sama nie była w stanie rozwikłać wydarzeń tamtych dni, musiała oddać się w ręce kogoś innego. Jenna miał rację. Potrzebowała kapłana.

Wyruszyła wczesnym rankiem, owinięta w płaszcz, z lekkim workiem podróżnym zawierającym leczniczą miksturę, świeże bandażę i nieco prowiantu.

Będzie musiała nieznacznie przekroczyć granicę, ale nawet nie wyjdzie z lasu. Miejsce, do którego się kierowała, znajdowało się w Krainie Morza i oddalone było od jej domu o dwa dni drogi.

Już dawno tam nie była. Zbyt wiele miała słodkich i gorzkich wspomnień, wspomnień przeszłości, które chciała odsunąć od siebie jak najdalej.

Kiedy umarł Mistrz, wyrzuciła wszystko, co mogło jej go przypominać, i pozrywała kontakty praktycznie ze wszystkimi, których znali.

Dotyczyło to także Magary. Morderca zawsze musi mieć kogoś zaufanego, kto będzie go leczył, bo przecież może się zdarzyć, że podczas wykonywania pracy zostanie zraniony. Magara była kimś pomiędzy czarodziejką a kapłanką, ale żadne ze zgromadzeń nigdy nie uznało jej za swoją. Niektóre praktyki i zainteresowanie duchami natury łączyły ją ze światem czarodziejów, zaś z kapłanami – wiedza o ziołach i praktykach uzdrawiających. Ta wizjonerska heretyczka, jak niektórzy twierdzili obdarzona darem jasnowidztwa, żyła jak pustelnica na swojej rodzinnej ziemi. Mistrz chodził do niej się leczyć, kiedy był chory, oraz po trucizny i po informacje o czarach, na które mógł się natknąć.

Teraz Dubhe miała nadzieję, że kobieta jeszcze żyje. Miała nadzieję, bo była to jedyna osoba, która mogła jej się w tej chwili przydać.

Na miejsce dotarła o zachodzie słońca. Dni stawały się coraz krótsze, a przesilenie zimowe nie było wcale takie odległe. Cienki pas nieba na horyzoncie pod niskimi chmurami był czerwony. Było zimno, ale Dubhe zdawało się, że klimat jest łagodniejszy niż w Krainie Słońca. Może to tylko przesycone solą powietrze, które od wybrzeży przenikało aż w głąb lądu, docierając do dębów i buków nawet w centralnie położonych lasach. Tutaj urodził się Mistrz i tu żył przez lata. Przez bardzo długi czas on i Dubhe mieszkali na tej ziemi, gdzie do każdego miejsca dobiegał odgłos fal rozbijających się o skały.

Przed sobą ujrzała znajomy namiot – ten, który tak dobrze pamiętała, mimo iż od czasu, gdy była tu po raz ostatni, minęły dwa lata. Był to obszerny płat skóry rozciągnięty na czterech palach, ustawiony w środku okręgu wykonanego z rzecznych kamieni, okrągłych i wygładzonych.

Dubhe poczuła u swojego boku obecność Mistrza, dotyk jego pewnej dłoni na ramieniu oraz jego głęboki, spokojny głos, mówiący „Dotarliśmy” za każdym razem, kiedy pojawiali się na tej polanie.

Gdy weszła do namiotu, zakolysały się wietrzne dzwonki. Jak zawsze tak znajomo brzmiący, rozdzierający dźwięk.

Magara była nieruchoma jak kamienny posąg. Zgięta wpół pod brzemieniem lat, z ramionami schyłonymi nad skrzyżowanymi kolanami. Twarz zakrywały długie, siwe włosy. Na głowie miała mnóstwo warkoczyków, w które wplecione były dzwoneczki, ale żaden z nich się nie poruszał, jakby staruszka nawet nie oddychała.

Ale przecież żyje.

Magara siedziała na starym wyblakłym dywanie; po jednej stronie namiotu było słomiane legowisko, a obok niego hebanowa ława skrzyniowa; z pali zwisały rozmaite amulety oraz najprzeróżniejsze zioła, świeże i suszone. Z trójnogu wydobywał się

aromatyczny dym.

–Wiedziała, że przyjdiesz. – Jej głos wydawał się stary, przedwieczny, ani kobiecy, ani męski.

Dubhe ograniczyła się do pochylecia głowy, tak jak zawsze czynił przed nią Mistrz.

Magara uniosła nieco głowę i włosy rozsunęły się, odsłaniając twarz. Jej ciemne jak skóra namiotu oblicze naznaczone było głębokimi zmarszczkami. Wcale nie zmieniła się od ostatniego razu, kiedy Dubhe ją widziała – prawdopodobnie zawsze była stara i zawsze taka pozostanie. Te same żywe niebieskie oczy i ten sam wyraz twarzy: łagodny i nieprzenikniony.

Dała Dubhe znak, żeby spoczęła, i dziewczynka usłuchała, przysiadając na piętach.

Stara wzięła papierowy wachlarz i zaczęła kierować ku niej dym z trójnogu, mrużąc niezrozumiałe słowa. Był to rodzaj dawnego, monotonnego zawodzenia, które Dubhe dobrze znała i które w dzieciństwie prawie ją hipnotyzowało. Mistrz mówił, że to coś w rodzaju rytuału oczyszczenia.

Stara położyła jej wreszcie dłoń na głowie i trzymała ją tam długo.

–Jesteś niespokojna i zmęczona. Czułam to w moich snach. Sarnek zapowiedział mi twoje przyjście.

Dubhe drgnęła. Już od lat nie słyszała wypowiedanego imienia Mistrza. Wiedziała, że starej śnili się zmarli, ale Dubhe nie wierzyła w żadne zaświaty. Mistrz nie żył, był prochem pod ziemią i to, że Magara wspomniała o nim w taki sposób, prawie ją rozgniewało.

–Z całą pewnością fakt, że straciłaś wszelką wiarę, nie spowoduje, że duchy przestaną do mnie mówić – uśmiechnęła się łagodnie stara, jakby wszystkiego się domyśliła. Następnie spoważniała.

–Powiedz mi wszystko.

Dubhe pochylała się tak nisko, że dotknęła czołem ziemi. Tak rytuał był stosowany, kiedy Mistrz musiał prosić o coś staruchę.

–Potrzebuję waszych umiejętności.

Zaczęła od prośby o wyleczenie pleców. Stara bez chwili zwłoki zajęła się tą czynnością. Kazała jej się rozebrać i długo przyglądała się nagiemu, szczupłemu

ciału. Cały czas mrużąc, jeden po drugim wyciągnęła jej szwy, a w tym czasie namiot wypełniał się nowym dymem, tym razem o zapachu miętowym.

Magara zakończyła wszystko zaklęciem uzdrawiającym. Taka właśnie była jej sztuka: przechodziła od magii do praktyk kapłańskich, ale nie gardziła również i starymi ludowymi wierzeniami.

–Ale nie przysłaś tu z tego powodu. Jest coś jeszcze... – powiedziała po skończeniu.

Dubhe włożyła z powrotem koszulę i odwróciła się do niej.

Opowiedziała jej wszystko dokładnie. O młodym zabójcy, o jego tajemniczej igle, na której Toriemu nie udało się odnaleźć nawet śladu trucizny, potem o pierwszym zaślubieniu podczas włamania do domu Thevorna. Wreszcie, drżącym głosem, wspomniała o rzezi w lesie.

–No i jest jeszcze to, pojawiło się później...

Podciągnęła rękaw i podsunęła Magarze ramię.

Stara ścisnęła je delikatnie powykręcanyimi dłońmi i musnęła palcami rysunek. Potem wzięła z trójnogu rozżarzoną głównię i przesunęła nią powoli nad symbolem. Ciepło było bardzo silne, więc Dubhe napięła mięśnie. Dym, początkowo białawy, nagle zaczął nabierać krwistoczerwonej barwy. Stara podjęła swoje niezrozumiałe litanie i coraz bliżej przysuwała głównię do ramienia Dubhe. Dziewczyna zacisnęła zęby, ale kiedy żar dotknął symbolu, ciepło znikło, a Dubhe nie poczuła żadnego bólu.

Otworzyła oczy i zobaczyła, jak żar rozwiewa się między palcami Magary w chmurę dymu.

W namiocie zapanowała cisza, a Dubhe zaczęła oddychać bezgłośnie, prawie niedostrzegalnie. Stara puściła jej ramię.

–To klątwa – orzekła.

–Nic nie wiem o magii, co to znaczy? – spytała Dubhe.

–Ktoś cię przeklął, nakładając na ciebie pieczęć. Dubhe pochyliła się do przodu.

–Na czym polega taka klątwa?

–Chociaż przestałaś zabijać, chociaż po śmierci Sarnka ślubowałaś, że nigdy nie będziesz robić tego, czego on cię nauczył, pragnienie zabijania tak naprawdę wcale

w tobie nie zgasło. Dubhe zeszczytniała.

–Ja nie lubię zabijania i wcale go nie potrzebuję.

–Zabijanie i krew są jak narkotyki, które oszalamiają człowieka. Jeżeli

kiedykolwiek w tym zasmakowałaś, nie będziesz już mogła się bez tego obyć. Żyje w

tobie jeszcze chłód zawodowego zabójcy, na jakiego zostałaś wyszkolona.

Pragnienie

krwi i śmierci były pokarmem dla niepohamowanej Bestii żyjącej w otchłaniach –

bestii, której ta klątwa nadaje formę i ciało.

Dubhe wstrząsnął dreszcz. Bestia. Tak właśnie określiła samą siebie, kiedy ugryzła kupca.

–Od tej chwili Bestia żyje w tobie, gotowa pojawić się w każdym momencie. Na

razie nie ma siły, żeby nad tobą zapanować, ale czeka w zakamarkach twojej duszy,

aby cię pożreć. Będzie się wyłaniać, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewała, za

każdym razem potężniejsza, i będzie cię popychać do zabijania, do masakrowania. Za

każdym razem morderstwo będzie bardziej bezwzględne i nieludzkie, straszliwsze, a

twoje pragnienie krwi coraz bardziej nienasycone. Na koniec Bestia całkiem tobą

zawładnie.

Dubhe zamknęła oczy, starając się zapanować nad ślepym strachem, który od nóg po czoło mroził każdy centymetr jej skóry.

–Potraficie temu zapobiec? Magara potrząsnęła głową.

–Pieczęć może zostać złamana tylko przez tego, kto ją nałożył. Tamten chłopak. To musiał być on.

–A jeżeli ten, kto to zrobił, nie żyje?

–Wówczas nie ma żadnej nadziei. Miała wrażenie, że świat kruszy się pod jej

stopami.

–Ale to nie był ten, o którym myślisz.

Dubhe wzdrygnęła się.

–Ów chłopak był tylko wykonawcą, ale pieczęć nałożył czarodziej. To jego musisz odnaleźć.

Młodzieniec. Starszy czarodziej. Gildia. To byli oni.

–Muszę zatem odnaleźć go i zmusić, aby zdjął ze mnie tę pieczęć. Magara przytaknęła.

–Ale pamiętaj, że on nie może umrzeć, w przeciwnym razie będziesz zgubiona.

10. Strzępy wojny

* * * Przeszłość III

Przez pierwsze dni Dubhe jeszcze wierzy, że może się uratować. Nie zrezygnowała z pomysłu powrotu do Selvy i mówi sobie, że pewnie jest to możliwe, że jej się uda, że przecież jest dobrym piechurem. Nigdy nie zgubiła się w okolicach wioski, więc nie zabłądzi i teraz. Płacze się zatem po lesie, zdzierając buty. Stara się podążać za słońcem, tak jak nauczył ją ojciec, ale nie wie, gdzie się znajduje. Jechali przez trzy dni. Nigdy dotąd nie odbyła tak długiej podróży. Pewnie znajduje się wiele mil od domu. Stara się o tym nie myśleć i idzie dalej.

Od czasu do czasu płacze, wzywa ojca, jakby jej głos mógł dotrzeć aż do Selvy. Przecież powiedział, że zawrze będzie ją chronił, że nigdy nie zostawi jej samej, że nic jej się nie stanie. Dlaczego więc jej głos nie miałby dotrzeć do jego uszu, tak bardzo od niej oddalonych? Usłyszy go i sam po nią przyjdzie, i zabierze do domu.

Żywi się tym, co zostawił jej chłopak, i stara się oszczędzać prowiant. Sypia skulona na drzewach, ale śpi niewiele i kiepsko. Cały czas prześladują ją jej zwykłe koszmary, a poza tym pierwszy raz spędza noc w lesie. W nocy wszystko powiększa się ponad miarę, drzewa wydają się niezdobytymi wieżami, a lekkie szeleszczące odgłosy dnia przekształcają się w przerażające grzmoty. Przez pięć dni Dubhe nie robi

nic innego, tylko błąka się, piędź po piędzi przemierza cały las i w końcu nie zmierza już nawet do żadnego celu. Idzie dalej, pozwalając swoim nogom nieść się przed siebie. Jej nadzieja stopniowo słabnie, jedzenia jest coraz mniej, ale dziewczynka nie chce się poddać, chce dalej wierzyć, że powrót będzie możliwy, że jeżeli będzie dość dzielna i silna da radę.

Potem jednak w pewnej chwili dociera do niej, że nie ma już nic do jedzenia, a zmęczenie paraliżuje jej nogi. Nagle pragnienie opieki ojca i chęć powrotu do domu ustępują miejsca zmartwieniom o wiele bardziej konkretnym. Atakuje ją głód. Stopniowo wszystko znika i nie ma już nawet czasu na rozpacz, tylko na poszukiwanie jedzenia. Życie ogranicza się do jedzenia, picia, spania i chodzenia, naprzód i naprzód.

Dubhe próbuje łowić ryby. W którymś momencie zaczyna iść wzdłuż strumienia. Robi to instynktownie. Zresztą łatwiej jest iść wzdłuż wysokiego brzegu, niż torować sobie drogę wśród drzew. Dziewczynka ma poszarpane ubrania, buty też są już zdarte od długiego marszu. Jej nogi mają pełno rozcięć i obtarć. Ale głód przewyższa wszystko, nawet ból skaleczeń. A pluskające w potoku ryby nieodparcie ją przyzywają.

Ściga je ze złością, mocząc się kompletnie w przezroczystej wodzie potoku. Ryby są

szybkie, a ona powolna, zbyt powolna, Ale doświadczenie góruje nad otępieniem, które ją ogarnęło. To sztuczka, którą często powtarzała w Selvie. Zanurza dłonie w lodowatej wodzie, czuje, jak ryby przemykają się między jej palcami. Nie poddaje się. Próbuje raz, drugi, kolejny. I w ten sposób wieczorem wreszcie ściska w dłoniach swoją pierwszą zdobycz. Dubhe pamięta wspaniałe ogniska ze smakowicie upieczonymi rybkami, ich tłuste i soczyste mięso między zębami. Ale teraz trzeba by zbyt wiele czasu, aby znaleźć wszystko, co niezbędne do rozpalenia ognia, a poza tym jest to czynność, którą co prawda wielokrotnie widziała, ale sama nigdy jej nie wykonywała. Połyskująca ryba pociąga ją, a z brzucha dobiega gwałtowne burczenie. Zatapia więc zęby w jeszcze żywym stworzeniu. Smak, jaki czuje w ustach, jest ohydny i Dubhe wypluwa cały kęs. Jednak jej żołądek nie słucha żadnych tłumaczeń, potrzebuje tego mięsa. Łzy kapią powoli i mieszają się na twarzy z wodą ze strumienia.

Zamyka oczy i gryzie jeszcze raz, powstrzymuje mdłości i przeżuwa z ogromnym wysiłkiem połyka kęsy jeden po drugim, dopóki ryba się nie skończy.

Kolejny dzień, i jeszcze jeden... Po nieskończone długim czasie Dubhe wreszcie dociera do krańca lasu. Drzewa stopniowo się rozrzedzały, ale ona tego nie zauważyła. Teraz wszystko jest wręcz zbyt jasne i przez kilka chwil Dubhe nie jest w stanie zobaczyć, gdzie się znajduje. Potem powoli wszystko nabiera w jej oczach kształtu i widzi, że rozciąga się przed nią rozległa nizina. Trawa jest wysoka i ma żywy, zdrowy, zielony kolor. Wydaje się jedną z łąk blisko Selvy i Dubhe przez chwilę może nawet w to wierzyć. Potem widzi w oddali podnoszący się z równiny dym. Dym oznacza wioskę. Dym oznacza innych ludzi. A inni ludzie oznaczają pomoc i pożywienie.

Znowu maszeruje, tym razem w słońcu, bez osłony przed gorącem i ciągle bez jedzenia. Ale Dubhe posuwa się naprzód. Czuje wypieki na twarzy, stopy boleśnie pulsują, a żołądek jak zwykle domaga się pokarmu.

Co jakiś czas ziemia wibruje rytmicznie, a niebo przecinają niewielkie stadka ciemnych punktów: dwa, najwyżej trzy, a najczęściej pojedyncze dziwne ptaki o wydłużonym kształcie wiją się na zapierających dech wysokościach. Dubhe zastanawia się, co to za ptaki, i żałuje, że nie ma łuku, aby je ustrzelić i zjeść. Mathon miał wspaniałą łuk – wielki jak on sam, stara pamiątka ojca. Był zbyt duży i ciężki, aby dziecko mogło go naciągnąć, ale Mathon zawsze mówił, że pewnego dnia się nauczy.

O zachodzie słońca tajemnica zostaje rozwiązana. Nagle jeden z punktów powiększa się i schodzi ku ziemi w szerokich spiralach. Wydaje się wielkim wężem, wiruje w powietrzu kolistymi ruchami.

Dubhe ze zdumienia otwiera usta i przygląda się olbrzymiemu zwierzęciu. Jest

niebieskie, tak jak morze. Jego boki migoczą od pobłysków światła, a jasnoniebieski kolor brzucha przechodzi w ponury granat na usianym mniejszymi i większymi kolcami grzbiecie. Skrzydła są bladoniebieskie, olbrzymie i cienkie: ostatnie promienie słońca wydają się przebijać je na wylot. Na grzbiecie siedzi mężczyzna, cały w lśniącej zbroi.

Dubhe stoi w miejscu jak skamieniała, a do głowy powracają jej legendy, opowieści opowiadane przy ognisku, historie szeptane podczas długich, letnich wieczorów.

„Narodzili się jeszcze przed Wielką Mavernią, kiedy to ziemia Wody, Morza i Słońca stanowiły jedno. Tworzyli kręgosłup wielkiego królestwa, byli najpotężniejszymi rycerzami armii: Jeźdźcy Morza. Dosiadali wielkich niebieskich smoków i utrzymywali w Maverni pokój i porządek. Walczyli w Wielkiej Wojnie i pomogli Sennarowi w jego misji”.

Zwierzę ląduje kilka metrów od niej. Z bliska wydaje się jeszcze bardziej dostojne. Jego oddech burzy morze traw. Potem wbija swe żółte oczy w źrenice dziewczynki i Dubhe czuje się pod tym spojrzeniem naga, nieskończenie samotna i mała.

Jeździec zdejmuje hełm i spogląda na nią.

–Co tu robisz?

Jest dość stary, ma jasną skórę i blond włosy.

–Rozumiesz mnie? Kim jesteś?

Mówi z twardym i surowym akcentem, którego Dubhe nigdy nie słyszała, a jego słowa, suche i kategoryczne, brzmią prawie jak rozkazy.

–Z jakiej wioski pochodzisz?

Dubhe potrząsa głową i kieruje na niego wzrok pełen rozpacz.

Mężczyzna wzdycha. Zsiada ze smoka i zaczyna iść w jej kierunku.

Dubhe robi krok w tył. Nagle przypomina sobie o sztylcie i instynktownie kładzie dłoń na rękojeści. Nie wie, dlaczego to robi. Jest jednak pewna, że postępuje właściwie.

Jeździec cały czas się zbliża, ale zwalnia kroku. Dubhe czuje jak rośnie w niej panika. Wyciąga więc sztylet i z krzykiem nim potrząsa. Ma zamknięte oczy, macha nożem zamasyście i nie przestaje wrzeszczeć.

Nie rób tak, nie zrobię ci nic złego. Zobacz, zostanę tutaj, a ty się uspokój

Dubhe zatrzymuje się.

Przykucnięty jeździec jest na wyciągnięcie ręki. Ma u boku wielki miecz, który dotyka ziemi, ale jest schowany w pochwie.

Dubhe wiele razy marzyła o własnym mieczu, w jej grupie wszyscy mieli takie marzenie. Porównuje lśniąca broń jeźdźca z zardzewiałym mieczem, który leżał w grocie nieopodal strumyka, tam gdzie ona i jej przyjaciele organizowali swoje zabawy.

Jeździec uśmiecha się do niej.

–Odłóż ten sztylet. Nie można rozmawiać z bronią w ręku, prawda?

Dubhe się boi. Nie jest pewna, czy chce zaufać, ale uśmiech jeźdźca wydaje się szczery. Opuszcza broń.

–Bardzo dobrze. Nie chcesz mi powiedzieć, jak się nazywasz? Chciałaby, ale nie może. Nie jest w stanie. Nie potrafi wydobyć głosu.

–Jesteś niema?

Chyba tak.

–Niebezpiecznie tak przebywać na otwartej przestrzeni. Oddziały Dohora od czasu do czasu zapędzają się aż tutaj. Jeśli cię złapią, spotkają cię straszne rzeczy.

Straszne rzeczy. Dubhe jest w stanie myśleć tylko o tym, co wydarzyło jej się do tego dnia. I nic nie wydaje jej się straszniejsze niż cały ten czas, jaki spędziła w lesie.

–No to zrobmy tak. Daj mi tylko znak głową, tak czy nie, dobrze?

Dubhe potakuje. Nie ma już języka, ale może jednak uda jej się jakoś porozumieć.

–Jesteś z pobliskiej wioski? Sama chciałaby to wiedzieć. Gdzie jest Selva? Za dalekim horyzontem, czy może dwa kroki stąd? Nie wie. Potrząsa głową.

Mężczyzna milczy przez kilka chwil, patrzy w ziemię.

–No dobrze – podejmuje w końcu. – To nic nie szkodzi, że nie wiemy. Ale zbliża

się noc i będzie lepiej, jeżeli pójdziesz ze mną.

Mężczyzna podnosi się i wyciąga do niej rękę.

Dubhe patrzy na nią z wahaniem. Czy jednak ma inne wyjście? Wreszcie dostanie coś do jedzenia, będzie bezpieczna, a może nawet odprowadzą ją do domu.

Ściska szorstką i suchą, pełną odcisków rękę mężczyzny.

Jeździec znowu się uśmiecha i prowadzi ją w kierunku smoka. Dubhe buntuje się. To zwierzę jest piękne, ale przeraźliwie się go boi, w jego oczach zdają się kryć rozżarzone węgle. Próbuje się wyrwać.

–Nic ci nie zrobi! Słucha tylko mnie, jest dobry!

Podnosi ją siłą, nie bez trudu, i trzyma blisko głowy smoka. Zwierzę odwraca się, a Dubhe widzi samą siebie odbitą w jego źrenicach.

Jeździec gładzi smoka po głowie, a on przymyka oczy, w których kryje się coś pomiędzy przyjemnością a urazą.

Dubhe przestaje się wyrwać.

–Teraz ty.

Jeździec bierze jej dłoń i kładzie na głowie smoka. Jest zimny i wilgotny, ale żywy. Ma twardą skórę, a jego łuski przypominają korę drzew. Bestia wyrzuca z nozdrzy mały kłęb dymu.

–No widzisz? Już się zaprzyjaźniliście.

Jeździec odsuwa ją i sadza na grzbiecie smoka. Jest tam dość obszerne i

wygodne siodło. Potem wsiada sam, a Dubhe instynktownie mocno go ściska. Kiedy podnoszą się do lotu, czuje straszną pustkę w żołądku i przez cały czas drży przerażona. Ani razu nie otwiera oczu.

–Nie bój się – mówi jej jeździec.

Nie bój się.

Obozowisko nie jest daleko, docierają tam jeszcze przed zapadnięciem ciemności. Stoi tam wiele namiotów i jedna mała, drewniana chatka. Naokoło gruba palisada. Jest też wielki ogrodzony teren i tam właśnie lądują. Jeździec delikatnie stawia ją na ziemi. Czeka ją na nich jacyś ludzie.

–A to kto? – pyta jakiś chłopak.

–Znalazłem ją, błąkała się po równinie.

–Kim jesteś? – pyta ktoś inny.

–To na nic, nie mówi. Chyba jest niema. To się dzieciom zdarza podczas wojny. Zaprowadźcie ją do stołówki i dajcie jej jeść, wygląda mi na wygłodniałą.

I rzeczywiście, Dubhe umiera z głodu.

Dają jej chleb żytni i zupę jarzynową, a ona rzuca się na wszystko żarłocznie. Wielkimi kęsami pochłania chleb i pije zupę prosto z miski, bez łyżki. Mgliście przypomina sobie uwagi swej matki jakby pochodziły z poprzedniego życia. "Ile razy mam ci powtarzać, że przy stole musisz się odpowiednio zachowywać? To podstawowa sprawa dla dobrze wychowanej panienki!"

–Daj jej jeszcze i przynieś coś innego. Pewnie nie jadła od wielu dni – mówi jeździec.

Przynoszą jej ser, potem jeszcze niekończące się dokładki chleba i zupy, ale Dubhe zmiata wszystko do ostatka. Pozostali patrzą na nią, uśmiechając się pod nosem, i głównie o niej rozmawiają.

–To pewnie dziewczynka z którejś z zaatakowanych wiosek. Granica nie jest w końcu tak daleko.

–Mówisz? Widziałeś, jaka jest brudna i obdarta? A te wszystkie zadrapania...

–Pewnie uciekła przed jakimś najazdem. Wszyscy wiecie, że żołnierze Dohora nie bawią się w subtelności...

–Ale nie mówi nawet trochę?

–W poprzednim obozie, gdzie stacjonowałem, były chmary dzieciaków w takim stanie. Chodzą po obozie jak duchy, a niektóre nawet doprowadzają się do śmierci głodowej.

–No tak, wygląda na to, że akurat jej to nie grozi...

–Biedulka, ciekawe, co też musiała widzieć...

Dubhe w końcu przestaje jeść. Czuje, że pęka, i to jest wspaniałe. Nie przypuszczała, że tak rozkosznie jest jeść aż do przesytu po tak długim poście.

Jeździec zabiera ją do siebie. Nie ma już na sobie zbroi i wydaje się mniej imponujący. Znowu ściska ją za rękę i prowadzi do drewnianej chatki. Wnętrze jest niewielkie, ale wygodne. Dubhe wydaje się nierealne, że znowu może przebywać w domu. Zapach drewna wypełnia jej nozdrza i przypomina jej własny pokój na piętrze, blisko stodoły. Zbiera jej się na płacz.

–No już, nie płacz – mówi jeździec i ociera jej łzę. – Teraz jesteś bezpieczna. Ja będę cię bronił.

To nie o to chodzi, chciałaby powiedzieć mu Dubhe. To nie jest jej miejsce i nawet nie wie, gdzie jest jej dom. To piękna chata, a on jest dobrym człowiekiem, ale nie jest jej ojcem.

Jeździec kładzie ją spać. Koło swojego łóżka przygotował dla niej słomiane legowisko.

–Teraz myśl tylko o tym, żeby odpocząć, dobrze?

Dubhe odwraca się. Słyszy, jak mężczyzna przygotowuje się do snu, a łóżko skrzypi pod jego ciężarem. Potem świeca gaśnie i wreszcie wszystko zapada się w ciemność.

Dubhe zostaje w obozie przez wiele dni. To dziwne miejsce, w swoim życiu jeszcze nigdy takiego nie widziała. Są tu tylko mężczyźni, prawie wszyscy uzbrojeni. Jeździec nazywa się Rin i Dubhe bardzo go lubi. Innych mężczyzn się boi, a on jest jedyną osobą, która potrafi ją pocieszyć. Zresztą uratował jej życie, Dubhe nie może o tym zapomnieć.

Wydaje się, że wszyscy w obozie go lubią, a przez to i na nią patrzą z sympatią. W obecności Rina Dubhe udaje się zbliżyć i do innych żołnierzy. Ktoś jeszcze próbuje pytać ją o imię, ale język nie odnajduje właściwej drogi i Dubhe dalej jest niema. Naprawdę chciałaby móc im wszystko powiedzieć, ale nie jest w stanie.

Kiedy Rin nie musi robić niczego innego, bierze ją ze sobą i prowadzi do pobliskich wiosek. Pokazuje dziewczynkę wielu kobietom i pyta, czy ją znają. Dubhe uważnie przygląda się każdej z nich; wciąż ma nadzieję na znalezienie kogoś, kto okaże się znajomy, ale wszystkie twarze, jakie przed sobą widzi, są obce.

Wieczorem wracają do obozu z niczym, ale Rin nigdy nie wydaje się smutny.

Pozwolił jej dotknąć miecza i nauczył ją karmić swojego smoka, który nazywa się Liwad. Byłoby prawie idealnie, gdyby Dubhe nie była tak nieskończenie daleko od domu. Pewnego wieczoru słyszy, jak Rin rozmawia z kucharzem.

-Myślałem, żeby zatrzymać ją przy sobie.

-Szykuje się wojna...

-Być może... Ale król nie ma odwagi, więc jesteśmy tutaj i tylko patrzemy, czekamy.

Ja ich szpiegowałem, wiem, co knują...

-I właśnie dlatego wybuchnie wojna. Wielu ludzi podobnie jak ty łamie układ i szpieguje nieprzyjaciela. Wcześniej czy później Dohor to wykorzysta.

-Tym bardziej powinienem zatrzymać ją przy sobie.

-Uważam, że obóz nie jest odpowiednim miejscem dla dziewczynek.

-A las nim jest? Albo step? Morze?

-Ona potrzebuje ojca i matki. Źle jej tutaj, nie widzisz? Powinieneś oddać ją komuś z okolicznych wiosek.

-Akurat wioski są najmniej wskazanym miejscem. Przecież żołnierze Dohora czasami wychodzą poza granicę, widzieliśmy ich!

-Dobrze wiesz, że tak jest tylko tutaj, przy granicy. Bliżej morza jeszcze panuje pokój. Mógłbyś wysłać ją tam.

Rin milczy bez przekonania.

-Rin, to nie jest twoja córka.

-Wiem.

-Nie możesz myśleć, że zastąpisz ją tą dziewczynką.

-Wcale tak nie zamierzam.

-Dałeś jej ubrania po córce...

-Nie miała innych. I tak czy inaczej, może to znak bogów. Choroba zabrała mi żonę i córkę, a ona nie ma już rodziców. Bogowie sprawili, że się ze sobą spotkaliśmy, abyśmy się nawzajem pocieszyli. Powiesz mi, co w tym złego?

-Że tu wkrótce nastąpi koniec świata.

–Ja tu będę i ją obronię.

Kucharz prycha, podnosi się i idzie do niej, do sąsiedniego pokoju. Dubhe skończyła jeść.

Znak bogów. Czyżby to bogowie chcieli, żeby to wszystko się stało? Czy to oni chcieli, żeby wpadła w ten koszmar?

Zbliża się lato. Dubhe zrozumiała, że znajduje się w Krainie Morza. Nie pamięta jasno, gdzie ona leży, wie tylko, że Selva jest w Krainie Słońca. Mówi sobie, że ostatecznie może nie jest to tak daleko, ale Selva to mała wioska i z pewnością nikt w tych okolicach nie wie, gdzie jej szukać.

Poza tym zaczyna rozkoszować się spokojem obozowiska a czasami nawet, kiedy jest z Rinem, wymyka jej się uśmiech. Nie jest to to samo, co bycie w domu, ale czuje się mniej samotna. Wieczorami jeszcze popłakuje i czasami zadaje sobie pytanie, dlaczego jej nie szukają, dlaczego jej ojciec nie przychodzi, aby ją zabrać, ale od jakiegoś czasu myśli o tym mniej.

Pewnego dnia jednak na twarzach żołnierzy pojawia się napięcie, a Rin ma dla niej mniej czasu. W obozie panuje poruszenie, Dubhe to czuje. Stała się wrażliwa na takie rzeczy i zaczyna się bać.

Potem Rin znika, a wraz z nim wielu innych mężczyzn. Dubhe zostaje sama na cały tydzień. Na równinie za palisadą zawsze widać było strzeliste kolumny dymu, ale nagle robią się one bliższe i gęstsze.

–Płoną okoliczne wioski. Sprawy wcale nie mają się dobrze – słyszy słowa pewnego żołnierza.

Dubhe jest niespokojna. W każdej chwili spodziewa się czegoś strasznego. I rzeczywiście, w końcu to nadchodzi. Znienacka budzą ją w nocy. Dubhe podrywa się z krzykiem i dostrzega błyszczącą, pełną twarz kucharza.

–Szybko, wstawaj i ubieraj się.

Dubhe chciałaby spytać, wiedzieć, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek gardło zamyka się przed głosem.

–Pospiesz się!

Kucharz jest potwornie przestraszony i jego niepokój udziela się Dubhe. Dziewczynka ubiera się pośpiesznie i bez wahania bierze sztylet.

–Nic tym me wskórasz... – rzuca ostro kucharz.

Dubhe jeszcze mocniej zaciska palce. Czuje, jak dusi ją w gardle, a do oczu napływają łzy.

Kucharz chwyta ją za ramiona i patrzy jej w oczy.

–Musisz uciekać, tak szybko, jak potrafisz. Idź na północ, to nasze terytorium, tam są jeszcze bezpieczne wioski. Niedaleko stad są niezbyt gęste zarośla. Ukryj się tam i nie wracaj, dopóki po ciebie nie przyjdę. Zrozumiałaś?

Dubhe zaczyna płakać. Nie chce uciekać, nie chce.

Spoza namiotu dobiega nerwowe dreptanie i brzęk mieczy.

Dubhe stoi nieruchomo.

Nie zostawiaj mnie samej, nie zostawiaj mnie samej...

–Idziesz czy nie? – wrzeszczy kucharz, a jego twarz jest napięta złością i strachem.

Dubhe otrząsa się i ucieka.

Wychodzi w duszące ciepło nocy i próbuje biec, ale już pierwsze dźwięki ranią jej uszy. Krzyki bólu, jakby skargi rannych. To jakiś rodzaj straszliwego wezwania. Dubhe wie, że nie chce się odwracać, wie, że zaraz za nią dzieje się coś przerażającego. Żołnierze Dohora robią straszne rzeczy. Jeżeli się odwróci, zobaczy je. Ale nie może się powstrzymać.

Zatrzymuje się za namiotem i patrzy za siebie. Za ledwie na moment, po czym odwraca się z powrotem. Kilka kroków za nią rozciąga się piekło. Ludzie zarzynają się w bladym świetle księżyca. W powietrzu unosi się wielki zielony smok, a po obozie biegają wrzeszczący dziko ludzie, ludzie w płomieniach. Kto nie ucieka, walczy włócznią i mieczem, a wszędzie jest krew. Wielu rannych leży na ziemi. To ludzie z obozowiska, których znała. I wszędzie szeroko otwarte oczy Gornara.

Potem Dubhe podnosi wzrok ku niebu. Zielony smok przelatuje nad jej głową... i trzyma coś w pysku. Rozpoznaje to aż nazbyt dobrze. To skrzydło Liwada.

Dubhe chciałaby krzyczeć na cały głos, ale wokół niej nie ma powietrza. Stoi jak skamieniała.

–No idź! – wrzeszczy jeszcze jakiś głos i Dubhe w ostatniej chwili dostrzega, jak kucharz zostaje przeszyty włócznią.

Jakimś cudem zakłęcie zostaje złamane. Nogi Dubhe podejmują za nią decyzję i zabierają ją daleko.

Ucieka bez celu, biegnie w kierunku wskazanym przez kucharza, podczas gdy

jej umysł jest gdzieś daleko, w utraconym miejscu, razem z tym wszystkim, co do tej chwili posiadała. Nie ma już nic, tylko biel oczu umarłych.

Dubhe cudem dostaje się do puszczy, o której mówił kucharz. Biegła przez całą noc, a kiedy tam dociera, zatrzymuje się tylko dlatego, że wykończona upada na ziemię. Przerażliwie bolą ją stopy, ramiona nie są w stanie jej podtrzymać. Nie może już się podnieść. Nie ma sił. Świat owinięty jest martwym światłem, pierwszymi odblaskami świtu. Dla Dubhe noc nie ma końca. Jej otwarte oczy patrzą w gęstwinę, ale jej nie widzą. Jest jeszcze w obozowisku, wokół niej same padające ciała. I wtedy krzyczy, krzyczy, krzyczy.

Dubhe zostaje w puszczy. Wyciągnięta na ziemi. W oczekiwaniu.

Mija czas. Dubhe nie zdaje sobie z tego sprawy. Słońce odbywa swój bieg. Świt, południe, zachód i znowu noc. Dubhe nie wstaje. Potem znów szklany świt, gwiazda poranka. I mgła w jej głowie rzednie.

Kucharz nie przyjdzie. Rin nie przyjdzie. Wszyscy umarli. Tylko ja jestem żywa...

Znowu jest sama. Czuje się jak złamana.

Nie może płakać. Otacza ją przeraźliwy spokój. Żadnego bólu ani żadnej radości, żadnego strachu. Znowu, tak jak wtedy w lesie, czyste i proste życie.

To pragnienie popycha ją do działania. Podnosi się i pije.

Z tego samego potoku, który obmywał obozowisko, tego samego, którego trzymała się, aby się ocalić. Głód. Dubhe kieruje się na północ, tak jak powiedział jej kucharz

Nagle wydaje jej się, że nie minęła nawet minuta od jej samotnej wędrówki przez las. Życie w obozowisku, Rin i jego smok, wszystko znikło. Może to wszystko nie było niczym innym tylko snem.

Unosząca się przed nią spirala dymu wskazuje jej drogę do wioski. Jest mała, prawie jak Selva. Kilka drewnianych chat ze słomianym dachem, ciasne zaułki między jednym domkiem, a drugim, placyk z małą fontanną. Połowa domostw jest

spalona. Panuje absolutna cisza. Na ziemi leżą kolejni umarli. Dubhe patrzy na tę scenę, ale wcale jej to nie porusza. Tamtego wieczoru, podczas rzezi w obozowisku, stało się coś, co odebrało jej wszelką formę litości.

Jestem głodna.

Porusza się wśród spustoszenia i smutku.

Wchodzi do domów, zarówno do tych nienaruszonych, jak i tych spalonych. Szuka spiżarni, które byłyby jeszcze pełne, grzebie w skrzyniach, patrzy po półkach i w kredensach.

Wreszcie wchodzi do domu mniej zrujnowanego niż inne. Tym razem trupy leżą w środku, ale Dubhe się nie boi. Wszyscy mają twarze Gornara, ale ona jest głodna, a głód jest silniejszy niż przerażenie.

Idzie w kierunku kredensu. Zobaczyła czerwień jakiegoś jabłka.

Regał jest wysoki, Dubhe wspina się więc na palce, wyciągając rękę jak tylko może. Nie sięga. Wysila się, ale owoc wciąż jest za wysoko. Nagle pojawia się czyjaś dłoń i bierze jabłko.

Dubhe odwraca się przestraszona.

–To chciałaś? – Mężczyzna, który przed nią stoi, jest nienaturalnie chudy i wysoki. Uśmiecha się drwiąco. To musi być żołnierz. Ma wysokie, skórzane buty, a jego pierś pokrywa lekki pancerz. Przy czarnym pasie przywieszony jest wielki miecz

w pochwie. Jest coś niepokojącego w nim i w całej jego sylwetce.

–To co, chcesz je?

Dubhe wyciąga rękę, ale mężczyzna podnosi jabłko na niemożliwą dla niej wysokość.

Dubhe stara się wspiąć na palce, ale to nic nie daje. Mężczyzna popycha ją w kierunku kredensu. Odcina jej wszystkie drogi ucieczki. Potem zbliża się do niej z coraz wyraźniej zarysowanym uśmiechem.

–Taka ładna mała dziewczynka nie powinna znajdować się w takim miejscu, wśród tych wszystkich ciał. Bo będzie przechodził ktoś taki jak ja i ją sobie zabierze.

Mężczyzna podchodzi jeszcze bliżej, ale nagle się zatrzymuje

–Co, u diabła...

–Zamknij oczy, dziecko – mówi spokojny i pewny głos, inny niż głos żołnierza. Dubhe nawet nie myśli, żeby nie posłuchać. Tym razem trzyma oczy mocno

zaciśnięte. Już wystarczająco się napatrzyła. Słyszy zduszony jęk, a potem lekki odgłos upadku.

–Nic ci nie jest? – pyta głos.

Dubhe ostrożnie otwiera najpierw jedno oko, potem drugie. Przed nią stoi

mężczyzna całkowicie owinięty w długi, brązowy i wytarty płaszcz. Na głowie ma kaptur, który zupełnie zakrywa mu twarz, w dłoni trzyma cienki sztylet.

Człowiek, który ją zaatakował, leży na podłodze, z twarzą skierowaną do ziemi.

To dziwne, ale teraz Dubhe się nie boi, mimo iż stojący przed nią mężczyzna ma w sobie coś groźnego i jest całkiem zamaskowany.

–Czy dobrze się czujesz?

Dubhe nie może odpowiedzieć, tylko lekko kiwa potakująco głową. Jedna dłoń wydobywa się spod płaszcza i zdejmuje jej sztylet z paska, gdzie Dubhe przyzwyczała się go trzymać. Mężczyzna bierze go, oślepiające światło słońca odbija się w ostrzu.

–Nie masz go dla zabawy. Następnym razem go użyj.

Tym samym gwałtownym gestem, co wcześniej, mężczyzna odkłada sztylet na miejsce.

–Tak czy inaczej, uciekaj z tego miejsca i kieruj się na północ, Za tym lasem panuje pokój i jest wiele wiosek, gdzie znajdziesz kogoś, kto się tobą zajmie.

Następnie z tą samą dostojną elegancją, z jaką się pojawił, obraca się i znika za kurtyną z dymu.

[11. Świątynia Czarnego Boga](#)

Wyruszyła następnego dnia. Zrobiła to świtem, pospiesznie pożegnawszy się z Magarą.

Po powrocie do domu kilka dni poświęciła wyłącznie na leczenie i wypoczynek. Na wszelkie sposoby starała się uciec od widoku symbolu na ramieniu; dopóki go nie widziała, prawie udawało jej się nie myśleć zbyt o kłątwie, ale kiedy już się wydawało, że wreszcie wydobyła się z koszmaru, rękaw podciągał się i odkrywał przed nią prawdę.

Musiała odnaleźć czarodzieja, który nałożył na nią pieczęć.

Podróż miała trwać nie więcej niż sześć dni; to drobiazg dla wytrenowanych nóg Dubhe, ale w końcu była rekonwalescentką, a to komplikowało sprawę.

Świątynia Gildii znajdowała się na najbardziej na północ położonym obszarze Krainy Nocy, na terytorium, które za czasów Wielkiej Wojny było jeszcze zajęte przez Twierdzę Tyrana.

Dubhe nigdy tam nie była. Znała to miejsce tylko ze słyszenia i z tego, co jej opowiedział Mistrz. Pokryta kurzem świątynia, postawiona w zapomnianym miejscu, poświęcona bogu, o którym większość nic nie wiedziała. Niektórzy mówili, że Czarny Bóg – tak nazywali go zwykli ludzie, adeptom Gildii znany był jako Thenaar - pochodził z czasów elfickich. Świątynia prawie zawsze była pusta: nie było w niej nikogo, oprócz jedyne go kapłana, który całe swoje życie spędzał między tymi murami,

odseparowany w sekretnej izbie.

Ukryty Kapłan był jedyną postacią tego tajemniczego kultu, która wzbudzała zainteresowanie ludzi. Od czasu do czasu jakiś desperat udawał się do świątyni, aby za wstawiennictwem Kapłana prosić Thenaara o łaskę. Zazwyczaj chodziło o osoby, które doszły już do kresu i gotowe były na wszystko, aby tylko spełniła się ich prośba, skłonne były nawet poświęcić się temu mrocznemu kultowi. Kapłan regularnie wybierał spośród Postulantów jakiegoś szczęśliwca i zabierał go ze sobą w najtajniejsze obszary świątyni. Nikt stamtąd nie wracał, ale byli ludzie gotowi przysiąc, że otrzymali łaskę właśnie dzięki poświęceniu tych, którzy zostali wybrani przez Ukrytego Kapłana.

Dubhe nie wiedziała, jakie są prawdziwe rytuały kultu Thenaara. Kiedy była dzieckiem, kilka razy próbowała zapytać o to Mistrza, ale zawsze mówił na ten temat bardzo ogólnie i nie wdawał się w szczegóły. Z pewnością miało to coś wspólnego z krwią i zabójstwem, ale nic więcej nie udało jej się zrozumieć. Mistrz był zawsze bardzo niespokojny, kiedy o tym mówił.

„Rytuały Thenaara i Gildii nie są dla ludzi, a nawet dla zabójców takich jak ja. To sprawy złych demonów, lepiej, żebyś nic o nich nie wiedziała”.

Tylko raz Mistrz okazał się bardziej rozmowny, tamtej nocy, której Dubhe miała

nigdy nie zapomnieć. To wówczas zrozumiała, dlaczego Mistrz opuścił Gildię, a opowieść o tym jedynym epizodzie zmroziła jej krew w żyłach.

Dubhe podróżowała niespiesznie, często się zatrzymując. Być może, kiedy już dotrze na miejsce, będzie musiała walczyć, więc chciała być wypoczęta, przygotowana, z jak najbardziej swobodny umysłem. Starła się nie myśleć zbyt o tym, co ją czeka. Bestia na razie spała, ale w każdej chwili mogła się rozbudzić, a myśl o tym, co stało się ostatnio, była dla niej nie do zniesienia. Przedsmak tego, co ją czeka, poczuła tego ciemnego dnia, kiedy zrozumiała, że zbliża się do Krainy Nocy. Chmury były czarne i pełne deszczu, a powietrzem od czasu do czasu wstrząsał grzmot. Zmierzch nadszedł jeszcze przed południem. Była to ziemia dla miłośników zachodu; można było go zobaczyć o każdej godzinie, wystarczyło stanąć tam, na granicy, i obserwować ów wieczny zmierzch. Gdyby mogła wybrać miejsce ostatecznego pożegnania Mistrza, byłoby to właśnie tam, w czerwieni ostatnich promieni słońca. Tymczasem jednak zdarzyło się to latem pod pogodnym niebem Krainy Słońca.

Nadejście nocy zapowiedziało pojawienie się tych niewielu gwiazd, którym udało się wyrzeć zza chmur. Tak właśnie było w Krainie Nocy. Przeplatanie się dnia i nocy było zaznaczone tylko obecnością księżyca i gwiazd: w ciągu dnia ciemność była całkowita, przełamana jedynie nienaturalną i lekką mleczną barwą nieba, wywołaną przez zaklęcie, które sprowadziło na to królestwo wieczną noc.

Dubhe kontynuowała swą podróż.

Po kolejnych trzech dniach marszu dotarła do sanktuarium. Znajdowało się ono na opuszczonym obszarze, otoczone tylko niepokojącą roślinnością typową dla Krainy Nocy. W miejscu gdzie nigdy nie ma słońca, zwykle rośliny nie mogły mieć żadnej nadziei na wzrost. Dlatego ta niewielka grupa, jaka przeżyła efekty zaklęcia, wyglądała dość dziwnie. Wystarczało jej lekkie rozjaśnienie nieba w ciągu dnia, ale jeszcze lepiej radziła sobie w świetle gwiazd. Rośliny te, podobne do kaktusów, miały wielkie, mięsiste i bujne liście, a ich ubarwienie było mroczne: królowała czerń, ale rosły też drzewa o liściach ciemnobrązowych, do złudzenia przypominających barwę zakrzepłej krwi, czy też kwiaty o intensywnym, ciemnogrnatowym kolorze. Bardzo wiele owoców wyglądało jak dziwaczne fosforyzujące narośle, zalane bladym, wewnętrznym światłem.

Pośród tej roślinności wznosiła się wysoka budowla z czarnego kryształu, o raczej prostej strukturze. Podstawą był zwykły prostokąt i to nawet niezbyt rozległy; tym, co robiło wrażenie, była raczej nadzwyczajna wysokość konstrukcji, która rozwijała się w trzy wysokie, spiczaste wieżyczki: jedną centralną grubszą i wyniesioną oraz dwie niższe, znajdujące się po obu jej stronach. Zdawały się pochłonięte gwałtownym wyścigiem ku niebu. Wrota były równie smukłe i wąskie, ciasna szpara otwarta w tkance muru. Na środku fasady zdobiła wielka rozeta jarząca się żywym, czerwonym

światłem. Mury były całkowicie pokryte fryzami i cienkimi splątanymi symbolami kryjącymi, kto wie, jakie znaczenia, których gęsta sieć oplatała trzy wieżyczki aż po szczyty. Oprócz czerwonego światła rozety, po obu stronach wejścia znajdowały się dwie świetliste kule umieszczone w pyskach posągów dwóch wielkich potworów. Zza świątyni można było dostrzec słabe światło, jakim emanowały owoce owej Krainy. Dubhe zatrzymała się i nie mogła powstrzymać dreszczy, jakie przebiegły ją na widok tej budowli.

Po tak długim czasie spędzonym na próbach ucieczki wreszcie sama przyszła aż tutaj. Jej strach został wyparty przez gniew.

Nie dość, że mój Mistrz, nie wystarczyło ci zniszczyć jego... teraz też mnie...

Ale jej strach nie był jedynie nienawiścią, jaką odczuwała do Gildii i wszystkiego, co jej dotyczyło, ani też wyłącznie lękiem, wpojonym jej już w dzieciństwie przez nieliczne opowieści Mistrza. Chodziło o coś nikczemnego i mrocznego, co przebijało z wielkich kwadratowych kamieni muru i co wypływało na zewnątrz przez czerwone światło rozety. Przyglądając się tej poświacie, Dubhe poczuła zawroty głowy. Owładnęły ją obrazy rzezi i z bezlitosną jasnością uświadomiła sobie, że całe to zło, ten horror, który niemal wydarł jej samą siebie, musiał mieć korzenie właśnie tu, w tym ponurym miejscu.

Zebrała siły, zamknęła oczy i w ciemności udało jej się opanować. Weszła.

Wnętrze nie było mniej ponure od fasady. Świątynia podzielona była na trzy nawy podtrzymywane surowo ociosanymi kolumnami. Ich trzony były poplamione zakrzepniętą krwią, krwią Postulantów, którzy kładli dłonie na ich tnących krawędziach wyciętych dłutami. Dubhe podniosła oczy; można było rozpoznać zarysy trzech wieżyczek, ale nie dało się zobaczyć ich szczytów, były wzniesione za wysoko i znajdowały się zbyt daleko od spojrzeń wiernych.

W ścianach znajdowały się nisze, każda z nich zajęta przez monstrualną figurę; były tam wielkie smoki o przerażającym wyglądzie, cyklopy, dwugłowe potwory, wszelkie plugawe stwory, jakie tylko potrafiły wyobrazić sobie umysły adeptów. W głębi stał lśniący ołtarz z czarnego marmuru, a za nim olbrzymi czarny posąg z czerwonawymi żyłkami. Przedstawiał on człowieka o długich, potarganych przez wiatr

włosach, o dzikim, budzącym strach uśmiechu wyrysowanym na twarzy. W jednej dłoni trzymał on błyskawicę, a w drugiej długi, zakrwawiony sztylet. Krew, która z

niego kapąła, zdawała się być prawdziwa. Był ubrany jak wojownik i sprawiał

wrażenie niezwykle groźnego, ożywianego wewnętrzną, niewypowiedzianą

niegodziwością. Ołtarz również był poplamiony krwią, jak wszystko znajdujące się w tym wnętrzu.

W środkowej nawie stały proste, surowe hebanowe ławki wszystkie zakurzone i puste, z wyjątkiem jednej. Zajmowała ją klęcząca kobieta. Pochylała się nad złączonymi dłońmi i wydawała się przytłoczona przez jakiś niemożliwy do wytrzymania ból. Miała bose, poranione stopy, prawdopodobnie od długiej drogi, i mruczała coś w rodzaju modlitwy.

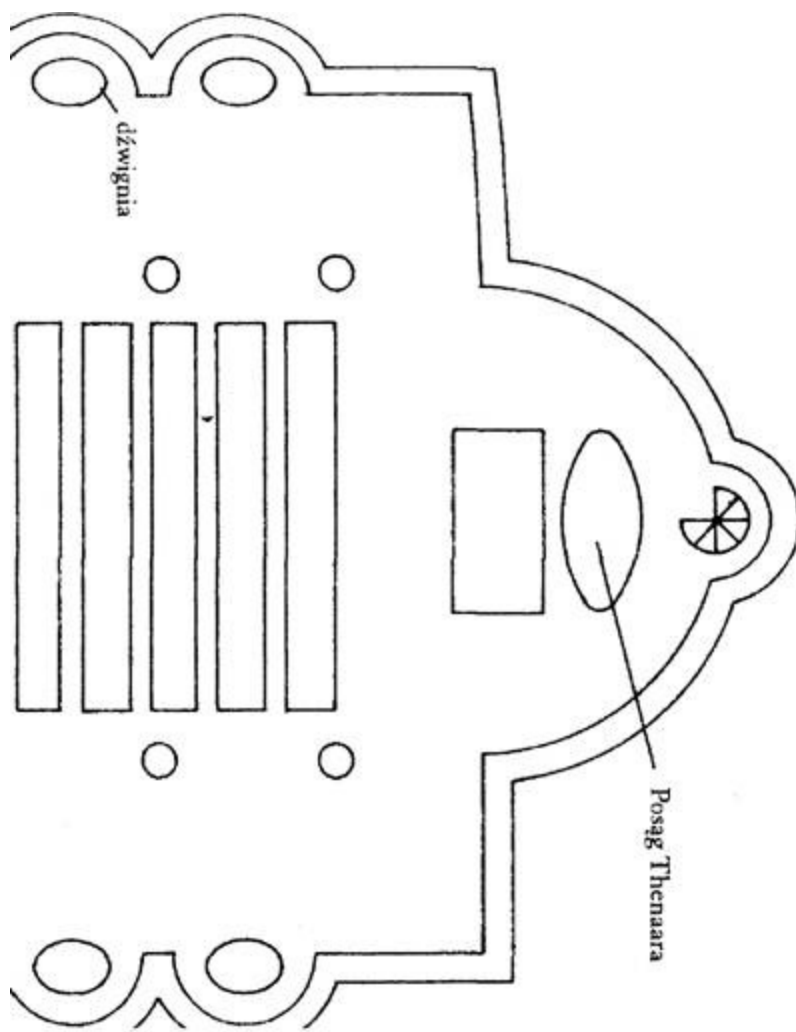
–Weź moje życie i ocal jego, weź moje życie i ocal jego...

Jej głos był pełen rozpacz, a sposób, w jaki powtarzała tę smętną frazę, odbierał jej cały sens. Była to modlitwa osoby, która nie ma już nic do stracenia, która widziała, jak zabierają jej wszystko, i jest gotowa na śmierć.

Dubhe z trudem oderwała od kobiety wzrok. To widowisko sprawiało, że czuła się nieswojo i narastał w niej lęk.

To tego ode mnie chcecie? Chcecie, żebym się ukorzyła, bo nie uczynił tego Mistrz?

Dubhe przeszła dalej. Dla większości ludzi miejsce to było jedynie świątynią, ale Mistrz nauczył ją, że w rzeczywistości są to tylko wrota. Pod nią na całej metry w głąb ziemi sięgał Dom – miejsce, gdzie mieszkali Zabójcy, gdzie kult był praktykowany naprawdę i gdzie Gildia prowadziła własne interesy. Wszyscy wiedzieli o istnieniu Domu, ale bardzo niewielu miało świadomość, gdzie on się znajduje i jak można się tam dostać.



Nisze z posągami

.T !-* L 1 _____ - l _____ 1 \...

o o o o

uucSfesod z azsijsi

oaOao

»-* •

Dubhe zaczęła uważnie przyglądać się niszom. Znowu przesunęła skupionym wzrokiem po statuach potwornych stworzeń, dopóki nie znalazła rzeźby morskiego węża. Prześlizgnęła się oczami po gładkiej i lśniącej powierzchni czarnego kryształu skupiając uwagę na znajdujących się na grzbiecie kolcach. Spostrzegła jeden, zaznaczony lekkim, ledwie widocznym nacięciem, którego mniej wyćwiczone oko nigdy by nie zauważyło.

Złapała zań zdecydowanie i pociągnęła. Kolec zadrżał leciutko, po czym sam wrócił do pozycji wyjściowej. Kolejne zabezpieczenie. Gdyby ktoś pociągnął to przypadkiem, nigdy nie zorientowałby się, że uruchomił jakiś mechanizm.

Dubhe przygotowała się na oczekiwanie. Otuliła się płaszczem i pozostała koło posągu. W panującej ciszy głos kobiety rozbrzmiewał głośno, obsesyjnie, nie do zniesienia. Nie musiała słuchać jej długo, bo wkrótce zza ołtarza wynurzył się jakiś człowiek. Miał na sobie ogniście czerwoną, opadającą aż do stóp tunikę, ozdobioną wzdłuż brzegów czarnymi wzorami identycznymi jak te na fasadzie świątyni. Na jego widok Dubhe przebiegł dreszcz.

Mężczyzna przyglądał jej się przez kilka sekund, po czym skinął, aby się zbliżyła. Dubhe przeszła cicho po czarno-białej posadzce świątyni aż do ołtarza. Mogła jeszcze odwrócić się i odejść, ale gdyby tak zrobiła, co by się z nią stało? Wiedziała, jaki straszny koniec by ją spotkał.

Mężczyzna czekał tam na nią z irytującym uśmiechem wrytym na twarzy. Yeshol, Najwyższy Strażnik Gildii, jej przywódca i celebrans kultu, ten, który ze swojej podziemnej nory pociągał za wszystkie sznurki. Chociaż przeżył już przynajmniej sześćdziesiąt lat, miał żywotne ciało trzydziestolatka i jędrne mięśnie ledwo skrywane pod tuniką. Był klasycznym przykładem człowieka z Krainy Ciemności: mleczna cera, niebieskie, jasne i przenikliwe oczy, dzięki ciemności przyzwyczajone do dostrzegania nawet najdrobniejszych szczegółów, krótkie czarne, kędzierzawe włosy. Tym, którzy umieli patrzeć, nie uszedł uwagi pełen ironii grymas, jaki często przybierały jego usta. Hipokryta, przyzwyczajony do oszustw i intryg, oczywiście

zabójca, ale przywykły do metod polityki.

–Tak myślałem, że przyjdiesz – powiedział z uśmiechem. Dubhe poddała się poczuciu podporządkowania, które wzbudzał ten mężczyzna. Musiała być spokojna i pewna siebie. – Muszę z tobą pomówić.

–Chodź za mną.

Poprowadził ją do schodów znajdujących się tuż za ołtarzem, śliskich, kręconych, o bardzo małych i niepołączonych stopniach. Zeszli do ciasnego, słabo rozjaśnionego pochodniami korytarzyka i wędrowali jedno za drugim przez wiele metrów. Ich kroki rozbrzmiewały pod kolebkowym sklepieniem korytarza.

Dubhe wiedziała, dokąd idą, Mistrz mówił jej o tym miejscu. Komnata, gdzie Najwyższy Strażnik spędzał większość swojego czasu, jego gabinet – miejsce, z którego Wielki Starzec organizował życie Gildii i przesądzał o śmierci tych, którzy na nią zasłużyli. To, co się działo, wywoływało w niej dziwne odczucia. Było coś niewłaściwego w tym, że tam była i spokojnie podążała za krokami Yeshola, coś szaleńczego. Starła się pamiętać tylko o tym, co miała w głowie, o niczym więcej.

Wreszcie dotarli do hebanowych drzwi znajdujących się w głębi korytarza. Yeshol otworzył je małym, srebrnym kluczykiem i wszedł jako pierwszy.

Było to czarne, okrągłe jak studnia pomieszczenie, oświetlone przez dwa wielkie trójnogi z brązu. Ściany przysłonięte były regałami wypełnionymi po brzegi książkami, a powietrze dochodziło z wysoko umieszczonego okna. Znajdowali się zatem pod posadzką sanktuarium. Pośrodku pokoju stał spory stół, a za nim posąg Thenaara, identyczny jak ten w świątyni, tyle że o wiele mniejszy. Trochę pachniało tu krwią, a Dubhe poczuła się dziwnie, jakby zagubiona. Zamknęła na moment oczy, poczekała, aż usłyszy odgłos zamykanych drzwi, po czym przystąpiła do działania.

Błyskawicznie wyciągnęła sztylet, wykręciła ramię Yeshola za plecy i nim zdążył odetchnąć, oparła mu ostrze na szyi.

–Chcę wiedzieć, kto to – wyszeptała mężczyźnie do ucha.

Minęło wiele czasu, od kiedy ostatni raz wcielała w życie swoje umiejętności zabójcy, ale jej ciało nawet zbyt dobrze pamiętało przeszkolenie i wszystko przyszło jej z wielką naturalnością.

Jeżeli jest człowiek, którego mogę zabić, to jest to on.

Yeshol nie wydawał się w najmniejszym stopniu zdziwiony ani przestraszony. Jego ciało było nieruchome, a oddech regularny. Pozwolił sobie na śmiech.

–Takie zatem są twoje zamiary? A teraz co chcesz zrobić: Zabić wszystkich, którzy są w środku?

Dubhe poczuła, że dusi ją wściekłość, że nie ma nad sobą pełnej kontroli. Symbol na jej ramieniu pulsował.

–Nie interesuje mnie nic takiego. Chcę tylko wiedzieć kto rzucił na mnie klątwę.

–Wiesz, że ja ci tego nie powiem. Jeżeli Sarnek kiedykolwiek mówił ci o mnie, powinnaś o tym wiedzieć.

–Nie ośmielaj się nawet o nim wspominać!

–Oto twój problem, Dubhe, ten głupi afekt do Przegranego. Ale ty nie chcesz tego zrozumieć...

Dubhe przycisnęła ostrze do jego gardła i poczuła, jak spływający strumyczek krwi moczy jej ramię.

–Nie lekceważ mnie.

Nawet teraz Yeshol nie wydawał się zdenerwowany.

–Krew mnie nie przeraża, śmierć też nie. Są moim żywiołem. Nie powiem ci, kto to był. I chyba nie muszę ci przypominać, że jeżeli mnie zabijesz, nie tylko nie uwolnisz się od klątwy, ale będziesz miała na karku całą Gildię. Zachęcałbym cię zatem do chwili zastanowienia, odłożenia broni i podyskutowania ze mną. Jest wiele do powiedzenia. A poza tym, co chcesz zrobić? Wystarczyła ci tylko lekka woń krwi, a już jesteś wzburzona.

To była prawda. Trudno jej było zachować kontrolę, Bestia mogła się w każdej chwili przebudzić.

Dubhe puściła go ze złością. Yeshol w ostatniej chwili zdążył złapać się stojącego przed nim stołu.

Pozostał tak nieruchomo przez kilka chwil, po czym odwrócił się, a jego twarz

przybrała swój zwykły pogardliwy uśmiech. Wskazał jej krzesło.

–Nie ma wątpliwości, jesteś dobra. Lata zmarnowane na pracę w hakerze złodziejki, a tu proszę... Twoje ciało, twa zwinność...

Dubhe zacisnęła pięści i opuściła wzrok. – Siadaj – powiedział jej wreszcie. Dubhe posłuchała. Jej nogi lekko zadrżały.

–Dlaczego? – spytała.

–A sama nie rozumiesz?

–Może i jestem Dzieckiem Śmierci, ale macie tu chmary zabójców, nie potrzebujecie mnie.

Yeshol uśmiechnął się.

–Czy chcesz przypadkiem udowodnić mi, że podziw, jaki dla ciebie żywie, jest całkowicie bezpodstawny? Dubhe, poświęceni nie mogą uniknąć swego przeznaczenia, a twoje jest pod znakiem Thenaara.

–Ja nie jestem zabójczynią.

–Ależ jesteś, urodziłaś się, aby nią być.

–Ja nie zabijam! – wrzasnęła.

–Zrobiłaś to, i to całkiem niedawno. Dubhe poczuła zawroty głowy.

–Jesteś jedną z nas i byłaś nią, jeszcze zanim się urodziłaś. Otrzymałaś nasze przeszkolenie i w głębi serca sama wiesz, że niczego innego nie umiałabyś robić. To,

czym się zajmujesz teraz, aby przetrwać, to nędzne życie złodziejki, które prowadzisz,

jest olbrzymim marnotrawieniem talentu i poniża cię, bo nie jest to twoja droga. Ty należysz do nas i w głębi duszy jesteś tego świadoma. Dubhe zacisnęła pięści.

Przypomniała sobie czarnego mężczyznę odcinającego się wyraźnie na tle zachodu

słońca, mężczyznę, który przyszedł o nią wypytywać, mężczyznę, który zniszczył jej marzenie o spokojnym życiu z Mistrzem.

Jej gniew narastał. Dlatego, że słowa Yeshola w straszliwy sposób zgadzały się z tymi, które ona sama powtarzała sobie przez długie lata, i potwierdzały wstręt, jaki czuła do samej siebie, oraz poczucie ucisku, które towarzyszyło jej przez wszystkie dni jej życia. Zawsze wierzyła w przeznaczenie.

–Ja nie podzielam waszych barbarzyńskich kultów, Thenaara czy jakiegokolwiek innego głupiego bóstwa, żadne z nich nie istnieje.

Na Yesholu bluźnierstwo to nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

–To Thenaar ciebie chce.

Dubhe wykonała gest zniecierpliwienia.

–Wszystko to niepotrzebne i śmieszne pogaduszki. Przejdź raczej do sedna. Czego chcesz za zdradzenie mi tego, co wiesz?

–Widzę, że w dalszym ciągu nie rozumiesz. Ja nigdy nic ci nie powiem, ani teraz, ani w przyszłości.

Dubhe wbiła swój sztylet w drewno biurka.

–Jeżeli taki jest twój zamiar, jestem kobietą martwą, a martwa kobieta niczego się nie boi. Może was całkiem nie unicestwię, ale z pewnością wielu z twoich ludzi, a ty sam jako pierwszy pójdziesz za mną.

–Zabójca jest zimny, Dubhe, a ty dzisiaj mówisz, nie myśląc. Przecież fakt, że nic ci nie powiem, nie oznacza, że nie chcę ci pomóc.

Dubhe siedziała oszołomiona.

–My znamy sposób, aby utrzymać tę klątwę pod kontrolą.

–Kłamiesz. Powiedziano mi, że tak nie jest.

–Ten, kto to zrobił, nic nie zrozumiał. To nie jest pieczęć, to klątwa. A klątwa może zostać zdjęta nawet przez kogoś, kto jej nie rzucił.

–A więc?

–A więc my będziemy ci podawać lekarstwo, które cię wyleczy, ale po trochu.

Potrzeba będzie lat, abyś wyzdrowiała. A w ciągu tych lat będziesz nam służyć.

Dubhe pozwoliła sobie na sarkastyczny uśmiech.

–Oto zatem powód wszystkiego...

–Widzę, że zaczynasz myśleć.

–Do diabła...

–Jesteś nierozsądna. Twoje miejsce jest tutaj: twój codzienny ból i wciąż otwarta rana po śmierci Sarnka... odczuwasz to wszystko, bo nie jesteś jeszcze w domu. W tym miejscu odnajdziesz spokój, którego szukasz, bo to tym murom i tej ciemności zostałaś przeznaczona jeszcze przed narodzeniem. Dubhe patrzyła na niego twardo.

–Ty draniu, znalazłeś naprawdę piękny sposób... Ale ja nienawidzę tego miejsca i wolę umrzeć niż oddać się wam w służbę.

–To twój wybór. Ale przemyśl to dobrze. Nie mówimy o śmierci, jaką zawsze widziałaś. Nie mówimy o starcu, który oddaje swą duszę na końcu swoich dni, we własnym łóżku, być może zadowolony ze swojego małego życia. Nie mówimy o truciznie, która zabije cię po kilku chwilach bólu, albo o ostrzu, które przeniknie twoje

ciało, ani o wszystkich innych rzeczach, które pojmujesz i które znasz. Mówimy o otchłani, o miejscu, z którego nie można się wydostać, miejscu mrocznym, którego nikt, zapewniam cię, nikt nie zna. Twój umysł będzie zanikał dzień po dniu, a ty będziesz próbowała odnaleźć samą siebie, będziesz próbowała ze wszystkich sił. Ale

Bestia, która w tobie żyje, nie zna spokoju i jest wiecznie wygłodniała. Będzie cię pożerać kawałek po kawałku. Będziesz widziała, jak działa za pośrednictwem twojego

ciała, zobaczysz ją tak, jak tamtego dnia, kiedy dokonałaś rzezi w lasku. I tak setki razy. A poza tym nie będzie się to już działo tylko wtedy, kiedy zabijasz. Głód ciała i krwi stanie się twoją obsesją, Dopadnie cię w łóżku lub kiedy będziesz szła, jadła, w

każdej chwili twojego dnia. Dopóki nie staniesz się tylko zwierzęciem i nie zaczniesz żyć jak zwierzę. Dopóki samo szaleństwo cię nie zabije. I nie myśl, że będziesz mogła się zabić, zanim to wszystko się dopełni, bo Bestia ci na to nie pozwoli. To nie będzie szybkie. Nie będzie piękne.

Dubhe czuła, jak krople zimnego potu spływają jej po plecach. Mogła zobaczyć to wszystko, co powiedział Yeshol, usłyszeć to i poczuć. Całe życie identyczne jak te koszmarne dni, których nie tak dawno doświadczyła.

Podniosła przerażony wzrok na siedzącego nieruchomo mężczyznę.

–Jak możesz zrobić mi coś takiego... jak mogłeś wykoncypować... – słowa zamarły jej w gardle.

–Dla chwały Thenaara. Kiedy już będziesz z nami, sama też to zrozumiesz.

Dubhe patrzyła w ziemię. Brakowało jej powietrza w tej klitce czuła, że jest zgubiona.

–Pokój dla ciebie jest już gotowy, zaraz za tymi drzwiami. Pierwszego dnia

doświadczysz bólu, ponieważ śmierć zamieszkująca to miejsce jest pokarmem Bestii,

ale my damy ci lekarstwo i od razu poczujesz się lepiej. Między ocaleniem a straszliwą

śmiercią są tylko te drzwi, Dubhe, tylko one. Twoje „tak” lub twoje „nie”.

Dubhe znów spojrzała w ziemię, była wstrząśnięta. Potem wstała i otuliła się płaszczem.

–Nie mogę teraz zdecydować.

–Jak chcesz. Wiesz, gdzie mnie szukać, ale wiesz również, co cię czeka, jeżeli powiesz „nie”.

Dubhe wyciągnęła sztylet ze stołu, poczekała, aż Yeshol otworzy drzwi i wyprowadzi ją na zewnątrz.

–Dobrze się zastanów, Dubhe, dobrze się zastanów – powtórzył jej po raz ostatni, kiedy tylko znaleźli się w sanktuarium.

Kobieta jeszcze modliła się na swoim miejscu, wszystko było identyczne jak wcześniej, i wszystko wydało jej się nie do zniesienia.

Dubhe odwróciła się i ruszyła raptownie, przemierzając nawę coraz szybciej, aż wybiegła ze świątyni.

12. Droga prowadząca w ciemność

Pierwszym odruchem było odejście daleko, ponowna ucieczka do Krainy Słońca. Zrozpaczona Dubhe biegła, nie zatrzymując się ani na chwilę, na granicy własnej wytrzymałości, dopóki nie zobaczyła przed sobą różowiącego się świtu, dopóki nie zobaczyła, jak znika Kraina Nocy.

Była wykończona i bolała ją rana. Doskonale zdawała sobie sprawę z własnej nieroztropności, rozumiała, że w ten sposób tylko wyrządzi sobie krzywdę, ale w tych dniach bardziej niż rozum liczył się strach, ślepy i zimny. Dlatego musiała wrócić do domu. Wrócić do domu, aby o wszystkim zapomnieć.

Dotarła szybko, w zaledwie pięć dni przemierzyła przebytą uprzednio drogę.

Wydawało jej się, że znowu jest dzieckiem, wróciły do niej wszystkie dawne strachy.

Jakby Mistrz nigdy nie istniał, jakbym wciąż szukała Selvy i rodziców.

Z impetem wpadła do groty i kiedy tylko poczuła zapach pleśni wydało się jej, że czuje się lepiej. Odetchnęła pełnymi płucami, zamknęła oczy.

Znowu w domu, sama. Powoli udało jej się odzyskać równowagę. Kilka dni poświęciła na leczenie się. Rana była podrażniona, czerwona i spuchnięta. Dubhe użyła tej samej maści Toriego.

A podczas gdy ciało wracało do zdrowia, mięśnie rozluźniały się, a skóra na plecach stawała się na powrót różowa i elastyczna, myślała.

Wiele godzin spędziła na rozmyślaniach przy Ciemnym Źródle. Nadeszła zima.

Jeden długi burzowy wieczór i już następnego dnia zapach powietrza był inny, zmieniała się jego konsystencja i chociaż świeciło słońce, jego promienie nie naruszały kołdry chłodu, która opadła na ziemię. Jednak Dubhe nie bała się zimna, wręcz przeciwnie, szukała go i chodziła do źródła nocą, ubrana w zwykłą koszulę, i tylko płaszcz ją ogrzewał.

Musiała wrócić do jedności ze światem, czuć pod otwartymi dłońmi nagą ziemię. Dopiero, kiedy wszelkie inne wrażenia zostawały unicestwione przez ten kontakt, wiedziała, że może rozumować naprawdę jasno.

Tylko Gildia miała antidotum. Nawet Magara nie mogła nic zrobić. Dubhe dobrze wiedziała, że magia Gildii była szczególna. Mistrz mówił jej o tym. Chodziło o zakazane zaklęcia, nikczemną magię, która bazowała na śmierci i obalaniu praw natury. Owe prastare formuły były jednak reinterpretowane, przywracane w duchu kultu Thenaara. Ale krążyły też głosy, zwłaszcza w Krainie Dni, że Gildia była jedynym prawdziwym depozytariuszem czarów elfickich, najmroczniejszych i najbardziej niegodziwych.

Słowa Yeshola rozbrzmiewały w jej umyśle i w nocy nie mogła powstrzymać się przed wspomnieniem rzezi na polanie. I tak już miałyby być zawsze, aż do najgorszej ze śmierci.

Nie tylko znowu zabiła, chociaż ze wszystkich sił starała się z tego wydobyć, ale była to regularna rzeź – coś, wobec czego jej umysł był bezradny. Takie było jej przeznaczenie poza Gildią, a ona nigdy nie zniesie podobnego końca. Wybór wydawał się wręcz zbyt łatwy.

Z czym jednak wiązało się przyjęcie propozycji Yeshola. Oznaczało zaprzęgnięcie się najgorszemu wrogowi, nieprzyjacielowi, z którym Mistrz walczył aż do śmierci. Dla niej.

Nie mogła zapomnieć tego, co zrobili Mistrzowi. Przyłączenie się do nich oznaczało zdradę jego oraz jego nauczania. Nie wyszkolił jej po to, aby stała się maszyną śmierci podporządkowaną kultowi Thenaara, to nie po to ją ocalił i zatrzymał przy sobie. To nie po to wszystko skończyło się tak, jak się skończyło. To on dał jej życie, w jeszcze większym stopniu niż jej ojciec, któremu nie udało się jej ochronić ani odnaleźć po tym, jak ją stracił. Nie mogła mu czegoś takiego zrobić. A poza tym ona porzuciła drogę zabójstwa – przysięgła to, kiedy Mistrz umarł. Nie, nie miała prawdziwego wyboru. Straszliwa śmierć albo mroczna droga Gildii, od której

przez dwa lata starała się uciec. Dubhe pogrążona była w wątpliwościach i tylko jedno rozwiązanie jawiło się na horyzoncie. Śmierć z wyboru, odnaleziona. Śmierć godna, która pozwoliłaby uniknąć tej straszliwej męki, jaką opisał jej Yeshol.

Zawsze odrzucała myśl o samobójstwie. Przeszła przez niezliczone momenty bólu, ale nigdy, przenigdy nie pomyślała, żeby powiedzieć „dość”, odejść najprostszą drogą. Ale teraz nie chodziłoby o tchórzostwo. To nie byłby ostatni czyn nędznika. Chodziło o wybór rodzaju śmierci, bo przecież i tak już była skazana, gdyby odrzuciła propozycję Yeshola.

Dubhe rozmyślała nad tym przez całą noc. Jeżeli miała powiedzieć „nie”, to taka właśnie była jedyna droga. Skończyć z tym, i to zaraz.

A jednak nie mogła. Nigdy nie sądziła, że można ją określić jako kogoś, kto kocha

życie. Życie było proste i brutalne, i trudno jej było wyobrazić je sobie jako coś przyjemnego, pięknego. Ale teraz, kiedy pojedynczy gest dzielił ją od zakończenia całej historii, czuła, że nie może tego zrobić. Coś w niej pragnęło jeszcze żyć. Jakby mogła istnieć przyszłość inna od przeszłości, jakby czas przed nią mógł znowu dać jej Mistrza albo jej lata spędzone w Selvie. Rozpacзлиwa nadzieja, jak wszystkie nadzieje. Irracjonalne pragnienie, żeby iść dalej, aż do końca.

Nie, nie mogła.

Podczas tych nocy u źródła zrozumiała, że to jej natura, suma jej własnych doświadczeń, a jeszcze bardziej jej przeznaczenie wybrało za nią. Mistrza już nie było, jego ciało zdążyło rozsypać się w ziemi, a jej nie pozostawało nic innego, tylko podążanie za tym czymś w środku niej, co uparcie pragnęło żyć. Ale w tym wyborze nie było żadnej radości ani ulgi.

Gildia zwyciężyła.

Pomału opróżniła dom, pożegnała się na zawsze ze wszystkim. Od tej chwili jej dom miał znajdować się w czeluściach ziemi, przy Yesholu.

Kiedy już zbliżał się moment wyruszenia w drogę, niespodziewanie pojawił się Jenna. Zobaczyła go stojącego na progu groty z zasępioną twarzą, okrytego innym niż zwykle płaszczem. Na zewnątrz prószył delikatny śnieżek.

–Długo cię szukałem.

Dubhe nie potrafiła przed sobą ukryć, że widzi go z przyjemnością. Dlatego starała się być twarda.

–Wydawało mi się, że wyraziłam się jasno.

Jenna wszedł i usiadł przy stole. Był opanowany, nie wykonał żadnego z tych drobnych aroganckich gestów, które robił zwykle.

–Co się z tobą działo?

Dubhe wiedziała, że nie może już unikać pytań.

–Odchodzę.

Jenna siedział w osłupieniu.

–To przez tamto wydarzenie na polanie, prawda? Tam się coś stało, a ty tam

byłaś. Ja naprawdę chcę ci tylko pomóc... bo... do cholery, przecież jesteśmy kolegami

w interesach, ale i koledzy w końcu trochę się lubią, czy nie?

Opuścił wzrok.

–Bo trochę mnie lubisz... nie?

Dubhe milczała przez chwilę. Sytuacja zaczynała być żalosna bardziej niż sądziła.

–To, o czym słyszałeś, jest skutkiem choroby. Jestem chora.

–No to potrzeba ci kapłana i kogoś, kto ci będzie towarzyszył... Dubhe potrząsnęła głową.

–Jest tylko jedno miejsce, gdzie mogę się wyleczyć, i lepiej, żebyś nie wiedział, gdzie ono się znajduje. Tam właśnie idę. Oczywiście owo leczenie ma swoją cenę, więc będę musiała za nie zapłacić. Jeżeli chcę żyć, muszę to zrobić.

–Jak długo cię nie będzie? I co mam powiedzieć, jeśli ktoś będzie cię szukał?

–Jenna, już nigdy się nie zobaczymy. Już nie będziemy robić razem interesów. Wracaj do swojej pracy.

Chłopakowi na moment zabrakło słów, a potem uderzył gwałtownie pięścią w stół, tak że Dubhe aż podskoczyła.

–O nie, nie! Już od tak dawna razem pracujemy, widziałem, jak dorastałaś,

byłem przy tobie, kiedy sprawy szły źle. Nie możesz mnie tak zbyć bez wytłumaczenia

mi powodów. Porzucasz mnie!

–Przecież zawsze łączyła nas praca. Nigdy nie było nic więcej.

–Nieprawda, to nie tylko to! Poderwał się na nogi.

Dubhe poczuła w sobie jakieś drgnienie. Ciężko było porzucić całe swoje życie, a Jenna do niego należała. Chociaż znów obiecywała sobie, że nie przywiąże się do

nikogo, musiała przyznać, że jest jej bliski.

–Nie jest mi łatwo zostawić wszystko dla nowego życia, ale muszę. W przeciwnym razie umrę.

–Tym bardziej mnie potrzebujesz.

Dubhe uśmiechnęła się ze smutkiem.

–Idź, idź już sobie i zapomnij o wszystkim. Już ci powiedziałam tamtego wieczoru: nie możesz mnie zrozumieć, tacy jak ja są zgubieni.

Jenna zacisnął pięści, aż zbieleły mu kostki.

–Nie pozwolę ci odejść.

Zrobił to bardzo szybko, z pośpiechem niedoświadczonego dzieciaka. Położył dłonie na jej ramionach i niewprawnie dotknął wargami ust Dubhe. Było to coś tak nieoczekiwanego, że dziewczyna nie miała czasu zareagować. Kiedy poczuła te drżące wargi oparte na swoich, porwała ją rzeka pamięci. Postacie nałożyły się w słodkim i strasznym wspomnieniu, co sprawiło, że się zmieszała. Odskoczyła gwałtownie.

Stali naprzeciw siebie, Jenna z oczami utkwionymi w ziemi czerwony jak nigdy. Dubhe patrzyła na niego zszokowana i z trudem starała się oddzielić jego postać od wspomnień.

–Ja cię nigdy nie kochałam – powiedziała tylko z lodowatym chłodem.

–A ja tak...

Dubhe podeszła do niego blisko i położyła mu dłoń na ramieniu. Rozumiała. Aż nazbyt dobrze.

Jenna był oszołomiony, oczy mu błyszczały. Dubhe odprowadziła go do wyjścia i kawałek w las. Szli obok siebie, nic nie mówiąc. Daleko, w górach, puszczyk rzucił swoje ponure wezwanie.

To kończy się moje życie, tak jak w przeszłości.

Zatrzymała się.

–Zegnaj, Jenna.

Nie znalazł nawet odwagi, żeby na nią spojrzeć.

–To nie może się tak skończyć...

–Ale kończy się tutaj. Wracaj do domu.

Dubhe zostawiła go samego w lesie. Nadszedł czas. Ta noc będzie ostatnią z jej dawnego życia.

Wyruszyła o świcie, zabierając niewiele rzeczy. Spakowała ze sobą całą swoją broń, przede wszystkim sztylet, do którego była bardzo przywiązana.

Popatrzyła na niego innym spojrzeniem.

Znowu będę musiała tego używać.

Przeszył ją dreszcz. Zawsze miała nadzieję, że ta chwila nigdy nie nadejdzie.

Wzięła ze sobą też ubrania na zmianę i trochę prowiantu na drogę. Nawet nie opróżniła całkiem groty. Nie potrafiła powiedzieć, czy to dlatego, że zbyt była do niej przywiązana, czy też dlatego, że w głębi duszy wierzyła w swój powrót. Po prostu odwróciła się plecami do tego miejsca, które tak pokochała, i nie spojrzała za siebie.

Podróż do świątyni zajęła jej sześć dni, dokładnie jak za pierwszym razem. Mogła się pospieszyć i dojść tam wcześniej, ale nie miała na to najmniejszej ochoty. Pomyślała sobie, że prawdopodobnie jest to jej ostatnia okazja, żeby tak długo przebywać na wolnym powietrzu, przynajmniej przez najbliższe miesiące, i chciała się tym nacieszyć. Pragnęła zabrać ze sobą zapachy zimy zanim utraci poczucie czasu, a jej ciało stanie się więzieniem tunelu wykutego w skale.

Chciała także wymazać z pamięci to żenujące i smutne wspomnienie Jenny, który ją całował i tym śmiesznym gestem próbował ją zatrzymać, przywiązać do siebie i do Krainy Słońca – ją, która nie była przywiązana do niczego.

Weszła do świątyni, kiedy było już południe. Ciemność Krainy Nocy była gęsta, a chłód przenikliwy. Wiatr wbijał się przez bramę i przebiegał nawy sanktuarium, ponuro dźwięcząc wokół posągu Thenaara. Tym razem ławki stały puste. Dubhe była sama. Wiedziała jednak, że Yeshol na nią czeka.

Oparła dłoń na kolumnie i poczuła, jak tnące krawędzie czarnego kryształu ranią jej ciało. Kropla krwi spłynęła po filarze.

Ból sprawił, że wróciła jej świadomość i to, co miała właśnie zrobić, nabrało wymiaru.

Podeszła do znajomego posągu, przygięła wiadomy kolec i czekała.

Yeshol pojawił się owinięty w swoją czerwoną tunikę. Uśmiechał się ze źle skrywaną satysfakcją.

–Ostatecznie nie musiałaś się długo zastanawiać...

Dubhe nie odpowiedziała. Dałaby wszystko, żeby móc zderzyć mu z twarzy ten uśmiech, ale jej życie było w rękach tego drania; dokonała wyboru, a ta decyzja nie

przewidywała śmierci Yeshola.

Yeshol musiał jednak coś wyczuć, bo szybko skorygował ton wypowiedzi.

–Nigdy w ciebie nie wątpiłem. Thenaar cię wybrał, nie mogłaś postąpić inaczej, tylko przyjść.

Ruszył tą samą drogą, co poprzednio, i tak jak wtedy dotarli do jego gabinetu. Tym razem zaraz po wejściu mężczyzna pociągnął za złocisty sznureczek wiszący z boku posągu Thenaara.

Dał Dubhe znak, żeby usiadła, sam też tak uczynił.

–Przede wszystkim tutaj nie potrzebujesz broni. Połóż ją na ziemi.

Dubhe zawahała się.

–W dalszym ciągu chcesz mnie zabić? Może i poderżniesz mi gardło, ale moi ludzie zabiją cię, a w takim razie jaki będzie z tego pożytek?

To nie o to chodziło.

–Jestem do tej broni przywiązana.

–Nie jest ci potrzebna.

–Obiecaj, że oddasz mi to, kiedy wszystko się skończy. Yeshol popatrzył na nią prawie z obrzydzeniem, ale się zgodził.

–Dostaniesz ją z powrotem po inicjacji.

Dubhe położyła na ziemi wszystko: łuk, noże do rzucania, strzały. Jako ostatni sztylet. Położenie sztyletu Mistrza na tej przeklętej podłodze wydało jej się prawie bluźnierstwem.

–W stanie, w jakim się teraz znajdujesz, nie wolno ci przystąpić do naszego zgromadzenia, do Domu. Jesteś nieczysta ze względu na zepsute życie bez wiary, jakie prowadziłaś poza tymi murami, a jednocześnie, gdybyś przekroczyła próg, nie trzymając na uwięzi drzemiącej w tobie Bestii, klątwa rozszalałaby się.

Dubhe przerwała mu ruchem głowy.

–To ty wprowadziłeś tę Bestię do mojego serca. Tak czy inaczej chciałabym postawić sprawę jasno. Będę dla was pracować, zrobię to, czego będziecie chcieli, ale

nigdy nie dostaniecie mojej wiary. Ja nie wierzę w żadnego boga, a już z całą pewnością nie w takiego, jak Thenaar.

Yeshol uśmiechnął się.

–Tylko Thenaar o tym decyduje. W każdym razie będziesz z nami mieszkała, a życie wśród nas i przynależność do Gildii oznacza udział w kulcie. Nie możesz postąpić inaczej.

Drzwi otworzyły się i weszła zakapturzona postać. Miała na sobie długi czarny habit z surowego materiału. Pokłoniła się przed Yesholem, unosząc dłonie do piersi, a następnie zdjęła kaptur. Był to raczej młody mężczyzna o króciutkich wypłowiałych blond włosach, z oczami równie jasnymi i pozbawionymi wyrazu; miał zaostrowany nos i bardzo jasną cerę. Patrzył na nią, jakby była przezroczysta.

–To Strażnik Inicjantów, ma na imię Ghaan. Zajmuje się młodymi którzy do nas przychodzą, nowymi adeptami. Zazwyczaj chodzi o dzieci, ale w rzadkich przypadkach mamy do czynienia z kimś starszym, jak ty. On wprowadzi cię w tajniki kultu. Od tego momentu aż do ceremonii inicjacji nie zobaczysz nikogo poza Strażnikiem Inicjantów. Nie jesteś godna, żeby ktokolwiek inny z nas odezwał się do ciebie słowem.

Yeshol skinął głową i Ghaan odezwał się:

–Wstań i chodź za mną.

Dubhe posłuchała. Jej życie należało teraz do tych ludzi. Zanim wyszła, Yeshol przywołał ją jeszcze raz.

–Widziałem twoją dłoń. – Uśmiechnął się. – To kolejny dowód na twoją

przynależność do Thenaara, Dubhe, bo pierwsza rzecz, jaką inicjant musi zrobić, to ofiarowanie własnej krwi, a ty już to zrobiłaś.

Dubhe mocno zacisnęła pięść.

Przeszli przez liczne zaułki wykute w skale, wszystkie ciemne i śmierdzące. Jednak zapach krwi, silniejszy w norze Yeshola, prawie całkiem zniknął i Dubhe oddychała swobodniej. Mężczyzna przed nią nic nie mówił, ograniczał się do marszu. Dubhe podążała za nim. Szybko straciła rachubę mijanych odgałęzień i chodników. Wreszcie dotarli do drewnianych drzwi. Ghaan otworzył je długim, zardzewiałym kluczem. Wnętrze kojarzyło się z prawdziwą studnią. Pachniało pleśnią i było bardzo małe. Dubhe oceniła, że ledwo zdoła się w nim położyć, a już na pewno będzie musiała podkulić nogi. Wysoko, bardzo wysoko widać było malutką szparę, przez którą wpadało nieco powietrza.

–To jest cela oczyszczenia. – Głos mężczyzny był piskliwy, mówił, nie patrząc na jej twarz. – Zostaniesz tutaj przez siedem dni. Siedem dni będziesz pościć, aby się oczyścić. Będziesz miała prawo do pół karafki wody dziennie. Każdego dnia przyjdę do ciebie po daninę i będę cię uczyć kultu. Po tym czasie będziesz mogła wstąpić do

Domu i odbędzie się twoja inicjacja.

–Ja nie wierzę w waszego boga – wymamrotała Dubhe.

Nagle wszystko wydało jej się szalone. Zadała sobie pytanie, dlaczego się na to zgodziła, i przypomniała sobie przerażenie, z jakim Mistrz mówił o tym miejscu.

Ghaan ją zignorował.

Dubhe weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nią gwałtownie, a piskliwy odgłos klucza w zamku odbijał się od jednej ściany do drugiej, aż po szczyt, aż po maleńki otwór wysoko w górze. Wydawał się ogłuszającym hałasem.

Dubhe знаła zasadzki i ułudy ciemności. W najgorszych chwilach ciemność przyjmowała ją i otaczała, wyciągała ją z rzeczywistości i pocieszała. Drugą stroną medalu było właśnie to. Samotność i ciemność odbierały rzeczom ich realność, pochłaniały to wszystko, co znajdowało się na zewnątrz, fałszowały kontury, Ciemność chroni, ale i oszukuje.

I tak było podczas tych siedmiu dni szaleństwa, obłądu.

Rozum bezskutecznie starał się opierać pojawiającym się wizjom. Przeszłość i teraźniejszość plątały się – czasami Dubhe wydawało się, że jest jeszcze dzieckiem, w domu, czasami znów była w lesie, wypędzona z Selvy, innym razem widziała, jak Mistrz patrzy na nią surowo. Prześladował ją Gornar, podobnie jak inne ofiary tamtych rozpaczliwych lat, kiedy sama przed sobą starała się zaprzeczyć swojemu bezwzględniemu przeznaczeniu.

Pożerało ją pragnienie, głód potęgował nieustanną udrękę, a powietrza – w dodatku zatęchłego – było niewiele. Dubhe wytrwale starała się nie zatracić własnego jestestwa, własnych myśli. Jeżeli uda jej się je ocalić, zawsze będzie miała coś, co nie należy do Gildii; dopóki zachowa świadomość, życie będzie miało jeszcze jakiś sens.

Ghaan przychodził nocą, a Dubhe wiedziała to, bo wtedy nad więzieniem zawsze wschodziła gwiazda, jaśniejąca i czerwona.

Pierwszego wieczoru dał jej nowe ubranie. Była to długa tunika, identyczna jak jego, czarna, uszyta z surowego materiału, który drażnił skórę. Potem obciął jej włosy. Pozwoliła mu na to.

Następnie kazał jej podać mu nieskaleczoną rękę. Kiedy to uczyniła, mężczyzna nożem naciął jej dłoń.

–Dla Miecza, który zarzyna – wymruczał i zebrał krew do małej ampułki.

Na koniec dał jej czysty bandaż do otarcia krwi. Był on wilgotny jakby czymś nasączony.

Rozcięcie było małe, lecz głębokie, a widok krwi sprawił, że Dubhe poczuła niepokój.

Bestia jest spragniona.

Od drugiego wieczoru Ghaan zaczął też kształcić Dubhe. Wchodził do celi, niosąc ze sobą inną dziwną ampułkę, którą kazał jej wachać, po czym Dubhe na jakiś czas dochodziła do siebie i była bardziej przytomna.

Później jak przez mgłę pamiętała owe nocne godziny, jakie spędziła razem z tym mężczyzną, oszołomiona głodem i pragnieniem, i prawie zahipnotyzowana jego głosem, tak melodyjnym, kiedy opowiadał jej o Thenaarze.

–On jest najwyższym Bogiem, o wiele potężniejszym od tych wszystkich, których czci się w Świecie Wynurzonym...

–Thenaar jest panem nocy. Wschodzi z Rubirą, gwiazdą krwi. To tamta, widzisz? Nad twoją głową. Osiąga szczyt o północy i wówczas panuje nad mrokami. Rubira

jest służebnicą Thenaara, idzie przed nim i go zapowiada...

–My, jego uczniowie, jesteśmy Zwycięskimi. Ludzie nazywają nas popularnie

Zabójcami, ale my jesteśmy Wybranymi, umiłowanym szczepem Thenaara...

Na koniec każdego spotkania Ghaan ją kaleczył. Co wieczór rana w innym miejscu. Po dłoniach przyszła kolej na przedramiona, potem na nogi. Ostatniego wieczoru naciął jej czoło.

–Siedem znaków, siedem – jak siedmiu Wielkich Braci, którzy naznaczyli naszą

historię Zwycięskich, siedem jak dni w roku, kiedy Rubira jest zasłonięta przez

księżyc, siedem jak siedem rodzajów broni Zwycięskich: sztylet, miecz, łuk, łąso,

dmuchawka, noże i ręce.

Rany szybko się zasklepiały – prawdopodobnie na bandażu była jakaś lecznicza maść – i zostawiały tylko lekki, biały znak. Kiedy Dubhe przyjrzała się swojej dłoni, przypomniała sobie, że Mistrz też miał podobne blizny.

„Pamiętaj, Dubhe, to symbole Gildii. Kiedy je widzisz, znaczy, że masz do czynienia z Zabójcą”.

Jestem Zabójcą, tym, kim od zawsze powinnam być – pomyślała ze zgrozą.

Ósmego dnia drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich postać inna niż

wychudzona sylwetka Ghaana. Dubhe z wysiłkiem podniosła oczy do nieba. Czerwona gwiazda, Rubira, jeszcze nie weszła.

–Okres oczyszczenia minął.

Spokojny i opanowany głos Yeshola.

–Dziś w nocy, kiedy wzejdzie Gwiazda Krwi, nastąpi twoja inicjacja i od tego

momentu będziesz należała do Thenaara.

Zabrali ją z celi, kiedy tylko zrobiło się ciemno. Przyszły dwie kobiety z ogolonymi głowami, też ubrane w czarne habity. Prawdopodobnie były to pomocnice Strażnika Inicjantów, pomyślała Dubhe. Poprowadziły ją do innego pokoju, gdzie zapach krwi stał się wyraźniejszy. Było to okrągłe, obszerne pomieszczenie, oświetlone wielkimi trójnogami z brązu, roztaczającymi dziwny aromatyczny dym i ponure światło tańczące po wykutych w skale ścianach. Oprócz kobiet, które ją przyprowadziły,

było też dwóch mężczyzn. Oni również byli ogoleni, ale nie mieli na sobie tunik, tylko szerokie spodnie z czarnego lnu, a ich torsy były nagie i poznaczone białymi bliznami, które rysowały dziwne wzory, podobne do tych w świątyni. U ich stóp leżały grube łańcuchy. Między nimi, na krześle z wysokim oparciem i poręczami, siedział Ghaan. Kobiety kazały jej uklęknąć.

–Co się ze mną stanie? – spróbowała spytać Dubhe.

–Zobaczysz, kiedy to nastąpi. Ghaan podniósł się i opuścił pomieszczenie.

Mężczyźni pozostali nieruchomo na swoich miejscach, a kobiety zajęły się

dziewczyną. Dały jej nową karafkę z wodą i kawałek chleba, na który Dubhe rzuciła się

wygłodniała. Pochłonęła go paroma kęsami. Potem podały jej szklaneczkę pełną

fioletowego płynu o bardzo mocnym zapachu. Najpierw kazały jej wdychać głęboko

jego opary, a potem wypić. Ciecz była mocna i paliła ją w gardle tak, że łzy stanęły jej

w oczach. Kobiety kazały jej usiąść i na kilka chwil zostawiły ją w spokoju.

Dubhe czuła się wykończona, chociaż chleb i woda dodały jej nieco sił, ale też i dziwnie otępiała. Świat chwiał się przed jej oczami w rytm płomieni w trójnogach.

–Co mi dałyście do picia? – wymruczała.

–Ciii – powiedziała jedna z kobiet. – Inicjant nie powinien się odzywać. To pomoże ci znieść wszystko.

Dały jej jeszcze wody, a potem wyszły.

Dopiero wtedy ruszyli się mężczyźni. Dubhe zobaczyła, jak biorą łańcuchy i

zbliżają się do niej. Nałożyli je jej na stopy i ręce. Prawie zachciało jej się śmiać. Dotarła aż do tego momentu z własnej, nieprzymuszonej woli, dobrze świadoma swojego wyboru, a teraz skuwali ją tak, jakby była więźniem.

–Przecież nie ucieknę... – próbowała protestować.

–To nie ze względu na ciebie, ale z powodu klątwy. Dubhe nie pojęła jasno tych słów.

Podnieśli ją, podtrzymali prawie z troską i wyprowadzili.

Znowu znaleźli się w plątaninie długich, ciemnych i wilgotnych chodników. Ściany strasznie falowały, jakby były żywym jelitem, i wydawało jej się, że grożą zawaleniem. Potem do Dubhe powoli zaczął docierać jakiś dźwięk przypominający oddech. Tak, jakby gdzieś tam ukrywało się jakieś dyszące zwierzę. Poczwała zapach krwi, coraz mocniejszy i bardziej przenikliwy, i zaczęła się pocić. Nogi zdawały się odzyskiwać siłę, kroki stawały się coraz pewniejsze, ale jej serce biło coraz mocniej.

To ona. Ściga mnie. Szuka mnie. Bestia!

Mężczyźni wzmocnili uścisk na jej ramionach, a daleki odgłos powoli przekształcał się w ponurą psalmodię, żalobną litanie, jakiej Dubhe nigdy nie słyszała.

Zakręty, odcinki schodzące, a potem wznoszące się, schody. Droga coraz bardziej przypominała labirynt, a teraz i ściany pulsowały tym śpiewem, drżały od słów mrużanych przez wiele osób. Zapach krwi stawał się coraz mocniejszy, przyprawiający o mdłości.

–Nie, nie... – próbowała wyszeptać Dubhe, kiedy przez jej ramiona i nogi przebiegały krótkie skurcze.

Pomruk stawał się głuchym grzmotem, a zapach był nie do wytrzymania. Wreszcie doszli do sali.

Była to olbrzymia naturalna grota ze sklepieniem pełnym zaostrzonych stalaktytów. Połyskujące światło żaru zawieszzonego pod sufitem dawało życie złowrogim stworzeniom z cienia na ścianach. Środek sali zajmowały dwa wielkie baseny wypełnione krwią. To stąd pochodził zapach. W basenach moczył stopy wykuty w czarnym kryształę posąg Thenaara, o wiele większy niż ten w świątyni. Statua była taka sama, jak jej kopia w świątyni: tak jak tamta trzymała w dłoni sztylet i błyskawicę, ale jej oblicze, o ile to było możliwe, miało jeszcze bardziej nikczemny wyraz.

Pomiędzy stopami posągu znajdowała się kolejna postać z czarnego kryształu, o mniejszych rozmiarach, ledwo sięgająca kolan Thenaara. Zmieszana Dubhe nie potrafiła jasno rozpoznać, co przedstawia, ale wydawało jej się, że było to ubrane w tunikę dziecko o dziwnie poważnym i smutnym spojrzeniu.

Miejsce u stóp obu posągów, wokół basenów, zajmował tłum mężczyzn i kobiet w czerni. Zwycięscy, jak nazwał ich Ghaan. Zabójcy. To oni recytowali, monotonicznie wzywając Thenaara. Ściany rozbrzmiewały tym krzykiem, nawet posadzka drżała.

Kiedy tylko Dubhe dostrzegła krew, wrzasnęła; wydawało jej się, że Bestia rozrywa jej ciało. Chciała pić, nasycić się i zabijać. Zaczęła się miotać i wyrywać, ale towarzyszący jej mężczyźni przytrzymali ją mocno i popchnęli w kierunku basenu.

Tak jak tamtego wieczoru na polanie Dubhe przyglądała się wszystkiemu bezradnie. Widziała własne ciało opętane przez Bestię i była przerażona.

Będzie jak wtedy! Znowu rozszarpię ciała tych ludzi! A Bestia mnie pożre!

Kiedy zanurzyli jej stopy we krwi, poczuła, że mdleje.

Yeshol stał przed nią ze zmienioną w mistycznej ekstazie twarzą, a jego głos dominował nad wszystkimi innymi. Dwóch mężczyzn przytwierdziło ciężące u jej nadgarstków i kostek łańcuchy do odpowiednich pierścieni i Dubhe została sama w basenie. Śliska krew pokrywała jej stopy.

Na znak Yeshola w sali zapanowała cisza i słyhać było jedynie krzyk Dubhe. Jej własnym uszom wydawał się nieludzki.

To krzyk Bestii! Uwolnijcie mnie!

Mimo że wrzeszczała, głos Yeshola przebił się przez jej krzyki.

–Potężny Thenaarze, zdobycz, która długo Ci umykała, jest teraz tutaj, przed

Tobą, i prosi, aby ją przyjąć w zastępy Twoich. Dla Ciebie porzuci szeregi

Przeegranych, wyrzeknie się swojego grzesznego życia i podąży drogą Zwycięskich.

Yeshol wyciągnął ampułkę pełną czerwonej cieczy.

–Jest już oczyszczona, ofiarowuje Ci swoje cierpienie i swoją krew.

Zgromadzenie podjęło recytację dziwnej modlitwy. Yeshol wlał krew do basenu,

a chór głosów podniósł się wyżej i głośniejsze.

–Krew do krwi, ciało do ciała, przyjmij ofiarę i zabierz ze sobą potomstwo

śmierci.

Dubhe upadła na kolana. Była bliska szaleństwa. To, czego starała się uniknąć, miało właśnie nastąpić. Szaleństwo. Ból. Śmierć. Najgorsze z możliwych. Oszukali ją.

Zgromadzenie znów zamilkło i podniósł się czysty i mocny głos Yeshola. – Niech

Twoja krew, potężny Thenaarze, oczyści i naznaczy naszą nową siostrę i odcisnie na niej Twój mroczny znak.

Wziął talerz z brązu, zanurzył go w basenie, po czym wylał zebraną krew na głowę Dubhe. Dziewczyna osunęła się jeszcze niżej

***Umieram, wreszcie umieram* - powiedziała do siebie, kiedy szpony Bestii ją rozdzierały. Przelotnie zobaczyła, jak twarz Yeshola pochyła się nad nią blizutko, aż poczuła jego oddech na ustach. Wycedził nikczemnym szeptem:**

–Zapamiętaj ten ból, to cierpienie. To właśnie cię spotka, jeżeli nie będziesz nam posłuszna. Ale ponieważ byłaś grzeczna, czeka cię nagroda.

Przysunął do jej ust ampułkę i chłodna ciecz spłynęła jej do gardła. Szpony, które jeszcze chwilę przedtem wczepione były w jej pierś, zdawały się odstępować, a dziewczynę ogarnął dziwny spokój. Potem wszystko stało się czarne.

CZEŚĆ DRUGA

Życiorys Tyrana w wielu punktach pozostaje jeszcze tajemnicą. Źródła przepadły, a wiele spośród osób, które go poznały, zginęło podczas Wielkiej Zimowej Bitwy, kładącej kres jego panowaniu. Historia, którą zamierzam odtworzyć, jest zatem fragmentaryczna i niezbyt jasna. Nawet czterdziestoletni okres jego panowania pozostaje mroczną epoką i nie mamy na jej temat dokładnych informacji. Wiadomo niezbitnie, że urodził się w Krainie Nocy. Równie pewne wydaje się też, że w którymś momencie udało mu się wstąpić do Rady Czarodziejów – tak wynika ze spisów z tamtych lat. Skądinąd jedyną powszechnie znaną cechą charakterystyczną był jego wygląd: miał postać nie więcej niż dwunastoletniego dziecka, co było rezultatem nie do końca wyjaśnionej kary. Wiemy także, że w ciągu czterdziestu lat w porażający sposób udało mu się zagarnąć prawie cały Świat Wynurzony. Kiedy zamierzał podbić również Krainę Morza i Słońca, został powstrzymany przez oddziały Wolnych Krain pod dowództwem Nihal. Niewiele z kolei można powiedzieć o jego celach i o organizacji, jaką zamierzał ostatecznie nadać swemu królestwu. Niektórzy twierdzą, że pragnął jedynie samej władzy, a inni – że dążył wyłącznie do destrukcji. Niektórzy wysuwają przypuszczenia, że to raczej wypaczona miłość do Świata Wynurzonego doprowadziła go do szaleństwa. Wśród takiego natłoku hipotez nie potrafię wyróżnić tej jedynej, odpowiadającej prawdzie; należy pogodzić się z faktem, że prawda umarła wraz z nim.

Therya z Krainy Słońca. Opowieści z mrocznego wieku

13. Mistrz

*

Przeszłość IV

Dubhe widzi, jak dym powoli pochłania tę postać. Jeszcze chwila i mężczyzna całkiem zniknie, jego brązowy płaszcz jest już nie więcej niż kolorową plamą na tle brudnej bieli otaczającej wioskę. Jej wybawca. Dubhe rzuca się ku drzwiom. Idzie za nim, nie wiedząc, dlaczego. Podąża w pewnej odległości, upuściwszy czerwone jabłko, po które weszła do tamtego domu.

Poza wioską dym rzednie, a powietrze przybiera swój zwykły zapach: zapach, który teraz jest dla niej prawie znajomy, zapach czegoś dobrego i czystego. Zapach tego człowieka.

Boi się go, nie może zaprzeczyć. Dlatego nie podchodzi zbyt blisko, pozostaje w pewnej odległości. Ale człowiek, którego postanowiła śledzić, nie jest zwykłą osobą.

Czuje to.

Zachód słońca barwi ziemię kwaśnym odcieniem żółci. Niskie chmury znaczą linię między słońcem a niebem. Mężczyzna zatrzymuje się, odwraca. Dubhe chowa się za drzewo. – Wiem, że tam jesteś.

Dubhe milczy, ale oddycha głęboko. Nie czuje już jego obecności boi się, że sobie poszedł, że zostawił ją samą. Wychyla się zza drzewa. Nic. Trawa. Potem jakaś

dłoń łąduje na jej ramieniu i dziewczynka wzdryga się, błyskawicznie się odwraca i celuje sztyletem. To on.

–Powiedziałem ci, żebyś poszła na północ, jeżeli nie masz domu.

Dubhe trzyma wyciągnięty przed siebie sztylet. Jej umysł jest pusty, kołacze się w nim tylko jedna, obezwładniająca myśl. *Nie zostawiaj mnie samej.*

–Nie mogę zabrać cię ze sobą i wierz mi, tak będzie lepiej dla ciebie. Przestań za mną iść albo cię zabiję.

Nie zostawiaj mnie samej.

Mężczyzna po raz drugi odwraca się i odchodzi. Dubhe patrzy na lekko odstający na plecach płaszcz. Potem znów zaczyna za nim iść.

Nocą mężczyzna robi postój w lesie. Nie rozpala żadnego ogniska. Zresztą jest bardzo gorąco, a na niebie widnieje wspaniała księżyc. Dubhe patrzy w jego stronę przez kilka chwil. Jest pełny, chłodny i gigantyczny.

Mężczyzna je trochę suszonego mięsa, ale nie zdejmuje kaptura. Nie ściąga go nigdy. Dubhe patrzy z pożądaniem na to mięso, a jej żołądek się skręca. Poszła do wioski, aby zdobyć jedzenie, ale jej się nie udało. A teraz jest głodna. Chciałaby podejść do tego człowieka i coś wyżebrać, ale brakuje jej odwagi. Tak więc zostaje na swoim miejscu i czeka, aż on zaśnie.

Mężczyzna nie odsłania twarzy nawet we śnie. Ale Dubhe nie może spać. Dręczy ją głód.

Pójdę tam i wezmę tylko kawałek, malutki kawałek. Potrafię zachowywać się bardzo cicho. Nawet się nie zorientuje.

Jest rozdarta pomiędzy wdzięcznością dla swojego wybawcy a szarpiącym jej wnętrza głodem. W końcu zwycięża głód. Robi tak, jak wtedy, kiedy bawiła się ze swoimi przyjaciółmi w Selvie, tylko tym razem zabawa jest naprawdę poważna.

Kładzie się na brzuchu i pełźnie po trawie. Stara się robić jak najmniej hałasu, nie wiedząc, że wobec mężczyzny, z którym ma do czynienia, jej wysiłki są całkowicie zbędne.

Dociera do celu. Są tu dwa pakunki: jeden to pewnego rodzaju drewniana skrzynka, mężczyzna musi ją zwykle nosić na plecach pod płaszczem, bo Dubhe nie zauważyła jej wcześniej. Drugi to płócienny worek; Dubhe otwiera go i wobec

uwalniających się zapachów czuje, że słabnie. Jest tu suszone mięso, ale też orzechy, mała gomółka sera, twardy chleb, flaszeczka wina. Korci ją, żeby wziąć wszystko, ale zadowala się kawałkiem sera byle jak uciętym sztyletem.

Oczy mężczyzny w ciemności są otwarte i czujne.

Dubhe śledzi go dalej – od momentu, kiedy wstaje, przez cały dzień.

W porze obiadowej mężczyzna zatrzymuje się nad brzegiem potoku i obmywa twarz lodowatą wodą, ale nawet teraz Dubhe nie może zobaczyć jego oblicza. Zaczyna być ciekawa. Jedząc spokojnie swój kawałek chleba, człowiek nagle wyciąga ser odkrawa kawałek i rzuca w listowie.

–To dla ciebie.

Dubhe podskakuje. Przecież nie robiła hałasu. Nie myślała, że ją usłyszał.

Mężczyzna nie dodaje nic więcej. W ciszy przeżuwa, nie podnosząc nawet głowy.

Dubhe z impetem rzuca się na ser i pochłania go kilkoma wygłodniałymi kęsami.

On rzuca jej jeszcze kawałek mięsa, tak jak to się robi ze zwierzętami. Dubhe wbija weń zęby.

Mężczyzna na nią nie patrzy. Zachowuje się tak, jakby jej nie było, po czym podnosi się i podejmuje wędrówkę.

Spragniona Dubhe pije z potoku, ale wzrok ma utkwiony w nim.

Nagle wie, że nigdy więcej nie może go opuścić.

Idzie za nim przez trzy dni. Zawsze trzyma się raczej daleko, ale nigdy tak, aby stracić go z oczu. Śpi i je razem z nim.

Przy każdym posiłku mężczyzna pozornie ją ignoruje, ale zawsze w końcu rzuca jej coś do jedzenia. Wydaje się, że jej nie chce, ale i nie odrzuca jej. Nie zmienia kroku, aby ją zgubić, ani nie biega między drzewami, żeby zmylić ślady.

Dubhe ze swej strony nie myśli o niczym. Nie ma żadnego powodu do myślenia. Musi iść za tym człowiekiem, bo to on, oraz dlatego, że ją uratował.

O zachodzie trzeciego dnia zbliżają się do jakiegoś obozowiska. Wygląda na bardzo duże. Widać tylko zewnętrzną drewnianą palisadę, ale jest ona znacznie większa niż ta z obozu Rina.

Dubhe jest zmęczona. Będąc z Rinem odbudowała nieco swoje siły, ale teraz jest wykończona. Mężczyzna nigdy się nie zatrzymuje, idzie nieprzerwanie. Dubhe opuszcza wzrok na ziemię, na wpół spaloną słońcem trawę, a kiedy podnosi oczy, już go nie ma. Mężczyzna zniknął. Rozgląda się wokół, szuka go. Od razu chce jej się płakać.

To niemożliwe.

Nagle jakaś dłoń zakrywa jej twarz i chłód ostrza opiera się o jej gardło. W tej chwili wszystko się zatrzymuje.

To mężczyzna szepcze jej do ucha, a jego ciepły oddech łaskocze jej policzek.

–Tu kończy się twoja podróż. Wiesz, kim jestem? Wiesz? Jestem zabójcą, a ty nie możesz dłużej za mną iść. Idź umrzeć, gdzie ci się podoba. Jeżeli jeszcze raz zobaczę, że deptasz mi po piętach, zabiję cię, jasne?

Dubhe nie wie, co odpowiedzieć. Ale jej serce jest spokojne. To on. Nie zgubiła go. To on. I nie boi się jego chłodnego głosu, jego ręki, która zaciśnięta na jej ustach nie drży, ani jego sztyletu. To on, więc ona nie jest już sama.

–Idź sobie – szepcze jej wreszcie i znika. Naprawdę.

Po jednej stronie obozowiska są zarośla, niezbyt oddalone Dubhe idzie tam instynktownie. Zrozumiała, że tutaj nigdy nie można przebywać na otwartej przestrzeni. Powiedział jej to Rin. Mężczyzny nie widać od momentu, kiedy jej zagroził, ale Dubhe się nie martwi. Jest z nim nierozzerwalnie związana. Nigdy go nie straci. Należy do niego.

Siada na skraju lasu, pomiędzy drzewami. Jest głodna, ale wie, że mężczyzna jej coś zostawił. Ma ciężką kieszęń, w środku coś musi być. Wsuwa tam dłoń i wyciąga to, co znajduje. To, co pozostało z sera. Dubhe uśmiecha się. Po tak długim czasie znowu potrafi się uśmiechać.

Nie porzucił mnie i nigdy nie porzuci.

Noc jest *późna*, a księżyc prawie w pełni. Brakuje mu tylko cienkiego czarnego sierpa połkniętego przez noc. Dubhe patrzy na niego przez chwilę i czuje coś w rodzaju odległego spokoju, czarnego sierpa połkniętego przez noc. Dubhe patrzy przez chwilę i czuje coś w rodzaju odległego spokoju, który ją ogrzewa. Słyszy głosy. Szmerzy pochodzące z głębi lasu. Zbliży się ostrożnie, podążając za dźwiękami.

–Spóźniłeś się. Powiedziałeś, że to będzie wczoraj.

–Najważniejsze, że tu jestem, nie? Dubhe staje za drzewem i wychyla się.

Tak!

To on i jego płaszcz. Obok niego żołnierz z długim mieczem u boku.

–A więc? Dowody? – Masz pieniądze? Żołnierz coś wyciąga.

–Chyba nie sądzisz, że dam ci je, zanim dostanę dowody.

Teraz kolej na mężczyznę. Wyciąga drewniany pojemnik, otwiera go. Po równinie rozchodzi się odór nie do zniesienia i Dubhe widzi coś strasznego. Głowę mężczyzny z półprzymkniętymi oczami. Zabójca, powiedział mężczyzna. Oto, co miał na myśli. Przerażona przykłada rękę do ust.

Żołnierz też unosi dłoń do ust i tłumi odruch wymiotny.

–To jest dowód, teraz twoja kolej – mówi mężczyzna. Żołnierz milczy przez chwilę, gładzi się po brodzie, udając zamyślenie.

–To nie on – konkluduje.

–Nie próbuj mnie przechytrzyć.

Głos mężczyzny wibruje nutą groźby, ale żołnierz chyba jej nie wychwycił.

–To nie on, jestem tego pewien. Nie dostaniesz pieniędzy. Mężczyzna nie rusza się z miejsca.

–Igrasz z ogniem. Żołnierz śmieje się nerwowo.

Dubhe czuje, że coś jest nie tak. Przez przypadek patrzy w prawo, za mężczyznę, i widzi nagły błysk. To ostrze oświetlone księżycem.

Zaczyna wrzeszczeć.

Ile ma tchu w piersiach, a teraz ma go wiele. Gardło odblokowuje się, język rozwiązuje. Nie może mówić, ale krzyczy.

Mężczyzna jest bardzo szybki. Odwraca się i pochyla. Ostrze chwytą tylko skrawek kaptura, który opada mu na ramiona.

–Przeklęta dziewczucha! – wrzeszczy żołnierz, ale wszystko dzieje się

błyskawicznie.

Mężczyzna wyciąga sztylet i wbija go w pierś napastnika, który zaszedł go od tyłu. Ten pada bez słowa skargi.

Mężczyzna odwraca się, jeszcze pochylony, i podnosi dłonie do piersi. W tym czasie żołnierz dobył swojej broni i przystępuje do ataku. W ciemności słychać szelest i żołnierz osuwa się, jęcząc. Próbuje się zebrać, podejmuje rozpaczliwy szturm. Na nią.

Dubhe widzi, jak rusza ku niej z przekrwionymi oczami. Miecz przesuwają się przed nią w obszernym kręgu. Zaciska powieki. Ból. W ramieniu. Otwiera oczy.

Mężczyzna trzyma stopę opartą na ramieniu przygwożdżonego do ziemi żołnierza.

Po raz pierwszy słychać, jak dyszy.

–Co by ci przyszło z zabicia jej?

Nie daje mu czasu na odpowiedź. Zanurza miecz w plecach. Żołnierz nie żyje.

Dubhe odwraca wzrok. „Zamknij oczy”, powiedział jej ten mężczyzna za pierwszym razem.

Osuwa się do siadu. Coś ciepłego sływa jej z ramienia. Żeby nie patrzeć na martwego żołnierza, podnosi wzrok na mężczyznę.

Po tak długim okresie śledzenia go, wreszcie po raz pierwszy widzi jego twarz. Jest młody, jeszcze młodszy niż jej ojciec. Ma czerwone włosy, które luźnymi lokami okalają mu twarz, opadając niemal na ramiona. Głębokie niebieskie oczy i surowa twarz, nieogolona broda. Dubhe nie może oderwać od niego spojrzenia, jednocześnie czując, że jej wzrok stopniowo słabnie, a intensywny i rozdzierający ból przeszywa jej ramię.

Mężczyzna przygląda się małej. Siedzi oparta o drzewo. Ocaliła mu życie. Ona, mały pasożyt, któremu pomógł. Jest ranna w ramię i patrzy na niego tak, jak robią psy. Ale widziała jego twarz, a przecież na to zabójca nie może sobie pozwolić. Nikt z tych,

którzy zobaczyli jego twarz, nie przeżył i tak musi być również z nią – nieważne, że to dziecko.

Bierze jeden z noży do rzucania, wystarczy na miękką szyję dziewczynki. Kiedy się zbliża, ona się nie boi, mężczyzna to czuje. Zaraz zemdleje, ale się nie boi. Patrzy na niego oczami, które mówią wszystko. Pomóż mi. O to go prosi. Robi zamach ręką, po czym się zatrzymuje. Dziewczynka zamknęła oczy. Zemdląca.

Do licha, to dlatego zostawiłem Gildię...

Mężczyzna pochyla się nad nią, bada jej puls. Poprosiła go o pomoc i on jej pomoże.

Dubhe dochodzi do siebie, kiedy słońce pali ją w twarz. Może to ciepło ją budzi, a może kołysanie, które czuje całe jej ciało. Słony zapach, ten co zawsze, i mocne ramiona zaciśnięte na jej brzuchu.

Tato...

Potem wymiotuje. Osoba, która trzyma ją na ramieniu, gwałtownie stawia ją na ziemi. Dubhe już nie może, jest wykończona.

Ktoś wchodzi w pole jej widzenia: to on, mężczyzna. Patrzy na nią. Jego twarz nic nie wyraża, ale już sam jego widok rozgrzewa Dubhe serce.

–Jak tam?

Dubhe wzrusza ramionami.

Mężczyzna daje jej pić. Ona najpierw płucze usta, a potem pije tylko jest w stanie. Jest jej piekielnie gorąco, a myśli kłębią się jak oszalałe. Jediną pewną rzeczą jest to, że on tu jest, więc nie ma się czego bać.

Mężczyzna znów bierze ją na ramiona i podejmuje bieg.

–Pokój dla mnie i mojej córki.

–Nie chcę problemów.

–Nie będziesz ich miał.

–Zawsze byliśmy szanującym się lokalem, żadnych włóczęgów.

–Dziewczynka jest chora. Daj mi pokój, mam pieniądze. Metaliczne brzęknięcie na ladzie.

–Ja tu nie chcę umierających...

Teraz chrzest ostrza, błyskawicznie wyslizgującego się z pochwy, a potem inny odgłos, kiedy wbija się w drewno.

–Daj mi ten pokój, a nie będziesz miał problemów.

–Na... na górze... pierwsze... piętro.

Drzwi skrzypią. Dubhe udaje się dostrzec miły pokoik, nawet z kilkoma kwiatkami w wazonie, ale jest zmieszana, czuje się oszołomiona.

Mężczyzna układa ją na łóżku, a świeżość lnu i kołder wywołują jej uśmiech. Zapach czystości, zapach domu.

Dubhe poddaje się temu nowemu uczuciu dobrobytu. Ramię boli ją przeraźliwie i mimo że jest jej ciepło, ma dreszcze. Przez przymknięte powieki widzi krzątającego się mężczyznę. Grzebie w torbie, a potem coś wyciąga, wkłada do ust i żwawo przeżuwa.

Podchodzi do niej i delikatnie wyciąga spod kołdry jej ranne ramię. Dubhe widzi, że jest ono przewiązane szorstkim kawałkiem czerwonego od krwi materiału. Kiedy mężczyzna odwija bandaż, Dubhe krzyczy. Strasznie ją boli.

–Ciii, ciii... to nie potrwa długo – mówi niewyraźnym głosem.

Pod bandażem jest rozległe rozcięcie. Wypełnione zastygłą i świeżą krwią, z postrzępionymi krawędziami i bardzo głębokie. Dubhe zaczyna płakać.

Umrę... i tak strasznie mnie boli...

Mężczyzna wyjmuje z ust dziwną zieloną papkę i pewnymi sobie ruchami zaczyna rozsmarowywać ją na ranie. Na początku boli i Dubhe tłumi okrzyk, ale potem czuje świeżość i ulgę.

–Wytrzymaj – mruczy mężczyzna. – W końcu jesteś bardzo odważną

dziewczynką, prawda? Ten drań zranił cię mieczem, rozcięcie to nic, zobaczysz, że się

zagoi.

Dubhe uśmiecha się. Jeżeli on tak mówi, to musi być prawda.

Mężczyzna bandażuje ją ciasno, co wywołuje kilka drobnych jęków. Potem zabieg się kończy, a Dubhe czuje się wyczerpana. Oczy same jej się zamykają, a umysł

podąża za dziwnymi myślami. Na krawędzi snu dochodzi do niej uspokajający głos:

–Odpocznij sobie.

Przez parę dni Dubhe i mężczyzna zostają w zajeździe. Jego nie ma prawie nigdy, z reguły wraca późną nocą, ale nie jest to problemem, bo Dubhe przesypia niemal całe dnie. Zaraz po przyjściu mężczyzna zawsze zmienia jej opatrunek. Za każdym razem boli mniej niż poprzednio. Stan rany też się poprawia; to brzydkie rozdarcie, ale już nie krwawi.

Mężczyzna nie mówi do niej wiele, dopytuje się tylko o zdrowie.

–Dzisiaj lepiej?

Jego głos nigdy nie jest serdeczny czy zasmucony. Ton jest zawsze zimny i wyrachowany, tak jak wszystkie jego gesty. Mężczyzna cały czas chodzi z zakrytą głową i kaptur zdejmuje tylko wieczorem, przy niej.

Dubhe patrzy, jak porusza się po pokoju, i myśli, że przypomina jej kota. Jest zamknięty w sobie, jak to zwierzę, i elegancki, dokładnie tak, jak tego wieczoru, kiedy padł ofiarą zasadzki. Nie zrobił nawet jednego zbędnego gestu, wyglądało to tak, jakby wykonywał od dawna znany taniec. I tak było z każdym jego ruchem.

Ma ze sobą wiele rodzajów broni. Prawie całe wieczory spędza na ich polerowaniu. Są tam noże, łuk, który nosi zawsze pod płaszczem razem z lekkim kołczanem wypełnionym kilkoma strzałami, a potem seria igieł, których używa do

dmuchawki.

Ze wszystkich rodzajów broni mężczyzny Dubhe najbardziej podziwia sztylet. Ma on czarną, rzeźbioną rękojeść ze spiralnym motywem przypominającym węża z pyskiem otwartym przy gardzie, prostej i białej jak ostrze ze świecącej stali. Już sam jego widok wzbudza lęk, a jeszcze bardziej śmiertelny wydaje się kiedy mężczyzna trzyma go w dłoni. Często wieczorem używa go, kiedy trenuje. Wykonuje pośrodku pokoju dziwne ćwiczenia i przeszywa pustkę ostrzem. Jego zwinne kroki wydają na drewnianej posadzce ledwo słyszalny odgłos.

Pewnego wieczoru sztylet jest splamiony krwią. Jej metaliczny i przenikliwy zapach wypełnia pokój, a Dubhe czuje mdłości. Mężczyzna rozumie to i uśmiecha się z pewną nutką smutku

–Człowiek przyzwyczaja się do tego, kiedy zabija, ale ty nie wiesz, co to znaczy.

Wyruszają wieczorem. Dubhe już poprzedniego dnia zrozumiała, że szybko się stąd wyniosą, kiedy mężczyzna po raz pierwszy zmusił ją do wstania. To nie było miłe.

Okropnie kręciło jej się w głowie i wydawało się, że nogi nie są w stanie jej udźwignąć, ale on był nieubłagany. Podtrzymał ją, kiedy niemal upadła na ziemię, ale nie zachęcał jej ani nie wyszeptał ani jednego słowa wsparcia. Po prostu zmusił ją do utrzymania się na nogach.

Mężczyzna zbiera swoich kilka rzeczy, po czym wręcza jej jakieś zawiniątko.

Dubhe otwiera je. Stary i wyblakły brązowy płaszcz.

–Ja nie mogę zostać rozpoznany, nie chcę też, żeby ktoś zapamiętał twoją twarz. Kiedy będziemy podróżować, będziesz go mieć na sobie i nigdy nie zdejmiesz kaptura, dopóki nie będziemy pewni, że jesteśmy sami.

Dubhe kiwa głową i po raz pierwszy wkłada płaszcz.

Długo wędrują, głównie w nocy, i jak najrzadziej śpią w gospodach. Odpoczywają, obozując pod gwiazdami. Zresztą jest pełnia lata, Dubhe czuje to w łagodności powietrza.

Czasami, kiedy patrzy w niebo, powraca myślą do wieczorów, które spędzała ze swoim ojcem czy z przyjaciółmi. Wydają się jej niezmiernie dalekie i w stosunku do tych wspomnień nie odczuwa nic szczególnego. Wszystko otoczone jest mgłą. Zadaje sobie pytanie, kim był Mathon, jak mogła go kochać. Z tego uczucia nic już nie zostało.

Kiedy w jej głowie pojawiają się te myśli, odwraca się do mężczyzny, patrzy, jak lekko śpi, owinięty płaszczem. Dubhe czuje, że ten człowiek jest teraz wszystkim, co ma.

Z każdym dniem zapach ziemi, którą przemierzają, staje się stopniowo coraz bardziej przenikliwy, aż wreszcie całkowicie wypełnia powietrze, jest delikatny i jakby znajomy.

–Jesteśmy na miejscu – mówi spokojnie mężczyzna.

Podróż trwała dziesięć dni z koniecznymi postojami i Dubhe jest dość zmęczona. Ciekawi ją jednak, gdzie się znajduje. Kroki mężczyzny stały się mniej pospieszne.

***Jego dom. Jesteśmy w jego domu* - mówi do siebie Dubhe.**

Okolica jest raczej opustoszała. Mimo lata niebo ma kolor ołowiu, jest nabrzmiąle wilgocią i deszczem. Nad wszystkim ciąży warstwa upału, a krajobraz wokół nich złożony jest prawie wyłącznie z usypanych przez wiatr wydm. Tu i tam sterczą kępki

wysokich traw o przygaszonym zielonym kolorze.

Potem otwiera się przed nią nieoczekiwany widok, coś niezmiernego, straszego i wspaniałego. Długi pas drobnego piasku, który wpada do nieskończonej przestrzeni w kolorze ochry. Jak okiem sięgnąć aż po horyzont – woda, woda poruszana wiatrem, załamująca się na piasku wielkimi falami białymi od piany. Z jednej strony, prawie na granicy między piaskiem a morzem, stoi podniszczona chatka ze słomianym dachem i ścianami z sześciennych głazów. Mężczyzna kieruje się w tamtą stronę, ale nie Dubhe.

Dubhe biegnie po plaży, wiatr smaga jej twarz. Pędzi do wody. Zatrzymuje się w odległości kilku metrów i patrzy na nią jak zaczarowana. Zapach, który czuła przez całą drogę, teraz jest bardzo silny. To woń tego nieskończonego bezmiaru wody, czegoś, czego umysł nie może ogarnąć. Nigdy nie widziała niczego podobnego ani tym bardziej czegoś, co wzbudzałoby w niej tak wielki lęk.

Fale, wysokie na dwa metry, są najpotężniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek miała okazję zobaczyć. Dubhe obserwuje to widowisko z mieszaniną bojaźni i zachwyty.

Dłoń opadająca na jej ramię zaskakuje ją. Jak zawsze mężczyzna bezszelestnie podszedł do niej od tyłu i nawet nie wyczuła jego obecności.

–Co to jest? – mruczy Dubhe.

–Ocean, mój dom – odpowiada człowiek.

Wieczorem Dubhe nieoczekiwanie zamienia się w rwącą rzekę. Zupełnie tak, jakby chciała nadrobić długie dni milczenia. Mężczyzna przygotował pieczone mięso i stopiony ser, i na widok smakowitej kolacji zastawionej na spartańskim stole Dubhe zaczyna mówić.

Mężczyzna pyta ją po prostu o imię, a Dubhe zaczyna. Opowiada mu wszystko, nie zatrzymując się nawet na chwilę, o swoim życiu w Selvie, już tak odległej, potem znajduje nawet odwagę i mówi mu o Gornarze i o tym, jak go zabiła. Nie potrafi niczego przemilczeć. A potem życie podczas tamtych dni spędzonych w lesie, krótka przerwa w obozowisku, noc jego zniszczenia, aż wreszcie dzień, w którym się poznali.

Wydaje się, że mężczyzna nawet nie słucha, ale dla Dubhe nie ma to znaczenia, liczy się tylko mówienie.

Kiedy wreszcie milknie, jest późna noc. Na stole resztki kolacji. Mężczyzna powoli pali fajkę. Tytoń to nowy zapach dla Dubhe; w Selvie nie znała nikogo, kto by palił.

Po kilku sekundach mężczyzna uśmiecha się gorzko.

–Dużo mówisz – zauważa z pewną irytacją. Potem poważnie. – Uciekam z miejsca, gdzie dorastają tacy jak ty i gdzie robią z nich takich jak ja.

Dubhe nie rozumie.

Mężczyzna zaciąga się jeszcze raz, po czym podejmuje wątek:

–Ten, kto tak jak ty zabija w młodości, jest predestynowany, przeznaczony do zabójstwa. Od chwili, kiedy po raz pierwszy przelewa czyjąś krew, jego droga jest naznaczona: nie może zrobić nic innego, tylko poświęcić się mordowaniu. To jego nieuniknione przeznaczenie. Ale zwykli ludzie nie mogą tego zrozumieć; dla zwykłych

ludzi tacy jak ja i ty są zagrożeniem. To dlatego cię wygnali. Nawet twoja matka i twój

ojciec nienawidzą cię, bo siła która jest w tobie, siła, która popchnęła cię do zabicia twojego przyjaciela, przeraża ich.

Dubhe patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Nie wie, co powiedzieć. A przecież tym razem doskonale rozumie, co ten człowiek do niej mówi. To coś strasznego. Coś, o czym już sama myślała. Jest zatem zła, to dlatego ją wygnali. Urodziła się zła, bogowie tego chcieli i nic nie może odmienić tej strasznej prawdy.

A więc?

Patrzy na mężczyznę i ma nadzieję, że powie on coś, co rozwieje jej obawy. Ale on dalej spokojnie pali.

–Tak mówią wielbiciel Thenaara – dodaje, i w jego głosie słychać nutkę pogardy. – Ty zaś możesz w to wierzyć lub nie.

–A ty w to wierzysz? – pyta Dubhe z wahaniem.

–Ja w nic nie wierzę.

Dym skręca się w powolne spirale wzdłuż belek chatki.

–Ja jestem zabójcą. Zabójca żyje z morderstw i w samotności. Pomogłem ci, bo ocaliłaś mi życie, więc ci się odpłaciłem. Ale nie mogę wlec ze sobą głupiej dziewczynki. Dam ci czas na dojście do zdrowia, a potem będziesz musiała odejść.

Każdy idzie swoją drogą. Moja jest drogą samotną. Ty musisz znaleźć swoją.

Mężczyzna opróżnia fajkę. Następnie wstaje i wychodzi do swojego pokoju, zgasivszy świecę.

14. W czeluściach Domu

Dubhe obudziła się w półcieniu. Leżała na brzuchu na raczej niewygodnym łóżku przykrytym pościelą z surowego lnu i skórami wydzielającymi odrzucający smród.

Przeraźliwie bolała ją głowa i czuła się oszołomiona. Dokładnie jednak pamiętała to, co się działo, zanim zemdląca. Rytuał ból.

Tym razem też żyję.

Obróciła się z wysiłkiem. Znajdowała się w obszernej, wykutej w skale sali; wysoko na suficie umieszczony był zwykły szyb dostarczający powietrze, a na ścianach zawieszane były pochodnie z brązu. Światła było mało. Dojrzała inne łóżka, ale nie miała ani siły, ani ochoty patrzeć, czy są pełne, czy puste. To musiało być coś w rodzaju infirmerii, izby chorych.

–Dzień dobry.

Młody i świeży głos kobiecy zaskoczył ją. Odwróciła głowę i zobaczyła siedzącą przy jej łóżku dziewczynę. Była niewiele starsza od niej i ubrana zgodnie z modą Zabójców. Miała na sobie czarną koszulę z szerokimi rękawami i skórzany gorset. Giemzowe, dość obcisłe spodnie też były czarne i włożone w wysokie buty. W jej stroju były tylko dwa kolorowe akcenty: posrebrzany pas i krwistoczerwone guziki gorsetu.

Dziewczyna była bladą blondynką o kręconych włosach. Miała delikatne piegi wokół nosa i długie, smukłe dłonie.

–Kim jesteś? – zapytała Dubhe.

–Strażniczką, która nauczy cię życia Zwycięskich. Mam na imię Rekla, ale dla ciebie jestem po prostu twoją Strażniczką.

Nauczycielka zatem. *Taka młoda...* – Co to za miejsce?

–Infirmeria. Przyprawdzili cię tu po twojej inicjacji. Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni spodni ampułkę i podsunęła jej pod nos.

–Widzisz to?

Dubhe nie tylko widziała, ale i rozpoznawała. Był to ostatni obraz jaki zarejestrowały jej oczy przed zapadnięciem się w ciemność: Yeshol dał jej pić z tej ampułki.

–Tak się składa, że jestem Strażniczką Trucizn.

Strażniczka Truczyn, kolejne dość wysokie stanowisko, może nawet zbyt wysokie, jak na dziewczynę, która wyglądała na mniej niż dwadzieścia lat.

–To jest lekarstwo na twoją klątwę, ten płyn jest cienką linią oddzielającą cię od szaleństwa.

Uśmiechnęła się prawie szczerze. Dubhe natychmiast poczuła, że jej nienawidzi.

–Tylko ja tutaj znam jego recepturę i jedynie ja mam prawo ją trzymać. I tylko dzięki temu Bestia nie zabije cię w przyszłości. Dam ci jedną buteleczkę tygodniowo,

nie więcej, i zawsze tylko mnie będziesz mogła prosić o kolejną. Wyłącznie od mojej niepodważalnej decyzji zależy, czy ci ją dam, czy nie.

Dubhe zgrzytnęła zębami.

–Grozisz mi?

Uśmiech nie znikł z warg Reki.

–Ależ skąd. Podaję ci tylko warunki twojego przebywania tutaj, warunki, które uzgodniłaś z Najwyższym Strażnikiem, zanim poświęciłaś swoje życie Thenaarowi. Przypominam ci też, że jesteś uczennicą: nie wolno ci traktować mnie z taką poufałością. Dubhe była zbyt zmęczona, aby odpowiedzieć, a zresztą jej umysł był jeszcze przyćmiony po rytuale inicjacji. Niespodziewanie w jej głowie zaczęły wynurzać się strzępki wspomnień.

–Czy zawsze tak będzie? – spytała. – Czy będę się źle czuła za każdym razem, kiedy dostanę eliksir?

–Czujesz się źle, bo klątwa została pobudzona, a nie przez moją miksturę. Nie bój się, będziesz w stanie wypełniać swoje obowiązki Zwycięskiej.

Rekla odłożyła buteleczkę i znowu spojrzała na Dubhe.

–Będę twoim cieniem przez wiele dni. Nie wiesz nic o kulcie Thenaara z wyjątkiem tego, co powiedział ci Strażnik Inicjantów. Jest wiele innych rzeczy, które musisz wiedzieć; musisz też wytrenować swoje osłabione przez przywary

Przegrywających ciało w technikach Zwycięskich. Ale na wszystko jest czas.

Uśmiechnęła się znowu. Często to robiła.

–Dzisiejszy dzień możesz poświęcić na odpoczynek; wieczorem zaprowadzę cię do twoich pokojów i rozpoczniesz życie Zwycięskiej.

Podniosła się, po czym pochyliła się nad Dubhe.

–Odpocznij – powiedziała, ale ton jej głosu był dziwny, a kiedy Dubhe spojrzała jej w oczy, dostrzegła w nich błysk nikczemności.

Rekla wróciła do niej wieczorem. Dubhe cały dzień przysypiała; jednak o ile jej ciało wypoczęło, nie mogła powiedzieć tego samego o swoim umyśle. Jej sen był lekki i niespokojny, dręczony wizjami. Rekla podeszła do łóżka znowu uśmiechnięta.

–Czujesz się gotowa?

Dubhe przytaknęła. Wolałaby zostać tam jeszcze trochę, ale nie mogła odsuwać momentu stawienia czoła decyzji, którą podjęła. Zeszła z łóżka. Rekla podała jej zawiniątko.

–Tu są twoje ubrania.

Dubhe wzięła je do ręki. Były identyczne jak strój Strażniczki, jedynie guziki gorseciku były czarne, a nie czerwone.

–Yeshol...

Kobieta natychmiast ją uciszyła.

–Jak śmiesz – powiedziała, a jej twarz stała się nagle surowa. – Nikt z nas nie jest godzien wypowiadać imienia Najwyższego Strażnika, a już ty najmniej ze wszystkich. Zdarza ci się to pierwszy raz, więc będę wyrozumiała, ale jeżeli jeszcze raz przyłapię cię z tym imieniem na ustach, każę cię ukarać. Dla nas wszystkich jest to Jego Ekscelencja. Dubhe skrzywiła się.

–Jego Ekscelencja powiedział mi, że dostanę mój sztylet.

–Dostaniesz go w swoim pokoju. Teraz się ubieraj.

Znowu szły przez wąskie tunele i korytarze. Rekla bez żadnego wahania obierała jeden za drugim, a Dubhe starała się zapamiętać wszystkie zakręty, jakie mijały. Było to jednak trudne. Jedynym elementem, jaki mógłby pomóc w orientacji, był odór

krwi. Przesycał każdy kąt, ale czasami był silniejszy, a czasami słabszy. Był to ulotny ślad, ale Dubhe, tak jak nauczył ją Mistrz, zawsze ćwiczyła również i węch. Dziwiła się, że zapach ten wywołuje w niej tylko mdłości, a nie pobudza Bestii. Oczywiście, czuła się niespokojna, jakby coś w niej miało zaraz eksplodować, ale była pewna, że jest w stanie się kontrolować.

A zatem twoje trucizny działają, przeklęta.

Wreszcie Rekla się zatrzymała.

–Tutaj mieszkają Zwycięscy.

Dubhe była zdumiona; wyobrażała sobie, że ludzie ci śpią w jakimś wspólnym dormitorium, a tutaj okazało się, że mają wręcz oddzielne pokoje.

Rekla wyciągnęła stary, zardzewiały klucz i włożyła go do zamka. Drzwi otworzyły się. Strażniczka zatrzymała się w progu i pokazała jej klucz.

–To jest twoja kwatera, a to twój klucz. Ale Strażnik Cel ma klucz, który otwiera wszystkie drzwi, więc może wejść, kiedy chce.

Kobieta weszła, a Dubhe za nią. Pokój był nadzwyczaj mały. Nie miał żadnego okna poza tradycyjnym niewielkim otworem prowadzącym na zewnątrz, zakończonym w głębi małym szklanym okienkiem, które można było zamknąć w razie deszczu, czy śniegu. W rogu – mała wnęka z wszechobecnym posążkiem Thenaara z czarnego kryształu. Przy ścianie stało stare i zniszczone drewniane łóżko. Na nim trochę byle jak rzuconej słomy, poduszka. złożona i gotowa do użytku pościel i koce. W nogach łóżka ustawiono mahoniową ławę skrzyniową, na której Dubhe zobaczyła błyszczący sztylet. Yeshol nie kłamał. Obok sztyletu stał dzbanek prosty gliniany kubek i wielka klepsydra z ciemnego drewna.

–To jest twój pokój. W skrzyni są ubrania na zmianę. Dubhe podeszła do skrzyni i przypięła sztylet do pasa. *Pamiętaj, jesteś tu gościem. Pewnego dnia stąd odejdiesz.*

–No już, idziemy.

Rekla wyszła z pokoju, a Dubhe podążyła za nią. Znow przemierzyły szereg przenikniętych zapachem krwi korytarzy. Po kilku minutach dotarły do obszernego salonu.

–Tutaj jadają Zwycięscy: przychodzi się tu w pierwszej godzinie po świcie, w

południe i godzinę po zachodzie słońca. Przysługują nam te trzy posiłki, ani mniej, ani

więcej.

Była to prostokątna sala pełna ciemnych ławek ustawionych porządnie wokół hebanowych stołów. Przy długiej ścianie mieściło się coś w rodzaju ambony podtrzymywanej przez zniekształcony posąg cyklopa.

–Musimy się pospieszyć, do posiłku została niecała godzina.

Rekla przyspieszyła kroku, a Dubhe prawie straciła ją z oczu, tak szybko i pewnie poruszała się wśród korytarzy.

–Dzisiaj po kolacji dam ci plan tego miejsca. W ciągu dwóch dni będziesz

musiała się nauczyć lokalizacji wszystkich pomieszczeń, czy wyrażam się jasno?

Dubhe nie odpowiedziała, ograniczyła się do podążania za nią.

Dotarły do schodów, zeszły po nich i znalazły się w obszernej okrągłej, całkowicie pustej sali. W ścianie otwierała się seria czarnych jak smoła drzwi.

–Tam są sale treningowe. Ja będę cię uczyć wszystkiego o kulcie, ale ćwiczenia

będziesz wykonywać pod okiem innego Strażnika.

Rekla szybko ruszyła przez sale. W niektórych stały manekiny, w innych tarcze i rozmaite cele. Wszystkie ściany poobwieszane były wszelkimi rodzajami broni: łukami, dmuchawkami, sztyletami o różnych kształtach. Dubhe zobaczyła tam również wiele mieczy, a była to broń, którą ledwie знаła, ponieważ Mistrz zawsze mówił jej, że mordercy jest ona zbędna.

W wielkim pośpiechu przemierzyły z powrotem drogę. Którą dopiero co przeszły, a kiedy znajdowały się na schodach, ponury dzwon wybił dwa razy.

–To sygnał kolacji. Są cztery uderzenia: za czwartym drzwi się zamykają i nikt

nie może już wejść.

Sala była już pełna i na pierwszy rzut oka Dubhe oszacowała, że w środku znajduje się przynajmniej jakieś dwieście osób. Dwustu najbardziej niebezpiecznych zabójców Świata Wynurzonego, dwustu zabójców, którzy nagle stali się jej kolegami. Byli tam mężczyźni i kobiety oraz dość znaczna grupa dzieci siedzących przy oddzielnym stole, ubranych w czarne tuniki i pilnowanych przez jakąś dziesiątkę odzianych na czerwono kobiet.

–Chodź za mną.

Rekla i Dubhe zajęły miejsca przy końcu jednego ze stołów, a kiedy Dubhe usiadła, poczuła na sobie kilka zainteresowanych spojrzeń. Wytrzymała je pewnie. Nie zamierzała dać się traktować jako ciekawostka. Szybko przestano przyglądać się jej natarczywie.

–Nie powinnam tu z tobą być – wymruczała Rekla. – Strażnicy jedzą razem przy tamtym stole. – Wskazała na oddzieloną część, gdzie siedzieli inni mężczyźni i kobiety,

z takimi jak ona kolorowymi guzikami przy gorsetach. – Ale jesteś nowa i zostałam mi

powierzona. Thenaar wybaczy mi to niewielkie odstępstwo od reguł.

Lekki szmer wypełniał salę, ale ucichł nagle, kiedy tylko przy ambonie ukazała się czerwona sylwetka. Dubhe rozpoznała ją od razu. Był to Yeshol.

Jednocześnie w głębi sali pojawiły się byle jak ubrane i bose postacie o podkrążonych oczach i pokrytych głębokimi bruzdami twarzach ludzi cierpiących głód i pracę ponad siły. Jedni trzymali w rękach wielkie garnki, inni zaś nieśli gliniane talerze i sztuce, które zaczęli rozkładać przed każdym stołownikiem.

Rekla ponownie zwróciła się do niej i szepnęła jej na ucho:

–To Postulanci. Przychodzą do świątyni modlić się za swoich bliskich i oczekują na ofiarę; niektórzy z nich to dzieci, przyjaciele lub krewni poświęceni przez Postulantów dla otrzymania tego, o co prosili Thenaara, a inni to dzieci różnych zabitych przez Przegranych.

***Niewolnicy* - powiedziała do siebie Dubhe. Tak jak i ona. Jedynym powodem, dla którego nie znajdowała się wśród nich była po pierwsze ochrona Mistrza, a po drugie zabójstwo dokonane przez nią w wieku ośmiu lat, które w oczach Gildii czyniło z niej wybraną.**

Wychudzony i smutny chłopczyk podał jej miskę, łyżkę i nóż Dubhe na kilka sekund napotkała jego spojrzenie, ale chłopiec szybko odszedł.

Nadeszła kolej na osoby z garnkami; każdemu stołownikowi nalano trochę czerwonej cieczy śmierdzącej kapustą, jednocześnie kładąc przy każdym kawałek suchego chleba orzechowego. Dubhe miała niemiłe wrażenie, że obsługują ich

duchy. Pomyślała o kobiecie, której lamenty widziała za pierwszym razem, kiedy weszła do sanktuarium. Może ona też tu była.

Kiedy zakończyło się rozdawanie posiłku, w sali nikt już nie mówił. Wtedy w powietrzu uniosły się wyraźne słowa Yeshola, wypowiedziane potężnym i ożywianym czymś w rodzaju ledwie, powstrzymywanego mistycznego zapалу głosem, dokładnie jak w dzień inicjacji.

–Złożmy dziękczynienie Thenaarowi za ten długi dzień pracy, a jeszcze bardziej za dar tej sprzyjającej zabójstwom ciemności, tak drogiej Jego Dzieciom.

Audytorium odpowiedziało jednym głosem.

–Krew do krwi, ciało do ciała, niech będzie chwała imieniu Thenaara. Dubhe czuła, jak brzęczy jej w uszach. Yeshol podjął przemowę.

–Nastaly szczęśliwe czasy: dołączyła do nas nowa adeptka,

Zwycięska, która przez długie lata umykała przed swoim przeznaczeniem, ale wreszcie powróciła do Thenaara. Dzisiaj siedzi wśród nas i własnym życiem załata wreszcie rozdarcie, jakie wiele lat temu powstało w naszej wspólnotie przez odejście Sarnka, który, postanowił poświęcić się sprawie Przegranych.

Dubhe podniosła na Yeshola ogniste spojrzenie. Była pewna, że mężczyzna ją zobaczył, bo przez kilka chwil na nią patrzył, ale jak zawsze go to nie wzruszyło.

–Teraz Sarnek nie żyje, a pamięć o jego haniebnym postawie została starta z powierzchni ziemi. Dubhe przybywa do nas i rekompensuje nam to, co odjęto nam w przeszłości.

Z widowni podniósł się aplauz. Dubhe trzymała oczy przyklejone do talerza. Wybór, którego dokonała, coraz bardziej jej ciążył, ale wspomnienie Bestii rozszarpującej jej pierś, aby się wydostać, było silniejsze niż kiedykolwiek.

–I wreszcie, nadchodzi czas. Długo usychaliśmy na wygnaniu w tym miejscu, z dala od naszego prawdziwego Domu. Ale ja poprzysiągłem, że nie umrę, zanim nie ujrzę triumfu Thenaara, i tak będzie. Pamiętajcie o tym, nadchodzi czas.

Tym razem z widowni podniósł się okrzyk radości. Dubhe cały czas patrzyła w

swoją zupę. Nie interesowały jej te szaleństwa. Starła się tylko odizolować od tego zgromadzenia jak mogła najbardziej.

–A teraz jedzcie w oczekiwaniu na dzień poświęcony Thenaarowi.

Ponad dwieście łyżek zaczęło jednocześnie uderzać o gliniane miski. Nie było słyhać innego odgłosu.

Dubhe patrzyła przez kilka chwil na ciecz. Nie miała najmniejszej ochoty na jedzenie. Zapach krwi wypełniał jej nozdrza również i tutaj.

–No co, nie jesz? – skarciła ją Recla.

Dopiero wtedy Dubhe podniosła łyżkę i zaczęła połykać zupę. Robiła to z obrzydzeniem, ale się przemogła. Po raz kolejny powiedziała sobie, że musi wypić swój kielich do końca.

Kolacja zakończyła się po godzinie z okładem. Znowu słudzy sprzątnęli brudne naczynia. Mieli puste oczy i poruszali się mechanicznie.

–Nie ma powodu, aby patrzeć na Przegranych Postulantów, nie zasługują na twoje spojrzenie – ostrzegła ją kwaśno Recla.

Dubhe odwróciła wzrok. Czuła, że te twarze w dziwny sposób ją pociągają. Podczas wojny widziała wielu takich, jak oni.

Twarze ofiar są zawsze takie same, wszędzie.

Przypomniała sobie siebie samą jako dziecko.

Recla już się ruszyła, więc Dubhe zmuszona była przyspieszyć kroku, aby ją dogonić.

–Pamiętasz drogę?

–Dwa razy to mało, żeby zapamiętać tak skomplikowaną trasę. Na twarz Recli wypełził drwiący uśmiech.

–Zwycięski nie potrzebuje niepotrzebnych powtórzeń. Zwycięski zapamiętuje trasę po jednym razie. Nie będzie z tobą łatwo, dziewczynko...

–Nie lekceważ mnie: ja w Świecie Wynurzonym przynajmniej wyrobiłam sobie sławę jako złodziejka. Twojego imienia nikt nie pamięta.

Dubhe ledwo zdążyła skończyć zdanie, kiedy kobieta rzuciła ją na ścianę, wykręcając jej ramię na plecy i przyciskając swój nóż do jej krtani. Dubhe poczuła irytację, którą szybko stłumił mocny ból ramienia.

Ta kobieta ma błyskawiczne odruchy...

W półcieniu korytarza, o włos od jej ucha zadźwięczał nabrzmiały gniewem głos Recli.

–Jestem twoją Strażniczką, nie ośmielaj się więcej mówić do mnie tym tonem, albo cię zarżnę i ofiaruję twoją krew Thenaarowi. To, że Yeshol cię wybrał, nie daje ci
praw do niczego.

Puściła ją nagle, rzucając na ziemię. Dubhe leżała na zimnej posadzce korytarza.

–Pamiętaj, że jestem Strażniczką Trucizn i kwestia twojego przeżycia leży w moich rękach. Nie dostaniesz flakonika, klątwa cię rozerwie. A teraz wstań.

Dubhe zacisnęła palce na nierównościach podłoża. Była przepelniona złością, ale nic nie mogła zrobić. Podniosła się i z opuszczoną głową poszła za kobietą.

Szybko dotarli do pokoju. Recla otworzyła go, po czym wręczyła jej klucze oraz plan.

–Jutro rano przyjdę cię obudzić. Do tego czasu masz znać na pamięć połowę obszaru Domu. Uśmiechnęła się dziko, a Dubhe wydarła jej z rąk kartkę.

–Nie wątp... – syknęła.

–Nie wątpię – Strach może wiele, a zapewniam cię, że jeżeli nie będziesz wypełniać moich rozkazów, zakosztujesz strachu we wszystkich jego formach.

Odwróciła się i odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Dubhe została sama na progu.

Weszła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Duszny zapach chwycił ją za gardło. Nie było żadnej ucieczki z tego zatopionego w czeluściach ziemi miejsca, ani okna, aby mogła przyglądać się niebu i marzyć o niemożliwej wolności.

Nie dostaną mojej duszy, powtarzała sobie nieustannie, aby dodać sobie sił. Ale tam, w drżącym świetle jedynej świecy, jaką wolno jej było mieć, nawet to zdanie wydawało się pozbawione sensu.

Straciłam moją duszę wiele lat temu.

Usiadła ze złością na łóżku i rozłożyła gęsto wypełniony napisami i czarnymi symbolami plan. Wysoko nad nią zimno połyskiwała czerwona gwiazda jej więzienia.

15. Pod okiem Thenaara

Dubhe przebudziła się nagle. Ktoś gwałtownie pukał do drzwi. Chwilę zajęło jej zorientowanie się w miękkiej ciemności pokoiku. Podniosła oczy, zobaczyła szyb i przypomniała sobie. Gildia. Uświadomiła sobie też, kto to puka: Rekla, która przyszła na poranną lekcję.

–Już idę – wybełkotała i zeszła z łóżka.

Wzięła ubrania i otworzyła drzwi. Ciemność przecięło świetliste ostrze, które zadrapało jej pierś. Dubhe błyskawicznie wyciągnęła sztylet.

–Zwariowałaś czy co? – wrzasnęła.

Tamta przystawiła jej broń do gardła. Miecz.

–Masz być punktualna. Zapowiedziałam ci, że jeśli nie będziesz robić tego, co ci powiem – ukarzę cię.

Dubhe przez kilka chwil stała w pozycji obronnej z wyciągniętym ostrzem.

–Schowaj to – syknęła Strażniczka Trucizn.

Dubhe posłuchała.

Kobieta spojrzała na nią z pogardą.

–Musisz się umyć. Chodź za mną.

Przemierzyły zwykłą krętą drogę, ale tym razem Dubhe wiedziała już, gdzie idą. Nocna nauka okazała się owocna, teraz rozpoznawała poszczególne chodniki, chociaż nigdy w nich nie była. Zuchwale stanęła u boku Rekli. Kobieta uśmiechnęła się szyderczo.

–Wypełniłaś tylko swój obowiązek.

Doprowadziła ją do term. Dubhe widziała je wcześniej wyrysowane na planie. Znajdowały się obok sal ćwiczeń i były zasilane podziemnym źródłem ciepłej wody. Dom nie był bardzo oddalony od Krainy Ognia, którą cechowała obecność wielkiej liczby wulkanów; najwyraźniej Thal, największy wulkan tej ziemi sięgał swoim ognistym oddechem aż tutaj, ogrzewając źródła.

Termy były wielkim, okrągłym salonem, jak wszystkie pomieszczenia tego miejsca topornie wyciosanym w skale. W rogu królował wielki posąg Thenaara z czarnego

kryształu.

Znowu, podobnie jak w Wielkiej Sali, gdzie odbyła się inicjacja, u jego stóp znajdowała się inna postać, mniejsza. Tym razem Dubhe udało się przyjrzeć jej wyraźniej. Było to rzeczywiście dziecko, ale jego twarz miała wyraz pełen powagi zabarwionej smutkiem, przez co wydawało się ono dorosłym w miniaturze. Twarz ta była niepokojąco piękna, a kręcone włosy były wyrzeźbione z taką maestrią, że wydawały się miękkie i lśniące. Po obu stronach głowy spod włosów wystawało coś spiczastego, czego Dubhe nie potrafiła bliżej zidentyfikować. Dziecko miało na sobie opadającą aż do stóp tunikę z szerokim kołnierzem, a jego ramiona były otwarte, jak gdyby chciały objąć całą salę.

Dubhe zdumiała się i zaczęła się zastanawiać, kogo może przedstawiać ta rzeźba.

Salę prawie w całości zajmował obszerny basen z ciepłą wodą, której opary wypełniały całe pomieszczenie. Z kilku monstrualnych twarzy porozmieszczanych wzdłuż ścian wypływały strumienie wody. W środku przebywało dużo ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

–Tym razem ja cię przyprowadziłam, ale od tej chwili, zanim staniesz przed moim obliczem, sama będziesz tutaj przychodzić, aby się umyć. Zobaczymy się w refektarzu przy pierwszym uderzeniu dzwonu – powiedziała Rekla i odeszła. Dubhe spojrzała na rojące się w basenie ciała i wydały jej się one larwami żywiącymi się ciemnością. Wszyscy ludzie byli bladzi, dzięki ćwiczeniom mieli gibkie ciała i robili wrażenie identycznych.

Dziewczyna rozebrała się pośpiesznie, odłożyła swoje ubranie w jednej z wnęk specjalnie w tym celu wyżłobionych w skale, po czym wskoczyła do wody i dłuższy czas spędziła pod powierzchnią. Ciepło wprawiło ją w odrętwienie. Nagle

przypomniała sobie poranki w Krainie Słońca, kiedy chodziła się myć do Ciemnego Źródła. Tam woda była lodowata i wzmacniająca, i już sam jej chłód sprawiał, że czuła się czysta.

Trochę popływała, chociaż okazało się to trudne z uwagi na to bezsensowne ciepło, po czym stanęła pod strumieniem jednej z kaskad. Koło niej znajdował się mężczyzna. Zerknął na nią, ale zdała sobie sprawę, że robi to bez złych intencji. Patrzył na nią tak, jak się spogląda na innego człowieka, a w jego oczach była tylko ciekawość dla nowo przybyłej. Dubhe jednak poczuła się zawstydzona. Przemierzyła basen z powrotem, wyszła i wytarła się. Kiedy zapięła ostatni z guzików kamizeli,

dzwon zabrzmiał po raz pierwszy. Nawet gdyby nie uczyła się tak dokładnie planu, nie byłoby jej trudno znaleźć drogę do refektarza. Wszyscy szli w tamtym kierunku i wystarczyło podążyć za rzeką ludzi, aby dotrzeć do obszernej sali.

Tym razem na stołach już leżało to, co trzeba: kawałek czarnego chleba i miska mleka.

Wszyscy zajęli swoje miejsca, po czym zapadła zwykła cisza. Dubhe spodziewała się, co może zaraz nastąpić: religijność żywi się rytuałami. I rzeczywiście, przy ambonie pojawił się Yeshol.

–Prośmy Thenaara, aby podarował nam długi dzień pracy, na którego zakończenie będziemy mogli cieszyć się darem ciemności, sprzyjającej zabójstwom i tak drogiej Jego Dzieciom...

Powtórzył inwokację z poprzedniego wieczoru i po raz kolejny audytorium odparło jednym głosem:

–Krew do krwi, ciało do ciała, niech będzie chwała imieniu Thenaara. Yeshol wydawał się zadowolony.

–Jedźcie. Jedźcie i posilajcie się.

Wszyscy rzucili się na to, co mieli przed sobą. Dubhe szybko wypila mleko i w kilku kęsach pochłonęła chleb.

–No i co teraz? – zapytała, kiedy skończyła.

Rekla miała jeszcze przed sobą połowę swojego mleka.

–No i nie wyglądasz na zabójczynię. Nikt nie nauczył cię cierpliwości?

–Rzeczywiście, jestem złodziejką. Rekla uśmiechnęła się drwiąco.

–Jesteś Dzieckiem Śmierci i to jest twoje przeznaczenie. – Zamilkła na chwilę, tylko po to, aby zdenerwować Dubhe. – Naucz się rozróżniać, kiedy jest czas na oczekiwanie, a kiedy na działanie.

Po śniadaniu poszły do świątyni. Była milcząca i ponura, jak zawsze. Rozbrzmiewała dźwiękami wiatru i deszczu: na zewnątrz musiała szaleć burza z prawdziwego zdarzenia. Dubhe wsłuchiwała się w te odgłosy. W czeluściach ziemi mieszkała dopiero nieco ponad tydzień, ale już tęskniła za wszystkim, co było na zewnątrz. Już prawie

pomyślała, żeby wyjść, za ledwie na ułamek chwili, aby nacieszyć się deszczem i chłozującym twarz wiatrem, ale natychmiast porzuciła tę myśl. Reklę już klęczała przed ołtarzem.

–Uklęknij.

–Ja nie wierzę w Thenaara.

Nie rozumiała, dlaczego to robi. Yeshol wyraził się jasno: życie tutaj oznaczało przystosowanie się do kultu, a życie w Gildii było jedynym sposobem na uniknięcie straszliwej śmierci. A jednak nie chciała. W jakiś sposób Mistrz zakazywał jej tego.

Reklę odwróciła się powoli.

–Każdy twój niepotrzebny akt buntu, każde twoje zbędne słowo oznacza cierpienie. Ty teraz nie zdajesz sobie z tego sprawy, bo jesteś napełniona eliksirem, ale

przypomnij sobie wieczór swojej inicjacji i swoje własne nieludzkie wrzaski.

Przeżyjesz to jeszcze raz, Dubhe, jeżeli nie uklękiesz.

Dubhe zacisnęła pięści, ale uklękła. Wspomnienie Bestii prześladowało ją i uniemożliwiało jej twardą odmowę.

–Ja nie mam żadnego interesu, żebyś tu z nami była. Dla mnie jesteś i pozostaniesz Przegraną, bo jak taka się zachowujesz. Ale Jego Ekscelencja w ciebie wierzy, a on jest wyobrażeniem Thenaara na ziemi, przynajmniej dopóki nie wróci Syn Umiłowany. Jeżeli nie podrzytam ci gardła tu i teraz, to tylko ze względu na moją

wiarę, wiedz o tym.

–A jeżeli ja cię nie zabijam, to tylko ze względu na eliksir – odcięła się Dubhe.

Reklę uśmiechnęła się spod oka.

Nauczyła ją modlitwy.

–Potężny Thenaarze, bogu błyskawicy i ostrza, panie krwi, oświeć moją drogę, abym mógł dokonać zabójstwa i ofiarować Ci krew Przegranego.

Rekla wyjaśniła jej, że to właśnie recytuje Zabójca przed misją, i kazała jej powtórzyć.

Dubhe musiała zaczerpnąć powietrza. Coś wewnątrz niej uniemożliwiało jej powtórzenie tego głupiego zaklęcia. Przemogła się i udało jej się to zrobić, ale wygłosiła modlitwę tonem tak poirytowanym i pełnym nienawiści, że Rekla natychmiast się zasępiła. W odróżnieniu od Yeshola, ta kobieta była bardziej uwrażliwiona na bluźnierstwo, ale choć w jej oczach zapłonęły ognie, nic nie zrobiła.

Dubhe zaczynała rozumieć, jak daleko może się posunąć. Była tylko jedna osoba, która mogła ją zabić, i był to Yeshol, który uknuł spisek, aby mieć ją w swoich szeregach. Przy Rekli mogła jeszcze pozwolić sobie na jakieś małe radości.

Kiedy skończyła, podniosły się i usiadły w jednej z ławek. Rekla zaczęła ją kształcić. Wiele rzeczy Dubhe już wiedziała; niektóre pamiętała, bo Ghaan mówił jej o nich podczas długich dni oczyszczenia, inne знаła, bo były to pogłoski krążące wśród ludzi, inne jeszcze zdradził jej Mistrz. Rekla zaczęła od opowieści o dzieciach. Thenaar jest bogiem okrutnym, kochającym śmierć, ale przede wszystkim jest bogiem, który wybiera: po jednej stronie stoją jego wybrańcy – Zwycięscy, a po drugiej Przegrani. Przegrani to zwykli ludzie: ci, którzy nigdy nie zabili albo uczynili to podczas wojny, z woli innych; są oni niegodni Thenaara. On ich nienawidzi i pragnie zgnieść, ponieważ są owocem ohydnych aktów twórczych innych bogów, mających zbyt łagodne serce. Zwycięscy są mordercami, Zabójcami Gildii.

–My nie jesteśmy jak żołnierze, którzy zabijają innych z powodu nienawiści, ani nawet nie jak normalni zawodowi zabójcy, którzy mordują dla pieniędzy i sprzedają szlachetną sztukę zabójstwa za kawałek chleba – mówiła Rekla z błyszczącymi oczami. – My zabijamy na chwałę Thenaara, uwalniamy świat od Przegranych, aby pewnego dnia nadszedł Jego Czas: świat, w którym będą żyć tylko stworzenia przez niego wielbione, my – Zwycięscy, lepszy świat.

Dubhe powstrzymała uśmiech. Gildia, która zabija dla lepszego świata... A przecież Yeshol kazał sobie dawać pieniądze za korzystanie z usług swoich Zwycięskich, a przez ręce Gildii przepływały niesamowite ilości pieniędzy!

Prawda była taka, że życie na tym świecie nie było nic warte, a Dubhe zrozumiała to już od momentu, kiedy została wygnana ze swojego domu, a własny ojciec jej nie ocalił.

Rekla opowiadała dalej. Zwycięskich wyznacza los: to ci, którzy zabili w młodym wieku. Dzieci urodzone przez kobiety umierające przy porodzie albo ludzie tacy jak ona, którzy zabijają przyjaciela podczas zabawy, albo dzieci, które zabijają

świadomie, ot tak, bez powodu.

Dubhe pokręciła leciutko głową. To nie było z powodu Thenaara. Czuła to. Gornar nie umarł z powodu Thenaara. To się stało, bo takie było przeznaczenie, nic poza tym. I tak w milczeniu słuchała opowieści, ale w nią nie uwierzyła. Będzie słuchała dalej, przez wszystkie następne dni, ale na pewno w nic nie będzie wierzyć, tak jak zawsze.

Ja nie jestem taka jak oni i nigdy taka nie będę.

Po obiedzie Dubhe miała godzinę wolnego.

–Potem pójdziemy do sali ćwiczeń, a nie można dobrze trenować z pełnym żołądkiem.

Rekla dała jej gruby, oprawiony w czarną skórę tom z ciężkimi zardzewiałymi ćwiekami.

–Chcę, żebyś do jutra przeczytała przynajmniej połowę – powiedziała, po czym odeszła, znikając w ciemności korytarzy.

Dubhe nie miała najmniejszej ochoty krążyć po domu. W końcu zamknęła się w swoim pokoju, gdzie spędziła nudną godzinę, czytając niektóre fragmenty z książki. Był to sekretny tekst dla inicjantów na temat organizacji społecznej Domu. Dubhe nigdy nie sądziła, że Gildia może mieć tak złożoną strukturę: przypuszczała, że istnieje jakiś podział obowiązków, ale nie miała pojęcia, ile kast i klas było koniecznych, aby pozwolić pracować i żyć sekcje takiej jak ta, liczącej kilkaset osób.

Odkryła, że było wielu Strażników o stopniu Recli: strażnicy nadzorujący kuchnie, ofiary, zajmujący się nowicjuszami, salami ćwiczeń czy czystością świątyni. Setki stanowisk.

Dowiedziała się także, iż Gildia miała swoje odgałęzienia również poza Domem. Swoją działalność prowadziła za pośrednictwem ludzi, którzy nie byli w pełni wtajemniczeni, ale w jakiś sposób pozwalali jej rozszerzyć zasięg swych macek na cały Świat Wynurzony. Byli to w większości kapłani w tajemnicy wyznający ten kult, jak również wielu czarodziejów. Znalazła tu nawet ich listę. Dubhe sporo umieszczonych na niej osób знаła, ale nikogo z nich nigdy by o coś takiego nie podejrzewała. Wielu zajmowało stanowiska doradców królów i hrabiów. Wiedziała, że Gildia jest potężna, ale nie sądziła, że aż tak.

Upłynięcie godziny zasygnalizowała jej klepsydra. Odczuta to niemal jako uwolnienie i z ulgą udała się wreszcie do sali ćwiczeń.

Kiedy tam weszła, z trudem ją rozpoznała. Pomieszczenia poprzedniego wieczoru

puste i na wpół ciemne, teraz były jasne prawie jak w dzień za sprawą wielkich trójnogów z brązu, wydzielających lekki, owocowy aromat. Zapach potu był jednak bardzo silny i mieszał się z wonią krwi. Dubhe poczuła lekki zawrót głowy, ale szybko jej przeszło. Znalazła czekającą na nią Reklę.

Sale były pełne ludzi, głównie dzieci i młodzieży, zarówno chłopców, jak i dziewcząt. Przebywały tam też bardzo małe dzieci. Wszyscy pogrążeni byli w najprzeróżniejszych ćwiczeniach, mających na celu wzmocnienie i wydłużenie mięśni, trenowanie równowagi czy zdolności koncentracji. Niektórzy ćwiczyli użycie broni, inni walczyli gołymi rękami, próbowali różnych chwytów i uczyli się, w jakich miejscach ciało ludzkie jest najbardziej czułe. Inni uwijali się wokół manekinów. Mieli twarze skoncentrowane na wysiłku i całkiem brakowało im tej żywości, jaką pamiętała u siebie w dzieciństwie. Byli to dorośli pozamykani w drobnych ciałkach. Niespodziewanie przyszła jej na myśl statua obok posągu Thenaara, dziwne dziecko z twarzą dorosłego.

Idąc za Reklą, przemierzyła kilka sal. Wszystkie wypełnione były dziećmi i nastolatkami.

–Gdyby to zależało ode mnie, zatrzymałabym cię tutaj, z młodzieżą w twoim wieku, ale Jego Ekscelencja jest przekonany, że jesteś warta więcej.

Wreszcie dotarły do pomieszczeń, gdzie ćwiczyli dorośli. Wszyscy mieli płynne, zwinne ruchy i trenowali samodzielnie. Dubhe powiedziała sobie, że co prawda nie jest to Ciemne Źródło, przy którym tak przyjemnie się ćwiczyło, ale przynajmniej będzie miała gdzie szukać koncentracji i wrócić nieco do siebie, odnaleźć trochę samotności.

Rekla jednak zdecydowanym krokiem podeszła do stojącego na uboczu mężczyzny. Opierał się o ścianę, a w dłoni trzymał coś w rodzaju szpicruty. Był wysoki i wychudzony, szczupły aż do przesady. Jego ogolona głowa lśniła w intensywnym świetle padającym z trójnogów. Miał spłaszczoną twarz, zakrzywiony nos, szerokie i cienkie usta, niewyraźnie zarysowany podbródek.

Kiedy tylko Rekla się do niego zbliżyła, porzucił pozycję, w jakiej się znajdował, a która miała w sobie coś obraźliwie zuchwałego, i opuścił ramiona wzdłuż boków. Były nienaturalnie długie. Nie patrzył żadnej z obu kobiet w oczy, ale pochylił głowę, taksując je spod oka. Jego głos doskonale odpowiadał jego wyglądowi: był lepki i

cienki, prawie piskliwy.

–Witaj, Rekla. To nowy nabytek, jak mniemam – przeniósł spojrzenie na

Dubhe. Jego oczy były czarne, dwie mroczne studnie, ruchliwe i umykające.

Rekla ograniczyła się do kiwnięcia głową. Zdawało się, że traktuje go z pewną zarozumiałością i źle skrywanym obrzydzeniem.

–Jego Ekscelencja pragnie, abyś dzisiaj wypróbował jej umiejętności i zdał mu relację.

–Jak Jego Ekscelencja sobie życzy – odpowiedział mężczyzna z niemal drwiącym ukłonem. Nie wydawał się żarliwy jak Rekla Powodowało nim coś innego, a

nie fanatyzm, jak innymi. Strażniczka Truczizn obróciła się na pięcie i odeszła. Dubhe została sama przed tym mężczyzną. On długo się w nią wpatrywał. Niechętnie pozwoliła mu na siebie patrzeć i poczuła silną tęsknotę za swoim płaszczem. Nie była

przyzwyczajona do chodzenia bez niego, z odkrytą twarzą i ciałem.

–Ja jestem Sherva, Strażnik Sali Ćwiczeń. Twoje imię?

–Nie znasz go? – spytała Dubhe. Mężczyzna przywołał na twarz koślawy uśmiech.

–Chcę je usłyszeć z twoich ust.

Dubhe zadowolona go.

–Ciało zabójcy wiele o nim mówi, a twoje jest dobrze wyćwiczone w technikach wymagających zwinności i skrytości. To dobrze. Nie masz jednak wprawy w zabójstwie gołymi rękami a miecz jest ci praktycznie nieznany. Dobrze strzelasz z łuku, ale tylko jedną ręką, i wolisz sztylet. To też dobrze, bo Zwycięscy pragną krwi, a sztylet jest umiłowaną bronią Thenaara.

–Nie zaimponowałeś mi.

–Nie było to moim zamiarem. Od jak dawna nie praktykujesz?

Koszmar nabierał nowego wymiaru.

–Nigdy nie praktykowałam. Zostałam tylko przeszkolona. Sherva pogładził się po brodzie, omiatając ją krytycznym spojrzeniem.

–Jasne... ty jesteś złodziejką, prawda? Dubhe przytaknęła, prawie z ulgą.

–Jak dawno zakończyło się twoje szkolenie?

–Dwa lata temu.

–I do tamtego momentu asystowałaś Sarnkowi, prawda? Ale nie tylko. Przez te

dwa lata dalej ćwiczyłaś się w technikach, których on cię nauczył. Zabójca bez krwi, morderca bez ofiar.

Dubhe nie wiedziała, co powiedzieć. Po sztywności Recli rozmowa z tym mężczyzną wydała jej się o wiele bardziej interesująca. Było w nim coś chorego, jak we wszystkim tu w środku, ale również coś fascynującego.

–Tak czy inaczej – podsumował – z pewnością nie wystarczy spojrzeć na twoje ciało, żeby mieć pewność, co umiesz robić. Trzeba to sprawdzić w praktyce.

Ruszył się, a Dubhe poszła za nim. Jego kroki nie wydawały żadnych odgłosów. Jego ruchy miały płynność, której Dubhe nigdy u nikogo nie widziała, nawet u zwierząt. Miała wrażenie, że powietrze otwiera się przed nim, po czym zamyka za nim bez ruchu. Nawet sprawne zmysły Dubhe nie potrafiły wyczuć żadnego śladu jego przejścia.

–Nie dziw się tak – rzucił Sherva, nie odwracając się, jakby czytał w jej myślach.

–Moja zwinność to owoc wielu lat treningu i jest już moją specjalnością.

Dubhe zaczynała czuć do tego człowieka dziwną sympatię.

Dotarli do zakurzonego i ciemniejszego niż inne pomieszczenia leżącego z dala od zgiełku największej sali. Było ono dość małe, ale niczego w nim nie brakowało: znajdowały się tu manekiny i wszelkiego rodzaju broń. Sherva wlał oleju do lampy, po czym zapalił ją rozżarzoną głównią.

–Jak możesz się domyślić, zazwyczaj zajmuję się dziećmi, ale Yeshol chce,

abym dzisiaj, jak i w przyszłości, poświęcił się tobie, Dubhe zdumiała się prostotą, z

jaką mężczyzna wypowiedział imię Najwyższego Strażnika.

–Człowiek trenuje przez całe życie, a poza tym są techniki, których nie znasz. Popracujemy nad nimi. Pod pewnymi względami Dubhe czuła się, jakby znowu była małą dziewczynką. Trenowanie i nauka nowych technik były czymś, co zawsze bardzo lubiła.

–Nie zabiłaś nikogo jako płatny morderca? – zapytał zniechęca.

–Nie – odpowiedziała sucho Dubhe. Jej myśli powędrowały do jej pierwszego morderstwa.

Sherva patrzył na nią spod oka z uśmiechem jak zawsze oślizgłym i nikczemnym.

–A może tak. W sumie nie interesuje mnie to. Jeżeli to zrobiłaś, uczyniłaś to dla pieniędzy, a nie zabija się dla pieniędzy nie zabija się z żadnego innego powodu, jak tylko dla zabijania samego w sobie.

–Rekla tak nie uważa. I Yeshol też nie. Zabija się dla Thenaara, tak mówią.

Dyskusja obrała ciekawy kierunek i Dubhe chciała ją pogłębić.

–Ja aspiruję do osiągnięcia doskonałości techniki. Być może jest to mój sposób na służbę Thenarowi. A teraz koniec z pogaduszkami. Pokaż mi, co potrafisz.

To było jak powrót do dzieciństwa. Musiała pokazać, ile jest warta, próbując sił z różnymi rodzajami broni, udając zasadzki, pokazując swoją zwinność w ćwiczeniach i akrobacjach. Sherva był skąpy w komentarzach i przez cały czas zachował milczenie, ale Dubhe uznała, że zrobiła na nim dobre wrażenie zarówno w próbie łuku, jak i ze sztyletem. Wydawał się też zadowolony z jej zwinności. Gorzej poszło jej z mieczem. Dubhe wiedziała, że mężczyzna miał słuszość, kiedy mówił o jej umiejętnościach, po prostu na nią patrząc. Zresztą jej mięśnie mówiły same za siebie, zdawała sobie z tego sprawę.

Kiedy przyszło do pokazania technik zabijania gołymi rękami, Sherva ją zaskoczył.

–Tym razem żadnych kukieł, spróbuj ze mną. Dubhe przez kilka chwil stała zdumiona.

–Mogę ci zrobić krzywdę. Mistrz wiele mnie nauczył.

–Rób, co ci powiedziałem, i basta.

Dubhe westchnęła i postanowiła działać na poważnie.

Próbowała wszystkiego: złamać mu kręgosłup, udusić go rękami i nogami, a nawet użyła pięści. Jednak on był nienaturalnie zwinny i zdawał się wyslizgiwać z jej rąk jak piskorz. Za każdym razem, kiedy już była pewna, że trzyma go w mocnym uchwycie, on się uwalniał. Wydawało się, że ma naruszone wszystkie stawy, bo był w stanie

wyciągać z nich ręce i nogi, a także zginać je pod niemożliwymi kątami. Dubhe ani razu nie udało się wpędzić go w kłopoty, a nawet nie zrobiła mu siniaka. Pod koniec próby ona była zadyszana, a Sherva oddychał w zwykłym tempie.

–To czary... – wymruczała Dubhe.

Sherva uśmiechnął się złośliwie.

–Też ale nie tylko. To jest zakazane lekarstwo, ćwiczenie i ból, i ty też możesz taka być za kilka lat. Chcesz?

Dubhe nie wiedziała. Nie wstąpiła tam, aby robić postępy i stawać się doskonałym zabójcą. Wolała nawet nie myśleć o tym, że będzie musiała zabijać, i to

zawodowo. Była tam tylko po to, aby przeżyć, sprzedała swoje ciało, aby nie wpadło w szpony Bestii.

–Ty jesteś nauczycielem – odpowiedziała.

Sherva rozmyślał przez kilka chwil, po czym odezwał się:

–Podtrzymuję to, co powiedziałem wcześniej. Musisz nauczyć się posługiwać mieczem, a twoja zwinność, chociaż wspaniała, może się jeszcze poprawić. Musisz nauczyć się technik ataku bez broni. No i oczywiście tego, czego najbardziej chce Yeshol: musisz nauczyć się rytuału zabójstwa Gildii.

Spędzili tam jeszcze godzinę. Sherva nie marnował czasu i zadawał jej bolesne ćwiczenia na rozluźnienie stawów. Mistrz też kazał jej takie wykonywać, a Dubhe zastanawiała się, czy to nie Sherva go ich nauczył, i kusił ją, aby go o to zapytać. Ćwiczenia Mistrza nie były jednak tak zaawansowane i bolesne. Sherva doprowadzał ją do granic możliwości, do granicy złamania, po czym następowało wycofanie. W jakiś sposób było to jednak przyjemne. Mięśnie napinały się, stawy trzeszczały. Przy trudach ciała, w bólu, niknęło przerażenie i poczucie dręczącego niepokoju, i Dubhe znowu była wolna. Kiedy przerwali, chociaż każdy pojedynczy mięsień bolał ją do szaleństwa, wydawało jej się, że odzyskała nieco spokoju ducha.

16. Tak, Mistrzu!

* * *

Przeszłość V

Chata mężczyzny jest mała, tak jak wszystkie domy, które Dubhe do tej pory znała. Zaledwie dwa pokoje, zawieszane na krawędzi linii wody. W pierwszym jest kominek i stół, a drugi dziewczynka widziała tylko przelotnie zza drzwi. To pomieszczenie, w którym śpi mężczyzna, i dla Dubhe jest to trochę jak pokój mamy i taty w Selvie, miejsce dziwne i tajemnicze, gdzie nie może wejść.

Mężczyzna położył na ziemi trochę słomy i dał jej pościel. Dubhe nie kładzie się od razu. Przez dłuższy czas nie wstaje od stołu, przy którym siedzi po ciemku. Z pokoju obok nie dochodzi żaden dźwięk. Tak jakby jego tam nie było, ale jego słowa pozostały zawieszane nad stołem, wokół niej.

Ten, kto tak jak ty zabija w młodości, jest predestynowany, przeznaczony do zabójstwa.

Trwa lato, ale jest zimno. Na zewnątrz panuje ogłuszający hałas. Wiatr sprawia, że belki dachowe skrzypią, jakby zaraz miały się zerwać, ale to przede wszystkim nieustający huk morza niepokoi Dubhe.

Zaczyna się trząść i chce jej się płakać. To właśnie w takich chwilach, jak ta, szła do swojego ojca, a on, na wpół zaspany, zawsze znajdował sposób, aby ją pocieszyć.

Cokolwiek jej powiedział, zawsze w końcu wracała do łóżka pogodniejsza.

Wreszcie wstaje z krzesła.

Pójdę do niego, obudzę go, a on mi powie, że wszystko będzie dobrze. Tylko chwileczka i będę spokojna.

Nie idzie jednak do niego. Automatycznie bierze płaszcz, wkłada go na siebie i kieruje się w stronę drzwi. Chwilę zajmuje jej ich otwarcie, bo wiatr na zewnątrz jest silny i dociska je do framugi. Dubhe udaje się wreszcie zwyciężyć, ale z wielkim trudem.

Zaraz po wyjściu opada ją piasek i zaczynają piec oczy. Przez kilka sekund paniki czuje się całkowicie ślepa z powodu ciemności i uderzającego ją po twarzy piachu. Potem się przyzwyczajają.

Wszystko jest bardzo ciemne, ale nad nią wisi jeszcze ubywający księżyc otoczony

orszakiem szybko biegnących chmur. Dziewczynka idzie mimo wiatru, z wysiłkiem zatapiając stopy w piasku, i kieruje się w stronę oceanu, który wzbudza w niej taki strach.

Czuje, że już stanowczo zbyt długo ucieka od siebie samej i przede wszystkim od Gornara. Jest tym zmęczona. Idzie więc do linii wody i zatrzymuje się tam, gdzie stała kilka godzin wcześniej, kiedy tylko przybyli. Fale są wysokie i z wściekłością uderzają o piasek, woda wyciąga swoje macki, pożerając szerokie kawałki plaży, a kiedy się cofa, wydaje się dłonią spadającego człowieka albo umierającego, który czepia się nawet leżących na drodze kamyczków, byle tylko przeżyć. To woda czarna, ciemna, i Dubhe mówi sobie, że przypomina krew. Dziwi się jasności piany na tle tego całego atramentu. Wydaje się ożywiana jakimś rodzajem czarów, bo połyskuje, chociaż ciemność jest naprawdę gęsta. Patrzy jak zaczarowana.

Morze grzmi, jest silne, ale niesie ze sobą coś tak delikatnego jak pianka...

Siada na plaży i już się nie boi.

Mężczyzna budzi się i od razu czuje, że coś jest inaczej.

Ta smarkula...

To lata treningu w czeluściach ziemi uczyniły go tak bystrym wobec świata, tak wyostrzyły jego zmysły. Wystarcza mu najmniejszy szczegół i od razu rozumie, co jest nie tak. Ta umiejętność ocaliła mu życie niezliczoną ilość razy. Jednak nie lubi jej. Prowadzi go to znów do Gildii, do lat, które chciałby wymazać ze swojej pamięci.

Podnosi się i widzi puste legowisko. Prawie ma nadzieję, że sobie poszła. Zresztą poprzedniego wieczoru z całą pewnością nie był dla niej czuły. Fakt, że powiedział jej tylko prawdę. Nie żyją w czasach, kiedy dzieci mogą długo pozostać nieświadome. Mówi sobie, że w końcu wyświadczył jej przysługę. Im prędszej wejdzie w kontakt z rzeczywistością, tym lepiej.

Chociaż chce czuć się zadowolony, że jej nie znalazł, prawie nieświadomie szuka jej śladów. Nie ma płaszczka, w wejściu znajdują się ślady piasku.

Czego, u diabła, szukam? Odeszła i to najlepsze, co mogła zrobić. Jeden kłopot mniej.

Wychodzi. Mówi sobie, że chce zaczerpnąć nieco powietrza, ale w głębi duszy wie, że tak nie jest.

Przeciąga się w wejściu i wdycha gęste od jodu powietrze. Jest piękny dzień, czysty dzięki silnemu wiatrowi z poprzedniego wieczoru. Niebo jest bez skazy, a słońce grzeje mocno. Pełnia lata, ale bez duszących upałów. To dlatego właśnie ma dom

nad brzegiem morza.

Rozgląda się wokół z roztargnieniem i dostrzega ją. Punkcik na piasku.

Zbliża się powoli. Dziewczynka jest owinięta płaszczem, opuszczony kaptur zakrywa prawie całą jej twarz, nogi obejmuje ramionami. Kiedy podchodzi bliżej, widzi, że pogrążona jest we śnie. Zastanawia się, co tutaj robi i dlaczego spędziła noc pod gołym niebem, zwłaszcza przy tym strasznym wietrze i o krok od fal, mimo słońca wciąż jeszcze gwałtownych. Naprawdę jednak wie. Ta dziewczynka jest do niego bardziej podobna, niż myśli.

Kusi go, aby obudzić ją kopnięciem, ale z jakiegoś niejasnego dla niego powodu woli przy niej ukucnąć. Ma zmarszczone czoło i poważny, skupiony wyraz twarzy.

Potrząsa ją za ramię nieco niezgrabnie, a ona budzi się z drgnieniem. Nie zdążyła jeszcze oprzytomnieć, a już ściska w dłoniach sztylet.

***Urodzona zabójczyni...* – zauważa mężczyzna.**

Jej oczy, początkowo przerażone, prędko wypełniają się ulgą.

–Tutaj spędziłaś noc? Rumieni się.

–Chciałam popatrzeć na ocean, a potem zasnęłam. Mężczyzna podnosi się.

–Jak chcesz, przygotowuję śniadanie.

Odwraca się i nie czeka na nią. Wie, że nie ma takiej potrzeby. Nagle, kiedy słyszy nieskładne szuranie dziewczynki po piasku, ogarnia go dziwna melancholia. Coś się zaczęło tej nocy – coś, co nie przyniesie nic dobrego ani jemu, ani jej. Po raz pierwszy kusi go, aby uwierzyć w przeznaczenie.

Mężczyzna dotrzymuje słowa. Powiedział, że da jej czas, aby wydobrzała, i tak też jest. Nie pośpiesza jej, pozwala jej zostać w domu. Co jakiś czas ogląda ranę, już prawie całkiem zabliznioną, i przygotowuje dziewczynce jedzenie. Gdyby nie ogłuszająca cisza między nimi, byłoby prawie tak jak w Selvie.

Mężczyzna prawie nigdy się nie odzywa. Od kilku dni zaś wygląda bardziej ponuro. Nie ma już tego pewnego siebie wyrazu twarzy, jak podczas podróży. Wydaje się wędnać w beczynności i długie godziny spędza, leżąc na łóżku i paląc fajkę. Zanedbuje też swoje ćwiczenia, co bardzo dziwi Dubhe. Zawsze miała wrażenie, że są dla niego ważne, a poza tym lubiła patrzeć na elegancję jego ruchów. W tańcu sztyletu jest coś, co ją pociąga. Mówi sobie, że chciałaby się nauczyć.

–Nie trenujesz? – pyta go pewnego razu, znajdując wreszcie odwagę, aby znów

otworzyć przy nim usta.

Mężczyzna siedzi przy stole z fajką w ustach.

–A co ty o tym wiesz?

–W podróży to robiłeś.

–Czekam.

Tak. Ona też czeka, chociaż nie bardzo wie, na co. Już nie na swojego ojca, jak kiedyś. Czeką na coś innego, czego nie potrafi określić.

–A na co czekasz?

–Na pracę. A tymczasem odpoczywam. Tak czy inaczej, ciebie to nie dotyczy. Dubhe cichnie. Mieszkają razem od niedawna, ale uczy się poznawać jego

sposób zachowania. Kiedy staje się taki gburowaty, dziewczynka woli milczeć i wycofać się do kącika, aby się mu przyglądać.

Pewnego dnia rozlega się pukanie do drzwi. Dubhe podskakuje. Już prawie zaczęła wierzyć, że ich dwójka mieszka samotnie na krawędzi świata – tej, o której czasami rozmawiała ze swoimi przyjaciółmi.

„Świat Wynurzony oparty jest na czymś w rodzaju stołu a wokół wszystkich Ośmiu Krain biegnie krawędź” – mówił Gornar

„To dziecinna bzdura – orzekła prawie zawsze Pat. – Mama powiedziała mi, że na zachodzie jest wielka rzeka, a na wschodzie pustynia”.

Gornar potrząsał głową: „Mówią ci tak, żeby cię nie przestraszyć. Tak naprawdę wokół nic nie ma, tylko krawędzie, a tam mieszkają pustelnicy i czarodzieje, ot tak, zawieszeni nad otchłanią.

„A Nihal i Sennar, którzy polecili za Saar?”.

„Odeszli w pustkę, tam, dokąd odchodzą zmęczeni bohaterowie”.

Dubhe nie potrafiła powiedzieć, czy naprawdę w to wierzy, ale to miejsce wydawało jej się właśnie tym, o którym mówił Gornar. Czasami wyobrażała sobie nawet, że inni ludzie już nie istnieją, że w tym miejscu żyje już tylko ona i ten mężczyzna, którego imienia nawet nie знаła.

Kiedy tylko mężczyzna słyszy pukanie, wkłada płaszcz, a Dubhe wykorzystuje to, żeby iść otworzyć. Mężczyzna odsuwa ją niezgrabnie.

–To nie do ciebie – mówi jej. Otwiera drzwi, a w progu pojawia się coś, co od razu wzbudza w Dubhe lęk. To spłaszczona twarz z nieproporcjonalnym nosem i wielkimi, popękkanymi od upału wargami. Przybysz ma długie, bardzo czarne włosy; jego broda i wąsy również są bardzo długie. Czoło ma wysokie i pełne zmarszczek, a małe oczy przypominają świńskie. Ta straszna głowa osadzona jest na nie mniej groteskowym ciele: jest ono nie wyższe niż połowa jej gospodarza, ma bardzo długi korpus, a nóżki krępe i krótkie. Dubhe instynktownie chowa się za mężczyzną. A on jeszcze mocniej przyciska ją do swojego ciała.

–Kim jesteś?

–Czy ty jesteś zabójcą?

Głos gościa jest ochryply, głęboki i mroczny. Dubhe ściska w palcach płaszcz mężczyzny.

–Wejdz.

Mężczyzna odwraca się i wypycha Dubhe na zewnątrz, po czym przymyka drzwi i mówi do niej:

–Ty nie możesz słuchać.

–Ale ten człowiek...

–To nie człowiek, to gnom.

Dubhe niewiele o nich wie. Tylko tyle, że mieszkają na Południu, wśród całkiem czarnych gór i wulkanów. Słyszała głównie o Idzie – zdrajcy, straszliwym gnomie,

który wielokrotnie próbował zabić ich dobrego króla. Teraz boi się jeszcze bardziej.

–Idź nad morze – mówi człowiek – i nie wracaj, dopóki cię nie zawołam.

Po czym odwraca się i zostawia ją na zewnątrz.

Dubhe znowu jest sama, przed drzwiami. Z ciężkim sercem i łzami, które cisną się jej do oczu, wypełnia polecenie i siada na brzegu morza. Czuje się wykluczona i boi się o mężczyznę.

Wieczorem mężczyzna znów jest aktywny. Po kolacji wyciąga swoją broń i zaczyna ją polerować. Dubhe siedzi i patrzy na niego. Zawsze lubiła oglądać ludzi robiących strzały. Głównie z powodu piór, a na stole leży ich teraz wiele; mężczyzna ostrym nożem przycina je do odpowiednich rozmiarów,

–Mogę wziąć jedno? Mężczyzna pozwala.

-Kim był ten gnom?

-Tym, na co czekałem.

-Czyli?

-Praca, Dubhe. Ten gnom mieszka w Randarze, niezbyt daleko stąd, i jego córka została zamordowana. Chce, abym zabił tego, kto to zrobił.

Dubhe milczy przez kilka chwil. Potem decyduje się.

-Ty tym się w życiu zajmujesz? Zabijasz? Mężczyzna przytakuje, nie przerywając pracy.

-Trochę tak jak żołnierz...

-Żołnierz zabija na wojnie. Razem z wieloma innymi ludźmi, którzy zabijają.

Rozumiesz różnicę?

Dubhe przytakuje.

-Ja stoję za plecami ludzi w ich domu, w ich łóżku. Wtedy, kiedy są pewni, że nic nie może im się zdarzyć.

Dubhe czuje dreszcz.

-Mówili mi, że zabijanie to coś brzydkiego. Dlatego mnie wygnali.

-To prawda.

-No to dlaczego to robisz? Mężczyzna uśmiecha się sarkastycznie.

-To moja praca. Nie umiem robić niczego innego. Nauczyli mnie tego, kiedy byłem jeszcze młodszy niż ty. Urodziłem się pośród zabójców. Dubhe bawi się piórem, przesuwając je między palcami.

-Ile tym razem płaci ci gnom? Mężczyzna zatrzymuje się, patrzy na nią.

-A co cię to obchodzi?

Dubhe opuszcza wzrok i rumieni się.

-Tak tylko...

Mężczyzna podejmuje zajęcie, wydaje się prawie poirytowany.

–Dwieście nautili.

To moneta, której nie zna.

–To dużo? Mężczyzna prycha.

–Równowartość trzystu karoli. Dubhe dziwi się...

–To naprawdę dużo...

Cały czas obraca pióro w palcach.

–A kiedy go zabijesz?

Mężczyzna ciska gwałtownie ostrzem o stół, tak mocno, że Dubhe aż podskakuje.

–Przestań zadawać pytania. Moja praca nie powinna ci w ogóle interesować.

Wbij to sobie do głowy raz na zawsze: jesteś tutaj tak długo, dopóki całkiem nie

Wydobrzejesz. W dniu, kiedy dostanę porządną pracę i sobie pójdę, ty też odejdiesz.

Wyrywa jej z rąk pióro i zaczyna je strugać. Żadne z nich już nic nie mówi, ale Dubhe

dalej przygląda się mężczyźnie spod oka, szpiegując jego ruchy.

Pewnego dnia będę taka, jak on.

Mężczyzna wyrusza. Mówi, że nie będzie go przez dwa lub trzy dni.

–Chcę iść z tobą.

–Idę pracować, to nie jest wycieczka dla przyjemności.

–Byłam z tobą, kiedy pracowałeś, a nawet ci pomogłam.

–Zostaniesz tutaj i kropka.

Dubhe się dąsa. Nie ma najmniejszej ochoty na przebywanie w samotności. Była sama już nawet zbyt długo, a teraz, kiedy wreszcie kogoś znalazła, za nic na świecie nie chce pozwolić mu odejść. Mężczyzna jest jednak nieugięty.

–W tych dniach będą moje urodziny...

To prawda. Pierwsze urodziny jej nowego życia.

–A dlaczego miałoby mnie to interesować?

Mężczyzna wyrusza nocą, a Dubhe zostaje w chatce. Zostawił jej wszystko, czego może potrzebować. Ma jedzenie, chleb i ser, ale też trochę suszonego mięsa i owoców, nic, co wymagałoby gotowania, bo nie ufa jej na tyle, żeby pozwolić jej na samodzielne używanie kominka. Ma też maść na ranę, która jest już prawie tylko czerwonym znakiem na ramieniu.

Naprawdę niczego jej do życia nie brakuje. Ale dom jest bez niego pusty. Bez mężczyzny, który pali fajkę, bez jego broni, bez jego wieczornych ćwiczeń ten dom jest pusty, opuszczony.

Przez trzy dni czeka na niego w udręce i znowu pojawiają się jej dawne strachy. W nocy powracają koszmary: twarz Gornara i jego oczy po raz kolejny zaczęły odradzać się w twarzach wielu zmarłych, których widziała w ostatnich czasach.

W dzień schodzi do morza, patrzy na nie, a kilka razy się kąpie. Woda strasznie ją pociąga i Dubhe lubi czuć, jak fale ciągną ją w górę i w dół. Chciałaby, żeby on tam był i na nią patrzył.

Ale o zachodzie słońca samotność jej ciąży. Znowu cisza jest wieczną towarzyszką dni, które wloką się nie do zniesienia. Znowu wszystko pozbawione jest sensu i zredukowane do minimum jak w lesie.

Dubhe już wie, jeszcze zanim jest w stanie to zrozumieć. Ta świadomość ją poraża. Jej domem jest ten mężczyzna, a jej droga, – każda droga, jaką on obierze. Ona do niego należy i nigdy nie pozwoli mu się odpędzić. Wyzdrowiała, teraz to wie, a kiedy on wróci, jeżeli kiedykolwiek wróci, prawdopodobnie powie jej, żeby sobie poszła. Ona tego nie robi. A jeżeli ją wygna, ona zacznie go śledzić.

Po tak długim czasie wreszcie znowu ma swoje miejsce.

Mężczyzna wraca w nocy i cicho otwiera drzwi, ale Dubhe słyszy go od razu, podobnie jak natychmiast nabiera pewności, że to nie może być nikt inny, tylko on.

Podnosi się z legowiska i staje przed drzwiami.

On zatrzymuje się w progu. Jest tylko czarnym kształtem rysującym się w słabym świetle księżyca, ale dla Dubhe jest to sylwetka, co do której nie może się pomylić.

–Jest późno, śpij.

–Nie zostawiaj mnie już więcej samej. Wypowiedzenie tego wiele ją kosztowało i jest

to zdanie, które wymaga odpowiedzi. Która nie pada. Mężczyzna wchodzi do środka przymyka drzwi, po czym idzie do swojego pokoju i zamyka się w nim.

Dubhe i tak jest zadowolona. On wrócił, a ona teraz też wie, co ma robić.

Przez kilka dni sprawy toczą się po staremu. Mężczyzna wygląda na spokojniejszego niż wcześniej, ale jest odpychający i milczący jak zawsze, Dubhe nawet ma wrażenie, że jej unika. Stara się być pomocna, chociaż jeszcze niewiele potrafi. Kiedy była w Selvie jej matka ciągle się złościła, bo dziewczynka nigdy nie pomagała jej w domowych obowiązkach.

Porządkuje legowisko, trochę zmiata pokój i próbuje pomóc mężczyźnie, kiedy ten przygotowuje posiłki. On jednak zdaje się nie dostrzegać jej wysiłków i prowadzi swoje życie jak dotychczas. Czasami znika i nie mówi jej, dokąd idzie, ale wraca w ciągu dnia i przynosi ze sobą coś do jedzenia. Za każdym razem, kiedy Dubhe widzi, że on wychodzi, boi się, że mógłby już więcej nie wrócić.

Prawdziwy dramat rozpoczyna się wieczorem. Zresztą jest to jedyny moment w ciągu dnia, kiedy nierozmawianie staje się prawie niemożliwe. Mężczyzna ma w ustach fajkę i siedzi zamyślony z jednej strony stołu. Dubhe właśnie skończyła starannie myć i odkładać talerze, których użyli, a teraz i ona siada i wygląda na zewnątrz, na spokojne morze.

–Wydaje mi się, że lepiej się czujesz...

Dubhe natychmiast pojmuje, dokąd ma doprowadzić ta rozmowa.

–No nie wiem, jeszcze czasami mnie boli. Mężczyzna opróżnia fajkę. Nie wydaje się zły, jak przy innych okazjach, tylko raczej zmęczony.

–Trzymałem cię tu ze mną, żebyś wyzdrowiała, i pomogłem ci tamtej nocy i potem, bo ocalałaś mi życie. Wiesz o tym, prawda?

Dubhe przytakuje i czuje, że tym razem nie da rady nie płakać.

–Praca poszła dobrze, ale nie mogę zostać tu na miejscu, dużo dłużej. To raczej

Kraina Skał jest dobrym terenem. Mnożą się intrygi, wiatr się zmienia.

Dubhe nie rozumie, co mężczyzna ma na myśli, nie chce nic wiedzieć o wojnach i innych głupich rzeczach świata możliwych. Pojmuje tylko jedno: on mówi jej, że to koniec.

–Kraina Skał jest teraz niebezpieczna. Nie możesz pójść ze mną. Dubhe prowadzi

palec po rysunku drewna na stole. Cisza jest ciężka jak ołów.

–Jutro zabiorę swoje rzeczy i się rozdzielimy.

–Ja nie mam dokąd pójść.

–Przeżyłaś sama w lesie. Zobaczysz, że uda ci się znaleźć dla siebie jakieś miejsce, a może ja coś dla ciebie znajdę. Ale musisz o mnie zapomnieć, jakbyśmy się nigdy nie poznali. Nikt z żywych, z wyjątkiem ciebie, nigdy nie widział mojej twarzy. Ty jesteś jedyną osobą i powinienem cię za to zabić. Ale nie mogę... Zapomnij o mnie i o naszym spotkaniu. Tak będzie lepiej, również dla ciebie.

–Nie będzie lepiej! Jak możesz mówić, że będzie lepiej? Wypędzili mnie z mojego domu, widziałam wojnę i zabiłam! Nigdy nie będę miała dokąd pójść!

Dubhe zerwała się na nogi i krzyczy ze łzami w oczach. Mężczyzna nie szuka jej spojrzenia, trzyma wzrok wbity w ziemię.

–Zabójca nie może mieć z nikim żadnych związków. Nie ma żadnych uczuć ani przyjaciół, co najwyżej sprzymierzeńców lub uczniów, ale to nie w moim przypadku.

Jesteś dla mnie ciężarem

Mogę ci pomagać, jak przez te ostatnie dni. Nie widziałeś, jak mi dobrze idzie? Mogę nauczyć się wszystkiego, czego potrzebujesz, pomagać ci na tysiąc sposobów... Mężczyzna potrząsa głową.

–Nie chcę nikogo przy sobie, a już na pewno nie małej dziewczynki.

–Ja już nie jestem małą dziewczynką... Dubhe błaga. Czas dowieść, jak silna jest jej determinacja, jak naprawdę

głębokie jest jej przywiązanie i uczucie do tego człowieka.

–Ze mną nie ma nic innego poza śmiercią, dlaczego nie chcesz tego pojąć? Nie widziałeś, co robię, aby się utrzymać? I już zawsze tak będzie; jeżeli zostałąbyś ze mną, w końcu ty też zaczęłaś zabijać, tak nie może być.

–Ale ja już zabiłam, a ty powiedziałeś, że nawet moi rodzice mnie nienawidzą. I rzeczywiście, zostawili mnie, mój ojciec nie przyszedł mnie szukać. Ty jesteś wszystkim, co mam, i jeżeli mnie porzucisz – umrę, wiem o tym.

Mężczyzna wstaje. Dalej na nią nie patrzy.

–Dlaczego na mnie nie patrzysz, dlaczego? Nie będę ci przeszkadzać,

przysięgam! Będę dobra i grzeczna, i nigdy nie będziesz miał powodów, żeby na mnie

narzekać!

Mężczyzna odwraca się i idzie w kierunku swojego pokoju.

–Jutro się pożegnamy, nie mam już nic do dodania.

Mężczyzna nie może zasnąć. Już przygotował te kilka rzeczy, które weźmie ze sobą w podróż, i czuje się zmęczony, spragniony snu. Ale sen nie przychodzi. Słyszy smarkulę za ścianą i przeklina swoje wyostrzone zmysły. Ona szlocha. Nie jest to jednak płacz dziecka, to nie kapryśnienie. Płacze z gniewem, tłumiąc łkanie, jak dorośli.

Mężczyzna ze złością przewraca się w łóżku. Chciałby móc o tym nie myśleć, ale nie może. Czuje ją, jakby była klinem wbijającym mu się w skronie, i odbiera jej strach, taki obecny i prawdziwy, strach utraty wszystkiego, a z tym wszystkim również i siebie samej. Rozumie aż za dobrze, że to on przywrócił jej głos, że ocalił ją nie tylko od tamtego mężczyzny i od śmierci, ale i od szaleństwa. Dlatego nie jest w stanie już go zostawić. A on może nawet potrafiłby znieść jej obecność, tak, może nawet byłby zadowolony, widząc ją zawsze w pobliżu, podskakującą i szczęśliwą. Radość, na którą nie może sobie pozwolić. A poza tym, może dalej zabijać tylko, jeżeli nikt inny go nie widzi, jeżeli nie ma nikogo, z kim mógłby dzielić ciężar win. Jej obecność przy nim oznaczałaby zawsze pamięć o życiu, które często niszczył, albo jeszcze gorzej: o latach w Gildii i tej, którą musiał opuścić, a która teraz nie żyje.

Nie może, nie może. Myśląc to, znowu gwałtownie się przewraca, a skrzypienie łóżka na moment tłumi płacz Dubhe.

Dubhe przygotowała mu śniadanie. Ciepłe mleko i czarny chleb. Jak każdego ranka. Ale kiedy on wychodzi ze swojego pokoju, jest już ubrany do wyjścia. Zwyczajny stary płaszcz, ten w którym zobaczyła go po raz pierwszy, drewniana skrzynka i worek podróżny. Twarz znów ukryta jest pod kapturem.

–Nie będę jadł. Wyruszam od razu.

–No to ja też nie będę.

Dubhe bierze swój płaszcz z krzesła i wkłada go, opuszczając kaptur na twarz.

–Już na ten temat rozmawialiśmy.

–Ty powiedziałaś, że zabójca nie ma przyjaciół. Ja nie jestem twoją przyjaciółką i nigdy nią nie będę i wiem też, że skoro jestem taka mała, nie mogę być twoim

sojusznikiem. Wobec tego będę twoją uczennicą.

Mężczyzna kręci głową.

–Nie chcę nikogo uczyć.

–Ale ja chcę się nauczyć. W dniu, kiedy odezwałam się do ciebie po raz

pierwszy, opowiedziałeś mi historię o dzieciach, które zabijają. Spytałam cię, czy w to

wierzysz, i powiedziałeś, że w nic nie wierzysz. Ja natomiast tak. I chcę, żebyś nauczył

mnie, jak zostać zabójcą.

Mężczyzna siada, odkrywa twarz, a ten widok prawie ją przeraża. Jest blady. Opiera czoło o stół. Nie ma w sobie nic z silnego i pewnego siebie mężczyzny, którego Dubhe zna. Podnosi głowę i wbija w jej twarz wzrok podszyty tak głębokim smutkiem, że dziewczynka prawie żałuje tego, co powiedziała.

–Nie zostawiam cię dlatego, że cię nie chcę, tylko po to, aby oszczędzić ci

okropnej drogi. Nie możesz tego pojąć?

Dubhe podchodzi do niego i po raz pierwszy od początku znajomości dotyka go. Kładzie dłoń na jego ramieniu i patrzy na niego z powagą.

–Ocaliłeś mi życie i ja należę do ciebie. Bez ciebie nie mam gdzie się podziać. Chcę iść z tobą i uczyć się od ciebie. Nie ma dla mnie nic straszniejszego, niż bycie samą. Samotność jest gorsza niż bycie zabójcą.

–Mówisz tak, bo nie wiesz.

Dubhe składa dłonie na stole i kładzie na nich głowę.

–Proszę cię, Mistrzu, przyjmij mnie jako swoją uczennicę. Mężczyzna patrzy na nią długo, potem opiera dłoń na jej głowie. Kiedy wreszcie się odzywa, jego głos jest niski, ochryply i pełny smutku.

–Weź swoje rzeczy, idziemy.

Dubhe podnosi głowę i uśmiecha się szczęśliwa. Przez moment jej twarz wydaje się tak radosna i niewinna, jak kiedyś.

–Tak, Mistrzu!

17. Prorok dziecko

Dubhe nie było łatwo przystosować się do nowego życia. To było silniejsze od niej; wszystko w Gildii ją odrzucało. Nie cierpiała zapachu krwi, którym przesycony był cały Dom, nie tolerowała Zwycięskich, tak nieprawdopodobnie identycznych jeden z drugim, z tymi zgaszonymi oczami, które rozpalały się tylko w zapale modlitwy; nienawidziła samej modlitwy, monotonnej i powtarzanej do oszołomienia. Było to zanegowanie wszystkiego, czego kiedykolwiek nauczył ją Mistrz. Teraz zaczynała rozumieć, dlaczego tak uparcie starał się trzymać ją z daleka od tego miejsca.

Myślała o nim wieczorami, sama w swoim pokoju, podczas tych niewielu godzin całkowitej samotności, które były jej dozwolone. On też mieszkał w tym miejscu i musiał znosić to wszystko, co teraz ona. Ale on się tu urodził i zrobił wszystko, żeby stąd uciec. A ona? Aby żyć, zaprzedała się, oddała swoje ciało tym ludziom, razem ze swoją bronią i umiejętnościami.

Powietrze Domu dusiło ją i wtedy marzyła o ucieczce.

Spróbuję się dowiedzieć, jak się robi eliksir, i ucieknę.

Ale Rekla była o wiele twardszym orzechem do zgryzienia, niż Dubhe myślała.

To wydarzyło się już w pierwszym tygodniu, kiedy Dubhe jeszcze trudno było wejść w kontakt z tym wilgotnym i ciemnym miejscem i czuła się zagubiona, otoczona zaciekawionymi spojrzeniami.

Wszystko zaczęło się bardzo dyskretnie. Obudziła się przeniknięta jakimś rodzajem niejasnego złego samopoczucia, ale nie przywiązała do tego większej wagi.

Kiedy tylko wyszła z pokoju, poczuła potężny zawrót głowy. Zapach krwi wydawał jej się bardziej przenikliwy niż zwykle. Oparła się o framugę drzwi i dolegliwości ustąpiły.

W świątyni o poranku wszystko wydawało się iść ku dobremu i Dubhe słuchała bredzenia Rekli ze zwykłym miernym zainteresowaniem. Kobieta jednak miała na twarzy wyrysowane coś w rodzaju źle skrywanego uśmiechu i co jakiś czas zerknęła na nią spod oka. Wieczorem sytuacja zaczęła się pogarszać. Po zakończeniu ćwiczeń z Shervą, obolała Dubhe poczłapała do term, aby zażyć ożywiającej kąpieli.

Poczuła to w wodzie. Nagły ucisk w piersi. Zatrzymała się przerażona. Było to uczucie mgliste, jeszcze dalekie, ale Dubhe znała je aż nazbyt dobrze. Od razu przyszły jej na myśl obrazy inicjacji, jeszcze bardzo świeże.

W nocy Dubhe bardzo się męczyła. Chociaż okno było otwarte, prześladował ją

zapach krwi. Czują go wszędzie, drażnił jej nozdrza intensywniej niż kiedykolwiek.

Przewracała się w łóżku, ale nic nie mogła poradzić. Powoli ogarniał ją strach.

Bestia powracała. Klątwa nie została stłumiona, efekty eliksiru rozwiewały się.

Chwiejnie podniosła się z łóżka, dotarła do drzwi i otwierając je, upadła na zewnątrz. Cisza była absolutna, a korytarze rozbrzmiewały tylko jej przyduszonym oddechem.

Rekla. Ona wiedziała. Według wszelkiego prawdopodobieństwa była to wręcz jej wina. Dubhe mgliście przypomniła sobie jej z trudem powstrzymywany uśmiech i indagujący wzrok.

Przeklęta wiedźma.

Jej umysł drżał, Bestia szeptała jej do ucha słowa śmierci i nagle Dubhe poczuła się zagubiona w labiryncie zaułków i korytarzy, które tworzyły Dom. Infirmieria. Gdzie jest? A pokój Rekli? Nigdy tam nie była.

Pospiesznymi krokami zaczęła przemierzać korytarze, podczas gdy Bestia dręczyła ją coraz bardziej. Wydawało się niemal, że ściga ją jej szybki i jednocześnie ciężki krok.

Nie taki jak tamtego wieczoru, nie tak, jak tamtego wieczoru...

Symbol na ramieniu był wyraźniejszy niż kiedykolwiek wcześniej i pulsował boleśnie.

Dubhe zaczęła błądzić. Nie mogła przypomnieć sobie drogi. więc szła naprzód siłą bezwładności, biegnąc i potykając się. Jednocześnie zapach krwi stawał się coraz silniejszy, nieznośny, jak dzikie wezwanie, któremu nie będzie w stanie się oprzeć.

Bez skrępowań rzuciła się na najbliższe napotkane drzwi waląc pięściami w drewno. Z trudem zobaczyła osobę, która zza nich wyszła. Po prostu wpadła na nią, czując, że opuszczają ją wszystkie siły.

–Pomocy... – zamruczała Dubhe ochryłym, jak gdyby nienależącym do niej głosem.

Nie słyszała, co powiedział ten mężczyzna, czy też kobieta, poczuła tylko, że gdzieś ją ciągną, i że towarzyszy jej stłumiony pomruk.

Położyli ją na czymś miękkim i z tego, co Dubhe mogła dostrzec, mimo swojego delirium, zrozumiała, że jest w infirmerii.

Nagle obraz Rekli wypełnił jej całe pole widzenia.

–Co do diabła mi zrobiłaś, przekłeta? – zapytała zduszonym i pełnym cierpienia głosem.

Rekla trzymała ją na wyciągnięcie miecza i uśmiechała się spokojnie.

–Jesteś naprawdę głupia. I nawet ośmieliłaś się do mnie porównywać... Chce mi się śmiać.

Stłumiła ironiczny wybuch śmiechu.

–Nie liczyłaś dni? Minęło ich osiem od inicjacji... a przecież wyraźnie ci mówiłam...

Dubhe zaczynała rozumieć. Elixir.

Rekla pomachała nim przed nią; niebieskawy i przejrzysty płyn mieszał się w buteleczce jak fatamorgana. Dubhe instynktownie wyciągnęła ręce, ale Rekla podniosła go poza jej zasięg.

–Daj mi to.

–O jeden raz za dużo potraktowałaś mnie bez szacunku, i cały czas to robisz... Uprowadzałam cię, prawda? Dla niegrzecznych dzieci, które nie wypełniają swoich obowiązków, jest odpowiednia kara.

–Daj mi to! – powtórzyła z krzykiem Dubhe. – Źle się czuję, do licha, jeżeli mi tego nie dasz, skończy się to rzezią, wiesz o tym!

Rekla potrząsnęła głową.

–Nie sądzę.

Dubhe rzuciła się na legowisku, spadła na ziemię, uderzając się boleśnie i wila się na posadzce. Rekla unieruchomiła ją tylko jedną stopą. Miała nienaturalną siłę, jak na kobietę o jej posturze.

–Bądź grzeczna.

Zawołała tych samych gigantów, których dziewczyna знаła z wieczoru inicjacji, i to oni wyciągnęli ją na zewnątrz.

Dubhe wrzeszczała, ból rozdzierał jej pierś coraz gwałtowniej, a kiedy przemierzała korytarze Domu, dalej i dalej od jego pulsującego serca, zaspani Zabójcy ukazywali

się na progach swoich pokojów. Dubhe mierzyła te twarze błagalnym wzrokiem, ale nie znalazła żadnego gestu litości, który mógłby ją wesprzeć w jej upadku, tylko zimną ciekawość.

Cela też była ta sama, Dubhe ją rozpoznała. Panowała tam doskonała cisza, przerywana tylko jej gwałtownym oddechem. Wrzucili ją do środka, przywiązali do posadzki łańcuchami i zamknęli drzwi. A ona została sama ze wszystkimi swoimi demonami.

Z perspektywy czasu Dubhe stwierdziła, że Rekla była w sumie nawet litościwa. Pozwoliła jej gnić w łańcuchach tylko przez jeden – ale za to piekielny dzień. Bestia miotała się i na kilka niekończących się chwil prawie przejęła panowanie nad jej ciałem.

Koszmarne twarze zaludniały gęstą ciemność pokoju, a Dubhe niemal błagała o jakikolwiek koniec, byle tylko uwolnić się od tej męczarni.

Potem weszła Rekla. Dubhe leżała na ziemi, na brzuchu, a kobieta zatrzymała się przy niej z rozstawionymi nogami, aby zdecydowanie nad nią górować.

–Nauczyła cię czegoś ta lekcja, tak czy nie?

Wykończona Dubhe patrzyła na nią z nienawiścią.

–Jak możesz robić mi coś takiego? – wyszeptała głosem zachrypniętym od nadmiaru krzyku.

Rekla skrzywiła swoje doskonałe wargi w uśmiechu.

–To nie ja, tylko Thenaar.

Potem znów zrobiła się poważna.

–Od tej chwili będziesz odpowiadała na wezwania podczas posiłków i każdego ranka będziesz modlić się ze mną w świątyni. A co ważniejsze, już nigdy nie ośmielisz

się traktować mnie bez odpowiedniego szacunku. Powiedz: „Tak, moja Strażniczko”, a

twoja udręka skończy się w sekundę.

Dubhe dalej patrzyła na nią z pogardą. Czuła się upokorzona, ale przede

wszystkim pokonana przez zmęczenie i przerażenie. Doprowadzili ją tam, gdzie nie miała już obrony, gdzie czuła się naga i rozebrana przez strach. Zamknęła oczy i wyrzekła:

–Tak, moja Strażniczko...

Kiedy tylko Dubhe doszła do siebie, próbowała prosić o wyjaśnienia Yeshola. O posłuchanie poprosiła za pośrednictwem Shervy, do tamtej chwili będącego jedyną osobą, z którą udało jej się nawiązać jakikolwiek kontakt podczas długich, spędzonych w milczeniu godzin poświęconych szkoleniu.

O dziwo, Yeshol nie robił problemów, tylko przyjął ją raczej szybko.

Najwyższy Strażnik siedział pochylony nad książkami przy swoim stole, z delikatnymi okularami w złotych oprawkach na nosie. Dubhe pokłoniła się, podnosząc dłonie do piersi w pozdrowieniu Zabójców, po czym spojrzała mu w oczy.

Yeshol powoli podniósł wzrok znad tomu, którym się zajmował.

–A więc?

–W umowie nie było tego wszystkiego.

–Czego wszystkiego?

Udawał. I wiedział, że udaje. Bawił się z nią.

–Strażniczka Trucizn odmówiła podania mi eliksiru i zostawiła mnie zamkniętą w celi na cały dzień. Yeshol kiwnął głową.

–Wiem o tym.

–Oddałam wam moje ciało, a wy powiedzieliście, że w zamian mnie wyleczycie. Wydaje mi się, że to, co robicie, wcale do tego nie prowadzi.

Yeshol potrząsnął głową.

–Dubhe, ty należysz do Domu. Całkowicie. Już nie jesteś osobą, która istniała poza tym miejscem: drobną złodziejką, wyszkoloną przez zdrajcę.

Dubhe zdrygnęła się, ale milczała. Nie miała wystarczająco mocnej pozycji, aby móc sobie pozwolić na dyskusje.

–Jeżeli wydaje ci się, że jesteś jeszcze poza tym miejscem i możesz kierować się prawami rządzącymi światem, jesteś w błędzie. Wybrałaś życie Zwycięskich, a to

wiąże się z szeregiem spraw, między innymi z posłuszeństwem Strażnikom i wypełnianiem kultu. W zamian za to będziesz żyła.

–To się nazywa tortura – wymamrotała Dubhe.

Yeshol uczynił zniecierpliwiony gest ręką.

–No to odejść, tak jak uczynił to Sarnek. Odejść, a tam na zewnątrz nie przeżyjesz dłużej niż kilka miesięcy, po czym czeka na ciebie śmierć: już wiesz, jaka.

–Dlaczego nie zadowolicie się po prostu moimi usługami?

–Bo my zabijamy dla Thenaara. A ty bez mrugnięcia okiem będziesz robić to wszystko, co ci powiemy, a jeżeli tego nie zrobisz, podobnych nocy, które spędzisz w celi sam na sam z Bestią, będzie wiele.

Dubhe znowu zamilkła, przepelniona gniewem. Jak zawsze, po raz kolejny, stała się niewolnicą.

Jakiś czas potem, pewnego ranka Rekla wezwała ją do siebie.

Strażniczka Truczizn wydawała się dziwnie spięta, ale – podekscytowana. Dla Dubhe był to po prostu kolejny nudny poranek, jak wiele innych, spędzony w towarzystwie osoby, którą pogardzała.

–Dzisiaj zostaniesz dopuszczona do jednej z najgłębszych i najważniejszych tajemnic naszej wiary. Tylko niewielu zna szczegóły naszego kultu, a większość ludzi

nie wie, kim jest Thenaar i co to znaczy służyć mu i go wielbić, ale to, co zaraz ci powiem, jest prawdą, którą starannie ukrywamy, jedną z podstaw naszego *credo*.

Dubhe nadstawiła uszu. Nie, żeby w jakiś sposób interesowało ją przeniknięcie tajemnic sekty, ale im więcej znała szczegółów, tym więcej miała broni, aby walczyć z wpływem, który wywierała na nią Gildia.

Rekla zaczęła opowiadać o Rubirze, Gwieździe Krwi. Dubhe nie miała problemów ze zidentyfikowaniem jej jako gwiazdy, która towarzyszyła jej podczas dni oczyszczenia.

–Czerwona gwiazda ulega zaćmieniu siedem razy w roku – siedem, jak siedem broni Thenaara. Są to Noce Nieobecności, wspomnienie siedmiu dni, podczas

których

bogowie położyli podwaliny świata Przegranych, kalając doskonale dzieło Thenaara.

To on na początku stworzył Zwycięskich, których jesteśmy potomkami, i świat zamieszkały tylko przez nich. Inni bogowie, ci fałszywi, którym oddają cześć

Przegranymi, byli zazdrośni o doskonałość tego dzieła i na wszelkie sposoby starali się je

zniszczyć. Na siedem dni zakuli więc Thenaara w łańcuchy i dali życie Przegrany.

Kiedy Thenaarowi udało się uwolnić, rozpoczął długą wojnę przeciwko innym bogom,

toczącą się w czasach nazwanych epoką Chaosu. Jednak nie udało mu się ich

zwyciężyć, ponieważ mieli przewagę liczebną. Ponownie zatem skuto go łańcuchami w

czeluściach ziemi, tutaj, wiele mil pod naszym dawnym Domem – tym, do którego wreszcie powrócimy, znajdujący się w Wielkiej Krainie. Ale Thenaar zasiał w sercu Zwycięskich ziarno przemocy i zlecił im zadanie przygotowania swojego przyjścia, poprzez oczyszczanie świata z nieczystych owoców zrodzonych z innych bogów. Na znak swojej dobroci w każdym pokoleniu miał przysyłać Dzieci Śmierci: dzieci takie jak ty, aby ród Zwycięskich wzrastał zdrowo, a także pozostawił na niebie Rubirę, aby przypominała Zwycięskim o ich nadziei. Zaćmienie Rubiry jest momentem bólu, dlatego spędzamy tę noc na modlitwie, aby wyblagać odrodzenie Thenaara, a zarazem i Rubiry. Odrodzenie Rubiry pozwoli na następne pięćdziesiąt dni obfitości, w oczekiwaniu na kolejne zaćmienie.

Rekla intensywnie wpatrywała się w Dubhe, milcząc przez chwilę. Potem podjęła temat:

–Byłoby to jednak bardzo niewiele, gdyby całym dziedzictwem Thenaara była

tylko Rubira, gdyby jego obietnica sprowadzała się do zwyczajnej gwiazdy. Nie,

obietnica Thenaara sięga o wiele, wiele dalej. Zesłał on siedmiu ludzi, po jednym z

każdej z siedmiu krain Świata Wynurzonego, siedmiu – jak zaćmienia Rubiry. To oni

pojawiali się na kartach historii, przynosząc na ziemię przesłanie Thenaara.

Rekla pokrótce nakreśliła portret każdego z nich.

–Wszystko to znajdziesz w książce, którą ci dałam, i chcę, abyś nauczyła się dokładnie ich biografii.

Dubhe przytaknęła, niezbyt przekonana. Jeżeli to miał być ten wielki sekret Gildii, to się naprawdę rozczarowała...

–Ale najważniejszy z nich to ostatni, ósmy.

Dubhe ocknęła się i nastawiła uszu.

–Przyszedł jako ostatni, aby zamknąć cykl. Nie odpowiada żadnemu zaćmieniu Rubiry, ale przychodzi z ziemi, gdzie wszystko się zaczęło – z Krainy Nocy. I jest powód, dla którego nie jest do niego przypisane żadne zaćmienie: nie przychodzi on, aby ukrywać – on reprezentuje triumf Thenaara, odrodzenie jego i Rubiry, która na wieki i bez zaćmień będzie błyszczeć w świecie Zwycięskich. Dubhe pomyślała o tajemniczej statuetce dziecka. Któremu z ośmiu wielkich ludzi odpowiadało to dziecko? A może to coś innego?

–On jest chorążym Thenaara, jego umiłowanym posłańcem, Wysłanym. Ma na imię Aster.

To imię zabrzmiało w jej uszach złowrogo, ale Dubhe nie potrafiła wytłumaczyć, w jakim sensie.

–To dziecko? – zapytała słabym głosem. Rekla przytaknęła.

–A jeżeli jesteś sprytna, być może już nawet rozumiałaś, o kim mówimy. Dubhe była zmieszana.

–Aster nie tylko rozprzestrzenił słowo Thenaara; Aster, jedyny wśród wielkich osobistości naszego kultu, naprawdę starał się odtworzyć królestwo

S

Zwycięskich, i to nie tak, jak robimy to my poprzez wiele pojedynczych zabójstw,

i

ale za pomocą wielkiego, wyzwającego holokaustu. To on był naszym przywódcą

ę

przez czterdzieści lat, to on był najbardziej bezpośrednim odbiciem Thenaara na

m

ziemi. Długo wierzyliśmy, że nasz czas jest bliski i że Thenaar dotrzymał swojej

v

obietnicy.

,

Dubhe poczuła, jak delikatny chłód przenika jej kości. Rekla uśmiechnęła się dziko.

–Nie rozumiesz, prawda? To jasno ukazuje, jak daleka jesteś od drogi

Zwycięskich. Ale tak czy inaczej, nie możesz nie czuć potęgi, którą emanuje jego

postać, nawet kiedy zostaje tylko przywołana w słowach, tak jak właśnie zrobiłam.

Czuję, że się boisz. czuję, że pojmujesz całą jego wielkość.

Dubhe ledwo mogła mówić.

–Kto to?

–Tyran.

Słowo to padło w świątyni niczym gład. W Świecie Wynurzonym nie było nikogo, kto nie bałby się tego imienia bardziej niż czegokolwiek innego. Minęło czterdzieści lat od jego upadku czterdzieści – tyle, ile lat terroru pod jego panowaniem. Wojna, podczas której został obalony, Wielka Wojna, wspomiana była jako jeden z najmroczniejszych okresów Świata Wynurzonego. Nihal i Sennar, którzy go pokonali, weszli do historii, a ich posągi znajdowały się na rogach ulic i placów.

–A raczej ten, którego niewykształceni ludzie określali mianem Tyrana z taką

natarczywością, że w końcu on sam pogrzebał pod tym epitetem swoje prawdziwe imię: imię, które teraz tylko tacy jak my Zwycięscy, mogą ośmielić się wymówić.

–Nie mówisz chyba serio...

–Tak. Nazywał się Aster i był dzieckiem, właśnie takim, jakie przedstawiają posągi. To jego głupi nieprzyjaciel rzucił na niego taką klątwę, aby na zawsze pozostał w ciele chłopca. Dziecko Śmierci. Rozumiesz, Dubhe? Rozumiesz?

Oczy Recli błyszczą jak nigdy, rozpalone wewnętrznym ogniem.

–Przez lata walczył, zabijał, masakrował, po kolei podporządkowując sobie królestwa, aby odtworzyć na ziemi królestwo Thenaara. W czeluściach jego pałacu Gildia wzrastała i rozkwitała.

Yeshol był jego prawą ręką.

–Tyran był najgorszym nieszczęściem, jakie kiedykolwiek wydarzyło się w Świecie Wynurzonym... – spróbowała zauważyć Dubhe.

–Milcz! – wrzasnęła Recla z twarzą ściągniętą gniewem. – Co ty o tym możesz wiedzieć? Tak właśnie mówi plebs, który nic nie rozumie; to są plotki rozsiane przez Nihal i Sennara, którzy go zabili, przekłęci! Prawda jest inna.

Dubhe siedziała przygwożdżona do ławki, zbieleńcami kostkami trzymała się krawędzi.

–Nie... wszyscy wiemy, co zrobił... i do czego doprowadził Świat Wynurzony... Recla wymierzyła jej policzek.

–Proś o przebaczenie! Proś Thenaara o przebaczenie za to obrzydliwe bluźnierstwo! Aster był świętym tych czasów.

Dubhe otrząsnęła się i podniosła.

–Niestety, Asterowi nie udało się doprowadzić do końca planów Thenaara.

Yeshol był przy tym, kiedy upadł, kiedy Nihal zwyciężyła, kiedy Twierdza rozkruszyła

się w naszych dłoniach.

Rekla była wzruszona. Musiała otrzeć sobie łzę z kącika oka.

–Ale on powróci – ciągnęła dalej pewnym głosem. – Jego pobyt na tej ziemi był tylko preludium do tego, co się stanie. Powróci, razem z pozostałą Wielką Siódemką, a

Thenaar będzie nad nimi górował. Wtedy wszystko będzie tak, jak na początku.

Rekla zatrzymała się, aby zaczerpnąć oddechu. Dubhe była jak sparaliżowana.

–To jest wielki sekret naszej wiary. Teraz musimy ukrywać go przed głupcami.

Ale czas już nadchodzi, a nasza potęga i nasza siła stają się stopniowo coraz większe.

Rekla wróciła na swoje miejsce, usiadła i znowu zamieniła się w dobrze Dubhe znaną, zimną i okrutną kobietę.

–Chcę, żebyś wiedziała wszystko o życiu Siedmiu Wielkich i Astera. Po obiedzie

dam ci książkę napisaną własnoręcznie przez Jego Ekscelencję Yeshola. Zbliża się Noc Nieobecności jedno z zaćmień Rubiry, i chcę, żebyś się tego nauczyła do tego czasu.

Podniosła się i już chciała odejść, ale Dubhe pozostawała przykuta do swojego miejsca. Wówczas Rekla zbliżyła się do niej opuściła swą impertynencką, dziewczęcą twarz na wysokość ucha Dubhe i przemówiła szeptem:

–Dubhe, teraz jesteś nasza, bez możliwości ucieczki. Kiedy ktoś z nas poznaje tę prawdę, nie może już odejść...

[18. Praca godna Zwycięskiego](#)

Minęły tygodnie, a Dubhe próbowała zapomnieć, a przynajmniej zignorować to, o czym powiedziała jej Rekla. Dopóki nie wymyśli, jak się stąd wydostać i ocalić siebie, należało robić dobrą minę do złej gry.

Usiłowała przekonać samą siebie, że ucieknie, że znajdzie sposób na uratowanie się, może nawet zanim zostanie zmuszona do pracy dla tych ludzi. Na razie starała się nie podporządkowywać ich wierze. Kiedy refektarz wypełniały modlitwy, ona udawała, że je recytuje, ale myślała o czymś innym. Gdy Rekla klękała w świątyni, Dubhe w myślach przeklinała tego boga i jego podłych wyznawców.

Zacząła prowadzić drobne śledztwa. Poświęciła się przeszukiwaniu Domu, wykradając czas przeznaczony na korzystanie z term i na posiłki. Koniecznie chciała odnaleźć laboratorium Rekli; to był pierwszy krok. Albo spróbować dostać się do jej kwatery.

Rekla jednak była do niej przyklejona jak pasożyt i nawet kiedy nie były razem, Dubhe mogła wyczuć na sobie jej spojrzenie, jakby kobieta ciągle ją szpiegowała. I prawdopodobnie tak właśnie było; Rekla nie była głupia, z pewnością zaczęła się domyślać, że Dubhe coś knuje.

Jednocześnie, aby nie wzbudzać dalszych podejrzeń, dziewczyna starała się być zgodna i sprawiać wrażenie pilnej we wszystkim, co tylko zlecała jej Strażniczka Trucizn. Posłuszeństwo okazywane tej, którą postrzegała jako swojego osobistego nieprzyjaciela, wiele ją kosztowało.

Ja jestem inna i zawsze taka będę.

Długo nie miała żadnych relacji z innymi Zabójcami. Lata samotności uczyniły ją zamkniętą w sobie i generalnie nie odczuwała zainteresowania nikim z tych, których zdarzało jej się spotkać w korytarzach. Byli jej kolegami, niczym więcej, a z przyzwyczajenia była skłonna postrzegać ich jako przeciwników.

Jedyną osobą, na którą patrzyła z pewną ciekawością, był Sherva. Nie, żeby dużo rozmawiali podczas treningów, ale Dubhe uważała, że jest inny niż pozostali. Z jego ust rzadko można było usłyszeć imię Thenaara.

Szkolenie szło raczej dobrze. Dubhe zaczynała dostrzegać pierwsze oznaki poprawy własnych ruchów. Czowała, że staje się zwinniejsza, a nawet cichsza, chociaż jej umiejętności nie były nawet w małym stopniu porównywalne z kunsztem Shervy. Zapoznała się z technikami duszenia, których nie знаła, i poprawiła też szermierkę, w której miała tak wiele braków. Zresztą teoria ją bawiła. Liczyła tylko na to, że te nauki będzie musiała wprowadzić w życie jak najpóźniej, a może nawet nigdy. Wiedziała, że ta nadzieja jest absurdalna, ale również ona była sposobem na niepoddawanie się Gildii.

Jednocześnie czuła nieustanne napięcie. Zlecenie mogło nadejść w każdym momencie, a takie oczekiwanie strasznie ją męczyło.

–Dlaczego nie dali mi jeszcze żadnego zadania? – spytała pewnego dnia Shervy.

–Dla nich nie jesteś jeszcze Zwycięską, a dopóki nie poczują, że jesteś jedną z nich, nie pozwolą ci zabijać. Nie wzięli cię wyłącznie dlatego, że mają o tobie dobrą opinię, ale dlatego, że naprawdę uważają cię za Dziecko Śmierci.

–Dlaczego mówisz „oni”? – zapytała Dubhe z zaskoczenia – W Domu zajmujesz

wysokie stanowisko, a jednak mówisz o nich, jakbyś ty sam nie był Zwycięskim.

–Już ci powiedziałem, że każdy służy Thenaarowi na swój sposób. Ja nie jestem całkowicie jednym z nich ze względu na mój szczególny sposób gloryfikowania zabójstwa. – Nie sędzę, żeby Yeshol był zadowolony, słysząc, że tak mówisz.

Sherva uśmiechnął się.

–A jednak mnie tu trzyma. Moje usługi są cenniejsze niż moja wiara.

Dubhe zebrała się na odwagę i ciągnęła dalej.

–Powód, dla którego ja się tu znalazłam, jest aż nazbyt oczywisty. Nie rozumiem jednak, dlaczego ty tu jesteś...

Sherva uśmiechnął się ponownie.

–Ponieważ szczyty w dziedzinie zabójstwa znajdują się tutaj, a ja aspiruję do szczytów. A skoro, aby tam dotrzeć, muszę wielbić jakiegoś boga i zmarłego przed czterdziestu laty chłopczyka, to tak robię. Yeshol powiedziałby, że Thenaar tak we mnie działa, chociaż ja nie zdaję sobie z tego sprawy. Ja ci mówię, że tylko tutaj mogę doskonalić moje umiejętności, i dlatego wciąż tu jestem.

Szybko zmienił temat, zupełnie jakby żałował tego niespodziewanego wybuchu szczerości.

–W każdym razie nie sędzę, abyś długo musiała czekać. Ostatnio Rekla nie ma żadnych powodów do narzekania, więc naprawdę myślę, że wkrótce dostaniesz swoje zadanie.

Nie zrozumiał. Nie zrozumiał, że Dubhe wcale się nie niecierpliwiła. Ta rozmowa była jednak bardzo przydatna. Sherva był taki jak ona, ślepy na ten cały przesycający Dom fanatyzm, trzeźwy i wyrachowany, samotna istota poświęcona wyłącznie własnym interesom i dlatego w przyszłości jego przyjaźń mogła okazać się cenna.

Niestety, było tak, jak powiedział Sherva: nie musiała długo czekać na zlecenie. Pewnego dnia podczas kolacji Yeshol do swojego zwykłego przemówienia dorzucił

kilka słów więcej.

–Jutro jest Pierwsza Noc Nieobecności; będziemy ją celebrować przez całą noc, zebrawszy się w świątyni. W szczególności będziemy się modlić za powodzenie najbliższych zadań, do których zostaną zaangażowani nowi uczniowie.

Dubhe natychmiast pojęła, że chodzi o nią. Przygryzła wargi. Zresztą po to tam była, zawsze miała tego świadomość. Po kolacji Rekla zatrzymała ją.

–Jego Ekscelencja pragnie, abyś później do niego poszła.

Kiedy Dubhe weszła do gabinetu, zorientowała się, że Najwyższy Strażnik nie jest sam. Jakiś mężczyzna stał oparty o ścianę w dość zuchwałej pozycji.

Dziewczyna od razu rozpoznała go jako swojego krajana; miał bursztynową skórę mieszkańców jej ziemi i kruczoczarne włosy jak najstarszy ród Krainy Słońca. Z krótkimi wąsami wyglądał raczej atrakcyjnie. Nie patrzył jej w oczy i po jej wejściu pozostał nieruchomo na swoim miejscu z irytującym uśmiechem wyrytym na twarzy.

Dubhe przyjrzała się jego ubiorowi: zwykły Zabójca, jak ona.

Yeshol uśmiechnął się do niej prawie sympatycznie. Wyraz jego twarzy nie wzbudził zaufania dziewczyny.

–Wyobrażam sobie, że wiesz, dlaczego tu jesteś?

–Postanowiliście skorzystać z moich umiejętności zabójcy. Starła się panować nad napięciem i chyba jej się udało, bo Yeshol znów uśmiechnął się z zadowoleniem.

–Właśnie. Pojutrze w nocy, pod auspicjami odnowionej Rubiry, otrzymasz

zadanie zabicia człowieka z tych ziem. Chodzi o kapłana, na którego Dohor krzywo patrzy, ponieważ długo udawał on jego szpiega, a następnie zdradził go za plecami.

Będziesz miała na to tydzień. Po jego upływie musisz przynieść tutaj głowę tego

człowieka, abym mógł pokazać ją zleceniodawcy. Nazywa się on Dunat, mieszka w

Narbecie i praktykuje w świątyni Raxy.

Dubhe słyszała o nim. Raxa był pomniejszym bogiem, opiekunem handlu i złodziei. Jenna zawsze nosił ukryty pod koszulą jego medalik wotywny, w dodatku skradziony na ulicach Makratu. Kiedyś jej też podarował jeden, ale pewnie gdzieś go zgubiła

Kapłan...

Zacisnęła pięści. Wcale jej to się nie podobało.

–Będzie jak zechcecie.

Już miała odejść, kiedy Yeshol ponownie zabrał głos.

–Nie będziesz sama przy tym zadaniu.

Dubhe zamarła.

Yeshol wskazał na mężczyznę, który wreszcie podniósł głowę. Niebieskie oczy. Intensywnie niebieskie oczy, patrzące na nią ironicznie. Nawet nie powiedziałyby, że to ktoś z Gildii.

–Toph będzie towarzyszył ci podczas misji. To świetnie przygotowany Zabójca i będzie umiał wskazać ci najlepszy sposób działania.

Mężczyzna szybko skierował do niej gest pozdrowienia Zabójców, ale Dubhe mu nie odpowiedziała.

–Zostałam wyszkolona tak, aby wiedzieć, jak postępować.

–Teoria to jedno, a praktyka to drugie. Poza tym nie możemy zapominać, że w gruncie rzeczy będzie to twoje pierwsze zabójstwo.

–Będzie, jak chcecie – powtórzyła Dubhe, powstrzymując złość.

Pożegnała się raptownie, po czym ruszyła ku wyjściu. Usłyszała, że Toph za nią idzie.

–Powinieneś poruszać się ciszej – skarciła go. Odpowiedział stłumionym śmiechem.

–Nie marnuję moich zdolności dla równych mi stopniem.

Dubhe szła dalej w swoją stronę, ale niezrażony Toph podążał za nią.

–Nie uważasz, że powinniśmy umówić się co do szczegółów? – spytał,

zatrzymując ją, kiedy już zmęczył się gonieniem jej po korytarzach.

–Wszystko w swoim czasie.

–Czyli jutro.

–A więc jutro. Wzruszył ramionami.

–Jak chcesz – i puścił ją. Odeszła, machając ręką.

Toph przyszedł jej zawracać głowę, kiedy ćwiczyła. Właśnie zmagala się z atakiem Shervy, kiedy zobaczyła sylwetkę mężczyzny rysującą się w drzwiach. Tylko jej się przyglądał, ale robił to tak irytująco natrętnie, że Dubhe straciła koncentrację i została rozbrojona.

–Idź do niego, Yeshol mnie uprzedził.

Przeszli do pustej salki ćwiczeń i usiedli na ziemi. Toph zaczął dumnie rozkładać pergaminy wypełnione planami świątyni i notatkami na temat rozkładu dnia i zwyczajów Dunata. Dobrze się przygotował, wiedział naprawdę wszystko. Zabrał jej nawet przyjemność z prowadzenia rozeznania, które w całej tej okropnej historii mogło być jedynym, choć trochę przyjemnym elementem

–Widzę, że przeanalizowałaś wszystko co do najmniejszego szczegółu. Toph uśmiechnął się z głupkowato dumnym wyrazem twarzy.

–Zależy mi, aby dobrze służyć Thenaarowi.

–I jaka miałaby być według ciebie moja rola w tym wszystkim? Chcesz mi coś zostawić, czy pragniesz być w tej sztuce primadonną?

Była ironiczna, ale nie do końca. Byłaby to ulga, gdyby rzeczywiście sam wszystko zrobił.

–Najwyższy Strażnik mówi, że to ty musisz zabić. Ja będę ci tylko towarzyszył i wskażę ci, jak to zrobić. Piastunka.

–To niezbyt godna rola...

Toph znowu się uśmiechnął. Ciągle to robił.

–Gdybyś tylko dobrze się zachowywała w stosunku do Recli, nie musiałbym plątać ci się pod nogami.

–A ty co o tym wiesz?

–Ja wiem wszystko. Ty jesteś ślepa na Dom, ale Dom cię obserwuje. Wszyscy o tobie wiemy, obserwujemy cię i przyglądamy się, aby zrozumieć, czy jesteś z nami, czy też nie.

–I jestem?

Toph uniósł ramiona.

–Zobaczymy, kiedy zabijesz. Mnie to nie obchodzi. Interesuje mnie tylko Thenaar i to, aby dowieść, że jestem wielkim zabójcą. Toph zebrał wszystkie swoje notatki i wstał.

–Wyruszymy o świcie, przyjdę do twojego pokoju. Miłej ceremonii dziś wieczorem.

I tak nadeszła Noc Nieobecności. Był to pierwszy prawdziwy masowy rytuał w Domu, w którym Dubhe uczestniczyła. Dano jej czarny płaszcz i sztylet. Rekla wytłumaczyła jej, że to podczas Nocy Nieobecności nowi Zabójcy dostają swoją broń. Dubhe wsunęła go do buta, ale już wiedziała, że go nie użyje. Nie mogła rozstać się ze sztyletem, który podarował jej Mistrz: nie było innej broni, której chciałaby używać.

Na krótko przed północą wszyscy zaczęli gromadzić się w świątyni. Wyższa część lewej wieżyczki została zdjęta, dzięki czemu widać było Rubirę. Świątynia wkrótce wypełniła się Zabójcami, a wyprostowany na ołtarzu Yeshol przewodniczył ich modlitwie. Powietrze przesycił zapach kadzidła, od którego Dubhe prawie od razu zaczęły łzawić oczy i kręciło jej się w głowie. Litania, którą recytowali Zwycięscy, była powolna i hipnotyczna, a po krótkim czasie również i ona zaczęła powtarzać ją razem z innymi, kołysząc się lekko i podnosząc dłonie ku niebu.

Potem Yeshol wydał z siebie ostry krzyk i wszyscy razem odwrócili wzrok ku otworowi w suficie. Przy akompaniamencie krzyków Rubira powoli znikła z ich pola widzenia, zostawiając czarne niebo. Wówczas rozpoczęła się główna część rytuału.

Każdy Zabójca podchodził do ołtarza ze sztyletem w dłoni i nacinał sobie ramię, pozwalając licznym kroplom krwi spłynąć do miseczki wypełnionej zielonkawym, gęstym płynem. Yeshol mieszał potem krew kilkoma namaszczonymi gestami.

Przyszła jej kolej. Otępiała Dubhe zbliżyła się do ołtarza, trzymając w dłoni sztylet, który dała jej Rekla. Doszła przed Yeshola, podniosła sztylet i opuściła go na ramię. Nagle jej dłoń zatrzymała się w małej odległości od skóry. Wydawało jej się, że ktoś ją powstrzymuje. Litania ciągnęła się dalej w swej rozdzierającej monotonii, a ona próbowała się przemóc. Nie było rady. Coś uniemożliwiało jej zranienie się, coś, czego nie potrafiła przezwyciężyć, i im bardziej próbowała opuścić ostrze, tym bardziej jakieś dziwne, delikatne i niewyraźne uczucie rozprzestrzeniało się w jej wnętrznościach. Dłoń Dubhe zadrżała i w końcu sztylet wypadł jej z ręki.

Yeshol uśmiechał się na widok jej pytającego spojrzenia. Pochylił się i podniósł sztylet. Sam naciał jej ramię i krew wytrysnęła z rany do miski.

**–Klątwa nie pozwala ci się zranić ani się zabić. Pragnie krwi, ale nie twojej –
powiedział jej.**

Następnie oddał jej sztylet i kazał wrócić na miejsce. Dubhe uśmiechnęła się gorzko. Nie było ucieczki. Jej jedyną szansą było znalezienie sposobu na wytworzenie eliksiru.

Kiedy Toph zapukał do jej drzwi następnego ranka, Dubhe była już gotowa. Z tobołkiem zarzuconym na ramiona i kapturem płaszcza opuszczonym na twarz, była sylwetką czarniejszą niż noc. Nie zasnęła, z lękiem myśląc o nadchodzącym dniu, kiedy jej wszystkie wysiłki ostatnich dwóch lat miały okazać się daremne. Podczas tych kilku chwil, kiedy udało jej się zdrzemnąć, śnił jej się Mistrz. Nic do niej nie mówił. Po prostu patrzył na nią, a to cierpiące spojrzenie było więcej warte niż tysiąc słów.

–Przed wyjściem trzeba wypełnić rytuał – powiedział Toph, kiedy wchodzili do świątyni.

Głupia modlitwa. Dubhe niechętnie na to przystała. Świątynia była jak zwykle pusta, a posąg Thenaara bardziej imponujący niż kiedykolwiek. Toph gorliwie ukląkł u jego stóp. Dubhe pomodliła się z nim, ale wszystkie jej myśli były skoncentrowane na drzwiach, wielkich hebanowych wrotach znajdujących się za jego plecami. Za każdym razem, kiedy tam była, w ciągu tego z górą miesiąca, patrzyła na nie jako na

jedyną, kruchą, a zarazem nietykalną barierę oddzielającą ją od wolności. Szybko ucięła ostatnie słowa.

–Idziemy powiedziała i podniosła się raptownie.

–Prawdziwy Zabójca – uśmiechnął się ironicznie Toph. – Nie możesz się doczekać zabijania... Zobaczymy, czy dotrzymasz obietnicy.

Dubhe nawet nie słyszała, co on bełkocze. Kiedy szła przez długą i pustą nawę świątyni, odgłos jej marszowego kroku odbijał się od ścian.

Położyła dłonie na drzwiach, popchnęła i wyszła. Był wiatr. W ciemności nocy otoczyła ją feeria zapachów. Lód, woń drewna, zimna. Mech i liście rozkładające się pod śniegiem. Dziwny i tajemniczy zapach jaśniejących roślin, które kwitły również w zimie.

Życie, nareszcie.

Toph wyprzedził ją, skrzypiąc butami po śniegu.

–Znasz drogę? – spytał, odwracając się.

Dubhe nie odpowiedziała. Zaczęła iść.

19. Podróż szkoleniowa

Przeszłość VI

Sytuacja Dubhe staje się coraz trudniejsza. Teraz, kiedy już oficjalnie została uczennicą Mistrza, wszystko jest w pewien sposób inne, czuje to. Mężczyzna zmienił zachowanie w stosunku do niej, jest mniej opiekuńczy niż wcześniej, a może po prostu jest zły z powodu jej decyzji, jej zarozumiałości.

Najpierw, kiedy wędrowali, czekał na nią, dawał jej czas na dogonienie go i w jakiś sposób dopasowywał do niej swój krok. Teraz już nie. Idzie naprzód szybko, a Dubhe ma trudności, żeby za nim nadążyć, do tego stopnia, że czasami musi biec.

Wieczorami zawsze jest zmęczona i wykończona rzuca się obok ognia. On wydaje się wiecznie świeży i wypoczęty. Przyrządza posiłki eleganckimi i oszczędnymi ruchami, jak zawsze.

–Myślałem, że jesteś przyzwyczajona do długich marszów – mówi jej pewnego wieczoru, widząc, jak opada na głaz.

Dubhe uśmiecha się nieśmiało.

–Tak, zanim cię spotkałam, dużo chodziłam, ale nigdy z taką prędkością.

–Musisz zawsze mieć wytrenowane nogi, to dla zabójcy niezwykle ważne. Dubhe nadstawia uszu: to pierwsza lekcja jej szkolenia.

–Zabójca musi być cichy i błyskawiczny, musi umieć szybko uciekać, a jednocześnie nie dać się usłyszeć.

Dubhe przytakuje poważnie.

Nie chcę więcej słyszeć narzekań na szybkość mojego kroku, jasne? Masz za mną nadążać i tyle, żadnych ale. To tylko kwestia wyćwiczenia.

–Tak, Mistrzu.

Ich dyskusje dotyczą tylko tego i zawsze kończą się w ten sam sposób dźwięcznym: „Tak, Mistrzu”. Dziewczynka często to powtarza. Podoba jej się brzmienie słowa „Mistrz”, ale przede wszystkim podoba jej się poczucie, że do niego należy.

Przez całą drogę Mistrz nie uczy jej niczego szczególnego. Nie robią nic innego, tylko całymi dniami idą w milczeniu. Kiedy o zachodzie słońca zatrzymują się, Dubhe pada wykończona na ziemię i w mgnieniu oka zasypia z tobołkiem ubrań pod głową, Ale jednocześnie każdy dzień jest mniej męczący od poprzedniego, a jej nogi przyzwyczajają się do rytmu marszu.

Dubhe przemierza praktycznie całą drogę, którą już przeszła sama podczas pierwszych dni z dala od Selvy. Mijają okolice, gdzie jeszcze trwa wojna, a to zmusza ich do poruszania się głównie nocą.

Pewnego wieczoru Dubhe orientuje się, że dotarli do rejonu, gdzie znajdował się obóz Rina. Doskonale pamięta to miejsce i ostatnią noc, kiedy je widziała.

–Tu blisko było obozowisko – mówi nagle, po czym ciągnie dalej, opowiadając o Rinie i jego towarzyszach, o okresie, jaki tam spędziła i o tym, jak zginęli.

–Kucharz nigdy nie przyszedł. To było wtedy, kiedy mnie znalazłeś, Mistrzu.

–Wyobrażałem sobie coś w tym stylu – odpowiada jej lakonicznie.

Może dlatego, że gubi się, podążając za wspomnieniami, może dlatego, że obrazy terażniejszości mieszają się z tamtymi z nocy, kiedy wszyscy zginęli, a może to jeszcze wina wiatru, który zagłusza już i tak ledwo słyszalny odgłos kroków Mistrza. W każdym razie Dubhe nagle czuje, że jest sama. Zatrzymuje się i rozgląda wokół. Ciemność jest prawie całkowita, z wyjątkiem bladej poświaty letniego nieba. Wokół niej tylko gwałtownie szumią liście i skrawek nieba na górze. Mistrza już nie ma.

–Mistrzu?

Wszystko jest tak, jak tamtej nocy. Nagle w jej pamięci wszystko powraca żywe

i okropne. Niewiele wcześniej, o zachodzie słońca znów widziała pióropusze dymu podnoszące się ponuro z niziny. Obozowiska, żołnierze, jak ludzie, którzy zabili Rina, jak człowiek, od którego ocalił ją Mistrz.

–Mistrzu?

Nagle wydaje jej się, że słyszy kroki i odgłos kopyt, jak tamtej nocy, szcęk mieczy i zbroi, a w oddali krzyki śmierci.

–Mistrzu, gdzie jesteś, gdzie jesteś?

Jak oszalała biega pośród drzew, raniąc się o krzewy i pokrzywy, które chłoszczą jej ramiona, aż jakaś dłoń chwytą ją brutalnie za ramię i usuwa na bok.

–Czego, u diabła, krzyczysz?

Dubhe poznaje jego zapach, jeszcze zanim słyszy jego głos. Rzuca mu się na pierś, ściska go i płacze.

–Tu są żołnierze, a ja cię zgubiłam.

Mistrz nie obejmuje jej. Nie głaszczuje jej po głowie, nie pociesza.

–W okolicy nie ma żadnych żołnierzy, słyszałbym ich – stwierdza w końcu sucho, kiedy Dubhe już tylko szlocha.

Ona podnosi się i ociera łzy.

–Wydawało mi się... wszystko jest tak, jak tamtej nocy...

Twarz Mistrza robi się poważna.

–Popełniłaś bardzo wielką nieostrożność: nie możesz tak sobie wrzeszczeć w miejscu takim, jak to, w sercu nocy.

–Przepraszam, ale ta ciemność...

–Do tej pory szłaś za mną bez problemów. Potrzeba ci koncentracji. Jeżeli mnie zgubiłaś, to tylko dlatego, że zaczęłaś podążać za niepotrzebnymi fantazjami.

Upokorzona Dubhe opuszcza wzrok.

–Twoje szkolenie już się rozpoczęło, nie zapominaj o tym. Twoja decyzja, żeby ze mną iść, niesie ze sobą wiele konsekwencji, nie jesteś już małą dziewczynką, a co

ważniejsze: przeszłość to przeszłość, jest za tobą i nie może cię dotknąć. Istnieje tylko

teraźniejszość, i tą teraźniejszością jestem ja. Nie chcę już widzieć, jak płaczesz, czy

niepotrzebnie narzekasz. Pewnego dnia będziesz zabójcą, a zabójcy nie pozwalają sobie na takie słabości.

"Tak Mistrzu" brzmi tym razem smutno. Dubhe wygania z umysłu i wszystkie

wspomnienia tego miejsca, obraz Rina i majestatycznego Liwada, jego smoka.
Jednak

aby pokonać strach, nie stara się uczynić swojego serca twardym, jak chciałby Mistrz, ale myśli o nim.

Tamte czasy minęły, a teraz, kiedy on jest przy mnie, nie mam się już czego bać.

Dubhe robi postępy. Poruszanie się w ciemności staje się dla niej łatwiejsze. Świat przepelniony jest dźwiękami, a ona uczy się ich słuchać: każdy z nich niesie dla niej jakąś wiadomość. Noc nie jest już mroczna, ale przeniknięta ścieżkami utworzonymi z zapachów i dźwięków, które mieszają się ze sobą.

Jej nogi potrafią teraz zwinnie posuwać się po poszyciu leśnym, czyniąc niewiele hałasu. Już nie parzy się pokrzywami, nie łamie też gałęzi zbyt ciężkim krokiem. Idzie naprzód szybko i pewnie, plecy Mistrza zawsze są przed nią, jak przestroga, a zarazem cel do osiągnięcia.

Mistrz nigdy nie mówi wiele. Prawie zawsze milczy, nawet podczas kolacji, i nigdy nic jej nie tłumaczy. To ona sama zrozumiała, jak nie męczyć się zbytnio podczas marszu, i ona też znalazła sposób, jak orientować się w nocy.

Tak naprawdę nie sądzi, żeby faktycznie interesowało ją zostanie płatnym zabójcą, ale nauka wydaje jej się jedynym sposobem, aby nie umrzeć, aby nie zostać sama, aby móc dalej być z Mistrzem.

–Kiedy nauczysz mnie posługiwać się bronią? – pyta pewnego dnia.

To jeden z ich ostatnich nocnych marszów, bo są już wystarczająco oddaleni od strefy wojny.

Mistrz pozwala sobie na swego rodzaju uśmiech, pierwszy od czasu, kiedy wyruszyli z domu.

–Pierwszą cnotą zabójcy jest cierpliwość. Zabójca jest myśliwym. Polowałeś kiedykolwiek?

Dubhe ogarnia wiele przyjemnych wspomnień.

–Oczywiście! Polowałam na świetliki i z procy na ptaki. Umiem złapać ropuchę gołymi rękami.

Mistrz znowu się uśmiecha.

–To niewiele, ale zawsze coś. Kiedy polujesz, musisz umieć czekać na odpowiedni moment. Ze szkoleniem jest tak samo Przygotowujesz się. Uczysz się używać pierwszej i najważniejszej broni zabójcy.

Oczy Dubhe błyszczą.

–Jakiej?

–Ciała. A to dopiero początek. Będziesz musiała stać się naprawdę doskonała jak broń: nieubłagana, gotowa do uderzenia z zaskoczenia i zdecydowanie.

Dubhe myśli o sztylecie Mistrza, umocowanym tam, przy pasie, w bezpośrednim kontakcie z jego brzuchem. Ona stanie się bronią w jego dłoniach. Sztyletem należącym wyłącznie do niego.

Po pewnym czasie lasy rzedną, a przed oczami wędrowców ukazuje się niezmiernie spaloną słońcem. Pustynia ziemi i czarnego piasku, leciutko pofalowana łagodnymi pagórkami zrównanymi przez jakiś kataklizm, i nicość rozciągająca się. dokąd sięgnąć wzrokiem.

–Co to za miejsce? – pyta Dubhe Mistrza.

Panuje tu totalna pustka i doskonała cisza przerywana jedynie krzykiem kilku kruków w oddali.

–To Wielka Kraina.

Dubhe pamięta. Ta nazwa jest jej dobrze znana. To miejsce, gdzie historia pozostawiła swój znak, wielokrotnie cytowane w opowieściach, które słyszała od dorosłych i starców w Selvie Prawie sto lat wcześniej mieściła ona Enawar, bajeczne i bogate miasto, leżące na dwóch radosnych pagórkach i całkowicie zanurzone w zieleni traw i lasów. Tam znajdowała się siedziba rządu Złotego Wieku w czasach, kiedy wojna była tylko bolesnym wspomnieniem,

Enawar został zrównany z ziemią wraz ze swoim bezcennym księgozbiorem, którego rozproszone fragmenty do dziś przechowywane są niczym relikwie w innych bibliotekach albo w siedzibach królów i dygnitarzy, z bliźniaczymi pałacami – białym i czarnym – jednym dla Rady Czarodziejów, drugim dla Rady Królewskiej, oraz ze wspinałymi, przebogatymi ogrodami, z fontannami i bajecznymi gramami wodnymi.

Mówiono, że tak właśnie zaczęły się Mroczne Lata Tyrana – zniszczeniem Enawaru.

Podczas Mrocznych Lat Wielka Kraina stała się całkowicie poddana Tyranowi, który

rozkazał wybudować tam swój potężny pałac, Twierdzę, niezwykle wysoką wieżę z czarnego kryształu. Ponieważ to materialne świadectwo aroganckiego wyzwania wobec bogów było wyższe niż jakakolwiek inna konstrukcja kiedykolwiek wzniesiona

w Świecie Wynurzonym, Twierdza była widoczna przynajmniej z jednego miejsca każdej z ziem. Z wieży odchodziło osiem bardzo długich ramion, każde wysunięte w kierunku jednej Krainy – dokładnie tak samo, jak palce Tyrana wyciągnięte, aby mógł pochwycić w swe szpony cały Świat Wynurzony. Twierdza niczym rak wyssała z tego miejsca wszelką żywotną limfę. Żadnych lasów, żadnej trawy; nie uchowały się nawet pagórki, które zrównano, aby zrobić miejsce dla budowli. Z Wielkiej Krainy nie zostało nic poza obszerną pustą równiną, rozdartą w środku przez bryłę Twierdzy.

Potem przyszła Wielka Wojna i Nihal i Sennar zniszczyli Tyrana. Twierdza rozsypała się i rozpadła na równinie, zabierając ze sobą czterdzieści lat terroru i panowania despoty.

Od tamtej pory Wielka Kraina przechodziła różne koleje. Przez jakiś czas, zaraz po Wielkiej Wojnie, kiedy Nihal i Sennar nie opuścili jeszcze Świata Wynurzonego, myślano, aby zostawić ją tak jak jest, wyniszczoną i pełną pozostałości po Twierdzy, aby świat pamiętał o tym, co się wydarzyło. Potem chciano wybudować tu Nowy Enawar, ale również i ten pomysł porzucono. Wówczas terytorium rozdzielono pomiędzy różne krainy zostawiając jedynie wolną część środkową, gdzie odbudowano oba budynki Rady Królewskiej i Rady Czarodziejów. Usunięto całe złomowisko z wyjątkiem tronu, który wystawiono przy wejściu do Pałacu Rady Królewskiej, obok dwóch gigantycznych posągów Nihal i Sennara.

Jeśli chodzi o terytoria przyznane różnym krainom w większości pozostały one martwe. Mimo wysiłków nie udaje się tam doprowadzić do wzrostu żadnych roślin. Ziemie te wydają się nieodwracalnie jałowe. Ludzie jeszcze nazywają je Wielką Krainą, chociaż teraz należą do innych terytoriów. Ich natura jest tak odmienna od pozostałych ziem, że wszędzie są postrzegane jako miejsca obce, należące do dawnej epoki i innego świata.

Mistrz pochyla się, bierze w dłonie garść ziemi. Jest sucha, wysypuje mu się z ręki jak piasek. Potem otwiera dłoń i pokazuje Dubhe jej zawartość.

–Widzisz te czarne odłamki? Tyle zostało z Twierdzy.

Dubhe patrzy na nie wystraszona i pełna podziwu. Ona też bierze garść ziemi i pozwala, aby zostały jej w dłoni tylko kawałki czarnego kryształu. Wkłada je do sakwy, wiszącej u boku jej pasa, pod płaszczem.

–Co chcesz z tym zrobić? To tylko głupie okruchy. Wyrzuć je.

Mistrz wydaje się prawie rozgniewany.

–To historyczne kryształki... Tyle opowiadano mi o Tyranie... Dziwne wrażenie wywołuje na mnie fakt, że mogę trzymać coś, czego on dotykał.

–W Tyranie nie ma nic godnego podziwu, nic! Uważał się za nieśmiertelnego i ludzi się, że może według własnego uznania dysponować wszystkim, co istnieje na świecie. Takimi biednymi szaleńcami, jak on, należy tylko gardzić. Wyrzucić to.

Dubhe zamiera w zdumieniu, więc Mistrz siłą wyciąga jej sakwę i gwałtownie ją opróżnia.

Przepraszam, Mistrzu, nie wiedziałam, że źle robię... Mistrz nie odpowiada, ale idzie dalej równym i szybkim krokiem.

Przez całe dni przemierzają tę opuszczoną równinę. Upał jest prawie nieznośny. Wargi Dubhe pierzchną od wiatru i słońca, pękają i krwawią. Kiedy wieczorem rzuca płaszcz przy ognisku, zadaje sobie pytanie, jak pierwszego dnia mogła pragnąć nieść ze sobą kawałki czarnego kryształu. Teraz wciskają jej się pod ubrania, kłują i drażnią jej skórę.

–A to przecież nic w porównaniu z Wielką Pustynią na wschodzie. Jesteś naprawdę do niczego – drwi z niej Mistrz.

Dubhe rumieni się, ale nic nie może na to poradzić.

Dopiero o zachodzie słońca ten ogromny, opustoszały teren rozpala się. Zachody nie kojarzą się Dubhe miło. Wszystkie przywodzą jej na myśl Gornara. Ale w tej absolutnej szarości, którą przemierzają, zachód słońca ma inny sens. Jest jedynym kolorowym momentem w ciągu dnia, rozpala równinę dziwnymi odblaskami. A potem, nagle, kiedy wydaje się, że słońce naprawdę znikło za płaskim horyzontem, często widać pojedynczą błyskawicę. Przez chwilę jest tak, jakby Wielka Kraina ponownie rozkwitała, jakby trawa rozprzestrzeniała się po tej jadowej równinie, aby chwilę potem wycofać się niczym miraż.

Mistrz widzi, jak Dubhe prawie wzruszona kontempluje niebo, już nieodwracalnie zmierzające ku nocnej ciemności.

–Widziałaś zielony promień, czy tak? Dubhe otrząsa się.

–Nie wyobraziłam go sobie, prawda? Mistrz potrząsa głową.

–Nie. Mówią, że tylko dzieci mogą go zobaczyć, bo nie są jeszcze skażone przez zło świata. Mówią, że to nośnik wiadomości Elfów, ich ostatnie przesłanie dla świata,

doprowadzone przez Słońce do tego, kto nigdy nie splamił swoich rąk krwią. Śmieje się cicho i ironicznie. Dubhe czuje, jak przepelnia ją smutek.

–No to dlaczego ja...

–Ja też go widzę – ucina krótko Mistrz. – Widziałem go tutaj, na pustyni, mnóstwo razy i nigdy nic mi nie powiedział. I choćbym nie wiem, ile osób zmasakrował, zielony promień jest tutaj zawsze: czeka na mnie za każdym razem, kiedy przechodzę przez tę ziemię. Pewien mędrzec któregoś razu powiedział mi, że widać go tutaj z powodu czystego powietrza. Gdzie indziej powietrze jest ciężkie i zakrywa promień. To tylko tyle, nic więcej nie ma.

Na pustyni jej szkolenie ulega zmianie. Tym razem Mistrz zadaje jej dziwne ćwiczenia.

–Chcę, żebyś została na straży.

–Czego? Przecież jesteśmy sami...

–Nie dyskutuj z moimi poleceniami, zrób, co ci mówię i basta. Musisz zostać na straży i czuwać przez dwie godziny, dopóki cię nie zawołam. Przysłuchuj się dźwiękom, wszystkim. Biada ci jeżeli zaśniesz.

Jednak za pierwszym razem Dubhe zasypia i budzi ją uderzenie w policzek.

–Nie chciałam, Mistrzu, przebacz mi...

–Koncentracja, Dubhe, koncentracja! Musisz się nauczyć narzucać sobie własną wolę, aby umysł zapanował nad zmęczeniem, nad głodem, czy nad jakimkolwiek innym przesłaniem od twojego ciała, czy to jasne?

Medytacja. Godziny spędzone wśród nocy, często w najgęstszej ciemności, kontemplowanie nicości, bez żadnego punktu, gdzie myśli mogłyby zatrzymać się podczas swojego biegu, bez żadnego oparcia, którego można by się ucześcić, aby nie paść ofiarą senności.

–To dlatego, że nie patrzysz uważnie. Nie ma dwóch identycznych chwil, świat nieustannie płynie, przemienia się, zmienia kształt, ale ty jesteś za bardzo

rozkojarzona, żeby zdać sobie z tego sprawę. Odgłos wiatru jest jak śpiew, to powolny,

to znów gwałtowny. Daleki grzmot. Metaliczne kroki owadów na ziemi. Odłamki czarnego kryształu toczące się w oddali. Naucz się słuchać.

I tak noc po nocy. Uchwycić każdą najmniejszą wibrację. Raczej usłyszeć świat, niż go zobaczyć; stać się z nim jednością.

–Koncentracja idzie w parze z cierpliwością, z umiejętnością czekania. Chodzi o odczytywanie świata jak książki, zespolenie się z nim. Czucie go w kościach i interpretowanie jego sygnałów aż do znalezienia chwili, jedynej, kiedy można skutecznie uderzyć. Oto istota zabójstwa.

Dubhe próbuje, chce się poprawić. Potem nieodmiennie pada i zasypia

–Wytrzymałam dłużej niż zwykle, przysięgam!

–Wiem, ale dopóki nie osiągniesz celu, nie możesz czuć się zadowolona. Ja nie będę.

Mistrz nigdy nie śpi naprawdę, Dubhe teraz jest tego pewna. Do takiego stopnia wysublimował to ćwiczenie, którego ona nie jest w stanie wykonać, że nawet w półśnie potrafi być w jakimś stopniu świadomy świata. Nawet kiedy przysypia na kilka minut, jego zmysły zawsze pozostają czujne i gotowe. Ona też musi się taka stać, czuje to. W tych dniach zaczyna rozumieć sens szkolenia.

Po jakimś czasie także równina ustępuje i po raz pierwszy od wielu dni spojrzenie, starające się przeniknąć horyzont, napotyka na jakąś przeszkodę. Z daleka wznosi się jasny profil wysokich gór.

–Już prawie doszliśmy. Jeszcze jakieś dziesięć dni i będziemy mogli odpocząć. To Daress, Góry Północne, wyjaśnia jej Mistrz. Kraina Skał.

–Pełno tu gnomów, niemal tylko one tu mieszkają.

Dubhe przypomina sobie okrutne i niskie indywiduum, które zapukało do ich drzwi jakiś czas wcześniej.

–Wszyscy są tacy? – pyta zaniepokojona.

–Co w tym złego?

Dubhe pochyla czoło. Wstydzi się powiedzieć, że się ich boi.

Wreszcie znów napotykają lasy, teraz drzewa są wszędzie. Na horyzoncie śnieżnobiałe i ostre szczyty gór pokryte śniegiem a u ich stóp dywan z zielonego aksamitu, w którym Dubhe z przyjemnością się zanurza.

Podoba jej się spanie w cieniu drzew, a nawet ćwiczenia, które jej zadaje Mistrz, w lesie wydają się mniej nieprzyjemne, łatwiejsze do wypełnienia.

Pewnego razu udaje jej się nie zasnąć przez pełne dwie godziny zalecone przez Mistrza, a kiedy on się budzi, natychmiast go atakuje:

–Udało się, udało mi się! Widzisz? Nie śpię!

Mistrz nie rozdrabnia się w pochwałach. Ogranicza się do kiwnięcia głową. Potem pewnego ranka Dubhe widzi, jak mężczyzna przygotowuje łuk.

–Dziś polujemy.

Dubhe czuje ucisk w sercu. Powracają do niej wspomnienia z Selvy, wciąż żywe i obecne.

–Chodź za mną.

Krążą po lesie, ale Mistrz od razu coś krytykuje.

–Robisz za dużo hałasu, w ten sposób zwierzęta uciekną.

Zaczają się, czekają, wsłuchują się w odgłosy, których Dubhe nie potrafi uchwycić, obserwują szczegóły, które jej umykają.

Jej ojciec nigdy nie polował. Jej matka kupowała dziczyznę, a czasami dostawała ją od jakiejś przyjaciółki. Jej rodzina była wieśniacza i Dubhe nie ma w polowaniu doświadczenia. Dlatego nie rozumie.

–Patrz na mnie uważnie – mówi Mistrz, a ona wykonuje to polecenie. Naśladuje go, ale sens jej umyka.

–Za czym konkretnie idziemy? – szepcze.

–Za śladami – ucina krótko mężczyzna i pokazuje jej coś na ziemi.

Dubhe je rozpoznaje. Blisko lasów Selvy też takie były. Ślady jelonka. Kiedyś nawet jednego widziała.

–Nie jest daleko.

Kucają, pełzają po ziemi. – Słyszysz go? – głos Mistrza nie jest głośniejszy od szeptu.

–Nie

–Skoncentruj się.

Dubhe zamyka oczy, dokładnie tak, jak robi wieczorem, kiedy ma wykonywać ćwiczenia. Wówczas cisza przemawia do niej, a rytmiczny szelest kopytek w gęstwinie teraz wydaje jej się oczywisty.

–Tak!

Mistrz szorstko kładzie jej dłoń na ustach.

–Nie wrzeszcz, głupia!

Prześlizgują się dalej, potem Mistrz się podnosi. Wskazuje na coś w gąszczu. Jelonek. Wydaje się czymś zaniepokojony i rozgląda się wokół z nastawionymi uszami. Dubhe myśli, że jest bardzo ładny. Już nie pamiętała, że te zwierzęta są tak piękne i doskonale.

Mistrz zachowuje się tak cicho, że Dubhe nawet go nie słyszy. Jelonek tymczasem chyba się uspokoił, bo zaczyna jeść, pochyliwszy szyję.

Dubhe odwraca się i widzi, że Mistrz jest gotowy. Skoncentrowany i skupiony wyraz twarzy, naciągnięty łuk i założona strzała. Jego ramiona są nieruchome, a cięciwa napięta do granic możliwości.

–Mistrzu, czy ty chcesz...

Nie zdążyła skończyć. Strzała odrywa się od łuku, cięciwa lekko jęczy. W ciszy lasu gwałtownie rozbrzmiewa odgłos upadającego jelonka. Dubhe widzi, jak zwierzątko się rzuca, słyszy, jak popiskuje, i stoi jak wryta w miejscu, przejęta zgrozą.

–No co? Rusz się, to kolacja, Mistrz rusza naprzód, schyla się, ale Dubhe za nim nie idzie, – Powiedziałem ci, żebyś tu przyszła! – powtarza mężczyzna, a Dubhe przyspiesza kroku, aby do niego dołączyć. Pochylony nad jelonkiem Mistrz już wyciągnął nóż.

–Jeżeli nie jest jeszcze martwy, musisz dobić go nożem. Oprzyj ostrze na szyi i zrób jedno zdecydowane cięcie, rozumiesz?

Mistrz pokazuje to gestem, a Dubhe czuje, jak tysiące małych dreszczy przebiegają jej po plecach. Przytakuje.

–Zrób to.

–Słucham?

Mistrz wręcza jej sztylet.

–Ty go zabij.

Jelonek miota się, porusza nogami, ale coraz słabiej. Oddycha z wysiłkiem, cierpi i jest przerażony.

–Nigdy nie używałam sztyletu.

–Ale już zabiłaś, tak? I nie chodziło wtedy o zwierzę, ale o chłopca. Dubhe wzdryga się, jakby uderzono ją w policzek.

–Tak, ale...

–Chodzi o to samo. A poza tym nie widzisz, że cierpi? I tak umrze.

–Ja...

–Zrób to!

Głos Mistrza przypomina ryk, a Dubhe podskakuje. Łzy podchodzą jej do oczu, a jednak jej dłoń bierze sztylet. Na rękojeści czuje ciepło dłoni Mistrza.

–Przestań płakać i zrób, co musisz. Powiedziałaś, że chcesz zostać moją uczennicą, czy tak? No więc zabójca zabija. Zabić albo umrzeć, Dubhe! Tacy jak my mają tylko jeden wybór. A ty zaczniesz od tego zwierzęcia.

Dubhe pociąga nosem, stara się otrzeć sobie łzy, ale nic to nie daje. Jelonek patrzy na nią oczami przepelnionymi bólem i przerażeniem, i miota się, nadaremnie próbując ucieczki. Sztylet w jej dłoni trzęsie się.

–Rusz się albo sobie pójdę i przysięgam ci, że już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Dubhe szlocha, ale zbliża się do zwierzątka. Łzy zaciemniają jej widok, więc nie widzi dobrze głowy jelonka. Czuje tylko, że miota się spazmatycznie pod uchwytem jej palców. Opiera drżące ostrze. Zamyka oczy.

–Otwórz te przeklęte oczy i wbij ostrze!

–Mistrzu, proszę...

–Wykonaj!

Dubhe krzycząc z zamkniętymi oczami, czyni to, co musi, a kiedy tylko czuje, jak krew zalewa jej rękę, puszcza zwierzę i rzuca się do ucieczki.

Mistrz chwyta ją i ściska, nic nie mówiąc.

Chociaż Dubhe została przez niego zmuszona do zrobienia czegoś strasznego, nie nienawidzi go, ale opiera głowę na jego piersi, a jego ciepło i spokojny oddech uspokajają ją. Mistrz wciąż milczy, ale jest tam z nią.

Dubhe nie chciała patrzeć, jak przygotowywał mięso jelonka. Jest głodna, ale pozostaje w oddaleniu nawet wtedy, kiedy pod wieczór w powietrzu rozchodzi się wyborny zapach mięsa.

–Nic innego nie ma, opłaca ci się jeść – mówi Mistrz. Dubhe z obrzydzeniem patrzy na kawałek mięsa.

–Mówię to dla twojego dobra.

Mistrz jest milczący. Wydaje się prawie przygnębiony.

–Nie powinnaś była zamykać oczu.

–Przebacz mi, Mistrzu, ale to było straszne... ja... przypominałam sobie

Gornara... tego chłopca... co wtedy... tego od wypadku... i wtedy... on na mnie patrzył,

a jego oczy...

Mistrz wzdycha.

–Ta praca nie jest dla ciebie. To nie twoja droga.

Dubhe podnosi się nagle.

–Dlaczego tak mówisz? To nieprawda! Staram się, nauczyłam się wielu rzeczy

i... podobają mi się, bardzo!

Mistrz patrzy na nią ze smutkiem.

–To niedobrze, żeby mała dziewczynka uczyła się takich rzeczy, a fakt, że nie

chciałaś tego zrobić, że nie chciałaś zabić jelonka, jest normalny. Nie jest natomiast normalne, żebyś była ze mną, żebyś ze mną szła.

–Ja chcę być zabójcą! Chcę być taka jak ty!

–To ja nie chcę, żebyś była taka jak ja.

Mistrz patrzy w żar, a Dubhe czuje jego ból, przeraża ją to i wzrusza.

–To było dla zdobycia pożywienia, wiem o tym. Widziałam jak w mojej wiosce zabija się świnie, i nie było inaczej niż teraz Pewnego dnia sama bym to zrobiła.

Byłam głupia.

Mistrz dalej patrzy w ogień, wydaje się nieobecny, ale Dubhe wie, że jej słucha.

–Od tej chwili obiecuję ci, że będę silniejsza i będę robić to, co mi powiesz. Już nigdy nie będziesz musiał się za mnie wstydzić.

Mistrz uśmiecha się.

–Ja się wcale nie wstydzę.

Dubhe odwzajemnia uśmiech. Czuje ulgę. Niepewną ręką bierze kawałek mięsa, który wcześniej podawał jej Mistrz. Zdecydowanym ruchem podnosi go do ust i odrywa zębami wielki kęs. Jest dobre, a chociaż napawa ją wstrętem, dziewczynka zmusza się, żeby go przełknąć, i patrzy na Mistrza. Nie potrafi rozszyfrować jego spojrzenia, które przenika ją do głębi i przeszywa na wylot.

20. Stary kapłan

Wszystko było przykryte śniegiem, a przenikliwe zimno wciskało się pod szaty, szukając najmniejszego nawet skrawka skóry, który mogłoby zażarcie zaatakować. Koszula, którą miała na sobie Dubhe, ledwie starczała, aby nie zamarznąć, i gdyby nie płaszcz, nie dałaby rady iść naprzód.

Ona i Toph przez cały dzień szli w milczeniu. Nie, żeby Toph nie próbował jej zaczepiać.

–Mało jesteśmy rozmowni, nieprawdaż? – zaczął po raz kolejny mężczyzna w porze obiadowej.

–Nigdy w życiu zbyt wiele nie mówiłam – podsumowała Dubhe.

–To źle. To nadaje ci ponury wygląd, a to nic dobrego dla dziewczynki, a już zwłaszcza dla takiej uroczej, jak ty.

–Nie popełniaj tego błędu i nie oceniaj mnie zbyt nisko. Nie jestem dziewczynką.

Toph uniósł dłonie do góry.

W porze obiadu podzielili się małą gomółką sera i bochenkiem chleba. Żołądek Dubhe był całkiem ściśnięty, więc zjadła bardzo mało. Toph zalał wszystko obfitą dawką wina. Z tego, co Dubhe wiedziała, nadużywanie alkoholu nie było w Gildii mile widziane i zwróciła mu na to uwagę.

Toph Wzruszył ramionami:

–Pierwsze morderstwo popełniłem, kiedy byłem kompletnie spity. Mój

nauczyciel tak mi nagadał, że od tamtej pory nauczyłem się miarkować, ale zapewniam cię, że kiedy jego zabijałem byłem całkowicie trzeźwy.

Zaśmiał się prostacko, a Dubhe zrobiło się niedobrze i wbiła spojrzenie w ziemię. Słyszała już, że Zwycięscy zabijają swoich nauczycieli, kiedy ci stają się zbyt starzy i zmęczeni, ale ani Mistrz, ani Rekla nigdy nie mówili jej o tym w sposób wyraźny.

–A ty? – podjął nie zniechęcony Toph. – Ty wstąpiłaś do Gildii, bo zabiłaś jako dziecko, prawda? Jesteś Dzieckiem Śmierci...

Opowiedz.

–Nie jest to coś, o czym bym chętnie mówiła.

Toph stał się dziwnie poważny.

–Co ty, do diabła, mówisz? Do licha, powinnaś być z tego dumna! Przecież właśnie to kwalifikuje cię jako Zwycięską i gdyby nie to, przez całe życie byłabyś Przegraną, dorabiając sobie drobnymi kradzieżami.

Dubhe spojrzała mu lodowato w oczy.

–Znasz Amantę?

–Tego, co popadł w niełaskę? Dawnego pupilka Dohora z Krainy Słońca? Dubhe przytaknęła.

–To ja przetrzepałam jego dom, a po nim przyszła kolej na Thevorna, którego też z pewnością znasz. To właśnie moje „drobne kradzieże” – wzruszyła lekceważąco ramionami.

–A więc to zabójstwo w dzieciństwie? – podjął Toph.

–To był wypadek. Mój przyjaciel. Biliśmy się, a on uderzył głową.

–Czyli dziecko.

Toph znowu się zaśmiał.

Wcześniej podjęli marsz, a wieczorem przybyli w okolice jakiejś wioski, nie bardzo odległej od Narbetu, stolicy Krainy Nocy. Tam znaleźli nędzną, prawie całkiem pustą gospodę – całe szczęście bo pogoda się zepsuła i rozszalała się prawdziwa burza.

Jedli kolację, przyciszonym głosem prowadząc dyskusję o czekającym ich przedsięwzięciu i o ich obiekcie. Dubhe brała w niej udział wbrew sobie. Nie mogła się doczekać, kiedy ta przekłęta historia się skończy. Toph przybrał pozę konspiratora i nachylił się ku niej, aby nie usłyszał ich gospodarz i inni wędrowcy znajdujący się w

gospodzie. – Jak sądzisz, komu jest posłuszny Nerla, ten durny syn kapłana Berli?

Nerla był obecnym władcą Krainy Nocy. Prawdziwy król, Rewar został stracony trzydzieści siedem lat wcześniej, pod koniec wojny z Dohorem. Nerla był młodzieńcem bez charakteru i nie było tajemnicą, że stał za nim Dohor. Zresztą Dohor stał prawie za wszystkimi obecnymi władcami, z wyjątkiem panujących w jeszcze wolnych Krainach Morza i Wody. Postać Dohora była o wiele mniej

dramatyczna niż Tyrana: podczas gdy ten ostatni robił wokół siebie wiele hałasu i bez zbytnich ceregieli podbił jedna po drugiej wszystkie Osiem Krain, Dohor sprawiał wrażenie osoby dystyngowanej, stojącej w obronie pokoju.

Pierwszym jego ruchem było poślubienie królowej Krainy Słońca, Sulany. Następnie, kiedy Rewar najechał na Krainę Dni, Dohor w mig pochwycił nadarzącą się okazję. W ciągu pięciu lat zmusił Rewara do uległości. Kraina Nocy stała się pierwszym protektoratem Krainy Słońca. Potem nadeszła kolej na Krainę Dni, z której Rewar zdążył już wysiedlić Famminów. Najtwardszym orzechem do zgryzienia była Kraina Ognia. Ido, jego dawny mistrz, oraz królowa Krainy Ognia, Aires, oskarżyli go o prześladowanie Famminów, co było jak najbardziej słuszne. Jednak dzięki przekupstwu i różnym przyjaźniom Dohorowi udało się przekonać Radę, że to Aires i Ido knuli przeciw niemu i całemu Światowi Wynurzonemu. Królowa została zdjęta z tronu, władzę powierzono kolejnemu potulnemu królowi, Ido został wyrzucony w niesławie z Zakonu, a Dohor zajął stanowisko Najwyższego Generała. W tym momencie historia wydawała się dramatycznie łatwa do przewidzenia. Czasy były ciężkie i potrzebowano silnego przewodnictwa; któż mógł być lepszy niż Dohor - bohater, Najwyższy Generał, który nawet Radę ocalił przed nikczemnym planem perfidnego Ido? Po pięciu latach wojny Kraina Ognia dostała się pod wspólny protektorat Krainy Skał i Krainy Słońca. Nastąpiło jeszcze pięć lat oporu prowadzonego przez Ido, ale wszystko ustało wraz z wejściem do gry Forry. Mówiono, że wojna zakończyła się bezsensowną krwawą rzezią. Ostatnim aktem była wojna przeciwko Krainie Skał, w której zginął Gahar, przez lata wierny sprzymierzeniec Dohora. w ten sposób w ciągu czterdziestu lat ambitny i bardzo młody Jeździec Smoka zgromadził w swoich rękach prawie cały Świat Wynurzony, w każdej krainie zachowując pozory wolności, zezwalając im na niezależną administrację i własnego panującego. Jego ostatnią troską były jeszcze ziemie Przymierza Wód, łączącego dawne terytoria Krain Wody i Morza, dotychczas całkowicie wolne.

–Dobrze wiem, że faktycznie należą do Dohora – odpowiedziała Dubhe.

–A zatem do nas – podsumował Toph.

Dubhe była zdumiona. Krążyły takie pogłoski, ale nikt nie uważał, aby mogły być one prawdziwe. Dohor z pewnością nie był porządnym człowiekiem, ale sprzymierzyć się z Gildią... Nawet Mistrz nigdy jej o tym nie wspomniał podczas długich i nudnych wykładów o intrygach ożywiających owe czterdzieści lat wewnętrznych walk, jakie nastąpiły po Wielkiej Wojnie.

–Co masz na myśli?

–Niemalą przysług oddaliśmy Jego Wysokości, a on potrafił je nam sowicie

wynagrodzić.

–Ale... do jakiego stopnia? Toph potrząsnął głową.

–Takie rzeczy wie tylko Yeshol.

Wyruszyli z gospody bardzo wcześnie. Pogoda była brzydka, a burzę z poprzedniego dnia zastąpiło zdradzieckie próśnienie wilgotnego śniegu moczącego płaszcz.

Dubhe była całkowicie pogrążona we własnych myślach. To miało nastąpić tego wieczoru, a ona się bała. Tak naprawdę nigdy nie zabiła z zimną krwią. Nauczono ją tego, jasne, pamiętała każde słowo Mistrza, jakie wypowiadał do niej podczas ćwiczeń, ale nigdy żadnego z nich nie wprowadziła w życie. A poza tym przecież przysięgała i to na wszystko, co kiedykolwiek miała najdroższego. To wszystko właśnie miało się roztopić niczym śnieg w słońcu. Ogarnął ją niezmierny smutek i lęk.

Okolo południa Toph ją szturchnął.

–No, Dubhe, jesteśmy w domu: to wielka Asteria. Dubhe spojrzała na niego

spod oka. Nikt już tak nie nazywał tego miasta. To Tyran narzucił mu tę nazwę, ale po

jego porażce miastu przywrócono jego dawne miano: Narbet. To pod tą nazwą znała

je Dubhe.

Popatrzyła na rozległe, poszczerbione mury, porośnięte pnączami o mlecznych kwiatach, teraz okrytych cienkim welonem śniegu. Rok po roku miasto upadało coraz bardziej. Coraz liczniejsze wyrwy w murach, coraz gęstszy rysunek atakujących roślin wspinających się po kwadratowych gładziach, ale przede wszystkim coraz bardziej zaniedbani i smętni wartownicy przed wrotami.

–Kim jesteście? – spytał jeden z nich, opuszczając włócznię.

–Dwójką posłańców z Krainy Słońca – Toph był na to pytanie przygotowany: odsunął płaszcz, aby pokazać im pergamin, który wzięli ze sobą w tym celu.

–Tak, tak... dobrze... przechodźcie...

Miasto otworzyło się przed nimi w milczeniu. Narbet zawsze taki był: miejsce pełne żebraków po obu stronach ulic i siedziba najbardziej nieprawdopodobnych

interesów, gdzie targi były nagie i smutne, a w sklepach brakowało niemal wszystkiego. Jedzenia było niewiele, po pierwsze dlatego, iż Kraina Nocy od zawsze potrzebowała magii, aby uprawiać nigdy niecałowaną przez słońce ziemię, a poza tym te niewielkie plony, które zbierano, były przekazywane na front, szlachcie Krainy Słońca albo przeznaczano je dla szlachty lokalnej. Domy bogaczy niczym kwiaty wykwiły wśród pustyni chałupek, stanowiących typowy pejzaż miasta. Były to siedziby otoczone nader rozległymi ogrodami, bogatymi w rzeźby i polichromowane stiuki. Bogactwo kapłało z każdej cegły. Kulminacją tej orgii ostentacji był majestatyczny pałac Nerli – króla. Był to dawny pałac królewski, przywrócony do przepychu swoich najlepszych czasów. Nerla kazał dobudować do niego nowe skrzydło, a przede wszystkim bardzo wysoką wieżę, na którą wszyscy patrzyli złym okiem, bo zbyt przypominała Twierdzę.

Dubhe obserwowała te wszystkie pałace i cały ten luksus swoim zwykłym, pozbawionym złudzeń spojrzeniem. Uważała, że wszystko to stanowi obelgę dla ubóstwa tej ziemi. Kiedyś nawet wytknęła to Mistrzowi, gwałtownie buntując się przeciwko takiemu stanowi rzeczy.

„Dlaczego ludzie się nie burzą?”.

„Świat podzielony jest na silnych i słabych. My w każdym razie służymy bogatym, jesteśmy wykonawcami zleceń pochodzących z najciemniejszych stron systemu: to oczywiste, że z nimi nie walczymy”.

Dubhe przeniosła wzrok z wielkich i pięknych pałaców na miasto ubogich. Składały się na nie również imponujące budowle, kiedyś z pewnością bardzo piękne, ale teraz naruszone przez czas i zaniedbania. Stare arystokratyczne pałace możnych i wpływowych postaci stały się przytułkami dla ubogich, którzy ze wsi przybywali szukać szczęścia w mieście, prawie zawsze bez sukcesu. Pomędzy budynkami niedawno sklecono drewniane chatki, ubogie tawerny i lazarety, w których szukali schronienia chorzy i niedożywieni.

Toph i Dubhe zjedli obiad w oberży niewiele lepszej niż inne. a po posiłku dziewczyna poprosiła, żeby zostawił ją samą.

–Ale po co? – spytał zdziwiony Toph.

–Każdy ma swoje metody. Ja potrzebuję skoncentrować się przed pracą. Toph wzruszył ramionami.

–Zobaczymy się tu na kolacji. Dubhe szukała bardzo konkretnego miejsca – miejsca, gdzie kiedyś była ze

swoim Mistrzem. Była to jeszcze inna gospoda, już całkowicie opuszczona. Tak, to tam chciała iść. Weszła do środka i błądziła po różnych pomieszczeniach, dopóki nie

dotarła do owego pokoju, który kilka lat wcześniej dzieliła z Mistrzem. Usiadła na podłodze i zamyśliła się, jak to miała w zwyczaju. Przypomniała sobie słowa, które zostawił jej Mistrz.

"Powiedziałem ci to wiele lat temu, kiedy się spotkaliśmy. To nie dla ciebie, Dubhe. Popatrz, co stało się ze mną, i zmień drogę. Zapomnij o mnie i o tym, czego cię nauczyłem, i żyj inaczej. A jeżeli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób to dla mnie i za moje poświęcenie".

Zamknęła oczy i przywołała w myślach tę sylwetkę dobrze zbudowanego mężczyzny o mocno zarysowanych barkach i wytrenowanym ciele.

Dubhe podniosła dłonie do twarzy.

Co ja robię?

Nie miała jednak wyboru. Prawdopodobnie wszystko zostało postanowione wiele lat wcześniej, kiedy nad brzegiem rzeki ścisnęła w palcach włosy Gornara i uderzyła jego głową o kamienie. Jej droga została wtedy nakreślona i nic nie mogła na to poradzić.

–Nie wydaje mi się, żebyś była w dobrej formie... – zauważył Toph podczas kolacji w ich obozowisku. – Masz czerwone oczy.

Dubhe szybko opuściła wzrok.

–To z zimna. Zostanę sama tutaj, w swoim pokoju, do czasu naszego spotkania przed świątynią.

–Nie radzę ci brać antidotum na krótko przed wykonaniem zadania. Rekl

powiedziała mi, że najlepiej by było, gdybyś wypła je z wyprzedzeniem, inaczej nie da

efektu.

–Dasz mi je, kiedy tylko skończymy – powiedziała zdecydowanie Dubhe.

Kiedy dzwon osławionej wieży pałacu wybił ostatni ton, Dubhe była gotowa. Wzięła głęboki oddech i postarała się oczyścić umysł. Nie było to jednak łatwe. Rzuciła ostatnie spojrzenie na swoją broń. Nagle sztylet przestał już być pamiątką po Mistrzu, ale stał się orężem, którego wkrótce miała użyć na poważnie.

Otulona płaszczem ruszyła ulicami Narbetu. Śnieg przestał padać, teraz w zaułkach

hulał mroźny wiatr. Dziewczyna szła powoli, a jej kroki tłumił ubity śnieg; przepelniała ją lodowata determinacja. Dopiero kiedy na horyzoncie dostrzegła zarys świątyni, jej serce zatrzepotało gwałtownie.

Kler Krainy Nocy był raczej bogaty, ale to akurat była świątynia trzeciej kategorii, mała i na wpół rozsypująca się. Dubhe potrząsnęła głową.

Toph czekał na nią w zaułku.

–Punktualna. Świetnie.

Widać było, że jest podekscytowany, ale jako profesjonalista potrafił zapanować nad podnieceniem.

–Sama wszystko zrobisz, ja będę tylko szedł za tobą.

Delikatnie otworzyli drzwi i weszli do środka. Przez kilka chwil wiatr zawodził w pomieszczeniu, potem zaś drzwi się zamknęły i powróciła cisza.

Wnętrze świątyni idealnie odpowiadało temu, co było widać na zewnątrz. Była to po prostu prostokątna sala o niskim stropie, z dziesiątką rozstawionych w bezładzie, zakurzonych ławek oraz na wpół połamanym, ale bardzo lśniącym ołtarzem. Najwyraźniej Dunat wypełniał rytuały również pod nieobecność wiernych.

Stojący za ołtarzem posąg przedstawiający Raxę był bardzo prosty; drewniana rzeźba przedstawiała mężczyznę trzymającego w dłoniach kij i woreczek monet. Tu i tam widać było odpryski wyblakłego lakieru.

Dubhe powiedziała sobie, że ów Dunat prawdopodobnie jest tylko zwykłym nieszczęśnikiem. Z pewnością nie kimś, kto zasługuje na śmierć.

–Do dzieła. Czy nie mówiłaś, że nie ma czasu? – skarcił ją cicho Toph.

Dubhe skoncentrowała się, ale mimo to poruszała się ociężale, jakby na zwolnionych obrotach. Nie chciała, nie chciała tego robić

Mimo gęstej ciemności dotykiem znalazła drzwi, których szukała. Były na wpół spleśniałe i spęczniałe od wilgoci. Użyła noża, aby delikatnie je uchylić, i udało jej się

przy tym zrobić jak najmniej hałasu. Weszła ostrożnie, trzymając w dłoni sztylet. Za drzwiami znajdowało się skromne pomieszczenie, oświetlone jedną tylko świecą: pokój ze zgrzebnym siennikiem i małym ołtarzykiem umieszczonym w rogu. Stała tam miniaturowa wersja posągu Raxy, a przed nią klęczał Dunat. Niespokojnym głosem mruczał nieprzerwaną modlitwę. Miał na sobie tylko koszulę nocną, na której biel opadały jego rzadkie, białawe włosy starego zaniedbanego człowieka.

Strach, szalony strach. Dubhe czuła go bardzo silnie. Ten człowiek siedział, co się wkrótce stanie, wyobrażał to sobie i szukał pocieszenia w tej rozpaczliwej modlitwie, którą bełkotał półgłosem.

Nie mogę, do licha, nie mogę!

Sztylet zadrżał jej w dłoni i upadł.

–Na co czekasz? – zamruczał ze złością Toph.

Dunat musiał coś usłyszeć, bo nagle odwrócił się i z oczami pełnymi przerażenia wrzasnął wibrującym głosem „Nie!”, jednocześnie podrywając się na nogi i szukając uciezki.

Dubhe usłyszała, jak stojący za nią Toph przystępuje do akcji, i zobaczyła, jak nóż wbija się w nogę starca, który upadł na ziemię we łzach.

–Zabij go! – ryknął Toph.

W jej sercu odległy głos Bestii odpowiedział identycznym rykiem i to dodało jej sił. Ciało zadziało samo, odpowiadając na to dawne wezwanie, które pogrzebała w swoim sercu i które Bestia wydobyła na świat. Podeszła do Dunata, chwyciła jego głowę i skręciła ją jednym ruchem. Mężczyzna zamilkł nagle, a Dubhe nie była w stanie rozluźnić chwytu. Jej oczy utkwione były w ołtarz i posąg, które splamiła krew wypływająca z uda starca.

Zrobiłam to. To już koniec.

Czuła się odrętwiała. Kiedy wreszcie udało jej się wypuścić starca i podnieść wzrok, to, co zobaczyła, zmroziło ją. W progu stała dziewczyna. Nieruchoma, z podniesionymi do białej twarzy rękami, z otwartymi ustami, niezdolna do wypowiedzenia słowa. Była w koszuli nocnej. Może to ordynans świątynny, o którym Toph nie dowiedział się w czasie swojego rozeznania. Kto wie. Była młoda, jak ona. i patrzyła na nią, jak się patrzy na potwory.

Nie...

Toph rzucił się błyskawicznie, dziewczyna zrobiła to samo. Próbowwała

przekroczyć próg, usiłowała krzyczeć. Toph złapał ją za włosy – długie, rozpuszczone na ramiona, i pociągnął gwałtownie, aż upadła na ziemię. Krzyknęła.

Dubhe ruszyła się, chciała stanąć pomiędzy Tophem a dziewczyną, aby udaremnić mu... Ale chłopak był szybszy. Jednym ruchem wyciągnął sztylet i wymierzył dziewczynie cios w gardło.

–Co za piekielna noc... wszystko idzie źle.

Białe, otwarte oczy. Oczy bez spojrzenia. Oczy oskarżające Dubhe tym razem spojrzała w otchłań. Jej życie było tam na dnie.

Ręką ścisnęła Tophę za szyję i cisnęła nim o ścianę.

–Dlaczego ją zabiłeś?

Nie była sobą, oszalała ze złości tak, że nie zdawała sobie sprawy z głupoty swego pytania.

–Zabierz tę przeklętą rękę, bo cię zabiję.

Dubhe puściła go. Brakowało jej powietrza. Toph wymierzył jej głośny policzek. Złość wyparowała. Teraz Dubhe czuła się jakby uszło z niej życie.

Toph uspokoił się i po tym wybuchu gniewu spojrzał na nią z większym zrozumieniem.

–Tym lepiej: będzie więcej krwi dla Thenaara.

Dubhe poczuła, że kręci jej się w głowie.

–Można wiedzieć, co z tobą? Powinnaś być zadowolona...A poza tym, już zdarzyło ci się zabijać.

Aż zbyt wiele razy. Ale nigdy tak, nigdy w taki sposób!

–Teraz trzeba dopełnić rytuałów, rusz się – powiedział Toph. Dubhe zamknęła oczy. Wszystko nagle stało się zbyt żywe, nie do zniesienia.

Toph podszedł do ciała dziewczyny, po czym wyjął szklany flakonik zawierający zieloną ciecz.

–Teraz ja wykonam rytuał na niej, po czym ty powtórzysz to samo na twojej ofierze.

Wyciągnął sztylet i zdecydowanym ruchem przebił pierś dziewczyny.

–Teraz wlewasz krew do buteleczki... – zrobił to z uwagą – a potem powtarzasz modlitwę: „Dla Thenaara, Ojca Zwycięskich, w oczekiwaniu na Jego dzień”. A na

koniec trochę wypijasz.

Podniósł buteleczkę do ust i napił się, czyniąc to niemal z zachłannością. Dubhe

poczuła, jak jej żołądek protestuje, ale jednocześnie w głębi tych mdłości było coś, co trzepotało radośnie, coś, co rozpoznawało się w tym makabrycznym rytuale.

Bestia.

Toph podsunął jej flaszeczkę.

–Teraz ty.

Uśmiechał się do niej. Potworny uśmiech.

Dubhe wzięła ją. Podeszła do trupa starca. Wyciągnęła sztylet.

Przypomniała sobie słowa Mistrza.

„Przebijanie ciał zmarłych, profanowanie ich szczątków jest aktem bestialskim, niezgodnym z regułami zabójstwa. Zabójca uderza, a kiedy ofiara jest martwa, sprawa jest zakończona. Okaleczanie trupa oznacza rozładowanie własnej złości i sadyzmu. To wszystko jest przeciwne temu, co robi płatny zabójca”.

Ale nie mogła tego uniknąć. Z daleka Bestia podnosiła swój głos.

Zresztą teraz ja też już jestem Bestią.

Dubhe powtórzyła to, co zrobił Toph. Napełniła flakonik krwią kapłana.

–Wypij łyk i napełnij ją ponownie. Popatrzyła na buteleczkę.

To pokarm Bestii, wiesz, że tego chcesz, bo to ty jesteś Bestię.

Zbliżyła usta do flaszeczki, a Bestia zakrzyknęła.

Zawahała się.

Nie mogę...

Zawahała się jeszcze przez chwilę.

Potem raptownie, nie pijąc, oddała buteleczkę Tophowi.

–Chodźmy stąd.

Nawet nie zaczekała na jego odpowiedź. Owinęła się płaszczem i przeszła przez

drzwi. Przebiegła przez świątynię i wypadła na zewnątrz, gdzie uderzył ją lodowaty podmuch wiatru. Oczy i umysł miała przepełnione obrazem tamtego pokoju, starca jeszcze pochylonego przed ołtarzem i młodej dziewczyny na ziemi, obydwójga w morzu krwi. Dziewczyna niewiele starsza od niej, dziewczynka bez żadnej winy. Szła naprzód, nie widząc nic innego, wiatr ją ogłuszał. Ledwo słyszała wołający ją głos, głos pełen złości, a potem prawie zaniepokojony.

21. Misja samobójcza

Drzwi do Rady Wód były zaryglowane, a Lonerin wpatrywał się w nie, wykręcając sobie dłonie. Nie pierwszy raz asystował przy posiedzeniu Rady. Zresztą, pozycja ucznia czarodzieja z Krainy Morza oznaczała niemal automatyczne zaangażowanie w ruch oporu przeciw Dohorowi. Ale tym razem było inaczej, tym razem napięcie w powietrzu było namacalne.

–Powiedz, czy nie siedzą tam już za długo?

Theana, siedząca obok niego smukła, jasnowłosa dziewczyna, była zmartwiona tak samo jak on, albo i bardziej.

–W końcu sytuacja jest dramatyczna.

–Ale wyjdziemy z tego, Lonerin? A jeżeli to koniec?

Lonerin zrobił niecierpliwy ruch. Lubił Theanę; mimo że była od niego bardziej zaawansowana w szkoleniu, często czuła się niepewna, a on ją uspokajał. Teraz jednak nie mógł znieść jej rozdygotania.

–Denerwowanie się tutaj nie ma najmniejszego sensu, możemy tylko czekać – powiedział szorstko.

Theana zamilkła udręczona, zalękniona i znowu cisza zapadła w poczekalni. Było ich tam wielu. Wszyscy ci, którzy nie należeli do Rady, ale którzy w jakiś sposób związani byli z ruchem oporu.

Zresztą były powody do niepokoju. Jeden z najlepszych szpiegów, któremu

udało się przeniknąć do bliskich Gildii środowisk, zginął nagłą śmiercią wkrótce po wysłaniu Radzie dramatycznego sprawozdania pełnego mrocznych zapowiedzi.

Zawartość owego raportu nie została całkiem rozpowszechniona, ale z pewnością chodziło o coś bardzo poważnego, o jakieś ostateczne posunięcie planowane przez Dohora.

Lonerin dobrze pamiętał szpiega. Był to młody czarodziej, niegdyś uczeń tego samego nauczyciela, co on, i przez jakiś czas nawet się spotykali. Aramon, tak się nazywał. Często pomagał mu przy różnych zaklęciach, które nie wchodziły mu do głowy. Ten pulchny chłopak o twarzy niewyrośniętego dziecka był bardzo bystry, a przede wszystkim nadzwyczaj uzdolniony w dziedzinie sztuki magicznej.

Zabójcy pozwolili im znaleźć jego ciało w pobliskich zaroślach, z poderżniętym

gardłem.

Lonerin zacisnął zęby. Z pewnością była to Gildia. Wszyscy wiedzieli, że Aramon prowadził rozpoznanie w tej sprawie. Przypomniawszy sobie, że kilka dni wcześniej mistrz Folwar wypytywał go o Gildię.

–Ty znasz ją najlepiej z nas wszystkich. Lonerin wzdrygnął się.

–Chodziło o moją matkę, mistrzu...

–Ale może ona ci coś powiedziała...

–Byłem bardzo mały.

–Rozumiem twój ból, Lonerinie, ale kiedy przyszedłeś do mnie, powiedziałeś, że chciałbyś, aby to twoje cierpienie mogło przynieść owoce, aby mogło stać się czymś pożytecznym... Teraz nadszedł odpowiedni moment.

Lonerin zorientował się, że tak zacisnął dłonie, aż zbieleły mu knykcie. Ze złością zdał sobie sprawę, że wspomnienie matki wciąż wywołuje w nim zbyt silny gniew.

–Popatrz!

Głos Theany przerwał potok jego myśli i skłonił go do skierowania wzroku na drzwi do Sali Rady. Powoli się otwierały.

W świetle, które przebijało się ze środka, zobaczył króla i czarodziejów zgromadzonych wokół wielkiego kamiennego stołu. Jego udręczony nauczyciel, siedzący po przeciwnej stronie sali, prawie osunął się na swoim fotelu.

Ordynans, który otworzył drzwi, zwrócił się teraz do oczekujących:

–Możecie wejść. Wszyscy obecni starali się zachować pewną godność, ale nie potrafili powstrzymać się przed bezładnym wtargnięciem do środka.

–Widzę, że jesteście wymęczeni – zwrócił się Lonerin do swojego mistrza.

Starzec sprawiał wrażenie skrajnie kruchego. Jego dłonie były kościste, a skóra tak przezroczysta, że przebijała spod niej siatka żył; na chudej czaszce rosło niewiele już długich do ramion, białych włosów. Jego ciało spoczywało luźno na wysokim fotelu wyposażonym w parę drewnianych kół.

Z wielkim wysiłkiem odwrócił się do swojego ucznia, popatrzył na niego niebieskimi, niesamowicie głębokimi oczami i uśmiechnął się do niego łagodnie.

–Jestem tylko trochę zmęczony, Lonerinie, nic poza tym. Było ciężko –

powiedział Folwar.

Chłopak położył mu dłoń na ramieniu, a staruszek ją uścisnął. Lonerin nagle poczuł się spokojny. Teraz dowie się prawdy.

Kiedy wszyscy zajmowali miejsca w wielkiej okrągłej sali, Lonerin rozejrzał się wokół. Szybko znalazł osobę, której szukał – tego, który wzbudzał jego pełen podziw -Ido. Siedział on w kącie, w swoim zwykłym wojennym stroju, który nosił stale, nawet poza polem bitwy: stary i wyblakły skórzany pancerz, zawsze przymocowany u boku miecz, na ramionach prosty płaszcz z kapturem na wpeł opuszczonym na twarz, ale nie na tyle, aby całkiem przysłonić upiorną biel blizny przebiegającej przez połowę lewej strony twarzy. Lonerin długo na niego patrzył. Był to bohater dawnych czasów, jak sam często siebie określał, „weteran niezdolny do nadążania za światem”, legendarna postać wyjęta z historii, których chłopak uwielbiał słuchać. Chociaż Ido miał ponad sto lat, wiek słuszny nawet jak na gnoma, wcale nie wyglądał staro. Gdyby nie dziesiątki małych zmarszczek znaczących jego twarz i biel długich włosów, wydawałby się jeszcze w pełni sił, dzięki ciału pełnemu wigoru oraz spojrzeniu, które każdego potrafiło przewiercić na wylot. Ponad czterdzieści lat temu był mistrzem Nihal i osobiście brał udział w walce przeciw Tyranowi, dla którego w jeszcze odleglejszych czasach nawet walczył i dopiero potem sprzymierzył się z Wolnymi Krainami. Po Wielkiej Wojnie długo piastował też stanowisko Najwyższego Generała, zanim Dohor rzucił się na podbój Świata Wynurzonego.

Rozmyślenia Lonerina zostały przerwane przez Dafne. Obecna władczyni Marchii Lasów, wnuczka owej Astrei, która oddała życie podczas Wielkiej Wojny, podniosła się, aby przemówić. Lonerin przez chwilę pomyślał, że jeżeli coś dobrego mogło narodzić się z tej kolejnej wojny, to byłoby to ponowne zjednoczenie Krainy

Wody, teraz podzielonej na należącą do ludzi Marchię Bagien i Marchię Lasów - zamieszkiwaną przez nimfy.

Nimfa podniosła dłoń, aby zarządzić ciszę.

Była blada i przezroczysta, jakby stworzona została z czystej wody, i lekka jak powietrze, a jednak piękna urodą pozaziemską i bulwersującą. Bładość jej ciała przechodziła w przejrzystość wody w jej falujących wokół głowy włosach.

–Rada podjęła decyzje – powiedziała głosem przypominającym dźwięk fletu,

powtarzając rytualne słowa – i przedstawi je teraz komitetowi Przymierza Wód.

Zrobiła krótką pauzę, po czym ciągnęła:

–Jak już zapewne wiecie, straciliśmy naszego brata Aramona. Zanim został sprzedany Gildii, przesłał nam ostatni raport na temat tego, co odkrył na terytorium Krainy Nocy. Jego słowa są bardzo niejasne, nakreślone w pośpiechu. Pozwalają nam

się jednak domyślać, że rzeczywiście – jak już podejrzewaliśmy – istnieje sojusz między

Gildią i Dohorem.

Przez salę przebiegł pomruk zdumienia i niepokoju.

–Już sam ten fakt jest bardzo niepokojący, zważywszy na władzę, jaką Gildia ma już nad większą częścią Świata Wynurzonego. Jednak sytuacja staje się jeszcze bardziej niepokojąca: Aramon pisze, że słyszał o jakimś gigantycznym rytuale, który miałyby przeprowadzić sekta, o czymś bardzo wielkim. Wspomniał mu o tym jeden z Zabójców, z którym Aramon rozmawiał. W swoim ostatnim sprawozdaniu napisał, że Zabójca mówił o „końcu czasów” i "przyjściu Thenaara"...

Prawie wszyscy poruszyli się niespokojnie; Lonerin zauważył, że Ido wygląda na niewzruszonego. Siedział na miejscu, swoim jedynym okiem wpatrując się w Dafne.

–Wiemy o podróżach Dohora do Krainy Nocy, ale to nie musi o niczym świadczyć. Jednocześnie dostajemy wiadomości o dziwnych ruchach w Wielkiej Krainie i o poszukiwaniach ksiąg prowadzonych przez zaufanych ludzi Dohora na targach i w bibliotekach. Coś się szykuje, a takie raptowne zniknięcie Aramona każe obawiać się najgorszego.

Na słuchaczy opadła grobowa cisza.

–W obliczu tak niepokojących znaków Rada postanowiła, że trzeba będzie przeprowadzić jeszcze głębsze dochodzenie. Za wskazówką generała Ido nasze następne poszukiwania będą skierowane bezpośrednio do wnętrza Gildii.

Tym razem Ido poruszył się i dał znak Dafne, która natychmiast usiadła. Teraz on się podniósł. Jego ochryply głos wypełnił salę.

–Skoro propozycja wyszła ode mnie, to spokojnie sam mogę wam o tym powiedzieć. Naszym prawdziwym problemem jest Gildia.

–Ale nikt z nas nie wie, gdzie ona się znajduje – zauważył jakiś głos.

–Wiemy jednak, jakie oblicze pokazuje ludziom: ową zagubioną w Krainie Nocy świątynię – odparł Ido z przekonaniem. – To stamtąd musimy rozpocząć. Tam przeprowadzić poszukiwania.

–Już to robiliśmy, a do niczego nie doszliśmy – zauważyła ta sama osoba, co wcześniej.

–Powiedzmy sobie szczerze, przez cały ten czas nie docenialiśmy Gildii –

ciągnął dalej Ido. – Byliśmy tam, obserwowaliśmy, jak załatwia własne interesy, jak rozwija się niczym przeklęty rak. Teraz jednak nadeszła pora, aby przyjrzeć się jej jeszcze uważniej.

–Co zatem proponujesz?

–Plan podzielony na dwie fazy: odszukanie bazy Gildii i znalezienie sposobu, aby się tam dostać, oraz przeniknięcie do jej wnętrza.

–Z całym szacunkiem, który jest wam należny, generale – rzucił z głębi sali jeden z dowódców. – Uważam, że przeniknięcie do Gildii jest zupełnie niemożliwe. To

sekta zamknięta, oni nie przyjmują ludzi z zewnątrz.

–Są jeszcze Postulanci – zabrał głos Lonerin.

Przemówił odruchowo i poczuł drgnienie serca, kiedy zobaczył, że Ido utkwiał w nim swoje oko.

–To znaczy? – spytał generał.

Lonerin odczekał chwilę, czując mocny uścisk dłoni mistrza.

–Niewielu o tym wie. Głównie my, mieszkańcy Krainy Nocy i kilku innych

desperatów. Kiedy ktoś ma jakąś prośbę do bogów i wyczerpał już wszystkie możliwości, zwraca się do Czarnego Boga, do Thenaara, jak nazywany jest w moich stronach. Tylko że wielu z tych, którzy tam poszli, potem już nie wraca...

Cisza stała się cięższa.

–A zatem? Po co nam kolejny martwy szpieg? A poza tym skąd mamy wiedzieć, czy to Gildia ich zabiera? – zapytał ten sam dowódca, który przeciwstawiał się Ildowi.

–Generał powiedział, że świątynia jest fasadą Gildii, tak? No więc ja też tak sądzę, wiem o tym.

–To bardzo interesujące... – powiedział Ido i Lonerin poczuł się mile połączony.

–Co zatem proponujesz... Jak się nazywasz? – spytał Ido.

–Lonerin. Jestem uczniem mistrza Folwara.

–Dobrze, Lonerinie, co zatem proponujesz?

–Aby ktoś poszedł jako Postulant do świątyni Czarnego Boga. Postulanci biorą udział w rytuałach Gildii, tak przynajmniej mówi się w moich stronach. Oni wezmą tego człowieka i zaprowadzą go do kryjówki.

–Przypuśćmy nawet, że Gildia przyjmuje owych Postulantów – odezwał się

Asthay, członek Rady pochodzący z Krainy Morza. – Kto nas zapewni, że zabierają ich

do swojego gniazda? A nawet jeżeli ich tam prowadzą, skąd możemy wiedzieć, że nie

zabija się ich od razu? Toż to samobójstwo.

–Wiem że tak nie jest – Lonerin poczuł, jak zimny pot pokrywa jego czoło.

–Ale skąd, na boga?

–Bo... bo poznałem pewnego Postulanta i widziałem jego... ciało... po... po

jakimś czasie... długim... po tym, jak wszedł do środka

Mężczyzna zamilkł, a wraz z nim całe audytorium.

–Ja nie znam ich rytów i nie chcę ich znać. Ale Postulanci zostają przy życiu...

przynajmniej przez jakiś czas. Wszyscy jednak znikają w przeciągu roku. W naszych

okolicach... czasami... znajdowaliśmy ciała... – Starał się nie myśleć o tamtym ciecie,

które widział i którego wspomnienie do tej pory przepęniało go ślepym strachem.

To Ido przerwał milczenie.

–Być może to i samobójstwo, ale my jesteśmy zdesperowani. Jeżeli miałyby to

być misja ochotnicza, to ja nie znajduję w tym nic złego. W latach, kiedy byłem

bywalcem tysięcy pól bitew, robiłem i gorsze rzeczy. Niestety, czasami trzeba
podjąć

ryzyko.

Lonerin milczał. Nie chciał w tym momencie powiedzieć nic niewłaściwego. Pozwolić
zakwitnąć własnemu bólowi... Powód, dla którego wybrał drogę magii... I oto nadarza
się okazja.

Ido ciągnął dalej:

–Ja bym poszedł, ale moja twarz jest zbyt znana, a Dohor oddałby swoje ramię

lub nogę, aby móc własnoręcznie posiekać mnie na kawałki. Nie przydałbym się na

nic. Potrzeba nam kogoś, o którym istnieniu Gildia nic nie wie, nowej twarzy dla
Donora i jego ludzi. Ochotnika.

Wszyscy wstrzymali oddech, a Ido przemierzył salę spojrzeniem.

–Nie jest to decyzja łatwa, jestem tego świadomy, i dlatego daję wam czas.

Ktokolwiek zechce wziąć na siebie ciężar tego zadania niech do końca tygodnia

przyjdzie do jednego z członków Rady i go o tym powiadomi. Zamykam posiedzenie.

Najtrudniej było zapukać do tych drzwi. Lonerin wielokrotnie widział Ida podczas
wszystkich posiedzeń, przy których asystował, ale nigdy nie miał odwagi, by do

niego podejść ani by z nim porozmawiać. Teraz czuł, jak trzęsą mu się nogi. Zwlekał kilka chwil, po czym podniósł pięść.

–Czyżbyś mnie szukał?

Lonerin podskoczył i odwrócił się gwałtownie. Ido stał za nim.

–Ja...

–Poszedłem się przejść. Zbyt wiele czasu w moim życiu spędziłem pod ziemią, a ten cholerny pałac odbiera mi oddech.

Minął Lonerina i otworzył drzwi.

–Wejdz. Spodziewałem się, że to ty przyjdiesz.

Pokój był dość skromny. Ido rozsiadł się za stołem, wskazując Lonerinowi krzesło.

–Przyszedłeś tu, aby zaoferować się jako szpieg? Lonerin przytaknął.

–Znam Gildię lepiej niż ktokolwiek inny.

Ido nadstawił uszu i oparł łokcie na stole, wychylając się w kierunku chłopca.

–Tak wyczułem. Wyjaśnij mi wszystko.

–Poznałem jednego Postulanta. Wiem, jak to się robi. I znam świątynię.

Dobrze. Byłem tam wielokrotnie.

–Jak to?

Lonerin poczuł się zażenowany.

–Dla tego Postulanta, którego znałem... Bo... ona zabierała mnie ze sobą, dopóki jej nie wzięli.

–Mówisz, że Postulanci umierają?

–Tak.

–Skąd wiesz?

Lonerin odczekał chwilę, zanim otworzył usta.

–Jest zbiorowy grób... niedaleko świątyni... a tam... ciała... po jakimś czasie...

zależy...

Ido oparł się na krześle.

–A dlaczego chcesz tam iść właśnie ty?

–Żeby się przydać! Do tej pory niewiele zrobiłem i...

–Kim był Postulant, którego poznałeś? – spytał nieoczekiwanie Ido Lonerin wzdrygnął się.

–Moja matka – szepnął.

Ido podniósł się i podszedł do ognia.

–Nie wydajesz mi się najodpowiedniejszą osobą do tego zadania. Lonerin odwrócił się.

–A to dlaczego?

–Ponieważ twoja matka umarła z winy Gildii.

–To wszystko nie ma nic do rzeczy!

–Ach nie? Nie wydaje mi się. My tu nie potrzebujemy męczennika ani mściciela.

–Nie, ja nie...

Ido spojrzał na niego z uśmiechem.

–Posłuchaj... Lonerinie, jesteś młody i przepelniony szalonymi myślami o heroizmie, co więcej, podsycanymi przez delikatną sprawę twojej matki, ale zapewniam cię, że nie warto umierać w taki sposób.

Lonerin opuścił głowę.

–Tak, jasne, to wszystko związane jest z moją matką, nie może być inaczej, ale w inny sposób, niż wam się wydaje. Oczywiście, tkwi we mnie pokusa zemsty, ale staram się ją zwalczyć i to od zawsze, od kiedy tamto się stało. Dlatego obrałem drogę

magii i oddałem się na służbę mistrzowi Folwarowi i tej Radzie. Teraz jednak

uważam, że mogę zrobić więcej; że to, co było strasznym epizodem w historii
mojego

życia, mogę przekształcić w coś pożytecznego. Widziałem moją matkę w tamtej

świątyni, widziałem ludzi, którzy ją zabrali, widziałem, jak to się robi, i mógłbym to

zrobić jeszcze raz. Może inni też potrafiliby to zrobić, gdybym ich nauczył, ale

dlatego nie wykorzystać bezpośrednio mnie? Któż lepiej niż osoba, która widziała,

może dać sobie radę z tym zadaniem?

Ido znowu się uśmiechnął.

–Przywodzisz mi na myśl piękne czasy... Minione lata... osoby, które

kochałem...

Lonerin nie odpuścił.

–Dajcie mi tę szansę...

Ido westchnął.

–Jutro pójdziemy przed Radę. Nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko twojej

osobie, ale ty staraj się być przekonujący, tak jak byłeś dla mnie. – Puścił do niego
oko.

I Lonerin był. Powtórzył przed Radą to, co powiedział gnomowi, a jego nauczyciel
patrzył na niego nieprzeniknionym spojrzeniem.

Kiedy usiadł, Dafne przyglądała mu się przez jakiś czas.

–Folwar, co ty o tym myślisz? – spytała w końcu.

Słaby głos starca rozbrzmiał dziwną pewnością.

–On już jest czarodziejem, a jego zdolności magiczne są znaczne. Z drugiej

strony, od dawna pracuje dla Przymierza Wód, asystując mi i wykonując
drugorzędne

zadania. Był w kontakcie z Gildią i to jest bardzo ważne, a poza tym jest to

młodzieniec bardzo zdeterminowany. Nie mam żadnych zastrzeżeń co do jego decyzji,

poza tymi, które dyktuje mi głębokie uczucie, jakie do niego żywię.

Lonerin uśmiechnął się, a mistrz odwzajemnił uśmiech ze smutkiem.

–A ty, Ido? Ido przez chwilę gładził ręką brodę.

–Uważam, że się nadaje ze względu na jego znajomość Gildii oraz na powodujące nim cele, które uważam za bardzo wzniosłe. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że uda mu się wykonać to zadanie i powróci do nas żywy.

–Dobrze, Lonerinie – powiedziała powoli Dafne. – Teraz wyjdź i daj Radzie czas na rozważenie sprawy.

Lonerin wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Po drugiej stronie zwykły tłum, a w pierwszym rzędzie Theana.

–To prawda?

Była zdenerwowana: złożone na piersi dłonie, oczy bliskie łez.

Lorinen nie wiedział, co powiedzieć. W ciągu tych lat nauki i znajomości wiele wspólnie przeżyli i coś ich łączyło – coś, co Theana z pewnością uważała za więcej niż przyjaźń. A jednak nic jej nie powiedział. Wziął ją delikatnie za ramiona i zabrał w bardziej odosobnione miejsce.

–Tak – wymruczał.

Theana od razu się rozplakała.

–Jak mogłeś... i dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego? Lonerin poczuł, jak coś ściska mu wnętrzności.

–Ja...

–Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że mógłbyś nie wrócić? Pomyślałeś o tym? A ta cała nienawiść, jaką czujesz do tamtego miejsca? Zastanowiłeś się nad tym?

–Nienawiść nie ma z tym nic wspólnego.

–A o mnie, o mnie pomyślałeś? Och, Lonerinie...

Powoli oparła się na jego piersi i zaczęła szlochać. Niespiesznie, tłumiąc jęki na tkaninie jego tuniki. Lonerin nigdy jej takiej nie widział. Wyglądało to tak, jakby z niepewnej dziewczyny nagle przeobraziła się w kobietę.

To ból sprawia, ból uczynił tak i ze mną wiele lat temu.

Łagodnie pogładził ją po głowie, złożył na jej włosach delikatny pocałunek, ale ona nie uspokajała się.

–Ja nie chcę umrzeć – wyszeptał Lonerin. – Nie myśl, że chcę się poświęcić.

Jeżeli to robię, to dlatego, że wierzę w siebie i w swoje umiejętności.

Drzwi otworzyły się nagle i ten krótki moment wspólnoty między dwójką młodych został przerwany.

Lonerin popatrzył na salę za drzwiami i kiedy tylko Dafne go zawołała, wszedł.

–Lonerin... – błagała Theana. Ucałował jej rękę.

–Wrócę. – I poszedł wysłuchać swojego przeznaczenia. Wyruszył z Laodamei, stolicy Krainy Wody, następnego dnia.

–Będę czekał na twoje magiczne sprawozdania. Tylko pamiętaj, mają być

częste. Ale przede wszystkim, Lonerinie, nie rozdrabniaj się. Aprobuję to, co zrobiłeś,

i sądzę, że możesz wyjść z tego cało, ale nie wolno ci się zagubić, rozumiesz mnie?

Lonerin popatrzył na Folwara wzruszony.

–Nie zrobię tego, mistrzu, nie zrobię. Wy nauczyliście mnie mojej drogi.

W tobołku na plecach miał trochę prowiantu na drogę i ubranie. To wszystko planował porzucić w pobliżu świątyni, aby lepiej odegrać swą rolę. Tylko w saszetce zaszytej pod szatą skrywał kamienie do przekazywania magicznych wiadomości. W środku coś jeszcze. Pukiel włosów.

–Weź to – powiedziała Theana cała we łzach. Obcięła całkiem swoje jasne włosy. – Uczyniłam ślub.

Lonerin poczuł się prawie zawstydzony. Nie był przygotowany na taką scenę.

–Ja...

–Weź to, a ja będę trochę pewniejsza twojego powrotu.

Zacisnął saszetkę gwałtownie w dłoni. Gdyby miało mu się nie udać, może wiele stracić. Kolejny powód, aby nie dać się pokonać pragnieniu zemsty.

–Wrócę – powiedział zdecydowanie.

Wrócę i może dla nas coś jeszcze będzie.

Rzuciła mu się na szyję i łzami zmoczyła tunikę.

Lonerin przycisnął ją do siebie.

Pocałunek, który złożyła mu na ustach, był czysty i słodki. A on jej na to pozwolił, zmieszany i ukontentowany, z dziwnym zamętem w sercu.

Teraz, przemierzając konno pierwsze mile długiej podróży w kierunku świątyni Czarnego Boga, myślał właśnie o tym.

Wrócę za wszelką cenę.

22. Zabójstwo w lesie

Przeszłość VII

Dubhe i Mistrz zatrzymali się niedaleko Czarnych Gór. Stolica Krainy Skał, Reptha, nie jest odległa.

–Położona jest w górach, wkrótce tam pójdziemy – tam jest praca.

Mistrz musiał już być w tych okolicach, bo dokładnie wie, jak się poruszać, a po przybyciu do miasta od razu znaleźli zakwaterowanie.

Ich nowy dom jest wykuty w skale, dokładnie tak samo, jak domy w Reptha, i prawdopodobnie musiał być od dawna opuszczony, bo wewnątrz, wśród wyblakłych ścian, znajduje się tylko kilka pokrytych pleśnią mebli.

Dubhe patrzy na wszystko z uwagą. Ta nowa kwatery nie ma nic wspólnego z domem w Selvie i dziewczynka zdaje sobie sprawę, jak bardzo oddaliła się od wioski i od tamtego życia.

–Oczekuję, że będziesz zajmować się tym miejscem – mówi chłodno Mistrz. – W końcu jesteś kobietą i te sprawy należą do ciebie.

–Nie martw się, zaufaj mi – mówi Dubhe, chociaż w głębi serca przeklina siebie, że nigdy nie słuchała matki, kiedy ta mówiła jej, żeby bardziej zainteresowała się pracami domowymi. Ale nauczy się i da z siebie wszystko.

Początki są trudne i absorbujące, i Dubhe z trudem znosi nowy rytm życia.

Kiedy kończy zajmować się domem, nawet do późnej nocy wykonuje swoje ćwiczenia. Mistrz zaczął ją uczyć naprawdę, jest nieugięty i surowy, i w żadnym wypadku nie lituje się nad nią

–To nie zabawa, musisz się przyłożyć – mówi, kiedy ją karci.

Snu jest zawsze za mało, a poranna pobudka to dramat. Dubhe stara się być od razu aktywna i myje się lodowatą wodą, dokładnie tak, jak robiła w Selvie. Ale tutaj wszystko jest inne łącznie z klimatem. W Krainie Skał lato jest krótkie i po kilku gwałtownych ulewach dotkliwy chłód zapowiada przybycie jesieni. Dubhe oczywiście nie potrzebuje wiele, aby się rozchorować.

Mistrz kuruje ją z oddaniem, ale nigdy się zbyt nie rozczula. Ogranicza się do tego, co jest ściśle niezbędne dla jej wyzdrowienia, nic poza tym.

–Nigdy nie byłaś w górach? – pyta, przygotowując jeden ze swoich ziołowych okładów.

Dubhe potrząsa głową, a przez twarz Mistrza przebiega cień uśmiechu.

–Tu nie jest tak, jak w twojej wiosce: tu jesteśmy wysoko, a zima nadchodzi wcześniej. Musisz nauczyć się dobrze okrywać i nie narażać się na zmarznięcie. Tak czy inaczej, przyzwyczaisz się.

Kiedy tylko Dubhe jest w stanie stanąć na nogi, Mistrz podejmuje trening i niedługo potem postanawia iść do Reptha, pulsującego serca regionu, według niego najlepszego miejsca na znalezienie pracy.

Od roku Dohor stracił zaufanie do Gahara, króla Krainy Skał. i pragnie definitywnie zawładnąć jego królestwem. W konsekwencji stolica stała się miejscem intryg i ciemnych interesów, gdzie zabójcy mają łatwe życie.

Miasto nie jest bardzo odległe od ich domu – aby tam dotrzeć, wystarcza pół dnia drogi – i otwiera się w wąskiej stromej dolinie po drugiej stronie górskiego grzbietu. Dubhe po przyjeździe tam zauważa, że prawie wszystkie domy pomalowane są na żywy czerwony kolor, ale w murach niektórych z nich widać żyły czarnego kryształu, który w całym Świecie Wynurzonym tylko tutaj przenika do skał. Rzeczywiście, niewiele dalej znajduje się kopalnia, która rozwinęła się w latach Tyrana i która jest czynna do tej pory. W wietrzne dni z ziemi podnosi się czarny pył, który uderza w ulice miasta i wciska się pod ubrania. Kiedy tak się dzieje, ludzie zamykają się w domach, ponieważ jest to bolesne. Wówczas atmosfera robi się

złowroga, całe powietrze wokół staje się ciemne i pył przesłania zachód słońca.

Dubhe potrzebuje trochę czasu, aby przyzwyczać się do tych wszystkich gnomów, których napotyka na swej drodze. Za pierwszym razem, kiedy ich widzi, jest strwożona i czepia się płaszcz Mistrza. On odsuwa ją oschle.

–Nie zachowuj się jak dziecko. Raczej walcz ze swoimi lękami.

W Reptha mieszkają też ludzie, ale po drodze spotyka się przede wszystkim owych niskich i drobiących ludzików, bardzo owłosionych i z gęstą brodą. Natomiast kobiety gnomów nie są takie straszne. Dubhe jeszcze ich nie widziała, ale mówi się, że mają niezwykle proporcje, inne niż mężczyźni, i że nie są takie okrutne, jak ich towarzysze. Wieść niesie nawet, że niektóre z nich są naprawdę bardzo piękne.

Na pierwszy rzut oka Dubhe ocenia Reptha jako miejsce ogromne i dziwaczne.

Dziewczynka nigdy praktycznie nie widziała nic poza lasami i wioskami, więc teraz miasto wydaje jej się czymś w rodzaju niekończącej się puszczy z domami zamiast drzew. Są one tak liczne, że wyglądają, jakby stały spiętrzone jedno na drugich, a ulice są zaledwie wąskimi i krętymi zaułkami.

Dubhe jest jednocześnie zafascynowana i przestraszona. Wyraźnie wyczuwa powiew spisku i intryg wdzierający się w te zakątki i dochodzący aż do pałacu. Reptha jest tylko z pozoru spokojnym i pracowitym miastem, jest tego pewna, a fakt, że Mistrz zabronił jej iść do pałacu, oznacza, że istnieje ku temu jakiś konkretny powód.

–Jest to miejsce, w którym Gildia robi interesy. My musimy trzymać się z daleka od pałacu i zadowolić się drobniejszymi pracami.

Pewnego dnia Dubhe pyta go o powody tylu tajemnic i Mistrz, nie bez pewnej niechęci, opowiada jej o Gildii. Dubhe zauważa, że mówi o niej z nutą lęku i bardzo ją to przejmuje. Historia Gildii jest złożonym systemem intryg i rytów, rozpalających jej żarliwą wyobraźnię, zwłaszcza kiedy dowiaduje się, że Gildia ma swoją siedzibę pod ziemią.

–To tam mnie wyszkolili – kończy Mistrz prawie niedbale. Dubhe przez chwilę patrzy na niego ze strachem.

–A dlaczego odszedłeś?

–To cię nie dotyczy – ucina krótko. Przez kilka sekund milczy, po czym dodaje: –

Gildia to coś, o czym lepiej mówić niewiele, a w każdym razie nie wspominać jej z przyjemnością. Jej członkowie to nie ludzie, tylko bestie. Jeżeli ci o tym powiedziałem, to wyłącznie dlatego, abyś się ich strzegła. Życie poza Gildią wcale nie

jest łatwe, zawsze to oni dostają najlepsze prace. Należy nauczyć się znajdować nisze, gdzie można się wcisnąć. Dlatego nas samodzielnych zabójców, jest tak niewielu. Ale najważniejsze to nie mieszać się w ich interesy i nie stawać im na drodze. Utrudnianie im czegokolwiek oznacza śmierć, i to najgorszą z możliwych.

Po pierwszych wyprawach do Reptha rozpoczyna się prawdziwa praca i sytuacja Dubhe się zmienia.

–Przez czas trwania szkolenia będziesz moją asystentką – mówi pewnego

wieczoru Mistrz, a Dubhe czuje, jak serce rośnie jej z dumy.

–Będziesz mi towarzyszyć w negocjowaniu zleceń, przygotowywać mi broń, a kiedy staniesz się sprawniejsza, zaczniesz chodzić ze mną. Będziesz moim cieniem.

Lekcje o broni rozpoczynają się, kiedy tylko nadchodzi zima. Na razie są to nauki głównie teoretyczne, a Dubhe właściwie uważa je za nudne. Jak zbudowany jest sztylet, jak go się naprawia, to samo jeśli chodzi o łuk, strzały, dmuchawki i lassa. Interesują ją tylko trucizny. Dubhe nie tylko wie, jak wygląda wiele z roślin, o których Mistrz wspomina podczas lekcji, ale także zna ich zastosowanie.

Jest zafascynowana botaniką, bawi ją destylowanie i mieszanie substancji.

–Cóż trucizna to broń dla początkujących, ale jeżeli tak ci się podoba... Dubhe rumieni się.

–To jest ciekawe...

–No to ucz się, ile tylko chcesz, na pewno nie przyniesie ci to szkody.

Jest tak zainteresowana, że Mistrz podarowuje jej książkę przyniesioną z Reptha, a dziewczynka każdego wieczoru zachłannie studiuje jej zawartość przy świetle świecy.

Po wyjaśnieniach dotyczących broni Mistrz uczy ją jej utrzymania i od tego momentu to zawsze Dubhe poleruje sztylety, naciąga łuk, a nawet przygotowuje strzały.

Wszystkie nauki chłonie niczym gąbka. Pojmuje wagę spokoju, zimnej krwi i stopniowo bolesny supeł ściskający jej wnętrzności rozluźnia się. Czas pielgrzymowania bez celu, okres strachu i porzucenia chyba się skończył. Teraz ma dom, a wkrótce będzie miała również zapewnioną pracę.

W środku zimy Mistrz po raz pierwszy każe jej naprawdę zabić.

Kiedy to czyni, Dubhe aż podskakuje. Przypomina sobie białe oczy Gornara i odkrywa, że szaleńczo się boi. Ale w głębi duszy jest też podekscytowana. Chce

udowodnić Mistrzowi, że nauczyła się wszystkich lekcji, że fakt, iż za nim poszła, nie był kaprysem. W pewnym sensie chce mu podziękować za to jego dziwne i milczące oddanie.

–Nie rób takiej miny – mówi Mistrz, jakby czytał jej w myślach. – Nie musisz

nikogo zabijać. Chodzi o polowanie: nauczysz się, że człowiek i zwierzę są bardzo

podobni, kiedy walczą o przetrwanie.

I Tak Dubhe zaczyna oswajać się z krwią. Jest połowa zimy, góry są pobielone kołdrą śniegu, a powietrze jest lodowate. Widać niewiele zwierząt, dlatego zadanie zlecone jej przez Mistrza jest tym bardziej skomplikowane.

Pierwsze kilka razy wychodzą razem, prawie zawsze o zachodzie słońca lub nocą, i często wszystko sprowadza się do szukania śladów lub do niezliczonych zasadzek w pozycji leżącej.

–Mistrzu, zwierząt jest zbyt mało...

–Gdyby to było łatwe, nawet bym cię o to nie prosił. To jest szkolenie, Dubhe, to normalne, że jest trudne i męczące.

Pierwszą ofiarą Dubhe jest zajac. Dziewczynka od niedawna zaczęła oswajać się z łukiem i nie ma szczególnie precyzyjnego oka, chociaż Mistrz kazał jej trenować za domem strzelanie do celu przez długie godziny. Łuk jest twardy, a ona ledwo jest w stanie go naciągnąć.

–Dobrze ci to robi na mięśnie – brzmi komentarz Mistrza.

Aby uczynić swoje strzały bardziej śmiertelnościami i zrekompensować marne osiągnięcia w celowaniu, Dubhe nauczyła się smarować ich czubki trucizną.

–Pozwalam ci na to tylko dlatego, że dopiero zaczynasz, jasne? Trucizna to

sztuka początkujących i tchórzliwych. To metoda, do której się ucieka dopiero wtedy,

kiedy wszystkie pozostałe zawiodły lub nie mogą zostać użyte.

Trochę czasu zajmuje Dubhe przyjęcie odpowiedniej pozycji, strzały płaczą jej się niezgrabnie i musi podjąć dwie próby, aby jedną założyć. Zajac nadstawia uszu, zrozumiał.

–Rusz się albo ci ucieknie – szepcze Mistrz.

Dubhe stara się, ale ręka jej się trzęsie, źle wycelowała i strzał w końcu okazuje się za słaby. Zajac zostaje tylko draśnięty.

–Nie martw się, nawet taki strzał wystarczy – mówi do niej Mistrz.

Kieruje się do miejsca, gdzie znajduje się zajac, a Dubhe idzie za nim.

Zwierzątko tam leży. Rozcięcie zaledwie zaczerwieniło sierść na lewej łapie, ale

cierpienie ofiary jest wyraźnie widoczne.

Dubhe po raz pierwszy widzi efekty działania swoich trucizn i obraz agonii tego zwierzęcia na zawsze zostaje wryty w jej umyśle.

Mistrz chyba się zorientował, bo uśmiecha się do niej gorzko.

Gdybyś lepiej wyćwiczyła celność, nie potrzebowałabyś trucizny, a to zwierzę umarłoby od razu.

Zając jest tylko pierwszą z długiej serii ofiar. Początkowy strach powoli przeobraża się w przyjemność z zasadzania się i polowania, a przerażenie na widok krwi słabnie i przychodzi przyzwyczajenie. Pod koniec zimy Mistrz zaczyna zabierać ją ze sobą na spotkania z klientami.

–Jesteś moją prawdziwą asystentką, jasne? Pójdiesz więc ze mną. Zawód

zabójcy nie polega jedynie na zabijaniu, ale również na umiejętności szukania pracy i

rozmawiania z tym, kto ją zleca.

I tak, mniej więcej raz w tygodniu, Dubhe wkłada płaszcz i razem z Mistrzem kieruje się do Reptha. Klienci prawie zawsze pochodzą z miasta i z reguły chodzi im o osoby w jakiś sposób związane z Dohorem.

Przed jej oczami defilują ludzie zrozpaczeni lub ambitni, przestraszeni lub wypełnieni nienawiścią, a Dubhe nagle zdaje sobie sprawę, że przez wiele lat poznała tylko bezpieczną Selvę. Teraz natomiast weszła w kontakt z ciemną stroną Świata Wynurzonego, ze światem, który wydaje jej się chaotyczny, zdradziecki i niepewny. Traci wiele z pewników, w jakie wierzyła, dobro i zło mieszają się ze sobą i wszystko zdaje się zawrotnie wirować.

Jedynym solidnym punktem jest on, Mistrz.

–Nasza praca nie zna moralności, Dubhe. Oczywiście, obowiązują pewne

reguły, ale nie ma dobra i nie ma zła. Istnieje tylko czyste i proste przeżycie, jest

sztylet i człowiek do zabicia. Albo to, albo bieda, nasza własna śmierć...

Dubhe słucha i przyswaja sobie jego słowa.

–Wobec klienta trzeba być pewnym i zdecydowanym. Nigdy nie wolno

pokazywać twarzy. Zabójca to człowiek, który nie istnieje, nikt nie może znać jego

rysów, nawet osoby, które musi zabić. Przy kliencie nie można mieć momentów

zawahania i nie należy przystawać na cenę niższą niż ta, którą ustaliłaś. Cena jest taka

i nie ma żadnych odstępstw. Twoja postać musi wzbudzać strach, rozumiesz? Tylko

wtedy klient ci zaufa.

Mistrz uczy ją nie tylko zawodu, uczy ją życia.

Czasami jednak Dubhe z trudem rozpoznaje samą siebie. Wydaje jej się, że umarła, a potem zmartwychwstała, że przeżyła dwa różne życia. Jedyna nić łącząca ją z jej przeszłością. to Gornar – to on zabił dziewczynkę, która w niej była, i sprawił, że narodziła się morderczyni.

To za pierwszym razem, kiedy Mistrz zabiera ją ze sobą do pracy, Dubhe rzeczywiście pojmuję, że następuje prawdziwy przełom.

Mówi jej to wieczorem, niespodziewanie.

–Jutro pójdziesz ze mną do pracy. Pora, abyś zaczęła być moją asystentką. Dubhe zastyga z łyżką w połowie drogi. Jej serce jakby się zatrzymało.

–No? Co ci jest? Stara się opanować.

–Nic, Mistrzu. Świetnie. Jutro.

Tymczasem jednak czuje, jak serce eksploduje jej w piersi, Przyszła chwila, żeby zobaczyć naprawdę, jak się pracuje, a Mistrz chce wręcz, żeby mu asystowała. Jest rozdarta pomiędzy strachem a dumą.

Przez całą noc nie myśli o niczym innym i zastanawia się, co będzie musiała zrobić, jaką rolę odegra.

W ciągu dnia jest spięta i sprawnie poleruje broń, napina łuk, a nawet przygotowuje trucizny.

Wydaje jej się, że pora obiadu nigdy nie nadejdzie, a kiedy wreszcie przychodzi czas, Dubhe ma ściśnięty żołądek. Jest zbyt rozemocjonowana.

–Jedz. Przed pracą zawsze trzeba się dobrze najeść – mówi Mistrz, obserwując ją uważnie.

Dubhe bierze łyżkę i przelyka trochę zupy. Potem zbiera się na odwagę.

Co będziemy dzisiaj robić?

Mistrz uśmiecha się sarkastycznie.

–Masz taką wielką ochotę na zabijanie?

–Nie... to znaczy...

Dubhe rumieni się gwałtownie.

–Ty tylko pójdziesz ze mną i będziesz mnie obserwować. Wydaje mi się, że

doszłaś do dobrego poziomu, zarówno w zwinności, jak i w znajomości różnych technik. Czas, abyś zaczęła się przyglądać, jak się naprawdę pracuje.

Dubhe przytakuje. Ze złością łapie się na tym, że czuje niemal ulgę, w końcu *to byłoby zbyt wcześnie*, mówi do siebie, ale bez zbytniego przekonania.

–Jak to się wszystko odbędzie?

–To będzie zasadzka. Chodzi o orszak kilku osób podążający na południe.

Droga, którą będą szli, na pewnym odcinku przebiega przez las i właśnie tam

będziemy działać. Pewien punkt tej drogi jest dość zakryty – będzie dla nas w sam raz.

Ukryjemy się na drzewach, a ja użyję łuku. Ty po prostu będziesz się przyglądać. Ten

człowiek będzie przejeżdżał wczesnym popołudniem, więc już prawie czas.

Dubhe już czuje adrenalinę.

Ostatnią czynnością jest sprawdzenie strzał. Przygotowała je Dubhe, ale Mistrz je jeszcze kontroluje. Obraca nimi w palcach, a dziewczynka czeka na wyrok. W końcu mężczyzna odkłada jedną po drugiej do kołczana.

–Świetna robota, dobrze się spisałaś.

Dubhe czuje, jak rośnie z dumy, i prawie zapomina o strachu. Kiedy wszystko jest gotowe i równo ułożone na stole, Mistrz siada na podłodze i każe Dubhe zrobić to samo. – Przed wykonaniem zadania należy się skoncentrować. Trzeba opróżnić umysł ze wszystkiego: litość, strach i każda inna myśl muszą zniknąć. Ma pozostać

tylko determinacja zabójcy. Najważniejsze jest to, żeby sprowadzić swoje istnienie do broni. Być łukiem, być strzałą i nie myśleć o niczym innym. Człowiek, którego mamy zabić, nie jest osobą, zrozumiałas mnie? Jest niczym. Musisz na niego spojrzeć, jakbyś patrzyła na zwierzę albo coś jeszcze niższego, kawałek drewna lub kamień. Nie myśl o nim, o jego rodzinie czy innych. On już nie żyje.

Dubhe stara się. Zna to ćwiczenie, wykonywała je już przy innych okazjach. Patrzy na siedzącego Mistrza i próbuje go naśladować. Ale jej umysł nie opróżnia się, emocje są zbyt silne.

Mistrz otwiera wreszcie oczy i patrzy na nią. Jest spokojny. Nawet się do niej uśmiecha.

–Nic nie szkodzi, jeżeli za pierwszym razem ci się nie uda. Staje się poważny.

–Ale tylko tym razem. Ona przytakuje.

Zaczają się na drzewie. Mistrz jest u jej boku, milczący. Ledwo oddycha, porusza się bardzo niewiele.

Z kołczana wyjmuje trzy strzały. To z ostrożności. Dubhe wie o tym. Tak naprawdę do dyspozycji jest tylko jeden strzał. Gdyby jednak znacznie chybił, będzie miał jeszcze możliwość drugiej szansy. Dwie z nich wbija lekko w drewno pod sobą, jedną bierze do ręki. Najpierw sprawdza elastyczność łuku. Naciągnęła go dobrze. Dubhe czuje się dumna ze swej pracy.

Potem czekają. Teraz ona też oddycha cicho, ale jej serce bije jak oszalałe. Może nawet Mistrz je słyszy.

Niespodziewanie on bierze jej dłoń i kładzie sobie na piersi. Dubhe na chwilę się rumieni.

–Czujesz? – mówi, jakby się w niczym nie zorientował. – Czujesz moje serce?

–Tak, Mistrzu.

–Jest spokojne. Kiedy zabijasz, nie możesz pozwolić żadnej emocji, żeby nad tobą zapanowała. To praca. Praca i kropka.

–Tak, Mistrzu. – Dubhe jednak nie potrafi się naprawdę skoncentrować. Jest mocno poruszona tą chwilą fizycznego kontaktu ze swoim Mistrzem, jedną z niewielu, od kiedy się znają, bo Mistrz jest typem raczej nieprzystępnym. Kiedy puszcza jej dłoń zawstydzona Dubhe odrywa ją od jego piersi prawie natychmiast. Myśli o spokojnym biciu jego serca i porównuje je ze swoim własnym zadyszczanym sercem, którego nie

potrafi utrzymać na uwięzi.

–Skoncentruj się – szepcze do niej Mistrz. – Po prostu słuchaj lasu i jego odgłosów. Słuchaj.

Dubhe skupia się. Teraz jej się udaje. Serce zwalnia, wokół niej wyłaniają się wyraźnie dźwięki.

Dlatego słyszy szurgot koni, kiedy są jeszcze daleko. Mierzy ich kroki, słucha szmeru głosów rozmawiających z roztargnieniem. Łapie się na tym, że o nich myśli. Ci ludzie nawet niczego nie przeczuwają. Ostatnie chwile życia człowieka, a on spędza je na niepotrzebnych dyskusjach. Wybuch śmiechu, może ostatni.

Dubhe marszczy czoło i patrzy na Mistrza. Wydaje się, że jego determinacji nie naruszają tego rodzaju myśli. Jego ręka jest pewna, a wyraz twarzy skoncentrowany. Z elegancją zakłada strzałę i napina łuk.

Rozmowy już są głośne, przełamują jesienny spokój lasu.

–Gdyby tylko potrwało to dłużej...

–Mój panie, będziecie mogli wrócić, kiedy chcecie.

–Wojna źle idzie, Balak, nie sądzę, żebym mógł w przyszłości pozwolić sobie na takie luksusy.

–Ale przecież przynajmniej na ślub waszej siostry – tak.

Plany na przyszłość. Skazane na wieczne niezrealizowane, myśli Dubhe.

Głosy dalej słyhać w tle, ale dziewczynka słyszy je słabiej, gwizdże jej w uszach.

Mężczyzna pojawia się w oddali za listowiem. Dubhe ledwo potrafi dostrzec jego twarz. I oto moment rozciąga się w nieskończoność, do tego stopnia, że zawiera wieczność. Mężczyzna porusza się jakby w zwolnionym tempie i Dubhe ma mnóstwo czasu, aby obserwować to, co się dzieje. Palce prawej dłoni Mistrza nagle puszczają.

Zakłęcie pryska wraz z brzęknięciem wracającej na miejsce cięciwy. Suchy odgłos wydany przez łuk miesza się z wyciem z bólu mężczyzny, z rżeniem, które już pachnie śmiercią.

Zdziwiona Dubhe widzi, jak mężczyzna niepotrzebnie podnosi dłoń do gardła, krew płynie gwałtownie, jaskrawoczerwona. lepka. On osuwa się na bok i powoli upada, a Dubhe nie potrafi oderwać od tej sceny oczu. Podąża za parabolą jego upadku, towarzyszy jego krótkiej agonii.

–Do licha! – krzyczy jeden z dwóch żołnierzy eskorty, po czym słychać piskliwy odgłos wyciąganego miecza.

Dłoń na jej ramieniu.

–Musimy uciekać, rusz się.

To Mistrz. Jednym susem zeskakują z drzewa, po chwili odzyskują równowagę i uciekają, pędzą przez las jak strzały, nikt ich nie zatrzymuje i nikt ich nie słyszy.

Po wyjściu z lasu przykryci płaszczami idą spokojnie w kierunku domu. Już nie ma się czego obawiać.

Zrobione. Mistrz milczy, a Dubhe znowu jest oszołomiona. Czuje, że powinna coś odczuwać, ale nie bardzo wie, co takiego. Pamięta tylko głos męczyzny i ulotne pogaduszki, jakie odbył tuż przed śmiercią.

Wieczorem w łóżku wraca do tego myślą. Myśli o pochwałach Mistrza za łuk i strzały, myśli o mężczyźnie, o Gornarze, o wszystkich umarłych, jakich widziała, i o tym, jak niewiele potrzeba, aby zabić człowieka.

Przewraca się w łóżku i nie może zasnąć. Po raz kolejny czuje się zagubiona, rozdarta pomiędzy pożerającymi ją przeciwstawnymi uczuciami.

W końcu zatapia twarz w poduszce i wybucha potokiem łez.

23. Krew ofiarna

Podróż powrotna była prawdziwą ucieczką. Dubhe szła tak szybko, jak tylko potrafiła, pozostawiając Toph'a daleko za sobą. Co jakiś czas mężczyzna wołał ją poirytowany, ale ona nie zatrzymywała się. Mroczna wściekłość, połączona z głuchym poczuciem winy, kipiała jej w piersiach. Za każdym razem, kiedy zabijała, miała wyrzuty sumienia, ale teraz było inaczej. Może dlatego, że w tej dziewczynie, którą Toph zabił z taką lekkością, odnajdowała samą siebie, a może dlatego, że mieszkająca w niej Bestia radowała się z tego widowiska.

–Przestań tak pędzić! Zatrzymaj się, do licha!

Głos Toph'a przyprawiał ją o mdłości, a te sumowały się z obrzydzeniem, które już i tak czuła do siebie samej i do całego świata. Oraz do tej przeklętej Gildii, która odebrała jej wolność i godność, i która dzień po dniu spychała ją na dno.

Poczuła, że ktoś chwyta ją gwałtownie.

–Powiedziałem ci, żebyś nie biegła.

Musiała się powstrzymać, aby nie skoczyć mu do gardła.

–Gonią nas, idioto.

Toph ścisnął jej ramię. Zabolęło, ale przygryzła sobie wargi, żeby nie krzyczeć.

–Nie ośmielisz się mnie znowu tak nazwać. A teraz zwolnij, bo za tobą nie nadążam.

Dubhe zwolniła kroku, ale uparcie nie podnosiła głowy. Nigdy tak bardzo nie odczuwała własnego zniewolenia, jak teraz.

Znajdowali się już z powrotem w pobliżu Domu. Przez całą drogę Dubhe była bardzo cicha, teraz też milczała. Szła powoli ciężkimi krokami. Długi marsz ją wykończył. Znowu zaczął padać gęsty śnieg.

–Nikommu nic nie powiem o tym, co się stało – wymruczał Toph.

Dubhe odwróciła się i spojrzała na niego ze zdumieniem

–Dla mnie też pierwsze zabójstwo nie było łatwe... I chociaż ty już zabijałaś, no

wiesz, co innego zabijać samemu, a co innego robić to dla jakiegoś wyższego planu,

dla Thenaara. No i Rekla nie dałaby ci eliksiru... A widziałem cię podczas inicjacji...
no

wiesz... to pewnie nie jest miłe.

Dubhe wbiła wzrok w swoje czarne wysokie buty posuwające się po śniegu.

–No nie jest.

–Rekla jest okropna, wiem o tym – podjął Toph. – Ale to geniusz rozumiesz? Bardzo wiele robi dla Thenaara, dla jego chwały.

Mężczyzna wyciągnął ampułkę z krwią, którą zebrali w wieczór zabójstwa.

–Popatrz na to.

Dubhe uczyniła to niechętnie. Nie miała najmniejszej ochoty na przypomnienie sobie tamtego wydarzenia. Zerknęła spod oka, ale od razu zrozumiała. Krew była jeszcze płynna.

–Widzisz? – Toph potrząsnął flakonikiem, a krew zatańczyła w środku. – To ten zielony płyn, który był tam wcześniej: ten sam, którego używamy podczas Nocy Nieobecności albo w basenie u stóp posągu Thenaara. To mikstura jej pomysłu, pozwalająca krwi nie krzepnąć. To dzięki temu krew, którą zebraliśmy, dotrze do basenu w stanie płynnym. Jednocześnie, jeśli trzeba, jest to straszliwa trucizna.

Umierasz z upływem krwi.

Dubhe przez chwilę wyobraziła sobie tę straszną śmierć i mocniej otuliła się płaszczem. Ocknęła się w niej dusza botanika, więc w myślach szybko przejrzała znane sobie rośliny o właściwościach przeciwzakrzepowych.

–A to jeszcze nie wszystko. Jak myślisz, ile lat ma Rekla? Dubhe stanęła, zbита z tropu. Nigdy się nad tym nie zastawała.

–Chyba... jakieś kilka lat więcej niż ja... Toph się uśmiechnął.

–Jest starsza ode mnie... i odkąd pamiętam, zawsze była taka jak teraz... Sam nawet nie wiem, ile ma lat, ale jest jakby... niezmienna.

Dubhe nie wiedziała, co powiedzieć.

–Nikt dobrze nie wie, jak ona to robi, ale z pewnością to jakiś z jej specyfików.

Wiem coś o tym, bo była moją nauczycielką, tak jak teraz twoją. A ja... chyba go widziałem. Przypuszczam, że to niebieskawy eliksir, który od czasu do czasu przyjmuje. Daje dziwne efekty. Może się nie zorientowałaś, ale Rekla czasami znika na

kilka godzin, rzadziej na kilka dni. Myślę, że źle się czuje. Raz zdarzyło mi się ją widzieć podczas takiego okresu i była... nierozpoznawalna...

Dubhe natychmiast odnotowała tę wiadomość, która mogła jej się przydać podczas planowania ucieczki.

–W jakim sensie nierozpoznawalna?

Toph nagle wydał się mniej skłonny do rozmowy.

–Widziałem ją tylko z daleka... Była przygięta, a jej skóra... jakby odzyskała swoje lata, nagle. Tak, sądzę, że to coś w tym stylu.

–A gdzie ją widziałeś?

–Dlaczego chcesz to wiedzieć?

–Z ciekawości... W końcu to moja nauczycielka, nie?

–Niedaleko sali z basenami, biegła gdzieś w stronę rogu.

Zatem tam musiała szukać. Zdobycie eliksiru było pierwszym krokiem na drodze do ucieczki.

Dubhe zatrzymała się, a razem z nią Toph.

Nagle zarysowała się przed nimi sylwetka świątyni, obszerna i ponura, a jej brązowe drzwi niewyraźnie połyskiwały w ciemności.

Ciężkie wrota otworzyły się, po czym powoli zatrzasnęły za Dubhe i dziewczyna znowu poczuła woń zamknięcia, która stała się już dla niej zapachem Gildii. Z głębi świątyni posąg spoglądał na nią spod brwi. Ale tym razem był tu ktoś jeszcze.

Jakaś osoba tkwiła w jednej z ławek, jak zawsze na klęczkach Postulant. Dubhe natychmiast przypomniała sobie kobietę, którą widziała w dniu, kiedy po raz

pierwszy postawiła nogę w tym miejscu, kiedy jeszcze wierzyła, że może uwolnić się od klątwy po prostu grożąc Yesholowi.

Przemierzając nawę razem z Tophem, miała czas, aby przyrzeć się pochylonej sylwetce. Jej ramiona były wyprostowane i należały do młodej osoby. Jedna z opartych na czarnej posadzce świątyni stóp poruszała się lekko i nerwowo. Złożone dłonie były zaczerwienione od zaschniętej krwi. Przybysz dopełnił rytuału.

Postać mruzczała coś cicho, ale Dubhe nie udało się usłyszeć wypowiedzianych słów.

Jej twarz zobaczyła tylko przez moment, kiedy ona i Toph kierowali się na tyły posągu.

Jedwabiste czarne włosy, twarz chłopca, który dorósł zbyt szybko, i dziwna, wyprostowana postawa osoby, która nie wyzbyła się całkiem nadziei.

Kiedy tylko przeszła obok niego, chłopiec podniósł lekko głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały. Głębokie zielone oczy i kilka małych piegów na zaróżowionych policzkach wieśniaka. Jego wzrok wcale nie był przepełniony rozpaczą, lecz żywy i zdecydowany.

Co tu robi ktoś taki jak on? - zastanowiła się Dubhe.

Potem chłopak opuścił głowę i znowu oddał się modlitwie tym razem głośniejszej, bardziej żarliwej. Dubhe cały czas na niego patrzyła, dopóki nie doszli pod posąg Thenaara.

Toph złapał ją za ramię.

–No co? Co się tak patrzysz? To Przegrany, nie jest godny twojego zainteresowania. Pomódl się raczej.

Dubhe przytaknęła roztargniona, uklękła i pomyślała o czymś innym, podczas gdy jej towarzysz powtarzał zwyczajową modlitwę.

Potem wstali.

Chłopak wciąż tam był, w tej samej pozycji, co wcześniej.

Życie powróciło do swojej zwykłej monotonii. Toph dotrzymał słowa i Reka o niczym się nie dowiedziała. Ustalonego dnia, kiedy były w świątyni na codziennej lekcji, kobieta wyciągnęła z za gorsetu buteleczkę.

–Twój eliksir.

W ten sposób Dubhe oszczędziła sobie cierpień, których doświadczyła w przeszłości, kiedy zdarzyło jej się nieposłuszeństwo.

Przede wszystkim jednak kontynuowała swoje rozpoznanie. Teraz miała już wskazane miejsce, gdzie mogła szukać.

Zacząła zapisywać wszystko, co już wiedziała o strukturze Domu. Do tej chwili postępowala bez żadnej prawdziwej metody blakając się nocą tu i ówdzie. Nadszedł czas, aby przestać się wygłupiać i w pełni wykorzystać swoje umiejętności.

Wzięła plan, który Rekla dała jej pierwszego dnia.

W rogu Wielkiej Sali, sali z basenami, nie było nic zaznaczone. Dom zaczynał się i kończył na tym jednym, nieskończenie rozległym piętrze, które miała przed oczami. A jednak coś musiało tam być, może jakieś ukryte drzwi, kto wie...

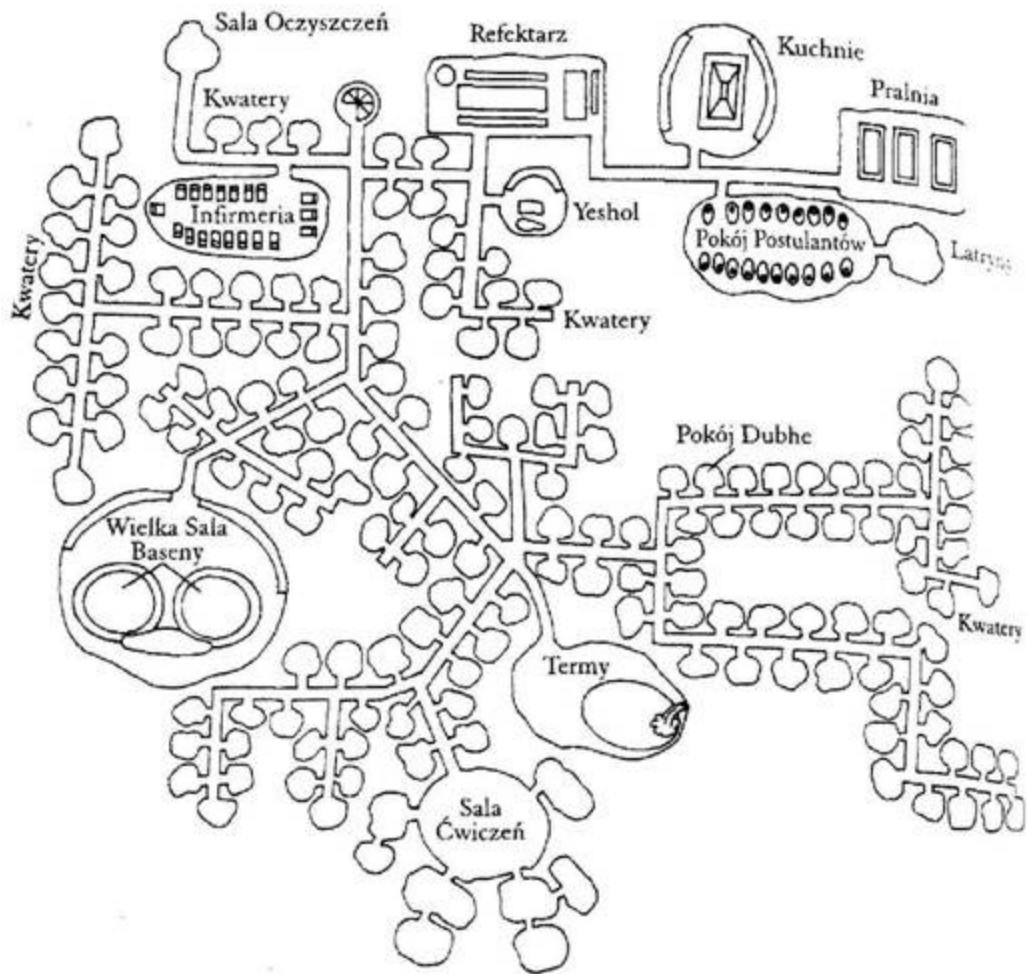
Na planie nie było zaznaczone laboratorium Rekli, co wskazywało na to, że rysunek nie był kompletny.

Pozostawało zatem zrobić dwie rzeczy: postarać się zrozumieć, co znajduje się w rogu Wielkiej Sali, dokąd biegła Rekla, oraz odnaleźć jej pokój. Najprawdopodobniej obie te kwestie były ze sobą związane.

Dubhe zaczęła od Wielkiej Sali. Za pierwszym razem poszła tam w ciągu dnia, po obiedzie.

Nie było w niej wielu ludzi. Ktoś wlewał owoce swojej pracy do basenu, a z boku kilka osób poruszało się w rytm modlitwy. Dubhe usiadła w rogu.

Sufit musiał być przynajmniej na dwudziestu metrach wysokości i był pokryty stalaktytami. Posadzka była gładka i wypolerowana, ale przy krańcach grotty znajdowały się różne powykręcane stalagmity, podnoszące się ku zwisającym z sufitu siostron.



Dom – poziom pierwszy

Wzdłuż ścian były proste siedziska i tam Dubhe znalazła miejsce dla siebie.

Nikt na nią nie patrzył, ale i tak uznała, że ostrożniej będzie udawać modlitwę. Dlatego przymknęła oczy i zaczęła nucić monotonną melodię. Spod półprzymkniętych powiek dalej przyglądała się pomieszczeniu.

Prawie całą przestrzeń sali zajmowały dwa olbrzymie baseny. Były one owalne, a posąg Thenaara moczył jedną stopę w jednym, a drugą w drugim z nich. Był przeogromny i sięgał sufitu. W porównaniu z nim statua Astera wydawała się figurą krasną, chociaż była przynajmniej trzy razy większa niż normalna osoba. Oba posągi stały przy ścianie, która nie była przez to widoczna.

Który dokładnie róg sali miał na myśli Toph?

Głos Recli przerwał strumień jej myśli.

–Bardzo dobrze. Cieszy mnie, że zastałam cię na modlitwie. Dubhe podskoczyła. Bez żadnego powodu poczuła się nakryta.

–No co? Co to za mina? Dziewczyna szybko postarała się zapanować nad sobą.

–Wybacz mi, byłam bardzo skupiona.

Rekla przytaknęła poważnie.

–Grzeczna dziewczynka. Nadchodzi czas i dobrze, że się modlisz.

–Nadchodzi czas na co?

–Dowiesz się w odpowiedniej chwili. Teraz chodź ze mną. Dubhe wyszła z sali, rzucając jej ostatnie inkwizytorskie spojrzenie.

Wróciła tam w nocy, kiedy panowała zupełna cisza. Korytarze były niemal całkiem ciemne, a każdy krok zdawał się odbijać od ściany tysiącokrotnym echem. Wydawało jej się, że wszyscy mogą ją usłyszeć.

Nie denerwuj się, nie robisz nic złego... idziesz pomodlić się w Sali, to coś, co wszyscy uważają za chwalebne...

Tym razem nie ograniczyła się do oglądania sali z kąta. Teraz przemierzyła ją całą. Przeszła wzdłuż ścian, okrążyła brzegi basenów. Zapach krwi wywołał w niej mdłości nie do zniesienia, także musiała oprzeć się o ścianę.

Chcesz stąd wyjść czy nie? Dalej!

Podjęła poszukiwania. Ponownie okrążyła baseny, aż do końca, chociaż zimny pot spływał jej po plecach. Nic. Nie było tam innych przejść, ściany były doskonale gładkie. Tylko te trzy korytarze, nic innego. Może nie było żadnego prawdziwego powodu, dla którego Rekla, kiedy efekt eliksiru już się kończył, biegła właśnie w tamtą stronę. Może zgodnie ze swoim fanatyzmem po prostu poszła się pomodlić. Może laboratorium było gdzie indziej.

Nagle ukłucie zaskoczyło Dubhe. Podniosła dłoń do piersi. Zakręciło jej się w głowie, po czym nowe ukłucie, znów szpony zatopione w jej ciele. Serce zgubiło rytm.

Zrobiła to bez zastanowienia. Odruchowo odsunęła się od basenu. Poczucie ucisku nieco zelżało. Ale nie ślepa trwoga. Wzięła eliksir nie dalej niż trzy dni temu, dlaczego Bestia była już tak silna? Może Rekla dała jej mniejszą dawkę, nic jej nie mówiąc?

Zamknęła oczy i starała się uspokoić.

Wszystko jest w porządku.

I rzeczywiście, szpon się wycofał.

Powoli wróciła do swojego pokoju, zachowując te same środki ostrożności, co w tamtą stronę. Jednak kiedy się położyła, udało jej się zasnąć dopiero po dłuższym czasie. Bestia drzemała, ale wydawała się być niedopuszczalnie blisko.

Niedługo po tej nocy Dom znowu zaczął się ożywiać. Na korytarzach było więcej poruszenia, a Rekla chodziła wręcz rozgorączkowana.

–Nadszedł moment ofiary.

To jedno słowo wystarczyło, aby Dubhe poczuła lód w plecach.

–Co to znaczy? – spytała z wahaniem.

–Krwi w basenie jest niewiele, pewnie zauważyłaś to tamtego dnia, kiedy poszłaś się modlić.

Dubhe kiwnęła słabo głową.

–Czas ofiarować Thenarowi nową krew i wkrótce wybrany zostanie Postulant.

Tym razem to Toph dokona rytuału. Wielki zaszczyt. To będzie jego pierwszy raz.

Dłonie Dubhe zaczęły lekko drżeć. Tym razem nie wytrzyma. Czuła się przepelniona

potwornościami, a przecież już wystarczająco trudna dla niej była misja z Tophem.

–Drżysz – zauważyła z pogardą Rekla. – Nie jesteś jeszcze Zwycięską, do tego ci jeszcze daleko... mimo całego zaangażowania, jakie wkładasz w to zadanie. Powinnaś

trząść się z radości...

Dubhe utkwiała wzrok w ziemi.

–Za trzy wieczory będzie nów i noc będzie kompletnie ciemna. Wtedy weźmiesz udział w ofierze i zrozumiesz.

Były to trzy niekończące się dni. Dubhe modliła się, aby nigdy nie minęły, aby czas rozciągnął się w nieskończoność, ale choćby nie wiem jak starała się czerpać z każdej chwili, wydłużać godziny, czas wciąż biegł zdecydowanie zbyt szybko.

–Nie jesteś skoncentrowana – zwracał jej uwagę Sherva, marszcząc czoło.

–Przepraszam... – mruzczała Dubhe, ale jej głowa była gdzie indziej.

Sherva był jedyną osobą, z którą łączyła ją swego rodzaju zażyłość, jedyną, która w pewnym stopniu wzbudzała jej zaufanie.

–Co wydarzy się w noc nowiu? Mężczyzna uśmiechnął się gorzko.

–To o to chodzi? To dlatego jesteś rozkojarzona?

Dubhe wykręcała dłonie.

–Jeżeli to wszystko jest dla ciebie tak bardzo nie do zniesienia, musisz nauczyć się postępować tak jak ja. Wyrzucić to ze swojej głowy, wyklucz. Ten dom, ludzi, którzy

tu mieszkają, a nawet Thenaara. Niech będą tylko środkami do osiągnięcia twoich celów.

Celów? Jakich celów? Czy ona kiedykolwiek miała cel? A co było nim teraz?

–Ale jeżeli ty też nienawidzisz tego wszystkiego, to dlaczego tu jesteś? – spytała zboląta.

–Bo ja mam cel i nie ma niczego, czego bym nie zrobił, aby go zrealizować. Chcę przekroczyć własne ograniczenia, stać się najlepszy. Poszedłem tam, gdzie była wojna, potem pobierałem nauki u najznakomitszych mistrzów dotąd, aż byłem w stanie ich zabić. A kiedy stałem się tak potężny, że nikt poza ludźmi stąd nie mógł się ze mną równać, wstąpiłem do Gildii jako Dziecko Śmierci. To tu są najlepsi, to tu są ludzie, z którymi muszę się porównywać. I nie interesuje mnie to, jakie bestialstwa popełniają. To wszystko jest poza mną, nie ma znaczenia. A ty, Dubhe – ty, która co chwilę drżysz, która nienawidzisz tego miejsca? Dlaczego tu jesteś?

Dubhe patrzyła w ziemię. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. To, co wyznał jej Sherva, było poza możliwością jej pojmowania i czyniło go nagle bardzo odległym. Nie był fanatykiem, nie, ale może kimś jeszcze gorszym.

–A więc?

–Aby ocalić swoje życie – odpowiedziała instynktownie

–No więc myśl tylko o tym i wytnij całą resztę. Jeżeli tylko jesteś naprawdę przekonana, że chcesz żyć. Jesteś?

Dubhe popatrzyła na niego skonsternowana.

–Oczywiście...

Sherva uśmiechnął się do niej.

–Dziś już nie ma sensu kontynuować. Możesz wrócić do pokoju na rozmyślania.

Ruszył w kierunku wyjścia.

–Ale co wydarzy się w noc nowiu?

Jej głos zgubił się w pustym pomieszczeniu.

Nów nadszedł zbyt szybko.

–Dzisiaj przez większą część dnia poświęcamy się modlitwie: wszystkie zajęcia zostają zawieszane, nawet nasze lekcje – powiedziała jej Rekla w refektarzu.

Dubhe mieszała w misce z mlekiem, nie znajdując w sobie chęci do picia.

–To będzie dziś wieczorem?

–Właśnie tak.

Dzień minął powoli i przez cały czas Dubhe czuła się jak w transie.

Poranek spędziły w świątyni na modlitwie. Młodzieniec, który zwrócił jej uwagę tamtego wieczoru, kiedy wracała z Tophem, zniknął: ciekawe, czy przyjęto go do grona Postulantów, czy też odgoniono. Ławki były wypełnione owiniętymi w czarne płaszcze ludźmi. Wszyscy poruszali się równocześnie, powoli kołysząc głowami w rytm modlitwy. Morze głów niczym łuski jednego ciała. Litania wypełniała powietrze, gęsta i porywająca, deformując kontury rzeczy. Dubhe jak zawsze zajęła miejsce koło Recli.

–Módl się – zarządziła kobieta, a Dubhe po prostu usłuchała. Toph nie był razem z innymi. Siedział przed ołtarzem obok Yeshola

–Składa dziękczynienie za wzniosłe zadanie, jakie przypadło mu w udziale od losu, i modli się, aby Thenaar dał mu siłę – mruknęła Recla.

W połowie popołudnia Strażniczka Trucizn dała jej zwykłą buteleczkę, tym razem wypełnioną bardziej niż zwykle.

Dubhe wzięła ją do ręki i spojrzała pytająco.

–Będziesz tego potrzebowała. Bestia kocha nasze rytuały.

Na twarzy Recli pojawił się nikczemny uśmiech.

Dubhe zacisnęła palce wokół flakonika. Drżącymi dłońmi odkorkowała go i chciwie wypila aż do ostatniej kropli. Lodowata ciecz spłynęła jej po gardle.

–Dalej, chodź za mną.

Znowu było tak jak rano. Godziny monotonnej modlitwy. Identycznie wyglądały ciała stłoczone w świątyni, identyczna była pozycja Yeshola i Tophy przed ołtarzem, jakby w ogóle się stamtąd nie ruszyli.

Potem nagle masa zafalowała.

–Pospiesz się, to będzie w Wielkiej Sali – ponagliła ją Recla.

Dubhe podążyła za strumieniem ludzi płynącym w jedynym kierunku przez wilgotne korytarze Domu.

Przed jej oczami otworzyła się Wielka Sala: niezmierna i groźna. Przepchnął ją

przenikliwy zapach kadzidła, który od raz uderzył jej do głowy; zaczęła się pocić z

powodu temperatury wszystkich stłoczonych tam ciał oraz ciepła emitowanego przez wielkie trójnogi ustawione w każdym rogu sali, aby ją rozjaśnić. Na każdym z trójnogów udrapowano osłonę z cienkiej czerwonej tkaniny, dzięki czemu sala, zgromadzone w niej osoby i wszystko inne przybrało kolor krwi.

Rekla mocno trzymała ją za ramię. Zaprowadziła ją do pierwszych rzędów, skąd można było widzieć lepiej. Przed basenami na hebanowym tronie siedział pogrążony w myślach Yeshol. Zewsząd dobiegały podniecone i szczęśliwe głosy. Szmer był ogłuszający. Potem Yeshol powstał i od razu zapadła cisza.

–Po długich nocach oczekiwania ponownie nadszedł moment ofiary. Ostatnie miesiące były dobre. Powrót dawno zaginionej siostry, wiele nowych interesów dla Gildii, mnóstwo krwi. Dzień po dniu zbliża się godzina, w której Herold Thenaara powróci do nas, by wskazać nam drogę.

Zrobił teatralną przerwę i wszyscy, nawet Dubhe, wstrzymali oddech.

–Ofiara dzisiejszej nocy będzie złożona w następującej intencji: podziękowanie Thenaarowi za to, że nie porzucił nas podczas długich lat wygnania i że wreszcie podarował nam odrodzenie. Modlimy się, aby dalej udzielał nam swojej łaski, aby pomógł nam w dokonaniu ostatniego kroku, który oddziela nas od ostatecznego zwycięstwa, aby Jego chwała w końcu zajaśniała.

Wreszcie zamilkł i znowu usiadł.

Dubhe nie udało się zidentyfikować, skąd wyłonili się dwaj szaleńcy – ci sami, którzy uczestniczyli w jej inicjacji. Wlekli za ramiona jakiegoś mężczyznę. Dubhe rozpoznała go. Widywała go wśród Postulantów. Był ubrany w nieskalaną tunikę, a jego ciało w rękach dwóch mężczyzn było całkiem bezwładne. Jego stopy ciągnęły się po ziemi, a głowa opadała przy każdym kroku. Nie był jednak całkiem nieprzytomny. Jego usta poruszały się powoli, jakby coś bełkotał. Miał przymknięte oczy.

Za mężczyznę szedł Toph z długim czarnym sztyletem zaciśniętym w dłoni.

Dubhe zrozumiała. Pochyliła głowę, ale Rekla chwyciła ją za podbródek i podniosła go.

–To wielka chwila. Patrz i módl się.

Grupka szła, dopóki nie dotarła przed dwa baseny. Toph zatrzymał się i uklęknął przed Yesholem.

–Niech cię błogosławi Thenaar, który wybrał cię do tego wielkiego zadania –

powiedział Najwyższy Strażnik uroczystym głosem – i niech prowadzi twoją dłoń podczas składania ofiary.

Toph znowu się podniósł i odwrócił plecami do tłumu. Yeshol odszedł na bok i zaczął kierować modlitwą.

Tym razem było inaczej niż podczas modlitwy porannej i popołudniowej. Głosy brzmiały donośnie, a całe zgromadzenie było wyraźnie ożywione.

Z jednej z rąk posągu Thenaara zwisały dwa łańcuchy. Mężczyźni zawlekli Postulanta aż tam, gdzie jego stopy już zanurzyły się we krwi wypełniającej basen, i przymocowali go do łańcuchów. Człowiek nie buntował się. Łagodnie pozwalał robić ze sobą wszystko, czego chcieli ci olbrzymi. Jego wargi dalej poruszały się nieustannie, a głowa była pochylona, jakby pokonana skrajnym zmęczeniem. Nawet nie rozglądał się wokół, tylko pozostał pogrążony w swoim oszołomieniu.

Dubhe przypomniała sobie młodzieńca, którego widziała w świątyni, jego żywe oczy, jego pewność siebie. Wyobraziła sobie jego na miejscu tego człowieka i w jednej chwili zobaczyła siebie samą przykutą do statui i stojącą przed nią Bestię, gotową ją pożreć.

Zakręciło jej się w głowie, ale żelazny uchwyt Rekli na jej ramieniu nie pozwolił jej upaść.

–Puść mnie... – zamruczała. Strażniczka ścisnęła ją aż do bólu.

–Patrz, patrz na triumf Thenaara!

Modlitwa podniosła się jeszcze głośniejsze, była już prawie krzykiem. Mężczyzna zwiślał samotnie u stóp posągu. Toph zaczął iść w jego stronę powolnymi krokami, ze sztyletem w dłoniach. Wyraz lekceważenia, który miał zazwyczaj wymalowany na twarzy przeobraził się w szaleńczą radość, w pewność, która miała w sobie coś z delirium.

Wymierzył cios w pierś. Mistrzowski, godny prawdziwego Zabójcy. Mężczyzna nie wydał nawet jęku. Podniósł tylko czoło z oszołomionym wyrazem twarzy. Przez moment wszystko się zatrzymało. Krew na ostrzu, sztylet, głosy. Kiedy Toph wyciągnął ostrze z ciała, tłum eksplodował razem z krwią, która zaczęła tryskać, wpadając do basenu.

To było szaleństwo. Wokół niej wszyscy krzyčili z radości, a Rekla puściła ją, aby przyłączyć się do świętowania razem z resztą zgromadzenia. Dubhe mogła

wyraźnie poczuć Bestię, jak porusza się jednocześnie z tłumem, a jej oczy nie były w stanie oderwać się od tego widowiska, które zarazem odpychało ją i przyciągało. Była rozdarta pomiędzy pragnieniem krwi, a wstrętem do wszystkiego i litością nad zabitym bez powodu człowiekiem.

Zwyciężył prawdopodobnie strach przed Bestią, bo ostatnim wysiłkiem Dubhe znalazła w sobie siłę, aby oderwać stopy od podłogi, odwrócić się i rzucić szaleńczo do ucieczki. Potykała się o świętujące ciała obecnych, odsuwała je od siebie ze złością i rozpaczą, dopóki nie dotarła do wyjścia z sali. Biegła i biegła, aż trafiła w ślepy korytarz i uderzyła w kolejny posąg Thenaara, jeden z wielu, jakimi udekorowany był Dom.

Jego nikczemny grymas był przeznaczony tylko dla niej. Lekceważący uśmiech zwycięzcy.

Dubhe upadła na kolana i rozplakała się bez zahamowań.

24. Dzień Postulanta

Kiedy Lonerin zgłosił się do Ida na misję, był pewien tego, co robi.

Teraz nie był już taki przekonany. Były chwile, kiedy wydawało mu się, że pragnienie zemsty, które przez wiele lat udawało mu się utrzymywać pod kontrolą, teraz wylania się z nową mocą i rzuca ponury cień na całą jego misję. Innym razem natomiast myślał, że przecież już nigdy nic nie będzie takie jak wcześniej, bo w końcu minęło wiele lat, bo mistrz Folwar dobrze go wyszkolił, bo teraz była Theana. Wreszcie czasami niespodziewanie nawiedzała go myśl o śmierci: coś, z czym nigdy nie umiał się rozprawić. Nieubłaganie powracał mu w myślach jedyny obraz śmierci, jakim dysponował: to udręczone ciało wyrzucone do dołu razem z innymi. Czy z nim też tak będzie? Może wręcz tego właśnie chciał, tego zawsze nieświadomie pragnął, od kiedy jego matka powzięła decyzję, która miała zmienić jego życie?

Przejście przez uśpioną przyrodę Krainy Wody, następnie w dół, ku Wielkiej Krainie, a potem dalej, w wieczną ciemność Krainy Nocy... Krok po kroku jego wyprawa przekształcała się w podróż w czasie, wstecz. To było tak, jakby znowu był dzieckiem; przypominał sobie rzeczy, które uważał już za dawno zapomniane.

Dopiero kiedy dotarł do Krainy Nocy, wszystko stało się wyraźniejsze i bardziej nieznośne. To była jego ziemia, ale nie był tam od wielu lat. Wkrótce po śmierci matki jego krewni, wieśniacy, wysłali go na północ, do Krainy Morza. Miał osiem lat i od tamtej pory nigdy nie postawił nogi w swoim kraju rodzinnym.

Niespodziewanie zaskoczył go zachód słońca. Wędrował pogrążony w swoich myślach, a kiedy podniósł oczy znad drogi, zobaczył, że słońce zachodzi za ostatnim odcinkiem niziny.

Mężczyzna, którego ani razu wcześniej nie widział, który zaledwie dwa dni temu przedstawił mu się jako wuj, teraz zabiera go swoim wozem. Lonerin nigdy w swoim życiu nie widział słońca, a jeżeli nawet widział, to był zbyt mały, aby móc to pamiętać. Zamglone od płaczu oczy dostrzegają krąg oślepiającej czerwieni z wysiłkiem podnoszący się nad opustoszałym krajobrazem.

–Przestań marudzić, naprawdę tak ci szkoda tej przeklętej ciemnej ziemi?

Zobaczysz, jaka piękna jest Kraina Morza! Morze to najpiękniejsza rzecz na świecie.

Jak mu wytłumaczyć, że to nie tęsknota za tą ziemią, ani za jej wieczną nocą. To raczej złość. I ból, że musi opuścić to miejsce, w którym umarła jego matka, nie pomściwszy jej w żaden sposób.

A tymczasem słońce nieubłagane się podnosi i rani mu oczy, tak bardzo, że musi je zamknąć. To natrętne światło przebija się nawet przez zaciśnięte powieki: wszystko staje się krwistoczerwone, a ciepło pali skórę twarzy.

Lonerin postanowił nie pozwolić się zdekoncentrować nostalgii, tylko zebrał się w sobie. Ciemność otulała go jak stary koc. Było to w jakiś sposób uspokajające, jakby wreszcie naprawdę wrócił do domu. Ale prawdziwy dom już nie istniał, Lonerin wiedział o tym, a jego miejsce zajmowała wściekłość, która powoli przebijała się do jego świadomości.

Dobrze pamiętał drogę do świątyni.

–Dokąd idziemy?

Wokół niego zarośla i świecące owoce jego ojczyzny. Za rękę trzyma go pewna kobieta, kobieta, której jego matka zostawiła go wiele dni wcześniej, bez większych wyjaśnień.

–Do świątyni Czarnego Boga.

Lonerin słyszał o niej od swoich towarzyszy zabaw. Już sama ta nazwa przepelnia go strachem. – A dlaczego?

Kobieta waha się.

–Aby pokazać twojej matce, że jej ofiara nie jest już konieczna. Lonerin nie rozumie, ale nie zadaje dalszych pytań.

–Jeżeli nie jest jeszcze za późno – dodaje kobieta drżącym głosem.

Idąc naprzód, Lonerin myślał o swojej matce. Lata pochłonęły jej sylwetkę, a wizerunek, jaki zachował, był bardzo niewyraźny. Była piękną kobietą, ciemną jak on, ale nie miał innych wyraźnych wspomnień. Cierpiał z tego powodu. Zawsze mu jej brakowało, od pierwszego dnia, tego, w którym zaniósł ją – jeszcze chorego – do domu owej przyjaciółki. Zawsze była pustką w jego życiu. Ale szedł naprzód, stał się dobrym czarodziejem, a nawet konspiratorem, osobą z wzniosłymi ideałami wolności i nieprzeciętną odwagą. To tak opisywała go Theana i takim widziało go wielu. Obraz, w którym on sam nie potrafił się rozpoznać.

Lonerin wyobraził sobie tę kobietę, której twarzy nie pamiętał, jak przemierza tę samą drogę, popychana determinacją nieskończenie większą niż jego. Samotna kobieta pośród tej samej ciemności, świadomie idąca na spotkanie śmierci.

Przez pewien czas prawie jej nienawidził. Dlaczego odeszła, dlaczego postanowiła złożyć ten ogromny i straszliwy dar, własne życie w zamian za jego życie? Czy nie

zrobiłaby lepiej zostając i może nawet patrząc, jak umiera, ale nigdy go nie opuszczając?

To był krótki okres. Nienawiść do Gildii była o wiele silniejsza i górowała nad wszystkim. Nawet teraz czuł, jak pulsuje.

Wreszcie na horyzoncie zaczęła się rysować bryła świątyni, Stała w miejscu opustoszałym i nizinnym i dlatego łatwo było ją dostrzec Lonerin mógłby przysiąc, że było to zamierzone. Musiała być widoczna z daleka i wydawać się prawie nieosiągalna. Postulant musiał pragnąć tego miejsca śmierci jak źródła wody, musiał żarliwie pragnąć tam dotrzeć i zaznać trudów drogi. W ten sposób, kiedy już był na miejscu, wszelkie resztki oporu, każdy cień wątpliwości musiały zostać zmasane.

–Gdzie jest mama?

Stojąca obok niego kobieta wyciąga szyję i rozgląda się wokół. W świątyni nie ma nikogo poza dwoma pochylonymi osobami kołyszącymi się w ławkach.

–Gdzie jest?

Po takiej długiej podróży Lonerin chce ją zobaczyć od razu. A poza tym to miejsce jest ciemne, straszne, a posąg w głębi nawy jest zły.

Zbliżają się do ławek, kobieta patrzy w twarze klęczących ludzi. Lonerin ją naśladuje.

Są pogrążeni w modlitwie, a ich twarze wydają się straszliwie podobne. Zamknięte oczy, usta bełkoczące jakąś monotonną litanię, której on nie rozumie, złożone dłonie podpierają czoło mokre od krwi. Jest w nich coś, co wymyka się jego rozumieniu, co go uderza. To nie tylko krew. To raczej ich zachowanie, ich pozbawione wyrazu twarze. Wydają mu się duchami i boi się ich.

Kobieta kładzie dłoń na ramieniu jednego z nich.

–Czy widzieliście ciemnowłosą, dość chudą kobietę z tych ziem? Ma zielone oczy, dwadzieścia pięć lat i miała na sobie niebieskawą sukienkę.

Mężczyzna nie zaszczyca jej spojrzeniem, a chociaż kobieta dalej nim potrząsa, pozostaje niewzruszony na swoim miejscu, modląc się, jakby poza jego modlitwą nic innego nie istniało.

Kobieta próbuje z drugim, po czym zaczyna krzyczeć, ale mimo że robi tyle zamieszania, nikt jej nie słucha.

W końcu przybywają mężczyźni w czerni.

–Kobieto, tu w środku modlą się ludzie. No, dalej, wyjdź stąd. Kobieta powtarza pytanie, które zadała już dwóm duchom.

Mężczyźni śmieją się jej w twarz.

–Nie ma żadnej takiej kobiety. – Niemożliwe, przecież powiedziała mi, że tu idzie, widziałam, jak wyruszała...

–Tu jest miejsce modlitwy. Idź sobie - wypędzają ich brutalnie, i Lonerin cały czas płacze i woła swoją mamę. Może jest blisko, może go usłyszysz.

–Powiedzcie jej, że jej syn jest zdrowy! Powiedzcie jej, że już nie musi się tu ofiarowywać!

Drzwi nieubłaganie zamykają się na tych słowach.

Lonerin zatrzymał się niedaleko wrót świątyni. Usiadł na ziemi. Zamknął oczy i odruchowo podniósł dłonie do sakiewki zawierającej włosy Theany. Wiele o niej myślał w tych dniach. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Uczyli się razem i byli dobrymi przyjaciółmi, a Lonerin zawsze wiedział, że dziewczyna ma do niego słabość. Nigdy jednak nie sądził, że może odwzajemnić to uczucie. Po prostu nauka, stanie się

dobrym czarodziejem lub walka dla Rady Wód wydawały mu się sprawami nieskończenie ważniejszymi niż ona. Ale od momentu pocałunku coś się zmieniło i nagle Theana stała się czymś jedynym, konkretnym i namacalnym, co mu pozostało.

Ścisnął sakiewkę, poczuł twardość kamyczków, których miał użyć do czarów, ale przede wszystkim miękkość jej włosów.

Czy był gotowy?

Tak. Niewystarczająco, ale była to sprawa, na którą nigdy nie jest się naprawdę gotowym.

Czy był gotowy też na śmierć?

Obraz udręczonego ciała wypełnił jego myśli.

Tak, do diabła, jeżeli będzie to konieczne, był gotowy również i na to.

A na przeżycie? Czy był gotowy na przeżycie i na powrót do Theany?

Podniósł się i stanął przed wrotami. Wydało mu się, że słyszy echo tamtych słów, które przyjaciółka jego matki rzuciła o te zamknięte drzwi. Tu, przed nimi znalazł odpowiedź, której szukał.

Nie sprofanuje dawnej ofiary jego matki. Zrobi, co musi, i wyjdzie stamtąd cały i zdrowy.

Z wysiłkiem uchylił jedno skrzydło drzwi, a ciemność wnętrza, głębsza i gęstsza niż panująca na zewnątrz noc, pochłonęła go w całości.

Wszystko było tak, jak pamiętał. Zakurzone ławki, posąg ze swoim nieznosnym złowrogim uśmiechem na ustach, orszak innych potwornych rzeźb w bocznych niszach.

Thenaar. Oto on, ten, który pożarł życie jego matki, a razem z nim i jego, jak również życia tysięcy innych osób.

Zdecydowanie ruszył w dół nawy. Serce wyskakiwało mu z piersi.

Zbliżył się do kolumny i przesunął po niej dłonią. Nierówności czarnego kryształu zraniły go natychmiast. Były tak ostre że początkowo rozcięcia nawet go nie zaboląły. Ból przyszedł chwilę później, razem z krwią.

Nie poddał się i zaciskając zęby, jeszcze raz przesunął zranioną dłonią po kolumnie. Potem oderwał rękę i zacisnął pięść. Na ziemię upadło kilka kropel krwi.

Z nadludzkim spokojem usiadł w jednej z ławek, dokładnie pod posągiem, i pochylił głowę.

Zebrał myśli. Teraz nadchodziła najtrudniejsza część. Pozostawać tam w

środku, długo i bez jedzenia, zatracając się w monotonnej modlitwie. Musiał stać się duchem, tak jak owi ludzie w świątyni, których obraz miał w swoich wspomnieniach, ale jednocześnie mimo wyobcowania zachować siebie samego, utrzymać świadomość własnej misji i własnego celu.

Bardzo powoli ukląkł. Deska klęcznika pod ławką była twarda i po krótkim czasie zaczęły boleć go kolana. Nie zwrócił na to uwagi, lecz złączył wciąż krwawiące dłonie przed twarzą. Zapach krwi uderzył w jego nozdrza. Oparł czoło o dłonie i zaczął bełkotać swoją prośbę. Zaczęło się.

Oczekiwanie było bardzo długie, dłuższe niż sądził. Pierwszego dnia nie przyszedł nikt. Świątynia rozbrzmiewała tylko odgłosem wiatru. W jego umyśle wynurzały się niewyraźne, fragmentaryczne wspomnienia.

Białe prześcieradła, tak białe, że kłuły w oczy. Pokój, który miał dziwną i denerwującą tendencję do wirowania przed jego oczami, przewracając mu żołądek na drugą stronę. Głos.

–No już, mój mały, już... nie martw się... To minie, to minie.

Ciemność, znowu głos jego matki, zmartwionej, wzburzonej, oraz głos innej kobiety.

–To niemożliwe, to nie może być prawda!

–To powszechne wśród dzieci... Wiesz o tym...

–Ale nie mój syn!

Nowy, większy dom i sympatyczna sąsiadka patrząca na niego ze zmartwioną miną. Znowu ciemność i znowu głosy w delirium gorączki.

–To szaleństwo, Gadaro, tam się umiera!

–On umiera, rozumiesz? A ja nie mogę tego znieść!

–Ale może jakiś kapłan albo czarodziej...

–Tego się nie leczy, wiesz o tym.

–Niektórzy zdrowieją... zaufaj...

–Zaufanie nie wystarczy. Oddam swoje życie, a Czarny Bóg go ocali.

Drugiego dnia rano ktoś przeszedł przez świątynię. Lonerin od razu rozpoznał ich jako Zabójców. Serce mu podskoczyło i miał nadzieję, że wszystko poszło gładko i że wybrali go już po tak krótkim oczekiwaniu. Dwie postacie jednak minęły go, nie zatrzymując się.

Lonerin zerknął na nich ukradkiem. Był to mężczyzna i dość młoda dziewczyna. On nie zaszczylił go nawet spojrzeniem, ale ona była inna. Popatrzyła na niego przez moment, a Lonerin ze zdziwieniem dostrzegł w jej oczach wielką litość.

Musiała mieć parę lat mniej niż on, ale jej młoda twarz wyglądała na dziwnie dorosłą. Była wdzięczna, szczupła i niezbyt wysoka. Lonerin od razu zrozumiał, że jest smutna.

W swoim życiu nie widział wielu Zabójców – byli zmienni niczym kameleony i zawsze umykający, uderzali, po czym znikali - ale na podstawie tego, co słyszał, stworzył sobie dość dokładny obraz tego, jacy powinni być.

O ile mężczyzna odpowiadał temu wyobrażeniu, ona – nie.

Od drugiego dnia pojęcie czasu zaczęło mu się zacierać. Paliło go pragnienie, szarpał nim głód, kolana stały się obolałe i pełne odcisków. Mało spał, siedząc w ławce, i często się budził, aby podejmować swoją rolę. Czuł się, jakby zniknął, jakby zaczynał rozpływać się w powietrzu.

Mama wytrzymała i zrobiła to dla mnie. Ja też muszę wytrzymać.

Wreszcie przyszedł jakiś mężczyzna. Ubrany w czerń, jak wszyscy. Zbliżył się do niego bardzo ostrożnie, patrząc z pogardą

–Wstań.

Rozkaz dotarł do niego jakby z bardzo daleka, ale Lonerin miał jeszcze na tyle świadomości, że natychmiast pojął, jak delikatna była to chwila.

Opadł na ławkę. Jego kolana nie chciały nawet słyszeć o tym, aby się wyprostować.

–Dlaczego tu jesteś?

Lonerin musiał kilka razy spróbować, aby wyartykułować słyszalne słowa zawierające jakiś sens.

–Aby błagać Czarnego Boga.

–Nazywa się Thenaar, głupcze.

–Thenaar – powtórzył Lonerin.

–Jest wielu bogów, dlaczego przyszedłeś akurat tutaj?

Lonerin miał trudności z zebraniem myśli, dlatego chwilę potrwało, zanim odpowiedział.

–Bo Thenaar jest najpotężniejszy, tylko on może... odpowiedzieć na moją...
prośbę.

Mężczyzna kiwnął głową.

–A jaka to prośba?

Lonerin spróbował zebrać myśli. Wymyślone kłamstwo już prawie znikło zagłuszone cierpieniami ostatnich dni.

–Moja siostra...

–Co twoja siostra?

–Jest chora... bardzo... Takie właśnie kłamstwo przygotował.

–Jaka choroba?

Lonerin musiał się zastanowić. Tego nie pamiętał. – Czerwona febra. Z wielką siłą powróciło do niego pewne wspomnienie.

Leży na łóżku. Oddycha z trudem, ale jest przytomny, patrzy w sufit. Co jakiś czas w jego polu widzenia pojawia się jakąś starsza kobieta. Kiedy znika, zaczyna mówić.

–To czerwona febra.

–Niemożliwe... To jego matka.

–Musiał się zarazić od jakiegoś dziecka. Jest źle, szybko traci krew.

–Bardzo ciężka?

–Umiera.

–Przy takim tempie umrze za niecały miesiąc. Zdumione milczenie jego matki.

–To beznadziejny przypadek...

–Thenaar może... ja wiem... prosiłem go... zaklinałem... on... Łzy podeszły mu

do oczu. Łzy za przeszłość i za jego matkę. Z pewnością wypowiedziała te same słowa.

Mężczyzna wyciągnął czarną tkaninę.

–A zatem pociesz się, bo Thenaar ci odpowiedział Wstąpisz do Domu i będziesz czekał, aż przyjdzie kolej twojej ofiary. Wówczas Thenaar da ci to, czego chcesz.

–Dziękuję... dziękuję... – mruzczał Lonerin, kiedy mężczyzna szorstko zasłaniał mu oczy.

Jak we śnie poczuł, że podnosi go pod pachami. Nie był w stanie utrzymać się na nogach i mężczyzna musiał mu pomóc Kilka razy obrócił go dookoła, po czym gdzieś go poprowadził, ale Lonerin był zbyt wykończony, aby móc zrozumieć, w jakim kierunku odeszli.

Na początku prowadziły go zapachy i dźwięki. Dym, wilgoć, zapach jedzenia, sprawiający, że kręciło mu się w głowie i burczało w brzuchu, po czym odgłos garnków, szepty i wyraźne głosy.

–To nowy. Jak zawsze, pomóżcie mu dojść do siebie.

Przez jakiś czas pozostał z zasłoniętymi oczami, kiedy prowadzono go przez ciemne i wilgotne korytarze. Gdy zdjęli mu przepaskę, nie mógł otworzyć oczu. Ktoś go podtrzymał, ale nie mógł zobaczyć jego twarzy.

–Jeszcze trochę, już prawie jesteśmy.

Wreszcie dotarli do obszernego pokoju, którego posadzka zasłana była legowiskami. Nie było tam nic więcej, tylko słoma przyrzucona jakimiś szmatami służącymi za przykrycie. Jego przewodnik skierował go do pustego legowiska i tam go położył.

Lonerin westchnął z przyjemnością, po czym podniósł oczy na swojego towarzysza. Był to niechlujny starzec z twarzą naznaczoną długą blizną. Uśmiechnął się do niego ze smutkiem.

Następnie włożył mu w dłoń pachnący bochenek ciepłego chleba i duży kawał sera. Lonerin rzucił się na nie żarłocznie. Skończył w kilku kęsach. Starzec podał mu dzbanek z wodą, który chłopak szybko opróżnił.

–Teraz odpoczywaj. Masz prawo do dwóch dni w łóżku, a potem będziesz musiał pracować.

Lonerin kiwnął głową.

Odgłos kroków oddalającego się starca jeszcze nie wybrzmiał, a on już spał.

Było tak, jak mu powiedziano. Przez dwa dni odpoczywał we wspólnym pokoju, śpiąc i jedząc. Posiłki były raczej skromne, ale wystarczyły, aby go wzmocnić.

Jedzenie przynosił mu zawsze ten sam starzec. Nigdy nie wymienili więcej niż kilka słów i zmieszanych uśmiechów. Ogólnie postulanci nie rozmawiali wiele ze sobą. Bardzo wcześnie wychodzili ze swojej sali, wracali też późno i za każdym razem prowadził ich ten sam mężczyzna, który przyszedł po niego do świątyni.

Pomagali mu także inni Zabójcy. Było to pięciu ubranych na czarno młodzieńców i wyglądało na to, że to oni koordynują życie Postulantów. Jeden z nich często przychodził zobaczyć, co Lonerin robi w sali, kiedy zostaje w niej sam. Najwyraźniej Postulanci byli ściśle kontrolowani. Nic takiego, spodziewał się tego.

Kiedy po raz pierwszy znalazł się twarzą w twarz z jednym z Zabójców, nie było to dla niego łatwe. Oszacował jego wiek i zastanawiał się, czy to on mógł być człowiekiem, który zabił jego matkę albo był świadkiem jej agonii.

Musiał siłą zacisnąć pięści, aż paznokcie wbiły mu się w ciało, i dopiero kiedy poczuł ból, udało mu się uspokoić i zacząć patrzeć na te osoby bez szaleńczego pragnienia zamordowania ich, co równałoby się zaprzepaszczeniu misji.

Pierwszego wieczoru po kryjomu wyciągnął kamienie. Zrobił to późną nocą, kiedy w sali wszyscy spali. Jeden z pięciu mężczyzn stał na straży za drzwiami, ale drzemał. Lonerin bardzo cicho wyrecytował słowa zaklęcia, osłaniając dłonią słabe światło, którym emanowały magiczne kamienie w momencie pomyślnego zastosowania formuły.

Jego pierwsza wiadomość z misji zawierała tylko dwa słowa: "W środku".

Następnego wieczoru, ostatniego z przysługujących mu dni odpoczynku, starzec przyszedł do niego z zawiniątkiem.

–Jutro będziesz musiał wyrzucić swoje ubrania i włożyć te.

Był to swego rodzaju mundurek, taki sam jak ten, który nosili wszyscy Postulanci: prosta, bardzo zużyta koszula i para spodni na oko niezbyt odpowiadające jego rozmiarowi.

Lonerin przez kilka chwil przyglądał się tym ubraniom. Koszula miała kilka kieszeni. Nie było to szczególnie bezpieczne miejsce, aby trzymać w nich magiczne kamienie, ale nie było innego wyjścia.

–Od jutra będziesz musiał pracować i dobrze by było, żebyś już coś wiedział, bo inaczej Strażnik od razu się rozzłości – podjął starzec zmęczonym głosem. Lonerin zamienił się w słuch.

–Dopóki nie nadejdzie nasza kolej, musimy służyć Zwycięskim.

–Kim są Zwycięscy?

–To ci, którzy wierzą w Czarnego Boga, Zabójcy. Lonerin zapamiętał to.

–Strażnik powie ci, co masz robić, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa przydzielili cię do mensy. Nigdy się nie odzywaj ani nie narzekaj, wypełniaj tylko swoje

obowiązki, dobrze?

Lonerin przytaknął.

–A kiedy nadejdzie moja kolej?

Starzec uniósł ramiona.

–Nie ma reguły. Niektórzy wcześniej, inni później. Ja... ja czekam od ponad roku – zakończył z niepocieszoną miną.

Lonerin przełknął ślinę. Zatem mogło to nastąpić w każdej chwili i nie można było dowiedzieć się z wyprzedzeniem.

–Nigdy nie odzywaj się bezpośrednio do Zwycięskiego: jeżeli zada ci pytanie, odpowiedz, ale nigdy się do niego nie zwracaj, nawet z szacunkiem. Nie jesteśmy godni.

Lonerin znowu kiwnął głową.

–To wszystko. Życzę ci tylko, żeby wybrali cię szybko i żeby twoja modlitwa została wysłuchana. Czarny Bóg jest straszny i bezlitosny, ale dotrzymuje obietnic.

Lonerin nie mógł powstrzymać nikłego uśmiešku. On potrzebował czasu, i to prawdopodobnie dużo.

Następnego dnia pobudka nastąpiła praktycznie o świcie. Zabójcy przeszli między łózkami, krzycząc i gwałtownie ściągając nakrycia.

–Pospiesz się, ty nierobie! – powiedział do niego jeden z nich.

Lonerin dał z siebie wszystko. Musiał być doskonały i w żadnym wypadku nie mógł zwracać na siebie uwagi. Starał się być najszybszy, jak tylko potrafił.

Kazali im ustawić się w szeregu, a dwóch Zabójców, każdy zaczynając od przeciwnego końca, zaczęło ich przeszukiwać.

Lonerin poczuł, że jest zgubiony. W kieszeni miał kamienie z wrytymi magicznymi symbolami i znaleźliby je od razu. To byłby koniec. Oblał go zimny pot. Nerwowo starał się zebrać myśli i znaleźć jakieś wyjście. Tymczasem jeden z dwóch Zabójców zbliżał się już do niego niebezpiecznie. Przyszło mu do głowy jedyne

rozwiązanie.

Pochylił się do przodu, jakby chciał sprawdzić sprzączki trzewików, które mu dali. Błyskawicznie wyciągnął z kieszeni kamyki i wyrzucił je daleko za siebie, zagłuszając ich stukot kaszlnięciem.

–Ty!

Serce zamarło mu na chwilę.

–Ty!

Ciężkie kroki po posadzce, nagle – piekące uderzenie w policzek, wymierzone otwartą dłonią.

–Nigdy, nigdy nie łam szyku!

Zabójca stał przed nim. Chłopak, niewiele starszy od niego. Lonerin poczuł, że go nienawidzi, poczuł, że pragnie zacisnąć mu dłonie na gardle i go udusić. Przyglądanie się, jak jego twarz zmienia kolor, byłoby największą przyjemnością.

–Uważaj, żebyś więcej nie musiał się fatygować, jasne?

Podjęto przeszukiwanie, a kiedy przyszła jego kolej, Zabójca był szczególnie brutalny.

–Ty do mensy, i pamiętaj, że będę miał cię na oku.

Kiedy Lonerin tam dotarł, idąc za swoją grupą, zobaczył, że chodziło o kolejną dużą, wykutą w skale salę, wyposażoną w wiele przebitych na zewnątrz otworów, żeby dym miał którędy wylatywać. Przez każdy z tych szybów można było zobaczyć skrawek czarnego jak smoła nieba, całkiem pozbawionego gwiazd.

I przypomniał sobie. To pod tym niebem bawił się, to takie niebo widział tego dnia, kiedy zachorował.

Nagle padł na ziemię bez tchu. Nogi nie mogły go utrzymać Chwilę wcześniej biegał po trawie. Teraz leży na ziemi i czuje, że się dusi. Nad nim zwyczajne, czarne niebo, bez żadnej gwiazdy ani księżycy. Nieskończona ciemność. Zastanawia się, czy umiera.

–Lonerin? Lonerin, co ci jest?

Wzburzone głosy przyjaciół, wrażenie ciepła, które przenika go całego. Aż ciemność nieba schodzi na niego i go otula.

–Ruszysz się czy nie?

Lonerin wzdrygnął się nagle. Jakaś dziewczyna stojąca obok niego, bardzo chuda, szturchnęła go lekko łokciem.

–Kazali ci iść do stołów kroić owoce, rusz się – szepnęła z wystraszoną spojrzaniem.

Lonerin skoczył. To Zabójcy gotowali, ale Postulanci wykonywali niższe posługi. Byli dokładnie tacy, jakimi Lonerin ich pamiętał: nieobecni. Chudzi, o oczach prawie pozbawionych spojrzenia, mechanicznie wykonywali gesty swej niewoli, bez słowa protestu.

Kary cielesne, co jakiś czas wymierzane komuś nie dość szybkim, wydawały się spadać na ich ciała bezboleśnie. Lonerin nie mógł się powstrzymać od myślenia o swojej matce znajdującej się w takim stanie. Pamiętał ją jako kobietę pełną życia, o głosie prawie grzmącym, łagodną w pieszczotach, lecz pewną i stanowczą, kiedy trzeba było skarcić. Ona też skończyła w tej ciemnej norze, pozbawiona duszy.

Wydawało się, że dzień nigdy się nie skończy. Nie mieli chwili, aby odpocząć. Przygotowanie obiadu zajmowało całe rano, kolacji – całe popołudnie, a po jej skończeniu trzeba było jeszcze wszystko wyczyścić. Ból pleców był nie do wytrzymania.

Byli niewolnikami, a Zabójcy uważali ich za gorszych niż zwierzęta. Byli mięsem rzeźnym, Lonerin czytał to w pogardliwym spojrzeniu Zwycięskich, byli krwią dla Thenaara.

Kiedy była już późna noc, dostawali swoją rację jedzenia, a kiedy wreszcie pozwalano im iść do łóżka, znowu pod eskortą, Lonerin był wykończony. Nigdy w swoim życiu tyle nie pracował.

Zastanawiał się, czy można tak przeżyć, czy wielu spośród tych ludzi nie było skazanych na śmierć na długo przed nadejściem ich ofiary, na śmierć nadaremnią, nawet bez nadziei na zrealizowanie pragnienia, które zaprowadziło ich aż tutaj.

Ale on musi wytrzymać. Przez pierwsze dni będzie posłuszny, będzie pracował i nie będzie się kręcił, ale potem będzie musiał wymknąć się spod nadzoru Zabójców i zacząć prowadzić poszukiwania, aby odkryć, co kryje się w tym miejscu.

Pokój był pełen ciepła i zapachu wielu ciał i Lonerin prawie poczuł mdłości, ale był wykończony i musiał odpocząć. Położył głowę na poduszce, zawinął się w koce, lecz mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, zanim nie pomyślał, że w końcu krąg się zamyka.

Po tylu latach, od kiedy jego matka opuściła to miejsce jako trup, on wracał tu,

aby nadać sens temu życiu, które zostało mu podarowane.

25. Wybór

* * *

Przeszłość VIII

Lata mijaly Dubhe szybko. Po pierwszym zabójstwie coraz bardziej zaczęła się angażować w pracę Mistrza i stopniowo stała się jego asystentką w pełnym zakresie. Nauczyła się używania wielu rodzajów broni, potrafiła przygotowywać trucizny, a czasami Mistrz wysyłał ją na negocjacje z klientami.

Dubhe dorosła, i to bardzo szybko. Zabawy szybko zostały za nią, podobnie jak dziecięce przyjaźnie i troski. Jej ciało zmieniło się, pod wpływem treningów stało się dobrze unerwione i zwinne, szczupłe, zrywne.

W ciągu tych czterech lat dużo widziała i sporo podróżowała, najpierw po Krainie Skał, potem po Krainie Ognia. Mistrz podąża tam, dokąd prowadzi go praca, prawie co tydzień zmieniając miejsce zamieszkania i często wybierając nowych klientów. Najpierw rebelianci, potem znowu Forra i jego ludzie, bez chwili spoczynku, sprzedaje się temu, kto zapłaci więcej.

–Czy nie powinniśmy stawać po stronie tych, co się buntują. po stronie ubogich? – zapytała kiedyś Dubhe. – No bo ja uważam, że to ich sprawa jest słuszna, a poza tym Forra jest taki bezwzględny.

Mistrz prawie się rozgniewał.

–To jest zawód. Przyjemność, idealizm – to wszystko są sprawy niezależne, które nie mają nic wspólnego z czystym i prostym zabijaniem.

Dubhe więcej już nic na ten temat nie wspomniała, ale w sercu cały czas o tym myślała, w każdej godzinie dni spędzonych na tej suchej i duszącej ziemi, o niewielu drzewach i licznych wulkanach.

To w Krainie Ognia definitywnie skończyło się jej dzieciństwo. Wszędzie widziała krew i śmierć, i niewyobrażalne okrucieństwa, wobec których praca Mistrza przestaje wydawać jej się już taka okropna, nawet mimo że służy silniejszemu przeciwko słabszym.

Widowiska, których była świadkiem, przypominają jej opowieści starców o Mrocznych Latach, o Tyranie i Famminach, w czasach, kiedy jeszcze nie byli łagodnymi, zagubionymi stworzeniami, lecz bestialskimi zabójcami.

Wielokrotnie widziała też Forrę. Był to olbrzymi mężczyzna, od pierwszego

spojrzenia robiący wrażenie potężnego, o ruchomej twarzy, która w jednej chwili potrafi przejść od najbardziej dobrotliwego uśmiechu do najokrutniejszego z grymasów.

Widziała go w akcji. Poznała jego metody i okrucieństwo.

Znajdują się w przygranicznej wiosce, pogrążonej w smętnej pustocie Martwych Pól, niedaleko Krainy Skał. Dubhe patrzy w twarze jej mieszkańców i zastanawia się, jak oni mogą być buntownikami. Są to w większości gnomy, poza tym głównie kobiety i dzieci, kilku starców i paru rannych mężczyzn. Wychudzone i blade oblicza osób cierpiących głód, oczy wypełnione tylko tą odwieczną rezygnacją, którą Dubhe widywała w ofiarach całego Świata Wynurzonego.

Pewnego poranka, jaśniejącego słońcem i złamanego tylko dymem unoszącym się nad kominami wulkanów, Forra ustawił ich w szeregu i każe swoim ludziom ich pozabijać. Wszystkich, bez względu na płeć czy wiek.

Dubhe Patrzy aż do końca, razem z Mistrzem. To tam, owego dnia, narodziła się jej nienawiść do Forry – nienawiść, którą będzie w sobie nosiła na zawsze.

Ale Forra nie jest sam, Dubhe już o tym słyszała. Dohor kogoś przysłał. Ludzie mówią o nim półgłosem, niektórzy się nad nim litują, inni dziko go nienawidzą. Nazywa się Learchos, jest synem Dohora. Dubhe słyszała, że ma czternaście lat. Jest niewiele starszy od niej i to ją ciekawi.

Widzi go tamtego dnia. Obok Forry stoi młodzieniec z dziecięcą twarzą i

chudym ciałem nastolatka. Ma bardzo jasne włosy, blond graniczący z bielą, i zielone, niezwykle błyszczące oczy. Jest blady, a jego szczupła twarz jest lekko zaokrąglona, ale o prawie doskonałym owalu. Ma na sobie raczej prostą zbroję, u boku piękny miecz i siedzi w siodle na czarnym koniu. Kurczowo ściska w dłoniach lejce i wydaje się, jakby siłą nakazywał sobie opanowanie.

Dubhe długo mu się przygląda. Są jedynymi nastolatkami oglądającymi tę scenę. Pozostałe osoby w ich wieku lub młodsze już leżą na ziemi martwe albo płaczą, oczekując na rozstrzelanie. Są dwójką ocalałych.

On też nie odrywa wzroku od widowiska. Obserwuje wszystko prawie nieporuszony, ale Dubhe udaje się dostrzec, jak w głębi jego na pozór tak spokojnych oczu coś kipi.

Potem wszystko się kończy, prawie niespodziewanie.

–Taki jest los tych z was, którzy próbują wystąpić przeciwko naszemu władcy

Dohorowi. Czy lekcja jest jasna? Nie zmuszajcie mnie do pokazywania wam innych przykładów.

Forra zawraca konia i odjeżdża ze swoimi ludźmi, łącznie z Learchosem.

Cisza, jaka zapada na równinie, jest ogłuszająca, i w tym momencie Dubhe wydaje się, że naprawdę pojmuje, czym jest śmierć. Widziała ją wielokrotnie, wymierzona przez Mistrza wielu ludziom, ale to tam, na równinie, widzi ją naprawdę po raz pierwszy w pełni jej tragicznej nieuchronności.

Po Krainie Ognia przyszedł czas na szybkie przemieszczenie się do Krainy Wody, a wreszcie, w wieku dwunastu lat, Dubhe znajduje się ponownie w Krainie Słońca, swojej ojczyźnie.

Kiedy Mistrz mówi jej, dokąd pójdą, serce Dubhe nagle bije mocniej. Jej emocje musiały przedostać się na twarz, bo Mistrz patrzy na nią pytająco.

–No co?

–Nic – oszukuje. – Nic... to tylko... wracam do domu.

–Właśnie – brzmi lakoniczny komentarz Mistrza.

Dla Dubhe to on jest centrum wszystkiego. Świat zaczyna się i kończy na nim: nauczyciel, mistrz, ale także ojciec, wybawca. Uwielbia go. Nie liczy się to, że jest Zabójcą, że ma pracę potępianą przez ludzi. Zresztą, czyż ona sama też nie jest Zabójcą? Mistrz jest doskonały, Mistrz jest jedyny, Mistrz jest jej całym widnokrzem. Uwielbia jego szerokie męskie barki, jego zwinne nogi i doskonałość

jego ruchów. Uwielbia jego uparte milczenie, a nawet chłód, z jakim często ją traktuje. Chłonie absolutnie wszystkie jego słowa i dlatego nie polemizuje z jego decyzjami ani tym bardziej nie prosi o to, na czym bardzo jej zależy. Chciałaby przejść przez Selwę -teraz, kiedy wszystko już stracone, tylko po to aby odnaleźć własne korzenie.

Zatrzymują się w domu na peryferiach Makratu, tam, gdzie stoją baraki biedaków. To prosty lokal z kominkiem. Mistrz rozłożył na ziemi słomiane sienniki na dwa łóżka i tam śpią, przed paleniskiem. W rogu przy ścianie jest mały stół i dwa słomiane, na wpół przegniłe krzesła.

W Krainie Słońca Dubhe знаła tylko Selwę, a jednak, kiedy tylko postawiła nogę na swojej rodzinnej ziemi, była pewna, że jest w domu. Nie potrafi powiedzieć, po czym się zorientowała – może to zapachy, może kolory – ale poczuła, że wróciła do korzeni i dziwna tęsknota ścisnęła jej gardło.

–Co jest? – spytał ją Mistrz.

W jego głosie Dubhe odnalazła siłę, aby się nie rozplakać.

–Trochę tęsknoty... trochę głupiej tęsknoty.

Mistrz nie odezwał się, ale Dubhe wyczuła, że rozumie, i uśmiechnęła się.

Noc. Dubhe jest sama. Przedmieścia Makratu po pewnej godzinie przybierają złowrogi, niespokojny wygląd. Wiatr przelatuje ulicami, unosząc tumany kurzu, a w pobliżu nie ma nikogo, z wyjątkiem paru bezdomnych psów. Ona się jednak nie boi. Od kiedy Mistrz wysłał ją na spotkania z klientami, przyzwyczała się.

Dziewczynka czeka. Mężczyzna, z którym ma się zobaczyć jest starcem – tak powiedziała jej osoba, która zaczepiła ją kilka dni wcześniej, kiedy krążyła po targu. Łysy starzec z białą brodą. Pozna go po czerwonym kwiecie wpiętym w czarny płaszcz. Prosił, aby spotkanie odbyło się w nocy, w dzielnicy miasta, którą Dubhe słabo zna. Idzie tam pierwszy raz, skrupulatnie stosując się do wskazówek, jakich udzielił jej Mistrz.

Jest owinięta w swój zwykły, czarny i wytarty już płaszcz. Zaczyna być dla niej przymały, ale Mistrz obiecał, że jeżeli będzie dobrze pracować, odda jej pieniądze otrzymane za to zlecenie, żeby mogła kupić sobie nowy. Twarz Dubhe jest zasłonięta, dobrze ukryta pod fałdami kaptura. Podobnie jak Mistrz, ona też zaczęła podzielać jego obsesję na punkcie zachowania najwyższej dyskrecji.

Starzec wreszcie przybywa. Kuleje, a kwiat na piersi jest dobrze widoczny.

Dubhe nie rusza się. Czeką, aż on do niej podejdzie.

Starzec jest naprawdę zgrzybiały. Kiedy znajduje się o krok od niej, taksuje ją od stóp do głów swoim jedynym okiem.

–To ty?

Głos brzmi ponuro, żalobnie. Dubhe łapie się na myśli, że ten człowiek nie pożyje długo, śmierć już wycisnęła na nim swą pieczęć.

–Tak.

–Spodziewałem się kogoś starszego...

–Nie dajcie się zwieść moją drobną sylwetką.

Dubhe nie zależy na ujawnieniu swojego prawdziwego wieku i zawsze stara się podawać za starszą. Ma nadzieję, że będzie rosła jak najszybciej i że stanie się taką

kobietą, jaką od pewnego czasu już się czuje.

–Czy twój pan wysłał cię na negocjacje?

–Tak. Powiedzcie mi, o co chodzi.

Banalna historia: starzec, już dręczony chorobą i bliski końca swoich dni, chce doznać satysfakcji i zlecić zamordowanie mężczyzny, który w młodości wybił mu oko i uwiódł ukochaną kobietę. Dubhe z mieszanką litości i pogardy zaczyna patrzeć na tego człowieczka, który w obliczu nadchodzącej śmierci nie szuka spokoju, ale ciągle i bezustannie myśli o zemście.

–Mój pan generalnie nie fatyguje się do takich drobnych i małoszkowatych zleceń.

Typowa odpowiedź dla typowego zadania.

–To wcale nie jest coś małoszkowatego! To zgryzota całego mojego życia, ty przeklęty dzieciaku!

Na Dubhe nie robi wrażenia nawet ten nagły wybuch złości.

–Macie pieniądze?

–A ile chcesz?

–Na coś takiego potrzeba siedemset karoli.

Na początek podała przesadzoną kwotę, jak na tego rodzaju pracę, ale zawsze trzeba tak zaczynać, aby zaskarbić sobie szacunek klienta i ustalić dobrą cenę. Starzec, jak przewidywała, wytrzeszcza oczy.

–To chyba przesada...

–Już wam powiedziałam, mój pan wykonuje prace innego kalibru i zazwyczaj

nie zaprzęta sobie głowy takimi prywatnymi kłótniami, jak wasza. Musicie zapłacić za jego usługi. Poza tym, gwarantuje wam świetne wykonanie zadania.

–To za dużo. Już dwieście to za dużo.

–Możecie zatem poszukać sobie kogoś innego.

–Dubhe chce już odejść.

Starzec łapie ją za ramię i zatrzymuje.

–Poczekaj!... Dwieście pięćdziesiąt.

Zaczynają się żmudne negocjacje, które Dubhe udaje się zakończyć na dokładnie takiej cenie, jaką sobie założyła. Czteryście karoli.

–Tak czy inaczej, muszę porozmawiać z moim panem i zobaczyć, czy przyjmie tę pracę, zwłaszcza za taką cenę.

–A zatem?

–A zatem, jeśli wam to odpowiada, zobaczymy się tutaj za dwie noce, o tej samej godzinie.

Starzec przez chwilę się zastanawia, po czym przytakuje:

–Dobrze.

Dubhe odchodzi.

Jest zadowolona z tego, jak potoczyły się sprawy. Dobrze się targowała, a praca jest, owszem, niskiego lotu, ale pieniądze są zagwarantowane. Już myśli o swoim płaszczu i o targu, gdzie pójdzie go szukać.

Roztargniona, analizuje przebieg negocjacji, które właśnie zakończyła, a po części pochłonięta jest innymi leniwymi rozważaniami. Zapomina, że znajduje się w dzielnicy miasta której dobrze nie zna i idzie, gdzie ją nogi poniosą, bezmyślnie.

Dopiero po pewnym czasie zdaje sobie sprawę, że już nie wie, gdzie jest.

Do świtu już niedaleko: nisko nad domami zaczyna prześwitywać bardzo blada jasność.

Dubhe usiłuje się zorientować w terenie i do tego celu przydatny jest właśnie świt. Po ustaleniu kierunku wschodniego stara się iść z grubsza na południe – tam znajduje się dom Mistrza. Zaułki Makratu są jednak skomplikowanym labiryntem i droga od razu staje się kręta. Dubhe błądzi i już trochę zaczyna się denerwować. Nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się zgubić.

Jej marsz przedłuża się, dziewczynka trafia w miejsca coraz mniej sobie znane. Światło powoli zalewa miasto, które stopniowo budzi się do życia. Ulice zaczynają

wypełniać się pierwszymi kupcami, a przebudzeniu towarzyszy powolny ruch.

Wraz z pojawieniem się słońca Dubhe się uspokaja. Cięży jej myśl, że będzie musiała zapytać kogoś o drogę, skoro była na tyle głupia, że nie poszła za wskazówkami Mistrza, ale jakoś musi wrócić do domu.

Raptem miasto pod jej spojrzeniem zdaje się zmieniać wygląd i czas zwalnia. W jej kierunku idzie jakaś kobieta niosąca na głowie kosz pełen tkanin, a pod pachami jeszcze dwa, równie wypełnione. Dubhe natychmiast ją rozpoznaje, chociaż jest starsza bardziej zmęczona i utyła. Nie może jej nie rozpoznać.

Jej matka. W Makracie.

Stopy Dubhe zatrzymują się i dziewczynka staje nieruchomo na środku ulicy, dopóki mijająca ją kobieta nie trąca jej jednym z koszy.

–Wybaczcie – mówi pospiesznie matka, odwracając się do niej. Dubhe stoi jak skamieniała i patrzy na nią.

–Wszystko dobrze? – rzuca kobieta pytająco.

Dubhe dochodzi do siebie. Nic nie odpowiada, po prostu odwraca się i ucieka, znikając w labiryncie miasta, tak jak nauczyła się przez te cztery lata. Cztery lata z dala od niej.

Kiedy przychodzi do domu, jest prawie południe. Czuje się zagubiona. Jej matka. Jak bardzo pragnęła znów ją zobaczyć, jak bardzo... Z bólem serca przypomina sobie cały ten żaloszny czas przed spotkaniem Mistrza, kiedy tak bardzo chciała, aby jej rodzice wreszcie przybyli ją zabrać, uratować. A jeżeli była tam jej matka, z pewnością był też i ojciec! Lecz dlaczego jej nie rozpoznała? Przez płaszcz? Ale przecież znalazły się blisko siebie i był dzień, nie miała twarzy całkiem w cieniu.

–Gdzie do diabła się podziewałaś?

Mistrz zatrzymuje ją w progu tymi słowami. Poruszenie Dubhe musi wyraźnie rysować się na jej twarzy, bowiem mężczyzna pyta z niepokojem:

–Coś się stało? Dubhe kręci głową.

–Tylko się zgubiłam. Mistrz rozluźnia się.

–Wydawało mi się, że podałem ci jasne wskazówki.

–Wybacz mi, Mistrzu, zapomniałam z nich skorzystać w drodze powrotnej.

Dubhe próbuje się ulotnić. Nie ma ochoty rozmawiać, ale Mistrz znowu ją zatrzymuje.

–No więc? Co ci powiedział?

Niepokój, strach i radość słabną podczas opowieści o minionej nocy i wreszcie wszystko wraca na swoje miejsce. Miasto, dom, wszystko znów staje się takie samo, jak zawsze. Dubhe oddycha z ulgą. Dopiero wieczorem ponownie ogarnia ją niepokój wraz z żywym wspomnieniem jej matki. Mistrz oddycha lekko o krok od niej, w kominku żar wydziela ostatnie kłęby dymu, a Dubhe wraca myślą do tamtego spotkania. W myślach porównuje swoje wspomnienia o matce z ulotnym obrazem z targu; stwierdza, jak bardzo się zestarzała i ile nowych zmarszczek ma na twarzy. Czuje w głębi siebie coś, czego nie potrafi rozszyfrować Cztery lata temu byłaby to tylko radość. Teraz nie. Teraz już nie wie. Jest niespokojna i zagubiona.

W ciągu następnych dni Dubhe często powraca do tamtej części miasta. Ma dobrą pamięć i po pierwszym razie już dobrze nauczyła się drogi. Mistrzowi mówi, że idzie po zakupy, a potem godzinami krąży wśród stoisk, szukając tamtej twarzy. On nie pyta jej o nic, ale Dubhe wie, że domyśla się prawdy, bo dziwnie na nią patrzy. Ale pozwala jej robić, co chce.

Dubhe odnajduje matkę dość szybko. Ma stoisko z tkaninami. Zawsze ustawia się w tym samym miejscu, a potem głośno zaczyna przywoływać klientów. Wydaje się, że interesy idą dobrze, bo przy jej stoisku zwykle tłoczą się ludzie.

Dubhe szpieguje ją, tak jak często robiła razem z Mistrzem w przypadku ofiar. Odkrywa, gdzie mieszka, idzie za nią. Chce zobaczyć jej życie, ale przede wszystkim pragnie ujrzeć swojego ojca. Czuje wyraźnie, że to jego naprawdę potrzebuje. Dlatego, kiedy widzi innego mężczyznę, jest to dla niej cios.

Matka mieszka niedaleko od swojego stoiska, w domku niezwykle czystym jak na dzielnicę, w jakiej się znajduje. Mieszkanie to mieści się nad sklepem z tkaninami prowadzonym przez jakiegoś pana, którego Dubhe nigdy nie widziała, starszego od jej matki, otyłego, ciemnowłosego mężczyznę o dobrotliwej twarzy

Widzi ich, jego i swoją matkę, jak witają się pocałunkiem w usta, kiedy spotykają się pod koniec dnia. Jest też dziecko, małe, jakieś niemowlę.

Dubhe patrzy i nie rozumie. Czy ta kobieta to naprawdę jej matka? Gdzie jest jej ojciec? Wydaje jej się, że widzi rzeczy jak przez zniekształcające lustro z rodzaju

tych, jakie widywała na różnych jarmarkach w miastach, lustro, które może pokazać ci swoje odbicie szczuplejsze, grubsze, jakie tylko zechcesz. Wszystko przypomina jej własne wspomnienia, ale jednocześnie jest od nich nieskończenie odległe. Cicho płynące życie, które widzi w tym domu jest jej całkiem obce, nie ma w nim dla niej miejsca.

Dzień po dniu chodzi szpiegować swoją matkę, czasami nawet opuszcza poranne

lekcje z Mistrzem. Cały czas targają nią sprzeczne emocje: zazdrość, ale też i żal oraz głębokie uczucie – mieszanka, która nią wstrząsa i czyni ją dla siebie samej obcą.

Wieczorem przewraca się na swoim legowisku, rozmyślając o nowym życiu matki. Czuje, jak łzy bez powodu cisną się jej do oczu, więc mruga powiekami, żeby je przegonić. Ona też się zmieniła przez te cztery lata, czyż nie wiedziała o tym? Dlaczego Selva i jej rodzice mieliby zostać na zawsze tacy sami? Zresztą przez cały ten czas nie szukali jej, nie przyszli jej uratować. To Mistrz dał jej ocalenie, nie oni, to on nadał jej życiu cel, nauczył ją zawodu. Ale tak czy inaczej, w głębi jej duszy – tam, gdzie kryje się niepokalane wspomnienie jej ojca, pozostaje pustka. Gdzie jest teraz jej ojciec?

Dopiero po długich rozmyślaniach podejmuje decyzję. Porządnie rozważyła tę sprawę i chociaż nadal wydaje jej się to głupotą, jednocześnie czuje, że musi się dowiedzieć.

Puka do drzwi tak okutana płaszczem, że kiedy chłopak przychodzi jej otworzyć, nie rozpoznaje jej.

–Ktoś ty? – pyta podejrzliwie.

–To ja – szepcze Dubhe.

Chłopak ma na imię Jenna. Nigdy wiele ze sobą nie rozmawiali. Zresztą nie minął nawet rok, od kiedy on pracuje dla Mistrza a, i tak nie ma to nic wspólnego z jej osobą. Po prostu znają się z widzenia, ponieważ oboje związani są z Mistrzem, i w ciągu tych niewielu razy, kiedy się zetknęli, polubili się wzajemnie, tym bardziej, że są mniej więcej w tym samym wieku.

Kiedy tylko Dubhe się odzywa, Jenna ją rozpoznaje. Wzdycha.

–Przez ciebie prawie dostałem zawału... Wchodź.

Jego dom to smutna chałupka opanowana przez bałagan: wszędzie szmaty, a oprócz tego łupy z jakichś kradzieży, rozłożone owoce i jedzenie. To tym zajmuje się

Jenna, kiedy nie służy Mistrzowi – jest złodziejem.

Dubhe siada na krześle przy surowym drewnianym stoisku wykręca sobie dłonie, nie śmie spojrzeć Jennie w twarz.

–Mistrz cię przysyła?

Dubhe kręci głową, a Jenna uśmiecha się ironicznie.

–No proszę! Znaczący się wizyta kurtuazyjna! Poczekaj zobaczymy, czy mam cię czym poczęstować...

Ona przytrzymuje go za rękaw, żeby się nie podnosił, i opowiada mu wszystko. Jenna słucha w zamyśleniu.

–Jesteś pewna, że to ona?

Dubhe przytakuje.

Przez kilka chwil panuje milczenie.

–Chcesz do niej wrócić? – pyta z wahaniem Jenna, a Dubhe nagle pojmuję.

Dociera do niej, czym jest to dziwne i niewygodne uczucie, które tak niepokoiło ją w ostatnich dniach. Wrócić do niej czy zostać z Mistrzem? To tę decyzję trzeba podjąć,

to właśnie jest groźbą i obietnicą owego przelotnego spotkania wśród tłumu.

–To nie tylko to... nie ma mojego ojca. Jenna opiera się plecami o krzesło.

–No i co? A przede wszystkim, co ja mam z tym wspólnego.

Dubhe tłumaczy mu. Chce, żeby się dowiedział, żeby postarał się zrozumieć, co się wydarzyło, od kiedy wypędzono ją z Selvy, i gdzie jest jej ojciec.

–A dlaczego ty tego nie zrobisz?

–Nie chcę, żeby mnie zobaczyła...

–To twoja matka, nie chcesz się z nią nawet przywitać? Dubhe nie wie.

–Nie teraz... najpierw chcę się dowiedzieć, jak to było. Jenna zastanawia się.

–Myślisz, że mógłbyś mi wyświadczyć tę przysługę? – pyta dziewczynka niepewnie.

–A co będę z tego miał? Masz pieniądze?

Dubhe potrząsa głową i myśli o drobniakach, jakie obiecał jej Mistrz, jeśli praca ze starcem dobrze pójdzie.

–Nie możesz potraktować tego jako przysługi i tyle?

Jenna wzdycha.

–Zgoda, zgoda. Trudno oprzeć się słodkim oczom dziewczynek – mówi. – Ty pokażesz mi swoją matkę, a ja zobaczę, co da się zrobić.

Dubhe cały czas patrzy w ziemię zawstydzona, chociaż w sumie wszystko dobrze poszło.

–Ja będę słuchać w pobliżu...

–Chyba żartujesz? Dubhe nie odpowiada.

–Jak chcesz – Jenna poddaje się z wahaniem. Umawiają się na następny dzień. Dubhe miała trochę czasu, aby dobrze wszystko zaplanować. Opowiedziała mu

o Selvie, wybrała dalekiego krewnego kobiety, którą знаła w tamtych czasach, który powinien być w wieku Jenny, w nadziei, że nic mu się przez te lata nie stało. Przeszkoliła Jennę w kwestii jego życia w wiosce, życia, które pamiętała z nadzwyczajną jasnością.

–Zapytasz ją, co słyhać, co tutaj robi, i porozmawiasz z nią o starych kumoszkach z wioski.

–Ale przecież i tak jestem kimś obcym! Naprawdę sądzisz, że będzie mi opowiadać o takich prywatnych sprawach?

–Mam nadzieję...

Dubhe wraca do domu dopiero późnym wieczorem. Kolację zjadła z Jenną i czuje się winna. Z pewnością Mistrz się martwi i czeka na nią. Prawdopodobnie będzie musiała wysłuchać kazania, tym cięższego, że przecież na nie zasługuje.

Powoli uchyla drzwi, ale przez szparę od razu wdziera się gwałtownie światło. Kominek jest rozpalony, a Mistrz siedzi niewzruszony przy stole.

–Kim jest ta kobieta?

Dubhe czuje się spoliczkowana tym pytaniem, tak bezlitośnie bezpośrednim.

Jest bliska łez. Dopiero teraz pojmuję, jak bardzo jej świat się chwieje, jak ważna jest decyzja, z którą zwleka od kilku dni. Jej matka i życie dawniejsze, może Selva, albo Mistrz, któremu wszystko zawdzięcza.

–Przepraszam za spóźnienie.

–Wiem, gdzie byłaś. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego. Nie sądzisz, że jesteś mi to winna?

Dubhe wyrzuca z siebie wszystko, jej słowa są niczym wezbrana rzeka. Mistrz słucha jej bez mrugnięcia okiem, pozwala opowiedzieć sobie całą historię, nie karci jej nawet wtedy, gdy pojawiają się pierwsze łzy.

–Co chcesz w ten sposób osiągnąć?

W jego głosie nie słyhać zagniewania, wręcz przeciwnie, jest pełen zrozumienia.

–Chcę dowiedzieć się czegoś o moim ojcu... gdzie jest... co się stało przez ten cały czas...

–Nie ma go, Dubhe. To jest fakt, którego słowa twojej matki w żaden sposób nie umniejszą. Nie wystarcza ci?

Dubhe sama nawet nie wie jasno, czego chce.

–Mistrzu... moje niegdysiejsze życie... i mój ojciec... Mój ojciec... nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, on był dla mnie wszystkim. Jeżeli on jest, jeżeli mnie szukał...

–Odeszłabyś?

Znowu brutalne pytanie, które prawie ją rani.

–Bo to właśnie o to toczy się gra, i ty dobrze o tym wiesz. Musisz postawić sobie pytanie, czy byś odeszła. I to niezależnie od twojego ojca, rozumiesz, co mam na myśli?

Po raz pierwszy mówi do niej w ten sposób. Nie jak mistrz do ucznia, nie jak dorosły do dziecka, ale jak równy do równego.

–Woła cię normalne życie i wątpię, żebyś kiedykolwiek przestała słyszeć to wołanie.

Dobrze mi z tobą! Dobrze mi z tobą i nigdy nie chciałam niczego innego.

–Wiem. Ale czy jesteś gotowa iść na całość? Tu nie ma półśrodków, Dubhe. Ja nie mogę mieć cię na pół służby, z jedną nogą u twojej matki i jedną nogą u mnie. Zawsze ci mówiłem, czego wymaga życie zabójcy. Teraz doświadczasz tego na własnej skórze i musisz wybrać.

–Wypędzasz mnie?

Mistrz robi niecierpliwy gest ręką.

–Mówię ci, że jeśli sobie pójdiesz, to będzie na zawsze. Jeżeli jutro

zdecydujesz, że chcesz zostać z matką, nie będzie możliwości powrotu. Bez urazy. Nie

będę cię zatrzymywał ani starał się cię przekonać. Ale to obowiązuje też w drugą stronę. Jeżeli zostaniesz, to na zawsze, i chcę, żebyś nigdy nie widziała się z tą kobietą.

Będzie to ostateczne pożegnanie, więc dobrze to przemyśl.

Następnego dnia Dubhe zaczają się za stoiskiem już od momentu, kiedy jej matka zaczyna je rozstawiać. Obserwowanie osoby, którą się kocha, kiedy jest bez nas, wywołuje dziwną mieszankę przyjemności i bólu. Dubhe widzi, jak matka starannie układa jedwabie, i przypomina sobie, jak patrzyła na nią, kiedy siedząc przy stole w kuchni czyściła warzywa. Myśli o jej reprimendach, wspomina jej pieszczoty. Ale przede wszystkim myśli o swoim ojcu. Wystarczyłoby jej, gdyby się dowiedziała, że jej szukał przez te lata, że jej nie zdradził, że nie zostawił jej samej, a będzie zadowolona, będzie mogła iść dalej.

Potem, już pod koniec dnia, kiedy jej matka zaczyna się zbierać, przychodzi Jenna. Jest dobry, wiarygodny, dokładnie tak, jak mu powiedziała.

Nonszalancko przechodzi przed straganem, z wahaniem zatrzymuje się po kilku krokach, po czym zawraca. Mężczyzna, z którym teraz żyje jej matka, też właśnie przyszedł i całuje ją przelotnie w policzek.

–Melna?

Kobieta odwraca się, a wraz z nią i stojący obok niej mężczyzna. Jenna perfekcyjnie odgrywa swoją rolę.

–Ależ oczywiście, jesteście Melna, nie można was nie poznać! Pamiętacie mnie?

Jestem Septa, siostrzeniec Lotti! Odszedłem z Selvy, kiedy byłem taki mały!

Dubhe widzi, jak jej matka nagle się denerwuje, jak rozgląda się wokół zagubiona. Kiedy tylko usłyszała tę nazwę, wyraz jej twarzy nagle się zmienił.

–Mylicie się – wtrąca szorstko mężczyzna. – To nie jest osoba której szukacie. Jenna nie daje się zbić z tropu.

–Ależ oczywiście, że to ona, dobrze ją pamiętam. Matka zaczyna się jąkać.

–Ja... Selva...

Dubhe czuje ucisk w sercu. Zaledwie kilka chwil wcześniej wydawała się taka pogodna, taka szczęśliwa, a teraz...

–Do diabła, powiedziałem wam, że to nie ona! A ty, Melno, idź już do domu.

–Selva... ja...

Mężczyzna z miłością otacza ją ramieniem i ostrożnie szepcze jej do ucha.

–Wszystko w porządku, on się tylko pomylił. Idź do domu, a ja zaraz przyjdę.

Dubhe zauważa, że odejście jej matki to prawdziwa ucieczka. Bierze pod pachę trochę materiałów, pędzi w zaułek i szybko znika z pola widzenia. Mężczyzna dalej stoi przed Jenną z groźną miną.

–Ależ to ona... nazwaliście ją Melna...

–Słuchaj, czego u diabła chcesz od mojej żony?

Słyszając te słowa, Dubhe czuje ucisk w sercu. Czyżby się pomyliła?

–Chciałem tylko pozdrowić dawną przyjaciółkę... ale wy chyba nie jesteście

Garni...

Mężczyzna wzdycha i przesuwa dłonią po twarzy.

–Widzę, że nie wiesz wielu rzeczy.

Jenna udaje zdumienie, a Dubhe myśli, że jest dobry, naprawdę dobry, wolałaby prawie, żeby nie był aż tak świetny, bo teraz czuje, że tak naprawdę wcale nie chce usłyszeć prawdy, czuje, że lepiej byłoby uciec daleko stąd, wrócić do Mistrza i nie wiedzieć nic więcej. A jednak pozostaje na swoim miejscu jak przyklejona.

–A czego? – Cztery lata temu wydarzyła się tragedia... Córka Melny zabiła dziecko.

O tym Jenna nie wie. Tylko Mistrz jest wtajemniczony w całą tę historię. Jenna zna tylko żalosne kłamstwo.

Jego zdumienie nie jest już udawane, a Dubhe atakuje uczucie pustoszącego wstydu.

–Dziewczynka została wypędzona z wioski i od tamtego czasu słuch po niej zaginął... Z pewnością nie żyje. Wysłali ją do Krainy Morza, nieopodal granicy z Wielką Krainą, a wtedy już panowało tam coś w rodzaju niewypowiedzianej wojny.

–Ale... mówicie o Dubhe?

–Właśnie. Ale to jeszcze nie wszystko. Garni został wtrącony do więzienia, ale nie chciał się z tym pogodzić. Wydostał się z celi i uciekł, aby odnaleźć córkę, porzucając Melnę na pastwę losu. On również zniknął i dopiero rok temu dowiedzieliśmy się, że zmarł z niedostatku niedaleko stąd.

Serce Dubhe zatrzymuje się, świat wokół niej zamiera. Słyszy tylko głuche dudnienie w uszach, ale potężny głos mężczyzny przedziera się nad wszelkim hałasem.

–Ona zapomniała o wszystkim, ze mną starała się wymazać to wszystko z pamięci. Jeżeli ty jej mówisz, jeżeli pytasz ją o Selwę... to tak, jakbyś otworzył dopiero

co zabił rany, rozumiesz? Melna z Selvy już nie istnieje, więc jeśli była ci droga,

już nigdy jej nie szukaj.

Dubhe zaciska oczy, ale tym razem nic nie może zatrzymać łez. Jej oddech ginie wśród tłumionych szlochów, ból eksploduje.

Ucieka z zaułka i nie obchodzi jej, że ktoś ją zobaczy. Słyszy jeszcze ostatnie zdania, które gubią się w odgłosie jej kroków na kamieniach ulicy.

–Jak... jak chcecie... – mówi Jenna.

–Dziękuję – odpowiada mężczyzna prawie wzruszony. – Dziękuję... a to kto? Potem nic, tylko czerwień zachodu słońca i jej wysokie buty uderzające o

kamienie. Ale Dubhe już wie, że nie ma miejsca gdzie mogłaby uciec.

Błąka się po różnych kwartałach, od biednych chałup na peryferiach po zabytki centrum. Szlocha i czuje się pusta w środku. Kilka osób nawet zatrzymuje się, żeby zapytać, co się stało.

–Dziecko, co ci jest?

Ona nie odpowiada. Nie ma słów, żeby to wypowiedzieć. Zapada noc, ale nie ma to znaczenia. Mistrz może czeka, a może nie.

Na opustoszałych ulicach rozbrzmiewa dźwięk jej kroków. Nie chce wracać do domu, nie chce przechodzić koło sklepu swojej matki. Nie ma domu i taka jest prawda. Kiedy ktoś dotyka jej ramienia, odwraca się powoli.

–Do diabła, jak ty biegasz!

Jenna jest zdyszany.

Zatrzymują się na raczej smutnym, opustoszałym placu. Siadają na brzegu zepsutej fontanny, wypełnionej mulistą wodą cuchnącą zgnilizną.

–Dlaczego nie opowiedziałaś mi prawdziwej historii? – pyta Jenna. Ona nie wie, co odpowiedzieć.

–Wstydziałam się.

–Jak to się stało?

–To był wypadek. Bawiliśmy się i...

–Nic więcej nie mów, wystarczy. Przy... przykro mi. Dubhe nie odpowiada. Na niektóre rzeczy nie ma słów.

Wraca do domu o świcie. Mistrz siedzi przy stole, na którym stoją dwie miski pełne mleka. Nie wie dobrze, co ma powiedzieć, ale jego widok ją uspokaja. Przez jej ból przebija się promyk pocieszenia.

Nie ma u niej miejsca dla mnie – mówi Dubhe jednym tchem. Spojrzenie Mistrza jest ciepłe, pełne zrozumienia.

–Mój ojciec zmarł, szukając mnie, a ona zaczęła nowe życie.

To wszystko, co kiedyś miałam, już nie istnieje, a ja...

–Nic nie musisz mi tłumaczyć. Podnosi się i ją przytula. Ten niezwykły, tak nieoczekiwany gest zdumiewa Dubhe; dziewczynka jest oszołomiona. Potem i ona obejmuje go z uczuciem i płacze jak dziecko. To ostatni płacz jej dzieciństwa.

Tego dnia nie trenują. Po prostu są razem i chodzą po dobrych sklepach starego

miasta. Mistrz dał jej pieniądze, które jej obiecał, i razem wybierają nowy płaszcz.

–Dobrze się spisałaś tamtego wieczoru – mówi do niej, a ona uśmiecha się z oczami napuchniętymi od płaczu.

O zachodzie słońca Dubhe, w nowym płaszczu i z kapturem opuszczonym na oczy, razem z Mistrzem wraca do domu. Jeszcze myśli o ojcu i będzie myśleć zawsze: wie, że ten ból nigdy jej nie opuści. Ale Mistrz jest tu, u jej boku. Jeżeli są zgubieni, to są zgubieni we dwójkę.

–W końcu i ty nie miałaś innego wyjścia – mówi do niej nagle – tak jak i nie miałem go ja.

Dubhe czuje, jak wzruszenie podchodzi jej do gardła.

–Nie, Mistrzu, mylisz się. Ja zdecydowałam już dawno.

Powoli, ze wstydem, bierze go za rękę i ściska ją.

On się nie wycofuje, ale delikatnie trzyma tę miękką dłoń w swojej.

26. Niemożliwe zadanie

Dubhe nie było dane nacieszyć się nawet kilkoma dniami odpoczynku. Dom był miejscem pulsującym działaniem machiną wciąż w ruchu i ona też, choć była zaledwie małym trybikiem, nie mogła wyłączyć się z ogólnego rytmu.

Po całej nocy nieutulonego płaczu, spędzonej samotnie w celi, doczekała bezlitosnego poranka, a do jej drzwi zapukała Rekla.

–Już czas – powiedziała po prostu.

Dubhe szła przez korytarze otumaniona, nic tam w środku nie wydawało się mieć prawdziwej wartości. Mijała tych samych ludzi, którzy dzień wcześniej radowali się z ofiary Postulanta, a ich twarze były takie jak zwykle, nie wydawali się w żaden sposób poruszeni. Ona natomiast nie potrafiła wymazać sprzed oczu obrazów poprzedniej nocy i czuła się brudna do głębi przez sam fakt bycia świadkiem podobnej sceny.

W termach rzuciła się bez sił do wody, pozwalając ciału unosić się, jakby było trupem. I tym razem miała nadzieję, że woda może ją oczyścić, umyć. Ale to okropieństwo było niezmywalne.

W refektarzu długo patrzyła na swoją miskę, nie mając sił, aby wziąć do ręki łyżkę.

–No co? Nie jesz? – spytała Rekla.

Dubhe przełknęła dwa łyki mleka i kęs chleba, żeby ją zadowolić. Znowu wszystko miało smak krwi.

W świątyni nie słyszała ani słowa z tego, co mówiła jej Rekla. Potrafiła myśleć tylko o tym, że Bestia znajduje się bliżej niż kiedykolwiek. Poprzedniego wieczoru słyszała, jak ryczy z daleka, i coś w niej odpowiedziało na ten krzyk, nie mogła temu zaprzeczyć. To właśnie to nią wstrząsnęło. Wcale jej się nie poprawiało i to nie dlatego, że dalej co tydzień musiała zażywać eliksir, ale ponieważ Gildia robiła wszystko, aby jak najbardziej przybliżyć jej świadomą część do Bestii. Przebywając tam, w końcu się przyzwyczai. Na koniec nie będzie już żadnej różnicy między nią a Bestią. Ponownie zobaczyła chłopaka ze świątyni. Był chudy, wyniszczony z twarzą osoby cierpiącej głód. Popatrzyła na niego, kiedy nakładał jej na talerz tradycyjną wodnistą ciecz, przyjrzała się jego dłoniom, poświęciła mu długie, pełne strachu i litości spojrzenie, którego nie mógł nie zauważyć. Odwzajemnił je niemal ze zdumieniem.

–Dziękuję – wymknęło się Dubhe, po czym pochyliła głowę nad miską.

Już widziała go martwym i z jakiegoś powodu czuła się udręczona tym przecuciem. Jego ulotne spojrzenie w świątyni uderzyło ją i ustanowiło między nimi jakiś rodzaj więzi. Oboje byli więźniami.

Dubhe robiła to, co musiała, modliła się, kiedy jej kazali, ćwiczyła, kiedy przyszła pora, słuchała Recli, ale wewnątrz miała pustkę. Czuła, że już nie da rady dłużej tolerować tego stanu.

Sherva zorientował się.

–Nie uważasz.

Dubhe nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego zagubiona.

–To z powodu ceremonii?

Chciałaby mu się zwierzyć, ale wiedziała już, że nawet Sherva nie potrafi jej zrozumieć. Z pewnością nie był taki, jak inni, ale jego też łączył z Gildią fanatyzm. Zmieniała się tylko nazwa kultu. On nie wielbił Thenaara, ale własną osobę, własne umiejętności.

–Zastanowiłaś się nad moimi słowami?

–Będąc tutaj, wcale się nie ratuję, taka jest prawda... Przeciwnie... z każdym dniem zapadam się coraz bardziej...

–Gdybyś naprawdę chciała żyć, zniżyłabyś się do wszystkiego. Ale jeszcze tutaj jesteś, a to oznacza, że już się zgodziłaś.

To zdanie zapiekło ją w środku. Nigdy się nie zgodzi, nigdy nie chciała się zgodzić.

Po kilku dniach z jeszcze większym zapalem podjęła poszukiwania. Była zdesperowana i musiała jak najszybciej dojść do jakichś wniosków. Powoli marniała.

Znowu spróbowała powrócić do Wielkiej Sali, ale już sam jej widok z daleka wywołał w niej nieznośne mdłości. Było zbyt wcześnie.

Poświęciła się zatem przeszukiwaniu całego Domu. Przemierzyła pokój po pokoju, w poszukiwaniu sekretnych przejść przebiegła przez każdy korytarz czy drogę, o których istnieniu przedtem nie wiedziała, gdzie nigdy wcześniej nie była.

Odkryła, że sale Strażników wysokiego poziomu nie istnieją. Nie mogła ich znaleźć mimo bardzo skrupulatnych wizji lokalnych, chociaż tworzyła sobie doskonały plan Domu. Po prostu ich nie było, a jeśli ich tam nie było, to najwidoczniej musiało

istnieć inne piętro. Wszystko prowadziło do tamtej przeklętej sali, do której nawet nie była w stanie wejść.

Pewnego dnia Rekla wydała jej nieoczekiwany rozkaz.

–Jego Ekscelencja pragnie cię widzieć.

Dubhe natychmiast pomyślała o swoich poszukiwaniach i inspekcjach. Yeshol często chlubił się tym, że ma oczy wszędzie.

Z wielkim lękiem zapukała do jego drzwi, do tego samego gabinetu, gdzie przyjął ją kilka miesięcy wcześniej, jeszcze w epoce wolności, która teraz wydawała jej się nieskończenie odległa.

Yeshol siedział na swoim zwykłym miejscu i pisał, pochylony nad książkami. Dubhe sterczała w drzwiach jak kołek, a Najwyższy Strażnik nie przerywał swojego zajęcia, nie zważając na jej obecność. Dopiero po dłuższym czasie odłożył pióro i popatrzył jej w oczy.

–Usiądź – powiedział z lodowatym uśmiechem. Dubhe wykonała jego polecenie.

–Boisz się? – spytał, uśmiechając się drwiąco.

Dubhe nie miała już nawet siły, aby szukać stosownej odpowiedzi.

–Macie w rękach moje życie. Yeshol uśmiechnął się z zadowoleniem.

–Widzę, że wreszcie oddajesz mi należny szacunek. Dubhe milczała.

–Jak się tutaj czujesz?

Dubhe uśmiechnęła się gorzko. – Jakoś żyję.

–Właśnie... tak jak ci obiecaliśmy, prawda?

Milczała dalej.

–Dubhe, nie masz co odgrywać osoby uległej, ja czytam w twoim sercu. Nie jestem z ciebie zadowolony i z pewnością twoje nienaganne zachowanie nie zmieni mojego zdania.

–Zrobiłam wszystko, czego chcieliście... Słuchałam, ugięłam się zabiłam dla was... Nie rozumiem, dlaczego nie jesteście zadowoleni...

–Bo nie przystępujesz do naszego kultu. Rekla obserwuje cię z wielką uwagą: nie umknął jej żaden twój gest czy wyraz twarzy, a tym bardziej i mnie.

–Od samego początku powiedziałam wam, że jestem tu, aby dla was pracować... Modlitwy pozostawiam tym, którzy wierzą w bogów.

–A ja wyjaśniłem ci jasno, że bycie w Gildii oznacza wielbienie Thenaara. Na początku byłem do ciebie bardzo dobrze nastawiony; zresztą dopiero co przybyłaś...

Byłem jednak pewien, że przyjmiesz naszą wiarę, ponieważ ona jest w tobie zakorzeniona od dnia, w którym zabiłaś tamtego chłopca, odkąd byłaś w łonie swojej

matki. Już od tamtego czasu należysz do Thenaara.

Tym razem Dubhe podniosła twarz.

–Zrobiłam to wszystko, co mi kazaliście, od początku do końca. Spędzałam w świątyni całe godziny, modliłam się, uczestniczyłam w rytuałach, wszystko! Macie już

moją krew, moje ręce, zabraliście moją duszę, aby dać mi w zamian ten marny rodzaj

życia! Czego jeszcze chcecie?

Na Yesholu nie wywarło to wrażenia. Pozostał nieruchomy, z twardym wyrazem twarzy.

–Ty nie chcesz ustąpić przed chwałą Thenaara, nie chcesz, aby On uczynił z ciebie Zwycięską.

Zmartwiona Dubhe osunęła się na krzesło.

–Może powinienem powiedzieć Rekli, żeby przez jakiś czas przestała dawać ci eliksir...

Dubhe objęła twarz dłońmi. Koszmar, z którego nie można było wyjść – oto, czym to wszystko było. Nawet jej poszukiwania były czystym złudzeniem. Tam, przed tym

straszonym i zimnym mężczyzną, nie widziała żadnej drogi wyjścia. I wybrała, po raz kolejny.

–Powiedzcie, czego chcecie, a ja to zrobię.

–Dowodu twojej wierności ideałowi, nic więcej. Zadanie łatwe dla ciebie, wiem o tym.

–Zadanie? – spytała.

–Właśnie.

Dubhe poczuła się jeszcze gorzej.

–Dubhe, musisz odciąć się od przeszłości...

Yeshol podniósł się i zaczął spacerować po gabinecie wielkimi krokami.

–Chcę, żebyś zabiła tamtego chłopaczka, Jennę.

Dubhe poczuła, że lodowacieje.

–Krąży i wypytuje o ciebie, a to mi się nie podoba, a poza tym dobrze wiem, że czeka na ciebie na zewnątrz. To twoja ostatnia więź ze światem po śmierci Sarnka. Przypomina ci twojego mistrza, Zdrajcę, i odwraca twoją uwagę od prawdziwego celu.

–On o niczym nie wie...

–On ciebie szuka, a kto szuka w taki sposób, kto w taki sposób kocha, nie da za wygraną, dopóki nie znajdzie. Dlatego chcę żeby nie żył.

Dubhe konwulsyjnie potrząsała głową.

–Ależ nie ma powodu...

–Powodem jest to, że ja tego chcę i że Thenaar tego chce a kiedy Thenaar o coś prosi, Zwycięski się przed tym nie cofa. Ty to zrobisz.

–Nie mogę... nie mogę... prosicie mnie o zbyt wiele... ja...

–Jeśli tego nie zrobisz, już jesteś martwa. Na nic mi Zabójca, który nie chce przyłączyć się do naszych ideałów. Oczy Dubhe zaczęły błyszczeć i cały czas kręciła głową.

–Nie ma żadnego sensu...

–Dubhe, nie zmuszaj mnie, żebym był dla ciebie zły... A wiesz, że potrafię. Dubhe skoczyła na nogi.

–Nie – krzyknęła. – To naprawdę zbyt wiele, to przekracza wszelkie granice! Ja tego nigdy nie zrobię!

Yeshol nawet i tym razem nie okazał gniewu.

–No więc umrzesz... I to wcale nie tak, jak myślisz...

Nagle zza drzwi wyskoczyli mężczyźni, którzy złapali ją za ramiona. Zdawali się przybywać znikąd, najwyraźniej Yeshol musiał polecić im, żeby byli gotowi. Dubhe знаła ich, przypominała ich sobie ze zgrozą.

–Proszę cię... – błagała słabym głosem.

Odpowiedzią był prosty ruch dłonią. Wyprowadzili ją krzyczącą.

Były to dni piekła. Znowu w tamtej ciemnej sali, znowu całkiem sama. Bestia drapała ją, rozdzierała, ukazując się w całej swojej potworności. Wydawała się silniejsza niż wcześniej, a ogarniający Dubhe ból był absolutny, czysty. Umieścili ją blisko Wielkiej Sali, gdzie zapach krwi był bardziej intensywny. Ani na moment nie traciła przytomności i wydawało jej się, że ta męka nigdy się nie kończy. Sądziła, że jest gotowa na wszystko, żeby tylko ustała. Wszystko inne, zgroza zadania, jakie jej postawiono, wstręt związany z ofiarowaniem, w którym uczestniczyła, wszystko to zniknęło za widnokrzem jej cierpienia.

Każdego dnia Rekla pojawiała się na progu celi z ampułką w dłoni.

–Niewiele potrzeba, wiesz o tym... Wystarczy jedno „tak”. Ale to „tak” nie padało z jej ust, nie chciała go wypowiedzieć. Jenna jej pomógł, Jenna ją ochraniał, Jenna ją pocałował i ją kochał. Jeżeli było w niej jeszcze coś ludzkiego, było to wspomnienie tego chłopca. Właśnie dlatego Yeshol chciał, aby wyrzekła się go na zawsze.

Wytrzymała ponad tydzień, co wydawało jej się latami. Ale wszyscy mają punkt załamania, a ona swój już przekroczyła.

Ze łzami w oczach wymamrotała swoje „tak” dziesiątego dnia i eliksir, tak świeży w

jej gardle, paląc, spłynął jej aż do żołądka niczym trucizna.

Znajdę jakiś sposób, wystarczy, żeby to się skończyło, znajdę sposób i nie umrze...
– mówiła sobie, ale wstydziła się siebie samej i własnej słabości.

Znowu pojawiła się w pokoju Yeshola. Najwyższy Strażnik stał obok regału i uśmiechał się z zadowoleniem.

–Ustąpiłaś w końcu... Ja zawsze wygrywam, Dubhe, pamiętaj o tym, Thenaar zawsze wygrywa. Cierpieliśmy, ryzykowaliśmy, że znikniemy, ale przeżyliśmy i wkrótce powrócimy, wrócimy wielcy, rozumiesz mnie? A ty jesteś częścią tego niezmiernego planu, tego nieskończonego planu, który nada światu sens.

Dubhe zacisnęła pięści i pochyliła głowę.

–Powiedzcie mi o warunkach – wymamrotała.

–Masz miesiąc. Po jego upływie chcę jego głowę i flakonik jego krwi dla boga. Nie interesuje mnie sposób: zrobisz, jak uważasz. Jeżeli nie będę miał tego, czego

chcę, wrzucę cię do najgłębszej z naszych cel i pozwolę, żebyś umarła rozdarta przez Bestię. I nie będziesz sama. Zginie tylu Przegranych, ile dni ty wytrzymasz. Yeshol zachichotał.

–A teraz idź, idź się modlić.

Dubhe wyszła z pokoju. Nie widziała żadnych rozwiązań. Nie istniały.

Wyruszyła rankiem. Bardzo szybko przeszła przez świątynię, nie zatrzymała się, aby popatrzeć na wielki posąg za ołtarzem. Poprzedniego wieczoru zawiadomiła Reklę, a ona nie miała nic przeciwko temu.

–Powiedz też Shervie.

–Zajmę się tym.

Dubhe podniosła się i już miała odejść, ale Rekla ją zatrzymała.

–Powodzenia w twojej misji, Dubhe, zobaczysz, że jak to zrobisz poczujesz się o wiele lepiej – i uśmiechnęła się.

Ty razem wzięła konia. Nie chciała, żeby zajęło jej to wiele czasu, a poza tym

pragnęła jak najszybciej oddalić się od tego miejsca.

Skracała postoje do niezbędnego minimum, popędzała konia do szalonego galopu. Nie więcej niż trzy dni, tyle przeznaczyła na podróż.

Wydawało się, że to ucieczka, a przecież była to najsmutniejsza jej podróży.

Tak naprawdę nie zdecydowała jeszcze, co ma robić, ale tak czy inaczej zabrała ze sobą także flakonik. Ukryła go w sekretnej kieszeni, z dala od oczu.

Słońce zaskoczyło ją wczesnym rankiem. Nie widziała go już od miesiący: było ciepłe i łagodne. Wiosna wisiała w powietrzu. Będąc w Domu, jeszcze tego nie zauważyła. Noc oszukiwała ją nawet co do pór roku, a zapach kwiatów czy świeżej trawy nie przebijał się do jej pokoju. Tam było jak w grobie. Tylko zapach zamknięcia i śmierci, skały i ziemi.

Kraina Słońca, ziemia rodzinna, uderzyła ją błyszczącą zielenią łąk. Drzewa kwitły, powietrze pachniało czymś dobrym. Ogarnęło ją wzruszenie.

Do dawniejszych wspomnień ukochanego Mistrza dołączały się też te późniejsze, z ponad dwóch lat, które spędziła sama jako złodziejka. Nigdy nie wydawały jej się piękne, ale teraz wolność była luksusem, na który nie mogła już sobie pozwolić.

Makrat był taki jak zawsze – chaotyczny, piękny i ubogi jednocześnie, ale przede wszystkim wielki, tętniący życiem.

Przeszła przez targ, na którym prawie pięć lat temu zobaczyła swoją matkę. Nie było już jej tam, wiedziała o tym od dawna.

Nigdy by nie uwierzyła, że widok Makratu tak ją zaboli. Czuła się jak więzień oglądający świat zza krat. Była w domu, a jednocześnie oddalona o całe mile, w dalszym ciągu przykuta do swojego Pokoju w Domu.

Błakała się, głaszcząc pod płaszczem sztylet. Co by zrobiła, gdyby zobaczyła Jennę? Czy naprawdę posłuchałaby rozkazu Yeshola? A jeżeli tego nie zrobi? Inni niewinni poniosą śmierć i to w sposób jeszcze gorszy. Gdyby tylko zechciała, jest w stanie zabić Jennę tak, aby się nie zorientował, nie sprawiając mu cierpienia. Byłby to w zasadzie akt litości.

Potrząsnęła głową ze zgrozą. W końcu zdecydowała się.

Tylko tam pójdę. Wizja lokalna i tyle, nic więcej.

Wiedziała, gdzie go znaleźć. Znała wszystkie miejsca, gdzie kradł, miejsca, w

których bywał – wiedziała o nim wszystko. Teraz, kiedy go straciła, rozumiała, że był to jej jedyny prawdziwy przyjaciel. Zawsze starała się go trzymać z dala, odpędzić go, ale na nic się to zdało.

Zobaczyła go z daleka, szczupłego jak zawsze, w wytartym brązowym płaszczu. Już po pierwszym spojrzeniu zorientowała się, jak bardzo się zmienił, i rozumiała, co musiał wycierpieć w ciągu tych miesięcy.

„Kto w taki sposób kocha” – powiedział Yeshol, a teraz Dubhe rozumiała. Poczowała ucisk w sercu.

Był bladejszy niż zwykle i mniej żwawy. Nie pracował; zdawało się, że po prostu wędruje.

Dubhe zaczęła go śledzić. Przypomniła sobie dawną przyjemność, której już doświadczyła, kiedy odnalazła swoją matkę, Patrząc na ukochaną osobę, która żyje bez nas. Szła za nim z serdecznym ciepłem, obserwowała, jak wykonuje codzienne czynności, gesty, które tak dobrze знаła. Rozpoznawała go z uczuciem i ze wzruszeniem. A jednak pod pewnymi względami nie wydawał się taki jak zawsze. To jego wędrowanie niczym tułaczka zbłąkanej duszy, poruszanie się po okolicach, w których wcześniej nie bywał, jego sposób mówienia, jego smętny humor. To wszystko, co Yeshol mówił, było prawdą. Szukał jej.

Weszła za nim do lokalu, który wybrał w porze kolacji.

Jenna zjadł swój skromny posiłek w samotności. Miał ze sobą jakąś kartkę, którą położył na stole. Kiedy gospodarz podszedł, aby podać mu zamówioną zupę, zatrzymał go.

–Widziałeś tę dziewczynę? Dubhe owinęła się mocniej płaszczem i głębiej wcisnęła głowę pod kaptur.

Co ja mam zrobić?

Nad miastem zapadła ponura ciemność, a kiedyś to właśnie noc była królestwem Jenny. To wtedy był najbardziej aktywny i prowadził swoje interesy, zawsze wieczorem kontaktował się z klientami i motał swoje sieci.

Teraz już nie. Teraz ograniczał się do przemierzania ulic zmęczonym krokiem bez prawdziwego celu.

Kiedy lodowaty i metaliczny księżyc podnosił się nad miastem, Dubhe krok po kroku podążała za Jenną wśród coraz rzadszego tłumu, po krętych zaułkach.

W końcu zostali tylko we dwojkę. On szedł hałaśliwie, zmęczonym krokiem, a ona poruszała się jak kot, jak jego cień. Rozpłaszczala się we wnękach murów, patrzyła za nim. Nawet sama nie wiedziała, co robi.

Idź sobie albo zrób to, czego nie chcesz. Tak czy siak, wybierz swoje przeznaczenie, raz a dobrze... – powiedziała sobie, ale nie mogła.

Może zatopiona w swoich myślach zdekoncentrowała się, a może tak naprawdę chciała zostać odkryta. W pewnym momencie potknęła się i Jenna musiał ją usłyszeć.

Odwrócił się nagle i był na tyle szybki, że nie dał jej czasu, aby się mogła rozpląnąć, tak jak potrafiła.

–Kto to? – jego głos był niepewny.

Prawie od razu ją zobaczył i nie potrzebował wiele czasu, aby ją rozpoznać.

–Dubhe!

Jego twarz momentalnie się rozjaśniła i podbiegł ku niej.

Dubhe nie wiedziała, co robić. Zareagowała instynktownie, jak zawsze podczas swoich misji.

Nie ma innego wyjścia.

Wyciągnęła sztylet i wolnym ramieniem przyparła go do muru, ściskając go jednocześnie za gardło.

Jenna, wzięty z zaskoczenia, patrzył na nią z niedowierzaniem.

Sztylet był w jej dłoni, wzniesiony nad jego głową. Dubhe rozpoznała już

miejsce, w które ma uderzyć, wystarczyło tylko opuścić ramię, a Jenna nawet by się nie zorientował.

–Dubhe...

Nie mogła odmówić temu zasmuconemu wezwaniu.

Zobaczyła go bezbronnego w swoich rękach, jakby widziała jego twarz po raz pierwszy. Odsunęła się zniesmaczona a, sztylet upadł na ziemię.

–Nie mogę tego zrobić... nie mogę... – zamruczała, po czym ukucnęła na ziemi z twarzą w dłoniach i rozplakała się jak małe dziecko.

Przez kilka chwil Jenna stał przed nią oszołomiony, po czym też ukucnął na ziemi i objął dziewczynę.

–Wszędzie cię szukałem, ani przez chwilę nie przestałem od... – zaczerwienił się. – Od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Byli u niego w domu. Nie zmienił się zbyt wiele, był tylko bardziej zaniedbany. Siedzieli przy stole, przed każdym stała miska pełna mleka.

–Nie mogłem pojąć, że naprawdę odeszłaś. Dręczyło mnie to, że nie wiem, gdzie jesteś.

Dubhe patrzyła w swoją miskę. Nie wiedziała, co powiedzieć. Odczuwała tylko wstyd, że mogła uwierzyć, nawet tylko przez moment, iż może go zabić. Jenna przez jakiś czas siedział w milczeniu.

–Gdzie się podziewałaś, Dubhe?

Ona pociągnęła nosem. Czuła, że oczy jeszcze jej błyszczą, piekły ją od łez. Już bardzo dawno tyle nie płakała.

–Wcale dobrze nie wyglądasz... a poza tym... Dlaczego mnie zaatakowałaś? Czy coś się stało?

Od czego zacząć? I co mu powiedzieć, nie narażając go na śmiertelne niebezpieczeństwo?

–Teraz należę do Gildii, Jenna zmarł, jakby skamieniał. Dubhe zdjęła płaszcz i pokazała mu swoje nowe ubrania: czarne spodnie, równie czarną koszulę, gorset.

–To niemożliwe – wymruczał.

–A jednak to prawda, uwierz mi. Rozkazali mi cię zabić. Jenna patrzył na nią z coraz większym niedowierzaniem.

–A ty byś to zrobiła?

Dziewczyna milczała przez chwilę.

–Nigdy – szepnęła.

Jenna chyba powoli wracał do siebie.

–Ja naprawdę nie mogę w to uwierzyć... Sarnek nienawidził Gildii, prawda? Do licha, przecież on właśnie stamtąd uciekł! A te dwa lata nieustannej ucieczki, kiedy ledwo wiązałaś koniec z końcem, czy nie miały posłużyć właśnie temu, aby wymknąć

się tym szaleńcom? I co teraz robisz? Zdradzasz pamięć Mistrza, zapominasz o wszystkim i zadajesz się z tymi przeklętymi mordercami?

Łzy znowu same zaczęły jej płynąć.

–Nie płacz... – Widać było, jak jest mu przykro.

–Chciałabym ci to wytłumaczyć... ale to skomplikowane... a poza tym... nie chciałabym, żebyś wbijał sobie do głowy jakieś dziwne myśli... Ja...

–Zmuszają cię?

Przytaknęła.

–Pamiętasz, kiedy przed wyjazdem powiedziałam ci, że jestem chora? To oni wywołali tę chorobę i tylko oni mogą ją leczyć. Dlatego dołączyłam do Gildii.

–Ale... przecież są kapłani od chorób, nie sądzisz chyba, że żaden z nich nie jest w stanie...

Dubhe potrząsnęła głową, po czym odkryła ramię i pokazała mu znak.

–To klątwa. Wzięli mnie podstępem, rozumiesz? Jeżeli z nimi nie zostanę, czeka mnie straszliwa śmierć, śmierć, której ja...

–Czy to ma coś wspólnego z polaną? Zawsze był bystry.

–Tak.

Jenna milczał przez chwilę.

–Niemożliwe, żeby ktoś taki jak ty mógł być wśród tych przeklętych ludzi.

Niemożliwe ze względu na to, czego uczył cię twój Mistrz, oraz na to, w co zawsze wierzyłaś. A poza tym czytam to w twojej twarzy. Ty... gaśniesz.

Dubhe pokręciła głową.

–Nie powinnam była ci tego mówić.

–Ale co ty mówisz, niby, dlaczego?

–Bo ty masz manię ratowania mnie, ale tym razem nie możesz, nigdy nie mogłeś, rozumiesz? Moje życie tak właśnie się toczy i nie mam żadnych punktów oparcia, żadnego zaczepienia, mogę tylko upadać coraz niżej! Znowu zaczęła płakać.

–Chcą, żebym cię zabiła, bo nie są ze mnie zadowoleni. Nie jestem dość bezlitosna, nie wierzę wystarczająco w ich przeklętego boga. Dlatego chcą, żebym cię zabiła, a jeśli tego nie zrobię, zabiją mnie, a razem ze mną wielu innych.

Jenna zrobił się purpurowy i gwałtownie walnął pięścią w stół.

–Do diabła! – krzyknął.

–Przykro mi... – powiedziała. – Przepraszam...

Znowu ją objął, z impetem, a tym razem Dubhe nie chciała mu się wymknąć, ale przeciwnie, wtuliła się w niego.

Spała u niego tej nocy, tak jak wtedy, kiedy uratował jej życie po wydarzeniu w lesie. Obudziła się wcześniej, a zalewające jej twarz słońce było bardzo przyjemną odmianą po tych wszystkich miesiącach spędzonych pod ziemią.

Jenna już był na nogach i przygotowywał śniadanie.

Przez pierwsze minuty po przebudzeniu Dubhe rozkoszowała się tą domową atmosferą. Nie nawiązała do poprzedniego dnia; wypła filiżankę ciepłego mleka z przyjemnością i z apetytem zjadła suchy chleb. Był to okruch normalnego życia i chciała się nim nacieszyć. To on przełamał idyllę.

–Chcę cię uratować. Nie interesuje mnie czy jestem w stanie, i nie obchodzi mnie nawet, czy chcesz, żeby cię ocalić. Ty wiesz, kim... no wiesz... kim dla mnie jesteś.

Dubhe uśmiechnęła się ze smutkiem.

–Jeżeli chcesz mnie ocalić, odejdz i nie pokazuj się więcej Zatrzymał się w osłupieniu.

–Co...

–Ukryj się, porzuć Makrat i zniknij. Zmień imię, udaj się tam, gdzie nikt cię nie zna. Powiem im, że cię szukałam, ale cię nie znalazłam i może dadzą mi więcej czasu.

Jenna utkwiał oczy w pustej misce.

–To na nic... Jeżeli powiedzieli ci, że albo ja, albo ty... Nie sądzę żeby dali się tak łatwo oszukać... Ja albo ty, Dubhe, a więc... więc lepiej, żebym to był ja.

–Nie mów tak nawet w żartach, zrozumiałeś? Nawet w żartach.

–Dlaczego? Masz inne sensowne rozwiązanie?

–To, jakie ci podałam.

–To nie uwolni cię od tego niegodnego miejsca.

–Prowadzę poszukiwania.

–Ja nie mogę cię znowu stracić, ja nie mogę stać i patrzeć, jak ty sobie wracasz do tamtego piekła.

–Powiedziałam ci, że robię rozeznanie i jestem na dobrej drodze. Znajdę miejsce, gdzie przetrzymują lekarstwo, ukradnę je i ucieknę. I wtedy się zobaczymy.

–Nie wierzę. Będzie tak, jak tamtego dnia, kiedy odeszłaś. Znikniesz na horyzoncie i już nigdy cię nie zobaczę!

Popatrzyła mu prosto w oczy.

–Ty jesteś moją jedyną więzią z życiem na zewnątrz, rozumiesz? Jedyłą.

Dlatego nigdy naprawdę mnie nie stracisz.

–Pozwól, żebym ci pomógł, proszę cię...

–Zrób to, co mówię. Nie oszukuję cię, nie staram się ciebie pozbyć. Jeżeli zrobisz to, co ci powiedziałam, naprawdę mi się przydasz.

Jenna prawie się jąkał.

–Dla ciebie nawet przestałem kraść... Tylko cię szukałem... przez cały ten czas...

–Przestań to robić. To dlatego cię znaleźli i dali mi to zadanie. Zniknij, proszę cię... Kiedy się stamtąd wydostanę, znajdę sposób, żeby do ciebie wrócić, przysięgam ci.

Jenna popatrzył na nią ogarnięty wątpliwościami. Nie wierzył, nigdy nie uwierzy. Nawet Dubhe nie myślała naprawdę, że to się kiedykolwiek stanie. Za daleko zaszła i nawet gdyby udało jej się uciec, nigdy nie mogłaby do niego wrócić, byłby to dla obojga wyrok śmierci.

–Jak chcesz – powiedział. – Ale nigdy ci nie wybaczę, jeżeli nie przyjdiesz.

Dubhe uśmiechnęła się smutno.

Pożegnali się wieczorem.

–Wyruszę jeszcze tej nocy – powiedział. – Pójdę...

–Nie mów mi. Wolę nie wiedzieć. Kiedy już wyjdę, odnajdę cię, wiesz, że jestem dobra w poszukiwaniach.

–No tak... – uśmiechnął się.

Potem zrobił się poważny i popatrzył jej w oczy.

–Od tamtego dnia, kiedy cię pocałowałem, nic się dla mnie nie zmieniło. I nigdy się nie zmieni. Kocham cię.

Dubhe poczuła ucisk w sercu. Chciałaby go kochać, ale nie mogła. Było to niemożliwe. W swoim życiu kochała tylko raz i już więcej jej się to nie zdarzy, wiedziała o tym.

–Ja ciebie też – skłamała, po czym złożyła na jego wargach krótki, niewinny i pospieszny pocałunek.

–Uciekaj, zrób to dla mnie.

–Tak, zrobię – powiedział poruszony.

Potem Dubhe odwróciła się, jak zwykle, i szybko znikła.

27. Pakt

Dla Lonerina zaczął się ciężki, męczący okres. Przez pierwsze dni tylko sumiennie pracował, ucząc się miejsc, gdzie wolno mu było chodzić, i obserwując szczeliny w nadzorze Zabójców.

Wolnej przestrzeni, w której można było się poruszać, było bardzo mało. Praca była nader ciężka i cały czas czuł na plecach oddech Zabójców. Jedynym momentem, kiedy kontrola się rozluźniała, była noc. Zawsze był z nimi strażnik, ale nie wykonywał swoich obowiązków z wielką sumiennością. Często podrzemywał, a czasami nawet się oddalał. Zresztą Zabójcy chyba w sumie nie uważali ich za szczególnie niebezpiecznych: w końcu byli już pozbawieni wszelkiego wigoru, po pierwsze osłabieni cierpieniami, które ich tu doprowadziły, a następnie wykończeni nieprzerwaną pracą. Prawdopodobnie członkowie Gildii nie podejrzewali, żeby ktoś mógł się w ten sposób wkraść na teren Domu. Lonerin zdecydował, że w pełni wykorzysta to ich drobne niedopatrzenie.

Po pierwsze postanowił odnaleźć kamienie. Były mu absolutnie niezbędne. Jak bez nich mógłby przekazywać Radzie swoje odkrycia? Jedyną możliwością pozostawałaby ucieczka z tego miejsca, ale to rozwiązanie wydawało mu się zbyt skomplikowane i niepewne, aby móc wprowadzić je w czyn. Jasne, wcześniej czy później zamierzał stąd uciec, ale wolał nie musieć uzależniać od tego powodzenia swej misji.

Szukał ich wśród pogrążonych we śnie ciał, nawet pytając niektórych zbudzonych. Ani śladu po kamieniach.

–Każdego dnia sprzęta tu jeden z naszych, jego zapytaj – powiedział mu pewien mężczyzna.

Lonerin rzucił się do wskazanej mu osoby tylko po to, aby dowiedzieć się, że miała ona rozkaz wyrzucania wszystkiego, co znajdzie. Taki też koniec spotkał to, co mężczyzna wziął po prostu za jakieś dziwne kamienie.

Lonerin poczuł, że zaschło mu w gardle. Znajdował się sam w twierdzy nieprzyjaciela, mosty łączące go ze światem zewnętrznym zostały całkiem zniszczone, a powodzenie jego misji było zależne od jego przeżycia, czego absolutnie nie mógł być pewny. To był bardzo ciężki cios. Teraz nie miał wyboru: musiał wykonać swoje zadanie w krótkim czasie i koniecznie wyjść z tego z życiem. Z zapalem rzucił się do poszukiwań, którymi zawsze zajmował się w nocnych – najbezpieczniejszych godzinach.

Jednak poruszanie się w nocy również mogło okazać się ryzykowne. Postulanci nosili bardzo łatwe do rozpoznania szaty, a przyłapanie go na włóczeniu się po Domu z pewnością oznaczało natychmiastową śmierć. Należało znaleźć coś, w co mógłby się przebrać.

Pewnego dnia fortuna się do niego uśmiechnęła. Poprzedniego wieczoru Zabójcy byli bardzo podekscytowani, a cały Dom zdawał się przesiąknięty dziwną nerwowością.

–Co się dzieje? – spytał Lonerin jednego z Postulantów.

–Jeden z nas został wybrany, zobaczy, jak realizuje się jego marzenie –

odpowiedział tamten.

Miał w oczach światło zazdrości, które zmroziło Lonerina. Przede wszystkim jednak poczuł uderzenie nienawiści rozpalające mu trzewia. Ofiara. Jak jego matka. Nienawidził fanatyzmu Zabójców, który pachniał śmiercią, sposobu, w jaki się radowali, bo wiedział, że to krew innych tak ich cieszy. Kiedy mężczyzna odszedł, przygryzł wargę.

Tej nocy pomyślał, że lepiej będzie nie spać zbyt głęboko. Prawie na pewno wszyscy Zabójcy wezmą udział w składaniu ofiary a przy odrobinie szczęścia również i Strażnicy.

Lorin leżał na pościeli, nie śpiąc, udając ciężki oddech, często rzucając okiem na wejście do sali, gdzie siedział wartownik. Jego przypuszczenia okazały się słuszne.

W środku nocy ktoś przyszedł.

–Mogę iść?

– Oczywiście, że tak. To ważna chwila i nie możesz jej przegapić, pilnując tego bagna.

–Świetnie, już myślałem, że będę tu musiał gnić przez całą noc.

Mężczyzna podniósł się, narzucił płaszcz i podążył za towarzyszem.

To był właściwy moment. Wszyscy Zabójcy byli prawdopodobnie zebrani w jednym miejscu, najpewniej w świątyni. Miał więc wielką swobodę ruchów.

Kiedy tylko Lonerin wyszedł z sali, poczuł się nagi. W swojej płóciennej koszuli i z wygłodzonym spojrzeniem rzucał się w pustych pomieszczeniach w oczy niczym

kwiat na środku pustyni.

Przed nim rozciągał się labirynt korytarzy. Bardzo łatwo było się zgubić. Na szczęście był na to przygotowany. Wziął ze sobą słomkę. W momencie powrotu użyje jej do wykonania prostego zaklęcia określającego kierunek i wróci do dormitorium, zanim go nakryją.

To pierwsze rozpoznanie przyniosło owoce. Odkrył, że skrzydło zajmowane przez Postulantów jest całkowicie odseparowane od miejsc uczęszczanych przez Zabójców. To tutaj zapewniano właściwą obsługę Domu, jak oni go nazywali.

W kuchni już był wcześniej, ale na przykład pralnia była mu nieznana. Znalazł się tam przypadkiem i dobrze trafił. Leżało tam pełno czarnych szat.

Wziął jeden szczególnie wytarty płaszcz, odłożony na stertę starych ubrań. Prawdopodobnie przeznaczono go do wyrzucenia, więc nikt nie powinien zauważyć jego zniknięcia.

Następnie wyszedł z pralni i zdecydowanie ruszył w kierunku refektarza. Z kapturem dobrze opuszczonym na głowę szybkim krokiem przemierzył salę i doszedł do drugiego końca, gdzie zaczynał się korytarz. W poprzednich dniach zawsze patrzył nań z niepokojem, jak na mroczne miejsce, skąd przebijały tajemnice, które przybył odkryć.

Było już późno. Zbyt długo zabawił w pralni i w skrzydle. Postulantów, więc zostało mu mało czasu, aby choć z grubsza zapoznać się z Domem. Czuł jednak, że musi iść. Okazja była zbyt kusząca.

Ostrożnie wychylił się do korytarza. Rozjaśniało go słabe światło kilku pochodni i wydawał się bardzo wilgotny. Do nozdrzy Lonerina dochodziło zepsute,

niezdrowe powietrze przesycone zapachem krwi. Po obu stronach korytarza w regularnych odstępach znajdowały się dobrze pozamykane drewniane drzwi. To z pewnością mieszkania Zabójców. Był to labirynt z wieloma bocznymi korytarzami, ale Lonerin postanowił iść tym głównym największym. W głębi słyszał grzmiący, nieznany hałas, który wydawał się pochodzić z samej skały i wprawiał ją w wibracje jakby była żywa.

Szedł dalej. W miarę, jak postępował, huk stawał się coraz wyraźniejszy i straszliwszy. Były to gardła wrzeszczące jednym głosem, wykrzykujące słowa, których Lonerin nie mógł pojąć.

Coś ścisnęło go w piersi. Z pewnością znajdował się blisko miejsca ceremonii.

Serce zaczęło walić mu jak szalone, myśl o matce powoli ogarniała jego umysł, a

Jego stopy nie zatrzymywały się.

Wydawało mu się, że korytarz nienaturalnie się wydłuża, że jego meta jest bardzo odległa, a może nawet nieosiągalna. Była niczym więcej, jak tylko punktowym, czerwonym jak kropla krwi światłem, połyskującym na końcu drogi, którą przemierzał.

Przyspieszył kroku. Teraz krzyk tłumu wprawiał ściany w drżenie, wypełniał salę i korytarz. Wreszcie dotarł, a czerwień celu otuliła go i wchłonęła. Zatrzymał się.

Stał w progu niezmiernie rozległej sali, olbrzymiej jaskini rozjaśnionej światłem w kolorze krwi, wypełnionej Zabójcami. Rzucali się jakby w szponach jakiegoś mistycznego szaleństwa i krzyczeli w stronę konkretnego punktu.

Olbrzymi posąg z czarnego kryształu. Thenaar. Czarny Bóg. Skuty łańcuchami męczyzna z tej odległości był ledwo rozpoznawalny. Krwawił z piersi i powoli osuwał się do basenu wypełnionego czerwonym płynem.

Straszne myśli wirowały w głowie Lonerina, a jego żołądkiem szarpały dzikie mdłości, nad którymi ledwo był w stanie Zapanować.

Moja matka. Zrobiła to dla mnie. Jej ciało miało ranę na piersi. Krew mojej matki. – U stóp tego posągu.

Osunął się i krzyknął, trzymając głowę w dłoniach. Jego głos mieszał się z rykiem tłumu.

Miał wytrzeszczone oczy, o władnęła nim zgroza. Chciał uciec, ale był jakby przykuty do tej sceny.

Ocknął się na głośniejszy wrzask tłumu.

Uciekaj, uciekaj!

Umknął przerażony, nie myśląc, dokąd idzie. Korytarze, które przemierzał, były wszystkie takie same, a hałas tłumu i zapach krwi, krwi tamtego człowieka, ścigały go wszędzie. Przebiegł przez kilka ślepych zaułków, zgubił się i poczuł, że to koniec.

Oparł się o ścianę. Był wstrząśnięty, ale musiał się wziąć w garść. Wspomnienia jednak nie dawały mu spoczynku.

Nie wie, jak tam się znalazł. Po prostu chodził sobie ze swoimi przyjaciółmi, nic więcej.

–Jest takie straszne miejsce, przerażające, niezbyt daleko od świątyni -

powiedział jeden z nich i postanowili tam pójść, aby pokazać, jacy są silni, aby pokazać, że niczego się nie boją.

Lonerin przez cały czas siedł przed resztą grupy. Inni zawsze patrzą na niego jak na słabeusza. Był chory na czerwoną febrę, a jego matka znikła. Od tamtej pory wszyscy chodzą wokół niego na palcach. A on tak nie chce.

Jest przodu przed wszystkimi i nie wie, jak się tam znalazł. Po prostu siedł. Wie tylko, że teraz jego stopy są nieruchome, a nogi miękkie.

–To tu? – pyta ktoś drżącym głosem.

Nikt nie odpowiada, bo wszyscy wiedzą, że to tu. To jest to straszne miejsce. Są tu wystające z ziemi kości, całe mnóstwo, i chwytający za gardło smród padliny.

–Nie podoba mi się tu – mówi jeden z chłopców.

Lonerin czuje, że musi iść naprzód. Nie ma innego sposobu. Cały czas patrzy na biel kości jaśniejących w czerni nocy.

Przechodzi przez pagórek i tłumi okrzyk Tu już nie tylko kości. To prawdziwi zmarli. To trupy. A potem to ciało. Czarna od krwi tunika z surowego Inu, włosy rozrzucone w nieładzie na ziemi, długa, głęboka rana w piersi. Oczy zamknięte, jakoby spała, twarz spokojna, biała. Ona.

Krzyczy, krzyczy, krzyczy.

Po kilku dniach, kiedy odzyskał głos, wyjaśnił mu przy jej grobie.

–Jeśli ktoś ma jakąś prośbę do Czarnego Boga, idzie do świątyni i ofiarowuje swoje życie. W ten sposób otrzymuje to, czego pragnie. Tak zrobiła twoja matka.

Lonerin potrząsa głową, starając się dojść do siebie. Odpędził obraz swojej

matki w zbiorowym grobie, spróbował odzyskać panowanie nad sobą. Był pokryty lodowatym potem, trząśł się jak osika, a oszalałe serce waliło mu w piersi jak młotem. Czuł, że mógłby zabijać. Że gdyby tylko spotkał Zabójcę, zamordowałby go własnymi rękami, nie myśląc o misji.

Muszę wracać.

Ale nienawiść jest starym przyjacielem, któremu słodko jest się powierzyć, nienawiść znowu szukała sobie w nim miejsca, wynurzała się.

Lonerin zdusił ją rozumem. Musi wywołać zaklęcie, inaczej nigdy nie wróci do sali.

Wziął do rąk słomkę, ale dwa razy upadła mu na ziemię i musiał ją podnosić. To drżenie dłoni prawie go przestraszyło. Nawet wypowiedzenie formuły okazało się bardzo trudne. Nie pamiętał jej, a język był jakby zablokowany.

Nie mówi. Lonerin nie mówi od wielu dni. Kiedy krzyczał, cały jego głos odszedł. Teraz unosi się nad zbiorowym grobem, a może nad tym małym grobem, z tabliczką z podniszczonego drewna, zawierającą tylko imię. Zginął gdzieś, daleko od jego gardła.

–Dlaczego nie mówisz, co, Loni? Dlaczego?

Wreszcie mu się udało. Niebieskawy, bardzo słaby płomycek zarysował się w gęstym powietrzu. Lonerin rzucił się biegiem.

Kiedy znalazł się w refektarzu, zaczął oddychać z większym spokojem. Gdy w końcu powrócił do strefy przeznaczonej dla Postulantów, wreszcie poczuł, że wyszedł z koszmaru.

Oparł się plecami o ścianę. W rogu jego oka pojawiła się łza. Łza bólu, złości i bezsilności.

Kiedy tylko Dubhe wróciła, prawie od razu wpadła na Reklę, której oczy zabłyśły.

–I co? Zrobiłaś to?

–Nie było go w Makracie.

Rekla błyskawicznie zmieniła wyraz twarzy.

–Do zeszłego tygodnia był tam, nasi go widzieli.

–Najwyraźniej w tym czasie zniknął.

Dubhe chciała odejść, ale Rekla złapała ją za ramię żelaznym uściskiem.

–To boli...

–Nie ośmielaj się nas zwodzić... nie ośmielaj... Myślałam, że zrozumiałaś, jaka potrafię być okrutna, a jednak nalegasz...

Dubhe starała się zachować spokój.

–Mówię prawdę. Wróciłam, bo nie było go w Makracie. Wzięłam kogoś w

rodzaju informatora, który będzie go szukał.

–Jeżeli to nieprawda, to wiesz, co cię czeka...

–Jego Ekscelencja powiedział mi, że mam na to miesiąc.

Dlaczego pytasz mnie o to teraz? Mam jeszcze ponad dwadzieścia dni. Rekla popatrzyła na nią przeciągle złowrogim spojrzeniem.

–Powtarzam: jeśli kłamiesz, za dwadzieścia dni pożałujesz.

Zostawiła ją, a Dubhe z udawanym spokojem ruszyła korytarzem. W piersi jednak miała prawdziwą burzę. Dzięki spotkaniu z Jenną pojęła, iż sięgnęła już dna. Nie mogła dłużej zostać tam w środku, za żadne skarby. Stopniowo traciła swoje człowieczeństwo.

Inicjacja, ofiara, rozkaz zabicia Jenny – były to etapy bolesnej drogi, która prowadziła ją ku szaleństwu.

Podjęła decyzję.

Wróciła na lekcje do Shervy, była posłuszna i pilna przez całe popołudnie, ale Sherva nie był typem, przed którym łatwo można było ukryć pewne rzeczy.

–Byłaś dobra, nie przeczę, nawet bardziej, niż myślałem – powiedział w końcu. –

Nie sądziłem, że tak dobrze nauczyłaś się utrzymywać koncentrację i aktywność nawet

wtedy, kiedy twój umysł jest gdzie indziej.

Dubhe wiedziała, że nadszedł ten moment. Nie mogła już zawrócić.

Stanęła przed nim wyprostowana, jeszcze trochę zdyszana od ćwiczeń, które wykonywała tego popołudnia.

–A więc?

–Musisz mi pomóc. Sherva był zaskoczony.

–Żadna gra nie jest warta ceny, jaką płacę – żadna. A jednak nie jestem jeszcze

gotowa, żeby pozwolić sobie umrzeć, aby bez gniewu przyjąć los, który przewidział dla

mnie Yeshol.

–Chyba źle mnie zrozumiałaś – zaczął Sherva bardzo ostrożnie. – To pewnie

moja postawa względem kultu wprowadziła cię w błąd...

–Ty nie jesteś taki jak inni, ty wielbisz tylko samego siebie. Sherva wydawał się być pod wrażeniem.

–Tak, chyba tak...

–Czujesz, że jesteś winien posłuszeństwo tylko sobie samemu Jesteś zatem w stanie zrozumieć, jeżeli mówię ci, że muszę opuścić to miejsce.

Sherva potrząsnął głową. – Jestem w Gildii od wielu lat i wiele temu miejscu zawdzięczam...

–I pozostajesz tu tylko dlatego, że sądzisz, iż nie osiągnąłeś jeszcze poziomu, który pozwoli ci zabić Yeshola – przerwała mu Dubhe

Sherva zamilkł. Prawdopodobnie nie sądził, że ta dziewczyna tak dobrze potrafi czytać w jego sercu.

–Nie dziw się. Jestem młoda, ale rozumiem, bo wiele widziałam.

–Powód, dla którego tu jestem, nie ma nic wspólnego z moją lojalnością dla tego miejsca. Ostrzegam cię, nie chcę już słyszeć na ten temat ani słowa.

–A to dlaczego? Chcesz na mnie donieść? Ja jestem zdesperowana. Wolę umrzeć od razu, niż dusić się powoli w tej skalnej klitce.

Sherva podniósł się.

–Lekcja skończona. Zapomnę o tym, co mi powiedziałaś, ale teraz odejdz. Dubhe stała nieruchomo w miejscu.

–Idź. Nie znasz mojego okrucieństwa. Odejdz, tak będzie lepiej dla ciebie. Dubhe nie poddawała się.

–W Wielkiej Sali jest przejście, wiem o tym, ale nie udało mi się go znaleźć.

Powiedz mi tylko, gdzie.

–Mylisz się, nie ma żadnego przejścia.

–Jest, prowadzi do pokoi Strażników. Sherva zmarszczył się groźnie.

–Czy chcesz mnie zmusić, żebym cię zabił?

–Jesteś tu w środku jedyną osobą, której mogę zaufać. Powiedz mi tylko, gdzie jest to przejście.

–Kiedy ktoś odchodzi, to koniec, rozumiesz mnie? Nikt nie może opuścić tego miejsca. Przestań próbować.

–Boisz się, że cię zabiją? Tego się boisz?

–Nie próbuj ze mną sztuczek... Ty chcesz zdobyć eliksir, żeby móc odejść.

Dubhe zacisnęła pięści i przygryzła wargi.

–Ty nie wierzysz w Thenaara, ty nie wierzysz w przeklęte rysy tego miejsca, ty chcesz tylko władzy dla siebie! No więc co ci zależy, czy mi to powiesz, no co? Co cię

obchodzi los tego miejsca. A może myślisz, że dzień, w którym Yeshol znajdzie się w

twoim zasięgu, nigdy nie nadejdzie?

Sherva stał nieporuszony, lodowaty.

–Wyjdź.

Nie zadziałało. Nie pozostało już nic do dodania. Dubhe pochyliła głowę i ruszyła w kierunku drzwi.

***Dam sobie radę sama*, powtarzała sobie, ale to oznaczało stracony czas, który jej się kończył.**

–Między stopami posągu, między basenami, stoi statua taka jak w świątyni.

Głos Shervy był niewiele głośniejszy od szeptu, ale Dubhe i tak aż podskoczyła.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego z wdzięcznością, ale twarz

Strażnika Sali Ćwiczeń pozostała tak samo twarda.

–Idź sobie – wysyczał.

Dubhe nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać.

Zabrała się do dzieła od razu, tej samej nocy.

Kiedy tylko upewniła się, że wszyscy w Domu śpią, opuściła swój pokój i ruszyła pospiesznie. Wydawało jej się, że jej stopy są zbyt hałaśliwe, że każdy krok czyni nieznośny rumor. Jej serce biło zbyt mocno, a stawy skrzypiały. Miała wrażenie, że każdy jej ruch powoduje ogłuszający hałas. Wiedziała, że to tylko jej odczucie. Sherva wiele ją nauczył.

Wszystko idzie dobrze... wszystko dobrze...

Z szalejącym sercem zatrzymała się na skraju sali. Wewnątrz wszystko było spokojne. Posąg Thenaara moczył nogi we krwi.

Dubhe odwróciła wzrok od basenów. Były wezwaniem dla Bestii, która szarpała się w oddali.

Ostrożnie weszła do środka i długo przyglądała się posągowi Zawsze sądziła, że oba baseny są połączone, a przynajmniej ich sąsiadujące brzegi stykają się między nogami Thenaara, udaremniając przejście. Patrząc uważniej, zorientowała się jednak, że była tam mała, ciemna przestrzeń, bardzo trudna do dojrzenia. Ten odstęp był wąski i z pewnością, aby tam się dostać, trzeba było precyzyjnie przycisnąć się obok posągu, ale istniał.

W duchu podziękowała Shervie, po czym ruszyła naprzód. Należało odnaleźć rzeźbę, o której jej powiedział, a następnie miejsce, gdzie trzeba było nacisnąć, aby uruchomić mechanizm drzwi. Fakt, że Sherva wspomniał o świątyni, podpowiadał jej jednak, że prawdopodobnie chodzi o ten sam punkt rzeźby.

Podeszła z oczami utkwionymi w stopy posągu, skoncentrowana, ale nie na tyle, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje. Najpierw było to niejasne uczucie zagrożenia, potem szelest, głośny i niezgrabny. Ktoś tu był.

Jej ciało zareagowało jak maszyna.

Lonerin wrócił już dwa dni po rycie ofiarowania.

Chociaż jeszcze czuł się wstrząśnięty, na pewno nie należało tracić czasu. W każdej chwili mogli złożyć w ofierze i jego, więc musiał działać.

Tej nocy też wyszedł. Trzeba było wejść do pokoi Zabójców i dlatego postanowił naszkicować sobie jak najdokładniejszy plan tego miejsca, a potem wrócić i rzucić okiem na pokoje w ciągu dnia, gdyby znalazł ku temu okazję.

Teraz, w głębi nocy, znajdował się w sali, gdzie odbyło się złożenie ofiary. Przeszedł szybko. Jego kroki szeleściły po posadzce i odbijały się o sklepienie. Nie martwił się tym jednak. Zresztą o tej porze nikogo tu nie było.

To dlatego skamieniał, kiedy zimna dłoń schwyciła go za gardło. Rzucono nim o znajdujący się za nim mur, po czym dostrzegł błysk sztyletu.

Wszystko odbyło się tak niewiarygodnie szybko, że nawet nie zdążył odczuć strachu. Przerazenie przyszło potem, nie do opanowania, i sprawiło, że ugięły się pod nim nogi.

O włos od jego gardła znajdował się sztylet, a niewiele dalej twarz, którą Lonerin natychmiast rozpoznał. Dziewczyna ze świątyni – ta, którą widział przelotnie, kiedy jeszcze oczekiwał na przyjęcie do Domu.

–Ty? – spytała go z niedowierzaniem, a uchwyt na jego gardle nieco zelżał.

Poznała go.

Tak czy inaczej, Lonerin uważał się za straconego. Zamierzał tylko prosić dziewczynę, aby skończyła z nim szybko.

Nieoczekiwanie jednak opuściła sztylet.

–Co tu robisz?

Lonerin nie był w stanie się odezwać. Miał całkiem suche usta, czuł mrowienie w nogach i rękach. Był oszołomiony, nie rozumiał.

Dziewczyna przez moment poczekała na jego odpowiedź, po czym rozejrzała się wokół badawczo.

–Tu mogą nas zobaczyć – stwierdziła.

Oderwała go od ściany, postawiła przed sobą i ramieniem ścisnęła mu gardło. Nie przystawiła mu jednak sztyletu do pleców.

–Ruszaj się.

Pospiesznie przemierzali salę. Kroki dziewczyny były szybkie, ale całkowicie ciche, zaś jego stopy głośno szurały po skale.

–Czy koniecznie musisz robić tyle hałasu? – warknęła.

–Ja... – wyjąkał Lonerin, odnajdując głos.

–Szybko – ucięła dyskusję.

Znowu znaleźli się wśród korytarzy, a następnie wślizgnęli się do bocznego odgałęzienia, aż do drzwi. Dziewczyna otworzyła je nie bez trudu, po czym wepchnęła do środka Lonerina i zamknęła je za swymi plecami.

Była to ciemna i zimna klitka z łóżkiem i skrzynią. Znajdowali się w pokoju Zabójcy. Dopiero po dłuższej chwili Lonerin zdał sobie sprawę z tego niesamowitego osiągnięcia, które praktycznie spadło mu z nieba.

Dziewczyna skuliła się obok niego na posadzce.

–Mów cicho, bo nas usłyszą – wymruczała. – I nie próbuj żadnych sztuczek.

Lonerin po chwili przytaknął, wciąż jeszcze oszołomiony. Teraz mógł lepiej się

przyjrzeć dziewczynie. Była od niego młodsza i bardzo ładna. Jej rysy niewątpliwie należały do dziewczynki, która wkrótce miała stać się kobietą, ale wyraz twarzy był dorosły, a co więcej, podszyty jakimś rodzajem milczącego cierpienia, które wzbudziło w nim mieszankę litości i sympatii. Była chudsza i bledsza niż ostatnim razem, kiedy ją widział, ale może po prostu za pierwszym razem dobrze się jej nie przyjrzał.

–Jesteś Postulantem? – wdzięczny głos przerwał tok jego myśli.

–Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? I tak niczego się nie dowiesz. Dziewczyna była wzburzona. Wsunęła sztylet do pochwy.

–Już. Teraz czujesz się spokojniej? Lonerin nie wiedział, co myśleć. To mogła być pułapka. A jednak dziewczyna

nie wezwała posiłków, tylko zaprowadziła go do swojego pokoju. To nie miało sensu.

–Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? – powtórzył.

–Żeby zrozumieć. Lonerin pomyślał, że może atak będzie dobrym pomysłem.

–A ty, co tam robiłaś? Zabójcy nie kręcą się o tej porze... Dobrze wyczuł. Dziewczyna zarumieniła się lekko.

–Zróbmy tak. Ja odpowiem na twoje pytania, a ty na moje. W porządku? To była najbardziej absurdalna i niebezpieczna rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadził.

–Dobrze.

Powiedział to instynktownie, w nadziei, że to właściwa odpowiedź.

–Ty nie jesteś zwykłym Postulantem, prawda? Zrozumiałam już w momencie, kiedy zobaczyłam cię w świątyni. Lonerin poczuł się dotknięty.

–A na jakiej podstawie opierasz ten swój wniosek?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

–Prawdziwi Postulanci nie mają żadnego powodu do życia poza pragnieniem, które nimi kieruje. Twoje oczy były wypełnione sprawami.

Lonerin zaczął się pocić. Była bystra. U innych jego przedstawienie nie wzbudziło podejrzeń.

–Jak masz na imię?

–Lonerin. A ty?

–Dubhe. Szybka odpowiedź pocieszyła go. Może to nie była pułapka.

–No więc? – ponagliła.

–Co tam robiłeś? I kim jesteś?

–Ty zacznij. Dubhe zrobiła niezadowoloną minę, ale zaczęła.

–Szukałam przejścia do mieszkań Strażników. Wiem, że znajduje się w tamtej sali.

Lonerin nic nie rozumiał.

–Strażników?

–Zabójców wyższego stopnia, tych w gorsetach z kolorowymi guzikami. Natychmiast zaświtał mu obraz Strażników kontrolujących Postulantów.

–A co, śpią gdzie indziej?

–Właśnie.

–A skąd ta cała tajemniczość? Wy nie możecie poruszać się tak jak chcecie?

–Nie wszyscy. Ja nie.

–A dlaczego?

Dubhe uśmiechnęła się.

–Ja powiedziałam ci o sobie. Zanim pójde dalej, ty opowiedz mi coś na swój temat.

Lonerin znów zaczął się pocić. Co teraz? Ile mógł powiedzieć?

–Przychodzę z zewnątrz i prowadzę rozpoznanie. Milczenie, które zapadło, trwało bardzo krótko.

–Jaki rodzaj rozpoznania?

–Na temat Gildii...

–Na czyje zlecenie? Lonerin zawahał się. Ryzykował zaprzepaszczenie wszystkiego.

–Nie mogę ci tego powiedzieć.

–No dobrze... To nie ma znaczenia, przynajmniej na razie. Czy szukałeś tego, co ja? Tego zatem chciała, wymiany informacji.

–Nigdy nie słyszałem o przejściu, o którym mówisz.

Dziewczyna spojrzała na niego przeciągle i badawczo.

–Posłuchaj, nie jestem tu po to, aby szukać sekretnych przejść czy czegoś w tym stylu, ja...

Nagle poczuł, jak prawda ciśnie mu się na usta. Nie rozumiał dobrze, z czego to wynika, ale ufał tej dziewczynie i wydawało mu się to czymś niebywałym. Była to nieznajoma, która nakryła go, kiedy robił coś nieskończenie niebezpiecznego, a co więcej – była wrogiem. A jednak jej ufał.

–Jestem czarodziejem – skapitulował. – Staram się wybadać, co kombinuje Gildia. Wiem, że istnieje jakiś plan, coś wielkiego. Zbieram informacje.

Dubhe kiwnęła głową.

–I chcesz tego dokonać jako Postulant?

–Znasz inny sposób?

Dziewczyna oparła się plecami o ścianę i spojrzała w górę.

–Nie, rzeczywiście me.

–I co teraz zrobisz? Lonerin czekał.

–Ja nie jestem Zwycięską. Pozwolę ci odejść i na tym koniec.

Nie interesuje mnie, jak skończy to miejsce: jeśli zniknie czy się pogąrzy – tym lepiej.

W jej głosie słyhać było dziwną rezygnację, uśpiony ból – ten sam, który Lonerin dostrzegł w jej oczach już przy ich pierwszym spotkaniu. Nie, to nie była Zabójczyni, nie w sensie, jaki to słowo miało tam, pod ziemią.

Nagle dziewczyna się ocknęła.

–Mówisz, że jesteś czarodziejem?

Lonerin przytaknął.

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym podwinęła rękaw koszuli i pokazała mu coś.

–Rozpoznajesz to?

Lonerin wziął jej ramię i ustawił je pod światło księżyca. Niewiele ponad łokciem widniał wielki czerwono-czarny symbol. Chłopak przyjrzał mu się uważnie i przesunął po nim palcami. Nie potrzebował wiele czasu, aby to rozpoznać. Zadrżał.

–To pieczęć.

–Powiedziano mi, że to klątwa. Głos miała złamany. Lonerin przez chwilę patrzył jej w oczy. Bała się.

–Istnieje różnica pomiędzy klątwami a pieczęciami. Klątwy nie należą do magii związanej z życiem czarodzieja, który je rzuca, ale są prostymi zaklęciami niskiego poziomu, działają tylko raz i mogą zostać przewyciężone silniejszą magią. Pieczęcie nie.

–Znam tę różnicę, ale teoria wcale mnie nie interesuje. Dlaczego mówisz mi, że to pieczęć?

–Znam ten rodzaj Zakazanej Magii: żadna klątwa nie pozostawia na ciele symboli. Tylko pieczęcie mają tę cechę.

Dubhe szorstko wyrwała mu ramię i zakryła je z powrotem.

–Jeżeli chcesz, żebym ci pomógł, musisz powiedzieć mi wszystko.

Nie podniosła głowy, dalej zajęta była zakrywaniem ramienia. Zaskoczyła go, kiedy nagle zaczęła mówić.

Opowiedziała mu swoją historię. Historię okrutnego oszustwa, historię długiej agonii tam, pod skałami, historię potwora spragnionego krwi, który stopniowo pożerał jej duszę.

–Ja chcę stąd odejść. Pozostając tutaj – umieram. Tu przekracza się wszelkie granice, a ja...

–Wiem – mruknął Lonerin, zaciskając pięści. – Wiem.

–Chcę zdobyć eliksir – powiedziała. – Dlatego tam byłam. Szukam pokoju

Strażniczki Trucizn, aby ukraść jej eliksir i odejść. Czy ty możesz go dla mnie zdobyć?

Lonerin nie znał jej, ale czuł dla niej litość. Kolejna ofiara Gildii.

–Oszukują cię.

Dziewczyna podniosła gwałtownie głowę.

–Pieczęci nie można wyleczyć. Elixir, który ci dają, opanowuje symptomy, ale pieczęć cały czas działa i się rozwija. Oni tego nie zatrzymują.

Nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz. Słyszał, jak oddycha coraz szybciej.

–Mylisz się...

–Ja nie jestem specjalistą od pieczęci, ale... nie można ich przełamać... A przede wszystkim nie można ich wyleczyć zwykłym eliksirem.

Siedząca przed nim Dubhe wydawała się całkiem skamieniała. Patrzyła na niego zagubiona, z ramionami opuszczonymi na uda.

–Mylisz się... – powtórzyła.

–Bardzo rzadko, ale zdarzały się przypadki ich przełamania – dorzucił

litościwie. – Jeżeli pieczęć nie została nałożona przez zbyt potężnego czarodzieja, to

mimo wielkich trudności można ją przełamać. Na przykład Aster jedną złamał.

Krew zdawała się powracać na policzki Dubhe.

–Jest to jednak trudne. Może się udać tylko wielkim czarodziejom, kosztuje

wiele wysiłku i w dodatku nie zawsze skutkuje...

–Znasz takich? Lonerin przerwał.

–Co?

–Czarodziejów, którzy potrafią coś takiego zrobić. Nie wiedział. Folwar?

–Może...

–Dam ci wszystko, aby się z nimi spotkać, cokolwiek... Zaprowadź mnie do

nich, a zrobię dla ciebie wszystko. Była zdesperowana. – Ja... mam misję... a potem...

uciec...

–Przeprowadzę za ciebie rozeznanie.

Widać było, że powiedziała to z rozpędu, ale jednak wydawała się naprawdę przekonana. Nie robiła wrażenia osoby, która mówi na próżno.

–Chcesz, żebym ci powiedziała, co dzieje się w tych murach. Zrobię to. Ja mam

większą swobodę ruchu niż ty, a już na pewno potrafię szukać. W końcu to mój zawód.

Odkryję to, co chcesz wiedzieć, i wyprowadzę cię stąd, a ty w zamian zaprowadzisz

mnie do kogoś, kto potrafi mnie wyleczyć.

Lonerin nagle poczuł się zawstydzony. Jej błagalny wzrok i ta oferta, ta wymiana: życie w zamian za wykonanie zadania które przecież należało do niego. Nie był

pevien, czy może ją uratować, ale jak odmówić?

–Nie jestem pewien, czy mogę cię ocalić... – poczuł się w obowiązku powiedzieć.

–To nieważne. Mnie wystarczy odległa nadzieja, po prostu myśl, że będę mogła opuścić to miejsce.

Otchłań jej strachu i jej determinacja przeraziły go.

–Zgoda – zamruczał.

Przeszłość IX

Od kiedy Dubhe podjęła decyzję, czuje się pewniejsza. Wszelkie mosty łączące ją z przeszłością zostały ostatecznie zburzone, jej droga jest wreszcie wyznaczona. Po spotkaniu ze swoją matką ma wrażenie, że nie ma już możliwości wyboru. Z zaskoczeniem przyłapuje się na myśli, że może rzeczywiście wszystko jest ustalone od początku. Przeznaczenie. A jej przeznaczeniem jest zabijanie, zostanie zabójcą i całkowite poświęcenie się Mistrzowi, jednemu stałemu punktowi w świecie pełnym chaosu.

I tak znowu podejmują podróż; nowe domy i nowe ziemie. Wyruszyli tego samego wieczoru, kiedy dokonała wyboru.

–Chciałabym zmienić klimat... – zaczęła nieśmiało. Mistrz popatrzył na nią.

–Nie czujesz się pewna swojej decyzji? Dubhe pospiesznie pokręciła głową.

–Nie, nie, to nie to... tylko że... to trudne... Zaczęło się dla mnie nowe życie, a więc dlaczego nie...

Na początku krążyli po Krainie Słońca: cały rok spędzony w podróży po

miasteczkach i wioskach. Ani razu jednak nie trafili na Selwę. Może już nie istnieje, a może nigdy nie istniała i żyje tylko we wspomnieniach Dubhe. Tamto życie wydaje jej się tak dalekie, a ona sama tak się od tamtej pory zmieniła, że trudno jej nawet nadać tym wspomnieniom jakiś sens.

Potem wrócili do domu, do Krainy Morza. Kiedy Dubhe znowu widzi ocean, czuje, jak rośnie jej serce. Biegnie po piasku aż do linii wody, jak za pierwszym razem, i tak samo jak wtedy morze jest wzburzone.

Nic się nie zmieniło, dom też stoi dokładnie tam, gdzie był. To właśnie jest świat Mistrza: świat, który się nie zmienia, który zawsze zostaje taki sam. To raczej ona się zmienia, ona jest jedynym poruszającym się punktem na nieruchomym horyzoncie. Odkrywa to, kiedy znowu kładzie się spać.

Pamiętała szerokie i wygodne łóżko, teraz znajduje wąskie poślanie, gdzie może się

zmieścić tylko pod warunkiem, że zegnije nieco kolana.

Urosła, jej ciało się zmieniło. Widzi to, czuje i ma trudności z zaakceptowaniem tego faktu. Biodra bardziej krągłe, nogi dłuższe i piersi, które pęcznieją nagle, bez zapowiedzi. To znajdująca się w niej kobieta pragnie wyjść na powierzchnię, to jej kobiecość, raz w miesiącu pukająca do drzwi.

Czasami podoba się sobie. Przegląda się w wodzie balii, w której się kąpie, i uważa się za ładną ze swoją dziecięcą twarzą i nabrzmiałymi piersiami. Zarumieniona zastanawia się, czy mogłaby kiedykolwiek spodobać się Mistrzowi, czy ta jej zaledwie zarysowana kobiecość mogłaby go pociągać. Gdyby kiedykolwiek miała poślubić lub pokochać kogoś, nie mógłby to być nikt inny. tylko on.

Odpędza te myśli, mocno potrząsając głową, a kropelki z jej włosów uderzają o powierzchnię wody i spadają na podłogę wokół niej. Bo czasami czuje, że nie chce być kobietą. Chciałaby nie mieć żadnej płci, tylko w ten sposób mogłaby naprawdę i w pełni służyć Mistrzowi. Chciałaby być taka jak on, zmieniać się tak, aby stać się jego obrazem. Śmiercionośna jak on, elegancka jak on – tego by właśnie pragnęła, ale jej ciało jej to uniemożliwia: jest murem oddzielającym ją od osoby, którą najbardziej kocha.

I podczas gdy natura toczy się swoim rytmem i lata ją modelują, również szkolenie przebiega owocnie. Teraz Dubhe już zawsze towarzyszy Mistrzowi i odkrywa, że on jej ufa. Trucizny także z reguły przygotowuje ona, odpowiedzialna jest też nawet za większość negocjacji. Tylko zlecenia w Krainie Słońca, które jeszcze się

zdarzają, są w całości w rękach Jenny, a oni od czasu do czasu jeżdżą tam dla jakiejś zyskowej umowy.

Dubhe czuje – wie – że ten moment się zbliża. Wkrótce nadejdzie pora, aby to ona zabiła. Czasami myśli o tym, jak to będzie, co wtedy poczuje. Widziała to wiele razy, tak wiele, że już straciło to dla niej znaczenie. Ale rozumie, że zrobić to własnoręcznie, to coś innego. A poza tym jest Gornar, będący dla niej niezmywalnym wspomnieniem, raną, która zawsze krwawi.

Może asystować przy morderstwie, ale nie może patrzeć w oczy zmarłego. Nie potrafi. Jest pewna, że gdyby spojrzała w te źrenice w ostatnim mgnieniu życia, zobaczyłaby siebie samą i Gornara, wyrok bez możliwości odwołania się.

Myśli o tym, myśli o tym zawsze.

A potem nadchodzi ten moment, nieoczekiwanie, niespodziewanie zarówno dla niej, jak i dla Mistrza.

Chodzi o zlecenie, jakich wiele. Będzie asystować Mistrzowi, jak zawsze, i jak

zwykle ostatnio to ona prowadzi negocjacje.

Spotyka się z mężczyzną w pobliskim mieście. Deszcz pada nieprzerwanie. Przez jakiś czas kaptur jej płaszcz wytrzymał, ale teraz jest już przemoknięty, a kiedy Dubhe wchodzi do gospody, którą razem z mężczyzną wybrali do prowadzenia pertraktacji, zimne dreszcze przebiegają jej po plecach. Może to zwiastuny choroby, a może zwykła obawa, którą odczuwa za każdym razem, kiedy idzie negocjować czyjąś śmierć.

Stojący przed nią mężczyzna jest dość niski i sam też wydaje się przestraszony. Ma małą łysą głowę i pulchne ciało dziecka.

Mówi szybko, niespokojnie i bez przerwy rozgląda się na boki.

–Nie zachowujcie się z taką ostrożnością – mówi do niego Dubhe ze swoim zwykłym chłodem. – Takie zachowanie bardziej rzuca się w oczy.

Nic z tego. Jej ostrzeżenie jeszcze bardziej stawia go na baczność.

Opowiada jej historię zemsty, w której Dubhe gubi się już po chwili. Chodzi o jakieś błahostki między drobnymi możnymi, głupimi feudalami, próbującymi kopać pod sobą nawzajem dołki, blisko granicy, gdzie już rządzi wojna. Mężczyzna jest wysłannikiem pomniejszego porucznika, który chce odegrać się na swoim równym rangą kompanie i zmęczył się czekaniem, aż wojna wyręczy go w zemście.

–Mężczyzna, którego twój pan ma zabić, ma chyba siedem żyć, jak koty. Poza tym to tchórz, zawsze chroni się na tyłach i nigdy nie walczy w pierwszym szeregu...

Dubhe siedzi ogłuszona tym gadulstwem, małostkowością tych wszystkich opowieści o drobnych urazach i człowieczkami, którzy sądzą, że przez zabójstwo staną się wielcy.

Czy to dla takich głupot się zabija?

–Powiedzcie mi, co mam zrobić. Człowieczek określa jej czas i miejsce.

–Sześćset karoli.

Zwykła taktyka, na którą mężczyzna w pełni daje się nabrać, Wreszcie Dubhe wychodzi z lokalu z rysunkiem swojej ofiary i nową pracą dla Mistrza.

Wieczorem opowiada wszystko Mistrzowi. Spotkanie, negocjacje, zadanie.

–Mężczyzna, o którego chodzi, znajduje się o dzień drogi stąd, opuścił pole

bitwy na przepustkę, tak powiedział mi ten typ.

Mistrz w zamyśleniu drapie się po brodzie.

–Myślę, że pierwsza rzecz, jaką musimy zrobić, to udać się tam, gdzie on jest. Poczynić jakieś obserwacje o jego ruchach i może warto wejść w kontakt z kimś ze służby.

–Trzeba wyruszyć jutro. Przepustka trwa tydzień, czasu jest mało i trzeba się pośpieszyć.

–Myślę, że to świetny pomysł.

Dubhe uśmiecha się. Od jakiegoś czasu Mistrz bierze pod uwagę jej sugestie i pozostawia jej rozeznanie prawie w całości. Czuje się dumna z tego zaufania i jest zadowolona, że może mu się przydać, po tym wszystkim, co dla niej zrobił.

Wciągu następnych dni Dubhe po uszy zanurza się w pracy. Ona i Mistrz zatrzymują się w gospodzie, przedstawiając się jako ojciec i córka, chociaż oberżysta początkowo wziął ich za jakąś młodą parę lub coś w tym stylu. Mistrz prawie się rozłościł, słysząc tę insynuację, a ona zaczerwieniła się, mile polechtana. Zresztą Mistrz wcale nie jest aż tak bardzo od niej starszy, z pewnością nie na tyle, aby być jej ojcem.

Dni spędza na rozpoznaniu, kontrolując dom ofiary i śledząc jej ruchy. Wszystko, czego się dowiaduje, skrupulatnie referuje Mistrzowi. Dopiero pod sam koniec on bierze sytuację w swoje ręce i robi ostatni obchód.

Któregoś wieczoru objaśnia jej strategię.

–Zastawię zasadzkę w lesie. Umówiłem się ze stangretem ofiary. Przyprowdzi mi go niedaleko stąd, w odludne miejsce. A kiedy skończę, zabiję też stangreta.

Dubhe zaskakuje ta wiadomość. Zna tego człowieka, rozmawiała z nim kilka razy podczas swoich dociekań.

–Dlaczego stangreta? No, w końcu, czy ci nie pomógł?

Natychmiast zdaje sobie sprawę z głupoty swojego pytania.

I rzeczywiście: Mistrz przez kilka sekund patrzy jej w oczy spojrzeniem, które Dubhe dobrze zna, z milczącą naganą.

–Co ci mówiłem?

Dubhe opuszcza wzrok.

–No tak... to świadek.

Wychodzą, kiedy noc jest już głęboka i ciemna. Dubhe patrzy w górę. Nie ma księżycy. Do tego typu prac potrzeba niewiele światła.

Otula się płaszczem. Jak zawsze, kiedy towarzyszy Mistrzowi, targa nią wiele różnych, sprzecznych ze sobą emocji. Podniecenie, strach, wyrzuty sumienia. I za każdym razem czuje się oszołomiona.

Zaczają się w krzakach.

Oboje poruszają się takimi samymi, zwinnymi i cichymi ruchami. Robią bardzo niewiele hałasu.

Oczekiwanie odmierzają precyzyjne i spokojne ruchy Mistrza. Dubhe podaje mu strzały, a on wyjmuje z pochwy sztylet.

Mijają minuty, może godziny – Dubhe nie potrafi powiedzieć. Podnosi się wiatr i szeleści listowiem. To im pomaga; im więcej dźwięków, tym mniejsza możliwość, że ktoś ich usłyszy.

Wreszcie dociera do nich odgłos końskich kopyt, poruszających się po suchych liściach. Dubhe kładzie dłoń na sztylecie. Zwykły środek ostrożności, do którego już się przyzwyczaiła, od kiedy zaczęła pomagać Mistrzowi.

On jest gotowy, ręka na sztylecie, już nagim.

Potem głośniejszy hałas: karoca przyspiesza i słychać daleki spłoszony głos.

–Ale co...

Karoca nagle przejeżdża przed nimi. Dubhe widzi, jak konie jadą prosto na nią, zadyszane, z rozszerzonymi nozdrzami. Jest ciemno, ale jej oczy są wyćwiczone i dobrze je widzi.

Są za blisko - instynktownie sztywnieje. Właśnie w chwili, kiedy wydaje jej się, że zaraz na nią wpadną, karoca obraca się i hamuje.

Mistrz podrywa się bez słowa.

Dubhe widzi, jak błyskawicznie otwiera drzwi od karety. Udaje jej się dostrzec siedzącego w środku człowieka i zauważa jego oczy, ich słaby poblask pośród nocy.

–Nie! – próbuje krzyczeć mężczyzna, ale Mistrz jest szybki, góruje nad nim i

Dubhe nie widzi już nic. Słyszy tylko hałas stóp kopiących w drewno. Mdłości szarpia

jej trzewia. Widziała tak wielu umierających, ale nie potrafi być zimna. Denerwuje się sama na siebie i na własną słabość.

Kiedy Mistrz wychodzi, jego sztylet jest czerwony i ocieka krwią. Stangret przez cały ten czas siedział na swoim miejscu patrząc przed siebie w pustkę.

Dubhe nauczyła się wyczuwać przerażenie i wie, że mężczyzna się boi; żyły na jego szyi są nabrzmięte, szczęka zaciśnięta.

Mistrz idzie ku niemu, a stangret widocznie drży.

–Wykonałeś swoją pracę – mówi, a Dubhe wie, że powiedział to, aby go uspokoić.

–Wszystko rozgrywa się w mgnieniu oka. Mężczyzna zeskakuje z kozła i rzuca się w las. Mistrz skacze za nim, ale nie udaje mu się go złapać.

–Dubhe! – krzyczy.

To jej ciało, jeszcze przed jej głową, odpowiada na wezwanie, Dubhe podrywa się. Ze zwinnością, o jaką by się nigdy nie posądzała. Gotowa. Nie ma miejsca na strach ani na nic innego. Wszystko dzieje się zbyt szybko.

Jej ręce biegną do noży, palce chwytają je lekko, potem wyrzut, dokładny. Mężczyzna jest przed nią niewyraźną ciemną plamą. Dubhe nawet nie wie, co robi, nie ma czasu myśleć.

Potem słyszy stłumiony krzyk i rzeczywistość znowu przyjmuje swoje kontury.

Trafiłam go, mówi do siebie z nagłym niedowierzaniem. Zabiłam go.

Mistrz biegnie do mężczyzny ze sztyltem zaciśniętym w dłoni. Potem jednak zatrzymuje się. Nic nie robi. Odwraca się do niej.

–Zabiłaś go.

Te słowa dziwnie brzmią w ciszy lasu. Dubhe stoi skamieniała na swoim miejscu.

Zabiłam go.

Nie jest w stanie myśleć o niczym innym. W jej głowie rozbrzmiewa ostatni krzyk mężczyzny, szum wyrzucanych noży.

Zabiłam go.

Stangret leży na brzuchu, na dywanie z liści. Krew połyskuje na ziemi. Jego twarz jest ukryta, ale jest tak samo, jakby Dubhe mogła ją widzieć. Ma oczy Gornara.

–Twoje pierwsze morderstwo, Dubhe. Teraz jesteś zabójcą.

Dubhe stoi nieruchomo, ramiona opuszczone wzdłuż boków, prawdopodobnie powinna coś odczuwać, ale nie czuje nic. Podnosi oczy. Nad nią blade światło miriadów gwiazd.

Ile...

Odrywa wzrok od mężczyzny. Łzy podchodzą jej do oczu. Potem w jej pole widzenia wkracza Mistrz i wszystko się zatrzymuje.

–Byłaś dzielna.

Kiedy wracają do domu, jest krótko po północy. Wszystko skończone. Jakby nic się nie stało.

–Dam ci połowę pieniędzy, zasłużyłaś sobie na nie – mówi jej Mistrz.

Dubhe słucha go nieuważnie. Nic jednak nie ma znaczenia. Wszystko jawi się jej, jakby oglądane przez szybę. Dalekie, niepotrzebne.

A potem zostaje sama w swoim pokoju, już bez żadnej zasłony między nią a tym, co się wydarzyło.

To stało się tak nagle i w sposób bardzo odmienny od tego, czego się spodziewała.

Mistrz ją pochwalił. Zrobiła to, do czego się urodziła, zrobiła to instynktownie i w dodatku zrobiła dobrze. A jednak nie ma w niej zadowolenia, tylko pustka, której nie potrafi nadać imienia. Przeznaczenie się wypełniło, od tej chwili już zawsze tak będzie. Szukanie pracy, zabijanie, odbiór pieniędzy i znowu od początku, w spirali, która zabiera jej oddech.

Wychodzi na zewnątrz, mimo że wieje silny wiatr i powietrze pachnie deszczem. Wlecze się do studni. Gwałtowne podmuchy chłozczą jej ciało. Wyciąga wiadro i zanurza dłonie w wodzie. Jest lodowata. Obmywa nią twarz, a potem znowu

dłonie, i jeszcze, i jeszcze, aż do utraty czucia, aż palce stają się obce, a twarz jakby pokłuta tysiącami szpilek.

–Gornar... Gornar...

Kiedy czuje dwie dłonie, ściskające jej ramiona, odrzuca je ze złością. Mistrz stoi przed nią. Jest ciemno, a jednak widzi, że jest smutny. Nie może się do niego zbliżyć.

–Ja nie chciałam zabić Gornara... – mruczy i czuje, że jest o krok od szaleństwa.

–Chodź do środka.

–Nie chciałam go zabić!

Mistrz siłą łapie ją za rękę i przyciąga do siebie. – Chodź do środka – powtarza zduszonym głosem. A ona zaczyna płakać.

Mistrz prowadzi ją do domu, sadza przed kominkiem, otula swoim płaszczem. Jednak zimno jest wszędzie, atakuje ją i tej pierwszej nocy, którą spędza jako zabójczyni, nie ma żadnego ciepła, które naprawdę mogłoby ją ogrzać.

Mistrz pozwala jej się wyładować, wyrzucić złość, ból i poczucie winy. W końcu wszystko mija. Może wróci, nawet na pewno, ale na razie mija.

–Tak jest zawsze, musisz o tym wiedzieć.

Głos Mistrza jest znowu głosem z owej poprzedniej nocy. Przepełniony bólem, wyrozumiały, tak słodko ciepły.

–Ja pochodzę z Gildii. Od chwili moich narodzin w tamtych przeklętych murach nie poznałem niczego innego. Już od dziecka nie uczyli mnie niczego innego

tylko śmierci, nauczyli mnie, że zabijanie jest słuszne, że robi się to dla chwały jakiegoś przeklętego boga, którego imię powinno zostać starte z oblicza ziemi. Nie znałem na świecie nic poza tym, nic. Kiedy miałem dwanaście lat, kazali mi dokonać pierwszego zabójstwa. Był to jeden z nas, który pomylił się o jeden raz za dużo. Takie

panują tam reguły. Kto nie jest dobry, umiera. Ja myślałem, że to słuszne, święte, byłem zaszczycony faktem, że zostałem wybrany.

Zaśmiał się cicho i z goryczą.

–Niewiele było trzeba. Był na wpół odurzony którąś z tych substancji, jakich oni używają. Musiałem tylko uderzyć go sztyletem w serce. Dokładnie wiedziałem jak. W wieku dwunastu lat wiedziałem, jak się zabija człowieka, jak sprawić mu cierpienie i jak zadać cios, by umarł natychmiast.

Zatrzymuje się, wzdycha. Dubhe go słucha.

–Kiedy to zrobiłem, nie wydawało mi się to niczym szczególnym. Jednak przez kolejne dni dręczył mnie obraz zmarłego, takiego, jakim był za życia i jak na mnie spojrzał, kiedy wbiłem mu sztylet. Prześladował mnie. Czułem się brudny, ale choćbym nie wiem, ile się mył, na moich dłoniach zawsze była krew, zawsze.

Przez moment wydaje się, że jego głos się załamie i przejdzie w płacz, ale kiedy podejmuje, jest mocny jak wcześniej, pewny.

–Potem doszedłem do siebie. Zawsze dochodzi się do siebie. Ale za pierwszym razem też chce się być martwym.

Dubhe znowu płacze.

–Myślałam, że tego chcę, Mistrzu, myślałam, że już przezwyciężyłam Gornara i wszystko inne, ale tak nie jest... To nigdy nie minie... Nigdy...

Mistrz przyciska ją mocno do siebie.

–Teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałem, żebyś ze mną szła, rozumiesz? Moja droga prowadzi właśnie do tego, a ja nie chciałem, żebyś i ty musiała nią iść.

Przytula ją mocno, a Dubhe poddaje się jego uściskowi.

–Przysięgnij mi, że już więcej tego nie zrobisz – mówi ledwo słyszalnym szeptem.

Słowa, których do poprzedniego wieczoru Dubhe nigdy nie chciałaby usłyszeć. Słowa, które pachną dla niej opuszczeniem i samotnością. Teraz przybywają

błogosławione, prawie wyblągane. Ale jeszcze się boi.

–Nie opuszczaj mnie, Mistrzu, nie opuszczaj mnie! Nauczę się zabijać bez strachu, stanę się bezlitosna, taka, jak chcesz, zrobię wszystko, czego chcesz.

–Ale ja tego nie chcę!

Jego głos jest silny, ale prawie rozpaczliwy.

Wysuwa się z objęcia, bierze jej twarz w dłonie, patrzy na nią.

–Ja nie chcę, żebyś ty dalej zabijała, nie chcę, żebyś była taka, jak ja.

Dubhe nie wie, co ma myśleć. Na świecie pragnie tylko Mistrza i nawet jeżeli dla niego musi zabijać i za każdym razem odczuwać to samo przerażenie, tę samą udrękę, zrobi to.

–Popatrz na mnie! Ty nie chcesz zabijać, ja to wiem! Gdybyś mogła zostać ze mną bez tego, co byś wybrała?

Nie bardzo wie, co ma odpowiedzieć.

–Ja chcę być z tobą... Ty zawsze ze mną byłeś, chcę zawsze być z tobą...

–Ale czy chcesz zabijać? Chcesz czynić to dalej dzień po dniu, dopóki nie zgaśniesz tak jak ja?

Patrzy na nią tak intensywnie, że pod jego wzrokiem Dubhe czuje się całkiem naga.

–Nie! Nie chcę! Nie chcę już tego robić! – mówi przez łzy, ściskając go mocno. – Ale ty mnie nie zostawiaj!

–Nie zrobię tego... nigdy... Zostaniesz ze mną, ale przysięgam ci, nigdy więcej nie zostaniesz zmuszona do tego typu rzeczy.

Dubhe obejmuje go mocno i przytula się do niego.

–Dziękuję, Mistrzu, dziękuję...

Mistrz odsuwa ją powoli od siebie, delikatnie zbliża wargi do jej czoła. To Dubhe, popchnięta nie wiadomo przez co, podnosi głowę na tyle, na ile

trzeba i przez ułamek sekundy ich wargi się spotykają. I o ile dla niego jest to

pocałunek braterski, pocałunek stworzenia upadłego i istoty, z którą dzieli to samo mroczne przeznaczenie, o tyle dla niej to coś innego. Dla niej to meta po długiej drodze, uwielbienie, które wzrastało razem z jej ciałem i trwa w nieskończoność, wyspa pokoju i słodczy w morzu nazbyt gorzkiej nocy.

Ale to tylko chwila: Mistrz wycofuje się prawie od razu. Odsuwa wargi i ogranicza się do przytulenia jej do siebie jeszcze raz.

Dubhe czuje rozluźnione ciało, mimo że serce wali jej jak szalone. Ale to już nie strach ani wyrzuty sumienia. To coś nowego i słodsze. Lęk stopniowo ją opuszcza. Potem nadchodzi sen.

29. Strzępki prawdy

Tamtego wieczoru Dubhe odprowadziła Lonerina do jego dormitorium. Po raz pierwszy widziała miejsce, w którym mieszkali Postulanci. Odór wielu stłoczonych tam ciał chwycił ją za gardło. Powiedziała sobie, że ten chudy chłopak musiał naprawdę bardzo nienawidzić Gildii, skoro ryzykował własne życie i pozwolił się upokorzyć aż do tego stopnia, aby ją zniszczyć. Patrzyła na niego, kiedy ostrożnie wchodził do sali, i pomyślała, że naprawdę są do siebie podobni. Zatrzymała go.

–Sama cię znajdę. Ty stąd nie wychodź. Lonerin popatrzył na nią zbity z tropu.

–A to dlaczego?

–Bo jesteś Postulantem, nie potrafisz się dobrze poruszać i jeśli będziesz się kręcił po Domu, znajdą cię w mgnieniu oka. Zawiadom mnie tylko w razie, gdyby zbliżało się złożenie ofiary, ale sądzę, że nie stanie się to przed upływem trzech czy czterech miesięcy.

Lonerin kiwnął głową, niezbyt przekonany.

–Jak chcesz... A kiedy się zobaczymy?

–Najpóźniej za tydzień.

Odwróciła się i najszybciej, jak tylko mogła, wróciła do swojego pokoju. Znowu sama, zgasła ostatnią świecę, jaka się jeszcze paliła, i w ubraniu rzuciła się na łóżko. Starła się panować nad swoim oddechem, ale była wzburzona ponad wszelką miarę.

Tak naprawdę nigdy nie wierzyła, że Gildia może uzdrowić ją z klątwy: była przekonana, że będą starali się utrzymać ją w obecnym stanie najdłużej, jak to będzie

możliwe, bo w ten sposób była słaba i podatna na szantaże. Jednak co do faktu, że leczenie istniało i że był to eliksir, który wydawała jej Rekla – co do tego nigdy nie miała wątpliwości.

W rzeczywistości wcale tak nie było. Znikło jedyne rozwiązanie, które dostrzegła.

Oczywiście, mogło być tak, że Lonerin skłamał, ale nie miał powodu, aby to robić, zaś Gildia miała nieskończone powody, aby ukrywać przed nią rzeczywisty stan rzeczy. Nie, Lonerin powiedział prawdę. Ona o tym wiedziała. Nie poprawiało jej się, wręcz przeciwnie: Bestia coraz częściej podnosiła głowę i Dubhe czuła, że z dnia na dzień jest ona coraz silniejsza. Myśl o daremności tych wszystkich miesięcy była dla

niej wielkim ciosem i prawie doprowadziła ją do łez. Ból tego całego okresu, upodlenie, do którego się zniżyła, ofiara z tamtego człowieka... wszystko na próżno, wszystko było owocem strasznego oszustwa.

Teraz jednak wiedziała. Nie miała już żadnej wątpliwości. Znajdzie sposób...

Zniszczy to miejsce, zabije Yeshola i pod stosem ruin pogrzebie kult Thenaara i Astera.

Następnego wieczoru postanowiła przestać zwlekać. Pierwszym zadaniem, jakie należało wykonać, było odnalezienie kwatery Strażników: jeżeli Gildia coś ukrywała, a Dubhe była tego niemal pewna, odpowiedzi musiały znajdować się nie gdzie indziej, tylko właśnie tam.

I tak w środku nocy, okryta swoim zwykłym płaszczem, znowu wybrała się do Wielkiej Sali. Cały czas kręciło jej się w głowie, a Bestia szeptała z otchłani prawie przekonująco, ale Dubhe nie pozwoliła, żeby cokolwiek ją zatrzymało.

Tak jak poprzedniej nocy, podeszła do basenów. Odnalazła wąskie miejsce pomiędzy dwoma posągami. Panowała tam prawie całkowita ciemność. Dubhe ukucnęła, aby wejść do tej szczeliny i aby przyzwyczać swoje oczy do gęstego mroku. Na początku widziała tylko ciemność, potem zaczęła rozróżniać mgliste kontury tego, co się przed nią znajdowało. Zgodnie z tym, co powiedział jej Sherva, stał tam posąg, ale nie wydawał się tak, jak w świątyni. Z jednej strony rysował się niewyraźny cień dwóch skrzydeł, głowa wydawała się mieć coś w rodzaju dzioba, a ciało było raczej smukłe: prawdopodobnie należało do węża.

Dubhe bardzo dokładnie przebiegła palcami po lśniącej i gładkiej powierzchni posągu. Wymacała każde wybrzuszenie wcisnęła każde małe wgłębienie, pociągała za kolce i co tylko mogła, ale wszystko okazało się bezskuteczne. Wydawało się, że nie ma nic, co mogłoby uruchomić jakiś mechanizm.

Godziny mijały bezowocnie, dopóki nie zorientowała się że jest późno. Salę zdawał się ożywiać lekki szelest. Przycupnęła, ale nikt nie przeszedł. W samą porę zorientowała się, że hałas nie dochodził z sali, ale zza posągu – dokładnie z miejsca, gdzie powinna się dostać. Odgłos kroków wchodzących po schodach.

Skoczyła, wyszła z niszy, w której się znajdowała i pobiegła kawałek dalej, ukryć się w cieniu.

Zobaczyła wyraźnie, jak posąg bazyliczka obraca się na własnych zawiasach i jak otwiera się za nim niewielka, oświetlona przestrzeń. Wyszła z niej jakaś sylwetka. Był to Strażnik z zielonymi guzikami na gorsecie. Poczuli, jak wzbiera w niej złość. Dotarła o krok od celu, ale nie mogła się do niego dostać.

Wróciła następnego wieczoru i znowu ta sama historia. Była pewna, że poprzedniej nocy niczego nie przeoczyła, ale sprawdziła wszystko od początku. Nic z tego. Posąg był absolutnie solidny, niewzruszony.

Dubhe odsunęła się od niego, na ile mogła, starając się jednak nie wychodzić z niszy. Czuła się sfrustrowana ponad wszelką miarę. Miała ochotę zniszczyć wszystko ze złości. Poza tym od tego ciągłego pochylania się bolały ją kolana i plecy, a otaczający ją zapach krwi w cztery dni od ostatniego przyjęcia eliksiru sprawiał, że czuła się bliska utraty kontroli nad sobą.

**Zdała się na zmysł wzroku. Było to posunięcie, które przy całej tej przeklętej ciemności wydało jej się wyjątkowo głupie, ale nie miała innego pomysłu. Była zrozpaczona, bo próbowała już wszystkiego. Statua patrzyła na nią drwiąco z dziobem otwartym w czymś, co zapewne w zamyśle rzemieślnika miało być przerażającym wrzaskiem, ale jej teraz zdawało się prześmiewczym grymasem... Paszcza! Nie sprawdziła wewnątrz paszczy! Zrobiła to teraz. Dziób był otwarty, lekko wystawał zeń język, Spróbowała go dotknąć. Nie ruszał się. Może znowu się pomyliła. Spróbowała nacisnąć głębiej, ze złością, aż dotknęła gardła posągu, i...
*Klik.***

Musiała błyskawicznie się odsunąć, a skrawek jej płaszczka prawie zaplątał się w obrotowe drzwi.

Za posągiem znajdowały się kręcone schody – dokładnie tak, jak myślała. Pomieszczenie było wąskie i słabo oświetlone przez parę pochodni.

Uśmiechnęła się zwycięsko, ale tylko przez moment. Bardzo powoli zeszła po stopniach. Schody były niezwykle podobne do tych, które ze świątyni prowadziły do Domu, tylko bardziej wilgotne i zepsute. Jediną pozytywną stroną całej sytuacji było to, że im niżej schodziła, tym bardziej oddalała się od zapachu krwi.

Znalazła się w owalnej, niezbyt dużej sali. Z jednej strony stała tradycyjna statua Thenaara z nieodłącznym Asterem. Pomieszczenie było wąskie i Dubhe natychmiast poczuła się nieswojo. W każdej chwili mogła zostać odkryta, a to byłby koniec, na zawsze.

Spróbowała o tym nie myśleć. Teraz musiała być skoncentrowana tylko na swojej misji: jakiegokolwiek rozproszenie uwagi mogło zadecydować o jej życiu lub śmierci.

Rozejrzała się wokół. Było tu pięć korytarzy, które wydawały się niczym nie różnić od tych, znajdujących się na wyższym piętrze Domu. Wszystko było tam tak, jak w mieszkaniach Zabójców, ale mniejsze.

Postanowiła, że trzeba przebiec przez wszystkie.

Serce jej stanęło, kiedy zorientowała się, że jeden z nich prowadził prosto do pokoju Yeshola. Kiedy przeczytała na drzwiach napis NAJWYŻSZY STRAŻNIK, zatrzymała się skamieniała. Prawie przestała oddychać.

Za tymi drzwiami z pewnością znajdowały się wszystkie odpowiedzi, których szukał Lonerin, ale prawdopodobnie już samo stanie tam przed nimi było niebezpieczne. Odwróciła się.

Jeden po drugim przemierzyła wszystkie korytarze i zatrzymała się na końcu trzeciego.

STRAŻNICZKA TRUCIZN.

Oto i ono. Miejsce, którego tak szukała, pokój, który mógł ją ocalić. Rekla była tam, spała tam w środku, a może nawet o tej porze nocy była ukryta w swoim laboratorium. Właśnie, laboratorium Nie było po nim śladu. Prawdopodobnie znajdowało się w innym skrzydle, chyba że po prostu wchodziło się do niego z pokoju Rekli,

Przeszła dalej i przy ostatnim korytarzu czekała na nią niespodzianka. Prowadził on do biblioteki. Dubhe nawet nie podejrzewała jej istnienia. Nikt nigdy jej o niej nie wspomniał. Zastanawiała się, czy to też nie byłoby ciekawe do zwiedzania miejsce. Może to tam kryła się tajemnica wiary Yeshola w bliskie przyjscie Thenaara.

Dubhe przez kilka chwil stała niepewna w progu. Mogłaby spróbować rzucić okiem do środka, ale drzwi były zamknięte i najpierw musiałaby je sforsować, a ta operacja wymagała szczególnych narzędzi, w które nie była teraz wyposażona. Poza tym noc już była późna i musiała wracać do swojego pokoju.

Już miała odejść, kiedy usłyszała hałas.

Błyskawicznie ukryła się za statuą Thenaara. Dyszała. Naprawdę niewiele brakowało.

Powoli odetchnęła i wyjrzała zza posągu.

W tym momencie zobaczyła wychodzącego właśnie z biblioteki Yeshola z twarzą wymęczoną, ale jakby rozświetloną radością. Pod pachą niósł jakąś księgę. Dubhe starała się zrozumieć, co to za książka, ale nie było to możliwe. Udało jej się tylko dostrzec, że była czarna, z dużymi miedzianymi okuciami na rogach. Na okładce widniał skomplikowany czerwony pentakl.

Zobaczyła, jak znika z pola widzenia i kieruje się do swojego pokoju. Nie zobaczył jej i nie usłyszał! Woliała nie zwlekać dłużej i wróciła tą samą drogą, którą przyszła. Problem pojawił się, kiedy znalazła się przed ceglana ścianą, znajdującą się na końcu schodów. I co teraz?

Poczuła, że brakuje jej powietrza. Na murze nie było żadnego zarysowania, wszystkie cegły były doskonale identyczne. Uwięziona jak mysz w pułapce. A tymczasem czas mijał i na pewno niedługo jakiś Strażnik obudzi się i będzie wychodził.

Przesunęła dłońmi po ścianie, opukała pięściami każdą cegłę, aby usłyszeć, czy któraś wydaje inny odgłos, przyłożyła ucho do ściany. Wszystko wydawało się na miejscu.

Desperacja wzrastała, ale Dubhe starała się trzymać ją na wodzy. Postawiła na rozwiązanie siłowe. Zaczęła naciskać na wszystkie cegły.

Nic z tego. Zrezygnowana oparła się o ścianę za sobą. Nic. Tysiąc tajemnic do odkrycia, ale nie zdąży. Za najwyższej godzinę, może dwie, ktoś ją znajdzie.

Nie, do diabła, nie!

Jeżeli nie chodziło o ścianę, musiało tam być coś innego. Rozejrzała się gorączkowo wokół. Nie było żadnych uchwytów, przycisków – nic. Tylko pochodnia...

Zatrzymała się.

Złapała za uchwyt pochodni. Parzył, ale nie na tyle, żeby nie można go było dotknąć. Ścisnęła mocniej, pociągnęła.

Wreszcie ściana się otworzyła. Dubhe rzuciła się przez otwarte przejście. Biegiem przemierzyła drogę, którą przyszła, i wróciła do swojego pokoju. Dopiero kiedy znalazła się w swoim łóżku, poczuła się choć trochę bezpieczna. Położyła się w ciemności z otwartymi oczami.

Miała o czym rozmyślać, to było coś ważnego...

Zatem Yeshol nie spał po nocy i do późnych godzin przebywał w bibliotece. Dlaczego? I co to za książkę trzymał pod pachą?

Kolejnego wieczoru zmuszona była do bezczynności. Musiała porozmawiać z Lonerinem.

Dotarła do niego późną nocą w dormitorium. Podeszła do niego tak cicho, że nikt nie zauważył jej obecności, a tym bardziej chłopak, który mocno spał.

Kiedy tylko dotknęła jego ramienia, drgnął i podniósł się gwałtownie.

–Spokojnie – szepnęła.

–To ty... właśnie miałem jakiś koszmar i...

–Nie ma czasu na sny – ucięła krótko Dubhe i opowiedziała mu o swojej nocnej wyprawie.

Lonerin wysłuchał wszystkiego z wielką uwagą.

–Następny ruch? – zapytał w końcu.

–Wejście do pokoju Yeshola. Lonerin wytrzeszczył oczy.

–Jak zamierzasz tego dokonać?

–W ciągu dnia prawie zawsze pracuje w swoim gabinecie na pierwszym poziomie, więc pokój będzie pusty. Tak czy inaczej, wystarczy obserwować jego ruchy.

Ja jednak muszę mieć dobry powód, aby nie pojawić się na moich codziennych lekcjach. Tu będziesz potrzebny ty.

Lonerin natychmiast nadstawił uszu.

–Znam się dość dobrze na botanice i wiem, że podstawą waszych napojów magicznych są zioła. Musisz mi powiedzieć, jak przygotować eliksir, który będzie w stanie zmodyfikować mój wygląd.

–Twój plan nie jest dla mnie bardzo jasny...

–Ty dasz mi przepis, a ja wyjdę i zdobędę składniki. Mogę to zrobić, bo powierzono mi misję, którą muszę wypełnić do końca tego miesiąca. Wyjdę, wezmę to, co jest potrzebne, i wrócę. Wyglądając już jak ktoś inny – nieważne, bo będę miała

kaptur dobrze opuszczony na twarz. Ważne, żebym wyglądała inaczej niż teraz: powiedzmy, że przyjmę postać mężczyzny. Wrócę do Domu, zejdę tam na dół i wkradnę się do pokoju Yeshola.

Lonerin patrzył na nią z mieszaniną podziwu i niepokoju.

–To bardzo ryzykowne...

–Ja i tak jestem skazana na śmierć. Zaryzykowałabym wszystko. Jej głos był lodowaty, ostry, pewny.

Lonerin kiwnął głową. – Zgoda. To ja powinienem wziąć na siebie to ryzyko, ale...

Dubhe podniosła dłoń.

–Podaj mi skład eliksiru.

–Nie mam nic do pisania...

–Zapamiętam. Mam świetną pamięć, to część szkolenia.

Lonerin opowiedział jej wszystko dokładnie, zasypał ją informacjami o składnikach i dawkach. Niełatwo było utrzymać to w pamięci, ale Dubhe wiedziała, że da radę. Kiedy skończył, zaczęła się podnosić. Chłopak zatrzymał ją.

–Opisz mi książkę, którą niósł ze sobą Yeshol.

–Był to duży i stary czarny tom o miedzianych okuciach, na wpół zjedzonych przez rdzę, i miał na okładce wielki czerwony pentakl.

Lonerin zamyślił się, jakby zaniepokojony.

–Znasz ją?

–Nie wiem, ale z twojego opisu wynika, że to księga Zakazanej Magii. To zazwyczaj bardzo stare książki – mówi się, że w bibliotece Tyrana było ich pełno.

Dubhe poczuła lodowaty dreszcz schodzący jej w dół pleców.

–Jak stara ci się wydała?

–Nie wiem... bardzo... i przede wszystkim w złym stanie.

Zapadła cisza. Dubhe wiedziała, że powinna już iść, że ryzyko, iż ją nakryją, wzrasta z każdą kolejną minutą, jaką tam spędza. Jednak było jeszcze coś, co musiała powiedzieć.

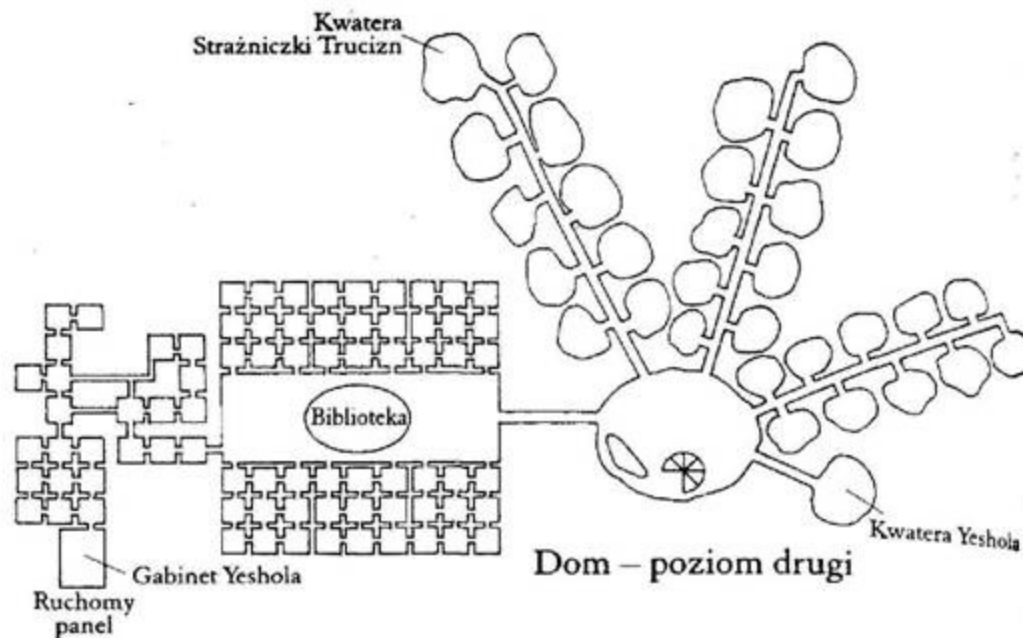
–Gildia czci Astera jako proroka.

Oczy Lonerina powiększyły się ze strachu.

–Co?

–Według nich Aster był największym z wysłanników Thenaara, i cała

potworność, jaką za sobą zostawiał, nie była niczym innym, tylko próbą osiągnięcia czasów przyjscia Thenaara. W Domu wszędzie są jego posągi. Lonerin zacisnął dłoń na ramieniu Dubhe. Zaklął.



–Tamtej nocy nie powiedziałam ci o tym... nie przyszło mi do głowy...

–To nieważne... nieważne... Spojrzał na nią przestraszony.

–Pospiesz się. Mam wrażenie, że sprawy mają się o wiele gorzej, niż sądziła Rada.

Następnego dnia wczesnym rankiem Dubhe zawiadomiła Reklę, że nie będzie jej przez cały dzień.

–Muszę zobaczyć się z moim informatorem. Może się zdarzyć, że nie wrócę na noc.

Rekla sarkastycznie wzruszyła ramionami.

–Za dużo czasu ci to zajmuje, wiesz o tym. Coś się za tym kryje, ale chcę wierzyć w twoją inteligencję. Zostało jeszcze dziesięć dni, a jeżeli ci się nie uda, wiesz, co cię

czeka.

Dubhe zacisnęła pięści i przełknęła złość.

–Nie bój się, znam swoją powinność.

–Mam nadzieję.

Wyszła ze świątyni biegiem, świadoma, że czas pozostający do jej dyspozycji jest praktycznie żaden. Jeden dzień na rozwiązanie tajemnicy. I musiała przygotować

napój magiczny.

Z pewnością byłoby korzystnie mieć pod ręką Toriego, ale naprawdę nie miała czasu, żeby wybrać się aż do Krainy Słońca, aby on przygotował jej wszystko, co było potrzebne. Zadowolila się więc małym sklepem z ziołami w pobliskiej wiosce. Zresztą potrzebowała ziół raczej pospolitych.

Trudniej było znaleźć ten dziwny kamień, którego kazał jej użyć Lonerin, rodzaj bardzo powszechnego wśród czarodziejów magicznego artefaktu. Kupiła go w sklepie z magicznymi akcesoriami.

–Czy jest już poświęcony? – spytała, jak kazał jej Lonerin.

Sklepiarz bąknął, że tak.

Wreszcie zatrzymała się na polanie, niezbyt odległej od świątyni. Rozpaliła ogień, przygotowała różne składniki. Nigdy nie odprawiała czarów: w przeszłości przygotowywała tylko trucizny. Do wymieszania wszystkiego użyła buteleczki, którą zawsze przy sobie nosiła i która teoretycznie przeznaczona była na krew ofiar.

Eliksir miał bladozielonkawy kolor i był niezwykle gęsty. Nie miała pojęcia, jak powinien prawidłowo wyglądać, Lonerin jej tego nie powiedział. Na końcu włożyła kamień: eliksir gotował się przez kilka sekund, po czym przybrał różowawy odcień i nagle stał się całkiem przezroczysty.

Wypiła go jednym haustem, nie zastanawiając się.

Nic nie poczuła. Ani mrowienia, ani żadnego złego samopoczucia. Tylko ziołowy smak tej wodnistej cieczy.

Nie zadziało... i co teraz?

Wzięła ze sobą mały, dobrze wypolerowany kawałek stali, jedyny rodzaj lustra, jaki miała w Domu. Przejrzała się z lękiem.

Dostrzegła raczej młodego mężczyznę z nieogoloną brodą i rudawymi włosami. Wzdrygnęła się. A przecież Lonerin jej o tym powiedział.

„Aby przybrać dokładnie określoną formę, potrzeba by zaklęcia. Tak jednak, używając jedynie kamienia z Aule, przyjmiesz wygląd, którego nie potrafię przewidzieć. Może jakiejś osoby, którą znasz, albo wspomnienia... nie wiem. To forma zaklęcia dla naprawdę początkujących, doświadczony czarodziej nigdy nie ucieka się

do eliksirów tak prostych i niemożliwych do kontrolowania w pełni”.

Dłoń jej zadrżała, schowała lusterko pod szatami.

Nie była dokładnie taka jak Mistrz, ale bardzo go przypominała. Rozpoznała go, kiedy tylko mignęła w stali jego sylwetka i chociaż wiele szczegółów się nie zgadzało, jej pamięć poprawiła je i ukazała jej obraz tego człowieka, którego tak bardzo kochała, i który był dla niej wszystkim.

Kiedy znalazła się w świątyni, poczuła się, jakby popełniała świętokradztwo: wchodziła tam, wyglądając tak podobnie do Mistrza. Tak czy inaczej, cel był szczytny.

Nonszalancko przemaszerowała przez świątynię, owinęła płaszcz wokół ciała i pogrążyła się w ciasnych korytarzach Domu.

Nie było wielkiego ożywienia. Poranek był późny i wszyscy byli już zajęci własnymi sprawami. Ci, którzy mieli do spełnienia jakąś misję, już wyszli, kto natomiast nie miał żadnego zadania do wypełnienia, modlił się albo – co jeszcze bardziej prawdopodobne – ćwiczył w sali. Niektórzy medytowali w swoich pokojach. Tak było lepiej. Im mniej ludzi spotkała, mniej się musiała tłumaczyć.

Przeszła przed gabinetem Yeshola na pierwszym poziomie. Przed drzwiami stał młody ordynans, którego Najwyższy Strażnik zabierał ze sobą podczas pracy, co znaczyło, że starzec był w środku. Dubhe rozradowała się wewnętrznie.

Wielka Sala była na wpół pusta. Ktoś pogrążony w modlitwie, żadnego Strażnika w zasięgu wzroku. Dubhe znikła błyskawicznie w ciemności pomiędzy basenami, pewnie otworzyła drzwi. zniknęła na schodach. Kiedy tylko postawiła nogę na drugim poziomie, serce zaczęło walić jej silniej. Na ostatnim stopniu kręconych schodów zawahała się. Nie słyhać było żadnego odgłosu. Prawdopodobnie nikogo nie było, tak jak miała nadzieję.

Kilkoma krokami przebyła salę i, udając naturalność, weszła w korytarz prowadzący do pokoju Yeshola. Przed nią znajdowały się zamknięte drzwi, nie do ruszenia. Tajemnica była zaledwie o krok, zaraz za nimi.

Dubhe zatrzymała się. Pozwoliła jeszcze swojemu słuchowi wybiec daleko, aby pochwycić nawet najmniejszy hałas. Nic. Ani wibracji posadzki, ani szelestów, ani nic innego. Całe piętro wydawało się naprawdę puste. Nadszedł czas.

Uklękła i wyciągnęła mały, na wpół zużyty wytrych. Dar Jenny. Przed oczami stanął jej jego obraz, jak chudy i wymęczony błąka się po mieście, ale odpędziła go, kiedy jej dłoń precyzyjnie wsuwała wytrych do zamka.

Zimny pot spływał jej z czoła. Ostrożnie poruszyła rękami i z wielką uwagą przekręciła wytrych. *Klik*. Pierwsza zapadka z głowy.

Jedną dłonią otarła kroplę potu, która zatrzymała się na prawej brwi. Dalej żadnego hałasu. Wróciła do pracy. *Klik*. Druga z głowy.

Była o krok od pokoju. Trzecia zapadka wymagała więcej pracy, ale w końcu ona też ustąpiła. *Klik*.

W środku. Po ciemku Dubhe wyciągnęła przyniesioną ze sobą świecę i zapaliła ją. Rozejrzała się wokół. Pokój nie różnił się od kwatery któregośkolwiek z Zabójców. Zwykle łóżko, którego jedynym luksusem był materac z suchych liści, ława skrzyniowa, statua Thenaara. Obok niej również stała figura Astera, lecz, co dziwniejsze, rozmiary obu posążków były identyczne. Najwyraźniej Yeshol darzył Tyrana wyjątkowym oddaniem.

Poza tym szczegółem tylko dwie rzeczy odróżniały ten pokój od innych: wielkie regały pełne książek oraz stojące w rogu biurko.

Dubhe natychmiast do niego podeszła. Leżało na nim wiele pojedynczych kartek, pióro i pergamin. Kaligrafia była bardzo drobna i wyrafinowana, kartki gęsto pokryte słowami. Było też kilka rysunków.

Dubhe spróbowała przeczytać:

Dwa tomy o sztucznych stworzeniach, biblioteka Astera, od handlarza starzyzną z Krainy Nocy.

Pojedyncze kartki Ciemnej Magii Elfickiej, traktat spisany własnoręcznie przez Astera, od Arlora.

Perwersja Dusz, w dwóch oprawionych tomach, biblioteka Astera, od Arlora.

Zatem dary. Otrzymane od różnych osób księgi, prawie wszystkie pochodzące z biblioteki Astera, przez niego napisane i tam skatalogowane. Często przekazywano je w zamian za zlecenia i wówczas wskazany był jeszcze typ wykonanej pracy i imię ofiary.

Dziewczyna przerzuciła kartki. Przy niektórych pozycjach ich ofiarodawca określony był po prostu jako „On”. Chodziło wyłącznie o dzieła zdobyte w zamian za jakieś zabójstwo.

Dubhe przeczytała:

Członek Rady Faranta Kustosz Kaler Królowa Aires

Słynne straszliwe zabójstwa, znane Dubhe, których zleceniodawcą mógł być tylko jeden: Dohor. Nikt inny nie mógł być tajemniczym Nim. Słowa Topha były zatem

prawdziwe, Dohor zaprzedał duszę Gildii.

Na ostatniej karcie znajdowała się notatka uczyniona pismem, które wydawało się inne. W rzeczywistości jednak był to ten sam charakter, co wcześniej – według wszelkiego prawdopodobieństwa Yeshola, ale jakby drżący, zmieszany: osoby piszącej pod wpływem wielkich emocji.

Posiadanie Ciał i Nieśmiertelność, napisana własnoręcznie przez Astera, od Niego, Thevorn.

Tytuł nie wróżył niczego dobrego. Jednak uwagę Dubhe przy ciągnęło coś innego. *Thevorn!* Ona szperała po jego domu. Może to te słynne dokumenty, które musiała ukraść? Lecz tam chodziło o pergamin, a nie o książkę. Może były to luźne kartki. A przede wszystkim, co miała z tym wspólnego Gildia? Co się za tym kryło?

Zastanowiła się. Kradzież w domu Thevorna zbiegła się z pierwszym atakiem jej choroby. Czy to był element łączący? Dohor, czy Dohor miał coś wspólnego z jej klątwą?

Otworzyła się przed nią otchłań przypuszczeń i ogarnęła ją dziwna bojaźń. Otrząsnęła się. Nie było czasu na gubienie się w spekulacjach. Nie teraz. Musiała raczej szukać tego, o co poprosił ją Lonerin.

Zaczęła przeglądać stojące na półkach książki. Była to tylko niekończąca się seria notatek, które Yeshol skreślił w ciągu wielu lat. Znajdowało się tu całe życie Astera, zebrane w pięć grubych tomów.

Dubhe pospiesznie przerzuciła ich strony, przeczytała kilka fragmentów. W całej swojej przerażającej wielkości ukazywała się jej mistyczna adoracja, którą Yeshol żywił i prawdopodobnie do tej pory żywi dla Astera. Niemal nabożny ton, z jakim o nim mówił, poruszenie, z jakim wychwalał jego intelekt, wielkość i cierpienie oraz miłość, z jaką opowiadał o jego stanie fizycznym.

Pozostałe księgi były to pisma o Zakazanej Magii i formułach, które wszystkie zdawały się obsesyjnie krążyć wokół tych samych tematów: nieśmiertelności i zmartwychwstania zmarłych. Jak je uzyskać i czy naprawdę jest to możliwe.

Znalazła także odniesienia do tomów z biblioteki. Często przewijał się też inny wątek: posiadanie ciał. Dubhe wiedziała, że Aster dzięki magii stworzył Famminy, ogniste ptaki i czarne smoki, ale nie wiedziała dokładnie, w jaki sposób.

Kto wie, może chodziło tu o jakąś formę posiadania.

Ale odpowiedź nie znajdowała się tutaj. Odpowiedź kryła się w tomach leżących w

bibliotece, tej samej bibliotece, którą Yeshol stworzył, z nieskończoną cierpliwością kompletując wszystkie tomy, jakie Aster zebrał w swojej, w dziele odbudowy straconego dziedzictwa. To tam tkwiła tajemnica nieśmiertelności, której zdawał się szukać Yeshol, oraz rozwiązanie nowych zagadek, które stawiał ten pokój.

Dubhe wstała od stołu. Przyłożyła ucho do drzwi. Usłyszała tylko nabożną ciszę. Szczelnie owinięta swym płaszczem wyszła, po czym zamknęła za sobą drzwi i przywróciła zamkowi pierwotną pozycję.

Pozostawało jej tylko udać się tam, gdzie według wszelkiego

prawdopodobieństwa zamieszkiwała prawda.

30. Twarz w kuli

Dubhe zdecydowanie obrała drogę, którą już знаła. Korytarz prowadzący do biblioteki znajdował się z boku wielkiego posągu Thenaara w centralnej sali drugiego poziomu. Skierowała się tam i przemierzyła go.

Znalazła się przed dwoma wielkimi skrzydłami drzwi, wyrzeźbionymi w hebanie. Z roztargnieniem popatrzyła na fryzy. Zdawały się snuć jakąś opowieść i kiedy tylko wśród wielu postaci dojrzała sylwetkę dziecka o niepokojącej urodzie, zrozumiała, co to za historia. Na tych wrotach ukazano życie Astera, odtworzone z miłością przez jakiegoś mistrza rzemieślniczego. W tej epopei brał udział również Yeshol, pokazany jako pokorny i oddany sługa, najbliższy Asterowi i jego cierpieniu.

Drzwi były zamknięte na wielki zamek z brązu, wyglądający bardzo solidnie. Dubhe znowu uklękła i pogrzebała w kieszeniach. Wyciągnęła z nich potrzebne narzędzie, kolejny raz dziękując Jennie za jego troskę.

Tym razem operacja była bardziej pracochłonna i wymagała dobrego kwadransa trudu i potu. Dźwięk wytrycha otwierającego zapadki zamka wydawał jej się hukem słyszalnym nawet na wyższym poziomie.

Wreszcie i ostatnia zapadka poddała się i zachrobotła znajomym *klik*, Dubhe podniosła się, oparła dłonie na fryzach i popchnęła skrzydło. Drzwi otworzyły się bez trudu, a nawet bez skrzypnięcia. Najwyraźniej zostały dokładnie naoliwione.

Wnętrze było całkiem mroczne. Światło padające z korytarza oświecało tylko pierwsze metry posadzki z wielkich kamiennych płyt. Dubhe zamknęła za sobą drzwi,

a jej świeca rozjaśniła tylko niewielki kawałek pomieszczenia, które musiało być bardzo duże. Pośrodku stał wielki, lśniący hebanowy stół. Dubhe podeszła do ścian. Poprzebijano w nich małe, bardzo krótkie korytarzyki prowadzące do innych pokoi. Pomędzy sąsiadującymi otworami stały zwykłe monstrialne posągi. Nie było tam nawet śladu książek. Należało zagłębić się w boczne sale, ale cała budowla sprawiała wrażenie prawdziwego labiryntu.

Dubhe westchnęła krótko. Nie miała wielkiego wyboru.

Wsunęła się w pierwszy korytarz, który otwierał się w ścianie z jej prawej strony. Znalazła się w małym pokoiku mieszczącym tylko jeden wielki regał, całkiem wypełniony książkami. Były one jednak inne niż te, które widziała w pokoju Yeshola. Miały skórzane lub aksamitne okładki, kilka rękopisów było po prostu wielokrotnie złożoną kartą pergaminu, a wszystkie były wyblakłe z upływu lat, rozsypujące się i na wpół zniszczone. Wówczas Dubhe pojęła, że trafiła nie do zwykłej biblioteki, ale do pomieszczenia będącego cieniem dawnego, już nieistniejącego budynku, przebywa

wewnątrz zmumifikowanych zwłok innej biblioteki z czasów, zanim Nihal doprowadziła do upadku Twierdzy. Pomyślała o swoim pierwszym przejściu przez Wielką Krainę razem z Mistrzem, wiele lat wcześniej, o czarnym pyłe zasypującym tamtą równinę, i pomyślała o Asterze. Te księgi pochodziły stamtąd, z Twierdzy, z sekretnego księgozbioru Astera.

Dom nagle przyjął inną postać. Objawił jej się jako niezmiernie mauzoleum poświęcone niezdrowemu kultowi, grób dla ducha Astera.

Przebiegła wzrokiem po tytułach. Historia, prawie wszystko to zwykłe książki o historii. Niektóre z nich znała, bo Mistrz jej o nich mówił. Kilka nawet przeczytała. Księgi mitologii elfickiej. Dubhe nigdy nie przypuszczała, że Aster mógł mieć tak niewinne zainteresowania.

Przechodziła z pokoju do pokoju, starając się jednocześnie pamiętać, gdzie idzie. Wydawało jej się, że mgliście zaczyna pojmować ogólny zamysł budowli. Każda z sal mogła mieć dwa, trzy lub cztery korytarzyki, z których każdy prowadził do następnego pokoju. Na podstawie numeru pomieszczeń każdego rodzaju Dubhe po krótkim czasie potrafiła odtworzyć ogólny plan konstrukcji. Salki były pogrupowane w duże kwadraty, prawie całkiem odizolowane jeden od drugiego. Każdy z nich miał tylko dwa pokoje wychodzące na główny salon, i każdy z nich, z wyjątkiem kwadratów skrajnych, prowadził jednocześnie do kwadratu przylegającego. W ten sposób każdy

kwadrat połączony był z innym tylko na dwa sposoby: przez główny salon i tylko jedną salę poprzedniego kwadratu. Nie był to projekt szczególnie pogmatwany, ale na pewno obdarzony żelazną logiką.

Wędrując z sali do sali, Dubhe przechodziła od jednego tematu do drugiego. Chemia i alchemia, martwe języki, fizyka, magia elficka. Kiedy dotarła do sali botaniki, nie mogła się powstrzymać przed zabawieniem tam przez chwilę i przyjrzeniu się upchniętym aż pod sufitom książkom. Były tam rzadkie dzieła, o których parokrotnie słyszała, a pokusa, aby wziąć jedną z tych książek i przekartkować ją, była naprawdę wielka. Ale to nie po to doszła aż tam. Lepiej zostawić jak najmniej śladów, a więc otwierać jedynie te książki, które mogły doprowadzić ją do rozwiązania tajemnicy. Oparła się zatem pokusie i tylko przechodziła koło każdego z regałom prawie z uwielbieniem.

Słyszała o wielkich bibliotekach; wiedziała, że tę w Makracie, mieszczącą się w potężnej wieży, uważa się za największą ich ery. Słyszała również bajeczne opowieści o księgozbiornie Enawaru, dawnego miasta zrównanego z ziemią przez Astera. A jednak ta, którą miała przed sobą, nie zdawała jej się gorsza od żadnej z wymienionych. Wątpiła, czy jakieś inne zbiory mogły zawierać taką liczbę dawnych lub uważanych za zaginione ksiąg, rzadkich tomom, wielu nawet pisanych ręcznie.

Prawdopodobnie Aster splądrował bibliotekę Enawaru i sprowadził ją w czeluście ziemi – tam, gdzie wiedza mogła być tylko jego i nikogo innego.

Niektóre półki były puste: najwyraźniej tam miały znaleźć się książki, których Yesholowi nie udało się odszukać. Wyglądały jak orbity bez oczu i wyróżniały się na tle nadmiernie przepelnionych innych półek.

Co pewien czas Dubhe natrafiała na jakąś salę pełną książek bardzo odmiennych, czarnych jak owe z pokoju Yeshola. Tam zatrzymywała się dłużej, przeglądając tytuły jeden po drugim. Były to księgi Zakazanej Magii, pisane przez rozmaitych autorów w różnych epokach – od bardzo dawnych tomów, z których zostało niewiele ponad kilka wyblakłych kart, aż po książki raczej współczesne.

Dubhe wzięła kilka z nich. Rozpoznała te, o których kilka godzin wcześniej przeczytała w katalogu. Oto one. Usiadła na posadzce. Musiała przynajmniej kilka przejrzeć, aby spróbować zrozumieć, co ukrywa Yeshol. W rzeczywistości zaczynała przeczuwać prawdę, ale wydawała jej się zbyt absurdałna, monstrualna. Nie wiedziała nawet, czy coś takiego, co krążyło jej po głowie, naprawdę można było zrealizować za

pomocą magii. Jasne, Dubhe wiele razy słyszała, że podczas Wielkiej Wojny Aster wykorzystywał duchy, ale wiedziała też dobrze, że były to po prostu puste skorupy wypełnione wolą czarodzieja, który je wzywał i który zmuszał je, aby walczyły. To, o czym myślała ona, było całkiem odmienne. Wiedziała, że Aster był potężny, że znacząco rozwinął zasięg Zakazanej Magii, a to nadzwyczajne i straszliwe dziedzictwo, którego nikt na szczęście nie zgromadził, teraz było stłoczone tutaj, w podziemnej bibliotece. Może to on odkrył, jak wykonać to, co Dubhe przypuszczała, może on sam wskazał swojemu umiłowanemu słudze, Yesholowi, sposób, aby zrealizować to, co prawdopodobnie było jego najskrytszym marzeniem.

Jak mogła się spodziewać, teksty mówiły o posiadaniu ciał.

Dusze są ściśle zakorzenione w ciele. Niektórzy kapłani od zawsze utrzymywali coś przeciwnego, twierdząc, iż dusza jest pod wieloma względami niezależna od materii, i dochodzili wręcz do wniosku, iż istnieje całkowita rozłączność pomiędzy ciałem a duchem. Są to tylko zwodnicze doktryny, którymi kłamliwi kapłani posługują się aby przyciągnąć do siebie lud, związując go siłą przesądu i naiwnej wiary. Tylko magia, dokładna i systematyczna nauka o istocie ducha i materii, może dotrzeć do prawdy. A zatem, niech uczeń nie ufa fałszywym religiom, które pragną ujarzmić umysł i uniemożliwić mu dotarcie do prawdy. Niech raczej bez skrupułów zaufa rzeczywistości

Duch lisa nigdy nie będzie mógł istnieć w czymś innym, co nie będzie materialną skorupą, którą nazywamy lisem. Materia jest formą, której dusza nadaje życie, ale

forma ta ze swojej strony wyciska własną pieczęć na duchu, który zostaje nią na zawsze naznaczony. I tak duch znajduje się pod wpływem materii i z nią pozostaje połączony aż do śmierci, która sztucznie oddziela to, co Thenaar stworzył połączone. W ten sposób duch lisa nie może przeżyć w ciele wilka i odwrotnie, pod groźbą rozpadu i zniszczenia w krótkiej chwili.

Duch kobiety jest całkiem odmienny niż duch mężczyzny, a płeć jest

materia, która bardziej niż jakakolwiek inna odciska na

rzeczywistościach duchowych własną pieczęć. Rehasa próbował oddzielić ducha kobiety od jej ciała – coś, co jako uczeń już wie, że jest

możliwe – i spróbował wtłoczyć go w puste ciało zmarłego mężczyzny, jednak eksperyment ten nie powiódł się i dusza zwariowała, opuszczając ten świat na zawsze.

Jest wiele stopni niezgodności pomiędzy materią a duchem. Duch żeński nie przeżyje w ciele mężczyzny, ale duch dziecka może w pewnym stopniu przetrwać w ciele starca. Związki tego typu są jednak zawsze zwodnicze; duch szybko traci chęć życia, a ciało ulega zniszczeniu w takim tempie, że śmierć nadchodzi po kilku godzinach.

Natomiast rasy nie tolerują się między sobą i duch gnoma nigdy, nawet przez kilka chwil, nie będzie mógł przeżyć w ciele człowieka lub nimfy. Duchy Pół-Elfów z kolei, ponieważ mają udział zarówno w istocie Elfów, jak i ludzi, mogą na krótki czas znaleźć schronienie również w ciałach ludzkich, ale przeżycie w takich warunkach jest płonne i nie trwa dłużej niż kilka dni.

Dubhe czuła, jak dreszcze przebiegają jej po karku. Kiedy tak czytała o czarodziejach rozprawiających o duchach wtłoczonych w inne ciała i podobnych okropnościach, w jej umyśle coraz żywiej rysowała się wizja monstrualnego rytuału.

Przeszła do innych pokojów. Co jakiś czas trafiała do centralnego salonu, za każdym razem upewniając się, że jeszcze się nie zgubiła. Zaczynała tracić poczucie czasu. To miejsce było nie tylko labiryntem przestrzennym, ale w jakiś sposób zakłócało też zwykły upływ godzin i minut. Wcześniej czy później Yeshol opuści swój gabinet na pierwszym poziomie i zejdzie tutaj. Dubhe musiała się pospieszyć.

Postanowiła zatrzymać się tylko w pokojach z książkami zakazanymi. Wokół znajdowały się całe zbiory na najprzeróżniejsze tematy, jakie tylko można było sobie wyobrazić, ale ona postanowiła jeszcze bardziej zawęzić pole poszukiwań: tylko do tomów mówiących o zmartwychwstaniu i wcieleniu. Przeczytała wiele, kartkując z impetem te stare księgi.

Moje poszukiwania doprowadziły mnie do wiary, iż śmierć wcale nie jest tą ostateczną rzeczą, jak sądzą zwykli ludzie, ale można wręcz w jakiś sposób uwiązać własnego ducha do naszego świata, uniemożliwiając mu przekroczenie wrót prowadzących do zaświatów. Jakiś czas temu

odkryłem formułę, która pozwala uwięzić ducha zmarłego, blokując go w jakimś miejscu lub przedmiocie...

...tak wywołane duchy będą posłuszne wszelkim rozkazom, ponieważ pozbawione są woli. Nie chodzi zatem dokładnie o zmartwychwstanie, ale o przywołanie, za którego pośrednictwem czarodziejowi udaje się odtworzyć w naszym świecie obraz zmarłego ducha...

Dubhe szła dalej. Nie znalazła tego, czego naprawdę szukała.

Pogrążona w swoich myślach, nagle zorientowała się, że od dawna nie wracała do centralnego salonu. Spróbowała zatem poszukać jednej z bocznych sal grupy, w której się znajdowała, aby łatwiej znaleźć wyjście. Znalazła ją z pewnym trudem. Coś się nie zgadzało. Struktura tej grupy pomieszczeń była odmienna.

Przeszła przez różne pokoje, wróciła tą samą drogą. Nic z tego. Symetria innych sal została przełamana. Wreszcie znalazła centralną salę. Zapamiętała drogę i wróciła. W tej części niewątpliwie znajdowały się inne pomieszczenia. Nigdy tak bardzo, jak w tym momencie, nie doceniała wyszkolenia, jakiego udzielił jej Mistrz: bez problemów potrafiła zapamiętać sale, które już zwiedziła, dlatego też szybko przeszła do nowych. W jednym z bocznych pokoi zrozumiała, że jest bliska celu. Znajdował się tam ciemnoczerwony łuk, prowadzący do tego, co musiało być innym skrzydłem.

Na architrawie wyszukany literami napisane było ASTER. Dubhe weszła z rozmachem. Tym razem regały były pełne zwojów pergaminu, tu i tam stały jakieś oprawione wolumeny. Wszystkie były własnoręcznymi dziełami Astera. Nie było tu żadnych wskazówek dotyczących zbiorów, najwyraźniej Yeshol znał je na wrywki. Dubhe wzięła kilka przypadkowych sztuk, ale było to jak szukanie igły w stogu siana. Ich tematyka była bardzo różnorodna, często nawet niezwiązana z ciemną magią, lecz dotycząca innych gałęzi wiedzy: alchemia, geografia, zwyczaje i obrzędy ludów Świata Wynurzonego – wydawało się, że nie było tematu, którym nie interesowałyby się Aster.

Niektórych pergaminów brakowało, ale ich miejsca nie były tak zakurzone jak struktura regałów, lecz błyszczące, jakby zwoje zostały wyjęte niedawno. Dubhe jednak nie widziała ich w gabinecie Yeshola: oznaczało to, że musiało istnieć jakieś inne miejsce, oprócz jego pokoju, do którego Najwyższy Strażnik chodził pracować - może właśnie gdzieś tutaj. Szukała dalej, dopóki nie dotarła do sali prawie całkowicie

pustej, z wyjątkiem mahoniowego postumentu stojącego na środku, Był to pulpit, ale nic na nim nie stało. Brakowało książki, która powinna tam leżeć. Dubhe natychmiast pomyślała o wielkiej czarnej księdze, którą widziała pod pachą Yeshola. W głębi pokoju znajdowały się dość pospolite drzwi. Dubhe podeszła do nich. Były zniszczone i zamknięte na raczej prosty zamek. Nie traciła czasu; przez kilka sekund pracowała wytrychem, po czym drzwi otworzyły się przed nią potulnie.

Wnętrze było również ciemne, ale raczej małe, więc świeca mogła rozjaśnić je bez trudu. Znowu pokój, znowu półki, ale wiele książek było opartych na ziemi albo na wielkim biurku, całkowicie przykrytym kartami pergaminu. Krzesło, świecznik i nic poza tym.

Dubhe rzuciła się zachłannie na kartki. To z pewnością był drugi gabinet Yeshola, ten bardziej sekretny.

Pergaminowe karty pokryte były tym samym drobnym pismem, które widziała w jego poprzednim gabinecie, ale tym razem zapiski były o wiele bardziej chaotyczne. Pourywane zdania, krótkie notatki, podkreślenia i rozsiane wszędzie wykrzykniki

Duch może zostać zobowiązany do zajęcia ciasnych przestrzeni.

Potrzeba czegoś, co należało do ciała danej osoby. Włosy. Paznokcie. Fragmenty, nawet małe. Rzadko tkaniny.

Wieczne potępienie jest męką. Dla siebie i dla duszy, która zajmuje wybrane ciało.

Porażka, porażka! Thenaarze, spraw, aby nie wszystko było stracone!

Księga w ciemnogrnatowym aksamicie wydawała się rodzajem pamiętnika. Dubhe pogrzyżyła się głęboko w lekturze. Czowała, jak ogarnia ją lodowaty chłód.

4 września

Wciąż jeszcze szukam najważniejszego elementu. Wszystko wydaje się być na swoim miejscu, ale ostatni tom – ten, który zawiera najuważniejszą część rytuału, ten, który będzie mógł zebrać w całość

wszystkie kawałki, które do tej pory z takim wysiłkiem udało mi się zgromadzić jeszcze nie został odnaleziony. Dohor rozpuścił swoich ludzi po całym Świecie Wynurzonym, ale jak na razie niczego nie wskórał. Thenaarze, dlaczego nasz wielki projekt musi tak bardzo zależeć od niewierzącego?

18 września

Nie mogę już dłużej czekać. Thenaar wybaczy moją niecierpliwość, wszystko to

robię tylko dla Niego. Postanowiłem spróbować, mimo iż nie znam do końca rytuału. Nie jest to do końca bezpieczne, ale ja nie boję się o moje bezpieczeństwo. Spokojnie mogę je poświęcić dla tego wielkiego Planu. To tylko dzięki tej wielkiej nadziei przeżyłem owe długie lata wygnania. Spróbuję, to postanowione. Ja muszę, MUSZĘ wiedzieć, czy moje nadzieje są próżne, czy do tego wszystkiego istnieją jakieś podstawy.

3 października

Porażka, PORAŻKA!!! Temu bezużytecznemu słudze nie udało się wykonać swojego zamierzenia, Thenaarze, ów pokorny sługa zawiódł Cię, Mój Panie. Dręczy mnie myśl, że wszystko zostało zaprzepaszczone, i to z mojej winy i mojego pośpiechu! Proszę żarliwie, aby była jeszcze nadzieja.

15 października

Cały czas błąka się zawieszony między tym a tamtym światem.

Czuję, jak błaga mnie, abym nadał mu kształt, pozwolił mu do nas wrócić,

aby dokończył swoje wielkie dzieło. Teraz wreszcie mogę. Donor

przyniósł mi ostatni brakujący element, Czarną Księgę. Jest

nadzwyczajna. Nie ma granic dla geniuszu Astera. Zaniedbuję wszystko, aby ją czytać, nie wychodzę już z mojego gabinetu. Wreszcie wszystko jest dla mnie jasne.

23 października

Wydałem rozkaz odnalezienia Pół-Elfa. Mam wiadomości, że jeszcze istnieje, ale nikt nie wie, gdzie przebywa. Moi Zabójcy jednak go

wytropią, jestem tego pewien. Bez niego, bez jego ciała, nie mogę rozpocząć rytuału. To właśnie tego brakowało, ciała. Poniosłem porażkę, bo nie dałem duchowi nic, w co mógłby się wcielić. Kiedy myślę o zgrozie minionych miesięcy, o moim braku wiary, wstydzę się siebie, powinienem był wiedzieć, Thenaarze, że Ty zapewniasz wszystko, czego potrzeba, aby Twoje dzieci osiągnęły zwycięstwo.

4 listopada

Niestety, poszukiwania upływają bezowocnie. Nie udaje się odnaleźć mężczyzny, którego szukamy, zdaje się, że nie pozostawił po sobie żadnego śladu. Mówią o nim jednak wspomnienia królowej Aires. Nie zatrzymamy się, dopóki go nie znajdziemy.

Co wieczór schodzę do podziemnego pokoju, aby go zobaczyć aby zobaczyć jego

unoszącego się ducha, aby cieszyć się jego obecnością znowu tu, pośród nas, chociaż jest to obecność złudna, niecielesna. Wkrótce jednak taka będzie.

Dubhe ocknęła się. Podziemny pokój. Tam znajdowała się ostateczna odpowiedź. Ale gdzie on mógł być? Zamknęła pamiętnik i odłożyła go na stole, starając się ułożyć go dokładnie tak, jak go zastała, po czym zaczęła przeszukiwać pomieszczenie.

O istnieniu tego podziemnego pokoju prawdopodobnie wiedział tylko Yeshol i ponad wszelką wątpliwość można było tam dotrzeć jedynie z jego gabinetu. Nie było tu innych drzwi, lecz może jakieś zamurowane ściany, czy jakieś ukryte przejście...

Niecierpliwie szperała wszędzie, ale nie straciła wiele czasu. Najwyraźniej w tym gabinecie znajdującym się w głębi biblioteki Yeshol czuł się pewny, bo przycisk, którego szukała Dubhe, mały i okrągły, krył się właśnie pod biurkiem.

Kiedy tylko go nacisnęła, ściana regałów za biurkiem prześlizgnęła się na niewidzialnych zawiasach, otwierając się na wąskie i strome schodki. Dubhe przebiegła je powoli, wstrzymując oddech. Pokój znajdował się tam, u podstawy schodów. Był niewiele większy niż mała jaskinia, pełna wilgoci i pleśni. Na ścianach wyryte były skomplikowane pentakle i magiczne symbole czerwone od krwi. Środek zajmował postument, a przed nim dwie zapalone świece. To ołtarz. Na postumencie stała szklana gablota a w środku tkwiła bladoniebieska wirująca kula, jakby ożywiana

jakimś dziwnym rodzajem wewnętrznego ruchu.

Dubhe zatrzymała się w doskonałej ciszy tego miejsca wypełnionego niezdrowym mistycyzmem, świętokradczą adoracją. Czy to właśnie był nie wiadomo skąd wezwany duch? Czy to była dusza czekając na ciało Pół-Elfa?

Zbliżyła się z drżeniem i spojrzała na kulę. Początkowo wydała jej się całkiem niekształtna: nic innego, tylko ciekła, mleczna kula. Kiedy jednak jej oczy przyzwyczyły się do tego bladego światła, dojrzała sekret tego przedmiotu. W jego centrum znajdowała się wirująca twarz o nieokreślonych konturach, która wydawała się prawie cierpiąca. Niewyraźna, ale rozpoznawalna. Było to dziecko o niepokojącej urodzie, wielkich oczach, puszystych loczkach okalających niemal doskonały, ledwo zaokrąglony dziecięcą pulchnością owal, z parą długich, wdzięcznych i spiczastych uszu. Było identyczne, jak rozstawione po całym Domu posągi.

Aster.

Dubhe podniosła dłoń do twarzy i cofnęła się. Dziecko zdawało się patrzeć na nią wodnistymi oczami, a jego spojrzenie nie było gniewne, nie wyrażało potęgi. Było tylko smutne, ponad wszelkie pojęcie. Dubhe poczuła, jak to spojrzenie ją pochłania.

Nagły hałas przerwał strumień jej myśli. Drzwi trzaskające w oddali. Ktoś wszedł do biblioteki.

Przerażona Dubhe biegiem przemierzyła schody, wróciła do gabinetu i zatrzasnęła drzwi, zamykając je za sobą.

Była w pułapce. Jeżeli zostanie tutaj, będzie w pułapce.

Wyszła z pokoju, w najwyższym pośpiechu zamknęła drzwi i drżącymi dłońmi starała się ustawić z powrotem zamek. Dziękowała bogu, że był tak mało skomplikowany. Z oddali już dochodziły do niej echa głosów.

–Znów zostawiłeś te przeklęte drzwi otwarte? Ile razy muszę ci mówić, że to, co znajduje się tu w środku, jest cenniejsze niż wszystko inne? Nic na całym świecie nie jest warte tyle, ile ta biblioteka, a ty musisz otaczać ją najwyższą troską, czy to jasne?

Był to niewątpliwie głos Yeshola.

Dubhe instynktownie przywarła do ściany, ale doskonale wiedziała, że na nic się to nie przyda.

Biblioteka jest wielka, może pójść gdziekolwiek, uspokój się.

Tak, ale to w tym pokoju był postument oraz sekretne drzwi; jeżeli naprawdę tam przechowywana była wielka czarna księga Yeshol wpadnie prosto na nią.

–Wybaczcie mi...

–Kolejne trzy dni kary, a następnym razem z pewnością nie będę taki litościwy, jasne?

I rzeczywiście, Yeshol i jego młody ordynans szli w jej stronę. Dubhe przeszła do sali obok i ustawiła się z boku regału, na linii drzwi. Błagała, aby mężczyzna tamtędy nie szedł. Posuwał się wielkimi krokami.

–Dohor o was pytał.

–Widzieliśmy się niedawno.

–Mówi, aby wam przypomnieć, że chce być stale na bieżąco, a wydaje mu się, że wy go nie informujecie.

–Spotkam się z nim zatem. Przeklęty niedowiarek... Nie można negocjować jego zasług, ale jego arogancja jest naprawdę irytująca.

Szli w jej kierunku.

Dubhe biegiem przedostała się do sąsiedniego pokoju, starając się jednocześnie zachować maksymalną ciszę. Usłyszała, jak kroki ustają.

–Wasza Ekscelencjo? Cisza trwała wieczność.

–Nic... wydawało mi się... tak czy inaczej, nic.

Kroki ruszyły znowu. Dubhe przeszła kolejne dwa pokoje, tym razem wolniej. Głosy dalej dochodziły do niej, ale już bardziej stłumione.

–Nie chcę, żeby przez cały wieczór ktokolwiek mi przeszkadzał, jasne? Chcę

również, żebyś i ty znalazł się daleko stąd, jak możesz najszybciej.

Dubhe znowu się przemieściła, aż w końcu udało jej się dotrzeć do głównej sali. Jej oddech był krótki, urywany. Podbiegła do drzwi. Były jeszcze otwarte. Prezent od losu. Otworzyła je delikatnie i rzuciła się na zewnątrz.

Kiedy wynurzyła się spomiędzy dwóch posągów w sali z basenami, poczuła się prawie bezpieczna. Uratowana od Yeshola, ale nie od tego, co odkryła. Twarz w kuli. Duch Astera, gotowy, aby powrócić i znów wtrącić Świat Wynurzony w szpony terroru.

Szybko podniosła dłoń do twarzy i pod opuszkami palców poczuła miękką skórę i swoje własne rysy. Elixir przestał działać. Musiało minąć strasznie dużo czasu, sala basenów była prawie całkiem pusta, a okoliczne korytarze ciche.

Dubhe opuściła kaptur na twarz tak nisko, że prawie nic nie widziała, i zaczęła

biec.

Spotkała kilku Zabójców, ale była tak szybka, że nikt z nich nie zwrócił na nią uwagi. Dotarła do pokoju Postulantów i zatrzymała się nagle. Wartownik. Drzemał, siedząc przed wejściem do pokoju, ale był jeszcze dość czujny, aby móc usłyszeć, jak idzie. Dubhe zaklęła. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko czekać na jego zaśnięcie lub odejście.

Długo stała przywarta do ściany. Jej oczy były utkwione w tym mężczyźnie, ale myśli galopowały dziko. Wszystkie najbardziej ponure opowieści z jej dzieciństwa dotyczące Tyrana i Mrocznych Lat wyłaniały się jak żywe i wypełniały jej głowę obrazami zmarłych i rzezi. Jasne, i ich czasy nie były okresem pokoju. W ciągu siedemnastu lat swojego życia widziała sporo masakr, a jednak czuła, że to nigdy nie było tak, jak wtedy, kiedy Aster był jeszcze bezdyskusyjnym władcą całego Świata

Wynurzonego. Tamte czasy były prawdziwym piekłem. Pomyślała, jak blisko ducha tego potwora się znalazła, znów przypomniała sobie chwilę, kiedy ich oczy się spotkały. Nie było to więcej niż dziecko, ale ileż zgrozy wywołała w niej jego niewinność, jego pozorna rozpacz.

Wreszcie mężczyzna przeciągnął się, podniósł i odszedł drobnymi kroczkami.

Dubhe rzuciła się do pokoju. Natychmiast pochyliła się nad Lonerinem i potrząsnęła nim zdecydowanie.

Tym razem chłopak nie dał się zaskoczyć. Nie mógł być pogrążony w głębokim śnie, bo od razu otworzył oczy i spojrzał na nią przytomnie.

Natychmiast spytał, co się stało. Był zaniepokojony.

–Chcę przywrócić do życia Astera – powiedziała jednym tchem.

Lonerinowi zabrakło słów. Patrzył na nią przez chwilę, jakby starał się zrozumieć, co takiego powiedziała, po czym zeszywniał i postarał się nad sobą zapanować.

–Jak?

–Przywołali jego ducha, widziałam go w sekretnym pokoju, pod naszymi stopami. Teraz szukają ciała, aby go weń wprowadzić.

Lonerin patrzył na nią pewnym wzrokiem. On też się bał, ale panował nad tym.

–Musimy zawiadomić Radę. Dubhe przytaknęła.

–Odejdziemy dziś w nocy. Zaraz. Lonerin, kiedy znajdą tę osobę, tego Pół-Elfa, będzie koniec, rozumiesz?

–Tak, rozumiem aż za dobrze, ale jak stąd wyjść? Masz jakieś sugestie?

–Ze mną.

Lonerin patrzył na nią pytająco.

–Nie mamy stąd daleko do świątyni, a jeżeli jeszcze trochę poczekamy, będzie środek nocy. Przy odrobinie szczęścia nie spotkamy w Domu nikogo. Wyjdziemy

głównym wyjściem.

Lonerin natychmiast przytaknął. Dubhe zdziwiła się, ile spokoju i determinacji okazywał w chwili takiej jak ta.

Podniósł się z legowiska, zarzucił na siebie czarny płaszcz, identyczny jak ten Zwycięskich, tylko starszy i bardziej wyblakły. Kiedy miał go na sobie, można go było wziąć za Zabójcę.

–Idziemy – mruknął.

Wyjście z pokoju było łatwe. Wszyscy tam spali w najlepsze, nikt się nie poruszył. Na zewnątrz jednak od razu poczuli się niepewnie.

–Rób to co ja – szepnęła Dubhe. Oboje ustawili się, przywierając do muru.

Korytarz był słabo oświetlony. W zasięgu wzroku – nikogo. Weszli w korytarz i pobiegli do końca. Dalej nikogo. Byli zdyszani, ale Lonerin zachowywał spokój i skupioną twarz.

Dubhe rzuciła okiem w następny korytarz. Serce biło jej gwałtownie. Właśnie miała opuścić Gildię. Wrócić na wolność. Nie pomyślała o tym w pierwszej chwili.

Znowu pobiegli. Doszli do centralnego korytarza. W głębi zamajaczyły schody prowadzące na zewnątrz, do świątyni. Dubhe wychyliła się, ale stanęła jak wryta.

–Co jest? – wyszeptał Lonerin.

–Rekla – mruknęła.

–Kto?

–Strażniczka, która mnie zna. Odwróciła się do Lonerina:

–Naciągnij kaptur na twarz, idź zdecydowanie i trzymaj głowę nisko, jasne? Ona też opuściła kaptur na głowę, spróbowała się zgarbić i całkiem owinęła się

płaszczem. Wzięła głęboki oddech, po czym odwróciła się, idąc w kierunku przeciwnym niż ten, w którym powinna.

Słyszała za sobą miarowy krok Lonerina, po czym gęstą ciszę, którą lekko zakłócały stłumione kroki jej nieprzyjaciółki.

Lonerin idzie zbyt głośno - pomyślała. Usłyszała, jak kroki kobiety przyspieszyły.

–Co wy tu robicie?

Dubhe zatrzymała się. Nie było innego wyjścia. Powoli się odwróciła.

–Wracamy ze świątyni, byliśmy się modlić,

Głos Lonerina był pewny, twardy.

Rekla kiwnęła głową.

–Rozumiem. To naprawdę chwalebne. Tylko dlatego nie ukarzę was za to, że kręcicie się o tak późnej godzinie.

Lonerin pochylił głowę, a Dubhe pospiesznie zrobiła to samo. Rekla przeszła między nimi i poszła swoją drogą.

–Idź za nią – mruknęła Dubhe.

Poszli za nią powoli, po czym skręcili w pierwszy boczny korytarz i zatrzymali się.

Lonerin oparł się o ścianę. Dubhe usłyszała, jak wzdycha.

–Naprawdę zachowałeś zimną krew – powiedziała.

Prawdopodobnie uśmiechnął się, ale dziewczyna nie mogła tego zobaczyć w ciemności, jaką jego kaptur rzucał na twarz.

Wyszli z korytarza i wkrótce znaleźli się w świątyni. Przemierzali ją pospiesznie.

Już prawie się udało. To Dubhe zdecydowanie otworzyła drzwi. Przywitało ich niebo gęste od gwiazd.

Nie odwróciła się. Nie zwlekała. Przeszła przez próg, słysząc za sobą szybkie kroki Lonerina. Byli na zewnątrz. Na zawsze.

CZĘŚC TRZECIA

Często i niesłusznie postrzega się Ida jako drugorzędny element tego wielkiego fresku. Wielu pamięta o nim tylko jako o nauczycielu Nihal, zaś inni po prostu doceniają starcie podczas Wielkiej Zimowej Bitwy, w którym stawiał czoła Deinoforowi – Jeźdźcowi Czarnego Smoka. W rzeczywistości jednak był on jedną z ważniejszych postaci w walce z Tyranem; nie był może głównym bohaterem tak wybitnych akcji, jak działania Nihal i Sennara, ale stanowił duszę ruchu oporu, przygotował oddziały, które walczyły w ostatnich fazach wojny, i tylko jemu zawdzięczamy utrzymanie się Wolnych Krain podczas długiego okresu, kiedy Nihal i

Sennar szukali po całym Świecie Wynurzonym Ośmiu Kamieni. Fakt, że Ido był niegdyś również porucznikiem Tyrana, zwiększa jego wartość jako jednostki, która potrafiła zrozumieć własny błąd i spędziła życie, starając się go naprawić.

Oni z Assy,

Upadek Tyrana,

fragment

31. Koniec

* * *

Przeszłość X

Wydaje się, jakby to pierwsze zabójstwo rzuciło jakiś rodzaj zaklęcia. Od tamtego dnia czas upływa szybciej i dopala się świeca tej, na swój sposób szczęśliwej, egzystencji.

Zgodnie z tym, co obiecał jej Mistrz, od tamtej nocy Dubhe już nie zabijała, ale w jakimś stopniu wszystko się zmieniło. Dalej mu pomaga, negocjuje z klientami, przygotowuje broń, ale z boleśniejszą świadomością.

Dubhe wzięła pieniądze, które dał jej Mistrz. Kupiła za nie piękną księgę o botanice i z wielką przyjemnością przeczytała ją od początku do końca. Czasami, kiedy bierze ją do rąk, odczuwa jakiś rodzaj lekkiego, dziwnego wstrętu. Gwałtownie powraca jej w myślach obraz mężczyzny, którego zabiła, a mdłości na moment zatykają jej gardło. W takich chwilach wystarczy pomyśleć o Mistrzu i wszystko mija. Od tamtego wieczoru Dubhe myśli o nim ciągle. Przez długi czas nie potrafiła nadać imienia temu uczuciu, które na myśl o Mistrzu ścisną ją w żołądku. Teraz już wie, co to takiego. Zrozumiała wszystko w momencie, kiedy go pocałowała pierwszym pocałunkiem w swoim życiu.

Dubhe otrzymała wychowanie całkiem odmienne niż inne dziewczynki w jej

wieku, a w kręgu jej zainteresowań nigdy nie było lalek, gier czy takich spraw jak miłość. Ale i jej zdarzyło się przeczytać kilka ballad, wieczorem, w ukryciu przed Mistrzem, i fantazjować na temat tych opowieści. Uczucie dla Mathona umarło razem z jej dawnym życiem, ale często przed zaśnięciem marzyła o tym, aby znaleźć kogoś, w kim się zakocha, może nawet zabójcę, takiego jak ona.

Teraz niespodziewanie zrozumiała, że tym mężczyzną jest Mistrz.

Czasami czuje nieodpartą chęć, aby pocałować go jeszcze raz i jeszcze, i powiedzieć mu wszystko, spytać, czy on też ją kocha. Ale zawsze się powstrzymuje. Trochę dlatego, że od tamtego dnia on nie pozwolił już sobie wobec niej na żaden czuły gest, a trochę dlatego, że się boi. Dopóki nic mu nie mówi, wszystko jest w zawieszeniu i dalej może patrzeć na niego wzrokiem pełnym uwielbienia i marzyć, że pewnego dnia zostanie jego żoną. Gdyby mu to jednak wyznała, on coś by odpowiedział, może byłoby to „nie” i w jednej chwili wszystko by się skończyło. A ona tak nie chce. Chce, żeby było dalej tak, jak jest, pragnie go kochać, nie prosząc o nic w zamian, na zawsze.

Mistrz zaczął dawać jej pieniądze za jej pracę.

–Jeżeli chcesz stać się niezależna, musisz nauczyć się zarządzać swoimi pieniędzmi.

–Nie jestem do końca pewna, czy naprawdę chcę być niezależna, Mistrzu... –

Tak naprawdę wciąż boi się, że on może ją zostawić, teraz, kiedy nie jest już właściwie

jego uczennicą.

Mistrz robi zniecierpliwiony ruch ręką.

–Co za głupoty, wcześniej czy później ty też będziesz musiała i chciała znaleźć swoją własną drogę.

Ten okres jest całkowicie zdominowany przez miłość do Mistrza. Nie ma w jej życiu miejsca na nic innego. Wszystko kręci się wokół tego jedyne go tematu, wszelkie uczucia zostają wchłonięte przez tę bezgraniczną namiętność, która sprawia, że Dubhe cały czas czuje się jak otumaniona, i która pozbawia konturów i wyrazistości wszystko to, co ją otacza.

On jest taki jak zawsze, może chłodniejszy niż zwykle, chociaż Dubhe nie chce tego przyznać. Jego oczy są niepewne i umykające, a wzrok coraz częściej smutny. Wiezorami często już nie ćwiczy. Raczej siedzi przed oknem, patrząc na absolutną ciemność znajdującą się na zewnątrz. W lecie większą część nocy spędza na brzegu

plaży, po prostu patrząc na ocean atakujący wybrzeże i cofający się w rytmie, którego nikt nie może przerwać. Wydaje się nieskończenie zmęczonym człowiekiem.

Dubhe chciałaby wziąć na siebie to jego zmęczenie, ten smutek; chciałaby, aby jej miłość była zdolna podnieść go z tego wyczerpania i dać mu wreszcie pokój, bo czuje, że on go potrzebuje, Ale jest to po prostu niemożliwe. Zawsze coś między nimi pozostaje, ekran, który ich rozdziela, coś, czego Dubhe nie potrafi nazwać, ale co sprawia jej nieskończony ból.

I tak dni upływają jeden po drugim, jak paciorki w naszyjniku, Do dnia, w którym ktoś pojawia się na progu ich domu.

To dzień ciszy morskiej i Dubhe trenuje na piasku. Chociaż już wie, że nigdy nie będzie płatnym zabójcą, nigdy nie przestała ćwiczyć. Po prostu lubi wprawiać ciało w ruch, a poza tym musi być w formie, aby móc dobrze pomagać Mistrzowi.

Jest jesień, wspaniały, świeży wiatr chłodzi ją po twarzy, co czyni jej ćwiczenie jeszcze przyjemniejszym. Pograżona w medytacji siedzi ze skrzyżowanymi nogami, kiedy słyszy rytmiczne i bardzo lekkie kroki na piasku. Instynktownie otwiera oczy, koncentracja została przerwana. Na jednostajnie szarym niebie rysuje się ciemna postać. To szczupły mężczyzna, ubrany całkowicie na czarno. Ma koszulę o dość szerokich rękawach, skórzany gorset z jaskrawymi niebieskimi guzikami, raczej grube spodnie i wysokie buty. Przy pasie dobrze widoczny długi sztylet, również czarny.

Mężczyzna patrzy na Dubhe z natarczywością, uśmiecha się do niej – nie podoba jej się. Jest w tym uśmiechu coś okropnego i złowrogięgo. Nie oddala się ani nie zbliża, po prostu patrzy na nią i tyle, cały czas uśmiechając się; potem, tak jak przyszedł, tak i odchodzi.

Wieczorem Dubhe dalej czuje się niespokojna z powodu tego spotkania. Nie wie, co ją przestraszyło, ale bardzo ufa swojemu szóstemu zmysłowi. Chciałaby porozmawiać o tym z Mistrzem, ale nawet nie wie, co dokładnie mogłaby mu powiedzieć. Dlatego milczy i ma nadzieję, że tamten już nie wróci, że było to spotkanie przypadkowe i bez znaczenia.

W ciągu następnych dni Dubhe wciąż jest niespokojna. Kiedy ćwiczy, jest zdekoncentrowana, ciągle spięta i skłonna do wybuchu. Mistrz to zauważył. – Coś cię martwi?

Dubhe podnosi wzrok, udając zdumienie. Tak naprawdę oczywiście spodziewała się tego pytania.

–Nic.

–Powiedz raczej, że nie chcesz ze mną o tym rozmawiać.

–Nie ma niczego, o czym bym z tobą nie rozmawiała, wiesz o tym. – To prawda.

–Z pewnością są sprawy, o których nigdy byś mi nie powiedziała.

Dubhe rumieni się. Zastanawia się, czy Mistrz naprawdę wie, co ona przed nim ukrywa.

–Wszyscy mają jakieś tajemnice – konkluduje, a ona oddycha z ulgą.

Ma nadzieję, że wszystko się na tym zakończy, ale następnego dnia znów czuje się niespokojna, i to jeszcze bardziej. Mówi sobie, że nie ma ku temu powodów i że musi zachować spokój.

Przed południem rozlega się pukanie.

Jest to okres przestoju w pracy i tak się składa, że zarówno Dubhe, jak i Mistrz są w domu. Jak zawsze jednak to ona otwiera drzwi.

Natychmiast sztywnieje. Stoi przed nią tamten mężczyzna, z tym samym złym uśmiechem wymalowanym na twarzy.

–Cześć Dubhe. Szukam Sarnka.

Dubhe nawet się nie zastanawia, skąd ten typ zna jej imię. Koncentruje się tylko na drugim. *Sarnek*.

Uśmiech na twarzy mężczyzny staje się jeszcze szerszy.

–Zdaje się, że go znalazłem.

Dubhe odwraca głowę i widzi za sobą Mistrza. Ma twarz ściągniętą złością, a w dłoniach sztylet. Knykcie zaciśnięte na rękojeści są białe. Czego chcesz? – pyta przez zęby. Mężczyzna cały czas się uśmiecha.

–Widzę, że jesteś raczej spięty... nóż wcale nie jest tu potrzebny. Jak widzisz, ja go nie wyjąłem.

Mistrz jednak cały czas go mocno trzyma.

–Dubhe, odsuń się.

Dziewczyna nie każe sobie tego dwa razy powtarzać. Nagle atmosfera zrobiła się lodowata, a ona się boi.

–Powtarzam ci, żebyś odłożył ten sztylet na miejsce. Nie jestem tu po to, aby wyrządzić ci krzywdę.

–Wybacz, ale ci nie uwierzę.

–Rzeczywiście, masz do tego prawo, ale w końcu ja i ty spędziliśmy razem wiele lat. Nie mógłbyś zaufać mi w imię starych czasów?

–Gildia jest zdraдлиwa.

–Gdybym chciał zabić ciebie lub dziewczynkę, już bym to zrobił, nie sądzisz? A przecież zapukałem do drzwi, a mój nóż i reszta broni są na swoim miejscu. Nie wydaje ci się to deklaracją dobrych zamiarów?

Mistrz przez jakiś czas stoi nieruchomo, mierząc wzrokiem tego człowieka, ze

sztyłem jeszcze ściśniętym w dłoniach i gotowym do użytku. Dopiero po chwili rozluźnia się i opuszcza uzbrojone ramię.

–Powtarzam, czego chcesz?

–Porozmawiać z tobą.

–Nie mam ci nic do powiedzenia.

–Ale ja mam... Przynoszę ci przebaczenie. Mistrz uśmiecha się drwiąco.

–Z pewnością go nie potrzebuję.

–Mówisz? A jednak przez te wszystkie lata nic tylko uciekałeś: to znak, że boisz się kary. Mistrz zgrzyta zębami.

–Streszczajmy się.

Mężczyzna uśmiecha się prawie dobrotliwie. – Jest to również i moim pragnieniem.

Wchodzi do domu. Dubhe patrzy na niego z lękiem. On odwzajemnia jej się spojrzeniem spod oka, pełnym dziwnych ukrytych znaczeń, których ona nie potrafi pojąć.

–Dubhe, wyjdź na zewnątrz.

Dziewczyna gwałtownie odwraca się do Mistrza.

–Dlaczego?

–Bo jestem zajęty! – wybucha gniewnie. – Przestań pytać "dlaczego?", kiedy wydaję ci polecenie, jasne? Ja jestem nauczycielem, a ty głupią uczennicą. Rób, co ci

mówię, i żadnych dyskusji.

Dubhe czuje się upokorzona tym wybuchem, ale nie może zrobić nic innego, tylko odejść.

–I nie pokazuj się przed upływem kilku godzin!

Ona potakuje, stojąc już w progu, potem zamyka za sobą drzwi.

Dubhe mieszka z Mistrzem już siedem lat. W ciągu tego czasu dzielili ze sobą wszystko: zawsze spali razem, jedli razem, mieli wspólne pokoje w gospodach,

grotach i innych nieprawdopodobnych domach. Ona go kocha, on jest centrum jej wszechświata. A jednak przez te wszystkie lata nigdy nie dowiedziała się, jak on ma na imię. Dla niej zawsze był tylko Mistrzem.

Teraz niespodziewanie przybywa dziwny mężczyzna, którego Mistrz nienawidzi, wydaje jej się, że to ktoś z Gildii, i nazywa go po imieniu. Nazywa się Sarnek. Dubhe bawi się palcem w piasku i obsesyjnie pisze jego imię. Sarnek. Sarnek. Nieznajomy znał jego imię, a ona nie. Czego od nich chce? Kto to jest? Dlaczego Mistrz wypędził ją, aby z nim porozmawiać, w dodatku tak ostro? Nie, nie Mistrz. Sarnek.

Dubhe podrywa się gwałtownie. Czuje się zagniewana, zdradzona i przestraszona. Biegnie ku morzu.

Na piasku zostaje napis.

Kocham Sarnka.

–Dość kurtuazji i zbędnych pogawędek.

Sarnek i mężczyzna piją napar, siedząc naprzeciwko siebie. Mężczyzna wydaje się zrelaksowany, zaś Sarnek jest spięty, zdenerwowany, z dłonią blisko rękojeści sztyletu.

–Jesteś taki sam jak zawsze, Sarnek. Mówi się, że lata i doświadczenie zmieniają ludzi, ale wydaje się, że ciebie to nie dotyczy. – Powiedz, czego chcesz, i idź sobie.

–Już ci powiedziałem. Gildia chce ci przebaczyć.

–Nie wierzę.

–Ujmijmy to w ten sposób: nie jesteśmy mściwi.

–Przez te wszystkie lata polowaliście na mnie, myślisz, że się nie zorientowałem? Musiałem cierpieć głód, aby nie wpaść w wasze ręce. Tylko drobne zlecenia, nigdy nie wybijać się ponad przeciętność...

–Wiedziałeś, że tak będzie, kiedy odchodziłeś.

–Dobrze wiem, że pozostaję dla was wstydem, nieszczęsną skazą na waszym

nieskalanym planie. Mylę się, czy wciąż jestem jedynym, który wam uciekł sprzed nosa?

Sarnek uśmiecha się okrutnie, a tamten zdaje się przyjmować to z niechęcią.

–Przeszłość to przeszłość i nie interesuje nas. Ty już jesteś prawdziwym

Przegranym i Thenaar będzie potrafił odplacić ci za to, że go zdradziłeś. Miejsce dla takich jak ty znajduje się w najgłębszych ciemnościach piekła.

–Nie próbuj mi grozić tymi twoimi fanatycznymi bzdurami.

Mężczyzna gwałtownie odstawia szklankę na stół i trochę naparu ląduje na drewnie.

–Jeżeli dalej będziesz się tak zachowywał, nigdy sobie nie pójdę, a przecież tego nie chcesz, prawda?

–No dalej, mów.

Mężczyzna odzyskuje panowanie nad sobą.

–Jak wspomniałem, nie jesteśmy już tobą zainteresowani. Dla nas jesteś ostatecznie stracony. Tylko nie zrozum mnie źle, jeżeli szukaliśmy cię przez te wszystkie lata, to bynajmniej nie po to, aby przekonać cię do powrotu, ale żeby cię zabić.

–Naprawdę mi pochlebiasz. I co niby miałyby się przez ten czas zmienić?

–Dziewczynka.

Twarz Sarnka nagle całkiem się zmienia. Uśmiech zamiera mu na twarzy i powraca bezwzględne spojrzenie.

–Trzymaj ją z daleka od tego wszystkiego.

Mężczyzna zachowuje się tak, jakby tego nie słyszał.

–To Dziecko Śmierci, wiesz o tym. Jest nierozzerwalnie związana z Thenaarem.

Jakby tego było mało, wykształciłeś ją zgodnie z naszymi metodami. I ty trzymasz ją tutaj, aby gniła... Piętnaście lat i jeszcze nie zaczęła wykonywać zawodu zabójcy.

**–Zostaw ją w spokoju – ryczy Sarnek. – Ona nie jest wasza, ona jest moja.
Mężczyzna chichocze.**

–Mówiłem, że nigdy się nie zmieniasz. Kobiety zawsze cię rujnują... Sarnek jest szybki i błyskawicznie chwyta go dłonią za gardło.

–Milcz.

Mężczyzna nie przestaje chichotać, ale podnosi dłoń na znak pokoju. Sarnek go puszcza.

–Nie możesz zaprzeczyć dowodom! Nawet taki niewierzący jak ty nie może tego nie widzieć: Dubhe należy do Thenaara. Nie rozpoznajesz planu przeznaczenia? Sposób, w jaki zetknęła się z zabójstwem, spotkanie z tobą...

–To czysty przypadek. Ja nawet wcale nie chciałem jej ze sobą zabierać.

Mężczyzna robi zniecierpliwiony ruch.

–Nie chcesz nawet pomyśleć. Zgoda, dobrze wiem, że dawno temu porzuciłeś wiarę i nie ma żadnego sensu, żebym starał się cię nawrócić. Przejdę więc raczej do

ugody. Gildia przebaczy ci, jeżeli oddasz nam Dubhe.

Sarnek uśmiecha się gorzko.

–Nawet o tym nie myśl.

–Nie masz żadnego wyboru, Sarnek. Nieoddanie jej oznacza, że ja przyjdę tutaj, zabiję cię i ją zabiorę. Koniec historii.

–Jeżeli ci się uda... A zapewniam cię, że nie jest to łatwe, ani trochę. Zawsze byłem lepszym mordercą od ciebie.

–Wiesz, że kiedy Gildia zaplanuje czyjąś śmierć, nie ma żadnej nadziei. Jeżeli nie oddasz nam Dubhe, weźmiemy ją sobie sami, a ciebie spotka taki koniec, że nawet sobie nie wyobrażasz...

–Nie! Nigdy nie pozwolę wam dorwać jej w wasze ręce ani nie porzucę jej na tę samą udrękę, jaką sam przebyłem. Sarnek patrzy na niego z nienawiścią, a mężczyzna wydaje się prawie przestraszony.

–Masz dwa dni na zastanowienie się. Potem przyjdziemy.

Mężczyzna podnosi się.

–Dobrze się zastanów, Sarnek. Sam byłeś Zwycięskim, więc wiesz, ile mamy sposobów na uśmiercenie człowieka.

Mężczyzna wychodzi przez drzwi bez pożegnania i zostawia Sarnka samego, siedzącego przy stole i wykręcającego sobie ze złością dłoń.

–Do diabła... do diabła!

Mistrz przybiega do niej na brzeg plaży. Dubhe od razu pojmuję, że stało się coś poważnego.

–Przygotuj bagaże, jutro rano wyruszamy.

–Co się stało? – pyta ze strachem.

–Rób, co ci mówię, i tyle. Kiedy będzie na to czas, dostaniesz swoje przekłete wyjaśnienia.

Dubhe posłusznie przygotowuje swoje rzeczy. Wieczorem Mistrz wychodzi.

–Gdybym nie wrócił, uciekaj. Nigdy więcej nie używaj swojego imienia ani mojego, jasne? Zapomnij o wszystkim, czego cię nauczyłem, i rozpocznij nowe życie.

Ale przede wszystkim posługuj się nowym imieniem.

Dubhe jest taka przestraszona!

–Dlaczego tak mówisz, co się stało?

–Uspokój się, mam do wykonania pewne zadanie. Ona zarzuca mu ramiona na szyję, ściska go mocno.

–Boję się, boję! Nie idź! Płacze.

On ją przytula.

–Nie musisz się martwić, wszystko będzie dobrze.

–Ty jesteś wszystkim, co mam; jesteś wszystkim, a teraz mówisz mi: „Gdybym nie wrócił”...

Szlocha, patrzy mu w oczy, starając się powstrzymać łzy.

–Nie porzucaj mnie, błagam cię, nie opuszczaj, ja... ja cię... Przerywa jej, kładąc palec na jej wargach.

–Nie mów tego. Nie mów... Wrócę o świcie.

To straszliwa noc. Dubhe spędza ją na nogach. Nie potrafi się uspokoić, płacze, potem stara się wziąć w garść, przykleja się do okna. Tobołki Mistrza i jej leżą gotowe na stole. Ma na sobie płaszcz.

–Mistrzu... Mistrzu... – mruczy do nocy.

Godziny mijają powoli i niespiesznie, gwiazdy zdają się przygwożdżone do swoich pozycji. Świt, kiedy nadchodzi, podnosi się z rozdzierającą powolnością, barwiąc niebo mleczną bielą. Wraz ze światłem nadchodzi lęk. Mistrza nie widać. Co zrobi, gdyby on nie wrócił? Co zrobi, jeżeli nie żyje? Nawet w myślach nie śmie wypowiedzieć tego słowa. Ona też by umarła. Jaki miałyby powód, żeby żyć?

I wreszcie, kiedy blady róż zaczął już barwić niebo, Dubhe dostrzega sylwetkę, sylwetkę, której nie może pomylić.

Wypada z chatki, woła jego imię – to imię, którego do poprzedniego dnia nawet nie znała, rzuca mu się na szyję, płacząc. Oboje padają na piasek.

Mistrz delikatnie głaszcząc ją po głowie.

–Już wszystko w porządku, wszystko w porządku. Kiedy się podnoszą, Dubhe widzi krew.

–Co się stało? On potrząsa głową.

–W większości to nie moja.

Rana jednak jest, Dubhe od razu ją dostrzega, na ramieniu.

–A to?

–Głupstwo.

To rozcięcie. Mistrz jest blady i spocony.

–Opatrzę ci ją.

–Powiedziałem ci, że to głupstwo.

–Może wdać się infekcja. Ja znam zioła... wyleczę cię. Mistrz kapituluje przed tymi błyszczącymi oczami.

Dubhe przygotowuje miksturę i z troską rozsmarowuje ją na ramieniu. To poszarpane i głębokie rozcięcie; prawie widać kość i wypłynęło wiele krwi. Dziewczyna dotychczas nie leczyła podobnych ran, ale ufa własnej wiedzy w dziedzinie botaniki i temu, co wyczytała w książkach. Dezynfekuje ramię, szyje igłą i nitką, a potem nakłada leczniczy okład. Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale wiele o tym czytała. On nie wydaje ani jednego jęku. Patrzy na ziemię raczej zmęczony. Nie mówią do siebie ani słowa, ale Dubhe wie, że nie ma takiej potrzeby. Wrócił do niej. Jest pewna, że ten mężczyzna w czerni nie będzie ich więcej niepokoił, nie żyje. Dopiero gdy stawia na stole dwie miski mleka, wymieniają kilka zdań.

–Ten człowiek z Gildii nie jest już problemem, ale i tak musimy stąd odejść.

Dubhe patrzy na niego z zachwytem. Po nocnych strachach nie może uwierzyć, że on tu jest.

–Jak chcesz, Mistrzu.

–Zrobiłem coś wielkiego... zbyt wielkiego...

–Wszystko będzie dobrze, dopóki będziesz ze mną – uśmiecha się Dubhe. On też się uśmiecha, ale ze smutkiem.

–Wyruszymy nocą.

Wyruszają z gwiazdami. Przyjmuje ich zimne i okrutne niebo. Mistrz jest słaby. Dubhe widzi to, ale on nalega, żeby iść.

–Zabiłem jednego z Gildii. Nie dadzą mi spokoju. Musimy między nami a nimi zostawić jak najwięcej mil.

Dubhe przygryza wargę.

–Ale czego on chciał?

–Opuściłem Gildię wiele lat temu, dla nich jestem zdrajcą. Chciał mnie zabić i zabrać cię ze sobą. Dubhe patrzy w ziemię. Zatem to jej szukali. Jej i jej przekłętą przynależności. Wie o tym, jest Dzieckiem Śmierci, to dlatego ją chcą. Czy nigdy nie nadejdzie koniec nieszczęść, które przyniosły ze sobą jej narodziny?

Podróż jest długa i męcząca, bez postojów. Kierują się ku Krainie Słońca, do nowego domu, powiedział Mistrz. Jest strudzony, ma gorące czoło i Dubhe zaklina

go, aby się zatrzymali.

–Tu chodzi o nasze życie, głupia dziewczucho, zrozumiesz to wreszcie?

Mistrz jest nerwowy, może to ból, może gorączka. Dubhe wydłużą więc krok, aż do utraty sił. Rozumie, że jedynym wyjściem jest jak najszybsze dotarcie na miejsce.

Jednocześnie jednak widzi, jak stan Mistrza się pogarsza, rana poszerza i dziewczyna nie wie, co robić. Jest zrozpaczona.

–Mistrzu, stan rany jest zły, wdało się zakażenie, tak nie dasz rady! Musimy się zatrzymać!

Mistrz jej nie słucha, ciągnie naprzód, z coraz wyższą gorączką, niepewnym krokiem.

Noc po nocy idą naprzód, pejzaż się zmienia i Dubhe czuje z ulgą, że cel jest bliski. W końcu nie są tak daleko od Makratu.

To Mistrz ją prowadzi, chociaż bardzo źle się czuje. Idą do lasu i w końcu trafiają do jakiejś grotty. W środku jest tylko legowisko.

–To tutaj – mówi Mistrz zadyszonym głosem.

–To nie jest dom! – mówi Dubhe.

–Nie możesz tu być.

–Nie ma nic lepszego. Jestem zmęczony, nie rób scen. Tu blisko powinien być potok, idź i przynieś mi wody.

Dubhe biegnie tam, nabiera wody i podaje mu. Przez całą resztę wieczoru nie robi nic innego, tylko szuka jedzenia i przygotowuje lecznicze okłady.

Rana wydawała się niezbyt poważna, a tymczasem jej stan bardzo się pogorszył.

–Mistrzu, dlaczego mi to robisz, dlaczego? Dlaczego doprowadziłeś się do tego stanu?

On nie odpowiada, ogranicza się do uśmiechu. Wydaje się spokojniejszy, często głaszcząc ją po głowie.

–Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił przez te lata. Dubhe odwraca się gwałtownie z oczami pełnymi łez.

–Ja bez ciebie nie istnieję, Mistrzu, rozumiesz mnie? Ja cię Kocham! On dalej się uśmiecha.

–Głupstwa, głupstwa... – mruczy.

Po kolacji zapada w sen, lekki i ożywczy. Dubhe czuwa przy nim przez całą noc.

Przez następne dni Dubhe całkowicie oddaje się Mistrzowi. Idzie do niezbyt odległego Makratu po jedzenie, przygotowuje mu czyste legowisko, kuruje go.

–Kiedy wychodzisz, dobrze się zakryj i upewnij się, że nikt za tobą nie idzie - nakazuje jej zawsze, nawet w delirium gorączki.

–Tamten człowiek nie żyje, Mistrzu, nikt nie może za nami iść.

–Gildia ma oczy i uszy wszędzie.

Dubhe ciałem i duszą angażuje się w przygotowanie kuracji i po tygodniu widać oznaki poprawy. W dniu, kiedy gorączka wreszcie opada, dziewczyna nie posiada się ze szczęścia. Jest wyczerpana ze strachu i zmęczenia, ale jednocześnie szczęśliwa, uśmiecha się do Mistrza.

–Jesteś naprawdę dobrą kapłanką – żartuje z niej, a ona śmieje się po raz pierwszy, od kiedy mężczyzna w czerni pojawił się w ich życiu.

W ciągu następnych dni wszystko ulega stopniowej poprawie. Mistrz jest bardzo zmęczony, ale dochodzi do siebie. Prawdopodobnie broń, którą został zraniony, musiała być lekko zatruta, dlatego przebieg procesu zdrowienia był taki powolny i wymagał tylu zabiegów.

Są to dni radości. Dla Dubhe to powrót do życia. Wkrótce wszystko będzie takie, jak wcześniej, a nawet lepsze, bo od kilku dni Mistrz jest dla niej o wiele bardziej serdeczny. Nie wie, co się zmieniło. Może to fakt, że w tak trudnej chwili byli blisko siebie, a może to wyznanie, jakie mu uczyniła. Bo Dubhe dobrze pamięta: powiedziała mu, że go kocha. On odpowiedział, że to głupstwo, ale sądząc po jego zachowaniu, nie wygląda na to. Nagle zaczyna wyobrażać sobie ich wspólną przyszłość zaczyna fantazjować.

Mistrz jednak nie jest taki spokojny. Bezustannie obserwuje okolicę, Dubhe często zastaje go stojącego i podejrzewa, że przeszukuje najbliższe tereny.

–Musisz leżeć w łóżku, inaczej nigdy nie wyzdrowiejesz.

–Czuję się dobrze, nie zachowuj się jak matka. Pewnego dnia dziewczyna przyłapuje go, jak coś pisze, a kiedy tylko ją widzi, chowa wszystko z wielkim pośpiechem. Ona o nic go nie pyta.

Mistrz ciągle się martwi, że ktoś ich śledził, że wie, gdzie są. To jego obsesja.

–Jesteś pewna, że nikt za tobą nie przyszedł?

–Jestem pewna.

–Okolice mogę sam skontrolować, ale reszta...

–Ty nie musisz nawet kontrolować okolic, masz tylko wyzdrowieć.

Dubhe cały czas aplikuje mu maść. Każdego wieczoru własnoręcznie ją przygotowuje.

Pewnego razu, tak jak zawsze, rozsmarowuje mu maść na ramieniu. W jednym punkcie rana jest dziwnie otwarta.

–Mistrzu, dlaczego nie możesz być przez chwilę grzeczny? Rana się otworzyła, co robiłeś? – mówi z karcącą miną.

Spodziewa się reprimendy, bo Mistrz nie lubi, jak mu się w ten sposób zwraca uwagę. On się jednak nie złości. Po prostu odpowiada, że nic nie robił, a nawet odpoczywał.

Dubhe krząta się z troską. Tam, gdzie rana się otworzyła, rozsmarowuje grubszą warstwę, potem wszystko bandażuje. Już w tym momencie coś zaczyna iść nie tak, jak powinno. Czuje, jak ramię Mistrza dziwnie się zaciska. Przerywa czynność, aby sprawdzić, czy nie było to tylko jej wrażenie. Ale jednak nie, przez ramię przebiegają lekkie skurcze.

–Mistrzu, co się dzieje?

Mężczyzna cały czas się uśmiecha, ale jest dziwnie blady.

–Połóż mnie.

Serce eksploduje jej w piersi i zaczyna dziko walić.

–Nie czujesz się dobrze? Co ci jest?

Uśmiech nie znika z jego ust, chociaż Mistrz zaczyna szczękać zębami.

–Nie martw się, jeszcze trochę i będzie po wszystkim.

Dubhe czuje daleki, nieznany lęk, który napęlnia ją przerażeniem. Mistrz drży coraz mocniej, tak że trudno mu jest mówić.

–Nie mam czasu. Na swojej poduszce znajdziesz list. Przeczytaj go i zrób, co ci mówię.

–Co się dzieje, co się dzieje?

Dubhe zaczyna płakać. Rozpoznaje te objawy. Pamięta je ze swojej pierwszej książki o botanice – tej, którą kupiła za pieniądze z pierwszego zabójstwa.

–Przebacz mi – głos Mistrza jest złamany, urywany. – Moja śmierć była konieczna, a nie znalazłem innego sposobu.

Liść aksamitu. Jedna z trucizn, których używał do swoich zabójstw. Przeważenie zatrzymuje nawet jej łzy.

–Wszystko jest w liście. – Słowa są pojedyncze, nierozpoznawalne. Dubhe jest w stanie tylko wzywać jego imię i bez ustanku pytać, dlaczego. Mistrz cierpi, czyta to na jego twarzy. *Nie, nie, nie!*

–Gdybym ja... szukaliby mnie... zawsze... pozwól... znaleźć... ciało... Dubhe obejmuje go gwałtownie, wykrzykując całą swoją rozpacz z powodu tego gestu, którego nie rozumie, którego nie może w żaden sposób zaakceptować.

Ciało Mistrza drga w jej objęciach. Czuje, jak staje się coraz zimniejsze i sztywniejsze.

Mistrz zamyka oczy, zaciska wargi, udaje mu się jeszcze raz niezgrabnie położyć dłoń na włosach Dubhe i pogłaskać ją szorstko. Ona przytula go mocniej.

Nie, nie, nie!

Potem, jak sam powiedział, wszystko szybko się kończy. Jego ciało rozluźnia się, oddech przestaje być zadyszany, aby zagasnąć w ostatnim, lekkim tchnieniu.

Dubhe zostaje wtulona w niego, nie ma odwagi, aby się poruszyć, rozpaczliwie sama.

32. Początek historii

Przeszłość XI

Droga Dubhe,

dobrze wiem, że zrozumienie tego, co zrobiłem, będziesz uważała za niemożliwe. Wiesz, że znam Cię lepiej niż ktokolwiek inny, i dlatego rozumiem, jak się czujesz oraz ile zagubienia i bólu przysporzył Ci ten mój czyn. Napisałem ten list właśnie po to, aby Ci wytłumaczyć. Nie proszę Cię o przebaczenie i nie żałuję tego, co zrobiłem. To było konieczne. Proszę Cię raczej, abys zamknęła ten rozdział Twojego życia, a pamięć o mnie i moje nauki wyrzuciła, zapomniiała o nich i zaczęła żyć tak jak w czasach Selvy.

Dubhe, jestem zmęczony, niezmiernie zmęczony. Dla ludzi jestem młody i lat mam niewiele, ale czuję, jak ciężą mi w sposób niewypowiedziany. Czuję się zużyty i stary jak świat. Zrobiłem wszystko, co mogłem, i gdybym żył dłużej, nie dodałbym nic do historii mojego życia. Po prostu włókłbym się dalej i pociągnąłbym ze sobą również Ciebie. To jest pierwszy powód, dla którego postanowiłem umrzeć. Już nie mogłem. Dubhe, taką cenę płacimy my, zabójcy. Tacy jak my, którzy w życiu nie poznali niczego innego, który patrzyli, jak inni wybierają za nich i wtłaczają ich w egzystencję, której nienawidzą, umierają po trochu przy każdym zabójstwie. Jesteś

bardzo młoda, ale wiem, że Ty też już odkryłaś tę prawdę. Morderstwo obciąża nas i w końcu ten ciężar staje się nieznośny.

Nie zrobiłem tego wyłącznie ze zmęczenia. Zrobiłem to z powodu Gildii. Tamtej nocy zabiłem mojego dawnego kolegę z Domu.

Znaliśmy się od dziecka i może ja nienawidziłem jego, a on mnie, ale dorastaliśmy razem. Zabiłem go, bo chciał zabrać Cię ze sobą, a Ty nie zasługujesz na taki sam los, jak ja. Ale nikogo z Gildii nie można zabić bezkarnie. Miałbym ich już zawsze na karku, nie daliby mi spokoju, szukaliby nas wszędzie. Ja nie dam rady znieść tej walki. Nie mogę zacząć walczyć z Gildią o moją duszę. Ale jeżeli ja odejdę, jeżeli umrę, Ty będziesz wolna i będziesz mogła uciec bez mojego balastu. Oczywiście, będą Cię szukać, ale będzie to trudniejsze. Bo oni znają bardzo dobrze mnie, ale nie Ciebie. Jeżeli ja odejdę, Ty będziesz wolna.

Dubhe, byłaś najlepszą stroną tych ostatnich lat. Kiedy Cię znalazłem, byłem zrozpaczony. Nie minął nawet rok od momentu, kiedy opuściłem Gildię. Bardzo trudno było mi stamtąd odejść. Byłem z nimi przecież tak długo i znałem tylko morderstwo i kult Thenaara. Urodziła mnie jedna z kapłanek Gildii i nigdy nie poznałem moich rodziców. Byłem hodowany przez Zabójców w jednym tylko celu:

abym stał się bronią. Przez długie lata, od dzieciństwa po dojrzałość, robiłem wszystko, co tylko mi powiedzieli, uważając ich nauczanie za prawdziwe i święte.

Zabijanie sprawiało mi przyjemność, dzięki niemu czułem się silny i nie brakowało mi życia normalnego człowieka. Dla mnie Gildia była wszystkim, czego potrzebowałem.

Czar prysł za sprawą kobiety. W Gildii nie ma miłości, ale ród Zabójców musi trwać.

Ona też była kapłanką. Kapłanka istnieje tylko z jednego powodu: ma ofiarowywać Thenaarowi dzieci. Kiedy osiąga wiek nie płodny, zostaje zabita. Do tego czasu co dwa lata musi wydać na świat dziecko. Jeśli jej się nie uda, musi zginąć.

Była to dziewczyna o raczej pospolitej urodzie, nic nadzwyczajnego. Gildia pełna była kobiet o wiele piękniejszych, okrutniejszych i dzielniejszych. Zanim ją poznałem, miała dwoje dzieci, które zostały jej odebrane zaraz po urodzeniu. Nie czuła żalu – wiedziała, że taki jest jej los. Drugi poród był bardzo trudny i kapłan powiedział jej, że jeżeli będzie mieć jeszcze dzieci, będzie to cud. Ona nikomu tego nie

zdradziła.

Nie wiem, dlaczego się w niej zakochałem. Była czysta, może to dlatego. Była niewinna: tej cechy nigdy nie miałem i nawet nie znałem. Zabijała jako dziewczynka, zanim została kapłanką, ale mimo to utrzymała coś w rodzaju czystości, która mnie fascynowała. Kochaliśmy się po raz pierwszy, a ja rozpływałem się, kiedy tylko widziałem ją w Domu: jej roztargniony chód i zamyśloną twarz. Ona też mnie kochała, w sposób słodki i delikatny, który czynił ją w moich oczach jeszcze bardziej fascynującą.

Nie zaszła w ciążę przez miesiąc, potem przez następny i jeszcze kolejny. Przez cztery miesiące nie zaszła w ciążę, chociaż widywaliśmy się prawie każdej nocy. Na początku nie interesowało nas to, a nawet się cieszyliśmy. Im bardziej opóźniała się jej ciąża, tym więcej czasu mogliśmy spędzić razem. Potem jednak Najwyższy Strażnik wezwał mnie na rozmowę i powiedział mi, że kapłanka, która nie daje dzieci, jest niepotrzebna, i że jeśli nie zajdzie w ciążę w ciągu następnych dwóch miesięcy, będę musiał ją zabić.

Ogarnęło nas przerażenie. Kochaliśmy się z desperacją, za każdym razem bojąc się, że to ostatni raz, ale ona nie zaszła w ciążę przez dwa kolejne miesiące. Zdradziła mi, co rok wcześniej powiedział jej kapłan, i we łzach powtarzała, że jest zgubiona, że wszystko jest skończone. Wiedziałem, co mnie czekało. To ja musiałbym ją zabić – tak głosiły reguły tego miejsca.

Postanowiliśmy uciec. Tak naprawdę to ja zdecydowałem za nas oboje. Ona była związana z tym miejscem przez głupią formę wdzięczności. Była Dzieckiem Śmierci: jej matka umarła przy porodzie i Gildia przejęła ją jeszcze w pieluszkach, kiedy nie miała już na świecie nikogo.

Przekonałem ją, opracowałem wszystko w najmniejszych szczegółach. Dziwne, jak miłość zmieniła moje perspektywy, zupełnie jakby przegoniła wszystkie przekonania, które miałem na temat Gildii i zabijania. Nie chciałem już być Zwycięskim, nie chciałem już ofiarowywać Thenaarowi darów. Chciałem tylko spokojnie z nią żyć.

Uciekliśmy nocą. Niełatwo jest porzucić Gildię, w żadnym wypadku, ale my i tak spróbowaliśmy. Ona nie czuła się dobrze, w sumie nie wiem, co jej było. Kiedy uciekaliśmy, upadła, a oni natychmiast ją dopadli. Nie wiem, co mi się wtedy stało. Za każdym razem, kiedy o tym myślę, czuję się źle, coraz gorzej. Moje stopy okazały

się silniejsze niż moje serce. Uciekłem. Nie zatrzymałem się, aby ją uratować. Moje przeklęte nogi zaprowadziły mnie daleko od niej, i tam zacząłem prowadzić nowe żałosne życie.

Próbowałem ją później odzyskać, próbowałem ją ocalić. Znalazłem jej ciało wśród trupów w zbiorowej mogile, gdzie Gildia wyrzucała swoje ofiary. Pozwoliłem jej umrzeć, rozumiesz? Jedynej kobiecie, którą kiedykolwiek kochałem. Pozwoliłem jej umrzeć – ze strachu, z pragnienia głupiej wolności, z której nigdy nie skorzystałem.

Kiedy Cię spotkałem, minął rok od tamtego czasu. Nie chciałem nikogo przy sobie, dobrze o tym wiesz. Już zacząłem umierać. Twoja obecność dała mi siłę, dzięki której przeżyłem do dzisiaj. Przez długi czas byłaś moim celem, moją nadzieją. Znowu jednaś popełniłem błąd. Moje całe życie jest pomyłką, a za to zawsze płaciły osoby, które kochałem. Nigdy nie powinienem był zabierać Cię ze sobą. Powinienem był zrozumieć to ze sposobu, w jaki spojrziałaś na mnie, kiedy uratowałem Cię po raz pierwszy i we wszystkich innych momentach, kiedy patrzyłaś na mnie z uwielbieniem. Ale ja potrzebowałem Cię, nieznośnie. Potrzebowałem Twojego życia, aby rozbudzić moje, potrzebowałem Twojego uwielbienia, aby poczuć, że jeszcze coś dla kogoś znaczę.

Wyszkolenie Cię, wypaczenie Twojej niewinności było niewybaczalnym grzechem, czymś, czego nie powinienem był nigdy zrobić. Zmusiłem Cię do zabijania, przekazałem Ci moje przeznaczenie śmierci, zaszyłem je w Tobie tylko po to, aby nie czuć się sam w moim bólu, tylko aby pozwolić powrócić mojemu duchowi.

Zawsze, za każdym razem, kiedy na Ciebie patrzyłem, przypominałaś mi ją. Kiedy byłaś mała, byłaś córką, której mi i jej nie dane było doczekać, dzieckiem, które może pozwoliłoby nam być razem. Później w Twoich oczach widziałem jej oczy i w

mojej głowie przypominałaś ją coraz bardziej. A kiedy zobaczyłem, że mnie kochasz, kiedy wręcz mi to mówiłaś, ja w głębi duszy wracałem do niej i przebiegały mi przez głowę straszne myśli. Sądzę, że Cię Kocham. Kocham ją przez Ciebie. To jest kolejny powód, dla którego muszę odejść.

Ja jestem Twoim łańcuchem, Dubhe, jestem Twoją ruiną. Ale Ty musisz być wolna, tak jak wtedy, zanim mnie spotkałaś, A jednak Ty mówisz, że jestem dla Ciebie wszystkim, że beze mnie jesteś zgubiona. Zapomnij o miłości, jaką do mnie

czujesz: będą inni mężczyźni, których będziesz kochała bardziej i którzy będą umieli kochać Cię dla Ciebie, a nie dla tego, co w Tobie widzą.

Teraz ja umieram, a rachunki się wyrównują. Oddaję Ci Twoją wolność, znowu czynię Cię normalną osobą. To dlatego chciałem, żebyś to Ty zrobiła, to dlatego włożyłem do okładu liść aksamitu. Chciałem umrzeć z Twojej ręki, żebyś to była Ty, osoba tak mi droga. Na zawsze zapamiętaj tę potworność. Nie chcę, żebyś była zawodową morderczynią. Teraz pewnie pomyślisz, że nie masz wyboru, że to jedyna rzecz, którą umiesz robić, ale to nieprawda, nie! Musisz mi przysiąc, Dubhe, musisz mi przysiąc, że już nigdy tego nie zrobisz. To nie jest praca dla Ciebie. Przeznaczenie nie istnieje, Dubhe, wcale. Wszystkie głupoty o Dzieciach Śmierci, o Thenaarze, który wybiera swoje ofiary i swoich świętych, to wszystko idiotyzmy. Każdy wybiera własną drogę, każdy może zmienić własną historię. Ty przynajmniej możesz to zrobić.

Dubhe, proszę Cię o to i jest to moje ostatnie życzenie. Jeżeli zostaniesz zawodowym mordercą, skończysz jak ja, pochłonięta przez zmęczenie, nieżywa wewnątrz, i któregoś dnia i Ty poszukasz zioła, które może dać Ci szybką i bezbolesną śmierć.

Zrób tak, aby Gildia znalazła moje ciało. Muszą wiedzieć, że nie żyję. Ty natomiast uciekaj, zmień życie i używaj innego imienia. Przez pierwszy okres lepiej, żebyś często zmieniała miejsce pobytu, aby zatrzeć za sobą siady, ale po pewnym czasie będziesz mogła osiedlić się w jakimś miejscu i zacząć od początku. Ufam Ci. Odchodzę pogodnie, bo wiem, że dasz sobie radę. Jeżeli tylko będziesz chciała, jeżeli tylko spalisz za sobą mosty, dasz radę.

Zapomnij o mnie, Dubhe, zapomnij o mnie i przebac mi, jeśli możesz.

Sarnek

Dubhe jest w grocie. Otwarty list leży na jej nogach. Najpierw przeczytała go w całości jednym tchem, głaszcząc te kartki, na których Mistrz kładł swoje ręce, podążając za jego kaligrafią – tym wszystkim, co po nim zostało. Potem wróciła do niektórych części, czytała jeszcze i jeszcze.

Nie ma już w sobie łez. Wszystkie wylała nad ciałem Mistrza, wielokrotnie krzyząc swoje „dlaczego” jemu i niebu. Z góry nie pojawiła się żadna odpowiedź, żaden spokój, tylko nieskończona samotność.

Nie rozumie. Już zna te słowa na pamięć, a jednak nie rozumie. Ten rozpaczliwy gest, który odebrał jej jedyne, co jej pozostawało, wydaje jej się całkowicie niezrozumiały. Niewyraźnie czuje rozpacz i poczucie winy. Tylko jedno jest dla niej całkowicie jasne. Nie wystarczyło być doskonałą uczennicą ani tak go kochać, prawie wielbić. Nie udało jej się być powodem, dla którego warto było żyć. Mistrz wolał raczej umrzeć niż zostać z nią, nie dała rady utrzymać go przy sobie.

Wraca myślą do swojego życia, myśli o ojcu, który umarł, o matce, która wolała o niej zapomnieć, o Gornarze, który teraz jest już pewnie tylko kupką kości pod ziemią, o Mistrzu. Wzdłuż ścieżki jej życia biegnie niekończący się ślad krwi. Tylko nieszczęścia i ból tych, którzy ją kochali, formowali, pomagali jej. Rin też umarł, a z nim wszyscy inni z obozowiska.

Mistrz powiedział, że przeznaczenie nie istnieje. Ale przecież czym to wszystko jest, jeśli nie przeznaczeniem? Czym jest to nieskończone cierpienie, ta niemożność zrzucenia z siebie śmierci?

Zrób tak, jak mówi.

Ogłuszona bólem, sama też trochę umarła, robi to, co nakazał jej Mistrz. Znosi jego ciało niedaleko od Makratu, w środku nocy, przykryta płaszczem i z twarzą całkiem schowaną pod kapturem. Zostawia je blisko murów. Ktoś będzie przechodził ulituje się, weźmie je i pochowa. Wieść się rozniesie, wszyscy dowiedzą się, że on nie żyje. Gildia też się dowie. A ona zniknie.

Nie wie, co zrobi ze swoim życiem. Wraca do groty i zostaje tam długo, nie mając na nic ochoty.

Wszystko jest dokładnie tak, jak tego wieczoru, kiedy on umarł. Okład, którym ona sama go zabiła, jeszcze widnieje na bandażach. Została z niego tylko czarniawa, sucha papka, którą wiatr powoli rozwiewa po podłodze groty. Są jego rzeczy. Strzały, noże, łuk, sztylet. Cały jego świat został tutaj. Wszystko jest tak straszliwie żywe, że Dubhe nie może uwierzyć, iż Mistrz odszedł na zawsze i że już nigdy nie będzie mogła go zobaczyć.

Długo tak leży, a czas zastyga, teraźniejszość i przyszłość się mieszają. Wszystko jest takie samo, jak w noc po zabiciu Gornara.

Czasami chciałaby móc przynajmniej nienawidzić Mistrza. Czuje, że miałyby ku temu powody. W końcu pozostawił ją, a co więcej, jakby tego mu było mało, w jakimś stopniu jeszcze zmusił ją do zabicia go. Ale nie może. Miłość, którą do niego czuła,

pozostała nienaruszona w jej wnętrzu, w jej sercu, w jej głowie. Oczywiście, jest też nienawiść, ale Dubhe nienawidzi raczej samej siebie. Z pewnością mogła coś zrobić, ale tego nie zrobiła.

A jednak, mimo skrajnego zmęczenia, zarówno fizycznego, jak i duchowego, pod grubą kołdrą bólu cały czas pulsuje życie. Dubhe może nawet chciałaby walczyć z tym instynktem, chciałaby położyć się tam w grocie, gdzie Mistrz wydał ostatnie tchnienie, i sama też pozwolić sobie odejść. Ale nie może. To uparte pulsowanie jest silniejsze niż cokolwiek innego, jest niepowstrzymane.

I tak któregoś dnia wyciąga rękę do przybrudzonego ziemią zawiniątka, odłożonego w rogu i nigdy nieruszonego. Drżącymi dłońmi, walcząc z zawrotami głowy, otwiera je, bierze ser i płacząc, zjada go wielkimi kęsami.

Życie było silniejsze. Trudno to zaakceptować. Będzie więcej bólu, Dubhe wie o tym, być może jest tak, jak powiedział Mistrz, będzie to stopniowe umieranie, ale ona nie jest stworzona do dróg na skróty i łatwych pocieszeń. Ona pójdzie naprzód, do końca.

Dubhe zostaje w grocie jeszcze przez kilka dni. Mistrz nakazał jej wędrować, ale ona nie wie, co ma robić. Żyje, będzie żyć, ale jak?

Mistrz powiedział jej, aby porzuciła tę drogę, powiedział jej: „Na zawsze zapamiętaj tę potworność” i te słowa niespodziewanie stają się w jej głowie rozkazem. Będzie o tym pamiętać. Zresztą nie ma sposobu, aby o tym zapomnieć. I ucieknie, będzie się tułać. Nie dotknie już swojego sztyletu. Wyrzuca go, bierze ten należący do Mistrza i na jego krew przysięga, że nigdy go nie użyje.

Ale co może teraz robić? Nie wie. Idzie. Na razie tylko tyle. Opuszcza dom, który z nim dzieliła, przemierza wioski, idzie na południe. Nie chce już wracać do Krainy Słońca, która zawsze przynosiła jej tyle bólu.

Jej wysokie buty pokrywają się kurzem, jej chlebak stopniowo staje się coraz bardziej pusty. Pieniądze kończą się, a głód rośnie. W mijanych wioskach patrzy na owoce na straganach, patrzy na okna oberż. Jest głodna. Nie wie, co ma robić.

Potem pewnego dnia brzuch burczy głośniejsz niż zwykle, a dzika wola życia daje się odczuć bardziej niż kiedykolwiek. I tak nocą wślizguje się do spiżarni jakiejś gospody. Wspina się po murze, wchodzi przez okno. Nie robi żadnego hałasu. Jej ciało pamięta o treningu i wprowadza w życie każdą najmniejszą wskazówkę Mistrza. Idzie do spiżarni, rzuca się na jedzenie z łapczywością i bierze ze sobą zapasy. Kiedy

wychodzi, prawie świta.

W jakiś sposób jej droga jest już naznaczona. Wioska po wiosce, a potem w

miastach. Dubhe pojmuję. Nie ma nic innego, co potrafiłaby robić. Wchodzić po kryjomu do domów, gospód, pałaców i kraść. Nie jest to coś, co by szczególnie lubiła, ale nie może też powiedzieć, że nie podoba jej się to zajęcie. Po prostu nie ma wyboru. Będzie się włościć, ze wszystkich swych sił będzie się starać uciec od Gildii i swojego przeznaczenia, i będzie kradła. Mistrz się mylił. Aby żyć, musi pamiętać jego nauki, musi wcielić je w życie.

I tak zaczyna się historia.

33. Ucieczka przez pustynię

Brama zamknęła się za nimi z głuchym łoskotem. Tak, była na zewnątrz. Na zewnątrz!

Tylko na moment oparła się plecami o ścianę. Poczowała dotyk na ramieniu.

–Dobrze się czujesz?

Lonerin był niesamowicie spokojny, przytomny. Dubhe przytaknęła.

–Idziemy.

Zaczęli pędzić przez step rozciągający się przed świątynią. Musieli się pospieszyć, jak tylko mogli, aby przed nastaniem dnia znaleźć się jak najdalej od Domu.

Dubhe była wyćwiczona i udało jej się utrzymać dobre tempo biegu przez jakąś godzinę, ale Lonerin szybko zaczął zdradzać oznaki zmęczenia. Jego oddech stawał się coraz bardziej zadyszany, a ruchy nieskoordynowane. Dubhe zwolniła.

–Zaczynaj iść, bo nie dasz rady. No już, zwolnij.

Lonerin posłuchał, chociaż z ciężkim sercem. Był całkiem wyczerpany.

–Nie... nie dam... rady...

–O której budzą się Postulanci? Lonerin potrząsnął głową.

–Nie wiem dokładnie... nie ma słońca... tam na dole... a więc...

–No to ile czasu przed śniadaniem w refektarzu?

–Myślę... około dwóch godzin...

Dubhe popatrzyła na niebo. Pięć godzin do pobudki i przypuszczalnie sześć czy siedem do rozpoczęcia pogoni. Tylko sześć godzin, aby zatrzeć swoje ślady. Na

piechotę nie mogło się to udać, zwłaszcza w stanie, w jakim znajdował się Lonerin.

–Chodź za mną.

Chłopak nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać.

Widać było wyraźnie, że nie chce być ciężarem. Dubhe rozumiała to. Zresztą do tej pory to ona wykonała większą część pracy, zarówno odkrywając plany Yeshola, jak i wyprowadzając ich z Gildii.

–Przepraszam – powiedział nagle Lonerin. – Szkolenie czarodziei nie przewiduje prób biegu na przelaj.

Jego głos miał gorzką nutę.

–Nie martw się. Umiesz jeździć konno?

Lonerin przytaknął z pytającym spojrzeniem.

Dojście do gospodarstwa nie zajęło im wiele czasu. Dubhe przechodziła tędy parę razy w ciągu ostatniego miesiąca, kiedy poszła szukać Jenny. Nigdy nie zwróciła na to obejście szczególnej uwagi. Zresztą był to tylko zaniedbany dom na skraju Krainy Nocy. Kiedy jednak zobaczyła, jak Lonerin dyszy z powodu biegu, w jej głowie zapaliło się światełko.

–Zachowuj się tak cicho, jak potrafisz – wyszeptała Dubhe, a on przytaknął z twarzą tak samo zdumioną, jak poprzednio.

Czołgali się po ziemi, poruszając się ostrożnie. Posuwali się naprzód, dopóki nie dotarli do stajni. Przed budynkiem spał zwinięty w kłębek pies. Trudno będzie zrobić to, co musieli, nie budząc go.

Dubhe odwróciła się do Lonerina

–Czy jeśli chcesz, możesz kogoś uśpić?

–Tak.

Dubhe wskazała na psa.

–Jego też?

–Tak.

Głos Lonerina miał dziwną intonację. Dubhe spojrzała na niego.

–Na co czekasz? Zrób to.

–Nie jestem do końca przekonany, czy to, co robisz, to dobry pomysł...

Dubhe prychnęła. Na podstawie jego dotychczasowego zachowania wyrobiła sobie o nim inne zdanie.

–Myślisz, że mamy inne wyjście?

–Nie... ale ci ludzie żyją z koni...

–To znaczy, że kiedy będziemy cali i zdrowi, jeżeli kiedykolwiek to nastąpi, odprowadzisz im je, zgoda?

Dubhe była zniecierpliwiona, a Lonerin nie ośmielił się już nic dodać. Podniósł dwa palce jednej ręki i wypowiedział dziwną litanię w języku, którego Dubhe nigdy nie słyszała.

–Idziemy – powiedział w końcu.

Dubhe popatrzyła na psa. Spał, jakby nic się nie zmieniło.

–Na pewno?

–Może na to nie wyglądam, ale jestem dobrym czarodziejem. Miał urażony głos. Wcześniejsza uwaga musiała go dotknąć.

Dubhe lekko potrząsnęła głową. Lonerin już ruszył z miejsca, a ona poszła za nim.

Znaleźli tam cztery konie. Żadne tam małe gospodarstwo. Najwyraźniej wcale nie powodziło im się aż tak źle. Kusilo ją, aby skomentować to głośno, ale się powstrzymała. Lonerin na to nie zasługiwał. Uratował ją od Recli – gdyby nie on, nigdy nie postawiłaby stopy na zewnątrz.

Były to stare szkapy i daleko było im do koni wyścigowych, ale wystarczy, żeby wytrzymały noc jazdy. Zresztą Gildia nie wiedziała, w jakim kierunku się udawali.

Dubhe podeszła do tego z czterech koni, który wydawał jej się najmniej stary. Pogłaskała go po pysku, a zwierzę przebudziło się powoli. Dziewczyna poczuła dziwny niepokój rodzący się w głębi żołądka, coś w rodzaju imadła, które próbowało ścisnąć jej wnętrzności. Musiała wziąć głęboki oddech.

Lonerin odwrócił się.

–Jesteś pewna, że wszystko dobrze?

–Tak, to pewnie od biegu.

On wybrał dobrze: jego koń wyglądał porządnie.

–Nie ma czasu ich siodłać, musimy jechać na oklep.

Lonerin instynktownie zacisnął palce na grzywie. Prawdopodobnie dotychczas nigdy tego nie robił.

–Dobrze.

–Najpierw jednak...

Dubhe zaczęła przeszukiwać stajnię. Potrzebowali czegoś do jedzenia, było to konieczne. Zobaczyła coś w rodzaju antresoli i wdrapała się na nią. To miejsce przywodziło jej na myśl ich dom w Selvie. Znalazła trochę jabłek, kilka kawałków suszonego mięsa i ser.

Dubhe, przynieś mi kilka jabłek ze spiżarni.

Uszy wypełnił jej głos matki, żywy i obecny, jakby stała tam, o krok od niej. Potrząsnęła głową, jak robiła zawsze, kiedy chciała odpędzić natrętną myśl, i zgarnęła wszystko, co mogło posłużyć im w podróży.

Zeszła, zebrała wszystko do swojego zwiniętego płaszcza i przygotowała się do odjazdu.

Wsiedli na konie, ale Dubhe zrobiła to z dziwnym trudem.

***Za bardzo się zmęczyłam, to nie jest normalne* – zwalczyła jednak tę myśl. Nawet gdyby tak było, to upływający czas ich popędzał, razem z mordercami z Gildii, gotowymi na wszystko, aby tylko ich pochwycić.**

Szybko opuścili stajnię, a kiedy przejeżdżali obok psa, ten nie podniósł nawet powieki.

Rzucili się w długi bieg, a pachnący wiosną wiatr chłostał ich po twarzach.

–Ile sił w nogach, bo inaczej nam się nie uda! – krzyknęła, a Lonerin przywarł

płasko do grzbietu konia. Nogami kurczowo trzymał się boków zwierzęcia, a dłońmi spazmatycznie ścisnął grzywę.

Przez całą noc galopowali jak szaleńcy, doprowadzając konie prawie do granic możliwości. Początkowo mocno kręcili. Oczywiście, taka trasa zajmie im więcej czasu, ale Gildia doskonale potrafiła czytać ślady, a oni niestety sporo ich zostawili. Lepiej pozwolić im trochę pobłądzić.

Świt ich zaskoczył. Dubhe nigdy nie spodziewała się, że uda im się opuścić Krainę Nocy w ciągu tych niewielu godzin, które mieli do dyspozycji, więc kiedy zobaczyła w oddali powoli błędące niebo, poczuła powiew nadziei.

Byli blisko granicy: wieczna noc już zaczynała ustępować pod pierwszymi promieniami słońca. Przed nimi roztaczała się obszerna równina Wielkiej Krainy.

–Dokąd mamy jechać?

Dubhe słyszała o Radzie Wód, ale miejsce, gdzie się zbierała, było utrzymywane w tajemnicy.

–Do Laodamei. Pracuję dla Rady Wód. Kiedy tam dotrzemy, powiem ci dokładnie, gdzie to jest.

Należało zatem przemierzyć całą Wielką Krainę.

Woda. Dubhe zakłęta cicho. Powinna była o tym pomyśleć, ale poprzedniego wieczoru była tak zdenerwowana i tak nie panowała nad sobą... Na samą myśl o opustoszałych bezmiarach Wielkiej Krainy poczuła, jak zasycha jej w gardle. Cały czas jeszcze dyszała, jakby dalej była zasapana po biegu. A przecież nie mogła być.

–Musimy zboczyć do rzeki Ludanio.

Nad brzeg rzeki dotarli o brzasku. Gdzie indziej prawdopodobnie słońce już się pojawiło. Tam, gdzie znajdowali się oni, prawie na granicy pomiędzy Wielką Krainą a Krainą Nocy, wszystko było zawieszony w czymś w rodzaju wiecznego zmierzchu.

Zatrzymali się, zsiadli z koni. Lonerinowi chwilę zajęło, zanim był w stanie prosto utrzymać się na nogach. Uśmiechnął się do Dubhe zawstydzony.

Ona odwzajemniła uśmiech. Zeskoczyła, ale ku swojemu wielkiemu zdumieniu nogi się pod nią ugięły i znalazła się na ziemi.

Lonerin podbiegł.

Dubhe podciągnęła się o bok pijącego konia. To stało się, kiedy była już całkiem na nogach. Ostre ukłucie bólu zaparło jej dech w piersiach. W uszach jej dźwięczało, a w owym brzęczeniu rozbrzmiewał daleki krzyk. Podniosła dłoń do piersi.

–Dubhe, co ci jest?

Lonerin złapał ją za ramię i natychmiast odsunął dłoń. Błyskawicznie podwinął jej rękaw.

–Do diabła... – zamruczała Dubhe przez zęby.

Jej ramię było gorące, a widniejący na nim symbol pulsował żywo.

–Kiedy brałaś eliksir?

Dubhe spróbowała sobie przypomnieć. Nowe ukłucie i gwałtowne pragnienie, które starała się stłumić.

–Dokładnie pięć dni temu.

To było zbyt wcześnie, żeby się tak źle czuć.

–Lonerin, nie powinnam się tak czuć... To nie może być klątwa...

–Rzeczywiście, to nie tylko to.

Zaczął napełniać bukłak, który podała mu Dubhe, odwracając od niej spojrzenie.

–Co to znaczy?

Chłopak nie przerwał napełniania bukłaka.

–Powiesz mi, co to oznacza?

Lonerin odwrócił się do niej.

–Są eliksiry, które wywołują pewien stopień uzależnienia. Nie wiem dokładnie, jaki rodzaj eliksiru ci dawali, ale obydwa odpowiednie dla twojego przypadku, które przychodzą mi do głowy, powodują tego typu problemy.

Dubhe poczuła, że kręci jej się w głowie, a wybuch gniewu nagle rozpałił jej policzki.

–Ale co to znaczy?

–Że kiedy nie weźmiesz eliksiru, twoje ciało nie będzie w stanie walczyć z klątwą. Przyzwyczyłaś się do eliksiru, a twoje ciało nie potrafi się bez niego obejść, aby przeciwstawić się efektom pieczęci, które zresztą przez ten cały czas, jak już ci

powiedziałem, nie przestały się wzmacać.

Dubhe krzyknęła w niebo, po czym upadła na kolana.

–Przeklęci...

Uniosła głowę i z zapalem spojrzała na Lonerina.

–Ale ty umiesz zrobić ten eliksir, prawda? Jesteś czarodziejem i między innymi dlatego zawarliśmy naszą umowę.

Twarz Lonerina nie wyrażała żadnej nadziei.

–Umiem go przygotować, ale nie mam składników.

Dubhe rzuciła się na niego z furją, dłonią schwyciła go za gardło i cisnęła na ziemię. Zatrzymała się w ostatniej chwili. Bestia podniosła swój śpiew. Dziewczyna osunęła się obok Lonerina i położyła na ziemi.

–To koniec... – mruknęła. – Czuję ją... Nie będę mogła nad sobą zapanować...

Lonerin podniósł się, zaczerpując oddechu. Pewnie sprawiła mu ból.

–Będziemy się spieszyć. Mamy konie, będziemy uciekać z maksymalną prędkością i przybędziemy na miejsce, zanim będzie za późno.

Dubhe potrząsnęła głową.

–Nigdy nam się nie uda... konie są zmęczone...

–Jeżeli staniesz się niebezpieczna, uśpię cię, jak tamtego psa, tylko jeszcze głębiej, i sam zawiozę cię do Laodamei.

Dubhe odwróciła się ku niemu i popatrzyła ze smutkiem.

–Nie potrzebuję jałowego pocieszania. Powiedz mi prawdę, to może zadziałać? Lonerin nie opuścił wzroku.

–Przysięgam ci. Był pewny.

–Wykonałaś swoją część paktu. Teraz kolej na mnie. Dubhe podniosła się. Bestia dalej tam była i jej zagrażała, ale dobrze było mieć kogoś, na kogo można

liczyć.

Krajobraz przed ich oczami powoli się zmieniał. Słońce ukazało im się w całej swej wspaniałości, a teren stawał się płaski i coraz bardziej opustoszały. Wielka Kraina. Popędzając nieco konie, mogli przebyć ją całą w cztery czy pięć dni. Przez cały ten czas byliby całkiem odkryci, wystawieni na każdy atak. Tropienie śladów na tym pustym bezmiarze kamieni i ubitej ziemi było aż nazbyt łatwe.

Lonerin starał się odpędzić te myśli. W jego misji nie było miejsca na niezdecydowanie. Musiał w nią wierzyć i to aż do końca, inaczej wszystko legnie w gruzach. Zresztą nigdy nie sądził, że będzie mu dane wyjść z Gildii cało i zdrowo, a jednak mu się udało.

Popatrzył na Dubhe. To tylko jej zasługa. To ona odkryła plany Yeshola -zadanie przeznaczone dla niego – i zorganizowała ucieczkę. Obserwował jej pochyloną głowę i skoncentrowany wyraz twarzy. Długo uczył się o pieczęciach i innych formach Zakazanej Magii i znał efekty niektórych eliksirów. Cierpiała, i to bardzo. Starła się utrzymać kontrolę, ale wymagało to od niej nadludzkiego wysiłku. Konwulsyjnie zaciskała ręce na grzywie konia.

–Umrę? – spytała nagle, kiedy słońce powoli schodziło na bezmiar, który przemierzali.

–Nie, co ty mówisz?

Spojrzała na niego. W głębi jej oczu można było dostrzec zgrozę, która żyła w jej trzewiach, potwora, który starał się ją osiąść.

–Co się stanie, jeżeli nie wezmę eliksiru, jeżeli nie dojedziemy na czas?

–Będziesz się źle czuła, temu nie zaprzeczę... ale dojedziemy.

Nie miał ochoty czynić jej dalszych wyznań. I tak już czuł się winny za tamten wieczór, kiedy się poznali – bez owijania w bawełnę powiedział jej wtedy, że była skazana na prawie pewną śmierć, i to śmierć straszliwą.

–Żal ci mnie, ale ja nie oczekuję twojej litości. Potrzebuję tylko, żebyś zawsze był ze mną szczery.

Lonerin wzdrygnął się niedostrzegalnie. Spojrzenie Dubhe było teraz twardsze.

–Nie chcę niczyjej litości. Potrzebuję raczej twojej wiedzy, przeklętego napoju magicznego, który tylko ty potrafisz zrobić, i jednego ze znanych ci wielkich czarodziejów, który na zawsze uwolni mnie od pieczęci!

Zamilkła i spróbowała się uspokoić. Lonerin zaczerpnął powietrza.

–Jesteś uzależniona od eliksiru, zawsze będziesz musiała go brać, i to w coraz krótszych odstępach. Taka jest prawda! Jeżeli go nie weźmiesz, pieczęć gwałtownie eksploduje. A ty umrzesz.

Nawet nie zadrżała.

–A ile czasu mamy?

–Najwyżej tydzień.

Dubhe wymknął się gorzki uśmiech.

–Powiedziałem ci, jak zrobimy. Uśpiwszy cię, będę mógł opóźnić te efekty, ale będziesz jak nieżywa. W ten sposób czas wydłuży się o co najmniej dwa dni.

Dziewczyna popatrzyła na niego ostro.

–A jeżeli ktoś nas zaatakuje? A jeżeli Gildia przybędzie, kiedy ja będę sobie spała?

–Sam sobie z nimi porozmawiam. Dubhe wybuchnęła gorzkim śmiechem.

–Nic o nich nie wiesz...

Lonerin nagle się rozszłościł. Czuł dziwną więź z tą drobną dziewczyną o twarzy nazbyt szybko dojrzałego dziecka. Chociaż jej nie znał, czuł, że coś ich łączy.

–Nie doceniasz mnie. A poza tym mam wobec ciebie dług, który zamierzam spłacić za wszelką cenę.

Zapadła lodowata noc. Wielką Krainę cechował dziwny, bardzo szczególny klimat. Dawne kroniki mówiły, że zanim wpadła w ręce Astera była miejscem niezwyklej urody, gdzie panowała wieczna i łagodna wiosna. Teraz rozciągała się tu

tylko niezmierną, żalosną pustynią, zimną o każdej porze roku.

Zatrzymali się. Dubhe wyciągnęła to, co zabrała ze stajni, z której ukradli konie, i oszczędnie rozdzieliła zapasy.

–W ten sposób powinny wystarczyć nam na całą podróż.

Jej głos był lekko zachrypnięty. Lonerin widział, jak każdy mięsień jej ciała zaczyna się spazmatycznie napinać.

Jedli w milczeniu. Chłopak czuł się przytłoczony losem swojej towarzyszki podróży. Zawsze był osobą zdolną do odczuwania na własnej skórze bólu innych; to właśnie między innymi z powodu tej swojej wyostrojonej wrażliwości zaczął kształcić się na czarodzieja. Chciał być przydatny, potrzebował działać. Bezradność zżerała go do głębi, a teraz był całkowicie bezsilny.

Położyli się na ziemi, a Lonerin oddał Dubhe swój płaszcz.

–Nie bądź takim rycerzem, z kobiety mam tylko wygląd.

–Dubhe była rozdrażniona.

–Źle się czujesz i będzie lepiej, jeżeli przynajmniej nie będziesz cierpieła z zimna.

–Już ci mówiłam, że nie potrzebuję twojej litości.

–To nie litość, to wdzięczność.

Dubhe zarumieniła się lekko i wyciągnęła rękę.

–To wszystko robię tylko dla siebie...

–Nikt cię nie zmuszał, żebyś zabierała mnie ze sobą. Dziękuję. Znajdę sposób, aby ci się odwdziżyć.

Noc była spokojna i cicha, a niebo nad ich głowami niepokojąco piękne. Tylko na pustyni można zobaczyć tyle gwiazd.

Lonerin zaczął myśleć o Asterze, który ze swojej wieży oglądał ten krajobraz każdego wieczoru. Znajdowali się w centrum tego, co niegdyś było jego imperium; po ziemi wały się jeszcze drzazgi jego pałacu, a wiatr rozwiał je po całej Wielkiej Krainie. A teraz on miałby powrócić, niwecząc to wszystko, co Sennar i Nihal uczynili, aby go pokonać. Te czterdzieści lat, jakie minęły od jego śmierci, zostaną zatarte, jak gdyby nigdy nie istniały. Lonerin zastanawiał się, dlaczego musieli żyć w takich mrocznych czasach. Dlaczego Świata Wynurzonemu zawsze groził ból? Pomyślał o śmierci swojej matki, o nienawiści, z jaką codziennie walczył, pomyślał także o Bestii, jaką nosiła w sobie Dubhe, tak podobnej do jego osobistego demona, a przecież o

wiele bardziej straszliwej. A z chaosu tych mglistych idei nie wiadomo jak wyłonił się

obraz Theany. Na wargach czuł jeszcze smak jej pocałunku. Była to jedyna nadzieja na szczęście i spokój, jaką kiedykolwiek miał w swoim życiu. Przesunął dłońmi po schowanej pod tuniką sakiewce, zawierającej włosy dziewczyny. W jego sercu zapłonęło nagle światło wewnętrznego spokoju.

Dni mijały powoli i złowrogo, podobnie jak ich podróż. Świt podnosił się na nierównym bezmiarze kamieni, zachód zapadał nad tym samym pejzażem, a ich droga rozwijała się wśród opustoszałej ziemi i każdy dzień wydawał się taki sam, jak poprzedni. Konie były wycieńczone i bliskie padnięcia, oni też byli zmęczeni. Jedyną oznaką mijającego czasu była powoli zachodząca w Dubhe przemiana. Lonerin widział, jak wyraz jej twarzy zmienia się godzina po godzinie, jej skóra pokrywa się lekkim potem, a brwi marszczą się z wysiłku nad utrzymaniem panowania nad sobą.

Tymczasem jednak rozmyślał także o tym, co czeka na niego w Radzie i co powie o tym, co odkryła Dubhe. Dohor zawsze był groźącym niebezpieczeństwem, wszyscy o tym wiedzieli. Był jednak człowiekiem, z którym w jakiś sposób można było sobie poradzić. Ale nie Aster. Aster był koszmarem zrodzonym przez przeszłość. Aster był niepowstrzymany. Co mogli zrobić przeciw niemu? A jeżeli Yeshol już go przywołał? Jeżeli ich podróż pozbawiona jest nadziei już od samego początku?

–Martwisz się?

Dubhe niewiele mówiła. Wydawało się, że kosztuje ją to wiele wysiłku, i Lonerin szanował jej ból, starając się zwracać do niej jak najrzadziej. Co jakiś czas jednak zamieniali parę słów. Ta milcząca i samotna podróż w jakiś sposób sprawiała, że zbliżali się do siebie.

–Tak.

–Ja też – powiedziała Dubhe z nikłym uśmiechem.

–Przepraszam, rozumiem, że masz całkiem inne problemy...

–Aster mnie też przeraża – przerwała mu. – Tyran wywołuje strach nawet u kogoś takiego jak ja.

To było coś, nad czym Lonerin w ciągu ostatnich dni się nie zastanawiał. Dubhe była zabójczynią, morderczynią. Trudno było w to uwierzyć, widząc przed sobą jej dziecinną twarz i ciało młodej, rozkwitającej kobiety.

–Od dawna się tym zajmujesz?

–Zaczęłam szkolenie, mając osiem lat. Ale tak naprawdę przed wstąpieniem do

Gildii nigdy nie stosowałam w pełni tego, czego mnie nauczono. Byłam raczej złodziejką.

W wieku ośmiu lat on zaczął swoją przygodę z magią. Zaraz po śmierci matki. Nie znalazł innej drogi, aby móc przeżyć. Na początku była to zwyczajna i czysta nienawiść, i obietnica straszliwej zemsty w przyszłości. Potem pojawił się Folwar.

–Dlaczego otrzymałaś wykształcenie Zabójców?

Bał się, czy nie jest zbyt natarczywy.

–Zabiłam w dzieciństwie. W wypadku zabiłam mojego towarzysza zabaw.

Takich jak ja Gildia nazywa Dziećmi Śmierci.

W innej sytuacji Lonerina prawdopodobnie zmroziłoby tego typu wyznanie. Nie teraz. Teraz nawet coś takiego nie budziło w nim zdumienia. Niesłychana wydawała mu się łatwość, z którą Dubhe, mimo widocznego bólu, jaki wywoływała w niej klątwa z grubsza opowiedziała mu historię swojej inicjacji. Na końcu zwróciła się do niego ze ściągniętym, pełnym cierpienia uśmiechem:

–To naprawdę dziwne, że ci o tym mówię. Nie są to sprawy, o których opowiadam z przyjemnością.

Uśmiechnął się do niej.

–W końcu dzielimy ze sobą życie i śmierć, nie?

Odwzajemniła jego uśmiech, ale znikł z jej twarzy nagle, razem z gwałtownym ukłuciem bólu, które zgięło ją w pół.

Lonerin natychmiast zatrzymał konia.

–Wszystko dobrze?

Dubhe oddychała ciężiej niż zwykle, a jej twarz była zdeformowana w dziwny sposób.

–Ktoś...

Poczuła to nagle, kiedy zwierzała się czarodziejowi ze spraw, o których nie opowiadała nikomu. Przez kilka chwil wydawała się prawie spokojna, po czym nastąpiło gwałtowne uderzenie łapą Bestii i jej ogłuszające, zwierzęce wezwanie w uszach.

Lonerin rzucił się do niej. Jego głos docierał jak z otchłani, dziwny, pozbawiony barwy.

–Wszystko dobrze?

–Ktoś...

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Gdzieś znajdował się nieprzyjaciel -czuła to z absolutną jasnością, jednocześnie słysząc śpiew śmierci, który dobrze знаła i który tak bardzo ją przerażał. Bestia się obudziła.

Odepchnęła dłonią Lonerina, prawie zrzucając go z konia. Jej głos był słaby jak echo na wietrze.

–Odejdź, bo nie ręczę za siebie!

Nie popatrzyła na niego, aby sprawdzić, czy zrozumiał. Czowała, jak jej samokontrola gdzieś wyparowuje: teraz pragnęła tylko krwi.

Jak przez mgłę usłyszała jednak, jak stopy chłopca dotykają ziemi, po czym uderzają o kamienie. Zrozumiał.

Dubhe zebrała się w sobie i zamknęła oczy. Może jeszcze uda jej się opanować i odzyskać siebie samą. Uchyliła powieki i w kłębach kurzu pojawiła się przed nią czarna postać ze sztyletem w dłoniach. Cały świat zniknął: został tylko stojący przed nią uzbrojony mężczyzna. Jej ciało opanowała Bestia. Zaczęła się rzeź.

Lonerin oddalił się, ale niezbyt daleko. Tyle, ile wystarczyło, aby nie znaleźć się w zasięgu furii Dubhe. Na początku zastanawiał się, co ją wywołało, po czym dostrzegł przed nimi czarną, nie bardzo odległą postać. Krótco był w Gildii, ale wystarczająco, aby rozpoznać Zabójcę.

Był to chłopak, uśmiechający się buńczucznie. Dubhe trzęsła się na swoim koniu, dyszała, a jej mięśnie, które zazwyczaj wydawały się tak cienkie i elastyczne, napinały się pod skórą.

–Znalazłem was. Dokąd chcieliście pójść? Oczy Thenaara są wszędzie.

Dubhe siedziała nieruchomo na koniu. To Zabójca wykonał Pierwszy ruch.

Z niemal nienaturalną szybkością rzucił się w kierunku dziewczyny. Dubhe jednym susem zeskoczyła z konia, spadając prosto na niego. Była chudsza i niższa, ale i tak wydawało się, że nad nim góruje. Lonerin przez mgłę zobaczył, jak ostrze Zabójcy przesuwają się po jej boku i gęsta, czarna krew wytryskuje gwałtownie z rany.

–Dubhe!

Przez krótką chwilę obydwójce leżeli na ziemi, po czym dziewczyna poderwała się, jakby nie została trafiona, i wyciągnęła sztylet.

Chłopak leżał pod nią, a Dubhe przytrzymała go na ziemi jedną ręką,

uniemożliwiając mu wszelki ruch. Był ogłuszony i słabo próbował się wyrwać. Ona wrzasnęła głosem, który nie miał w sobie nic ludzkiego, i z niesłychaną gwałtownością opuściła na niego sztylet. Pogrążyła go w piersi chłopaka aż po rękojeść, po czym wyciągnęła i zanurzyła z powrotem, i jeszcze raz, i jeszcze. Krew tryskała, a chłopak wił się i krzyczał. Chwył Dubhe był jednak jak ze stali i Zabójca nie miał żadnych szans.

Lonerin stał skamieniały. Była to rzeź, posiłek potwora. Dubhe śmiała się na całe gardło. Jej twarz była odmieniona szaloną, głęboką radością.

Chciał uciekać, ale był niezdolny do jakiegokolwiek działania. Bo przecież gdzieś tam była Dubhe, ukryta w tym ciele, które już do niej nie należało, i nie mógł jej zostawić.

Dubhe oderwała się od ciała chłopaka, po czym zatrzymała się i zaczęła węszyć w powietrzu.

Lonerin pojął w lot. Z pomocą przyszła mu jego wrodzona zimna krew. Złożył dłonie, zamknął oczy i rozpoczął recytację formuły. Była to walka z czasem.

Poczuł, jak zbliżają się do niego ciężkie kroki Dubhe, usłyszał jej wrzask wygłodniałego zwierzęcia. Nie przerwał wypowiedzanej formuły, skandując ją głośno, czując, jak poprzez złączone dłonie energia magiczna uchodzi z jego ciała.

Potem nastąpiła eksplozja bólu, jakiego nigdy dotąd nie odczuł. Ona. Sztylet... Trafiła go! Oddech zamarł mu w gardle, ale wyrecytował ostatnie słowo formuły, wykrzykując je do Dubhe.

Poczuł, jak dłoń, która go zraniła, puszcza rękojeść sztyletu, jeszcze w białego w jego ramię. Z trudem podniósł powieki. Spotkał na moment oczy Dubhe, wreszcie z powrotem normalne i przepełnione niewypowiedzianą zgrozą.

–Ocal mnie – wymruczała słabym głosem, po czym upadła uśpiona u jego stóp.

Lonerin wbrew sobie odetchnął z ulgą. Następnie sprawdził swoją ranę: sztylet jakimś cudem uderzył go wysoko i chociaż tracił krew, przecięcie nie wydawało się ani głębokie, ani poważne. Zajął się więc oceną stanu Dubhe. Była ranna w bok, ale ta rana również wydawała się raczej powierzchowna. Poruszając się z trudem,

przebadał ją dokładnie. Organy wewnętrzne miała całe, tylko skóra była rozdarta szerokim rozcięciem.

Tak czy inaczej nie mieli powodów do radości. Obydwoje byli w raczej kiepskiej formie, a Laodamea była oddalona o dwa dni marszu. Głupio byłoby ludzić się, że był to jedyny Zabójca na ich tropie. Prawdopodobnie był to tylko ten najbliższy.

Ponadto w zamęcie uciekły oba konie.

Lonerin czuł się zagubiony i zmieszany. Straszliwe obrazy przemienionej Dubhe wypełniały mu głowę, a ból w ramieniu okrutnie pulsował. Na dodatek zgubił kamienie magiczne, za których pomocą mógłby wejść w kontakt z Radą Wód.

Podniósł oczy. Na niebie nie było ani jednej chmury, słońce błyszczało, a co najważniejsze, zobaczył sępy. Kilka ptaków wysoko na niebie. Z pewnością przyciągnął je zapach krwi.

Nigdy nie próbował tego zaklęcia na sępach, ale nie było innego wyjścia.

Wezwał jednego z nich rozkazującym słowem. Już ta prosta formuła nieco go zmęczyła. Był bardzo osłabiony.

Sęp usiadł przed nim potulnie i przez kilka sekund patrzył mu w oczy. Czekał.

Lonerin wypowiedział dwa kolejne słowa i o mały włos nie zemdłał. Jeżeli tak dalej pójdzie, nie zostanie mu już energii na leczenie Dubhe.

Pomyślę o tym później.

–Gildia chce ożywić Astera i wprowadzić go w ciało Pół-Elfa. Użyje Zakazanej Magii. Ja i sojuszniczka jesteśmy w Wielkiej Krainie, niedaleko granicy z Krainą Wody.

Lonerin zakończył formułę wskazaniem miejsca, gdzie sęp miał zanieść wiadomość, i słowem pożegnania. Ptak podniósł się do lotu jednym machnięciem skrzydeł.

A teraz? Musieli się stąd ruszyć.

„Ocal mnie”.

Dubhe powiedziała: „Ocal mnie”.

Nie w jego mocy było ocalenie jej z jej niewoli, ale zabrać ją stąd, zanim umrze z upływu krwi lub Bestia zbudzi się, całkowicie opanowując jej umysł – tak, to mógł, musiał zrobić.

Znowu przyjrzał się ranie dziewczyny. Teraz nie był w stanie wykonać nawet prostego zaklęcia uzdrawiającego.

Zdjął płaszcz i oddał z niego długi pas materiału. Wziął bukłak, który jeszcze wisiał mu na szyi, użył nieco wody do przemycia rany Dubhe, po czym zaczął ją bandażować.

Po tej operacji odpoczął nieco, napił się. Spróbował owinąć także ranę na własnym ramieniu, ale udało mu się to tylko połowicznie. Zresztą najważniejsze było zahamowanie krwotoku, przynajmniej w części.

Kiedy poczuł się trochę silniejszy, postanowił, że czas ruszyć w drogę. Starając się nie patrzeć na leżącego na ziemi trupa, wziął Dubhe na ramiona i z wielkim wysiłkiem podniósł się na nogi.

Każdy krok był dla niego niesłychanym wysiłkiem, ale zmuszał się, aby iść dalej. Ból w ramieniu przeszywał go, a zmęczenie atakowało mu nogi. Mimo to jednak parł naprzód. Musiał przynajmniej spróbować, dla siebie i przede wszystkim dla Dubhe, która była teraz całkowicie od niego uzależniona.

Pomyślał o Theanie, o tym, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy.

Przemierzał opustoszałą równinę aż do wieczoru, wyciskając energię do ostatniej kropli, czołgając się, kiedy już nie był w stanie dalej iść.

Zachód słońca był wspaniały, a kiedy słońce na dobre opuściło ziemię, Lonerin ujrzał przepiękny zielony promień, w kolorze, o którego istnieniu nawet nie wiedział.

Uśmiechnął się. Dubhe opowiedziała mu o tym jednej nocy.

„Byłam tu z moim Mistrzem, jeszcze na początku kariery. Pewnego wieczoru byłam smutna i zobaczyłam najbardziej niezwykle widowisko świata. Zielony promień o zachodzie słońca. Widziałeś go kiedyś?”.

Zatrzymał się na noc. Położył Dubhe na ziemi i przykrył tym, co zostało z jego płaszczka. Dotknął swojej rany. Jak było do przewidzenia, bandaże były mokre. Krwotok nie ustał.

W tej chwili był już pewien, że nie zobaczy jutrzejszego świtu.

34. Rada Wód

Ktoś wołał go uporczywie. Chyba nim potrząsał, ale trudno mu było to stwierdzić. Chciał mówić albo przynajmniej otworzyć oczy. Obie te czynności wydawały mu się ponad siły.

–Lonerin, do diabła...

–Nie żyje? *Tak, umarłem.*

A jednak słyszał odległe pulsowanie i brzęczenie w uszach. Słabo poruszył dłonią.

–Nie, na szczęście nie.

Wreszcie Lonerinowi udało się otworzyć oczy. Uderzyła go niezmierna światłość, której nie mógł znieść.

–Ej tam, chłopcze, wszystko dobrze? Chyba nie, co? Porządnie nas

nastraszyłeś. Tak czy inaczej teraz ruszamy do Laodamei i to pędem, zanim ktoś nas

zobaczy w tych okolicach.

Poczuł, że go podnoszą. Z wielkim wysiłkiem zmusił się, aby przemówić.

–Co?

–Du... bhe...

–Dziewczyna? Nie bój się, jest z nami.

Poczuł jeszcze, że go na czymś kładą, po czym znów stracił przytomność.

Dubhe obudziła się w bardzo miękkim łóżku w pokoju pełnym światła. Bolała ją głowa i od razu sobie przypomniała. Zamknęła oczy. To się stało znowu. Kolejna rzeź, kolejne zmasakrowane ciała, o których trzeba będzie próbować zapomnieć.

Spróbowała przekręcić się w łóżku, ale zatrzymało ją gwałtowne uklucie w boku.

–Lepiej nie. Nie ruszaj się.

Odwróciła się w kierunku głosu.

To była nimfa. W swoim życiu Dubhe widziała ich bardzo niewiele i zawsze tylko z

daleka. Jej uroda była absolutnie oślepiająca. Włosy były najczystsza wodą, a skóra w sposób niewypowiedziany przejrzysta i przeświecająca. Wydawała się niezwykłym zjawiskiem.

–Kim jesteś?

–Jestem Chloe, uzdrowicielka na dworze Dafne.

Słyszając to imię, Dubhe zadrżała. Dafne była królową Marchii Lasów. Czy byli zatem w Laodamei? Jej wspomnienia były bardzo poplątane i nie pamiętała nic, co wydarzyło się po rzezi.

–Jestem w Laodamei?

Nimfa przytaknęła uroczyście. Wszystko w jej ruchach było eleganckie.

–Przybyłaś tutaj dwa dni temu. Głęboko spałaś pod działaniem silnego zaklęcia. Wybudziliśmy cię i zadbaliliśmy o twoje potrzeby.

Czyżby eliksir?

–Ja jestem...

Nimfa podniosła dłoń.

–Ja i czarodziej z Rady mieliśmy okazję zobaczyć twój znak i zajęliśmy się tym.

Wreszcie dobra wiadomość. Drobną, ale zdecydowanie pomyślną.

–Jesteś ranna w bok, na szczęście niezbyt ciężko. Już jutro będziesz mogła wstać, ale najpierw muszę cię jeszcze trochę podleczyć.

Zupełnie nie przypominała sobie żadnej rany. Zresztą zawsze tak było, kiedy się przeobrażała. Nie czuła bólu i nie była świadoma odniesionych ciosów, nawet tych najcięższych.

–A Lonerin? – spytała nagle.

–Był z tobą. To on pozwolił nam was odnaleźć. Ostatnimi siłami wykonał zaklęcie, aby powiadomić nas o sytuacji. Znaleźliśmy was niedaleko od Marchii, zagubionych w jednym z ostatnich odgałęzień Wielkiej Krainy, obydwójecie byliście ranni.

–A teraz? Jak on się czuje?

Ostatnim obrazem, jaki miała w pamięci, była jego twarz, przez klątwę zmieniona w oblicze nieprzyjaciela.

–Niezbyt dobrze. Ma na ramieniu dość lekką ranę, ale całkowicie zużył swoją energię, aby ocalić ciebie, kiedy spałaś, i zawiadomić nas o waszej pozycji.

Ranny? Dubhe doskonale pamiętała, że Zabójca nie miał czasu, aby zranić kogoś innego poza nią. Kto zatem uderzył Lonerina? To był błysk. Obraz stojącego przed nią bladego chłopca ze złożonymi rękami i ostrze jej sztyletu wbijające się w jego ramię, podczas gdy jej umysł rozpaczliwie starał się powstrzymać szalejące ciało.

Zraniła swojego wybawiciela. Do tego stopnia rozwinęła się klątwa, tak bardzo wymykała się spod kontroli.

–Chcę go zobaczyć.

–Nie teraz.

–No to powiedz mi, jak z nim, czy przeżyje, czy umrze, powiedz mi!

–Nie umrze: musi tylko dojść do siebie.

Wcale jej to nie pocieszyło. Jej twarz wyrażała tak głęboki ból, że nimfa musiała to zauważyć.

–Rozumiem, że chcesz zostać teraz sama ze swoimi myślami. Wrócę wieczorem, aby przeprowadzić kurację.

Powolnymi ruchami nimfa przeszła przez próg i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Dubhe została sama. W jednej chwili zdała sobie sprawę, jak straszliwą iluzją było myślenie, że jest wolna. Ucieczka z Gildii oznaczała tylko wyswobodzenie się z jednego więzienia. Na zewnątrz jednak czekało na nią wiele innych i jak zawsze była niewolnicą swojego przeznaczenia.

Lonerin czuł się raczej źle. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się doprowadzić swoich mocy do krańca i odzyskanie sił okazało się teraz bardzo trudne. Bolało go ramię, ale nie jakoś szczególnie. Za o wiele bardziej dokuczliwe uważał to zmęczenie -skrajne wyczerpanie, uniemożliwiające mu podniesienie się i wykonanie nawet najprostszych czynności.

Przy jego łóżku była Theana, powabna i bezbronna – taka, jaką pamiętał. I

pomyśleć, że jeszcze kilka dni wcześniej był całkowicie pewny, że już jej nigdy nie zobaczy.

Trzymała go za rękę i patrzyła na niego tak, jak się patrzy na umierających, co Lonerin uważał za częściowo zabawne, ale po części i krępujące. Jednak mimo przyjętej postawy udręczonej uzdrowicielki dziewczyna nie miała skrupułów, aby wciągnąć go w wycieńczającą go dyskusję.

–Naprawdę niewiele obchodzę cię ja i życie, skoro doprowadziłeś się do tego stanu...

–Już ci mówiłem, to była misja.

–Ryzykowanie życia dla nieznajomej osoby z pewnością do misji nie należało.

To była kluczowa kwestia całej dyskusji. Theana krążyła wokół niej, od kiedy Lonerin zaczął mówić z większą łatwością. Problemem była Dubhe.

–A co miałem zrobić? Zostawić ją tam?

–Może nie ryzykować tak bardzo.

–To, że coś wiemy, jest wyłącznie jej zasługą. Uratowanie jej życia wydawało mi się oczywistym minimum.

–Ale nie kosztem twojego.

Sam już postawił sobie to pytanie. Skąd ta cała troska o tamtą dziewczynę? Nie miał najmniejszej ochoty odpowiadać na nie ani sobie, ani tym bardziej Theanie, absurdalnie zazdrosnej.

–Nie miałem innego wyjścia, tylko uciec razem z nią.

–Jak również oddać jej swój płaszcz i pozbawić się dla niej wody?

Lonerin zrobił niecierpliwy gest ręką, który przypłacił bolesnym ukłuciem w ramieniu.

–Nie jestem w nastroju, żeby dyskutować o czymś tak bezsensownym. Spróbuj zmienić temat.

Theana wyglądała na urażoną i opuściła wzrok. Lonerin zastanawiał się, czy nie był dla niej zbyt surowy, ale sam czuł się zagubiony. Była jego światłem podczas dni spędzonych w Gildii, jak również podczas ucieczki. A jednak to nie wystarczało i

teraz znowu zadawał sobie pytanie, kim jest dla niego ta dziewczyna. Uśmiechnął się do siebie. To prawdopodobnie jedna z ostatnich w najbliższych miesiącach okazji, kiedy może pozwolić sobie na luksus myślenia o podobnych sprawach: walka wreszcie przekształciła się w wojnę.

Dubhe stawiała się u jego wezglowia zawstydzona, wykręcając sobie dłonie. Nie miała odwagi patrzeć mu w oczy, więc trzymała wzrok utkwiony w ziemi.

–Lepiej się czujesz?

–Wkrótce stanę na nogi. A ty?

Dubhe wzruszyła ramionami, wciąż na niego nie patrząc.

–Nigdy nie czułam się naprawdę źle.

Zapadło między nimi skrępowane milczenie. Lonerin wolał całkiem zmienić temat.

–Za trzy dni zbierze się Rada i będzie dyskutować o naszych odkryciach.

Przyjdiesz?

Dubhe podniosła wreszcie oczy i zrobiła zdumioną minę.

–Ja?

–A ktoś by inny?

Potrząsnęła głową w sposób, który sprawił, że wyglądała jak mała dziewczynka.

–Nie ma najmniejszego powodu, żebym brała w tym udział. Ja jestem przestępcą, już sama moja obecność w tym miejscu jest wystarczająco dziwna...

–Ostrzegłaś nas o wielkim niebezpieczeństwie. Czy uważasz, że kogokolwiek tu, w środku, może interesować, czym się zajmujesz? Chcę, żebyś przyszła, twoje zasługi

powinny zostać docenione.

Dubhe znowu potrząsnęła głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

–Czy ty umyślnie nie chcesz zobaczyć prawdy? Ja niczego nie dokonałam, a to, co zrobiłam, wynikało jedynie z mojego wyrachowania. Pragnę tylko własnego ocalenia. Nie ma innego powodu, dla którego szpiegowałam w Gildii i poszłam za tobą.

–Powody są nieistotne, zrobiłaś coś bardzo ważnego. Świat Wynurzony jest ci wdzięczny.

–Ale ja cię zraniłam i...

Zorientowała się, że wkroczyła na temat tabu, bo nagle zamilkła.

Lonerin poczuł, że się czerwieni. Fakt, że widział, w jakim była stanie, tylko pogłębił uczucia, jakie wobec niej żywił, tę autentyczną litość, która sprawiała, że pragnął ją uratować. To, że go zraniła, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Jeżeli znajdował się w tym łóżku, to tylko z powodu decyzji, jakie podjął później.

–To nie byłaś ty. Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia.

–A jednak się mylisz, bo to ja. To najgorsza część mnie, która wypływa na wierzch.

–Nie uwierzyłbym w to nawet, gdybym to widział.

–Taka jest natura klątwy. Lonerin uciał krótko:

–Przestań się wykręcać i gadać bzdury. Zaslugujesz na pochwały Rady o wiele bardziej niż ja. I dlatego tam pójdziesz.

Dubhe umilkła, ale widać było, że jej nie przekonał.

–Przepraszam cię, jest mi niezmiernie przykro, że musiałeś to oglądać i że próbowałam cię zabić... Uratowałeś mi życie, dziękuję. Jestem twoją dłużniczką.

Popatrzyła na niego z żarem i tym razem to Lonerin musiał opuścić wzrok. Była to dziewczyna bardzo otwarta, bezpośrednia, a patrzenie na nią było równoznaczne z zagłębianiem się w otchłanie, w których Lonerin mógłby się łatwo zgubić.

–No to jesteście kwita. W każdym razie przed posiedzeniem Rady chcę zaprowadzić cię do mojego mistrza.

Dziewczyna nagle zaczęła słuchać uważnie.

–To ten wielki czarodziej, o którym ci mówiłem, z pewnością będzie umiał ci pomóc. Już wspomniałem mu o twojej sytuacji.

–Jeszcze raz dziękuję...

Piękna była, kiedy tak się rumieniła. Wydawało się, że chmury, które zawsze były w jej oczach, nagle się rozrzedziły.

–To mój obowiązek.

–Pozwolę ci odpocząć, już za dużo mówiłam.

Lonerin uśmiechnął się, ale ona nie odwzajemniła uśmiechu. Pożegnała go krótkim gestem i opuściła pokój, nic więcej nie dodając. Lonerin odprowadził wzrokiem jej plecy, dopóki nie zniknęły mu z pola widzenia.

Dubhe stała przed drzwiami w podziemiach pałacu królewskiego Laodamei. W tym roku to tam znajdowała się siedziba Rady Wód, tam też miał swój gabinet mistrz Lonerina.

Dziewczyna nie bardzo wiedziała, co o tym chłopaku myśleć. Czowała się przy nim dziwnie nieswojo. Postąpił dla niej tak, jak nikt wcześniej, a co więcej, uczynił to, nie znając jej. Była rozdarta pomiędzy bezwarunkową wdzięcznością a dziwną

nieufnością osoby zbyt przyzwyczajonej do radzenia sobie samej, przeciw wszystkim, aby móc uwierzyć w czyjeś dobre intencje. Wydawało jej się tak nadzwyczajne, że ktoś ryzykował dla niej życie...

Teraz, przed tymi drzwiami, czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Tam, za tym drewnem, kryła się ostateczna odpowiedź: śmierć albo życie. Dubhe się bała. Co się stanie, jeżeli okaże się, że nie da się nic zrobić i klątwa jest wieczna? Nie chciała nawet o tym myśleć. Cokolwiek uważał Lonerin, to wszystko, co zrobiła, uczyniła właśnie dla tej chwili.

Zapukała energicznie. Głos, który jej odpowiedział, był cichy i zmęczony. Delikatnie otworzyła drzwi.

–Jestem Dubhe, dziewczyna, która przybyła tu z Lonerinem.

Zatrzymała się. Pokój sam w sobie nie różnił się od gabinetu jakiegokolwiek czarodzieja. Widok tych wszystkich książek na półkach, biurka zawalonego tomiskami i rozrzuconych wszędzie pergaminów przypomniawszy jej trochę gabinet Yeshola. To raczej widok siedzącego tam czarodzieja wywarł na niej piorunujące wrażenie. Był to starzec o wstrząsającej wręcz chudości, tak kruchy, jak jego głos. Siedział na siedzisku wyposażonym w wielkie drewniane koła, oparty plecami, jakby kompletnie pozbawiono go wszelkich sił. Uśmiechnął się do niej, a ona stała oszołomiona z dłońmi opartymi o drzwi.

–Mnie szukałaś?

Dubhe zastanawiała się, czy to rzeczywiście on, potężny czarodziej. Wiedziała, że wygląd fizyczny nie ma wiele wspólnego z magią, ale zdawała sobie również sprawę, że aby wypowiadać zaklęcia, potrzeba było siły.

–Wy jesteście Folwar?

–Oczywiście.

Dubhe poczuła się głupio. Od momentu, kiedy postawiła nogę w tym pałacu, nie wiedziała, jak ma się zachowywać, a wszyscy traktowali ją z troską, która ją prawie irytowała.

–Nie chcesz usiąść? Rozgość się, nie stój tam taka niepewna.

Starzec znowu się uśmiechnął, a Dubhe usiadła na drewnianym krześle z nienaturalnie wyprostowanymi plecami. Co teraz? Folwar wybawił ją z kłopotu.

–Lonerin wspomniał mi o tobie. Jesteś tu w sprawie klątwy, prawda?

Dubhe przytaknęła.

–Wasz uczeń powiedział mi, że jesteście bardzo potężnym czarodziejem i będziecie w stanie mi pomóc.

Nie traciła czasu. Zwinnymi ruchami podciągnęła rękaw i pokazała ramię i symbol.

Folwar przybliżył swoje krzesło i zaczął przyglądać się symbolowi.

Dubhe wstrzymała oddech. Może Lonerin się mylił? Może to nie pieczęć, ale klątwa?

Minuty, podczas których Folwar trzymał jej ramię w swych kruchych palcach, wydawały jej się bardzo długie.

–To bardzo złożona pieczęć...

Dubhe podświadomie odprężyła się. To nie była dobra wiadomość.

–Czy to Gildia?

–Tak. Ale nie wiem, kto to zrobił.

Folwar dalej obserwował symbol. Jego twarz nie była już dobrotliwa, ale skoncentrowana i surowa.

–Nie zrobił tego byle jaki czarodziej, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale

będę potrzebował jeszcze kilku prób.

Oddalił się od niej i poszukał czegoś na półkach. Łatwość, z jaką poruszał się na swym krześle inwalidzkim, była nadzwyczajna. Wszystkie regały dostosowane były do jego potrzeb. Z wielkiego kredensu stojącego w rogu wziął kilka buteleczek.

Analiza niewiele różniła się od tej, którą już przeprowadziła Magara, była tylko trochę bardziej skomplikowana. Folwar przesunął nad symbolem rozżarzoną głownię, potem dym, a nawet jakieś dziwne mikstury. Dubhe odczuwała tylko pewne wrażenie dyskomfortu. Co może potwierdzić ten starzec, jeżeli nie to, co już wiedziała?

Kiedy skończył, oczyścił jej ramię. Odłożył na miejsce buteleczki, sprawdził coś w kilku podręcznikach. Wreszcie podniósł oczy znad tomów. Wydawał się bardzo zmęczony.

–Tak jak ci mówiłem, jest to pieczęć, i to bardzo wyrafinowana. Nie znalazłem w niej ani błędów, ani słabych punktów.

Dubhe zamknęła oczy i starała się stłumić drżenie kończyn.

–Ów czarodziej był bardzo zdolny i potężny. Znak jest wytrzymały. Pieczęć została stworzona, aby trwać w nieskończoność: myślę, że o tym wiesz.

Dziewczyna cofnęła ramię i gwałtownie opuściła rękaw.

–To wszystko niepotrzebne bajki. Dlaczego nie powiecie mi prawdy? Dlaczego nie przyznacie, że nic się nie da zrobić?

Podniosła się na nogi i krzyczała. Mimo to było w niej coś, co górowało nad jej głosem. Folwar był nieporuszony.

–Nie mówię ci tego, bo nie o to chodzi.

Dubhe zatrzymała się w miejscu, czując, jak ogarnia ją głęboka niemoc i złość.

–Usiądź i uspokój się.

–Powiedzcie mi wszystko i skończmy z tym – powiedziała, nie siadając. Folwar uśmiechnął się łagodnie.

–Młodzi są zawsze bezkompromisowi, prawda? Ty tak jak Lonerin... Dubhe zacisnęła pięści. To nie było to, to nie to...

–Wiemy o przypadkach przełamania pieczęci. Są to wyjątki, możliwe tylko pod kilkoma warunkami: błędów popełnionych przy nakładaniu pieczęci, mizernej mocy czarodzieja, który to zrobił, lub wielkiej potęgi czarodzieja, który ją łamie. Ja nie jestem ekspertem w tych sprawach. To nie fałszywa skromność: jestem wybitny w praktykach uzdrawiających, ale moja wiedza o formułach zakazanych jest dość ograniczona. Z tego, co wiem, wynika, że w twojej pieczęci nie ma błędów, ale jest tam

coś bardzo dziwnego, czego nie potrafię dobrze zidentyfikować. Myślę, że została nałożona przez czarodzieja o średniej mocy, więc prawdopodobnie jest jakaś szansa na jej przełamanie.

Dubhe wstrzymała na chwilę oddech.

–Czy wy potraficie to zrobić?

Spytała słabym głosem. Nie ośmieliła się mieć nadziei. Folwar uśmiechnął się ze smutkiem.

–Przykro mi, ale nie jestem dość silny. Lonerin bardzo we mnie wierzy, ale moje moce nie przewyższają mocy zwykłego czarodzieja Rady. Nie mógłbym tego zrobić. Umarłbym podczas daremnej próby.

Tym razem Dubhe usiadła.

–Kto zatem...

Starzec potrząsnął głową.

–Nie wiem. Wielki czarodziej to ktoś, kogo w naszych czasach bardzo brakuje.

Dubhe westchnęła. Czyli tym razem też nic. Będzie musiała dalej żyć z Bestią.

Niespodziewanie Folwar położył swoją zasuszoną dłoń na jej ramieniu. Jego palce były pomarszczone, ale ciepłe.

–Nie rozpaczaj. Kiedy przestajesz mieć nadzieję, umierasz, a ty jesteś taka

młoda i jest w twoim życiu tyle rzeczy...

Dubhe cofnęła ramię. Czuła, że łzy napływają jej do oczu. Czy kiedykolwiek w swoim życiu miała nadzieję? Podniosła się.

–Dziękuję wam niezmiernie. Spróbuję kogoś znaleźć. Starła się uśmiechnąć i Folwar odwzajemnił uśmiech.

–Zobaczymy się zatem na Radzie. Dubhe przytaknęła słabo.

Dubhe nigdy nie była na zebraniu Rady ani też nie miała najmniejszej ochoty, aby tam iść. Wszystkie te ważne osoby, które zazwyczaj widywała tylko wtedy, kiedy włamywała się do ich domów lub otrzymywała zapłatę za jakąś pracę... Poza tym bez płaszcza czuła się naga. Nie była przyzwyczajona do pokazywania swojej twarzy. Ciekawe, co też Lonerin powiedział o niej tym ludziom. Pewnie prawdę. Zresztą już tam, przed tymi zamkniętymi drzwiami wielkiej sali, stały osoby patrzące na nią w dziwny sposób. Prawie wszyscy byli młodzi, ale Dubhe unikała ich wzroku. Nienawidziła przebywać wśród ludzi, nienawidziła.

Obok niej stał Lonerin – jeszcze blady. To z pewnością on ją tam wprowadzi i wszystko wytłumaczy. Miał twarz bardzo pewną siebie i uprzejmą. Po raz kolejny Dubhe zadała sobie pytanie, dlaczego jest tak zdeterminowany i skąd czerpie siłę, z którą robi wszystko, co dotyczy jego pracy.

Wśród wielu spojrzeń jedno uderzyło ją bardziej niż inne. Należało ono do szczupłej i drobnej dziewczyny o blond włosach i dość wdzięcznej urodzie. Patrzyła na nią z pewną urazą. Dubhe przypomniała sobie, że widziała, jak dziewczyna wychodziła z pokoju Lonerina podczas jego rekonwalescencji. Nie zwróciła na nią uwagi. Nie miała czasu, by reagować na głupią żądę odwetu zaniedbanej narzeczonej.

–Dlaczego tutaj czekamy? – spytała Lonerina niecierpliwie.

–My nie należymy do Rady: jesteśmy zwykłymi osobami dopuszczonymi na posiedzenie. Teraz Rada rozważa inne tematy, a potem nas wezwie.

Dubhe wzruszyła ramionami. Niepotrzebne pozory. Znała aparat władzy z zewnątrz, jakim widziała go podczas lat swojej pracy, i znała też jego ulotną naturę.

Tyle razy widziała tych ludzi w intymności własnych domów, że w jej oczach wszyscy zdawali się bezradni i małostkowi.

Drzwi otworzyły się i Dubhe dostrzegła okrągły kamienny stół stojący w centrum wielkiej, półkolistej sali. Siedziało przy nim wiele różnych osób, których jednak nie znała.

Wszyscy ruszyli ku wejściu, a ona poszła za nimi. Publiczność zajęła miejsca na trybunach, ale nie oni. Lonerin chwycił ją za rękę.

–My musimy zdać relację.

Ustawili się przy podium w pobliżu stołu, w punkcie, z którego byli widoczni dla wszystkich.

Dubhe czuła na sobie lodowate i nieufne spojrzenia. Tam w środku wiedzieli o niej i bali się jej, i tym razem nie sprawiało jej to żadnej przyjemności. Była tylko jedna osoba, która patrzyła na nią po prostu, bez żadnych ukrytych znaczeń.

Stary gnom, raczej zaniedbany, bez jednego oka i z wieloma bliznami. Pełen życia, ubrany jak wojownik. Dubhe znała go, bo słyszała, jak o nim mówiono. Ido. Trochę zakręciło jej się w głowie. Stała przed żyjącą legendą: człowiekiem, który poznał Astera, a nawet z nim rozmawiał!

Jedna z nimf podniosła się i nad audytorium zapadła cisza. Dubhe porzuciła swoje myśli i skupiła się. Nimfa bardzo przypominała jej tę, która ją leczyła, ale miała wygląd o wiele bardziej królewski i była piękniejsza. Jej czoło zdobił biały diadem. Dafne, niewątpliwie.

–Wszyscy znamy powód, dla którego się tu zbieramy. Prawdopodobnie złe wieści, których posłańcem jest Lonerin, dotarły już do wielu z was, ale nie znamy jeszcze szczegółów. Dlatego wezwaliśmy tu Lonerina i jego towarzyszkę, ponieważ razem przybyli z Gildii i tam przeprowadzili swoje śledztwo. Opowiedzą nam o swych odkryciach.

Spojrzenia stały się ostrzejsze. Dubhe patrzyła w ziemię.

Nimfa usiadła, a Lonerin odchrząknął. Kiedy się odezwał, ton jego głosu był bardzo zdecydowany. Chłopak był rozemocjonowany, widziała to po lekkim drzeniu jego bladych rąk, ale umiał nad sobą zapanować.

Mówił po kolei o swoim przybyciu do Gildii, o swoich pierwszych rozpoznaniach. Potem przyszła chwila na opowieść o Dubhe. Zrelacjonował, jak ją poznał, wspomniał również o ich umowie. Dubhe skurczyła się u jego boku, a

uderzające ją spojrzenia stawały się coraz bardziej przeszywające i lodowate.

–To ona prowadziła za mnie poszukiwania, wchodząc tam, gdzie nigdy bym nie

dotarł. To ona odkryła plany Yeshola, więc jej oddaje głos.

Dubhe popatrzyła na niego zagubiona. On życzliwym gestem nakazał jej wystąpić naprzód. Nienawidziła tego wszystkiego. Nie była przyzwyczajona do przemawiania publicznie, a ta sala i wrogość ludzi, którzy tam siedzieli – wszystko sprawiało, że czuła się nie na miejscu. Postanowiła, że najlepiej będzie szybko to skończyć.

–Yeshol, Najwyższy Strażnik, przywódca Gildii, pragnie ożywić Tyrana.

Potrzebuje ciała, w którym mógłby umieścić jego ducha, już przywołanego i trzymanego w sekretnym pokoju Domu, zawieszzonego w stanie pomiędzy życiem a śmiercią. Yeshol poszukuje ciała Pół-Elfa. Sądzę, że użył jakiejś Zakazanej Magii, prawdopodobnie wymyślonej przez samego Tyrana. W swojej bibliotece zgromadził wielką liczbę książek, wszystkie pochodzące ze starego księgozbioru Astera, a wiele z

nich dostał od Dohora. Miałam możliwość przyjrzeć się rejestrowi, w którym Yeshol spisuje wszystkie książki w bibliotece i odnotowuje sposób, w jaki je uzyskał. Nie tak

dawno otrzymał od Dohora wielki, czarny tom: sądzę, że to z niego zaczerpnął czary,

których użył, aby wezwać Tyrana.

Ciągnęła dalej przerywanym głosem, z wyraźnym poczuciem, że nie potrafi znaleźć słów, aby wypowiedzieć to wszystko, co odkryła. Mówiła zwięźle, wiedziała o tym, i prawdopodobnie też niezbyt przekonująco. Swoje długie i skomplikowane poszukiwania w bibliotece streściła kilkoma suchymi słowami. Zasygnalizowała związki pomiędzy Dohorem a Yesholem, powiedziała, że widziano go w Gildii.

–To... to wszystko.

Zamilkła. Nad salą unosiła się grobowa cisza. Mówiła za krótko, zbyt mało. Lonerin popatrzył na nią trochę zaskoczony, ona uciekła przed jego spojrzeniem. Niewątpliwie można było zrobić to lepiej.

–A dowody?

Przemówił człowiek, który musiał być generałem.

–Dubhe widziała wszystko na własne oczy, prawda? Dubhe przytaknęła.

–Widziałam ducha Astera.

–Skąd możesz wiedzieć, że to on? Nie ma jego wizerunków ani opisów.

–Gildia jest pełna jego posągów, Yeshol go znał. Generał uśmiechnął się drwiąco.

–No dobrze, ale jakie dowody nam przynosisz? Dubhe była zaskoczona.

–Żadnych: cudem się wymknęliśmy, myślałam, że o tym wiecie... Nie było czasu na gromadzenie dowodów.

Generał odchrząknął i zwrócił się do Lonerina.

–Pozwól, że podsumuję sytuację. Otrzymujemy owo pałace doniesienie od osoby z wewnątrz Gildii, a zatem morderczyni, związanej z tobą nader dziwnym paktem i znajdujące się pod wpływem klątwy. Poza słowami tej dziewczynki nie ma dowodów na poparcie tej teorii, prawda?

Pancerz Lonerina zaczynał pękać.

–Właśnie tak – odpowiedział, starając się wyglądać na zdecydowanego, ale jego głos zabrzmiał niepewnie.

–A dlaczego mielibyśmy jej wierzyć?

Dubhe uśmiechnęła się. Rzeczywiście, to była bardzo rozsądna obiekcja. Lonerin wydawał się zaskoczony, a audytorium milczało.

–Bo to prawda... wyjaśnia śmierć Aramona i nasze podejrzenia...

–To nie jest odpowiedź, Lonerinie – zaprotestował generał. – Pozwól, że

przedstawię pewną hipotezę. Nasza tu obecna przyjaciółka znajduje się pod wpływem

klątwy i potrzebuje pomocy, w przeciwnym razie umrze. Przypadkiem spotyka czarodzieja, który może jej pomóc. Czarodziej ów potrzebuje informacji, pewnego

typu informacji; jeżeli ona pomoże mu znaleźć to, czego szuka, on też jej pomoże.

Wobec tego dziewczyna mówi to co czarodziej chce usłyszeć, pozwala się wyprowadzić

z Gildii, opowiada swoje kłamstwa Radzie Wód i otrzymuje to, czego chce. Albo też

dziewczyna zostaje wysłana przez samą Gildię, w końcu jest jedną z nich. Nauczono

ją, co ma mówić, aby nas oszukać. Ona wykorzystuje młodego i naiwnego czarodzieja,

któremu opowiada wszystkie swoje kłamstwa.

Obecni milczeli nadal. Lonerin stał z otwartymi ustami.

–Ale to Gildia nałożyła na Dubhe klątwę i...

–To jest wersja, którą przedstawiła tobie. Klątwa mogła zostać nałożona w

jakichkolwiek innych okolicznościach. Kłamstwo służy tylko po to, aby nas zwieść, aby

sprawić, żebyśmy uwierzyli w historię, którą nam opowiada, a która pozwala

Yesholowi skierować nas na fałszywy trop, aby mógł dalej bez przeszkód prowadzić

swoje interesy.

Dubhe patrzyła na członków rady i publiczność, na każdego z osobna. Nie wierzyli jej, a słowa generała zdobywały uznanie. Bardzo dobrze ich rozumiała. W końcu spędziła życie na zabijaniu dla pieniędzy, dlaczego mieliby jej uwierzyć? Jej spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Ida. Gnom patrzył na nią dokładnie tak, jak wcześniej, bez osądzania, z ciekawością. Poczwała, jak jego oczy przeszywają ją na wskroś.

–Wydaje mi się to planem co najmniej skomplikowanym, a...

–Lonerinie, obudź się, to jest zawodowy morderca! Kłamstwo jest częścią jej

pracy, a co więcej, należy do Gildii. Wszystko wydaje mi się aż nazbyt oczywiste.

Z sali podniósł się szmer.

–Ale ty nie widziałeś nic na własne oczy?

–Fest ma rację, jakie mamy dowody?

–Nie mamy o Gildii innych informacji niż te... Dubhe uśmiechnęła się do siebie.

–Nie mam żadnego zamiaru was przekonywać.

Jej głos, chociaż bardzo słaby w panującym chaosie, błyskawicznie ich wszystkich uciszył. To aura śmierci, która ją otaczała, wiedziała o tym, ta złowroga atmosfera, którą wszyscy potrafili wyczuć.

–Nie interesują mnie losy Świata Wynurzonego, nie interesuje mnie Rada.

Znowu spojrzenia pełne nienawiści.

–Przyszłam tutaj, ponieważ Lonerin mnie o to prosił, ale jeżeli o mnie chodzi, moje zadanie zostało zakończone. Dostałam to, czego chciałam, i czy moje słowa zostaną przyjęte z wiarą, czy też nie – mnie to już nie dotyczy. Rozważcie tylko jedno.

Jeżeli jest tak, jak mówi wasz generał, dlaczego mówię wam o Dohorze? Dlaczego miałabym wam sugerować tego typu związek? Gdyby Yeshol nakazał mi z wami rozmawiać, dlaczego miałby rozkazać mi mówić o Dohorze, podczas gdy Król zawsze

podkreślał swoją niezależność od działalności Gildii?

Wzrok Ida stał się bardziej przenikliwy i Dubhe poczuła się nieswojo.

–Zgoda, nie wysłał cię Yeshol, ale twoje opowieści mogą być zwykłym kłamstwem.

–Teraz, kiedy już zostałam tu wyleczona, nie miałabym żadnego powodu, aby tutaj przychodzić i do was przemawiać. Jak już wam powiedziałam, otrzymałam to, czego chciałam.

–Ile czasu spędziłaś w Gildii?

Ochryply głos Ida sprawił, że się wzdrygnęła. Odwróciła się i popatrzyła na niego z lękiem.

–Sześć miesięcy.

–Jesteś gotowa, aby opowiedzieć nam o nich wszystko?

To byli jej wrogowie, nie pragnęła niczego innego. Żywo przytaknęła.

–Ja uważam, że potrzebujemy dowiedzieć się więcej. Sprawozdanie dziewczyny było ubogie, należy przyjrzeć się temu wszystkiemu dokładniej. Proszę, abym mógł ją przesłuchać.

–Ale Ido, czy naprawdę chcesz zaufać...

Ido podniósł dłoń i uciszył generała.

–Dziewczyna ma rację, nic nie zyskuje na tym, co robi. Mogłaby odejść stąd wcześniej, nie stając przed Radą. A poza tym podczas przesłuchania będzie mogła udzielić nam informacji możliwych do sprawdzenia. Głosujmy.

Miał kategoryczny głos i było jasne, że jest tam duchowym przywódcą, z którym wszyscy się liczyli, jeżeli nie wręcz najpotężniejszą postacią. Zagłosowali i postanowili ją przesłuchać.

Trzymali ją długo i wypytywali o mnóstwo rzeczy. Dubhe odpowiadała dokładnie i wyczerpująco, współpracowała, jak mogła najlepiej. Nie do końca rozumiała, dlaczego to robi. Klątwa ciążyła nad jej przyszłością i uniemożliwiała myślenie o czymkolwiek odległym bardziej niż o kilka miesięcy. Oczywiście, powrót Tyrana przerażał ją, ale było o wiele bardziej prawdopodobne, że umrze wcześniej, pożarta przez Bestię. Nie było to zatem pragnienie wybawienia Świata Wynurzonego. Pewnie chodziło o zwykłą wdzięczność wobec Lonerina, który jej pomógł, i wobec tych ludzi, którzy mimo strachu i nieufności wyleczyli ją i dali eliksir.

Wykończyli ją tym przesłuchaniem. Pytali o wiele rzeczy dotyczących Gildii, jej struktury, jej organizacji, ale również o to, co widziała w sekretnym pokoju.

Szczególnie Folwar zawziął się na tę kwestię.

Kiedy skończyli, z pewnością była już noc. Dubhe czuła się wyczerpana, pusta. Ido patrzył na nią z zadowoleniem, ale w jego jedynym oku była też nutka troski.

–Przekonani? – spytał drwiącym tonem, patrząc ostro na generała Festa, tego

samego, który występował przeciwko Dubhe podczas posiedzenia Rady.

–Zagadnienia dotyczące magii, o których wspominała, są poprawne i stanowią

wyższy stopień zaawansowania. Niemożliwe, żeby znał je zwykły zawodowy morderca

–powiedział Folwar.

Słyszając określenie „zawodowy morderca”, które w swojej surowości zamykało całe jej istnienie, Dubhe poczuła się naga.

–Również cytowanie tekstów było prawidłowe – powiedziała druga nimfa biorąca udział w zgromadzeniu, Chloe we własnej osobie.

–Nie wydaje mi się, żeby były jeszcze wątpliwości co do jej wiarygodności, prawda?

Ido rzucił Festowi kpiące spojrzenie.

–Nie – przyznał niechętnie mężczyzna.

–A zatem? – spytał Ido. – Wnioski?

Głos zabrał Folwar:

–Sądzę, że chodzi o magię podobną do przywołania, ale jej nie znam.

Teraz wypowiedział się inny czarodziej, mężczyzna o dużym brzuchu i o dobrotliwej twarzy.

–To nie jest magia cytowana w tekstach. Czarna księga, którą widziała Dubhe, może jednak być tomem, o którym często mówią ludowe podania. Jak wszyscy wiemy, Aster wielce rozwinął Zakazaną Magię. Zresztą to on przywoływał duchy za pomocą zaklęć, które teraz znamy właśnie z fragmentu tego zaginionego tekstu.

–Zatem wiesz, co to za magia.

Mężczyzna potrząsnął głową, a jego podwójny podbródek zatrzęsł się razem z nią.

–Nie jest mi ona znana. Ale być może jakiś potężniejszy czarodziej mógłby

wiedzieć o tym więcej.

Wtrąciła się Chloe.

–Tak czy inaczej, czy naprawdę musimy martwić się tym planem? Zdaje się, że

do jego realizacji potrzebny jest Pół-Elf, a przecież wszyscy wiemy, że one już nie istnieją.

Ido zrobił dziwną minę. Dubhe zobaczyła, jak ciemna chmura przesuwa się po jego twarzy.

–Jest jednak inaczej. Wszyscy zwrócili się ku niemu.

–Mógłby jeszcze istnieć Pół-Elf.

–Wyjaśnij to – powiedział lodowato generał. Ido westchnął krótko.

–Jak wiecie, Nihal i Sennar po wojnie opuścili Świat Wynurzony i udali się za

Saar. Przez jakiś czas miałem od nich wieści, Sennar wysyłał mi je za pomocą magii.

Przerwał. – Mieli syna, to wiem na pewno. Potem nastąpiły pewne wydarzenia... – z wahaniem dobierał słowa – kłótnie... Według ostatnich wiadomości, jakie mam, wskutek nieporozumień z ojcem chłopiec ów wyruszył w podróż do Świata Wynurzonego.

Dubhe słuchała uważnie. Nihal, Sennar – były to osobistości historyczne, posągi na środku placów. Dziwnie było słuchać o nich jako o osobach prawdziwych i żyjących.

–Z jakiego czasu pochodzą te wiadomości?

To król Marchii Bagien, do tej pory siedzący w milczeniu. Mówienie o tym zdawało się Ida wiele kosztować.

–Sprzed dziesięciu lat.

–Ale dlaczego nigdy nam o tym nie powiedziałaś, dlaczego nigdy nie wspomniałaś nam o swoich kontaktach? Pomoc Nihal i Sennara mogłaby być nam bardzo przydatna przy wielu okazjach.

To Kharepa, wnuk starego króla Krainy Morza, Dubhe go rozpoznała.

–Nie żyje.

Głos Ida zadrżał.

–Nihal umarła ponad dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory Sennar pisał do mnie bardzo niewiele. Od pewnego momentu nie udaje mi się już z nim skontaktować.

Nihal i Sennar zniknęli ze Świata Wynurzonego prawie czterdzieści lat temu, a jednak ich duch cały czas unosił się nad tą zmalretowaną przez ów długi okres cierpień ziemią. Ale nawet półbogowie muszą wyjść na spotkanie swojemu przeznaczeniu, i teraz Nihal nie żyje.

Dubhe zobaczyła, że Lonerin zaciska pięści i pochyla głowę. Rozumiała go. Nawet ona nigdy nie była odporna na urok tej dawnej, heroicznej historii.

–Syn Nihal i Sennara przybył, aby tutaj zamieszkać. Nie wiem, gdzie, Sennar sam tego nie wiedział. Nie wiem, czy żyje, nie wiem, jak wygląda, ale wrócił do Świata

Wynurzonego. Pół-Elfy nie wyginęły. To niewątpliwie jego szukają. Jego lub kogoś z jego rodu.

Tragedia stawała się coraz bardziej namacalna.

–Ale Sennar jeszcze żyje, prawda?

Ido przytaknęła.

Dubhe rozumiała jego ból. Był mistrzem Nihal przez wiele lat. Nic nie może zerwać tak silnej więzi.

Folwar przemówił słabym głosem z wymęczoną twarzą.

–Sennar poznał Tyrana, zanim odszedł, zbierał o nim informacje. Może on wie. Ido wzruszył ramionami.

–To możliwe. Podniósł się.

–Nasz dobry Folwar wydaje mi się wyczerpany, jak również nasz młody gość. –

Popatrzył na Dubhe z sympatią. – Dowiedzieliśmy się wielu rzeczy i chyba dobrze będzie się z tym przespać. Jutro powtórzmy spotkanie i zdecydujemy, co robić.

Zgromadzenie zostało zamknięte i każdy wrócił do swojego pokoju. Dubhe też taki miała – znajdował się niezbyt daleko od pokoju Lonerina. Wracali razem.

–Byłaś dzielna – powiedział. – Zwłaszcza w obronie swojego zdania. Jeżeli ich przekonałimy, to tylko twoja zasługa.

Dubhe wzruszyła ramionami.

–Nie miałam zamiaru nikogo przekonywać. Lonerin uśmiechnął się.

–Ale Aster przeraża i ciebie, prawda?

–O wiele bardziej przeraża mnie pieczęć. Uśmiech zgasł na wargach chłopaka.

–Przepraszam.

Dubhe potrząsnęła głową. Nie miało to znaczenia. Pożegnali się przed jej drzwiami.

–Do jutra zatem.

Dubhe kiwnęła głową. Nie miała powodu, żeby zostać tam jeszcze dłużej, ale nie czuła się całkiem w formie i tak czy inaczej chciała wiedzieć, jak to się skończy. W końcu teraz sprawa dotyczyła również i jej.

Bardziej jednak niż cokolwiek innego krążyła jej się po głowie pewna myśl, która pojawiła się, kiedy dziewczyna się rozbierała i szła do łóżka. Sennar żył... Sennar

był jednym z największych żyjących czarodziejów. Wielkim czarodziejem. Właśnie takim, jaki był jej potrzebny.

Epilog

Sala, zgromadzenie – wszystko było identyczne, jak poprzedniego dnia. Wydawało się, że noc nawet nie minęła. Folwar może był mniej zmęczony, twarze może mniej ściągnięte, a Lonerin bardziej wyprostowany i mniej blady. Atmosfera wciąż jednak była napięta. Dubhe czuła to przez skórę.

Niewiele spała. Przez całą noc myślała o Sennarze, o jego wiedzy, o pieczęci. Był jej jedyną nadzieją. Pomyślała jednak też o Świecie Wynurzonym, o jego losie, o Asterze. Nie potrafiła zapomnieć jego twarzy wirującej w kuli, tam, w czeluściach ziemi. Twarzy, na której nie było nienawiści ani dzikości, tak odmiennej od tego, co sobie wyobrażała, a jednak tak straszliwej.

Cisza była gęsta i podobnie jak poprzedniego dnia przerwała ją pani domu, Dafne. To jednak Ido przemówił jako pierwszy.

–Sądzę, że nikt z nas nie spędził całkiem spokojnej nocy, prawda?

Przesunął kpiącym spojrzeniem po wszystkich obecnych.

–Ja nie zmrużyłem oka. I dużo myślałem. Powiem wam zatem, jaka jest moja odpowiedź.

Zaczerpnął powietrza.

–Folwar dobrze mówił wczoraj wieczorem. Sennar musi wiedzieć. Nie zapominajmy, że w swoim czasie on i Nihal pokonali Tyrana. Proponuję, aby wybrać się do niego i poprosić go o pomoc.

Kharepa potrząsnął głową.

–Nie mamy czasu, rozumiesz? W tym czasie Gildia dalej będzie podążać zgodnie z wytyczonym planem...

–A macie jakąś propozycję co do sposobu powstrzymania Yeshola? Zaatakować Gildię? I jak? Dohor zatrzymałby nas, zanim doszlibyśmy do Domu. A co z magią?

Jakaś propozycja co do tego, jak rozwiązać ducha Astera? Cisza była tak gęsta, że można ją było kroić.

–Nie mamy w ręku żadnej broni.

Rada milczała.

–Z wyjątkiem jednej. Syna Nihal. Trzeba go znaleźć i umieścić w bezpiecznym miejscu. Bez niego plan się nie powiedzie. To jedyny sposób, w jaki możemy się obronić.

Wielu przytaknęło. Dubhe podziwiała Ida. Miał zdolność elektryzowania, uspokajania, wzbudzania respektu. W jego słowach i gestach dostrzegała cień jego chwalebnej przeszłości niepokonanego wojownika, przeszłości, która nie całkiem odeszła. On dalej walczył, już prawie samotnie, o to, w co wierzył.

–Inne propozycje?

Dubhe powoli podniosła ramię. Nie wiedziała, co dało jej odwagę, aby to zrobić. Zadziałała instynktownie, być może na fali tych słów, które rozpały w głębi jej trzewi coś nieznanego, a może była to czysta i prosta desperacja, siła, która zawsze nią kierowała.

Audytorium popatrzyło na nią w zdumieniu, a Ido udzielił jej głosu.

–Chciałabym zgłosić swoją osobę na wyprawę do Sennara.

Wśród obecnych podniósł się skonsternowany pomruk.

–Obdarzyliśmy cię już wielkim zaufaniem, ale czy nie uważasz, że to byłoby zbyt wiele? – To Fest. – To bardzo delikatna misja, od której zależy nasze przeżycie,

wybacz, jeśli nie mamy do ciebie aż tyle zaufania.

Dubhe kiwnęła głową.

–Tylko że ja nie idę tam dla Świata Wynurzonego. Być może Sennar potrafi mnie uleczyć. Bez wątplenia zatem jestem spośród was osobą, która ma najsilniejszą

motywację. Zaniosę mu waszą wiadomość.

–A kto nam zagwarantuje, że wrócisz? – spytał Venna, król Marchii Bagien.

Ido potrząsnął głową.

–Nie możesz iść sama, rozumiesz to, prawda? A gdyby coś ci się stało? Potrzeba jeszcze przynajmniej jednej osoby.

–Ja mógłbym pójść.

Dubhe spodziewała się tego. Nie wiedziała, dlaczego, ale była pewna, że tak to się skończy. Lonerin zawsze musiał być w pierwszym rzędzie, poznała go na tyle, żeby to zauważyć: musi działać, mieć poczucie, że coś robi. Ido pozwolił sobie na uśmiezek.

–Działanie to twój nałóg, co, chłopcze?

Lonerin zaczerwienił się gwałtownie. Ido musiał go bardzo zawstydzić. Gnom podniósł dłonie.

–Nie mam nic przeciwko temu, bardzo dobrze przeprowadziłeś swoją poprzednią misję.

Potem nagle przybrał poważną minę.

–Jeżeli zaś chodzi o syna Nihal i Sennara, ja sam się tego podejmę. Tym razem zdumienie Rady było jeszcze większe.

–Ależ wy jesteście podporą Rady!

–Bez was ruch oporu nie istnieje.

–Potrzebujemy was tutaj.

Ido uciszył wszystkich gestem.

–Jestem wojownikiem. Od zbyt dawna przebywam zamknięty tu, w środku, ograniczając się do wspomnienia dni walki oraz przyjaciół i towarzyszy, których utraciłem.

Zamilkł na chwilę.

–Wszyscy wiecie, że mam niewyrównany rachunek z Dohorem. I nie zrezygnuję!

Sala ożywiła się szeptami, potem zapadła cisza i podniosła się Dafne.

–Głosujmy zatem nad następującym planem działania: Lonerin z dziewczyną pójdą na poszukiwanie Sennara, a Ido odszuka syna Nihal i Sennara. Niech każdy wyrazi własną opinię.

Większość była miażdżąca. Podjęto decyzję.

–Znowu się ze mną żegnasz.

Theana już płakała. Tym razem Lonerin zupełnie nie wiedział, co jej powiedzieć. Miała rację. Ale on nie mógł po prostu stać i się przyglądać, z wielu powodów. W poprzedniej misji okazał się bezużyteczny i to go dręczyło. Poszedł aż do serca Gildii, aby ją zniszczyć i aby udowodnić samemu sobie, że uda mu się przewyciężyć nienawiść i żal, i uwznioślić wszystko w swym pragnieniu ocalenia Świata Wynurzonego. Zawiódł na obydwu frontach. A teraz, co powinien zrobić?

Dalej pakował bagaże. Chciałby potrafić jej to wytłumaczyć, wypowiedzieć to wszystko, co krążyło mu po głowie.

–Ja muszę iść. Jeżeli mnie znasz, jeżeli mnie kochasz, wiesz o tym.

Theana potrząsnęła głową, a loki zatańczyły wokół niej.

–A właśnie, że nie. Powiedziałaś, że do mnie wrócisz, ale jeżeli teraz znowu wyjeżdżasz, to tak, jakbyś nigdy tego nie zrobił. Myślałam, że będziemy mieli dla siebie czas.

Tak, on też tak myślał. Zatrzymał się i spojrzał na nią.

–Wiele się wydarzyło... Theana pozwoliła spływać łzom.

–To dla niej?

–Dla kogo? Dobrze jednak wiedział.

–No wiesz.

–Nie, absolutnie. Theana podniosła się.

–Musisz zdecydować, zrozumieć.

–Nie bądź głupia, tu nie ma nic do rozumienia, zupełnie nic. Theana

potrząsnęła głową.

–A jednak jest. Bo ja nigdy nie jestem w stanie utrzymać cię tu ze mną, zatrzymać cię, a dla niej ryzykowałeś życie.

Lonerin potrząsnął głową.

–To tylko twoje fantazje.

Theana uśmiechnęła się ze smutkiem.

–Postaraj się wrócić, ale jeżeli nawet to zrobisz, wiem, że nie będzie to do mnie.

Dubhe siedziała na balkonie, który z pałacu pozwalał cieszyć się widokiem odległej Krainy Wiatru. Hen, na horyzoncie, ledwo można było dostrzec niekończącą się nizinę wyznaczającą granicę między dwoma ziemiami. Mówiono, że ten step nie jest już taki jak niegdyś. Wielka Wojna pozostawiła niezatarte ślady. Mniej drzew, rzadsza trawa, smutniejszy wygląd.

Był to ten sam krajobraz, który widywali Nihal i Sennar, może nawet w tym samym stanie ducha, z jakim ona teraz na niego patrzyła, ze smutkiem i zagubieniem tego, kto odjeżdża.

Zastanawiała się, czy na końcu tej podróży wreszcie stanie się wolna. Jeszcze

nie śmiała myśleć o tym, co będzie potem, kiedy klątwa zostanie zdjęta. Nie wiedziała nawet, czy ten dzień kiedykolwiek nadejdzie. A jednak zadawała sobie pytanie, czy złamanie pieczęci naprawdę przyniesie jej to, czego pragnie. Zanim to wszystko się zaczęło, gdy jeszcze była zwykłą złodziejką, myślała: *Do kiedy?*, nie do końca pojmując, skąd to pytanie wynika. Teraz rozumiała. Była zmęczona, ale nie chodziło tylko o pieczęć. Była zmęczona działaniem tak, jak nakazywały jej okoliczności, poruszaniem się tak, jakby ktoś nią manipulował, kroczeniem naprzód wynikającym tylko z pragnienia przeżycia, pozostania przy życiu. A o ile pieczęć być może udałoby się złamać, jej niewola nie miała końca.

–Zamyślona, co?

Dubhe wzdrygnęła się. To był Ido. Ubrany dokładnie tak, jak na zgromadzeniu, w strój wojskowy. Ktoś jej powiedział, że gnom nigdy nie zdejmował tych ubrań. Między palcami trzymał długą, dymiącą fajkę.

–Trochę.

–Odjeżdżać to zawsze trochę umierać, jak mówi dość znane powiedzenie. Dubhe przytaknęła. Była to sytuacja raczej paradoksalna. Drobną złodziejka,

morderczynie, rozmawiała z wielkim bohaterem.

–Sennar to wielki czarodziej, jestem pewien, że będzie umiał ci pomóc. *Właśnie.*

–Mam nadzieję.

–Jeżeli chodzi o wszystkie pozostałe sprawy, to zależy to tylko od ciebie, ale jestem pewien, że o tym wiesz.

Dubhe popatrzyła na niego zdumiona. Ido pociągnął fajkę.

–Nie można żyć tak długo jak ja, przemierzając wojny i bitwy, przeżywając wszystkich swoich przyjaciół, aby w końcu przynajmniej trochę nie rozumieć ludzi.

Dubhe popatrzyła w dal.

–Nie wiem, czy macie rację. W końcu zawsze dla każdego z nas istnieje wytyczona droga.

–A twoja droga prowadzi cię do walki za Świat Wynurzony?

–Nie wyruszam, aby walczyć. Wyruszam, aby ocalić skórę.

–Mówisz?

Ido zaciągnął się po raz kolejny.

–Ja tyle razy zmieniałem drogę... i przez całe życie szedłem przeciwko mojemu przeznaczeniu.

***Ale są osoby, które takiej możliwości nie mają* - pomyślała Dubhe. Mimo to i tak doceniła ten wywód. Ido zaciągnął się po raz ostatni.**

–Jest zimno, a starcy tacy jak ja muszą o siebie dbać. Mam nadzieję, że po wszystkim zobaczymy się jeszcze. Dla ciebie i dla Świata Wynurzonego.

Dubhe przytaknęła. Ido już miał odejść.

–Dziękuję – powiedziała Dubhe, nie odwracając się. – Za to, jak mnie

potraktowaliście na posiedzeniu Rady. Nie gardzicie mną ani się nade mną nie litujecie.

–Nie ma w tobie nic, co zasługiwałoby na jedno albo drugie.

Podniósł dłoń i pożegnał ją.

Dubhe została sama na balkonie. Poranna bryza wplatała jej się pomiędzy włosy, jeszcze krótkie po ich obcięciu przez Gildię.

Stała na skraju urwiska, a jednak w tej chwili czuła się lekka, jakby wreszcie mogła przelecieć poza przepaść.

Niebieskawe światło migotało na ścianach powalanych krwią. Twarz zamknięta w kuli była jeszcze bezkształtna, prawie cierpiąca, ale Yeshol dokładnie potrafił rozpoznać w tym chaosie fizjonomię Astera, tę twarz, którą tak bardzo ukochał. Trzymał w ramionach księgę. Po ucieczce dziewczynki i Postulanta nigdy się z nią nie rozstawał.

–Turno zawiódł. Jego okaleczone ciało leży w Wielkiej Krainie.

–To była ona.

–Rany nie pozostawiają wątpliwości.

Kiedy mu o tym powiedziano, pióro, które trzymał w dłoni, złamało się.

–Ona musi umrzeć. Muszą umrzeć obydwój. To konieczne. Thenaar tego chce.

Wypuście za nimi tylu Zabójców, ilu możecie, najpotężniejszych, ale chcę, aby umarli

w strasznych męczarniach. Przynajmniej jedno z dwojga przyprowadźcie tutaj.

Wydanie rozkazu wcale go jednak nie uspokoiło. Książki w jego ukrytym w bibliotece gabinecie były ruszane, ktoś tam szperał. Co wiedziała Dubhe? I w jaki sposób była związana z Postulantem? Te pytania dręczyły go po nocach, doprowadzały go do szaleństwa. Znajdował się o włos od realizacji swoich marzeń i

nie mógł zakończyć wszystkiego przez jakąś dziewczynę, która nie chciała ugiąć karku. Dlatego szedł do Astera. Jego widok napełniał go ciepłem i ufnością.

–Nie pozwolę jej, aby wszystko zniszczyła – powiedział ze złością przez

zaciśnięte zęby. – Mój Panie, teraz, kiedy odnaleźliśmy się po tak wielu latach, nie

pozwolę nikomu, aby ponownie zrzucił Cię w otchłań zapomnienia. Nawet, gdybym sam miał umrzeć, Ty powrócisz i wynagrodzone zostaną Ci Twoje cierpienia.

Yeshol położył dłonie na szkle i oparł o nie czoło.

–Jesteśmy na tropach ciała, jesteśmy blisko, mój Panie, bardzo blisko. Ani niewierząca, ani jej towarzysz nic nie będą mogli poradzić, kiedy będę miał w ręku chłopaka i jego ojca. Czas nadchodzi.

Dwie gorące łzy spłynęły mu po policzkach, łzy zmęczenia i cierpienia, ale i radości.

–Czas nadchodzi.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/